

BESTSELLER „USA TODAY”
BESTSELLEROWY PISARZ „NEW YORK TIMESA”

Crashed

Tom III trylogii *Driven*

W zderzeniu
z miłością

K. Bromberg

BESTSELLER „USA TODAY”
BESTSELLEROWY PISARZ „NEW YORK TIMESA”

Crashed

Tom III trylogii *Driven*

W zderzeniu
z miłością

K. Bromberg

septem
septem.pl

K. Bromberg

Crashed

W zderzeniu z miłością

Tytuł oryginału: Crashed (The Driven Trilogy

#3)

Tłumaczenie: Marcin Machnik

ISBN: ePub: 978-83-246-9695-6, Mobi: 978-83-246-9696-3

Copyright © 2014 K. Bromberg.

All Rights Reserved. The scanning, uploading, and electronic sharing of any part of this book without permission of the publisher or author constitute unlawful piracy and theft of the author's intellectual property.

Cover art created by Tugboat Design with Shutterstock image # 62700331.

Polish edition copyright © 2015 by Helion S.A.

All rights reserved.

Wszelkie

prawa

zastrzeżone.

Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości

lub

fragmentu

niniejszej

publikacji

w

jakiegokolwiek

postaci

jest

zabronione.

Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania

informacji zawartych w książce.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod

adres

http://septem.pl/user/opinie/crashe_ebook

Możesz

tam

wpisać

swoje

uwagi,

spostrzeżenia, recenzję.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: septem@septem.pl

WWW:

<http://septem.pl>

(księgarnia

internetowa, katalog książek)

[Poleć książkę](#)

[Kup w wersji papierowej](#)

[Oceń książkę](#)

<

[Księgarnia internetowa](#)

Dedykacja

Mamie i Tacie

Dziękuję, że nauczyliście mnie, iż w życiu nie

chodzi o to,

żeby przetrwać sztorm, lecz o to, żeby umieć

tańczyć w deszczu.

A ja w końcu tańczę...

Prolog

Colton

Stuk. Stuk. Stuk.

Rezonujący w głowie ból pulsuje w rytm

atakujących uszy uderzeń.

Stuk. Stuk. Stuk.

Jest tak głośno od bzyczącego białego szumu,

lecz mimo to panuje ogłuszająca cisza. Poza

tym pieprzonym stukaniem.

Co to, do diabła, jest?

Czemu czuję przejmujące zimno, skoro jest tak

cholernie gorąco, że widzę, jak ciepło faluje z

asfaltu?

Ja pierdolę!

Coś po prawej przykuwa moją uwagę.

Sprasowany metal, rozerwane opony, poszycia

rozprute w strzępy. Nie mogę oderwać
wzroku. Becks mnie zabije za rozpieprzenie
samochodu. Rozerwie mnie na strzępy jak
samochód, którego kawałki walają się po
całym torze. Co się, do cholery, stało?

U

podstaw

kręgosłupa

tańczy

dreszcz

niepokoju.

Serce mi przyspiesza.

Na obrzeżach świadomości migocze uczucie
zagubienia. Zamykam oczy, próbując wyrzucić
z głowy pulsowanie, które nagle zaczyna
wybijać rytm moim myślom. Myślom, które nie
do końca potrafię uchwycić. Przesypują się
przez mój umysł jak piasek przez palce.

Stuk. Stuk. Stuk.

Otwieram

oczy,

żeby

zlokalizować

ten

cholerny dźwięk, który intensyfikuje mój ból...

Zakopywać ból pod przyjemnością...

Te słowa szumią mi w mózgu. Potrząsam
głową, próbując zrozumieć, co się dzieje, i
wtedy zauważam *jego*: ciemne włosy proszące
się o fryzjera, małe rączki trzymające
plastikowy helikopter, plaster ze Spider-
Manem na palcu wskazującym, którym obraca
wirnik.

Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

— *Stuk. Stuk. Stuk* — mówi bardzo łagodnym
głosem.

To dlaczego jest to tak ogłuszające? Patrzy na
mnie przez gęste rzęsy swoimi wielkimi
zielonymi oczami, które emanują niewinnością.

Gdy spotykają się nasze spojrzenia, przestaje

obracać

wirnikiem,

przechyla

głowę

i

wnikliwie mnie obserwuje.

— Cześć — mówię, bo w przestrzeni między

nami rezonuje ogłuszająca cisza.

Coś jest nie tak.

Coś jest cholernie nie w porządku.

Wraca niepokój.

W głowie mam przeblyski czegoś nieznanego.

Dusi mnie niepewność.

Jego zielone oczy mnie pochłaniają.

Niepokój znika, gdy w kącikach lekko
ubrudzonych ust chłopca pojawia się uśmiech,
który sprawia, że na jego policzku pojawia się
dołek.

— Nie wolno mi rozmawiać z nieznanymi —
odpowiada i wyprostowuje się nieco, starając
się zachowywać jak duży chłopak, którym
chciałby być.

— To dobra zasada. Mama cię tego nauczyła?

Dlaczego on wydaje się taki znajomy?

Wzrusza nonszalancko ramionami. Taksuje
mnie starannie spojrzeniem, po czym wraca do
moich oczu. Zerka na coś za moim ramieniem,
ale z jakiegoś pieprzonego powodu nie
potrafię oderwać od niego wzroku. Nie chodzi
o to, że jest najbardziej uroczym dzieciakiem,
jakiego widziałem... Nie, to raczej jakby miał
na mnie jakiś magnetyczny wpływ, którego nie

potrafię pokonać.

Na

jego

czole

pojawia

się

malutka

zmarszczka, gdy spogląda w dół i skubie

kolejny plaster z superbohaterem, który ledwo

przykrywa duże zadrapanie kolana.

Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

Zamknijcie się! — chciałbym krzyknąć do demonów w swojej głowie. Nie mają prawa

tutaj być... Nie mają prawa tłoczyć się wokół

tego słodkiego chłopca, lecz mimo to wirują

wokół jak karuzela. *Jak mój samochód, który*

powinien być teraz na torze. Dlaczego więc zbliżam się do tego polaryzującego chłopca

zamiast

przygotowywać

się

na

wiadro

inwektyw, jakimi Becks na pewno zmyje mi

głowę? Na które, sądząc po wyglądzie

samochoodu, w pełni zasługuję?

Mimo to nadal nie potrafię się oprzeć.

Podchodzę jeszcze bliżej, powoli i miarowo,

tak jak do chłopców w Domu.

Chłopcy.

Rylee.

Muszę ją zobaczyć.

Nie chcę już być samotny.

Muszę ją poczuć.

Nie chcę już być zepsuty.

Dlaczego unoszę się w oceanie niepewności?

Ale i tak robię kolejny krok przez mgłę w

stronę

tego

nieoczekiwanego

promienia

światła.

Bądź moją iskrą.

— Masz całkiem poważną rankę...

Prycha. Jest niezmiernie uroczy, gdy ma tak

poważną twarz z piegowatym zadartym nosem

i patrzy na mnie, jakby coś mi umykało.

— *Dzięki, Panie Oczywisty!*

I do tego jest wyszczekany. *Dzieciak w moim typie.* Tłumię chichot, bo widzę, że już po raz trzeci zerka za moje ramię. Zaczynam się

odwracać, żeby sprawdzić, na co patrzy, ale

zatrzymuje mnie słowami:

— Wszystko w porządku?

Hę?

— A co masz na myśli?

— Wszystko w porządku? — powtarza pytanie.

— Wyglądasz, jakbyś był trochę zepsuty.

— O czym ty mówisz? — dopytuję i podchodzę

kolejny

krok.

Moje

migoczące

myśli

przeplatają się z jego posępnym tonem głosu, a

wyryte na jego twarzy zmartwienie zaczyna

mnie denerwować.

— Cóż, wyglądasz, jakbyś był zepsuty —

szepcze i zaczyna znowu obracać wirnikiem,

wznosząc i opuszczając helikopter. *Stuk, stuk,*

stuk.

Przechodzi

mnie

dreszcz

niepokoju

i

spoglądam w dół, ale mój kombinezon jest

nietknięty.

Poklepuję

się

dłońmi,

żeby

uśmierzyć to uczucie.

— Nie — mówię szybko. — Nic mi nie jest,

kolego. Widzisz? Wszystko w porządku —

stwierdzam i oddycham z ulgą. Przez tego

małego

skurczybyka

na

chwilę

się

przestraszyłem.

— Nie, głuptasie — mówi, przewracając

oczami i wzdychając głośno, po czym wskazuje

za moje ramię. — Spójrz. Jesteś zepsuty.

Odwracam się, żeby spojrzeć za ramię, bo

intryguje mnie spokój i prostota jego głosu.

Serce przestaje mi bić.

Stuk.

Nie mogę złapać oddechu.

Stuk.

Czuję obezwładniające zimno.

Stuk.

Mrugam oczami z niedowierzaniem, próbując

odpędzić obrazy, które przed sobą widzę.

Obrazy przebijające się przez lepką mgłę.

Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

Kurwa. Nie. Nie. Nie. Nie.

— Widzisz? — słyszę za sobą jego anielski

głos. — Mówiłem ci.

Nie. Nie. Nie. Nie.

W końcu udaje mi się wypchnąć powietrze z

płuc. Z trudem przełykam ślinę, która smakuje

jak papier ścierny.

Wiem, że mam przed oczami cały ten chaos,

ale jak to w ogóle możliwe? Jakim cudem

jestem i tu, i *tam*?

Stuk. Stuk. Stuk.

Próbuję się ruszyć. Biec, kurwa! Zwrócić ich

uwagę, żeby zobaczyli, że jestem tutaj i że nic

mi nie jest. Ale moje stopy nie słuchają

rozpychającej się w głowie paniki.

Nie. Tam mnie nie ma. Jestem tutaj. Wiem, że

nic mi nie jest i że jestem żywy, bo czuję swój

płytki oddech, gdy podchodzę, żeby się lepiej

przyjrzeć.

Strach

przeciąga

swymi

paznokciami po mojej czaszce, bo to, co

widzę... to nie może... to po prostu, kurwa,

niemożliwe.

Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

Z tego stanu na granicy wybuchu wściekłości

wyrywa mnie cichy szum piły tarczowej, za

pomocą której zespół ratowników medycznych

przecina kask kierowcy przez środek. W

chwili, gdy go otwierają, czuję, jakby moja

głowa eksplodowała. Opadam na kolana, bo

ból jest tak rozdzierający, że jestem w stanie jedynie chwycić ją w dłonie. Muszę podnieść

wzrok. Muszę sprawdzić, kto jest w moim

samochodzie. Kto wsadził tam swoją dupę. Ale

nie potrafię, bo ból jest nie do zniesienia.

Zastanawiam się, czy śmierć boli...

Wzdrygam się, gdy czuję jego dłoń na

ramieniu... ale w momencie, gdy mnie dotyka,

ból znika.

Co, do...? Wiem, że muszę spojrzeć. Muszę sprawdzić, kto jest w samochodzie, chociaż w

głębi duszy znam prawdę. Poszatkiwane
wspomnienia błyskają w mojej głowie jak
kawałki rozbitego lustra w tym pieprzonym
osiedlowym barze.

Pierdolony Humpty Dumpty.

Strach pełźnie w górę po kręgosłupie, chwytając
mnie za serce i wibruje w środku. Nie mogę
tego zrobić. Nie potrafię podnieść wzroku.

Nie bądź mięczakiem, Donavan. Zamiast tego

patrzę w prawo, w *jego* oczy, które w tym chaosie emanują nieoczekiwanym spokojem.

— Czy to... czy ja...? — pytam chłopca. Oddech

więźnie mi w gardle, a obawa przed

usłyszeniem odpowiedzi sprawia, że słowa

zamierają mi na ustach.

Chłopiec po prostu na mnie patrzy. Jasny

wzrok, poważna twarz, ściągnięte usta,

drgające piegi... W końcu ściska moje ramię i

pyta:

— A jak myślisz?

Chciałbym wytrząsnąć z niego pieprzoną

odpowiedź, ale wiem, że tego nie zrobię. Nie

potrafię. To, że jest przy mnie w tym

oszałamiającym chaosie, jednocześnie napawa

mnie niewiarygodnym spokojem i wzbudza

nieznany wcześniej strach.

Zmuszam się, by oderwać wzrok od tej
pogodnej twarzy i spojrzeć na to, co dzieje się
przede mną. To jak kalejdoskop poszarpanych
obrazów, na których widzę moją twarz — tak,
moją — na szpitalnych noszach.

Moje

serce

się

rozpada.

Roztrzaskuje.

Zatrzymuje. Umiera.

Spider-Man.

Szara skóra. Napuchnięte, posiniaczone i
zamknięte oczy. Uchylone i blade usta.

Batman.

Przygniatające

zniszczenia,

wszechogarniająca desperacja, życie przelewa
się przez palce. A mimo to dusza uparczywie
trzyma się ciała.

Superman.

— Neeeeee! — krzyczę ile sił w płucach, aż
dostaję chryпки. Nikt się nie odwraca. Nikt

mnie nie słyszy. Nikt nie reaguje. Ani moje
ciało, ani ratownicy medyczni.

Iron Man.

Ciało na noszach wzdryga się, gdy ktoś
podchodzi i zaczyna uciskać klatkę piersiową.

Inna osoba zakłada mi kołnierz ortopedyczny,
po czym podnosi powieki i sprawdza źrenice.

Stuk.

Ostrożne
twarze.

Pokonane
spojrzenia.

Rutynowe ruchy.

Stuk.

— Nie! — wykrzykuję ponownie i czuję, jak
spowija mnie mgła paniki. — Nie! Jestem tutaj!

Tutaj! Nic mi nie jest!

Stuk.

Płyną

łzy

niedowierzenia.

Wszelkie

perspektywy zanikają. Nadzieja umiera.

Moje życie się rozmywa.

Patrzę na dłoń, która zwisa bez życia z noszy.

Pojedyncza kropla krwi powoli spływa do wierzchołka palca, po czym po kolejnym ucisku klatki piersiowej spada na ziemię. Skupiam się na tej ścieżce krwi, bo nie potrafię spojrzeć w swoją twarz. Nie zniósłbym tego widoku ponownie.

Nie mogę patrzeć, jak ucieka ze mnie życie.

Nie potrafię wytrzymać strachu, który wkrada się w moje serce, czegoś nieznanego, co sączy się do mojej podświadomości, i chłodu, który powoli ogarnia moją duszę.

— Pomóż mi! — Odwracam się w stronę tak bliskiego, choć nieznanego mi chłopca. —

Proszę — błagam szeptem, wkładając w to każdy strzęp życia, jaki jeszcze mi pozostał. —

Nie jestem gotowy, by... — Nie potrafię dokończyć zdania. Jeśli to zrobię, zaakceptuję to, co dzieje się przede mną na noszach, i to, co symbolizuje miejsce za mną.

— Nie? — pyta. Jedno słowo, ale chyba najważniejsze w moim pieprzonym życiu.

Wpatruję się w niego, zafascynowany tym, co widzę w głębi jego oczu. Jest w nich zrozumienie, akceptacja i uznanie. Nie chcę

rezygnować z uczuć, które z nim przeżywam,
ale nawet przez chwilę nie mam wątpliwości,
jak odpowiem na jego pytanie, na ten wybór
między życiem i śmiercią.

Mimo to decyzja, żeby żyć — żeby wrócić i
udowodnić, że zasłużyłem na tę pieprzoną
szansę — oznacza, iż będę musiał opuścić tę
anielską twarzyczkę i zrezygnować ze spokoju
duszy, jaki czuję w jego obecności.

— Zobaczą cię jeszcze kiedyś? — nie wiem,
skąd wzięło mi się to pytanie, ale wypowiadam
je bez zastanowienia. Wstrzymuję oddech w
oczekiwaniu na odpowiedź. Chciałbym, żeby
była zarówno twierdząca, jak i przecząca.

Przechyliła głowę na bok i się uśmiecha.

— Jeśli tak zapisano w kartach.

Czyich pierdolonych kartach? Chcę na niego wrzasnąć. Boga? Diabła? Moich? Czyich
pierdolonych kartach? Ale wykrztuszam tylko:

— *W kartach?*

— Uhm — odpowiada i kiwa nieznacznie
głową, zerkając na moment na swój helikopter.

Stuk. Stuk. Stuk.

Odgłos jest teraz niższy i zagłusza wszelkie
otaczające mnie hałasy. Mimo to wciąż słyszę,

jak chłopiec wstrzymuje oddech. Wciąż słyszę uderzenia serca w uszach. I wciąż czuję spowijający moje ciało kokon spokoju, gdy jego dłoń spoczywa na moim ramieniu.

Nagle zauważam helikopter ratowniczy na środku pasa. Czeka na mnie z kręcącym się wirnikiem: stuk, stuk, stuk. Nosze zaczynają szybko jechać w jego stronę.

— Nie idziesz ze mną? — pyta chłopiec.

Z trudem przełykam ślinę, po czym patrzę na niego i zrezygnowany potrząsam głową.

— Nie... — odpowiadam niemal bezgłośnie, obawiając się nieznannej ciężkości swojego głosu.

Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

— Hej — mówi. Wracam spojrzeniem do jego perfekcyjnej twarzyczki, a on wskazuje na coś za mną. — Wygląda na to, że twoi superbohaterowie tym razem się zjawili.

Odwracam się i serce więźnie mi w gardle. W głowie mam kompletny zamęt. Początkowo nie wiem, o co chodzi, bo pilot jest plecami do mnie i pomaga załadować *moje* nosze do helikoptera, lecz gdy się odwraca, żeby

wskoczyć na swój fotel i chwycić za dźwignię sterowania, uderza mnie to z siłą porannego słońca.

Moje serce staje.

I rusza z powrotem.

Moja dusza wydaje z siebie westchnienie ulgi.

Kask pilota jest pomalowany.

Na czerwono.

I ma czarne paski.

A na czole znaczek Spider-Mana.

Moje wewnętrzne dziecko się uśmiecha.

Dorosły mężczyzna oddycha z ulgą.

Odwracam głowę, żeby pożegnać się z chłopcem, ale nigdzie go nie widzę. Skąd, do cholery, wiedział o moich superbohaterach?

Rozglądam się dookoła, bo chcę go o to zapytać, ale nigdzie go nie ma.

Jestem sam.

Sam, poza pokrzepiającym towarzystwem tych, na których czekałem przez całe życie.

Decyzja została podjęta.

Superbohaterowie w końcu przybyli.

Rozdział 1.

W moje ciało powoli wkrada się otępienie. Nie

potrafię się ruszyć, nie potrafię myśleć, nie
potrafię oderwać wzroku od sprasowanego
samochodu na torze. Jeśli spojrzę
gdziekolwiek indziej, wszystko stanie się
realne. Unoszący się w górę helikopter będzie
naprawdę transportował pokiereszowane ciało
mężczyzny, którego kocham.

Którego potrzebuję.

Którego nie mogę stracić.

Zamykam oczy i słucham, ale nic nie słyszę.

Jedynym odgłosem w moich uszach jest
dudniący puls. Za zamkniętą kurtyną powiek i
w sercu mam tylko poszatkowane obrazy. Max
staje się Coltonem, który z kolei płynnie
zmienia się w Maxa. Wspomnienia, które
budzą nadzieję będącą teraz dla mnie ostatnią
deską ratunku, migoczą i płoną, po czym
znikają. Podobnie jak ciemność, która powoli
wypiera wszelkie światło z mojej duszy.

„*Wyściguję cię, Ryles*” — jego silny i
niezachwiany głos wypełnia moją głowę,
migocze w niej przez chwilę i znika.

Kulę się. Chcę, żeby popłynęły łzy albo żeby
iskra nadziei rozświetliła moją duszę, ale nic

się nie dzieje. Moje serce jest jak z ołowiu i przygniata mnie do ziemi.

Zmuszam się do oddychania i próbuję się
oszukiwać, że ostatnie dwadzieścia dwie
minuty wcale się nie wydarzyły. Samochód nie
wykonał gwiazdy i piruetu w gęstym dymie, a
posepni
ratownicy
wcale
nie
rozcinali
poszycia, żeby uwolnić nieprzytomne ciało
Coltona.

Jeszcze się nie kochaliśmy — przemyka mi przez głowę. Nie mieliśmy szansy *wyścigować*
się po tym, jak w końcu powiedział mi to, co chciałam
usłyszeć.

Po
tym,
jak
to
zaakceptował, wyznał i poczuł.

Chciałabym cofnąć czas i wrócić do pokoju, w
którym się przytulaliśmy. W którym mieliśmy
więź i byliśmy za mało lub za bardzo
wystrojeni. Ale nie potrafię wyprzeć obrazu

straszliwie pomiażdżonego samochodu. Jak

mam żywić nadzieję, skoro to już drugi raz

takie obrazy wypalają się w mojej pamięci?

„*Ry, nie jest ze mną zbyt dobrze*” — słyszę w

głowie słowa Maxa, lecz wypowiedane głosem

Coltona. To Colton przestrzega mnie przed

tym, co może się zdarzyć. Przed tym, czego

już raz doświadczyłam.

O Boże. Proszę, nie. Tylko nie to.

Moje serce drży.

Moja determinacja gaśnie.

Obrazy sączą się w zwolnionym tempie.

— Rylee! Musisz się skupić. Spójrz na mnie! —

znowu słowa Maxa. Zaczynam słabnąć. Moje

ciało poddaje się, podobnie jak nadzieja, ale

czuję, że ktoś chwyta mnie obiema rękami i

potrząsa.

— Spójrz na mnie! — Nie, to nie Max. Ani nie

Colton. *To Becks*. Zmuszam się, żeby

zogniskować spojrzenie na jego oczach.

Błękitne

żrenice,

z

nieoczekiwanymi

zmarszczkami w kącikach. Widzę w nich
strach. — Musimy teraz pojechać do szpitala,
dobrze? — mówi łagodnie, lecz stanowczo.
Chyba myśli, że jeśli będzie do mnie mówił jak
do dziecka, nie rozpadnę się na miliony
kawałeczków niczym moja dusza.
Nie potrafię przełknąć piasku w gardle, żeby
coś odpowiedzieć, więc Beckett znowu mną
potrząsa. Opadają ze mnie wszelkie emocje
prócz strachu. Potakuję, ale nie wykonuję
żadnego innego ruchu. Panuje kompletna
cisza. Na trybunach są dziesiątki tysięcy osób,
lecz nikt nie rozmawia. Wszystkie oczy są
wpatrzone w ekipę sprzątającą i pozostałości
po kilkunastu samochodach na torze.
Wytężam słuch, żeby cokolwiek usłyszeć.
Jakąś oznakę życia. Nic. Absolutna cisza.
Czuję, że Beckett obejmuje mnie ramieniem i
wyprowadza z wieży nad aleją serwisową.
Schodzimy po schodach i wsiadamy do
czekającego na nas vana. Becks popycha mnie
lekką i sadza, jakbym była dzieckiem.
Wsiada obok mnie i wpycha mi torebkę z
komórką do rąk, po czym mówi do kierowcy:

— Jedź.

Samochód zrywa się z szarpnięciem i
wyjeżdżamy w stronę tunelu prowadzącego na
zewnątrz. Odwracam się i widzę kompletnie
nieruchome
samochody
wyścigowe
porozrzucane po całym torze. Kolorowe
nagrobki na cichym asfaltowym cmentarzu.
„*Crash, crash, burn...*” — słowa piosenki
wylatują z głośników i zawisają w panującej w
wanie martwej ciszy. Mój odrętwiały umysł
powoli je przetwarza.

— Wyłącz to! — krzyczę zdecydowanie,
choć trawi mnie panika. Zaciskam pięści i
zgrzytam zębami, bo słowa piosenki wplotły
się w rzeczywistość, którą nieskutecznie
próbuję wyprzeć ze świadomości.

Histeria.

— Zander — szepczę. — Zander ma wizytę u dentysty we wtorek. Ricky potrzebuje nowych
korków. Aiden zaczyna w czwartek lekcje z
nauczycielem domowym, a Jax nie wpisał tego
w kalendarz. — Odwracam się do Becketta,
który patrzy mi w oczy. Kątem oka dostrzegam

siedzących za nami kilku innych członków zespołu, ale nie mam pojęcia, jak się tam znaleźli.

Gotuje się.

— Beckett, potrzebuję mojego telefonu. Dane o tym zapomni, a Zander naprawdę musi iść do dentysty, a Scooter po...

— Rylee — mówi spokojnie, ale ja tylko potrząsam głową.

— Nie! — wrzeszczę. — Nie! Potrzebuję telefonu! — Zaczynam odpinać pas i ze zdenerwowania nie zauważam, że trzymam telefon w dłoni. Próbuję przeskoczyć przez Becketta i otworzyć odsuwane drzwi, ale Beckett obejmuje mnie i trzyma mocno, żebym tego nie zrobiła.

Bulgoce na powierzchni.

— Puść mnie — mówię, walcząc z nim. Miotam się i wierzgam, ale jemu udaje się mnie utrzymać.

— Rylee — powtarza. Jego złamany głos odzwierciedla to, co czuję w sercu, i sprawia, że tracę siły do walki.

Opadam na fotel, lecz Beckett nadal mnie do siebie przyciska. Oddychamy ciężko. Chwyta

mnie za dłoń i mocno ją ściska. To jedyny
objaw rozpacz w jego skądinąd stoickim
zachowaniu, ale nie mam siły, żeby zrobić to
samo.

Świat za oknem się rozmywa, lecz mój staje w
miejscu. Leży na noszach w nieznanym mi
miejscu.

— Kocham go, Beckett — szepczę w końcu.

Popychana przez strach...

— Wiem — odpowiada z drżącym wydechem i
całuje mnie w czubek głowy. — Ja też.

...rozpalana przez rozpacz...

— Nie mogę go stracić — mówię prawie
bezdźwięcznie, jakbym się bała, że wypowiedzenie
tych słów na głos sprawi, iż stanie się to, co nie może się stać.

...zderzona z nieznanym.

— Ja też.

Szum automatycznych drzwi do oddziału
ratunkowego jest paraliżujący. Zamieram, gdy
go słyszę.

W

głowie

pojawiają

się
koszmarne
wspomnienia, a anielska biel korytarzy w
żaden sposób nie działa na mnie kojąco. To
dziwne, że w głowie błyskają mi przelatujące
przed oczami świetlówki zamontowane na
suficie. Tylko na nich mogłam się skupić, gdy w
kakofonii medycznego żargonu i kotłowaniu
niespójnych myśli jechałam korytarzem na
łożku szpitalnym i przez cały czas modliłam się
za Maxa, za moje dziecko i o nadzieję.

— Ry? — Głos Becketta otrząsa mnie z paniki
dobierającej się do gardła i wspomnień, przez
które stanęłam w miejscu. — Możesz iść?

Delikatność jego głosu spływa po mnie i jest
jak balsam na moje otwarte rany. Jedyne,
czego pragnę, to płakać, słuchając jego
kojącego
brzmienia.

Lecz
choć

łzy
zapychają mi gardło i palą mnie w oczy, to nie
chcą popłynąć. Ani jedna.

Biorę pokrępiający wdech i zmuszam stopy do ruchu. Beckett obejmuje mnie ręką w pasie i pomaga mi z pierwszym krokiem.

Widzę w myślach przeblysłą twarz lekarza.

Stoickiej. Wypranej z emocji. Potrząsa głową na boki z przepaszającym wzrokiem. Ma zrezygnowaną

postawę.

Pamiętam,

jak

pragnęłam zamknąć oczy i także odejść na zawsze. Z jego ust padają słowa: „Przykro mi”.

Nie. Nie. Nie. Tylko nie te słowa. Nie wytrzymałabym, gdybym usłyszała, jak ktoś oznajmia, że straciłam Coltona, szczególnie że właśnie się odnaleźliśmy.

Idę ze spuszczoną głową. Liczę laminowane płytki na podłodze, a Becks prowadzi mnie do poczekalni. Chyba coś do mnie mówi. Albo do pielęgniarki. Nie jestem pewna, bo skupiam się wyłącznie na odpychaniu niechcianych wspomnień. Na próbach odrzucenia rozpacz, żeby w jej miejsce mogła wkraść się iskierka

nadziei.

Siadam na krześle obok Becketta i bezmyślnie wpatruję się w wibrujący telefon w mojej dłoni. Mam milion wiadomości i nieodebranych połączeń od Haddie. Nie wyobrażam sobie, że miałabym teraz z nią rozmawiać, chociaż wiem, iż na pewno trawi ją strach. W tym momencie to ponad moje siły i w ogóle ponad wszystko.

Słyszę skrzypienie butów na linoleum, bo po nas wchodzi kolejne osoby, ale skupiam się na leżącej przede mną na stoliku książeczce. *The Amazing Spider-Man*. Mój umysł zaczyna obsesyjnie błądzić różnymi szlakami myśli. Czy Colton się bał? Czy miał świadomość tego, co się dzieje? Czy wypowiedział mantrę, o której mówił Zanderowi?

Sama ta myśl łamie mi serce, ale łzy nadal nie płyną.

Kątem oka dostrzegam buty w workach ochronnych i słyszę, że ktoś pyta o Becketta.

— Lekarze muszą dokładnie znać przebieg wypadku,
dlatego

potrzebujemy

szczegółowego opisu. Chcieliśmy obejrzeć powtórkę, ale telewizja ABC przestała ją puszczać. — Nie, nie, nie. Przeczący krzyk odbija się echem w mojej głowie, lecz mimo to spowija mnie cisza. — Powiedziano mi, że pan może udzielić mi takich informacji.

Beckett przesuwa się na krześle i chrząka.

Jego głos jest tak przesycony emocjami, że wbijam palce w uda.

— Uderzył do góry kołami w ogrodzenie... chyba.

Próbuję

sobie

to

przypomnieć,

chwileczkę. — Chowa twarz w dłoniach i pociera palcami skronie. Wzdycha, próbując zebrać myśli. — Tak. Samochód był do góry kołami. Skrzydło uderzyło w górną część ogrodzenia ochronnego, gdy przód był blisko ziemi. Środkowa część trafiła w betonową barierę. Samochód rozpadł się wokół kapsuły kierowcy.

Zbiorowe westchnienie publiczności wciąż

dźwięczy mi w uszach.

— Czy ma pani dla nas jakieś wiadomości? —

pyta pielęgniarkę.

Charakterystyczny

odgłos

miażdżonego

metal.

— Jeszcze nie. To wczesna faza i próbujemy zająć się wszystkim...

— Czy on...

— Poinformujemy pana od razu, gdy będziemy

coś wiedzieli.

Zapach palonej gumy na ubrudzonym olejem

asfalcie.

Znowu skrzypienie butów. Szepty. Beckett

wzdycha i pociera twarz dłońmi, po czym

drżącymi palcami bierze mi rękę z mojego uda

i kładzie na swoje.

Tocząca się opona odbija się od wewnętrznej bariery.

Proszę, daj mi jakiś znak. Jakikolwiek.

Cokolwiek, za co mogłabym zaczepić nadzieję,

która wymyka mi się z rąk.

W sterylnych ścianach poczekalni niesie się

echem dzwonek telefonu. Bez końca. Jak

pikanie maszyny do podtrzymywania życia,
którą słychać w innym pomieszczeniu. Za
każdym razem, gdy któryś z tych odgłosów
milknie, część mnie zamiera.

Słyszę urywany oddech Becksa. Jego zduszony
pojedynczy szloch uderza mnie jak huragan,
rozrywając w strzępy papierową torbę, w
której trzymałam resztki samozaparcia i
wiary. Beckett stara się powstrzymać wybuch
płaczu, lecz ponosi klęskę. Żal wyrywa się na
zewnątrz i spływa w milczeniu po jego
policzkach. Dobija mnie to, że mężczyzna,
który był dotychczas moją opoką, w końcu się
złamał. Zaciskam oczy i zmuszam się do
wykrzesania z siebie siły dla Becketta, ale
wciąż chodzą mi po głowie jego wczorajsze
słowa.

Potrząsam

głową

ze

spanikowanym

niedowierzaniem.

— Przepraszam — szepczę. — Jest mi tak
niemożliwie przykro. To wszystko moja wina.

Beckett zwiesza głowę, po czym wyciera oczy
dłońmi. Ten gest odpychania łez niczym
zawstydzone dziecko jeszcze bardziej łamie mi
serce.

Nie potrafię powstrzymać kołaczącej paniki,
gdy uświadamiam sobie, dlaczego Colton tu
jest. Odtrąciłam go i nie wierzyłam mu. Przeze
mnie zmęczył się w noc przed wyścigiem. A
wszystko przez mój upór i lęk.

— To ja mu to zrobiłam — te słowa mnie
zabijają. Rozdzierają moją duszę na kawałki.

Beckett odrywa dłonie od zaczerwienionych
oczu.

— O czym ty mówisz? — Nachyla się bliżej i
wpatruje się we mnie pełnymi sprzecznymi
emocjami niebieskimi oczami.

— O wszystkim... — Przerywam, bo brakuje mi
powietrza. — Mieszałam mu w głowie przez
ostatnie kilka dni, a ty powiedziałaś, że jeśli tak zrobię, to będzie moja wina...

— Ryl...

— I walczyłam z nim i odeszłam od niego, i nie
spaliśmy prawie do rana, i wsiadł do
samochodu zmęczony, i...

— Rylee! — wyrzuca w końcu z siebie

surowym tonem. Potrząsam tylko głową. Oczy
mnie palą i mam w sobie wulkan emocji. — To
nie jest twoja wina.

Wzdrygam się, gdy obejmuje mnie ramionami i
przyciska do siebie. Czuję szorstkość jego
kombinezonu na policzku i zaciskam pięści.

— To był wypadek. Jechał na ślepo. Takie są
wyścigi. To nie twoja wina. — Jego łamiący się
głos odbija się od moich głuchych uszu.

Obejmuje mnie ramionami, które mnie blokują,
i czuję nadchodzącą klaustrofobię. Zaczynam
się dusić.

Zrywam się z krzesła, bo muszę się ruszyć i
pozbyć się niepokoju trawiącego duszę.

Zaczynam spacerować do odległego końca
poczekalni i z powrotem. Przy drugim
przejściu jakiś chłopczyk zeskakuje z krzesła
w kącie pomieszczenia, żeby wziąć kredkę.

Jego buty błyskają czerwonymi światełkami i
przykuwają moją uwagę. Mrużę oczy, żeby się
lepiej przyjrzeć, i zauważam odwrócony
trójkąt z literą „S” w środku.

Superman.

Imię błyska w mojej podświadomości, lecz

moją uwagę przykuwa telewizor, na którym
ktoś zmienił kanał. Słyszę nazwisko Coltona i
wstrzymuję oddech. Boję się spojrzeć, lecz
chcę wiedzieć, co pokażą.

Wydaje się, jakby jednocześnie cały pokój
wstał. Jedna masa czerwonych kombinezonów
i pełnych emocji twarzy skupionych na
ekranie. Prezenter mówi, że był wypadek,
który na ponad godzinę przerwał wyścig. Na
ekranie
pojawiają
się
chmury
dymu
i
odbijające się od siebie samochody. Kamera
patrzy z innego miejsca niż my, więc możemy
zobaczyć więcej, lecz gdy samochód Coltona
wchodzi
w
zakręt,
transmisja
zostaje
przerwana. Wszyscy obserwujący opuszczają

ramiona z ulgą, gdy uświadamiają sobie, że nie zobaczą tego, na co z takim niepokojem czekali. Materiał kończy się wypowiedzią prezentera, że Colton aktualnie przebywa w klinice w Bayfront.

Widzę nieprzytomne ciało Coltona na noszach i Maxa na siedzeniu obok mnie. Podobieństwo tych sytuacji sprawia, że tracę oddech.

Niekończący się ból i kolidujące ze sobą wspomnienia.

Odwracam się i widzę Westinów wchodzących do poczekalni. Dostojna i władcza matka

Coltona jest blada i wygląda na zrozpaczoną.

Przełykam gulę w gardle, nie mogąc oderwać

od

nich

wzroku.

Andy

delikatnie

ją

podtrzymuje i pomaga jej usiąść, a Quinlan

trzyma ją za drugą rękę.

Beckett w mgnieniu oka podchodzi do nich i

obdarza Dorotheę i Quinlan szybkimi, lecz

czułymi uściskami. Andy wyciąga dłoń i przytula Becketta nieco dłużej. Emanuje z niego rozdzierająca serce rozpacz. Słyszę zdławiony szloch i niemal sama się łamię. Cała ta scena sprawia, że w głowie pojawiają mi się obrazy z pogrzebu Maxa. Miniaturowa różowa trumna na normalnej, czarnej trumnie, obie pokryte czerwonymi różami.

Przypominają mi się słowa, których za nic nie chciałabym znowu usłyszeć: z *prochu*

powstałeś, w proch się obrócisz. Przypominają mi się puste uściski, które w żaden sposób nie pocieszają. Co gorsza, już przed nimi byłaś obdarta do żywego mięsa, a po nich jesteś jeszcze bardziej przeczulona i odsłonięta.

Zaczynam znowu spacerować wśród szeptów typu: „kiedy będzie coś wiadomo?”. Twarze, które zawsze emanowały siłą i energią, są

poorane troską i niepokojem. W pewnym momencie przystaję i okazuje się, że patrzę w oczy Andy'ego i Dorothei.

Wpatrujemy się w siebie w milczeniu. W ich twarzach odbija się moje niedowierzenie i cierpienie. W pewnym momencie Dorothea drżącą ręką chwyta moją dłoń, a ja wykrztuszam, potrząsając głową:

— Nie wiem, co... Przepraszam...

— Wiemy, kochanie — odpowiada, przyciąga mnie do siebie i dodajemy sobie otuchy wzajemnym uściskiem. — Wiemy.

— Colton jest silny — mówi Andy, gładząc mnie po plecach pokrzepiająco. Ale przytulanie z rodzicami, wzajemne dodawanie sobie otuchy, mokre policzki i stłumione szlochy sprawiają, że to wszystko staje się zbyt realne. Moja wiara, że to tylko zły sen, zostaje poważnie zachwiana.

Zataczam się w tył i próbuję się na czymś skupić. Na czymkolwiek, byle tylko nie stracić nadziei.

Ale wciąż widzę tylko twarz Coltona. Stoi bez ruchu pośród rozbieganych członków zespołu,

którzy siedzą teraz ze mną i modlą się z
głowami w dłoniach, zaciśniętymi ustami i
zamkniętymi oczami. Stoi i z absolutną
pewnością wyznaje mi swoje uczucia. Muszę
się zatrzymać, żeby złapać oddech, bo ból w
piersi, w sercu, jest nie do opanowania.

Moją uwagę znowu przykuwa telewizor.

Słyszę jakiś podszept w podświadomości i
odwracam się, żeby spojrzeć na ekran.

Zapowiedź nowego filmu o Batmanie. Składam
w całość zdarzenia z ostatniej godziny i moja
nadzieja odżywa.

Książeczka o Spider-Manie na stoliku. Buty z
Supermanem. Film o Batmanie. Próbuję to
zracjonalizować

i
mówię
sobie,
że
to
przypadek.

Że
zobaczenie
tych

trzech

superbohaterów to tylko zbieg okoliczności. A potem dochodzę do wniosku, że potrzebuję czwartego, żeby uwierzyć. Potrzebuję Iron Mana, żeby zamknąć krąg. To będzie znak, że Colton z tego wyjdzie.

I że wróci do mnie.

Rozglądam się po poczekalni z nadzieją, która jest gotowa do rozkwitnięcia, gdy tylko znajdę ostatni znak. Ręce mi się trzęsą, mój optymizm chowa się pod powierzchnię, na której pojawia się zmęczony łeb ostrożności.

Słyszę jakieś odgłosy w korytarzu. Ten hałas — ten głos — rozpala we mnie każdą kielkującą emocję.

W jednej chwili jestem na granicy wybuchu.

Blond włosy i długie nogi przekraczają drzwi.

Nie obchodzi mnie to, że jej twarz wygląda na równie zdruzgotaną i zatroskaną jak moja.

Cały mój ból i cała wściekłość rozpalają się jak na zawołanie.

Albo jak po uderzeniu pioruna.

W jednej sekundzie jestem na drugim końcu sali. Wszyscy się odwracają, gdy daję się

ponieść obudzonemu gniewowi.

— Wynoś się! — krzyczę. Kotłuje się we mnie

tak

wiele

emocji,

że

czuję

jedynie

przytłaczające zagubienie. Tawny podnosi na

mnie swoje wstrząśnięte oczy, a jej usta

układają się w perfekcyjne „O”. — Ty

spiskująca su...

Nagle tracę oddech, bo Beckett gwałtownie

przyciska mnie od tyłu do swojej piersi.

— Puść mnie! — Walczę z nim, lecz on

przyciska mnie jeszcze mocniej. — Zostaw

mnie!

— Daj spokój, Ry! — mówi przeciągle

powściągliwym, lecz stanowczym głosem. —

Musisz zachować cały ten ogień i całą energię,

bo Colton będzie jej od ciebie potrzebował.

Każdy pieprzony gram tej energii. — Jego

słowa uderzają we mnie, przenikają przez

otwarte rany i tłumią zastrzyk adrenaliny.

Przestaję walczyć. On wciąż trzyma mnie w
żelaznym uścisku i czuję na policzku jego
przyspieszony oddech. — Nie jest tego warta,
OK?

Nie potrafię nic wykrztusić, bo w tym
momencie mój umysł nie jest zdolny do
normalnego funkcjonowania, więc po prostu
potakuję i zmuszam się do skupienia na
punkcie na podłodze, a nie na długich nogach
na prawo ode mnie.

— Na pewno? — dopytuje, po czym powoli
mnie uwalnia. Staje przede mną i zmusza
mnie, żebym spojrzała mu w oczy, bo chce się
upewnić, że może mi zaufać.

Zaczynam się trząść. Jestem zakładniczką
krążącego we mnie gniewu, żalu i jeszcze
jakiegoś nieznanego uczucia.

Brakuje mi tchu, bo przy każdym wdechu bołą
mnie płuca. W spojrzeniu Becketta życzliwość
miesza się z zatroskaniem, co wywołuje we
mnie istne emocjonalne tornado. Czuję się
paskudnie,

bo

on

próbuję
się
mną
zaopiekować, chociaż także kocha Coltona i
ma w głowie podobny chaos wynikający z
niepewności,
więc
zmuszam
się
do
przysłuchania. Naśladuje mój gest, po czym
odwraca się do Tawny, zasłaniając ją przede
mną.
— Becks... — szepcze Tawny. Samo brzmienie
jej głosu jest jak oliwa na płonący we mnie
ogień.
— Ani jednego pierdolonego słowa, Tawny! —
odpowiada
stanowczo
Beckett
na
tyle
przyciszonym głosem, że słyszy to tylko nasza
trójka, chociaż sporo par oczu w poczekalni

jest skierowanych na nas. Widzę, że Andy próbuje rozszyfrować tę sytuację i wstaje z krzesła na drugim końcu pomieszczenia. — Pozwolę ci zostać tylko dlatego... że Wood będzie potrzebował mieć przy sobie wszystkich, którzy są po jego stronie, gdyby... — słowa więzną mu w gardle — gdy z tego wyjdzie... w tym ciebie, chociaż po tej intrydze mającej skłócić go z Ry nie jestem pewien, czy określenie „przyjaciółka” nadal się do ciebie odnosi. Zaskakują mnie słowa Becketta. Słyszę jej chrząknięcie. Potem zapada chwila ciszy... i nagle słyszę, że zaczęła płakać. Ciche, pełne żalu łkanie, które przebija się przez cierpliwość

wzbudzoną

we

mnie

przez

Becketta.

Łamię się. Tracę panowanie nad sobą i

zapominam

o

zapewnieniach,

że

będę

oszczędzać siły.

— Nie! — wrzeszczę, próbując odepchnąć

Becketta, bo chcę ją uderzyć. — Nie masz

prawa nad nim płakać! Nie masz prawa płakać

za

mężczyzną,

którego

próbowałam

zmanipulować! — Czuję zamykające mnie od

tyłu w objęciach ramiona, które nie pozwalają

mi wymierzyć ciosu, ale nie zważam na to, bo

zupełnie tracę poczucie rzeczywistości. —

Wynoś się! — krzyczę falującym głosem, a ktoś

odciąga mnie od jej zdumionej twarzy. — Nie!

—

Miotam

się

w

obejmujących

mnie

ramionach. — Puść mnie!

— Ciiiiiiii! — to głos Andy’ego. Andy trzyma

mnie mocno, próbując jednocześnie mnie

uspokoić i opanować. Moje serce wali jak

oszałałe, a ciało drży z wściekłości i potrafię się skupić tylko na tym, że potrzebuję *pit stopu*.
Potrzebuję znaleźć Coltona. Dotknąć go, zobaczyć, uciszyć tumult w mojej duszy.

Ale to niemożliwe.

Jest gdzieś zamknięty. Mój zbuntowany łobuz

nie może uwolnić ukrywającego się w nim

skrzywdzonego chłopca. Mężczyzna, który

właśnie zaczął dochodzić do siebie, jest znowu

potłuczony, a ja nie jestem w stanie go

poskładać. Moje szeptane słowa zachęty i

cierpliwa

natura

nie

naprawią

unieruchomionego i nieprzytomnego ciała,

które

zostało

załadowane

na

nosze

i

pośpiesznie

umieszczone

gdzieś

w

tym

budynku. Tak blisko, a jednocześnie bardzo

daleko ode mnie. On musi teraz zdać się na

obcych ludzi. Obcych, którzy nie wiedzą o jego

niewidzialnych bliźnach wciąż pozostających

pod powierzchnią.

Czuję kolejne dłonie. Dorothea i Quinlan

próbują mnie pocieszyć, ale to nie ich dłoni

pragnę, tylko Coltona.

Wtedy uderza mnie przerażająca myśl.

Zawsze, gdy Colton jest w pobliżu, czuję

specyficzne mrowienie, które informuje mnie,

że jest w zasięgu ręki, ale teraz nic nie czuję.

Wiem, że jego ciało jest gdzieś w pobliżu, ale nie czuję tego iskrzenia.

„*Bądź moją iskrą, Ry*” — słyszę jego głos wypowiadający te słowa i pamiętam to

uczucie, gdy jego oddech omiatał moją skórę...

Ale *to* uczucie jest nieobecne.

— *Nie umiem!* — krzyczę. — Nie mogę być twoją iskrą, jeśli nie czuję twojej, więc nie waż

się mi tu zgasnąć. — Nie obchodzi mnie to, że

jestem

w

pomieszczeniu

wypełnionym

patrzącymi na mnie ludźmi i Dorothea trzyma

mnie w ramionach. I tak nie słyszy mnie osoba,

do której powinno to dotrzeć. Ta świadomość

sprawia, że każda cząstka mnie, która nie była

owładnięta strachem, zostaje pochłonięta

przez rozpacz. Zaciskam dłonie na żakiecie

Dorothei i przywieram do niej. — Nie waż mi

się umierać, Colton! Potrzebuję cię, do

cholery!

—

krzyczę

w

sterylną

ciszę

poczekalni. — Potrzebuję cię tak bardzo, że

też tu umieram razem z tobą! — Głos mi się
łamie tak, jak serce, i chociaż znajduję
częściowe pocieszenie w ramionach Dorothei,
szeptach Quinlan i cichej pewności Andy'ego,
to nie mogę już tego wytrzymać.

Odpycham się, żeby na nich spojrzeć, po czym
beładnie rzucam się w stronę korytarza.

Wiem, że tracę kontrolę. Jestem tak otępiała i
pusta w środku, że nie mam siły dyskutować z
Beckettem i wzniecać w sobie nienawiść do

Tawny. Jeśli to przeze mnie Colton tu jest, to ona z pewnością także ma w tym swój udział.

Skręcam w stronę ubikacji, lecz każdy ruch
staje się niemożliwie trudny. Opieram się
dłońmi o ścianę, żeby się nie przewrócić.

Przypominam sobie o oddychaniu i stawianiu

jednej stopy przed drugą, ale nie potrafię się na tym skupić, bo mam w głowie wyłącznie to,

że mój ukochany mężczyzna walczy o życie, a

ja nie mogę nic zrobić. Brak mi nadziei i sił.

Umieram od środka.

Trafiam dłońmi na drzwi i wtaczam się przez

futrynę w stronę najbliższej kabiny. Cieszę się,

że nikogo tu nie ma. Rozpinam szorty, lecz gdy

zsuwam je z bioder, zauważam szachownicę

na majtkach. Moje ciało chciałoby uciec,

osunąć się nieprzytomnie na ziemię, ale ja nie

chcę. Chwytam za szlufki wiszących mi na

biodrach

szortów.

Mój

oddech

jest

niemiłosiernie szybki i kręci mi się w głowie, więc opieram się rękami o ścianę, ale to nic

nie daje, bo panika uderza we mnie z całą

mocą.

Gwarantuję ci, że tę flagę na pewno zdobędę.

Jego

dudniący

głos

działa

tak

kojąco.

Pozwalam, żeby rozlał się we mnie jak klej

spajający

moje

poszarpane

wnętrze.

Oddycham płytko, charcząc przez zęby i

próbuję zatrzymać to wspomnienie. Jego

niewiarygodny uśmiech i chłopięcą psotliwość

w oczach, zanim pocałował mnie po raz

ostatni. Podnoszę palec do ust, bo pragnę

poczuć z nim więź, a strach przed nieznanym

cięży mi na sercu.

— Rylee? — jej głos gwałtownie przywraca

mnie do rzeczywistości. Wolałabym, żeby

sobie poszła i nie naruszała moich wspomnień

jego

cieplej

skóry,

pocałunków

i

zawłaszczającego dotyku. — Rylee?

Słyszę pukanie w drzwi kabiny.

— Uhm? — bełkoczę w odpowiedzi, bo mój

oddech jest wciąż płytki i nieregularny.

— To ja, Quin — mówi łagodnym, lecz

nierównym głosem. Dobija mnie, gdy słyszę, że

się łamie. — Ry, proszę, wyjdź...

Sięgam dłonią do zamka i otwieram go. Quin

otwiera drzwi i patrzy na mnie dziwnie, a

twarz ze śladami łez i rozmazane kreski pod

oczami

uwydlatniają

jej

zdruzgotane

spojrzenie. Ściąga usta i wybucha śmiechem,

który jest tak bliski hysterii, że gdy niesie się echem w wykafelkowanym pomieszczeniu,

słyszę kryjącą się w nim rozpacz pomieszaną

ze strachem. Wskazuje na moje opuszczone

szorty i majtki w szachownicę i nie może

przestać się śmiać, a łzy na policzkach w

dziwny

sposób

kontrastują

z

odgłosem

wydobywającym się z jej ust.

Zaczynam się śmiać razem z nią. Tylko to

mogę zrobić. Łzy nie popłyną, strach nie

osłabnie, a nadzieja jest chybotliwa. Śmiech

wydaje mi się niewłaściwy. Wszystko jest takie

niewłaściwe. Po chwili Quinlan, kobieta, która

nienawidziła mnie od pierwszego wejrzenia,

obejmuje mnie, a jej śmiech przechodzi w

szloch. Przejmujące do głębi szarpnięcia

nieokiełznanego strachu. Jej drobne plecy

drgają wraz z pogłębiającym się bólem.

— Tak się boję, Rylee — tylko tyle potrafi
wykrztusić pomiędzy panicznymi wdechami,
ale nie musi nic więcej dodawać, bo czuję
dokładnie to samo co ona. Jej pokonana
postura, jej przenikliwy żal i siła uścisku
odzwierciedlają strach, którego nie potrafię
wyrazić, dlatego przywieram do niej z całej
siły, bo potrzebuję tej więzi bardziej niż
czegokolwiek innego.

Przytulam ją i pocieszam najlepiej jak potrafię,
starając się zatracić w roli cierpliwego
wychowawcy,
którą
tak
dobrze
znam.

Znacznie łatwiej jest ukoić czyjąś rozpacz niż
poradzić sobie z własną. Quin próbuje się ode
mnie oderwać, lecz nie potrafię jej wypuścić.

Nie mam siły wyjść przez te drzwi i czekać, aż
lekarz przyniesie informacje, których boję się
usłyszeć.

W końcu wciągam szorty i podnoszę wzrok,

żeby spojrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Przed

oczami

stają

mi

na

moment

prześladujące

mnie

wspomnienia.

Widzę

rozbite lusterko wsteczne i promienie słońca

na jego poszczerbionych i zaplamionych krwią

krawędziach, gdy Max wydaje z siebie

ostatnie tchnienie. A potem przypomina mi się

inne lustro. To użyte w feerii namiętności,

żeby

pokazać

mi,

dlaczego

jestem

wystarczająca dla Coltona. *Dlaczego wybrał*

mnie.

— Chodź — szepcze Quinlan, wyrywając mnie

z transu. Puszczam mnie i obejmuje w pasie. —

Nie

chęć

przegapić

żadnych

nowych

informacji.

Rozdział 2.

Czas się rozciąga. Każda minuta zdaje się być

godziną. A każda z trzech godzin, które

upłynęły, wydawała mi się wiecznością. Za

każdym razem, gdy rozsuwają się

automatyczne drzwi, podrywamy się na

krzesłach i opadamy z powrotem. Dookoła

podajnika wody walają się plastikowe kubki.

Kombinezony są w większości porozpinane i

przewiązane w pasie, bo w poczekalni robi się

coraz bardziej duszno. Bez przerwy dzwonią

telefony, bo ludzie chcą się czegoś dowiedzieć,

ale wciąż nie mamy im nic do przekazania.

Beckett siedzi z Andym. Dorothea ma z jednej

strony Quinlan, a z drugiej Tawny. Wszyscy

szepczą między sobą, a telewizor robi tło dla

moich myśli. Siedzę sama i nie licząc Haddie,

która bez przerwy do mnie pisze, jestem
sama. Nie muszę nikogo pocieszać ani nikt
mnie
nie
pociesza.

Z
każdą
sekundą
schizofrenia w moim umyśle staje się coraz
głośniejsza.

Skręca mnie w brzuchu. Jestem głodna, lecz
na samą myśl o jedzeniu robi mi się niedobrze.
Moja głowa niemiłosiernie pulsuje, lecz cieszę
się z bólu i liczę ukłucia, żeby przyspieszyć
upływ czasu. Albo go zwolnić — jeśli to jest
lepsze dla Coltona.

Piknięcie elektroniki drzwi. Piszczenie butów.
Tym razem nawet nie otwieram oczu.

— Mam wiadomości na temat pana Donavana.

— Zrywam się na ten głos. Słysząc szum stóp,
bo wszyscy wstają i z niepokojem czekają na
to, co zostanie powiedziane.

Boję się. Nie mogę ustać. Nie potrafię się
ruszyć. Jestem tak obezwładniona przez

słowa, które za chwilę padną z ust tego
lekarza, że zmuszam się do przełknięcia śliny,
ale nadal z przerażenia stoję jak wmurowana.
Zaciskam ręce, wbijając palce w nagą skórę
ud. Liczę na to, że ból powstrzyma
wspomnienia. Nie chcę powtórki z historii i
kolejnego rozbitego samochodu z ukochanym
mężczyzną.
Lekarz chrząka, a ja biorę wdech, modląc się i
licząc na jakikolwiek skrawek nadziei, którego
mogłabym się chwycić.
— Wciąż trwają badania, ale na podstawie
wstępnych oględzin możemy powiedzieć, że
pan Donavan doświadczył obrażeń narządów
wewnętrznych od nagłej utraty prędkości
spowodowanej uderzeniem w ogrodzenie.
Obrażenia powstały dlatego, że ciało zostało
gwałtownie
zahamowane,
lecz
organy
wewnętrzne nadal były w ruchu wskutek
bezwładności. Na ile możemy powiedzieć...
— Proszę po ludzku — szepczę. Próbuję

przebić się przez żargon medyczny i wiem, że
gdybym nie błądziła w tej mgle niepewności,
byłabym w stanie go zrozumieć. Lekarz
przerywa i chociaż nie potrafię na niego
spojrzeć, powtarzam nieco głośniej. — Proszę
po ludzku, panie doktorze. — Strach mnie
przytłacza. Ostrożnie podnoszę wzrok i
spoglądam lekarzowi w oczy. Kątem oka
widzę, że wszyscy członkowie zespołu patrzą
na mnie. — Wszyscy bardzo się martwimy i
chociaż pan rozumie swoje słowa, nas ta cała
terminologia niemiłosiernie przeraża... —
milknę, a on uprzejmie potakuje. — Nasze
umysły są teraz zbyt przytłoczone, żeby to
wszystko
przetworzyć...

Czekaliśmy

już

bardzo długo... Mógłby pan powiedzieć nam to
prostszy językiem?

Uśmiecha się nieznacznie, lecz jego oczy
pozostają poważne.

— Gdy Colton uderzył w ścianę, samochód się

zatrzymał i jego ciało też się zatrzymało, ale jego mózg nadal pędził i uderzył w otaczającą

go czaszkę. Na szczęście Colton miał na sobie

urządzenie

HANS,

dzięki

któremu

nie

nastąpiło przerwanie rdzenia kręgowego w

karku, ale jego obrażenia i tak są poważne.

Moje serce przyspiesza i brakuje mi tchu, bo

mój mózg pieczołowicie produkuje miliony

możliwych scenariuszy, jakie mogą z tego

wyniknąć.

— *Czy on...?* — to Andy, który podszedł, stanął

między mną i lekarzem i zadał pytanie,

którego

nie

potrafił

dokończyć.

W

pomieszczeniu zapada cisza. Słyszeć tylko

szuranie stóp, gdy z wstrzymanym oddechem

czekamy na odpowiedź.

— Pan Westin, jak się domyślam? — pyta

lekarz i wyciąga dłoń do potakującego

Andy'ego. — Jestem doktor Irons. Nie będę
pana okłamywał... u pana syna w trakcie
transportu dwukrotnie nastąpiło NZK... to
znaczy dwa razy serce przestało bić.

Czuję, jakby część mojej duszy się zapadła.

*Nie opuszczaj mnie. Proszę, nie opuszczaj
mnie.*

Chciałabym,

żeby

moje

milczące

błagania dotarły jakoś do Coltona przez te
szpitalne mury.

Andy ściska dłoń Dorothei.

— Po jakimś czasie udało nam się przywrócić

regularną pracę serca, co jest dobrym

objawem,

bo

obawialiśmy

się,

że

siła

uderzenia mogła rozerwać aortę. Na razie

ustaliliśmy, że ma krwihak podtwardówkowy. —

Lekarz podnosi wzrok, żeby spojrzeć mi w
oczy i dodaje: — To oznacza uszkodzenie
naczyń krwionośnych między mózgiem a
czaszką i to miejsce wypełniło się krwią. Ma to
dwa następstwa: nie dość, że mózg Coltona
jest obrzęknięty po uderzeniu w czaszkę, to
jeszcze zbierająca się krew wywiera na niego
nacisk, gdyż nie ma jak odpłynąć i zmniejszyć
to ciśnienie. — Doktor Irons rozgląda się
wśród zgromadzonych osób. — W tej chwili
stan
pacjenta
jest
dość
stabilny,
więc
przygotujemy go do operacji. Musimy wejść
do środka i zmniejszyć nacisk, aby złagodzić
obrzęk.

Dorothea chwyta Andy'ego i przywiera do
niego,
żeby
się
nie

zachwiać,

a

jej

bezwarunkowa miłość do syna sprawia, że
zalewam się emocjami.

— Ile trwa taka operacja? Czy on odzyskał
świadomość?

Czy

ma

jeszcze

jakieś

obrażenia? — Beckett odzywa się po raz
pierwszy i wypowiada na głos wszystkie
pytania, które chodzą nam po głowach.

Doktor Irons przełyka ślinę, styka palce obu
dłoni, tworząc wieżę, i spogląda Beckettowi w
oczy.

— Jeśli chodzi o inne obrażenia, są one
niewielkie w porównaniu z obrażeniami głowy.

Colton pozostaje w śpiączce i na razie nie
odzyskał
świadomości.

Sporadycznie

przejawia typowe zachowania przy takich

obrażeniach, czyli niespójne mamrotanie,
mocowanie się z nami. Jeśli chodzi o pozostałe
kwestie, będziemy wiedzieć więcej, gdy
rozpoczniemy operację i ocenimy rozmiary
krwawienia w mózgu.

Beckett

wypuszcza

powietrze,

które

wstrzymywał, a jego ramiona opadają z ulgą,

choć nie jestem pewna, czy to czasem nie

była rezygnacja. Żadna przekazana przez

lekarza informacja nie zmniejszyła ciężaru

przygniatającego

moją

duszę.

Quinlan

podchodzi do przodu i chwyta Becketta za

dłoń. Zerka na rodziców, po czym pyta lekarza

o to, czego najbardziej się obawiamy.

— Jeśli operacja nie zatrzyma krwotoku... —

mówi drżącym głosem, a Beckett kładzie na

czubku jej głowy pocrzepiający pocałunek —

co... to oznacza? Chodzi mi o to, że

rozmawiamy o urazie mózgu, więc jakie są
rokowania? — Jej oddech zostaje przzerwany
pojedynczym stłumionym szlochem. — Jakie są
jego szanse?

Lekarz wzdycha głośno i spogląda na Quinlan.

— W tym momencie, przed rozpoczęciem
operacji

i
sprawdzeniem

rozległości

uszkodzeń, nie mogę określić szans. — Zapada

cisza, którą przerywa stłumione westchnienie

Andy'ego. Doktor Irons podchodzi do niego,

kładzie mu dłoń na ramieniu i czeka, aż Andy

podniesie wzrok i spojrzy mu w oczy. —

Robimy absolutnie wszystko, co w naszej

mocy. Mamy duże doświadczenie w tego

rodzaju przypadkach i pański syn w pełni

korzysta z naszych kwalifikacji. Proszę

zrozumieć, że nie określam procentowych

szans nie dlatego, że stan jest tragiczny, lecz dlatego że muszę zdobyć więcej informacji o

tym, z czym się mierzymy. Gdy je zdobędę,

będę w stanie nakreślić plan działania. — Andy

potakuje nieznacznie, pocierając palcami oczy,

a doktor Irons podnosi wzrok i rozgląda się po wszystkich twarzach w pomieszczeniu. —

Colton jest silny i zdrowy, a to zawsze lepiej.

Widzę też, że jest otoczony miłością wielu osób... Wiedźcie państwo, że zabiorę ze sobą tę wiedzę na salę operacyjną. — Uśmiecha się nieznacznie, po czym odwraca się i wychodzi.

Nikt się nie rusza. Wszyscy są w szoku.

Pozwalamy, żeby brutalne słowa lekarza przesączyły się przez naszą podziurawioną determinację. Myśli i emocje stopniowo się uspokajają i ludzie powoli zaczynają się przemieszczać.

Ale ja nie potrafię.

On żyje. Nie jest martwy jak Max. Żyje.

Tępe uczucie ulgi jest zbyt słabe, żeby zrównoważyć silny strach przed nieznanym. I w żadnym stopniu nie uśmierza głęboko zakorzenionego w duszy lęku. Czuję na skórze klejące palce klaustrofobii. Robię długi wydech, żeby nieco zahamować wydzielanie potu, który gromadzi się na górnej wardze i który spływa strużką po kręgosłupie. Mam wrażenie, że tlen wychodzi z moich płuc, nie

docierając do ciała.

Znowu różne obrazy migoczą mi przed
oczami. Max zmienia się w Coltona. Colton w
Maxa. Krew płynąca strużką z jego ucha.
Krew w kącikach jego ust. Krew rozprysnięta
po
całym
wnętrzu
zmasakrowanego
samochodu. Moje imię wymęczone przez jego
usta. Jego błagania, które odciskają się
piętnem w mojej pamięci. Wypalają się jak
tatuaż, który będzie mnie prześladował do
końca życia.

Dreszcz niepokoju przeradza się w ulewę
paniki. Potrzebuję świeżego powietrza. Muszę
wyrwać się z napięcia panującego w tej
pieprzonej poczekalni. Potrzebuję barw i
czegoś żywego i pełnego energii, jak Colton.
Czegoś innego niż monochromatyczny obraz
i przytłaczające wspomnienia.

Zmuszam się do wstania i niemal wybiegam z
poczekalni,
ignorując

wołania

Becketta.

Chwiejnym krokiem zmierzam w stronę
wyjścia, bo tym razem dźwięk rozsuwanych
drzwi
mnie
przyciąga,
oferując
chwilę
wytchnienia od hysterii, która wysysa moją
nadzieję.

„Wywołujesz we mnie uczucia, Rylee...”

Wypadam przez drzwi. Wspomnienie muska
moją
duszę,
lecz
uderza
mnie
jak
nieoczekiwany cios w żołądek. Oddycham
głośno, a ból promieniuje na każdą komórkę
nerwową.
Biorę
poszarpany

wdech.

Potrzebuję czegoś, czegokolwiek, co pomoże mi uzyskać siłę niezbędną do stawienia czoła temu, że Colton może nie przeżyć operacji.

Albo nocy. Albo świtu.

Potrząsam głową, żeby pozbyć się trucizny toczącej moje myśli. Skręcam za róg budynku i wpadam w sam środek istnego armagedonu.

Nagle błyska chyba ze sto fleszy jednocześnie.

Huk zadawanych pytań jest tak potężny, że przytłacza mnie swoim impetem. Natychmiast zostaję otoczona i przyparta do muru, a mikrofony i kamery wycelowane w moją twarz rejestrują,

jak

tracę

kontakt

z

rzeczywistością.

— *Czy to prawda, że Colton ma otrzymać ostatnie namaszczenie?*

Słowa więzną mi w gardle.

— *Co panią łączy z panem Donavanem?*

Wściekłość przybiera na sile, ale jestem

przytłoczona nawałem pytań.

— *Czy to prawda, że Colton leży na łożu*

śmierci z rodzicami przy boku?

Otwieram i zamykam usta, zaciskam pięści,
moje oczy płoną, czuję rozdieranie duszy, a
moja wiara w człowieczeństwo rozpada się w
pył. Wiem, że wyglądam jak jeleń w świetle
reflektorów, ale jestem w potrzasku. Myślałam
wcześniej, że czuję na sobie klejące palce
klaustrofobii, ale teraz media są jak dłoń
zaciśnięta na tchawicy, która kompletnie
pozbawia
mnie
dostępu
do
powietrza.

Oddycham krótko i płytko. Błękitne niebo
wiruje nade mną, a moją świadomość powoli
spowija mrok.

Tuż przed tak pożądaną utratą świadomości
czuję na sobie uścisk silnych rąk, które nie
pozwalają mi osunąć się na ziemię. Całym
ciężarem ciała opadam na Sammy'ego i
przypomina mi się poprzedni raz, gdy padałam

w ramiona mężczyzny. Słodko-gorzkie migawki

zapomnianych

tabliczek

aukcyjnych

i

zatrzęsniętych drzwi schowka. Pełne energii

zielone oczy i arogancki, zadowolony uśmiech.

Szelmowski. Buntowniczy. Bezceremonialny.

Głos Sammy'ego przebija się przez mój

zamglony umysł.

— Odsuńcie się! — krzyczy, obejmując mnie w

pasie i podtrzymując moje bezwładne ciało. —

Udzielimy

wam

informacji,

gdy

jakieś

otrzymamy. — Niebo znowu rozświetlają

błyski fleszy.

Znowu odgłos rozsuwanych drzwi, ale tym

razem się nie kulę. Bestia w środku jest

znacznie łatwiejsza do opanowania niż ta na

zewnątrz. Oddech trochę mi się wyrównuje, a

serce zwalnia. Zostaję posadzona na krześle,

a gdy podnoszę wzrok, trafiam na badawcze spojrzenie Sammy'ego.

— Co ty sobie, do cholery, wyobrażałaś? Oni pożarliby cię żywcem — rzuca ostro. Ten jaskrawy wybuch emocji ze strony stoickiego ochroniarza uzmysławia mi, że wyjście na zewnątrz było poważnym błędem. Wciąż nie potrafię się odnaleźć w publicznym życiu Coltona i nagle czuję się paskudnie, bo uświadamiam sobie, że gdy siedziałam w środku otoczona przez wszystkich, Sammy był na zewnątrz i pilnował, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

— Przepraszam, Sammy — mówię cicho. —
Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem i...
Przepraszam.

W jego oczach pojawia się troska.

— Wszystko w porządku? Jadłaś coś? Prawie tam zemdlałaś. Myślę, że powinnaś coś zjeść...

— Nic mi nie jest. Dziękuję — przerywam mu i powoli wstaję. Chyba jest zaskoczony, bo wyciągam rękę i ściskam jego dłoń. — A jak *ty* sobie radzisz?

Wzrusza nonszalancko ramionami, chociaż

jego gest wcale nie wyraża obojętności.

— Dopóki Colton żyje, nic mi nie jest.

Kiwa do mnie głową i zanim zdążę coś odpowiedzieć, odwraca się, żeby wrócić na swój posterunek przed wejściem do szpitala.

Przez chwilę patrzę za nim, a bezduszne pytania prasy odbijają się echem w mojej duszy. Zbieram odwagę, żeby wrócić do poczekalni.

Zamykam oczy. Zmuszam się do wzbudzenia jakiegokolwiek uczucia mimo trawiącego moją duszę odrętwienia. Próbuję przebić się przez mgłę rozpacz i przypomnieć sobie jego śmiech, smak jego pocałunków, a nawet jego upartą naturę i zaciętą determinację.

Cokolwiek, co pomoże mi odnowić więzy miłości Coltona, które poskładały w całość moje rozbite serce.

„Nie jesteś nieistotna, Rylee. Niemożliwe, żebyś stała się nieistotna”.

Wspomnienie błyska w mojej głowie jak iskra
krzesiwa rozpalającego na nowo malutki
płomyk nadziei. Biorę głęboki wdech i
zmuszam się do ruszenia długim korytarzem,
na którego końcu wszyscy niecierpliwie
czekają.

Gdy
przechodzę
obok
pokoju
pielęgniarek,
słyszę
nazwisko
Coltona
padające w rozmowie dwóch stojących do
mnie tyłem pielęgniarek. Zwalniam, żeby
wychwycić
jakikolwiek
dodatkowe
informacje. Próbuję zignorować przerażającą
myśl, że okłamano nas w kwestii powagi
sytuacji. Wtedy padają słowa, które zapierają
mi dech w piersi.
Sprawiają, że moje serce staje.

A przez całe ciało przechodzi dreszcz.

— Kto jest na sali operacyjnej z Donavanem?

— Doktor Irons jest lekarzem prowadzącym.

— Cóż, jeśli miałabym być operowana w takich okolicznościach, to na pewno chciałabym, żeby robił to *Iron Man*.

Spider-Man.

Wzdycham głośno i pielęgniarki się odwracają.

Wyższa z nich podchodzi i pyta z przechyloną głową:

— W czymś pani pomóc?

Batman.

— Jak pani nazwała doktora Ironsa?

Superman.

Patrzy na mnie i nieznacznie marszczy brwi.

— Chodzi pani o pseudonim doktora Ironsa?

Iron Man.

Nadzieja więźnie mi w gardle i potrafię tylko pokiwać głową.

— Och, tutaj wszyscy na niego mówią *Iron Man*. W czymś pani pomóc?

Spider-Man. *Batman*. *Superman*. *Iron Man*.

Potrząsam głową i robię trzy kroki w stronę poczekalni, lecz zatrzymuję się, opieram się o

ścianę i osuwam na podłogę. Przytłacza mnie

nadzieja

związana

z

pojawieniem

się

wszystkich

ukochanych

superbohaterów

Coltona.

Dziecięca obsesja przekształciła się w iskierkę

nadziei.

Opieram głowę o zgięte kolana i trzymam się

kurczowo myśli, że ten zbieg okoliczności musi

być czymś więcej niż zbiegiem okoliczności.

Kiwam głową na boki i szeptem powtarzam

niczym mantrę wszystkie cztery imiona. Na

pewno po raz pierwszy są wypowiedane z taką

czcią.

— Colton w dzieciństwie powtarzał to przez

sen. — Głos Andy’ego sprawia, że się

wzdrygam. Andy siada przy ścianie obok mnie

z ciężkim westchnieniem. Przesuwam się

trochę, żeby móc na niego spojrzeć. Wygląda

znacznie starszej niż przed rozpoczęciem
dzisiejszego wyścigu. Jego oczy emanują
smutkiem. Próbuje się uśmiechnąć, ale ponosi
sromotną klęskę. Mężczyzna, którego znałam
jako pełnego życia, został pozbawiony całego
swojego entuzjazmu. — Od dawna już tego nie
słyszałam. Właściwie to o tym zapomniałam i
teraz ty mi przypomniałaś. — Chichocze słabo,
poklepując mnie po kolanie, i rozprostowuje
swoje nogi.

— Andy... — szepczę jego imię i obserwuję, jak
boryka się z emocjami. Strasznie chciałabym
mu opowiedzieć o tych wszystkich znakach i
przypadkowym pojawieniu się wszystkich
czterech superbohaterów, ale boję się, że
pomyśli, iż tracę kontakt z rzeczywistością.

Wystarczy, że najprawdopodobniej Beckett tak
o mnie myśli.

O ile mogę się teraz czegokolwiek bać.

— Jestem zaskoczony, że ci o nich opowiedział.

To była jego sekretna mantra, którą recytował
w dzieciństwie, gdy miał koszmar lub był
przerażony. Nigdy nie rozmawiał... nigdy nie
wyjaśnił, dlaczego ci czterej superbohaterowie

tak go uspokajają. — Odwraca się do mnie i jego uśmiech zamiera. — Dottie i ja mogliśmy sobie tylko wyobrażać, przed czym ci bohaterowie mieli go chronić...

Słowa zawisają w ciszy i osiadają na pytaniach, które chcielibyśmy sobie zadać.

Czy wie coś, czego ja nie wiem, i czy ja wiem coś, czego on nie wie? Wyciera oczy wierzchem dłoni i wydaje z siebie poszarpane westchnienie.

— On jest silny, Andy... Na pewno z tego... musi z tego wyjść — mówię w końcu, gdy odzyskuję panowanie nad głosem.

Andy tylko potakuje. Obok nas przechodzi kilku lekarzy i serce staje mi w gardle, bo boję się, że to z powodu Coltona. Andy pociera twarz dłonią, a w jego oczach pojawia się miłość.

— Pierwszy raz, gdy go zobaczyłem, złamał mi serce i skradł je jednym spojrzeniem. — Potakuję, zachęcając go do kontynuowania, bo doskonale wiem, o co mu chodzi. Jego syn zrobił mi dokładnie to samo.

Skradł, złamał, wyleczył i zabrał sobie na

zawsze.

— Byłem u siebie w przyczepie i pracowałem nad przerobieniem pewnej sceny. Miałem za sobą długą noc. Quin była chora i w ogóle nie zmrużyłem oka. — Potrząsa głową i zerka na mnie, po czym wraca spojrzeniem na pasek zegarka, którym się bawi. — Byłem już spóźniony na rozpoczęcie zdjęć. Otworzyłem drzwi i niemal się o niego potknąłem. —

Przerywa

na

chwilę,

żeby

opanować

zbierające się w oczach łzy. — Chyba głośno

przekląłem i zobaczyłem, że ta mała istotka

skuliła się z przerażenia. Wystraszył mnie,

lecz

mogłem

się

tylko

domyślać,

co

spowodowało taką reakcję z jego strony. Nie

chciał na mnie spojrzeć, chociaż starałem się mówić najłagodniejszym głosem, jaki potrafię z siebie wydobyć.

Wyciągam rękę i chwytam jego dłoń, ściskając ją, żeby dać mu do zrozumienia, że wiem o demonach Coltona, chociaż nigdy mi o nich nie powiedział. Nawet jeśli nie znam szczegółów, to widziałam dostatecznie dużo, żeby rozumieć istotę sprawy.

— Usiadłem obok niego na ziemi i czekałem cierpliwie, aż zrozumie, że nie zamierzam go skrzywdzić. Śpiewałem jedyną piosenkę, jaka mi się wtedy przypomniała. — Śmieje się. — *Puff the Magic Dragon*. Za drugim razem podniósł głowę i w końcu na mnie spojrział. *Słodki Jezu*. Zaparło mi dech w piersi. Miał największe zielone oczy, jakie zmieściłyby się na jego bladej twarzyczce, i patrzył na mnie z takim strachem... z tak złymi przeczuciami... że musiałem wykrzesać całą swoją siłę woli,

żeby się na niego nie rzucić, bo tak chciałem go przytulić.

— Niewyobrażalne — mruczę i próbuję

wycofać dłoń, ale Andy ją ściska, więc ją

zostawiam.

— Początkowo nic do mnie nie mówił.

Próbowałem na wszelkie możliwe sposoby

dowiedzieć się od niego, jak ma na imię i co tutaj robi, ale mi się nie udało. Wszystko

straciło znaczenie. Spóźnienie na zdjęcia,

stracone

pieniądze,

wszystko.

Byłem

zahipnotyzowany

przez

tego

wrażliwego

chłopca, którego oczy zdradzały, że widział i

przeżył w życiu zdecydowanie zbyt wiele jak

na swój wiek. Quinlan miała wtedy sześć lat.

Colton był od niej mniejszy, więc uznałem, że

musi mieć około pięciu lat. Byłem zszokowany,

gdy się dowiedziałem później od policji, że jest

ośmiolatkiem.

Słucham tej opowieści o pierwszych chwilach

w życiu Coltona, w których doświadczył

bezwarunkowej

miłości.

Wtedy

po

raz

pierwszy zamiast strachu pojawiła się jakaś

nadzieja. Zmuszam się do przełknięcia śliny.

— W końcu spytałem go, czy jest głodny. Jego

oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Nie miałem

w przyczepie zbyt wielu produktów, które

smakowałyby

dziecku,

ale

znalazłem

snickersa. Przyznaję — mówi ze śmiechem —

że strasznie chciałem, żeby mnie polubił... i

pomyślałem, że przecież chyba każde dziecko

da się przekupić słodyczami, prawda?

Uśmiecham się do Andy'ego i przypominam

sobie, że Colton zjada snickersa przed każdym

wyścigiem. I że dzisiaj też go jadł. Czuję

ściskanie w piersi na tę myśl. Czy to naprawdę

było kilka godzin temu? Wydaje się, jakby

minęło parę dni.

— Wiesz, rozmawialiśmy z Dottie o tym, czy

chcielibyśmy

mieć

więcej

dzieci...

ale

uznaliśmy, że Quinlan nam wystarczy. Choć

właściwie powinienem powiedzieć, że ona

chciała więcej, a mi wystarczyło jedno. Kurde,

byliśmy

bardzo

zapracowani,

sporo

podróżowaliśmy i los się do nas uśmiechnął,

dając nam zdrową dziewczynkę. Czegóż

więcej chcieć? Moja kariera była w rozkwicie,

a Dottie dostawała role, gdy tylko chciała. Ale

po kilku godzinach z Coltonem nie miałem

nawet chwili zawahania. Jak mógłbym odejść

od tych oczu i tego uśmiechu, który musiał być

ukryty gdzieś pod tą maską strachu i wstydu?

— Po policzku Andy'ego spływa pojedyncza łza,

a troska o syna, zarówno ta z przeszłości, jak i

aktualna, przetacza się przez niego falami.

Podnosi na mnie oczy wypełnione po brzegi
emocjami.

—
Colton

jest
najsilniejszym
człowiekiem, jakiego znam, Rylee — mówi i
tłumi szloch. — Chcę, żeby taki był właśnie
teraz... Nie mogę go stracić.

Jego słowa wdzierają się głęboko do mojej
duszy, bo doskonale rozumiem cierpienie
rodzica, który boi się stracić dziecko. Głęboko
zakorzeniony strach, do którego nie chcesz się
przyznać, lecz który ściska ci serce. Czuję falę
współczucia dla tego mężczyzny, który dał
Coltonowi wszystko, ale wewnętrzne otępienie
nie pozwala mi płakać.

— Nikt z nas nie może, Andy. Colton jest dla nas najważniejszy — szepczę złamanym
głosem.

Andy przechyla głowę i obserwuje mnie przez
chwilę.

— Bałem się za każdym razem, gdy wsiadał do
tego samochodu. *Za każdym pieprzonym*

razem... Ale to było jedyne miejsce, w którym
zdawał
się
być
wolny
od
bagażu
z

przeszłości... Jedyne miejsce, w którym mógł
zostawić za sobą prześladowające go demony. —
Ściska moją dłoń tak długo, aż podnoszę wzrok
i spoglądam mu w oczy. — To znaczy, do
niedawna jedyne miejsce. Do momentu, gdy
usłyszałem,
jak
mówi...
o
tobie.
Gdy
zobaczyłem, jak się o ciebie troszczy i jak cię
traktuje.

Przestaję oddychać i po raz pierwszy zbierają
mi się łzy, ale wciąż nie chcę popłynąć. Po tym,
jak matka Maxa przez tak długi czas mnie

nienawidziła, aprobata ze strony ojca Coltona

jest dla mnie bezcenna. Oddycham płytko,
próbując opanować tornado targających mną
emocji.

— *Kocham go* — tylko tyle jestem w stanie wykrztusić. Tylko o tym jestem w stanie
myśleć. Kocham go, chociaż nie potrafię mu
pokazać, że wolno mu czuć to samo do mnie. A
w świetle aktualnych okoliczności być może
już nigdy nie będę miała na to szansy.

Głos Andy'ego wyrywa mnie ze szponów
kiełkującej paniki.

— Colton powiedział, że zachęcałaś go, żeby
dowiedział się czegoś o swojej rodzonej
matce.

Patrzę w dół i bezmyślnie rysuję palcem okręgi
na kolanie. Wiem, że ta rozmowa może
potoczyć się dwojako: albo Andy będzie
wdzięczny, że próbowałam pomóc jego synowi,
albo będzie zły i uzna, że chcę go poróżnić z synem.

— Dziękuję ci za to — wzdycha cicho. —

Wydaje mi się, że zawsze mu czegoś
brakowało. Może poznanie losów matki w
jakimś stopniu wypełni tę lukę. Sam fakt, że o
niej mówi i o nią pyta, to poważny krok... —

Andy obejmuje mnie i przyciąga do siebie, a ja
kładę głowę na jego ramieniu. — Dlatego
dziękuję ci, że pomagasz mi na wielu
płaszczyznach.

Potakuję, a jego wyznanie sprawia, że zostaję
bez słowa. Siedzimy tak razem przez chwilę,
wzajemnie się pokrzepiając, chociaż w środku
czujemy ogromną pustkę.

Rozdział 3.

Ten dzień jest po prostu idealny. Niebieskie
niebo, słońce grzejące w policzki i kompletna
pustka w głowie. Fale rozbijają się o
piaszczysty brzeg w nieubłaganym, kojącym
następstwie. Jedna za drugą. To tutaj mieliśmy
pierwszą randkę. Często tu przychodzę, bo
czuję tu jego bliskość. Wspomnienie, coś,
czego mogę się uchwycić, skoro nie mogę się
już do niego przytulić.

Siedzę, obejmując kolana, i chłonę to
wszystko. Pogodziłam się z tym, że w sercu już
zawsze będę miała smutek i żal, że nie ma
przy mnie Coltona. Jednocześnie jednak wiem,
że od czasu, gdy odszedł, nie czułam jeszcze
takiego spokoju. Być może to przełom w mojej

żałobie — tak przynajmniej twierdzi terapeuta
— bo już od kilku dni nie doświadczyłam ataku
połączonej ze stłumionymi krzykami ślepej
paniki, która trawiła moje myśli i sprawiała, że
traciłam kontakt z rzeczywistością. Może w
końcu po całym tym czasie jestem gotowa
ruszyć do przodu. Nie „pójść dalej”, tylko
„ruszyć do przodu”.

Mój wzrok przykuwa pojedynczy samochód na
parkingu. Nie wiem, dlaczego. Może chodzi o
to, że stoi w pobliżu miejsca, w którym Colton
zaparkował swojego astona martina na
naszym pierwszym spontanicznym wypadzie —
najdroższej na świecie randce na plaży. Patrzę
w tamtą stronę z nadzieją, chociaż wiem, że to
niemożliwe. Niemożliwe, żeby to on przyjechał
dołączyć do mnie.

Widzę jakąś postać podchodzącą do auta od
strony drzwi pasażera, która pochyla się, żeby
porozmawiać z kierowcą przez otwarte okno.
Coś w tej postaci każe mi podnieść się z
piasku. Zasłaniam oczy przed blaskiem słońca
i wnikliwie oglądam jej profil, bo nagle czuję, że coś jest nie tak.

Bez

zastanowienia

ruszam

w

stronę

samochodu, a mój niepokój rośnie z każdym

krokiem. Nieznajomy wyprostowuje się i na

sekundę odwraca twarz w moją stronę. Słońce

oświetla jego ciemne rysy, a ja staję jak wryta i

nie umiem złapać oddechu.

Mój mroczny anioł stojący w blasku.

— Colton? — wykrztuszam z siebie szeptem,

bo mój mózg ma trudności z przyswojeniem

tego, co nie powinno być teoretycznie

możliwe. Że on jest tutaj, chociaż widziałam,

jak kładli jego bezwładne ciało na nosze, i

całowałam po raz ostatni jego zimne usta

przed złożeniem trumny do ziemi. Serce

łomocze mi w piersi, przyspieszając z każdą

sekundą wraz z rosnącą nadzieją, która

przeplata się z kielkującą paniką.

Mimo że mówiłam szeptem, on odwraca się na

dźwięk swojego imienia i patrzy na mnie

wzrokiem przepelnionym cichym smutkiem.

Zaczyna podnosić rękę, ale przerywa ten gest,

bo rozpraszają go otwierające się drzwi
samochodu. Zagląda do środka, a potem
wraca
spojrzeniem
do
mnie.

Na
jego
wspaniałej twarzy maluje się rezygnacja.
Opornie podnosi rękę i macha w moją stronę.
Podnoszę palce do ust, gdy toczący go żal w
końcu dociera do mnie i całkowicie pozbawia
mnie tchu. Natychmiast czuję jego absolutną
rozpaczą. Przenika przez moją duszę niczym
piorun rozdzierający niebo.

I w tym momencie rozumiem.

— Colton! — wołam go ponownie. Tym razem
mój zdesperowany krzyk przebija się przez
spokojną atmosferę plaży i sprawia, że mewy
podrywają się do lotu. Ale Colton, nie
ogładając się, wsiada do środka na miejsce
pasażera i zamyka drzwi.

Samochód powoli rusza w stronę wyjazdu z
parkingu, a ja rzucam się za nim w pogoń.

Bolą mnie nogi i płuca, ale jestem zbyt wolna.

Nie dogonię go na czas, bo zdaję się stać w
miejscu niezależnie od tego, ile przebiegnę.

Samochód skręca w prawo na opustoszałą
drogę i wiem, że będzie mnie mijał w drodze
na południe. Metaliczny niebieski lakier
błyszczący w promieniach słońca, a to, co widzę
przez

szybę,
sprawia,

że
staję

jak

wmurowana.

Minęła chyba cała wieczność od czasu, gdy
ostatnio

go
takim

widziałam.

Typowy

Amerykanin, niebieskie oczy i swobodny
uśmiech, który tak uwielbiałam. Ale jego oczy
nawet na moment nie odrywają się od drogi.

Max nigdy się za mną nie oglądał.

Z kolei Colton patrzy prosto na mnie. Na jego twarzy odciska się mieszanina strachu, paniki i zrezygnowania. Po jego policzkach spływają łzy. Patrzy na mnie przeprasząco i wali pięściami w szyby, szepcząc słowa, których nie jestem w stanie usłyszeć. Cały ten widok rozdziera mi serce i rani duszę.

— Nie! — wrzeszczę, a każda komórka mojego jestestwa skupia się na szukaniu sposobu, żeby mu pomóc i go ocalić.

Wtedy dostrzegam ruch na tylnym siedzeniu i z przejścia padam na kolana. Wbijający się w nie żwir jest niczym w porównaniu z cierpieniem wypalającym dziurę w najgłębszej części mojej istoty. I chociaż ból przekracza wszelkie wyobrażenie, jakaś część mnie

patrzy

z

podziwem

i

zatraca

się

w

bezwarunkowej miłości, w którą się nie

wierzy, dopóki samemu się jej nie doświadczy.

Jej anielska buzia jest obramowana loczkami,

które podskakują wraz z ruchami samochodu.

Uśmiecha się łagodnie do Maxa, kompletnie
nieświadoma gwałtownych protestów Coltona

na siedzeniu przed nią. Odwraca się na
foteliku i spogląda na mnie. Patrzy na mnie
lustrzane odbicie moich fioletowych oczu.

Dziecięca ciekawość bierze nad nią górę i
uśmiecha się nieznacznie, odprowadzając mnie
spojrzeniem.

Małe

paluszki

unoszą

się

powyżej dolnej krawędzi okna i machają do

mnie.

Zapominam

o

konieczności

oddychania.

Zmuszam się do jakiegokolwiek myśli, bo

właśnie zostałam rozbita na najdrobniejsze

kawałeczki i poskładana z powrotem w całość.

A mimo to jej widok całkowicie mnie obnażył,
pozbawiając mnie przyszłych wspomnień,
które nigdy nie nastąpią.

Których nigdy nie odzyskam.

I które nigdy nie były moje.

Siedząc na ziemi, próbuję znaleźć coś, czego
mogłabym się chwycić, zanim pochłonie mnie
mrok rozpacz, i krzyczę z całych sił imię
jedynej osoby, którą można jeszcze ocalić.

— Colton! Stać! Colton! Walcz, do cholery! —

Dostaję chrypki przy ostatnich słowach i
zaczynam łkać pod wpływem przytłaczającej
rozpaczy. Kryję głowę w dłoniach i po raz
drugi w życiu pozwalam, żeby wchłonął mnie
druzgocący mrok. — Nie! — krzyczę.

Jakieś niewidoczne dłonie potrzęsają mną i
próbują mnie z nim rozdzielić, ale walczę z
nimi z całych sił, żeby móc ocalić Coltona.

Ocalić mężczyznę, którego kocham.

— Rylee! — jakiś głos skłania mnie, żebym
odwróciła się od Coltona. Za żadne skarby nie
odejdę po raz drugi.

Nigdy.

— Rylee! — głos staje się bardziej natarczywy,

a niewidoczne dłonie znowu mną potrząsają.

Próbuję młócić rękami, ale ktoś trzyma je w stalowym uścisku.

Nagle się budzę i widzę wpatrzone we mnie jasnoniebieskie oczy Becketta.

— To tylko sen, Rylee. Tylko sen.

Moje serce bije w szaleńczym tempie.

Połykam łapczywie powietrze, ale moje ciało zdaje się go nie przyjmować. Nie nadążam z kolejnymi oddechami. Pocieram twarz drżącą dłonią, żeby się pozbierać. To było tak realne.

Niemożliwe, lecz tak realne... chyba że...

chyba że Colton...

— Becks — wypowiadam jego imię prawie bezgłośnym szeptem. Resztki snu wirują mi w głowie i zaczynam rozumieć, dlaczego Colton był z Maxem i moją córką.

— O co chodzi, Ry? Jesteś blada jak trup.

Słowa więzną mi w gardle. Nie mogę mu wyjawić, co mam w głowie. Jąkam się, próbując znaleźć jakieś słowa, lecz przerywa nam kobiecy głos.

— Czy jest tu rodzina Coltona Donavana?

Wszyscy w poczekalni wstają i gromadzą się

przy wejściu, przy którym stoi niska kobieta w
odzieży
medycznej
i
odwiązuje
maskę

chirurgiczną. Ja także wstaję. Strach każe mi
podejść do samego przodu, w czym pomaga mi
Becks. Gdy stajemy obok rodziców Coltona,
chwytą mnie za rękę. To jedyny sygnał, że jest
równie przerażony jak ja.

Kobieta rozgląda się wśród nas i potrząsa
głową z wymuszonym uśmiechem.

— Nie, chcę rozmawiać z jego najbliższą
rodziną — oznajmia. Słyszę zmęczenie w jej
głosie, na co mój umysł zaczyna produkować
jeszcze więcej myśli.

Andy wychodzi przed wszystkich i chrząka.

— Tak, jesteśmy tu wszyscy.

— Widzę, ale chciałabym udzielić informacji
tylko najbliższej rodzinie i na osobności,
zgodnie z polityką szpitala. — Ton jej głosu jest
surowy, lecz kojący. Mam ochotę potrząsać nią
tak długo, aż powie: „Pieprzyć przepisy” i

powie mi wszystko, co wie.

Andy odwraca się i rozgląda wśród nas, po czym wraca wzrokiem do niej.

— Moja żona, córka i ja jesteśmy najbliższą rodziną, ale pozostałe osoby... dzięki nim on jeszcze żyje... więc w moich oczach także są rodziną i zasługują na otrzymanie informacji w tym samym czasie co my. Do diabła z polityką szpitala.

Przez jej twarz przemyka lekki szok, a ja w tej chwili

rozumiem,

dlaczego

przed

laty

policjanci w szpitalu nie zadawali Andy'emu

żadnych pytań, gdy oznajmiał, że Colton

będzie spał w jego domu.

Potakuje mu ze ściągniętymi ustami.

— Jestem doktor Biggeti i byłam w zespole

operacyjnym doktora Ironsa podczas operacji

pańskiego syna. — Kątem oka widzę, że

mężczyźni potakują, a kobiety nachylają się,

żeby wszystko dobrze słyszeć. Dorothea

podchodzi do męża z jednej strony, a Quinlan

staje z drugiej i chwyta go za rękę, tak jak Becks za moją. — Colton przetrwał operację i został przeniesiony na OIOM.

Wszyscy jednocześnie wzdychają. Moje serce łomocze w przyspieszonym tempie i kręci mi się w głowie od tych wieści. A więc Colton żyje. Wciąż walczy. Jestem przerażona i on też, ale nadal walczymy.

Doktor Biggeti wyciąga dłoń, żeby uciszyć szepty.

— Na razie wciąż jest sporo niewiadomych.

Krwiak i obrzęk były dość rozległe i musieliśmy usunąć niewielką część czaszki Coltona, żeby zmniejszyć ucisk na mózg. W tej chwili obrzęk wydaje się być pod kontrolą, ale muszę podkreślić słowa *w tej chwili*. W takich przypadkach wszystko może się zdarzyć.

Najbliższe dwadzieścia cztery godziny są kluczowe i powiedzą nam, w którą stronę podąży organizm Coltona. — Czuję, że Beckett się chwieje, więc puszczam jego dłoń i obejmuję go w pasie. Pociesza mnie to, że jesteśmy tu razem i czujemy to samo. Tym razem nie patrzę sama na to, jak ukochany mężczyzna walczy o życie. — I chociaż mam

nadzieję, że wszystko skończy się dobrze,
muszę państwa uprzedzić, że mogły wystąpić
uszkodzenia
obwodowe,
które
poznamy
dopiero wtedy, gdy Colton się wybudzi.

— Dziękujemy wam — to Dorothea, która
podchodzi do zaskoczonych doktor Biggetti i
obdarza ją krótkim uściskiem, po czym wraca,
ocierając łzy. — Kiedy będziemy mogli go
zobaczyć?

Lekarka kiwa głową ze współczuciem.

— Tak jak powiedziałam, na razie trwają
przenosiny na OIOM i badanie jego funkcji
życiowych. Za jakiś czas będziecie państwo
mogli się z nim zobaczyć. — Lekarka zerka na
Andy'ego i dodaje: — W tym przypadku muszę
przestrzegać polityki szpitala i do odwiedzin
zostanie dopuszczona tylko najbliższa rodzina.
Andy potakuje.

— Państwa syn jest bardzo silny i ma za sobą
poważną walkę o życie. Widać w nim silną
wolę życia... która jest bardzo pomocna.

— Serdecznie pani dziękujemy. — Andy
wzdycha, po czym mocno obejmuje Dorotheę i
Quinlan. Zaciska pięści na ich plecach,
zdradzając kotłującą się w nim mieszanię
niepokoju i ulgi.

Lekarka odchodzi i wtedy jej słowa do mnie
docierają. Zamykam oczy, żeby skupić się na
pozytywach. Colton walczy z całych sił, żeby
do nas wrócić. Żeby wrócić do mnie.

Kazano nam wszystkim — zarówno rodzinie,
jak i znajomym — przejść do innego
pomieszczenia, bo zajmowaliśmy całą
poczekalnię. Teraz jesteśmy na innym piętrze,
bliżej oddziału intensywnej opieki i bliżej
Coltona. Ściany w tym pomieszczeniu są
pomalowane na kojący, jasnoniebieski kolor,
ale ja wcale nie jestem spokojna. Sama myśl,
że Colton jest w pobliżu, przyspiesza mój
oddech. Niestety, nie jestem najbliższą
rodziną, więc nie będę go mogła zobaczyć.
Ta myśl sprawia, że mam problemy z
oddychaniem.
Każde moje uczucie jest nagie i obnażone.

Czuję się, jakby obdarto mnie do żywej skóry i polewano wodą.

W głowie mam tylko to, że muszę go zobaczyć, żeby nie zwariować.

Stoję twarzą do okien wychodzących na dziedziniec przed szpitalem. Parking jest wypełniony ciężarówkami telewizji i zespołami dziennikarskimi, które próbują zdobyć jakieś informacje, których nie ma konkurencyjna stacja. Obserwuję ich bezmyślnie i cała ta masa zaczyna mi się zlewać. *„Byłaś dla mnie wyraźną jednokolorową iskrą w świecie rozmytych barwnych plam...”*.

Jestem tak zatopiona w myślach, że wzdrygam się, gdy czuję czyjaś dłoń na ramieniu.

Odwracam głowę i trafiam na zrozpaczone spojrzenie matki Coltona. Wpatrujemy się w siebie przez kilka chwil i bardzo wiele sobie przekazujemy, chociaż nie wymieniamy ani słowa.

Dorothea wróciła z odwiedzin u Coltona.

Chciałabym się dowiedzieć, jak Colton się czuje, jak wygląda i czy jest z nim tak źle, jak w prześladowających

mnie

wyobrażeniach.

Otwieram usta, lecz nic nie mówię, bo nie potrafię znaleźć właściwych słów.

Jej oczy są wilgotne, a dolna warga drży od stłumionych łez.

— Ja po prostu... — zaczyna, lecz od razu przerywa. Podnosi dłoń do ust i potrząsa głową. Po kilku chwilach zaczyna od nowa. — Nie mogłam wytrzymać oglądania go w takim stanie.

Próbuję przełknąć ślinę, ale mam wrażenie, że moje gardło się zaciska. Podnoszę rękę do swojego ramienia i kładę na jej dłoni. To jedyne pocieszenie, jakie mogę jej zaoferować.

— Na pewno wszystko będzie dobrze... — mówię te same słowa, które powtarzałam już dzisiaj wielokrotnie. Które nic nie zmieniają, ale i tak je wypowiadam.

— Na pewno — potwierdza z determinacją i krąży wzrokiem po parkingu. — Mam niedosyt, jeśli chodzi o kontakt z nim.

Straciłam pierwsze osiem lat jego życia, więc powinnam dostać dodatkowe lata za to, że nie

miałam możliwości uratować go wcześniej.

Bóg nie może być tak okrutny, żeby pozbawić go tego, na co zasługuje. — Ogląda się na mnie przy ostatnich słowach, a ja czuję milczącą siłę matki walczącej o swojego syna. — Nie pozwolę na to — z tymi słowami wraca władcza kobieta, która na chwilę straciła swoje opanowanie.

— Mamo... — mówi szlochając Quinlan, która właśnie weszła do poczekalni. Obie się do niej odwracamy. Idzie do nas obserwowana przez wszystkich czekających. Widzę, jak Dorothea zmienia się na twarzy z nieustępliwej obrończyni na matkę pocieszycielkę. Przytula Quinlan i całuje ją w czubek głowy, po czym zaciska mocno powieki i szepcze pokrzepiające słowa, chociaż ma świadomość, że mogą się okazać kłamstwami.

Czuję się jak podglądacz. Chciałabym teraz przytulić się do własnej matki. Dorothea

spogląda na mnie znad głowy Quinlan, a jej

słowa zapierają mi dech w piersi:

— Teraz twoja kolej.

— Ale ja nie jestem... — Sama nie wiem,

dlaczego jestem tak zszokowana tą okazją.

Moja wewnętrzna służbistka wzdryga się na

perspektywę złamania reguł, ale moja ciężko

doświadczona dusza wyostrza słuch.

— Tak, jesteś — stwierdza z nieznacznym

uśmiechem i szczerością w oczach. — Dzięki

tobie poczuł się spełniony, a to jedyna rzecz, której nie potrafiłam mu dać jako matka.

Dobija mnie to, lecz jednocześnie skoro

znalazł to w tobie... — Nie potrafi dokończyć

zdania, a w jej oczach wzbierają łzy, więc po prostu ściska moją dłoń. — Idź.

Ja także ściskam jej dłoń i potakuję, po czym odwracam się i ruszam na spotkanie z

mężczyzną, bez którego nie mogę żyć. Strach i

nadzieja

eksplodują

we

mnie

niczym

fajerwerki na atramentowo czarnym niebie.

Rozdział 4.

Stoję przed pokojem Coltona na oddziale

intensywnej opieki medycznej i przygotowuję się do wejścia. Trzęsą mi się dłonie z powodu wielkiej kuli niepokoju, która wyparła strach ścierający się z nadzieją.

Dopiero po chwili jestem w stanie podnieść wzrok i spojrzeć na nieruchome ciało mojego ukochanego mężczyzny.

Na obrazach podsuwanych przez wyobraźnię wyglądał znacznie gorzej — więcej krwi i sińców, totalna rzeź — ale nawet to nie przygotowało mnie na jego widok. Nie jest pokiereszowany i nie krwawi, ale leży kompletnie bez ruchu i bez życia. Głowę ma zawiniętą białą gazą. Powieki na wpół przymknięte, a białka oczu pokazują strzępy czegoś, co dzieje się w jego obrzękniętym mózgu. Z każdego miejsca na ciele wychodzą jakieś sondy, a otaczające go monitory bez przerwy pikają. Ale to nie ten cały ten sprzęt medyczny mnie tak rozbija, tylko to, że mój ukochany mężczyzna stracił swoją żywiołość i ogień.

Podchodzę do łóżka, skanując wzrokiem każdy
szczegół jego ciała, jakbym nigdy wcześniej go
nie widziała i nie czuła. Jakbym nigdy nie
doświadczyła łomotania jego serca na swojej
piersi. Wyciągam rękę, bo desperacko pragnę
go dotknąć, ale jego dłoń jest zimna i bez
życia. Zniknęły nawet uwielbiane przeze mnie
zrogowacenia, które tak rozkosznie drapały
mnie po nagiej skórze.

Pojawiają się łzy. Płyną niekończącym się
strumieniem, gdy na ślepo siadam na krześle
obok łóżka. Trzymam go za rękę obiema
dłońmi i przyciskam do niej usta, a moje łzy
kapią na jego skórę. Płaczę jeszcze bardziej,
kiedy uświadamiam sobie, że tak dobrze mi
znany

zapach,

który

podsycał

moje

uzależnienie, zastąpiła sterylna woń szpitala.

Nie sądziłam, że tak bardzo będę tęskniła za

tą drobną, naturalną cechą ukochanego

mężczyzny, gdy wszystko inne tak drastycznie

się zmieni.

Szeptę coś bez ładu i składu w nasze
splecione dłonie.

— Proszę, obudź się, Colton. — Szlocham. —

Nie możesz mnie teraz zostawić. Straciliśmy
niepotrzebnie tyle czasu i mamy jeszcze tak
wiele do zrobienia. Muszę ci kiedyś zrobić
paskudny obiad, a ty musisz nauczyć mnie
surfować. Musimy pójść na mecz chłopców, a
ja muszę kiedyś stać na głównej trybunie, gdy
będziesz wygrywał wyścig. — Serce podchodzi
mi do gardła na samą myśl o tym, że miałby
znowu wsiąść do samochodu wyścigowego, ale
do głowy przychodzą mi kolejne rzeczy,
których
powinniśmy
jeszcze
razem
doświadczyć. — Musimy kiedyś zjeść lody na
śniadanie i naleśniki na kolację. I kochać się w
leniwe niedzielne popołudnie. Musimy przeżyć
też to, że jak wrócisz do domu, to pchnę cię na
drzwi z ogromnej tęsknoty i nienasycenia. Bo
jeszcze się tobą nie nasyciłam... — milknę,

zamykam oczy i opieram czoło o nasze dłonie,
powtarzając szeptem jego imię.

— Wiesz, nigdy jeszcze nie byłem na niego tak
wściekły, jak wczoraj w nocy — głos Becketta
wyrywa mnie z chaotycznego transu.

Podnoszę na niego zamglone łzami oczy.

Opiera się o futrynę ze skrzyżowanymi rękami
i wpatruje w swojego najlepszego przyjaciela.

Wiem, że nie oczekuje ode mnie odpowiedzi, a
ja jestem na granicy płaczu, więc udaje mi się
tylko wymamrotać coś bez sensu, po czym
odwracam się do Coltona.

— Byłem na niego wkurzony setki razy, ale
wczoraj naprawdę przegiął. — Becks bierze
długi, sfrustrowany wdech. Potem słyszę jego
kroki. Siada na krześle naprzeciw mnie i
opornie chwytą drugą dłoń Coltona. Patrzy
przez chwilę na nieruchomą twarz przyjaciela,
a potem odwraca wzrok i spogląda na mnie. —
Uzmysłowiłem sobie, że zamierza pozwolić ci
odejść bez powiedzenia prawdy i bez walki...
— potrząsa głową z niedowierzaniem, a w jego
oczach pojawiają się łzy — i chyba jeszcze
nigdy nie byłem tak zdenerwowany i nigdy nie

miałem takiej ochoty mu przywalić, jak wtedy,
gdy kazał mi wyjść z twojego pokoju.

— W sumie oboje zachowywaliśmy się jak
uparte osły — przyznaję. Żałuję, że nie
możemy wrócić do pokoju hotelowego i
powtórzyć tamtego wieczoru. Przerwalibyśmy
tę walkę szybciej, a ja obejmowałabym go
nieco mocniej i dłużej. Żałuję, że nie mogę
cofnąć czasu chociaż na tyle, żeby ostrzec
Coltona przed tym, co się stanie na torze. Ale
to i tak nie miałoby znaczenia. Mój brawurowy
buntownik uważa się za niezwycięzonego i nie
powstrzymałoby go to przed wskoczeniem do
samochodu.

Spoglądam znowu na jego twarz, która wcale
nie wygląda teraz na niezwyciężoną. Czuję w
gardle zbliżający się szloch i próbuję go
powstrzymać, ale mi się nie udaje.

— Był przekonany, że nie zasługuje na
szczęście, które go spotyka. Nigdy nie zdradził
mi żadnych szczegółów, ale wiem, że uważał,
iż zasługuje co najwyżej na to, skąd pochodzi,
cokolwiek to nie było. Myślał, że nie jest
ciebie wart i...

— Jest dla mnie wszystkim — szepczę, a
szczerłość moich słów rezonuje w mojej duszy.

Mimo smutku w oczach na ustach Becketta
pojawia się cień uśmiechu.

— Wiem, Rylee — stwierdza. — Jesteś jego
kołem ratunkowym.

Odrywam wzrok od Coltona i spoglądam na
Becketta.

— Nie sądzę, żeby go teraz potrzebował.

Odeszłam od niego wczoraj po twoim wyjściu

— wyznaję i z poczuciem winy opuszczam
wzrok na nasze splecione dłonie. — Po tym, co
mi powiedział, wydawało mi się, że *nie mogę z*

nim być na takich warunkach. Myślałam, że mogę być w pobliżu i pomóc mu wyleczyć
stare rany, ale nie mogłam znieść tego, że
jestem oszukiwana, więc odeszłam.

— Dobrze zrobiłaś. Potrzebował poczuć na
własnej skórze, jak to jest. Zachowywał się jak
duppek i wykorzystywał swój lęk, żeby
napędzać własną niepewność... Ale poszedł za
tobą, Ry. Już samo to oznacza, że ma
świadomość, jak bardzo cię potrzebuje.

— No wiem — przyznaję szeptem, który
zostaje wchłonięty przez nieustanne pikanie

urządzeń. — Chętnie odeszłabym od niego

znowu, i to bez oglądania się za siebie, jeśli dzięki temu nie byłibyśmy teraz w tej sytuacji.

Mówię to bez przekonania, bo głęboko w

środku wiem, że niezależnie od tego, jaki jest Colton, nigdy nie byłabym w stanie od niego odejść.

Siedzimy w milczeniu, pochłonięci własnymi myślami. Nagle Beckett wstaje, a gwałtownie odsunięte krzesło przerywa aseptyczną ciszę.

— To jakieś gówno. Nie potrafię tu siedzieć i patrzeć na niego, gdy jest w takim stanie. — Jego głos emanuje emocjami.

— Wyjdzie z tego, Becks. Musi — mój głos załamuje się na ostatnich słowach, zdradzając brak pewności.

Beckett zatrzymuje się w drodze do wyjścia, pociąga nosem i odwraca się w moją stronę.

— Ten bałwan jest uparty we wszystkim, co robi, więc lepiej, żeby mnie teraz nie zawiodł.

— Skupia się na Coltonie i staje z boku łóżka.

Z każdą sekundą żal przeradza się w coraz dzikszą wściekłość. — Zawsze wszystko musi się

kręcić

wokół

ciebie,

co,

Wood?

Egoistyczny dupek. Gdy się obudzisz, a wiem, że się obudzisz, bo nie pozwolę ci tak odejść, to skopię ci dupę za to, że musieliśmy się o ciebie martwić.

Wyciąga dłoń i wbrew swoim zrzędlivym słowom kładzie ją na ramieniu Coltona. Po chwili odwraca się i wychodzi.

Zostaję sama z mężczyzną, którego kocham.

Przygniata mnie ciężar nieznanego, ale na obrzeżach bólu w końcu zaczyna pojawiać się nadzieja.

Rozdział 5.

Colton

Czuję w piersi wyjący silnik, który mówi mi, że żyję. Wyczuwam samochód, zanim zobaczę, jak wystrzela zza zakrętu. Skupiam się na dłoniach. Drżą. Trzęsą się jak cholera. Nie potrafię utrzymać kierownicy. Wszystko mi się wymyka. Kierownica drży pod moimi palcami, które nie są w stanie zapanować nad pierdolonym chaosem dookoła mnie.

Przepadła pewność, którą miałem w jedynym miejscu dającym mi odkupienie. Rozpłynęła się w pierdolonym dymie.

Co tu się, do cholery, dzieje?

Odgłos poddającego się i rozdzieranego
metalum pomieszany z piskiem opon odbija się
echem wokół mnie. Uderza mnie samochód
Jamesona. Czuję szarpnięcie, z głowy zostają
wytrząśnięte wszystkie myśli, a wspomnienia
rozbijają się i zderzają jak nasze samochody.
Najpierw z zaskoczenia uderza mnie myśl o
Rylee.

Pierdolony promień światła w spowijających
mnie ciemnościach. Słońce przebijające się
przez dym i chaos kolizji. Jedyne wyjątek od
moich reguł. Dlaczego słyszę jej łkanie w
słuchawkach i widzę ją w oddali zgiętą w pół
wskutek szoku? Coś jest nie w porządku.

Kurewsko nie w porządku.

Ale co? Jak?

Mimo tego całego dymu widzę wyraźnie jej
twarz. Fioletowe oczy obdarzające mnie
czymś, na co nie zasługuję — pieprzonym
zaufaniem. Błagające mnie, żebym ją wpuścił i
pozwolił jej wyleczyć to, co zostało zniszczone
w przeszłości. Przeszłości, od której nie
ucieknę, nawet gdybym pojechał prosto na
pierdoloną ścianę.

Widzę, jak mój samochód unosi się w dymie,
ponad
cholerne
strzępy
porozrywanego
zaufania i bezużytecznej nadziei. Tracę
oddech i czuję, jakby za chwilę miało mi
rozerwać pierś. Jakby miała eksplodować
niczym granat odłamkowy ze wspomnieniami,
które rozprysną się w takie zakamarki umysłu,
że nie będę w stanie ich zlokalizować.

Obserwuję to z zewnątrz, ale wszystko czuję
— siłę obrotów, napięcie mięśni, potrzebę
mocnego
trzymania
kierownicy.

Moja
przyszłość i przeszłość wirują wokół mnie jak
pieprzone tornado. Tracę kontrolę nad
wszystkim. Borykam się ze strachem i z
bólą, który na pewno za chwilę nastąpi.

Przed którym nie mam szans uciec.

Rozsypane odłamki... na torze i w mojej
głowie.

Przypadkowo trafiają w stojącą obok biedną
duszę. A ja miałem w tym swój udział.

Przełykam kulę pożerającego duszę strachu,
który wbija się w moją psychikę, bo nawet w
trakcie lotu, gdy powinienem być wolny od
wszystkiego, wciąż czuję jej obecność. *On też tu jest. Zawsze o nich pamiętam.*

*Colty, jeśli będziesz nieposłuszny, będziesz
cierpieć. Bądź teraz grzecznym chłopcem i
poczekaj na niego. Gdy jesteś niedobry, dzieją
się niedobre rzeczy, mój chłopcze.*

Miażdżenie metalu i jego męskie chrząkanie.

Zapach destrukcji i jego alkoholowy odór.

Moje ciało objijające się w otaczającej mnie
ochronnej klatce i jego mięsiste palce, które
się do mnie dobierają i mnie zawłaszczają.

Powiedz, że mnie kochasz. Powiedz to!

Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię.

Cieszę się z kolejnego zderzenia, bo strąca te
słowa z mojego języka. Widzę to, czuję i słyszę
jednocześnie, jakbym był we wszystkich
miejscach naraz. W samochodzie i poza nim.

Słyszę rezonujący, rozpoznawalny odgłos
miażdżonej

blachy.

Wpadam

w

stan

nieważkości i przez chwilę nie czuję bólu.

Wiem, że wypowiedzianie tych *dwóch słów*

skutkuje wyłącznie cierpieniem.

Pierdolona trucizna zzerająca mnie kawałek

po kawałku, aż nie zostanie nic z tego, kim

teraz jestem.

Paraliżuje mnie cholerny strach, który jest

niczym pieprzony dynamit eksplodujący w

komorze próżniowej.

Moje ciało rzuca się do przodu, jakby Rylee

mnie do tego zachęcała, lecz ramię mnie więzi

i nie pozwala mi się ruszyć. Tak jakby

wspomnienie o *nim* wstrzymywało mnie w

miejscu.

Jego

nieubłagane

objęcia

nie

pozwalają mi odejść, chociaż walczę z

ciemnością, którą mnie wypełnia. Ze słowami,

które kazał mi mówić, pozbawiając je na

zawsze normalnego znaczenia.

Czuję pełną siłę uderzenia — samochodu o
bandę, serca o pierś, nadziei rozbijającej się o
demony — ale widzę jedynie Rylee, która
przechodzi
przez
ścianę.

I
jego,
podchodzącego do mnie, gdy ona odchodzi.

— *Rylee!* — wołam za nią. Pomóż mi. Uratuj mnie. Ocal. Nie odwraca się i nie reaguje.

Moja nadzieja przepadła.

Jestem zepsuty...

Obserwuję samochód i czuję jego ruchy, gdy
powoli się zatrzymuje. Nie wiem, jaki jest
stopień zniszczeń, bo zaczyna pochłaniać mnie
ciemność.

... i tak bardzo skrzywiony...

Mój ostatni oddech oporu — przeciw niemu i
przeciw niej — bo tracę siły do walki.

Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

— Tracimy go. Zapaść!

Zastanawiam się, czy śmierć boli...

— Colton, wracaj. Walcz, do cholery!

Rozdział 6.

Minuty stają się godzinami.

Godziny dniami.

Czas się nam wymyka, skoro tyle go
straciliśmy.

Nie chcę odchodzić od łóżka Coltona. Zbyt
wiele osób opuściło go w życiu, a ja nie chcę tego zrobić wtedy, gdy najbardziej mnie
potrzebuje. Więc bez przerwy do niego
mówię. Opowiadam mu o wszystkim i niczym,
ale to nie pomaga. Nie reaguje, nie rusza się...

A mnie to dobija.

Sporadycznie pojawiają się i znikają jego
rodzice, Quinlan i Becks. Członkowie zespołu i
Tawny przychodzą codziennie w odwiedziny i
otrzymują nowe informacje. Jestem pewna, że
Becks pilnuje, żeby Tawny trzymała się ode
mnie z daleka i nie pogarszała mojego
beznadziejnego stanu.

Piątego dnia nie potrafię już tego wytrzymać.

Pragnę poczuć go przy sobie. Pragnę poczuć
fizyczny

kontakt.

Ostrożnie

odsuwam

wszystkie przewody na bok i delikatnie

wpełzam na łóżko obok niego. Kładę głowę na jego piersi, a dłoń na jego sercu. W momencie, gdy czuję jego ciało, pojawiają się łzy.

Uspokaja mnie bicie jego serca, które bije mocno i zdecydowanie obok mojego ucha. To znacznie lepsze niż pikanie monitora, na którym musiałam polegać w kwestii jego aktualnego stanu.

Przytulam się do niego. Chciałabym, żeby mnie objął. Chciałabym poczuć jego głos rezonujący w klatce piersiowej. Drobne gesty, których nie ma.

Leżymy tak przez chwilę i zaczynam odpływać w objęcia snu, gdy nagle coś mnie budzi.

Przysięgłabym, że to głos Coltona. Słyszałam mantrę

z

superbohaterami,

burzliwe

westchnienie z jego ust. Zaznajamiam się na nowo z nieznanym otoczeniem, a serce wali mi jak oszałałe. Znajomy wydaje mi się jedynie leżący obok mnie Colton, ale nawet on nie

przynosi ukojenia mojej wzburzonej psychice,
bo jest inny niż kiedyś. Jego palce drgają przez
chwilę i znowu jęczy. Nie są to słowa, które
mnie obudziły, ale głęboko w środku wiem, że
wzywa właśnie *ich*. Prosi ich, żeby wyciągnęli go z tego koszmaru.

Nie wiem, jak go ukoić. Chciałabym móc
wpełznąć do jego ciała i sprawić, żeby poczuł
się lepiej, ale nie potrafię. Więc robię jedyną rzecz,
która
przychodzi
mi
do
głowy.

Przypomina mi się, co mówił jego ojciec, i
zaczynam cicho śpiewać. Myślałam, że nie
będę pamiętała słów piosenki, której tak
dawno
nie
słyszałam,
ale
po
kilku
problematycznych słowach na początku idzie
mi całkiem płynnie.

Próbuję wnieść trochę ciepła w to zimne,
sterylne pomieszczenie, śpiewając Coltonowi
piosenkę z jego dzieciństwa: *Puff the Magic Dragon*.

Chyba musiałam zasnąć, bo nagle budzi mnie
piszczenie butów na podłodze. Podnoszę
wzrok i trafiam na uprzejme spojrzenie
oddziałowej. Widzę, że ma reprimendę na
końcu języka, ale mój błagalny wzrok ją
powstrzymuje.

— Kochanie, nie powinnaś leżeć na jego łóżku.
Ryzykujesz odłączenie sondy — mówi łagodnie
i potrząsa głową, gdy spoglądam jej w oczy. —
Ale jeśli tego chcesz podczas mojej zmiany, to
obietuję, że nikomu nie powiem. — Puszczą mi
oczko, a ja uśmiecham się do niej z
wdzięcznością.

— Dziękuję. Ja po prostu potrzebowałam... —
urywam, bo nie wiem, jak przekazać to, że
pragnęłam poczuć jakikolwiek kontakt z nim.

Ona
poklepuje
mnie
po
ramieniu

ze

zrozumieniem.

— Wiem, słońce. Kto wie, może to będzie dla
niego korzystne w tym stanie? Po prostu bądź
ostrożna, dobrze? — stwierdza. Potakuję, a
ona wychodzi z pokoju.

Zostaję sama w niesamowitym poblasku

urządzeń,

które

oświetlają

pokój

w

ciemnościach.

Wtulona

w

jego

bok,

przechyliłam głowę i kładę pocałunek w moim

ulubionym miejscu na jego szyi, tuż nad

krawędzią szczęki. Jego zarost rozrósł się

prawie do rozmiarów brody i przyjemnie

łaskocze mnie w nos i usta. Wchłaniam go i nie

mogę się oderwać. Pierwsza łza wymyka się

bezgłośnie, lecz chwilę później spływa ze mnie

napięcie ostatnich kilku dni. Leżę przy
mężczyźnie, którego kocham, wciąż boję się,
że mogę go stracić, i jestem przytłoczona
wszystkimi możliwymi emocjami.

Dlatego szepczę jedyne słowa, które są w
stanie wyrazić pętający moją duszę strach.

Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

Po jakimś czasie moje łzy łagodnieją, a ja z
powrotem zapadam w objęcia snu.

Budzę się zdezorientowana i mrugam, bo
oślepia mnie wpadające przez okno słońce.

Docierają do mnie jakieś szepty, ale ten
najbardziej zaskakujący wibruje tuż obok
mojego ucha.

Nagle przytomnieję, gdy uświadamiam sobie,
że ta wibracja to głos Coltona. W ułamku
sekundy moje serce zaczyna łomotać, brakuje
mi tchu, a nadzieja wystrzela w niebo. Kręci
mi się w głowie, gdy siadam i zapominając o
otoczeniu, skupiam się na swoim ukochanym
mężczyźnie.

— Cześć — to jedyne słowo, jakie potrafię
wykrztusić. Nasze spojrzenia się spotykają, a

mnie przechodzą dreszcze i drżą mi ręce, gdy
widzę, że się obudził i jest w pełni świadomy.

Zerka za moje ramię, po czym wraca
spojrzeniem do mnie.

— Cześć — mruczy, a ja czuję nagłą falę
radości. Przechyla głowę i obserwuje mnie.

Przez jego twarz przemyka dezorientacja, lecz
nie przejmuję się tym, bo najważniejsze, że
odzyskał świadomość.

I że wrócił do mnie.

Siedzę tak i wpatruję się w niego przez chwilę.

Mój puls szaleje i nie potrafię nic powiedzieć zaskoczona jego przebudzeniem.

— *Iron... Iron Man...* — jąkam, bo dochodzę do wniosku, że powinnam zawołać lekarza.

Nie chcę się stąd ruszać. Chciałabym go
pocałować, przytulić i nigdy już nie pozwolić
mu odejść. On patrzy na mnie z zagubieniem w
oczach, co zrozumiałe, skoro właśnie obudził
się w takim bałaganie, a ja powiedziałam tylko
imię superbohatera.

Zaczynam schodzić z łóżka, ale on łapie mnie
za nadgarstek.

— Co ty tu robisz? — Jego oczy szukają w
moich odpowiedzi na tyle pytań, że nie wiem,
czy potrafię na nie odpowiedzieć.

— Ja... ja... miałeś wypadek — jąkam się,

próbując

coś

wyjaśnić.

Łudzę

się,

że

przerażenie pełzające wzdłuż kręgosłupa i

chwytające mnie swoimi mackami za kark

wynika z tego, że ostatnie dni kosztowały mnie

wiele emocji. — Rozbiłeś się w trakcie

wyścigu. Twoja głowa... byłeś nieprzytomny

przez tydzień... — milknę, bo on mruży oczy i

przechyla głowę. Widzę, że próbuje sobie coś

przypomnieć, więc pozwalam mu to zrobić.

Znowu zerka za moje ramię, a ja przypominam

sobie, że słyszałam w pokoju więcej niż jedną

osobę, ale coś w jego spojrzeniu sprawia, że

boję się obejrzeć za siebie.

— Colton...

— Odeszłaś ode mnie... — mówi złamanym i

niedowierzającym głosem, który ściska mnie

za serce.

— Nie... — Potrząsam głową i chwytam go za

dłoń, a w moim głosie słycać strach. — Nie.

Ja wróciłam. Wyjaśniliśmy sobie wszystko. I razem się obudziliśmy. — Słyszę w swoich słowach rosnącą panikę, czuję łomotanie serca. Nadzieja, którą właśnie odzyskałam, rozbija się z trzaskiem o ziemię. —

Powiedzieliśmy sobie, że się wyścigujemy.

Colton powoli kręci głową na boki z absolutnym niedowierzaniem.

— Nie, wcale nie. — Znowu zerka za moje ramię, uwalnia dłoń i podaje ją osobie za moimi plecami. — Odeszłaś ode mnie.

Próbowałem cię gonić, ale nie wiedziałem, gdzie poszłaś. I ona znalazła mnie w windzie.

— Na jego twarzy w końcu pojawia się pokrzepiający

uśmiech,

którego

tak

potrzebowałam... Ale nie jest skierowany do mnie.

Brakuje mi tlenu. Krew odpływa mi z twarzy, a każdą cząstkę mojej duszy ogarnia przenikliwie zimno,

bo

uwielbianym

przeze

mnie

uśmiechem, który był zarezerwowany tylko

dla mnie, została obdarzona osoba stojąca za

mną.

— Colton nie potrafił sobie wszystkiego

przypomnieć, *laluniu* — głos za moimi plecami

rani moje uszy i łamie mi serce. — Więc

przypomniałam mu niektóre zdarzenia — mówi

Tawny, przechodząc w moje pole widzenia i

pociera nos z protekcyjnym uśmiechem. —

To, że odeszłaś i że zszedł się ze mną. —

Porusza językiem w ustach, jej oczy błyszczą,

a zwycięski uśmiech coraz bardziej się

poszerza. Komunikat jest jasny i czytelny.

Ja wygrałam.

Ty przegrałaś.

Cały mój świat się rozpada, przed oczami

pojawia się ciemność i pozostaje mi już tylko

pustka.

Rozdział 7.

Zrywam się ze snu. Płuca łapczywie

wchłaniają powietrze, a zamroczony umysł
próbuję znaleźć coś realnego, na czym mógłby
się oprzeć. Krzyk na moich ustach zamiera, bo
uświadamiam sobie, że jestem z Coltonem
sama. Wciąż trzymam głowę na jego piersi i
obejmuję go w pasie ramieniem.

Czuję krążącą w organizmie adrenalinę i biorę
drżący wdech. To był tylko sen. *Jasny gwint, to
był tylko sen.* Powtarzam to sobie na okrągło i próbuję się skupić na jednostajnym pikaniu
monitorów
i
zapachu
szpitala.

Jeszcze
niedawno tego nienawidziłam, lecz teraz to
pikanie i zapach stanowią dowód na to, że nic
się nie zmieniło. Że Colton nadal jest w
śpiączce, a ja wciąż liczę na cud.

Ale na taki bez udziału Tawny.
Kładę się z powrotem obok Coltona. Koszmar
błąkający
się
jeszcze
na

obręczach

świadomości

sprawia,

że

cała

drzę

z

niepokoju. Jestem tak zatopiona w myślach o

koszmarze wypadku i koszmarze z Tawny, że

gdy opada adrenalina, powieki robią się

ciężkie. Rozpływam się w kojących objęciach

snu i czuję dłoń, która gładzi mnie po włosach i

zastyga na plecach. Na wpół świadoma

zatapiam się w to kojące uczucie. Wtulam się

bliżej, przyjmując płynące z niego ciepło i

spokój.

Wtedy to do mnie dociera. Podnoszę głowę i

patrzę na Coltona. Łkanie zamiera mi w

gardle, serce staje w miejscu, a dusza

doświadcza gwałtownego przebudzenia.

Zamieram, gdy natrafiam na jego spojrzenie.

W głowie mam plątaninę myśli, z których

najbardziej wyróżnia się ta, że Colton do mnie

wrócił. Colton się przebudził, żyje i jest ze

mną. Nie odrywamy od siebie wzroku; w jego oczach dostrzegam przebłyski zagubienia i czegoś nieznanego.

— Cześć — uśmiecham się niepewnie i nie wiem, dlaczego jakaś część mnie jest nerwowa. Colton oblizuje usta i zamyka oczy, a ja wpadam w panikę, że znowu stracił przytomność. Na szczęście znowu je otwiera i mruży. Jego usta się rozchylają, jakby chciał coś powiedzieć.

— Ciiiiii — mówię, kładąc palec na jego ustach.

— Miałeś wypadek. — Marszczy brwi i próbuje podnieść głowę, ale jest dla niego za ciężka i nie daje rady. Potem podnosi wzrok, chcąc zobaczyć grube bandaże na głowie. — Miałeś operację. — Jego oczy powiększają się z przerażenia, a ja rugam się w myślach za to, że się tak zacynam i nie wyrażam się jaśniej.

Monitor za moimi plecami pika coraz szybciej, a jego odgłosy zaczynają wypełniać pokój. — Teraz już jest wszystko w porządku. Wróciłeś do mnie. — Widzę, że próbuje to pojąć i czekam na pojawienie się iskry w jego oczach, ale jej nie ma. — Pójdę po pielęgniarkę.

Przesuwam rękę, żeby się podeprzeć na łóżku,
ale Colton zaciska na moim nadgarstku leżącą
na materacu dłoń. Potrząsa głową i krzywi się
pod wpływem tego ruchu. Odruchowo kładę
drugą dłoń na jego policzku. Jego skóra
blednie, a na grzbiecie nosa pojawiają się
kropelki potu.

— Nie ruszaj się, dobrze? — mówię łamiącym
się głosem i przyglądam się badawczo jego
twarzy w poszukiwaniu oznak bólu. *Jakbym
była w stanie to rozpoznać.*

Potakuje
nieznacznie
i
szepcze
niemal
bezgłośnie:

— Boli.

— Wiem — odpowiadam i sięgam za łóżko,
żeby
przycisnąć
guzik
wzywający
pielęgniarkę. Czuję wzbierającą w sercu

nadzieję. — Zadzwońię po pielęgniarkę, żeby
poradziła coś na ból, dobrze?

— Ry... — jego głos znowu się załamuje, a
emanujący z niego strach trafia mnie
odłamkiem w serce. Robię jedyną rzecz, która
moim zdaniem może go ukoić, i muskam
ustami jego policzek, zastygając przez chwilę
w tym pocałunku. Próbuję opanować gorączkę
emocji, które uderzają mnie jak tsunami. Łzy
spływają po policzkach i kapią na jego twarz, a
moim ciałem wstrząsają ciche łkania. Słyszę
ciche westchnienie, a gdy się odrywam, jego
oczy są zamknięte, a umysł znowu pogrążony
w ciemnościach.

— Wszystko w porządku? — głos pielęgniarki
wrywa mnie z transu.

Odwracam do niej głowę, nie odrywając dłoni
od twarzy Coltona. Na jego ustach widać ślady
moich łez.

— Obudził się... — nie potrafię wykrztusić nic
więcej, bo ogromna ulga wypłukuje ze mnie
wszystkie słowa. — Obudził się.

W ciągu następnych kilku dni Colton budzi się

jeszcze kilkakrotnie. Krótkie przeblyski
świadomości we mgle nieświadomości. Za
każdym razem przez te kilka minut, które z
nami jest, próbuje coś bezskutecznie
powiedzieć, a my staramy się ukoić jego
strach, którego oznaką jest gwałtownie
przyspieszający puls.

Nie chcę wychodzić, bo boję się, że przegapię
jedną
z
takich
cennych
chwil.

Kilka
skradzionych minut, w trakcie których mogę
przerwać nieustanny niepokój i udawać, że nic
się nie stało.

Dorothea w końcu przekonuje mnie, że
powinnam
pójść
na
stołówkę
i
chwilę

odetchnąć. Chociaż nie mam na to ochoty,
wiem, że przywłaszczam sobie jej syna i że
przypuszczalnie chciałaby побыć z nim chwilę
sam na sam.

Odbieram zamówiony posiłek, chociaż w ogóle
nie mam apetytu. Dżinsy wiszą na mnie
bardziej niż tydzień temu, po przylocie na
Florydę. Na nic nie mam ochoty, nawet na
czekoladę,
która
w
stresie
jest
moim
ulubionym źródłem kalorii.

Dzwoni telefon. Szukam go w pośpiechu, bo
mam nadzieję, że to Dorothea, która chce mi
powiedzieć, że Colton znowu się ocknął, ale to
nie ona. Moja ekscytacja opada.

— Cześć, Had.

— Cześć, kochana. Coś nowego?

— Nie. — Wzdycham, żałując, że nie mam nic
więcej do powiedzenia. Haddie przywykła już
do tego i chwilę milczy.

— Jeśli on się wkrótce nie obudzi, zignoruję
twoje słowa, spakuję dupę w samolot i
przylecę do ciebie. — Oto Haddie i jej
rzeczowe podejście. Ale nie ma potrzeby, żeby
tu była. Siedziałyby tylko i czekała tak jak my
wszyscy. Tylko co by to zmieniło?

— Tylko dupę? — Pozwalam, żeby na mojej
twarzy pojawił się uśmiech, chociaż wydaje się
niestosowny w tym ponurym miejscu.

— Cóż, jest całkiem zgrabna, chociaż nie
wiem, czy mnie to stwierdzać... Wiesz,
sprężysta i twarda jak skała. — Śmieje się. —
Dzięki Bogu! W końcu przemawia przez ciebie
dziewczyna, którą uwielbiam. Nadal tam
siedzisz?

— Tylko tyle mogę zrobić — wzdycham.

— A co u niego? Wybudził się znowu?

— Tak, wczoraj wieczorem.

— Czyli, zgodnie z tym, co mówił Becks, pięć
razy w ciągu dwóch dni? To dobry objaw,
prawda? Od zera do kilku razy dziennie?

— Chyba tak... Nie wiem. Wydaje się strasznie
przerazony, gdy się budzi. Puls na monitorze
niemiłosiernie przyspiesza, a on nie potrafi

złapać oddechu. A przebudzenia są tak krótkie, że nie mamy czasu wyjaśnić, że wszystko jest w porządku i że z tego wyjdzie. — Ale widzi was wszystkich przy sobie, Ry. Samo to, że tam jesteście, przekazuje mu, że nie ma się czego obawiać — stwierdza, na co ja mruczę wymijająco. Mam nadzieję, że ma rację i że widok nas wszystkich go uspokaja, a nie skłania do przerażającego wniosku, że leży na łożu śmierci. — A co mówi doktor Irons?

Oddycham

głęboko,

bo

boję

się,

że

wypowiadane słowa mogą się ziścić.

— Twierdzi, że stan Coltona jest stabilny. Że im częściej się budzi, tym lepiej... Ale dopóki nie zacznie mówić całymi zdaniami, nie da się ocenić, czy jakieś obszary mózgu zostały uszkodzone.

— No dobrze — mówi, przeciągając ostatnie słowo tak bardzo, że brzmi niemal jak pytanie.

Pytanie o to, czego nie chcę jej powiedzieć. —

A czego mi nie mówisz, Ry?

Przesuwam jedzenie na talerzu, a rozsypane
myśli krążą wokół upływającego czasu.

Przełykam ślinę i biorę drżący wdech.

— Lekarz twierdzi, że czasem zdolności

motoryczne

ulegają

tymczasowemu

upośledzeniu...

— I... — Haddie milknie i czeka na moją

odповідź. — Odłóż ten widelec i mów do

mnie. Powiedz mi, czym naprawdę się

martwisz. Bez ściemniania. Myłam się już,

więc nie musisz mi mydlić oczu.

Jej próba rozśmieszenia mnie wydobywa ze

mnie krótki chichot, który przechodzi w

westchnienie.

— Lekarz mówi, że Colton może nic nie

pamiętać. Czasem w takich przypadkach

dochodzi do tymczasowej lub trwałej utraty

pamięci.

— A ty się obawiasz, że zapomni wszystko,

zarówno dobre, jak i złe chwile? — Nie

odpowiadam, bo mi głupio, ale jednocześnie
czuję, że moje obawy są uzasadnione. Haddie
uznaje, że brak odpowiedzi jest odpowiedzią.

— Na pewno cię pamięta, bo przecież nie
świrował, gdy leżałaś przy nim w łóżku,
prawda? Chwytał cię za rękę, pogładził
włosy... To oznacza, że wie, kim jesteś.

— Noo... Ale wiesz, Haddie, właśnie go
odzyskałam i na samą myśl o tym, że
mogłabym go w taki sposób stracić, czuję
paniczny strach.

— Przestań myśleć o tym, co się jeszcze nie
zdarzyło. Rozumiem twoje obawy, Ry, masz za
sobą dość ciężkie przeżycia, w tym błazeństwa
tej idiotki Tawny, dlatego powinnaś odejść od
krawędzi, na której siedzisz, i poczekać na
rozwój wydarzeń. Nie ma sensu martwić się
na zapas, prawda?

Chcę jej odpowiedzieć, ale mój telefon
sygnalizuje
wiadomość
tekstową,
więc
odrywam go od ucha i zerkam na wyświetlacz.

Moje serce gwałtownie przyspiesza, gdy

czytam SMS-a od Quinlan: *Obudził się.*

— To Colton. Muszę kończyć.

Rozdział 8.

Colton

Ból pulsuje w skroniach jak młot

pneumatyczny. Oczy mnie palą, jakbym się

obudził po opróżnieniu całego jacka danielsa.

W gardle mam gulę i skręca mnie w żołądku.

Skręca mnie tak, jak w tamtym pokoju z

zawilgoconym materacem, w którym czułem

wilgotne macki strachu na plecach, gdy

czekałem na *niego*. W którym mama mnie

oddawała,

handlowała

mną...

Ale

to

niemożliwe. Quin jest tutaj. Beckett. I mama z

tatą.

Co się, kurwa, dzieje?

Zaciskam powieki i próbuję otrząsnąć się z

zagubienia, ale efektem jest tylko jeszcze

większy ból.

Ból.

Cierpienie.

Przyjemność.

Potrzeba.

Rylee.

Oślepiają mnie przebłyski wspomnień, których nie potrafię uchwycić i zrozumieć, ale szybko znikają w ciemnościach.

Ale gdzie ona jest?

Próbuję

wykrzesać

z

siebie

jakieś

wspomnienia i wyciągnąć je na powierzchnię, żeby chwycić się ich jak koła ratunkowego.

Czy ona w końcu rozgryzła, co mnie zatruwa

od wewnątrz? Uświadomiła sobie, że ta

przyjemność nie jest warta bólu, jaki jej koniec

końców zadam?

— Panie Donovan? Jestem doktor Irons. Słyszysz

mnie pan?

Kim ty, do cholery, jesteś? Gapi się na mnie swoimi niebieskimi oczami.

— Może pan mieć trudności z mówieniem.

Przyniesiemy panu trochę wody. Może pan
ścisnąć moją dłoń na znak, że mnie pan
rozumie?

Po co, do diabła, mam ścisnąć jego dłoń? I
dlaczego moja ręka się nie rusza? Jak mam
wystartować w dzisiejszym wyścigu, skoro nie
jestem w stanie trzymać kierownicy?

Moje serce huczy jak silnik samochodu, w
którym powinienem teraz siedzieć.

Ale jestem tutaj.

Wczoraj też się tu obudziłem, z Ry. Obudziłem
się z nią... A teraz jej nie ma.

Czas na flagę z szachownicą, mała...

Nagle widzę to wszystko bardzo wyraźnie, po
czym zapada kompletna ciemność. Obrazy w
mojej głowie przypominają podziurawiony film,
w którym wyraźne kadry przeplatają się z
pustką. Nie potrafię połączyć wszystkich
kropek. Nic mi się nie układa w całość poza
tym, że jestem kompletnie pogubiony.

Wszystkie oczy w pokoju są skierowane na
mnie, jakbym był atrakcją pieprzonego cyrku.

*Drodzy państwo, jego następnym wyczynem
będzie poruszanie palcami.*

Próbuję poruszyć lewą dłońią. Udaje się,

dzięki Bogu.

Znowu

mam

przebłyski

wspomnień.

Miażdżony metal, błyskające iskry, gęsty dym.

Uderzenia,

przewracanie

się,

spadanie,

szarpnięcia.

Wygląda na to, że twoi superbohaterowie tym

razem się zjawili...

Mój umysł próbuje rozszyfrować, co to, do

cholery, znaczy, ale nic nie wymyśla.

Rylee zniknęła.

Najwyraźniej wcale nie kochała we mnie tego,

co zepsute.

Próbuję wyrzucić z głowy te bzdurne myśli, ale

zamiast tego jęczę, bo czuję nagłe ukłucie

bólu.

Max.

Ja.

Odeszła.

Nie może tego znowu przeżywać.

Nie mogę uwierzyć, że byłem tak samolubny,
że w ogóle ją o to prosiłem.

— Colton — to znowu doktor — miałeś
poważny wypadek. To cud, że przeżyłeś.

Poważny wypadek? Przebłycki obrazów w
głowie zaczynają się powoli w coś układać, ale
wciąż mam luki w ciągu zdarzeń. Próbuję coś
powiedzieć, ale mam tak zaschnięte gardło, że
wydobywam z siebie tylko chrypięcie.

— Doznałeś obrażeń głowy. — Uśmiecha się,
ale wzbudza moją czujność.

Darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby.

Może i zawdzięczam mu życie, ale nie ma przy
mnie jedyne go powodu, dla którego żyję. Była
na tyle mądra, że odeszła, bo nie jestem w
stanie dać jej tego, czego potrzebuje:

stabilizacji,

życia

bez

wyścigów,

zadeklarowania się na zawsze.

— Pielęgniarka przyniesie ci trochę wody,

żebyś zwilżył sobie gardło. — Zapisuje coś na swoim tablecie. — Wiem, że może ci się to wydawać przerażające, ale wszystko będzie dobrze. Najgorsze już za nami. Teraz musimy wprowadzić

cię
na
ścieżkę
do
pełnej
rehabilitacji.

Ścieżka
do
rehabilitacji?

Dzięki,

Panie

Oczywisty. Chyba autostrada do piekła.

Nagle moje pole widzenia wypełniają twarze.

Mama całuje mnie w policzek, łzy spływają po jej twarzy. Tata ukrywa emocje, ale oczy zdradzają, że jest w rozsypce. Quin się cieszy.

Beckett mamrocze coś o byciu samolubnym draniem.

To musi być coś naprawdę poważnego.

Ale ja i tak czuję się odrętwiały. Pusty.

Niekompletny.

Rylee.

Po kilku chwilach powoli się oddalają. Mama naciska, że powinni dać mi przestrzeń, żebym miał czym oddychać.

A mi właśnie znowu zabrakło powietrza.

Odwracam się, żeby przyjrzeć się rozmytej plamie, którą dostrzegłem kątem oka, i widzę ją.

Stoi w drzwiach. Włosy w nieładzie, twarz bez makijażu, zapadnięte i przeorane łzami policzki, wilgotne oczy, idealne usta ułożone w zaskoczony „O”. Wygląda, jakby przeszła przez piekło, ale i tak jest najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Uznacie mnie za mięczaka, ale przysięgam, że ona jest jedynym powietrzem, jakie przyjmują moje płuca. Niech mnie szlag, jeśli nie jest wszystkim, czego potrzebuję, lecz na co w ogóle nie zasługuję.

Bawi się telefonem i ma na sobie moją szczęśliwą koszulkę, która wisi na jej ramionach. Z lękiem w oczach rozgląda się po

całym pokojem, ale omija mnie.

Oddychaj, Donovan. Kurwa, oddychaj. Nie odeszła. Wciąż tu jest. Antidotum na truciznę, która wypala moją duszę.

W końcu trafia wzrokiem w moje oczy. Widzę w niej swoją przyszłość, zbawienie, jedyną szansę na odkupienie win. Ale jej oczy? Kurwa, przebłyskują w nich całkowicie sprzeczne emocje: ulga, optymizm, niepokój, strach i wiele innych, nieznanymi.

I właśnie na tych nieznanym skupiam uwagę.

Widzę, że to wszystko rozdziera jej serce. Że byłoby nie w porządku, gdybym kazał jej znowu przez to przechodzić. Ale wyścigi to moje życie. Coś, czego potrzebuję, jak powietrza. Cóż za ironia, skoro ona jest moim powietrzem. W każdym razie to mój jedyny sposób na ucieczkę przed ścigającymi mnie demonami. Mrocznym szlamem wdzierającym się w każde pęknięcie duszy i zastygającym w niej na zawsze. Nie mogę być egoistą i prosić ją, żeby została przy mnie, skoro muszę być najbardziej egoistycznym dupkiem, jakiego nosiła ziemia.

Nie mogę odpychać jej i jednocześnie błagać,
by została.

*Ale jak mam pozwolić jej odejść, skoro każda
część mnie należy do niej?*

Z przyjemnością bym się udusił, żeby mogła
swobodnie
oddychać.

Bez
obaw.

Bez
nieustannego strachu.

Całe życie byłem egoistą, lecz w ten sposób po
raz pierwszy zachowałbym się altruistycznie.

Powinienem był jej to powiedzieć — wyrzucić z
siebie ten pierdolony strach, który trawi moją
duszę — ale nie byłem w stanie... dlatego ona
o niczym nie wie.

Spidermanuję cię...

Słowa, które krzyczą w moich myślach, lecz
więzną mi w gardle. Nie wiem, czy
kiedykolwiek na tyle wyleczę swoją duszę,
żeby jej to powiedzieć.

Wiele lat temu *ona* zabrała mi to wszystko.

A teraz będę musiał za to zapłacić.

Wypuszczając z rąk swoją jedyną i życiową szansę.

Nagle słyszę wyrywający się z jej gardła

pojedynczy

szloch,

w

którym

słyszę

niedowierzanie i udrękę. Drżą jej ramiona i

cała się w sobie zapada.

Wiem, że to, czego pragnę, kompletnie nie

pokrywa się z tym, co byłoby dla niej

najlepsze.

Rozdział 9.

Patrzy na mnie lekko zamroczony, a z mojego

gardła wyrywa się niespodziewany szloch. Mój

pokieroszowany mężczyzna to dla mnie

najpiękniejszy widok na świecie.

Serce przyspiesza mi jeszcze bardziej, o ile to

w ogóle możliwe. Szum w pomieszczeniu

powoli cichnie, wszyscy odstępują od łóżka i w

milczeniu obserwują naszą wymianę spojrzeń.

Mimo to stoję jak wmurowana i próbuję

odczytać emocje, które z zawrotną prędkością

przebłyskują w jego spojrzeniu. Zdaje się patrzeć przepaszająco i z zaniepokojeniem, ale w jego oczach kryje się jeszcze jakaś nieznana emocja, która wywołuje trwogę w zakamarkach mojej duszy.

Obok mnie przechodzi pielęgniarka, która muska mnie ramieniem i przerywa mój kontakt wzrokowy z Coltonem. Wkłada mu w usta słomkę, a on łapczywie wypija cały kubek wody.

— Musiałeś być naprawdę spragniony, co? — drażni się, po czym dodaje: — Przyniosę ci jeszcze, ale poczekajmy chwilę, żeby to zostało w żołądku i żebyśmy cię nie przepoili.

Próbuję uspokoić przyspieszony oddech, lecz niespecjalnie

mi

to

wychodzi.

Czuję

obejmujące mnie ramię Quinlan, która pociąga nosem obok mnie, ale w ogóle nie zwracam na nią uwagi. Nie potrafię oderwać wzroku od tego rozmazanego łzami widoku przed sobą.

Pielęgniarka zabiera kartę od doktora Ironsa i wychodzi. Nadal stoję jak skamieniała. Nie potrafię się ruszyć. Patrzę, jak doktor Irons bada

Coltona:

sprawdza

oczy,

odruchy

kończyn i siłę mięśniową. Zauważam, że

czterokrotnie prosi Coltona o zaciśnięcie

prawej dłoni, a na twarzy Coltona pojawia się

błysk paniki. Nie potrafię oderwać wzroku.

Chłonę go w całości, bo boję się, że umknie mi

coś z tych pierwszych chwil po jego

przebudzeniu.

— Wygląda na to, że wszystko jest w porządku

— mówi w końcu doktor Irons po zakończeniu

badania. — Jak się czujesz, Colton?

Colton przełyka ślinę i zamyka oczy, krzywiąc

się z bólu, po czym znowu je otwiera.

Podchodzę o krok, bo chciałam mu jakoś

ulżyć w cierpieniu, a on rozgląda się po

twarzach osób w pokoju, próbując odzyskać

głos.

— Moja głowa. Boli — mówi chrapliwie. —

Ręka? — Kieruje zagubione spojrzenie w

stronę prawej ręki. — Stało? Jak długo?

Doktor Irons siada na krawędzi łóżka i mówi mu o wypadku, operacji i o tym, jak długo był w śpiączce.

— Jeśli chodzi o rękę, może to być wynikiem pozostałości po obrzęku mózgu. Musimy cię teraz obserwować i zobaczymy, jakie będziesz

robił

postępy.

—

Colton

potakuje

ze

skupieniem

na

twarzy.

—

Możesz

mi

powiedzieć ostatnią rzecz, którą pamiętasz?

Wstrzymuję oddech, a Colton robi głośny

wydech. Potem znowu przełyka ślinę i zwilża

usta.

— Pamiętam... cztery uderzenia — jego głos

brzmi, jakby struny głosowe były posypane

zwirem.

— Co jeszcze? — pyta Andy.

Colton spogląda na ojca i nieznacznie

potakuje, po czym zamyka oczy, żeby się

skupić.

— Mam w głowie same skrawki. Niektóre z

nich są niejasne — chrypi, po czym przełyka

ślinę, otwiera oczy i spogląda na doktora

Ironsa. — Inne... są rozmyte. Wyczuwam je,

ale nie potrafię sobie ich przypomnieć.

— To normalne. Czasem...

— Fajerwerki w alei serwisowej — przerywa

lekarzowi. — I to, że obudziłem się *przesadnie*

wystrojony. — Gdy to mówi, podnosi wzrok i spogląda na mnie, przekazując mi, że pamięta

mnie i niezapomniany sposób, w jaki go

obudziłam. Jeden kącik jego ust unosi się w

nieznacznym uśmiechu, który kompletnie nie

pasuje do bladego koloru jego zazwyczaj

opalonej skóry.

Tymi słowami tylko potwierdził to, że już

dawno skradł moje serce i odcisnął piętno na

całej jego powierzchni.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu, który
wyrywa się z moich ust. Odruchowo ruszam do
przodu, podchodzę do krawędzi łóżka, a on
śledzi wzrokiem moje ruchy. Uśmiecham się
szerzej, łzy płyną mi strumieniami po
policzkach, a serce rośnie, bo po raz pierwszy
od kilku dni czuję ulgę. Wyciągam rękę i
ściskam jego leżącą na materacu dłoń.

— Cześć — głupio to brzmi, ale to jedyne
słowo, jakie udaje mi się przecisnąć przez
zapchane emocjami gardło.

— Cześć — szepcze, a na jego ustach pojawia
się cień tak uwielbianego przeze mnie
uśmiechu.

Przypatrujemy się sobie przez chwilę. Nasze
usta milczą, lecz oczy prowadzą żywą
konwersację. Splatam palce z jego palcami i
widzę niepokój w jego oczach, gdy próbuje
zareagować, lecz nie potrafi.

— To nic — mówię kojąco, bo nie potrafię się powstrzymać. Przykładam drugą dłoń do jego
policzka i cieszę się, że czuję na skórze
pulsowanie mięśnia. — Musisz dać jej trochę
czasu, żeby wydobrzała.

Próbuje to wszystko przetrwać, a w jego

oczach

tańczą

tysiące

emocji.

W

tym

momencie kłujący mnie w piersi strach przed

nieznanym zostaje zastąpiony współczuciem

dla

ukochanego

mężczyzny,

który

musi

pogodzić się z tym, że jego zazwyczaj

żywiłowe i czułe ciało wcale takim nie jest.

— Rylee ma rację — stwierdza doktor Irons,

przerywając

naszą

milczącą

wymianę

spojrzeń. — Musisz dać jej trochę czasu. Co

jeszcze pamiętasz, Colton? Obudziłeś się

przesadnie wystrojony i przeżyłeś cztery

uderzenia

—

ponagła

go,

ukrywając

dezorientację wynikającą z tego, że nie

rozumie słów Coltona. — Co było potem?

— Nie — stwierdza Colton i krzywi się, gdy

instynktownie potrząsa głową. — Najpierw

uderzenia, potem obudzenie.

Zerkam na Becketta, bo spośród wszystkich

zgromadzonych on najlepiej rozumie, że to nie

jest właściwa kolejność zdarzeń. Doktor Irons

zauważa

moje

przerażone

spojrzenie

i

potrząsa głową, żebym się nie odzywała.

— Oczywiście. Co jeszcze pamiętasz o dniu,

niezależnie od kolejności zdarzeń? — Colton

patrzy na niego ze zdziwieniem, więc doktor

dodaje: — Czasem po tego typu obrażeniach

głowy wspomnienia ulegają transformacjom i

zmianom.

Niektórzy

ludzie

wszystko

pamiętają, lecz mylą kolejność zdarzeń. Dla

innych niektóre wspomnienia są bardzo

wyraźne, a niektóre zupełnie znikają. Miałem

pacjentów, którzy doskonale pamiętali dzień

wypadku,

lecz

mieli

luki

w

innych

wspomnieniach i zdarzeniach. Każdy pacjent

jest wyjątkowy.

— Jak długo utrzymują się takie luki? — pyta

stojący przy łóżku Andy.

— Cóż, czasami krótko, a czasem pozostają na

zawsze... Dobrym objawem jest to, że Colton

ma jakieś wspomnienia z dnia wypadku.

Wygląda na to, że luka w jego pamięci jest

niewielka. Wraz z upływem czasu być może

uświadomi sobie, że czegoś nie pamięta... Bo

tak naprawdę dopóki nikt mu tego nie
przypomni, nie będzie miał pojęcia, że czegoś
brakuje. — Doktor Irons rozgląda się po nas i
wzrusza ramionami. — Na ten moment
możemy śmiało zakładać, że odzyskasz
wszystkie wspomnienia, Colton, ale zalecam
ostrożność, bo mózg to dość skomplikowany
organ. Co więcej...

— Hymn państwowy — mówi Colton z ulgą, że
wyciągnął
z
mroków
pamięci
kolejne
zdarzenie. Chrząka, a ja uśmiecham się, żeby
dodać mu otuchy. — Ja... Nie mogę... —
Frustracja promieniuje od niego falami, bo nie
potrafi nic więcej przywołać. — Co się stało?
—
Wzdycha,
rozglądając
się
po
zgromadzonych, i pociera twarz lewą dłonią.

— Byliście tam wszyscy. Co jeszcze się działo?

— Nic na siłę, kochanie — odzywa się

Dorothea. — Prawda, panie doktorze?

Odwracamy się do doktora Ironsa, który
potakuje, lecz w międzyczasie Colton zasypia.

Wydajemy z siebie zbiorowy jęk, bo obawiamy
się, że Colton znowu zapadł w śpiączkę. Nasze

umysły

produkują

myśli

z

zawrotną

prędkością, lecz doktor Irons wyhamowuje

naszą panikę.

— To normalne. Będzie wyczerpany po

pierwszych kilku przebudzeniach.

Opuszczamy ramiona i wzdychamy z ulgą, ale

nadal mamy pewne obawy.

— Wiemy, że Colton, czy raczej jego mózg, jak

dotąd funkcjonuje w miarę normalnie — mówi

Quinlan, podchodząc do łóżka. — Czego

możemy się teraz spodziewać?

Doktor Irons obserwuje Coltona przez chwilę,

po czym mówi, patrząc nam kolejno w oczy:

— Cóż, każdy człowiek jest inny. Mogę jedynie powiedzieć, że im więcej czasu zajmie mu przypominanie sobie zdarzeń, tym większa będzie jego frustracja. Czasem nastawienie pacjenta się zmienia i zaczyna być nerwowy lub łagodniejsze, a czasem nic się nie zmienia. W tym momencie możemy jedynie czekać i obserwować, jaki to wszystko ma na niego wpływ na dłuższą metę.

— Czy powinniśmy mu pomóc wypełnić luki w pamięci? — pyta Beckett.

— Jeśli chcecie, to oczywiście, że tak — odpowiada doktor — ale nie da się ze stuprocentową pewnością stwierdzić, jak Colton na to zareaguje.

Wracam na swoje miejsce przy łóżku.

Dorothea podchodzi do mnie i na pożegnanie całuje mnie w policzek. Potem całuje Coltona w czoło.

— Jedziemy do hotelu, żeby trochę odpocząć.

Wrócimy rano. Nie waż mi się poddawać. —

Oddała się o krok i patrzy na Coltona przez chwilę, po czym uśmiecha się do mnie łagodnie

i dołącza do Andy'ego i Quinlan, którzy czekają
na nią w korytarzu.

Wzdycham

głośno,

gdy

Beckett

zbiera

pozostałości po naszym późnym obiedzie,

który jedliśmy, czekając niecierpliwie na

przebudzenie

Coltona.

Obserwuję

jego

metodyczne ruchy znad książki, z której tak

naprawdę nic nie wiem. Podkrążone oczy i

zarośnięta twarz świadczą o tym, że ostatni

tydzień mocno dał mu się we znaki. Wydaje się

zagubiony.

— Jak się trzymasz? — pytam cicho, ale wiem,

że mnie słyszał, bo zamiera na chwilę, po czym

wrzuca ostatnie śmieci do śmietnika.

Odwraca się i opiera biodrami o stolik.

Wzrusza ramionami, gdy nasze spojrzenia się

spotykają.

—
Sama

wiesz

—
mówi

przeciągłym,

rezonującym

głosem,

który

zdążyłam

pokościć. — Znam się z nim szesnaście lat i

po raz pierwszy zdarzyło nam się tak długo ze

sobą nie rozmawiać. — Znowu wzrusza

ramionami

i

spogląda

przez

okno

na

ciężarówce telewizyjnej na parkingu. — Może i

jest wymagającym anielskiej cierpliwości

mądrałą, ale brakuje mi go. Nazwiesz mnie

mięczakiem, ale trochę go polubiłem.

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu, który

rozkwita na moich ustach.

— Ja też — szepczę. — Ja też.

Becks podchodzi do mnie i całuje mnie w czubek głowy.

— Jadę do hotelu. Muszę wziąć prysznic i sprawdzić co u brata, a potem wrócę do ciebie, dobrze?

Czuję kielkujące w środku coraz większe uwielbienie dla niego, bo jest prawdziwym najlepszym przyjacielem.

— A czemu nie zostaniesz tam na noc, żeby się porządnie wyspać? W prawdziwym łóżku, a nie na niewygodnych krzesłach w poczekalni?

— Przyganiał kocioł garnkowi, co? —

Chichocze drwiąco i potrząsa głową.

— Wiem, ale ja po prostu nie mogę... A poza tym ja śpię na tych niewygodnych krzesłach — mówię, poklepując krzesło, na którym siedzę.

—

Te

są

przynajmniej

miękkie,

w

przeciwieństwie do tych na korytarzu. —

Przechylałam głowę i obserwuję go, jak sobie to przetrawia. — Obiecuję, że zadzwonię, gdy się obudzi.

Wzdycha głośno i rzuca mi niechętnie spojrzenie.

— No dobrze... Ale zadzwonisz?

— Jasne.

Becks wychodzi, a ja cieszę się, że w końcu w tym szpitalnym pokoju zapadła cisza. Siedzę i patrzę na Coltona. To prawdziwe szczęście, że jest tutaj żywy i że mnie nie zapomniał, bo wtedy byłoby mi znacznie gorzej. Zanoszę w milczeniu

modlitwy

do

niebios

i

mam

świadomość, że muszę powoli zacząć się

wywiązywać

ze

złożonych

sile

wyższej

obietnic w zamian za sprawienie, żeby Colton mógł do mnie wrócić.

Czytam kilka wiadomości od Haddie i odpisuję jej, sprawdzam, co u chłopców, a szczególnie jak Ricky poradził sobie z dzisiejszym sprawdzianem z matematyki, a na koniec piszę do Becketta, że Colton wciąż się nie przebudził i że życzę mu dobrej nocy.

Zbliża się świt, a ja już nie mogę wytrzymać.

Zsuwam buty, wyciągam spinkę z włosów i kładę się w jedynym miejscu na świecie, w którym pragnę być.

U boku Coltona.

Rozdział 10.

Światło poranka pali mnie przez powieki.

Próbuję się wybudzić z najgłębszego snu, jakiego doświadczyłam od sześciu dni. Poddaję się jednak i wtulam głębiej w otaczające mnie od tyłu ciepło. Jednak muskanie palców na policzkach natychmiast przywraca mi pełną świadomość, a przez całe ciało przechodzi mnie dreszcz.

— Dzień dobry — szepcze Colton w czubek

mojej głowy. Moje serce zostaje zalane
mnóstwem emocji, z których najwyraźniejszą
jest poczucie pełni.

Znowu czuję się spełniona.

Przesuwam się, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

— Żadnych lekarzy. Po prostu tego potrzebuję.

Ciebie. Nikogo innego, dobrze? — pyta.

Serio? *A czy niebo jest niebieskie?* Gdybym mogła, porwałabym go z tego sterylnego

więzienia, żeby mieć go tylko dla siebie przez

jakiś czas. Czyli całą wieczność lub trochę

dłużej, gdyby mi pozwolił. Tłumię jednak ten

nonszalancki komentarz, a zamiast tego

wzdycham z zadowoleniem i obejmuję go

ciaśniej. Zamykam oczy i wchłaniam wszystkie

doznania tej chwili. Tak bardzo chciałabym,

żebyśmy byli gdziekolwiek indziej, gdzie

moglibyśmy leżeć obok siebie nago i gdzie

mogłabym poczuć nieopisaną bliskość. I to, że

faktycznie robię coś, co pomaga mu uzdrowić

poszatkowaną

pamięć

i

pokieroszowaną

duszę.

Leżymy w milczeniu. Trzymam dłoń na jego sercu, a on palcami lewej dłoni rysuje leniwe linie na moim przedramieniu. Chciałabym mu zadać tak wiele pytań, bo w mojej głowie tłoczą się najróżniejsze myśli. Zamiast tego wykrztuszam tylko:

— Jak się czujesz?

Jego palce zamierają na ułamek sekundy i prawie tego nie wyłapuję. To wystarczy, żebym wiedziała, że coś jest nie w porządku poza tym, co oczywiste.

— Całkiem tu fajnie — mówi lakonicznie, co utwierdza mnie w moim przeczuciu. Daję mu chwilę na pozbieranie myśli i zastanowienie się nad tym, co chce powiedzieć, bo wśród wielu rzeczy, jakich dowiedziałam się w ciągu ostatnich kilku tygodni, najważniejsze było uświadomienie sobie, że nie potrafię słuchać, gdy jest to naprawdę ważne.

A teraz to jest ważne.

Więc siedzę cicho, chociaż mój umysł kotłuje się od domniemań.

— Obudziłem się kilka godzin temu — zaczyna.

— Słuchałem twojego oddechu. Próbowałem

zmusić do ruchu prawą rękę. Staralem się
ogarnąć
to
wszystko,
co
się
stało.

Przypomnieć sobie to. Mam to w głowie. Czuję
to, ale nie potrafię wyciągnąć tego na
powierzchnię... — urywa.
— Co pamiętasz? — pytam.

Strasznie chciałabym się odwrócić, spojrzeć
mu w oczy i zobaczyć strach i frustrację, które
przypuszczalnie w nich pływają, ale tego nie
robię. Daję mu przestrzeń, żeby miał czym
oddychać. Żeby uszanować naturalną męską
potrzebę
bycia
silnym
i
nieokazywania
słabości.

— Tyle, co mówiłem — wzdycha. — Urywki i
fragmenty. Nic się ze sobą nie klei poza tym, że ty jesteś w większości wspomnień. Możesz

mi opowiedzieć, co się wydarzyło i jaki był przebieg dnia, żebym mógł sobie uzupełnić luki?

— Uhm — potakuję nieznacznie, uśmiechając się na wspomnienie naszego poranka.

— Pamiętam, że obudziłem się, mając przed oczami najpiękniejszy widok świata: ciebie, nago, na mnie. — Wzdycha z uznaniem, budząc z uspienia te części mnie, które były nieaktywne przez ostatni tydzień. Uśmiecham się

bezwiednie,

gdy

widzę

jego

nabrzmiwającą pod pościelą męskość. Fajnie, że nie tylko mnie kręci to wspomnienie.

— Becks wpadł bez pukania i wkurzył mnie tym. Wyszedł i wydaje mi się, że w kilka sekund po tym, jak trzasnął za sobą drzwiami, twoje spodnie leżały na podłodze, a ty byłaś przyciśnięta plecami do ściany. — Milczymy przez chwilę, rozkoszując się przeskakującymi iskrami. — Słodki Jezu, co ja bym oddał, żeby

móc teraz to zrobić.

Wybucham śmiechem i podnoszę się, żeby
usiąść i na niego spojrzeć. Pozwala mi na to.

Odwracam się do niego, a gdy nasze
spojrzenia się spotykają, na mojej skórze
zaczynają tańczyć małe iskierki.

— No nie wiem, czy doktor Irons by na to
pozwolił — drażnię się i wzdycham cicho z
ulgą, że wróciliśmy do stanu sprzed wypadku.

Żartujemy, pragniemy się i nawzajem się
dopełniamy. Nie mogę się powstrzymać i kładę
dłoń na jego policzku. Nienawidzę tego, że tak
dawno się nie dotykaliśmy.

— Cóż — stwierdza — z całą pewnością to
będzie pierwsza rzecz, o jaką go zapytam, gdy
przyjdzie z wizytą.

— Pierwsza rzecz? — dopytuję. Colton
odwraca głowę i całuje mnie w dłoń, a ja
muszę
przełknąć
serce,
które
właśnie
podskoczyło mi do gardła. Prosty gest, który

zacisnął węzeł wstęgi wiążącej moje serce z

jego sercem.

— Trzeba mieć jakieś priorytety — oznajmia z

uśmiechem.

—

Jeśli

jedna

głowa

jest

spieprzona, to siłą rzeczy z drugiej trzeba

wydobyć

jej

maksymalny

potencjał.

—

Wybuchą śmiechem, ale krzywi się i podnosi

lewą dłoń do skroni.

W

mojej

głowie

odzywa

się

alarm

i

natychmiast podnoszę dłoń, żeby przycisnąć guzik i wezwać pielęgniarkę, ale Colton łapie mnie za rękę.

Dopiero po

sekundzie

spozstrzegam, że złapał mnie prawą ręką.

Wydaje mi się, że Colton uświadomił sobie to w tym samym momencie co ja.

Przełyka ślinę, przenosi wzrok na swoją rękę i puszcza mnie. Podążam za jego wzrokiem i widzę, że próbuje zacisnąć pięść, bo jego palce drgają gwałtownie. Czoło tuż pod bandażem zaczyna mu lśnić od potu z wysiłku.

Gdy już nie mogę znieść patrzenia na jego wysiłki, chwytam jego dłoń i zaczynam ją masować, żałując, że nie mogę mu pomóc.

— Dobry początek — wspieram go. — Małymi kroczkami, dobrze?

—
Chciałabym

go

przytulić i wycisnąć z niego cały ból i frustrację, ale wydaje się tak delikatny, że boję się go dotknąć, chociaż zmniejszyłoby to niepokój, który wkrada się w moje myśli. Mój optymizm został poddany ciężkiej próbie w ciągu ostatnich kilku tygodni, a ja nie potrafię się otrząsnąć z przeczucia, że to jeszcze nie koniec. Że czeka nas coś jeszcze, jakiś kolejny potężny cios od losu.

— Co jeszcze pamiętasz? — pytam, bo chcę, żeby przestał skupiać się na dłoni.

Opowiada mi cały dzień. Od czasu do czasu brakuje mu jakichś kawałków. Nie są to zbyt ważne szczegóły, ale zauważam, że luki stają się coraz większe, w miarę jak zbliża się do momentu rozpoczęcia wyścigu. A każdy kolejny fragment układanki staje się coraz trudniejszy do wydobycia, tak jakby musiał siłą wyszarpywać wspomnienia z otchłani umysłu.

Daję mu chwilę odpocząć i odnoszę do przylegającej do pokoju łazienki płyn do płukania ust, o który prosił. Gdy wracam, Colton patrzy w stronę okna i potrząsa głową.

— Pamiętam, że byliśmy w przyczepie. Ktoś zapukał do drzwi. — Odwraca wzrok w moją stronę, a w jego zielonych oczach tańczą lubieżne myśli. Siadam na łóżku obok niego. —

I że nie zdobyłem pewnej *specyficznej* flagi w szachownicę — mówi i ściąga usta.

Wszelki opór jest daremny.

Zawsze tak jest, jeśli chodzi o moją siłę woli i Coltona.

Nachylam się i robię to, czego tak bardzo pragnę: muskam go ustami. Poddaję się potrzebie poczucia więzi z nim i zaspokojenia swojego jedyne go nałogu. Wiem, że to niedorzeczne, ale boję się zrobić mu krzywdę. Boję się, że lubieżne myśli wywołane przez to niewinne muśnięcie spowodują ból w jego gojącej się głowie.

Ale w chwili, gdy nasze usta się łączą, a z jego ust wymyka się cichy jęk, który wślizguje się prosto do mojej duszy, nie potrafię już jasno myśleć. Wycofuję się odrobinę, bo chcę się upewnić, że wszystko w porządku, chociaż tak naprawdę chciałabym zatopić się w kuszące mnie jabłko.

Lecz Colton podaje mi je na srebrnej tacy:

chwytam mnie lewą dłonią za kark i przyciąga
moje usta z powrotem do swoich. Znowu
jesteśmy połączeni: wargi się rozchylają,
języki splatają się ze sobą. Jednoczymy się w
pełnym oddania pocałunku. Nigdzie nam się
nie
spieszyc
i
rozkoszujemy
się
naszą
niepodważalną
więzią.
Irytujące
pikanie
monitorów ginie w hałasie cichych westchnień
i zadowolonych pomruków, które zdradzają
nasze emocje.

Zatracam się w nim całkowicie. Jeszcze
niedawno bałam się, że już nigdy nie poczuję
jego smaku, a teraz myślę tylko o tym, czy
kiedykolwiek się nim nasycę.

Czuję, że jego usta zastygają. Na jego twarzy
pojawia się grymas bólu, a mnie natychmiast

zalewa poczucie winy. Posunęłam się za daleko

w chęci zaspokojenia swojej egoistycznej

potrzeby dodania sobie otuchy. Próbuję

oddalić głowę, ale Colton trzyma mnie

zdecydowanie lewą dłonią. Dotykamy się

nosami i czołami i muskamy się oddechami.

— Daj mi chwilkę — szepcze w moje usta.

Kiwam głową, bo oddałabym mu całe życie,

gdyby poprosił.

— Te ataki są tak nagłe, że czuję się, jakbym dostał

młotem

kowalskim

w

głowę

—

stwierdza po chwili.

Troska

natychmiast

gasi

mój

płomień

pożądania.

— Przywołam lekarza.

— Nie — odpowiada i uderza lewą dłonią o

łóżko, aż trzęsą się poręcze. — W tym miejscu
czuję się, jakbym znowu miał osiem lat. — Po
tych słowach argument, który miałam na
końcu języka, rozpadł się w proch i zniknął. —

Wszyscy

patrzą

na

mnie

zmartwionym

wzrokiem, lecz nikt nie udziela mi żadnych

odpowiedzi... Różnica jest taka, że tym razem

to ja nie potrafię udzielić odpowiedzi.

Śmieje się cicho, a jego ciało znowu napina się

z bólu.

— Colton...

— E-e. Jeszcze nie — powtarza uparcie i

gładzi mnie kciukiem po karku, żeby mnie

uspokoić, chociaż to ja przecież powinnam

uspokajać jego. — Pamiętam wywiad z ESPN. I

że zjadłem snickersa. — Szybko odwraca

wzrok po tym, jak jego twarz przybiera dziwny

wyraz. — Całowałem się z tobą w alei

serwisowej, a potem pustka — dodaje,

próbując odwieść mnie od pomysłu wezwania

lekarza.

— Spotkanie kierowców — pomagam mu. —

Becks był na nim z tobą.

— Dlaczego pamiętam zjedzenie batona, a nie spotkanie?

Łączę kropki w myślach, przypominając sobie informację

uzyskaną

od

Andy'ego.

Bo

zwyczajowy

snickers

na

szczęście

jest

powiązany

z

przeszłością

Coltona.

Z

pierwszym uśmiechem losu, jaki spotkał go w życiu.

— Nie wiem. Na pewno ci się przypomni. Nie

sądzę...

— Stałaś obok mnie podczas hymnu. Po jego

zakończeniu...

—

milknie,

próbując

przypomnieć sobie kolejne zdarzenia, a ja

czuję gulę w gardle. — Patrzałem, jak Davis

pomaga ci pod ścianą, bo chciałem mieć

pewność, że jesteś bezpieczna, podczas gdy

Becks

przeprowadzał

ostatnie

przygotowania... Pamiętam jeszcze, że gdy

stanąłem na swoim polu startowym, miałem

bardzo dziwne poczucie *spokoju*, ale nie mam

pojęcia, dlaczego... A potem nic, aż do

obudzenia się w szpitalu.

Mrowiące uczucie niepokoju, które miałam

wcześniej, przeradza się w potężny kopniak.

Moje serce nurkuje. Brakuje mi tchu. *On nie pamięta*. Nie pamięta, że powiedział mi słowa, które posklejały w całość moje złamane serce.

Muszę wykrzesać całe swoje opanowanie,

żeby ten nieoczekiwany policzek w moją duszę

nie uzewnętrznił się w napięciu ciała.

Nie miałam pojęcia, że tak bardzo pragnę
usłyszeć to jeszcze raz, szczególnie po tym,
jak prawie go straciłam. I że świadomość, iż
pamięta
ten
definiujący
nas
moment,
uleczyłaby ostatnie pęknięcia mojego serca.

— A ty? — wdziera się swoim głosem w moje
rozpierzchnięte myśli i całuje mnie w czubek
nosa, po czym oddala trochę moją głowę, żeby
spojrzeć mi w oczy.

Próbuję
zamaskować
emocje,
które
z
pewnością w nich widać.

— A ja co? — pytam, zmuszając się do
przełknięcia kłamstwa, które utknęło mi w
gardle.

Przechyliła głowę i patrzy na mnie, a ja się
zastanawiam, czy wie, że coś przed nim

ukrywam.

— A ty wiesz, dlaczego przed wyścigiem byłem
taki *szczęśliwy*?

Zwilżam usta językiem i przypominam sobie,
żeby nie przygryzać dolnej wargi, bo wtedy
domyśli się, że kłamię.

— Nie — udaje mi się wykrztusić, chociaż
serce mi pęka. Nie mogę mu tego powiedzieć.

Nie

mogę

wzbudzać

w

nim

uczuć

wywoływanych przez słowa, których nie

pamięta, i nie mogę zmuszać go do

powtarzania czegoś, co kojarzy mu się z

najgorszym horrorem z dzieciństwa.

„...ale to, co mi powiedziałaś... te dwa słowa...

one zamieniły mnie w kogoś, kim już nigdy nie

chcę być. Wywołały wspomnienia, demony i

tyle straszego gówna... ”.

Jego słowa sprzed wyścigu wdzierają mi się do

głowy i tworzą bliznę, którą tylko on będzie w

stanie uleczyć. Ale wiem, że chociaż strasznie
tego pragnę, a tłumienie tej potrzeby sprawia
mi olbrzymi ból, to nie mogę mu tego
powiedzieć.

Zmuszam się do nieznacznego uśmiechu i
spoglądam mu w oczy.

—
Myślę,
że
byłeś
podekscytowany
rozpoczęciem sezonu i tym, że sądząc po
treningu, miałeś olbrzymie szanse sięgnąć po
tę flagę z szachownicą — kłamstwo wytacza
się z moich ust i boję się, że Colton mi nie uwierzy. Ale on po chwili uśmiecha się
półgębkiem, a ja wiem, że się nie zorientował.

— Wydaje mi się, że byłem wtedy skupiony na
zdobyciu więcej niż jednej flagi z szachownicą.

Potrząsam głową, a mój uśmiech zaczyna się
chwiać.

Z
twarzą
Coltona
natychmiast

znika

rozbawienie,

a

pojawia

się

troska

spowodowana moją nagłą zmianą zachowania.

— Co się dzieje? — pyta i kładzie dłoń na moim

policzku. Nie potrafię odpowiedzieć, bo z

całych sił skupiam się na powstrzymaniu fali

łez. — Nic mi nie jest, Ry. Wszystko będzie

dobrze — szepcze pokrzepiająco, obejmując

mnie i przyciągając do siebie.

Wtedy tama pęka.

Bo całowanie z Coltonem to jedno, ale

wtulenie się we wszechogarniające ciepło jego

ramion to coś zupełnie innego. Czuję się,

jakbym znalazła się w najbezpieczniejszym

miejscu na świecie. Fizyczny aspekt naszej

relacji jest bez wątpienia odurzający i

niezbędny, ale jednocześnie wiem, że to

właśnie to uczucie, gdy obejmuje mnie

muskularnymi ramionami i szepcze mi w

czubek głowy dodające otuchy zapewnianie, a

ja słyszę jego silne i stabilne bicie serca,
pozwoli mi przetrwać ciężkie czasy. Takie jak
ta sytuacja, kiedy pragnę go na tak wiele
sposobów, że nie sądziłam, iż to w ogóle
możliwe. I nawet nie brałam tego pod uwagę.

Płaczę z tak wielu powodów, że wszystkie
zaczynają się ze sobą mieszać i powoli
wygasają wraz z każdą łzą, która spływa
dobrze znaną ścieżką po policzku. Płaczę, bo
Colton nie pamięta tych słów. Płaczę, bo jest
cały i zdrowy, a jego ramiona obejmują mnie
ciasno.

Płaczę,

bo

nie

miałam

szansy

doświadczyć tego z Maxem, chociaż na to
zasługiwał. Płaczę, bo nienawidzę szpitala i
tego, co reprezentuje, oraz tego, jak wpływa
na życie każdej przebywającej w nim osoby i
jak je zmienia na dobre albo na złe.

W końcu wyrzucam z siebie wszystkie emocje,
które tłumiłam przez ostatni tydzień, i moje

katharsis się kończy. Łzy powoli ustają, a ja uświadamiam sobie, że to, co najważniejsze, jest tu, przede mną.

Jesteśmy w stanie temu podołać. *Możemy się na nowo odnaleźć.* W głębi duszy czuję lęk przed tym, że nigdy nie przypomni sobie tak istotnego dla mnie momentu, lecz jednocześnie wiem, że mamy przed sobą tyle nowych momentów i wspólnych przeżyć, iż nie powinnam się dłużej nad sobą uzalać.

Moim ciałem znowu zaczynają targać łkania, więc wtulam się mocniej w Coltona.

— Tak się bałam — wykrztuszam. — Byłam przerażona.

— Spider-Man, Batman, Superman, Iron Man — szepcze niemal odruchowo.

— Wiem — potakuję. Ocieram łzy z policzków i oddalam głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. —

Wzywałam ich, żeby ci pomogli.

— Przykro mi, że w ogóle musiałaś to robić — mówi z taką szczerością w głosie, że patrzę jak zahipnotyzowana w jego źrenice i widzę w nich samą prawdę. On wie, jak bardzo byłam przerażona.

Nachylam się i całuję go po raz kolejny, bo nie

potrafię się oprzeć. Chciałabym, żeby także

poczuł tę ulgę, która w końcu zadomawia się w

mojej duszy. Chcę mu pokazać, że potrafię być

silna, gdy on będzie dochodził do siebie. I że może pozwolić, żebym mu pomogła.

— No, no, no. Co ja tu widzę? Śpiąca królewna

w końcu otworzyła swoje paskudne oczęta.

Głos Becketta sprawia, że odrywamy się od

siebie,

a

moje

policzki

pokrywają

się

rumieńcem.

— Właśnie miałam do ciebie zadzwonić.

— Serio? Naprawdę właśnie to miałaś zrobić?

— drażni się, podchodząc do łóżka. —

Pocałować następną zabę? Bo mi to wygląda,

jakby śpiący królewicz zupełnie cię oczarował.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu.

— Masz rację. I wcale nie jest mi przykro. —

Odwracam się i wymieniam z nim uścisk dłoni.

— Ale chciałam do ciebie zadzwonić za chwilę.

— Spoko. Wiem, że byś zadzwoniła. —

Odwraca się do Coltona z największym
uśmiechem, jaki widziałam u niego od dnia
wyścigu. — Cóż za przyjemny widok dla moich
oczu. Witaj w świecie żywych, człowieku. —

Słowa

Becketta

brzmia

surowo,

ale

wyczuwam drzenie w jego głosie i zauważam
wilgotne kąciki oczu, gdy patrzy na Coltona.

Klepie się po ramieniu i dodaje: — Kurde. Ten
dziwaczny wygolony placek na twojej głowie
przypuszczalnie sprawił, że wyleciałeś z klubu
pięknych ludzi. Jak się czujesz po opuszczeniu
krainy Jestem Kurewsko Przystojny?

— Odwal się. Mówisz to z krainy Jestem
Kurewskim Błaznem?

Beckett wybuchą śmiechem i potrząsa głową.

— W mojej krainie przynajmniej nie mamy tak
rozdmuchanego ego, że musimy przerabiać
drzwi, żeby się w nich zmieścić.

— To tak mnie witasz po moim powrocie z
zaświatów? Czuję twoją miłość, stary. To ja już

chyba wolę być pod wpływem przepisanych mi
środków odurzających niż się obudzić i słuchać
tego gówna. — Colton ściska moją dłoń i zerka
na mnie, po czym wraca spojrzeniem do
Becketta.

— Naprawdę? Bo ja może i nie przebudziłem
się ze śpiączki, ale zapewniam cię, że
doznania z odurzenia lekami są niczym w
porównaniu
z
pełną
świadomością
i
doznawaniem ciepłej, mokrej...

— Hola! — Podnoszę ręce i zeskakuję z łóżka,
bo nie chcę słyszeć, dokąd zmierza ta
konwersacja. Lekki zapach wczorajszego
obiadu w koszu podsuwa mi wytłumaczenie
pragnienia chwili samotności. — Ja mam dość,
chłopaki. Idę na dół rozprostować kości i
wyrzucić te śmieci.

— Ej, Ry! No weź... — mówi Becks,
rozkładając ręce. — Chciałem powiedzieć:
kąpieli. Ciepłej, mokrej kąpieli. — Śmieje się

głośno razem z Coltonem, a ja czuję, że świat, który został wytrącony ze swojej trajektorii, został częściowo przywrócony na właściwe tory.

— Jasne — sarkam, wyciągając worek z kosza.

— Wierzę ci, że przymiotników „ciepły” i „mokry” używasz wyłącznie w odniesieniu do kąpieli. — Potrząsam głową i łapię spojrzenie Coltona na chwilę. — Wrócę za kilka minut.

Rozdział 11.

Jest mi o wiele lżej na duszy, gdy wracam korytarzem do pokoju Coltona. Napisałam do jego rodziców i Quinlan, że znowu się obudził, i jestem pewna, że za chwilę tu będą, a teraz zmierzam do końca holu, gdzie dzięki uprzejmości personelu szpitala został umieszczony Colton. Jego pokój zapewnia większą prywatność niż pozostałe, bo trudniej do niego zajrzeć innym odwiedzającym. A tym samym dziennikarze mają mniejsze szanse na zdobycie tak pożądanego zdjęcia.

Tuż przed jego pokojem przychodzi mi do głowy, żeby przynieść mu trochę wody.

Odwracam się odruchowo i niemal wpadam

wprost na osobę, której w ogóle nie mam

ochoty oglądać.

Nigdy.

Absolutnie.

Tawny.

Obie

wzdrygamy

się

na

swój

widok.

Oczywiście ja wyglądam żałośnie z powodu

przerywanego snu i kilkudniowych ubrań, a

ona jest idealna i gotowa do zdjęć. Muszę

przyznać, że trzymała się z dala po

reprimendzie Becketta w poczekalni. Lecz

gdy obdarza mnie pokrzepiającym uśmiechem,

nie obchodzi mnie to, że przestała być

złośliwa, bo nagle wybuchają we mnie

wszystkie nagromadzone przez ostatnie dni

emocje.

— Co ty tu robisz? — cedzę przez zaciśnięte

zęby. Gdyby odraza była odgłosem, z

pewnością brzmiałaby tak, jak mój głos w tej

chwili. Wbijam paznokcie w dłoń zaciśnięte
w pięści, a każdy mięsień mojego ciała wibruje
z oburzenia.

Całą minutę zajmuje jej otrząśnięcie się z
szoku, ale gdy w końcu to robi, na jej twarzy pojawia
się
tradycyjna
maska
poczucia
wyższości.

—

Colton

się

przebudził

—

oznajmia,

wzruszając ramionami, a na jej różowych
ustach pojawia się cień uśmiechu. — Chce ze
mną porozmawiać na osobności — dodaje i
unoszą podbródek na wypadek, gdybym jeszcze
nie wiedziała, że mną gardzi.

— Każdy interes Coltona jest też moim
interesem.

— Śnij dalej, laleczko.

— Zetrę ci to zadowolenie z twarzy, Tawny.

— Czyżby ktoś czuł się winny, bo dzień przed wyścigami mieszał Coltonowi w głowie? Każdy wie, że odgrywałaś na nim te swoje małe gierki. Że przez ciebie był zmęczony. I że przez ciebie...

Chwytam ją za ramiona i przyciskam do ściany tak energicznie, że przerywa, bo brakuje jej tchu. Mam w sobie furię w masce spokoju.

— Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Tawny. Powiem to tylko raz, więc lepiej, żebyś słuchała, zrozumiano?

Przełyka ślinę i potakując bierze drżący wdech. Zerka na lewo i prawo, ale w korytarzu nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Nachylam się bliżej. W moich żyłach krąży ogień, a głos jest zimny jak lód.

— To przez ciebie Colton tu jest. Nie przeze mnie. Przez ciebie. W piekle jest osobne miejsce dla takich kobiet, które pieprzą się z facetami innych kobiet, i jeśli dalej będziesz się tak zachowywać, to możesz mieć pewność, że otrzymasz tam pokój ze swoim imieniem. —

Ściskam

jej

ramiona

nieco

mocniej,

ostrzegając ją w ten sposób, że dopiero się

rozgrzewam. — Oto, jak będzie, na wypadek,

gdybyś nie załapała najnowszego stanu rzeczy

i wciąż żyła przeszłością. Colton nie jest już do

wzięcia. Jest mój, a ja jestem jego. Czy to

jasne? — Nie obchodzi mnie jej brak

odpowiedzi, bo jestem jak w transie i nic mnie

nie powstrzyma. Zauważam, że zrobiła wielkie

oczy i kontynuuję: — Poza tym, jeśli

kiedykolwiek zasugerujesz lub dasz komuś do

rozumienia, że między tobą a Coltonem jest

coś więcej niż relacja zawodowa i znajomość

rodzinna, to będziesz miała do czynienia ze

mną... a gwarantuję ci, że to nie będzie

przyjemne. Mało jeszcze w życiu widziałaś,

laleczko. Gdy muszę chronić to, co moje, niszczę wszystko na swojej drodze. — Tawny

próbuję się wyrwać z mojego uścisku, ale ja

chwytam ją mocniej i nachylam się bliżej. —

Poza tym masz traktować mnie z szacunkiem i

trzymać ode mnie z dala swoje stado

puszczalskich przyjaciółek.

Mimo że nie pozwalam jej się wyrwać, udaje się jej odzyskać nieco panowania nad sobą i odpowiada:

— Bo co?

Kontynuuję, zupełnie ignorując jej pytanie:

— Twoja relacja z Coltonem będzie czysto zawodowa i nie będziesz podkładać mu pod oczy swoich cycków ani żadnych innych swoich *atutów*. Czy to jest jasne, czy mam ci to przeliterować?

Puszczam ją, bo przekazałam, co chciałam, ale wcale nie czuję się lepiej, bo Colton nadal leży na łóżku za ścianą. Tawny taksuje mnie spojrzeniem.

— Cóż, chyba wyraziłaś się jasno... Szkoda, że nie rozumiesz, iż Colton potrzebuje mnie w swoim życiu.

W mgnieniu oka przyciskam ją do ściany przedramieniem i cedzę kilka centymetrów od jej twarzy:

— Twój termin przydatności już dawno minął, *kochanie*. Colton potrzebuje tylko mnie. A jeśli spróbujesz go przekonywać, że jest inaczej, będziesz musiała pożegnać się ze swoją prestiżową pracą... więc lepiej zastanów się

dwa razy, zanim cokolwiek powiesz. —

Puszczam ją i zaczynam odchodzić, ale odwracam się jeszcze. W jej oczach kipi podobna wściekłość jak w moich. — I wiesz co, Tawny? Colton nie dowie się o tej rozmowie.

W ten sposób zachowasz pracę, a on będzie nadal przekonany, że jego przyjaciółka z dzieciństwa i szczenięca miłość jest miłą osobą, za jaką ją uważa, a nie podstępłą suką, którą jest w rzeczywistości.

— I tak by ci nie uwierzył. W końcu nadal tu jestem, czyż nie? — mówi do moich pleców.

Odwracam się powoli, próbując odzyskać przynajmniej częściową kontrolę nad gotującym się pod powierzchnią gniewem.

— Tak, *na razie* — mówię, unosząc brew, i potrząsam głową z niedowierzaniem — ale zegar tyka, *laleczko*. — Tawny próbuje coś powiedzieć, ale jej przerywam: — Sprawdź, czy nie żartuję. Sprowokuj mnie, bo naprawdę niczego tak nie pragnę, jak udowodnić ci, że mówię teraz całkowicie poważnie.

— Czy jest jakiś problem? — Z zamroczenia wściekłością wyrywa mnie głos wychodzącej z

pokoju Coltona pielęgniarki, którą spotkałam u
niego wcześniej.

Patrzę na nią, po czym zerkam na chwilę z
powrotem na Tawny.

— Nie, nie ma — odpowiadam słodkim głosem.

— Ja tylko wyrzucałam *śmieci*. — Posyłam Tawny jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie,
po czym wykonuję dziesięć kroków dzielących
mnie od pokoju Coltona i wchodzę do środka z
uśmiechem na twarzy.

Oddycham z ulgą, bo widzę, że doktor Irons
jest zajęty badaniem Coltona, a ja potrzebuję
chwili na uspokojenie łomoczącego pulsu i
drżących z gniewu palców. Colton zerka na
mnie i uśmiecha się lekko, po czym skupia się z
powrotem na rozmowie z lekarzem.

Wydycham

z

drżeniem

wstrzymywane

powietrze i widzę, że Beckett przechylił głowę

i

patrzy

na

mnie

zdezorientowany,

zastanawiając

się,

dlaczego

mam

tak

czerwone policzki. Potrząsam głową do niego.

Tymczasem doktor Irons postanawia ściągnąć

Coltonowi bandaż z głowy.

Tłumię westchnienie, które ciśnie mi się na

usta. W górnej części czaszki po prawej

stronie Colton ma wygolony placek z kręgiem

szwów o średnicy około pięciu centymetrów.

To miejsce jest opuchnięte, a srebrne szwy

tworzą przerażający kontrast z różowym

nacięciem i ciemną czerwienią zaschniętej

krwi.

Colton musiał zauważyć mój wyraz twarzy, bo

w trakcie badania wykonywanego przez

doktora Ironsa zerka w stronę Becketta i

pyta:

— Jak źle?

Beckett przygryza policzek od środka i

wykrzywia usta, oglądając ranę, po czym

wraca spojrzeniem do Coltona.

— Całkiem paskudnie, stary.

— Tak?

— Tak — potwierdza Beckett, kiwając głową.

— No trudno. — Colton wzrusza ramionami. —

To tylko włosy. Odrosną.

— Pomyśl o tym, ile punktów współczucia zarobisz u Rylee, jeśli dobrze to wykorzystasz.

Colton zerka na mnie i błyska uśmiechem.

— Nie potrzebuję mieć u niej żadnych punktów współczucia. — Mam odpowiedź na końcu języka, ale on przenosi wzrok za moje ramię.

— Tawny.

Automatycznie przechodzą mnie ciarki po plecach, ale staram się je zignorować.

Powiedziałam

swoje.

Dostała

ode

mnie

wystarczającą ilość liny, żeby się powiesić, sprawdzmy więc, czy woli się huśtać, czy zostać na ziemi.

— Cześć — mówi cicho. — Cieszę się, że się

przebudziłeś.

Staję przy łóżku obok Coltona i chwytam go za
prawą dłoń, zaznaczając swoje terytorium na

wypadek,

gdybym

nie

wyraziła

się

dostatecznie jasno. Zauważam, że wciąż nie
odzyskał pełni władzy w tej dłoni.

— Też się cieszę, że się przebudziłem —

odpowiada, po czym krzywi się i syczy pod

wpływem badawczego dotyku doktora Ironsa.

— Daj mi chwilkę, dobrze?

— Jasne.

Stoimy w milczeniu i obserwujemy badanie

Coltona. W końcu doktor odchyła się od niego.

— No dobrze, Colton, więc jakie masz jeszcze

pytania, bo na pewno masz jakieś poza tym, o

czym już rozmawialiśmy?

Colton spogląda na mnie i dostrzega moje

onieśmienie, bo w jego oczach pojawiają się

radosne ogniki. Porusza językiem w ustach i

uśmiecha się szerzej, unosząc brwi.

— Jeszcze nie, młody człowieku — śmieje się
rozbawiony doktor Irons i klepie go po
kolanie, bo domyślił się, o jakie pytanie chodzi.
Jestem pewna, że na moich policzkach widać
ślady zażenowania, ale w ogóle się tym nie
przejmuję. — Co ja bym dał, żeby znowu być
przed czterdziestką — wzdycha.

Colton wybucha śmiechem i patrzy na mnie
intensywnie.

Przeskakują
iskry,
które
rozpalają ukrytą żądzę.

— Niezależnie od czasu i miejsca, kochana —
powtarza słowa, które powiedział mi w noc,
gdy się poznaliśmy.

I nagle wszyscy w pokoju przestają istnieć.
Moje wnętrze zwija się z pożądania pod
wpływem jego słów i lubieżnego spojrzenia.

Patrzy
na
mnie
przez
chwilę

w

akompaniamencie

pulsującego

mięśnia

szczęki, po czym odwraca wzrok do doktora

Ironsa. Wzrusza ramionami w udawanych

przeprosinach, lecz na jego ustach pojawia się

połowiczny, łajdacki uśmiech.

— Przepraszam, ale dałeś mi zakaz i teraz

jeszcze bardziej mnie kusi, żeby go złamać.

Doktor Irons potrząsa głową.

— Zauważyłem, chłopcze, ale konsekwencje...

— zaczyna i tłumaczy, że w trakcie

rekonwalescencji trzeba pilnować ciśnienia

krwi przepływającej przez główne arterie w

jego

mózgu,

a

pewne

wyczerpujące

aktywności

mogłyby

podnieść

ciśnienie

powyżej bezpiecznego na tym etapie poziomu.

— Coś jeszcze?

— Tak — stwierdza Colton, a ja zauważam wymianę spojrzeń między nim a Beckettem.

Spogląda z powrotem na doktora i pyta: —

Kiedy będę mógł wrócić do wyścigów?

Spodziewałam się każdego innego pytania,

tylko nie tego. Oczywiście wiedziałam, że

raczej nie mam co liczyć, iż Colton nie będzie

chciał już startować, ale tak bezpośrednio

potwierdzenie moich obaw sprawia, że

zaczyna mnie ogarniać panika. Chociaż staram

się ukryć wywołany jego słowami miniatak

niepokoję, moje ciało instynktownie się spina,

zaciskam ręce na jego dłoni, a oddech

słyszalnie więźnie mi w gardle.

Colton odwraca się od doktora Ironsa, żeby

spojrzeć mi w oczy. Doktor najwyraźniej

wyczuwa mój niepokój, bo zwleka chwilę z

odpowiedzią. W tym czasie Colton przekazuje

mi bardzo wiele, lecz jednocześnie broni

dostępu do swoich najskrytszych myśli. W

chwili, gdy zaczynam wychwytywać coś

głębszego, odwraca się z powrotem do

doktora.

Tym gestem automatycznie pobudza mój
niepokój, chociaż nie mam pojęcia, jaka jest
jego przyczyna. A to jeszcze bardziej mnie
przeraża. Nawet w normalnym związku coś
nieznanego

budzi

przerażenie,

lecz

w

przypadku

Coltona

oznacza

dodatkowo

kompletny mętlik w głowie.

Mój puls przyspiesza od samego pytania, a
teraz jeszcze muszę się martwić tajemniczym
ostrzeżeniem w jego oczach? O co tu, do
cholery, chodzi? Może, jak zasugerował
wcześniej doktor Irons, wypadek wpłynął na
jego emocje i charakter? Próbuję sobie
wmówić, że taki właśnie jest powód i tak chcę
to rozegrać, ale głęboko w środku słyszę
sygnał ostrzegawczy, który w naszym związku

nigdy nie oznacza niczego dobrego.

Doktor Irons chrząka, czym wyrywa mnie z burzliwego transu. Boję się, co odpowie Coltonowi.

— Cóż... — Wzdycha i opuszcza wzrok na

tablet, po czym spogląda z powrotem na

Coltona. — Ponieważ zauważyłem, że za

każdym razem, gdy ci czegoś *zabraniam*, w praktyce zachęca cię to do jeszcze szybszego spróbowania...

— Szybko się uczysz — żartuje Colton.

Doktor Irons znowu wzdycha, próbując stłumić uśmiech cisnący mu się na usta.

— Teoretycznie musiałbym powiedzieć, że

powrót do wyścigów jest złym pomysłem, bo

twój mózg został już wystarczająco mocno

przetrzepany i nawet, gdy czaszka w pełni

wydobrzeje, wciąż będzie miała słabe punkty

w

miejscach

zrostu,

które

mogą

być

niebezpieczne... Ale wiem, że niezależnie od

moich słów zamierzasz wrócić do wyścigów,
prawda?

Muszę usiąść, bo chociaż staram się zachować
powierzchnowy spokój, poprawne domysły
doktora Ironsa zupełnie rozbiły mnie od
wewnątrz.

Colton bierze długi wdech i przez chwilę
patrzy w stronę okna, a ja dostrzegam
szczelinę w jego zbroi. Jest naprawdę
niewielka, ale jest. Być może nigdy się do tego
nie przyzna, ale bałby się wsiąść do
samochodu wyścigowego. Bałby się, że
przypomną mu się te wszystkie chwile przed
wypadkiem, których teraz nie pamięta. Bałby
się, że znowu stanie mu się coś złego. Jest tak
pochłonięty myślami, że bezwiednie zabiera mi
swoją rękę.

— Masz rację — odzywa się w końcu, a mnie
natychmiast przechodzą ciarki. — Wrócę. Nie
mam innego wyboru... ale dostosuję się do
twoich porad i poczekam, aż będę w pełni
zdrowy. Moi lekarze z Kalifornii skontaktują
się z tobą, żeby niczego nie przegapić.

Doktor Irons przełyka ślinę i potakuje.

— Dobrze, muszę w takim razie stwierdzić, że jesteś rozsądnym człowiekiem... to znaczy, o ile można mówić o rozsądku w przypadku kogoś, kto zarabia na życie jazdą z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. — Colton uśmiecha się na te słowa. — Przyjdę później sprawdzić, co u ciebie.

Doktor Irons wychodzi i w pokoju zapada niezręczna cisza. Myślę, że to dlatego, iż każdy z nas zastanawia się w milczeniu, co będzie, jeśli (a nie *gdy*) Colton wróci do wyścigów.

Czuję na sobie ciężar przerażenia i nie mam pojęcia, jak sobie z nim poradzić. Bo przecież nie dam rady patrzeć, jak wsiada do niemal identycznego samochodu jak ten, w którym prawie zginął.

Colton przerywa niezręczną ciszę.

— Becks?

— Tak? — Becks podchodzi bliżej i wbija wzrok w swojego przyjaciela.

— Powiedz Eddiemu, żeby wziął moją kartotekę od doktora Ironsa, żebyśmy mogli przestudiować mój przypadek i uzupełnić projekt HANS.

Wiem, że Colton mówi o ściśle tajnym
urządzeniu ochronnym, które miał na sobie w
trakcie wypadku i które CD Enterprises
zamierza opatentować, dlatego nie rozumiem,
dlaczego Beckett ma taki dziwny wyraz
twarzy.

Rzuca

Tawny

zaniepokojone

spojrzenie, po czym wraca do Coltona.

— Co, Becks? Czego mi nie mówicie? —

Najwyraźniej Colton także zauważył ich

reakcję.

Becks chrząka i bierze głęboki wdech.

— Zwolniłeś Eddiego kilka miesięcy temu,

Colton.

— Co? No weź. Przestań sobie ze mną

pogrywać i zdobądź dla niego moją kartotekę,

dobrze?

— Nie pogrywam sobie z tobą. Zniknął drugi

zestaw schematów, a Eddie miał kupę

hazardowych

długów

i

inne

problemy.

Wyrzuciłeś go, bo zbyt wiele wskazywało na niego — mówi Beckett, a Colton rozgląda się po pokoju, kręcąc głową w jedną i drugą stronę, jakby próbował zrozumieć to, co właśnie usłyszał.

— Serio? — upewnia się. Gdy Beckett potakuje, Colton przenosi wzrok na Tawny, która także potakuje. — O, kurwa — cedzi przez zęby i porusza ramionami, po czym odwraca się w stronę okna. Po chwili wraca spojrzeniem do Becketta — *Kradzież?* W ogóle tego nie pamiętam — mówi z rezygnacją i niedowierzaniem.

Ściskam jego dłoń, a on odwraca się do mnie.

— Hej, to nic takiego. Wszystko ci się przypomni. To tylko tymczasowe — mówię, próbując go pocieszyć najlepiej jak potrafię.

— Ale... jeśli nie pamiętam czegoś takiego, to o czym jeszcze nie pamiętam i nawet o tym nie wiem? — Patrzy na mnie zagubionym wzrokiem, a na jego twarzy przez chwilę pojawia się grymas bólu, który sprawia, że

moje serce przyspiesza ze strachu.

— Nie przejmuj się tym, stary. Pomyśl o tym całym gównie, za które normalnie dostałbyś w skórę, a teraz możesz się wyprzeć pod pretekstem amnezji.

Dzięki Bogu za pogodną osobowość Becketta, bo nawet jeśli Colton wciąż próbuje to wszystko ogarnąć, to poczułam w jego dłoni, że częściowo się rozluźnił. Wymieniam spojrzenie z Beckettem i po cichu mu za to dziękuję.

Tawny chrząka cicho i nagle wszyscy czujemy, jakbyśmy zostali wyrwani z prywatnych myśli.

Colton robi głęboki wdech i mówi:

— Tawny, chciałbym, żebyś wystosowała oświadczenie prasowe.

— Co chcesz w nim przekazać? — pyta panna

Zawsze Rzeczowa, podchodząc do jego łóżka

naprzeciw mnie. Colton zbiera myśli, a ona

zerka ukradkiem w moją stronę, po czym

skupia się na nim i mówi jeszcze łagodniej: —

Colton?

— Tak? — odpowiada Colton i podnosi wzrok, słysząc pytanie w jej głosie.

Tawny ściska jego biceps i ogląda ranę na głowie, po czym zabiera rękę, gdy on nie reaguje.

— Tak się cieszę, że z tego wychodzisz.

Wyczuwam szczerłość w jej głosie i wiem, że naprawdę tak myśli, ale to i tak nie sprawia, że zaczynam ją lubić.

— Mogło być o wiele gorzej z tego, co mi mówiono, więc też się cieszę. — Colton bierze łyk wody i marszczy brwi w skupieniu. —

Powiedz prasie, że już kilka dni temu odzyskałem świadomość. Czuję się coraz lepiej, ruszam z powrotem do Kalifornii, gdy tylko zostanę wypisany, czyli zapewne do tygodnia, i w trymiga wracam na tor. Dziękuję za wsparcie i modlitwy, a zamiast kwiatów i prezentów wolałbym, żeby wpłacili datek na Corporate Cares. Chłopcy potrzebują tego bardziej niż ja.

Tawny odrywa wzrok od telefonu, na którym wszystko zapisywała, i pyta:

— A co z utratą pamięci?

— Nie ich sprawa — stwierdza Colton i znowu zerka na

Becketta.

Wymieniają

porozumiewawcze spojrzenie. — To wszystko.

— Tawny podnosi wzrok i patrzy na Coltona,

jakby nie rozumiała. — Możesz już iść —

mówi Colton, a ja muszę ukryć wyraz szoku na

twarzy spowodowany tak niespodziewaną

odprawą.

Tawny podnosi głowę, wrzucając telefon do

torebki.

— Cóż, hm, no dobrze — odpowiada,

oblewając się purpurą, i rusza w stronę drzwi.

— Hej, Tawn? — zatrzymuje ją Colton,

kompletnie

mnie

zaskakując

swoim

zgryźliwym tonem.

— Tak? — pyta Tawny, odwracając się i stając

twarzą do nas.

— Jak już wystosujesz notkę prasową, możesz

pozbierać rzeczy i wracać do domu.

Przechyliła głowę i patrzy na Coltona przez

chwilę. Na jej twarzy maluje się zagubienie.

— Ale lepiej, jeśli jestem tutaj i dogaduję się z mediami...

— Nie — przerywa jej Colton. — Chyba nie zrozumiałaś, o czym mówię. — Tawny odruchowo zwilża dolną wargę, bo zaczynają zjadać ją nerwy. Robi krok w stronę łóżka, a Colton dodaje: — Znamy się już ile? Większą część życia? W każdym razie na tyle długo, że wiesz, iż nie lubię, gdy się ze mną pogrywa. — Colton przechyla się w jej stronę. Jej oczy się powiększają,

a

ja

wstrzymuję

oddech,

zaskoczona

jego

łodowatym

tonem.

—

Pogrywałaś ze mną, Tawn. A co gorsza,

pogrywałaś z Rylee. *I co?* Tego na pewno nie zapomniałem. *Game over.* Pakuj swoje śmieci.

Jesteś zwolniona.

Słyszę, jak Beckett głośno wciąga powietrze.

Jednocześnie Tawny wykrztusza:

— Ccco? Colton, nie...

— Daruj sobie — mówi Colton, podnosząc dłoń,

żeby

jej

przerwać,

i

potrząsa

głową,

demonstrując

swoje

rozczarowanie.

—

Oszczędź mi swoich niedorzecznych wykrętów

i idź, zanim pogorszysz swoją sytuację.

Tawny patrzy na niego, próbując mruganiem

odpędzić łzy, po czym zerka na Becketta,

odwraca się na pięcie i pośpiesznie wychodzi z

pokoju.

Patrzę za nią i próbuję sobie wyobrazić, co

musi teraz przeżywać. Straciła zarówno

pracę, jak i mężczyznę, który miał być jej

miłością życia.

A gdy słyszę za sobą, jak Colton wydaje z

siebie głośne westchnienie ulgi, robi mi się jej
szkoda.

Chociaż... *może nie do końca.*

Rozdział 12.

Stłumiony odgłos wyrywa mnie ze snu. Jestem
śmiertelnie zmęczona i pragnę wrócić w
objęcia Morfeusza, bo w ciągu ostatnich
dwóch tygodni bardzo niewiele spałam,
dlatego nie otwieram oczu i uznaję, że to
musiał być przelatujący samolot. Ale jestem
już świadoma, więc gdy słyszę ten odgłos po
raz drugi, wiem, że byłam w błędzie.

Otwieram oczy i jestem wstrząśnięta tym, co
widzę. Mój niepokorny zły chłopiec ma mocno
zaciśnięte powieki, boleśnie przygryza dolną
wargę, a jego twarz jest przesłonięta

milczącym

żalem

spływającym

mu

po

policzkach.

Jest

kompletnie

rozbity.

Momentalnie zastygam w niepewności.

Niepewność bierze się stąd, że w ostatnich dniach czułam, iż się od siebie oddaliliśmy. Z jednej strony wydawało mi się, że Colton mnie odpycha i utrzymuje na dystans, bo pilnował, żeby wszystkie rozmowy były powierzchowne.

W chwili, gdy podejmowałam poważny temat, zawsze bolała go głowa lub musiał się zdrzemnąć.

Ale oprócz tego zdarzały się dziwne sytuacje, gdy myślał, że nie zwracam na niego uwagi, i patrzył na moje odbicie w oknie pokoju z wyrazem bolesnego oddania na twarzy, albo raczej tęsknoty splecionej ze smutkiem. Takie krótkie spojrzenia zawsze przyprawiały mnie o ciarki na plecach.

Jego ciałem wstrząsa pojedynczy szloch.

Powoli

otwiera

oczy,

które

emanują

ewidentnym bólem. Mój mężczyzna nosi w

sobie blizny wyżłobione przez łzy małego chłopca. Odwraca wzrok i próbuje się pozbierać, ale uzyskuje tylko tyle, że z powrotem zaciska powieki i zaczyna jeszcze mocniej płakać.

— Colton? — Podnoszę się i wyciągam niepewnie dłoń, ale cofam ją, gdy widzę w jego oczach absolutną rozpacz. Moje wahanie okazuje się słuszne, gdyż Colton patrzy na moją dłoń i potrząsa głową, sugerując, że mój dotyk tylko by go dobił.

Ale ja nie mogę się powstrzymać. Jeśli chodzi o Coltona, to nigdy tego nie potrafię.

Nie mogę mu pozwolić cierpieć w milczeniu z powodu tego, co trawi jego duszę i przesłania cieniem jego twarz. Muszę nawiązać z nim kontakt i pocieszyć go w jedyny sposób, który wydawał się skuteczny w ostatnich kilku tygodniach.

Odpinam pas i zbliżam się do niego, pytając wzrokiem, czy mogę go dotknąć. Nie czekam na odpowiedź, bo nie chcę dawać mu kolejnej szansy na odepchnięcie mnie, tylko siadam mu na kolanach. Obejmuję go ramionami najlepiej,

jak potrafię, wtulam głowę w zagłębienie szyi i
zastygam w pokrzepiającej ciszy.

Trwam przy nim, gdy jego pierś targają
spazmy.

A płynące po jego twarzy łzy albo przynoszą
oczyszczenie, albo zwiastują nieuchronną
katastrofę.

Rozdział 13.

— Nie potrzebuję pieprzonego wózka
inwalidzkiego!

Powtarza to już po raz czwarty i na razie jest
to jedyna rzecz, jaką powiedział do mnie od
przebudzenia

w
samolocie.

Przygryzam

wargę, gdy widzę, jak walczy ze sobą,
wpatrując się w pielęgniarkę, która po raz
kolejny podjeżdża z tyłu wózkiem, nie
komentując ani słowem swojego trudnego
pacjenta. Jest wyczerpany wysiadaniem z
samochodu i przejściem kilku metrów w stronę
drzwi wejściowych, bo stanął i oparł się o
ścianę. Nie dziwię się, że w końcu się poddaje

i siada.

Dobrze,

że

napisałam

wcześniej

do

wszystkich, żeby czekali w domu i nie witali

nas na podjeździe. Widząc, ile wysiłku

kosztowało go przejście z samolotu do

samochodu uznałam, że mógłby się poczuć

zażenowany, gdyby miał widzów.

Paparazzi wciąż krzyczą po drugiej stronie

zamkniętej bramy, domagając się głośno

zdjęcia lub wypowiedzi Coltona, ale Sammy i

jego nowi pomocnicy świetnie się spisują w

pilnowaniu prywatności tej chwili, za co jestem

im niezmiernie wdzięczna.

— Dajcie mi pierdoloną minutę — jęczy, gdy

pielęgniarka zaczyna popychać wózek. Ma

kolejny atak bólu głowy, bo chwyta się za nią,

zgina palcami daszek czapki i siedzi bez

ruchu.

Biorę głęboki wdech i trzymając się na

uboczu, próbuję rozgryźć, co się z nim dzieje.

Po jego cichym załamaniu w samolocie wiem,
że nie chodzi tylko o bóle głowy. Ani o
wypadek. Coś się zmieniło, a ja nie potrafię
rozgryźć,
skąd
w
nim
te
sprzeczne
osobowości.

A gdy nie znam odpowiedzi na pytanie
dlaczego, staję się kłębkim nerwów.

Colton przyciska dłonie do skroni i widzę, jak napina
ramiona,
próbując
stłumić

promieniujący z głowy ból. Chociaż wiem, że
niewiele mogę zrobić, podchodzę do niego, bo
nie mogę się powstrzymać i muszę spróbować
mu jakoś pomóc. Kładę dłonie, żeby dać mu do
zrozumienia, że jestem przy nim.

Że nie jest sam.

— Nie potrzebuję pierdolonej pielęgniarki,

żeby mnie doglądała. Nic mi nie jest. Serio —
mówi Colton, spoczywając w półleżącej pozycji
na szezlongu. Komitet powitalny krótko po
naszym przybyciu zorientował się, że Colton
ma wyjątkowo kiepski nastrój, i wszyscy poza
Beckettem wyszli. Colton od trzydziestu minut
jest na górnym tarasie, bo po tak długim
zamknięciu w szpitalu ma ochotę posiedzieć w
spokoju i nacieszyć się słońcem. Ale trudno mu
uzyskać ten spokój, skoro wyklócał się z
każdym odwiedzającym, że nic mu nie jest i że
chce zostać sam.

Becks krzyżuje ramiona na piersi.

— Wiemy, że jesteś uparty jak osioł, ale
oberwałeś dość porządnie i nie zamierzamy
cię zostawić...

— Odwal się ode mnie, Daniels — wyszczekuje
Colton z widocznym rozdrażnieniem do
podchodzącego Becketta. — Gdybym chciał
usłyszeć twoje trzy grosze, to bym zapytał.

— No to lepiej otwórz swoją świnkę
skarbonkę, bo zamierzam ci wsypać całą
złotówkę w jednogroszówkach — odpowiada
Beckett, nachylając się bliżej Coltona. —

Główka cię boli? Postanowiłeś zachowywać się jak kutas, bo byłeś zamknięty w pieprzonym szpitalu? Pragniesz współczucia, którego nie otrzymujesz? No to, kurwa, szkoda. Prawie umarłeś, Colton, powtarzam: *umarłeś*, więc zamknij jadaczkę i przestań być dupkiem wobec ludzi, którzy się o ciebie troszczą. —

Becks potrząsa głową z irytacją, lecz nadąsany Colton jedynie naciąga czapkę bardziej na czoło.

Becks kontynuuje, lecz tym razem jego głos jest spokojny i wyrachowany, jak wtedy, gdy rozmawiał ze mną w pokoju hotelowym przed wyścigiem.

— Nie chcesz, żeby siostra Ratched myła cię gąbką? Rozumiem to. Masz wybór między nią, mną a Rylee, ale ktoś musi każdego wieczoru myć twoje jaja, dopóki lekarze nie stwierdzą inaczej. Wiem, kogo bym wybrał, i na pewno nie byłbym to ja, ani wielka mrukliwa niemiecka pielęgniarka, która czeka w kuchni. Kocham cię, stary, ale moja przyjaźń kończy się w momencie, w którym trzeba cię chwycić za interes. — Beckett odchyła się do tyłu i unosi brwi. Wzrusza skrzyżowanymi na piersi

ramionami, żeby podkreślić swoje słowa.

Colton patrzy na Becketta spod daszka swojej czapki i uparcie milczy. Jestem zmęczona, nerwowa i potrzebuję побыć z nim sam na sam, więc podchodzę bliżej i próbuję po raz kolejny naprawić nasz świat.

— Zostaję z tobą, Colton. Bez gadania. Nie zostawię cię tu samego — mówię i uciszam go dłonią, bo próbuje się sprzeczać. *Uparty*

duppek. — Jeśli chcesz się zachowywać jak mały chłopiec w trakcie napadu szału, to ja będę cię traktować jak takiego chłopca.

Po raz pierwszy od początku naszego pobytu na tarasie Colton podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

— Myślę, że powinniście już sobie pójść — mówi niskim i pełnym złości głosem.

Podchodzę jeszcze bliżej, bo chcę dać mu do zrozumienia, że może przeginać do woli, a ja i tak się nie wycofam. Rzucam mu w twarz jego własne słowa, chociaż nawet nie wiem, czy je w ogóle pamięta:

— Możemy to zrobić delikatnie lub brutalnie, As, ale na pewno zrobimy to *po mojemu*.

Upewniam się, że Becks wychodząc zamknął drzwi wejściowe, biorę talerz z serem i krakersami, po czym wracam na górę. Colton nadal spoczywa na szezlongu, ale ściągnął czapkę, odchylił głowę do tyłu i ma zamknięte oczy. Zatrzymuję się w drzwiach, żeby na niego popatrzeć. Wygolony placek na głowie powoli pokrywa się włosami, które zaczynają zasłaniać paskudną bliznę. Zmarszczone brwi Coltona mówią mi, że wcale nie jest spokojny. Wchodzę po cichu na taras. Cieszę się, że z głośników dobiegają łagodne dźwięki piosenki

Hard to Love, które maskują moje kroki, bo mam nadzieję, że nie obudzę Coltona. Kładę przed nim na stole leki przeciwbólowe i talerz z jedzeniem.

— Ty też możesz już iść.

Wzdrygam się, gdy słyszę jego mrukliwy głos wypowiadający nieoczekiwane słowa. Wpadam w irytację. Patrzę na niego, ale nie potrafię zrobić nic poza potrząśnięciem głowy z absolutnym niedowierzaniem, bo wciąż ma zamknięte oczy. Wydarzenia ostatnich kilku dni uderzają mnie jak kalejdoskop wspomnień. Dystans i unikanie. To coś więcej niż

ziartywanie tym, że jestem ograniczona jego
rekonwalescencją.

— Czy jest coś, co chciałbyś z siebie wyrzucić?

Samotna mewa skrzeczy nade mną, gdy

czekam

na

odpowiedź,

próbując

się

przygotować do tego, co usłyszę. Przejście od

niewyjaśnionego płaczu do stwierdzenia, że

mam już iść, nie zwiastuje niczego dobrego.

— Nie potrzebuję pieprzonego współczucia.

Nie masz czasem domu pełnego chłopców, w

którym

możesz

zrealizować

ten

swój

wrodzony popęd do wyczekiwania i głaskania?

Mógłby obrzucić mnie najgorszym mięsem, ale

nie ukłułoby mnie to tak, jak słowa, które

właśnie powiedział. Patrzę na niego oniemiała,

otwierając i zamykając usta, a on ma twarz

skierowaną do słońca i nadal zamknięte oczy.

— Że co? — tylko tyle udaje mi się wykrztusić w odpowiedzi.

— To, co słyszałaś. — Podnosi podbródek niczym w geście odprawienia, lecz nadal nie otwiera oczu. — Wiesz, gdzie są drzwi, słonko.

Być może brak snu przytłumił moją normalną reakcję, ale te słowa uruchomiły ją w stu procentach. Czuję, jakbyśmy cofnęli się w czasie o kilka tygodni, i natychmiast chowam się za swoją obronną tarczą. To, że nawet na mnie nie patrzy, jest jak nafta na mój płonący gniew.

— Co się, do cholery, dzieje, Donovan? Jeśli chcesz mnie splawić, mógłbyś przynajmniej zaszczyć mnie swoim spojrzeniem.

Zerka na mnie jednym okiem, jakby irytowała go rozmowa ze mną. Mam tego dosyć. Udało mu się mnie skrzywdzić w ciągu pięciu minut od chwili, gdy zostaliśmy sami, co nie było trudne, bo moja stabilność emocjonalna wisi na cienkiej nitce. Obserwuje mnie, a na jego twarzy pojawia się cień uśmiechu, jakby bawiła go moja reakcja i to, że ze mną pogrywa.

Przez głowę przemykają mi niewypowiedziane
myśli, które szepczą, żebym przyjrzała się
bliżej. Ale co mi umyka?

— Rylee, przypuszczalnie najlepiej będzie, gdy
zaczniemy nazywać rzeczy po imieniu.

—
Przypuszczalnie
najlepiej?

—
mówię
podniesionym głosem i uświadamiam sobie, że
być może oboje jesteśmy wyczerpani i
przytłoczeni tym wszystkim, co się wydarzyło,
ale wciąż nie mam pojęcia, o co chodzi. Czuję
kiełkującą panikę, bo przecież nie można
kurczowo trzymać się kogoś, kto nie życzy
sobie twojego towarzystwa. — Co jest,
Colton? Co się dzieje?

Odsuwam krzesło i podchodzę do barierki.

Patrzę przez chwilę na ocean, bo potrzebuję
chwili na wyciszenie frustracji i wskrzeszenie
cierpliwości,

ale

jestem

już

nieziemsko

zmęczona tym huraganem emocji.

— Nie możesz mnie odpychać, Colton. Nie

możesz mi mówić, że mnie potrzebujesz, a

chwile

później

odtrącać

najmocniej

jak

potrafisz.

—

Próbuję

nie

brzmieć

na

skrzywdzoną, ale to praktycznie niemożliwe.

— Mogę robić co tylko zechcę! — krzyczy na

mnie.

Odwracam się na pięcie z zaciśniętą szczęką i

czuję w ustach świeży smak odrzucenia.

— Nie, gdy jesteś ze mną, to nie możesz! —

mój głos niesie się echem po betonie tarasu, a

zapadająca cisza powoli pochłania wszelką

nadzieję.

— To może nie powiniennem być z tobą. —

Cicha determinacja w jego głosie zwała mnie z nóg. Czuję podczas wdechu promieniujący ból w piersi. Co, do licha? Czyżbym wszystko źle odczytała? Co mi umyka?

Chciałabym go zaatakować. Uwolnić całą furie, która we mnie rezonuje.

Colton odwraca na chwilę wzrok i w tym momencie coś zaskakuje. Wszystkie elementy układanki, z którymi od tygodnia nie umiałam sobie poradzić, w końcu zaczynają do siebie pasować.

A gdy wszystko staje się jasne, czuję się jak idiotka, że wcześniej tego nie widziałam.

Czas sprawdzić jego blef.

Ale co będzie, jeśli sprawdzę i okaże się, że jestem w błędzie? Serce więźnie mi w gardle na tę myśl, ale czy zostały mi jakiegokolwiek inne opcje? Wyglądam dłońmi dzinsy, zirytowana tym, że się denerwuję.

— Dobra — mówię z rezygnacją, podchodząc kilka kroków w jego stronę. — Wiesz co?

Masz rację. Nie potrzebuję takiego szajsu ani od ciebie, ani od kogokolwiek innego. —

Potrząsam głową i widzę, że bierze czapkę,

nasuwa ją na głowę i obniża daszek tak, że ledwo widzę jego oczy. Patrzy na mnie z pełną rezerwy intensywnością. — *Bez żadnych wykrętów, pamiętasz?* — powtarzam swoją groźbę, którą rzuciłam mu w jacuzzi całe wieki temu, i w końcu widzę przebłysk emocji w jego stoickich oczach.

Wzrusza lekceważąco ramionami, ale wiem, że do niego trafiłam. Może i nie wiem, o co dokładnie chodzi, ale coś jest nie tak i znudziła mi się jego ściema w stylu *już to przeżyłem*.

— Potrafisz w ogóle wyciągać wnioski? A może w trakcie operacji przy okazji wycięli ci zdrowy rozsądek?

Odruchowo podnosi na mnie oczy. *Świetnie*, mam jego uwagę. Jak dotąd się nie odezwał, ale przynajmniej na mnie uważnie patrzy.

— Nie potrzebuję twoich protekcyjnych pierdół, Rylee. — Naciąga daszek tak, że zasłania mu oczy, i odchyła się do tyłu, olewając mnie po raz kolejny. — Wiesz, gdzie są drzwi.

W jednej chwili doskakuję do niego i zrzucam mu czapkę z głowy, po czym nachylam twarz tak, że znajduje się kilka centymetrów od jego

twarży. Otwiera oczy, które kipią od emocji
wywołanych
przez
moje
niespodziewane
działania, po czym przełyka ślinę. Patrzę na
niego i nie zamierzam ustąpić.

— Nie odpychaj mnie, bo odepchnę cię
dziesięć razy mocniej — mówię mu, błagając
milcząco, by zajrzał do swojego wnętrza i był
ze sobą szczery. I żeby był szczery na temat
nas. — Świadomie mnie skrzywdziłeś. Wiem,
że grasz nieczysto, Colton... więc powiedz mi,
przed czym próbujesz mnie ochronić? —

Opuszczam się na szeszlony tak, że nasze uda
się dotykają, żeby czuł naszą więź i nie mógł
jej zaprzeczyć.

Przez kilka chwil patrzy w stronę oceanu. W
końcu spogląda na mnie pełnym wątpliwości
wzrokiem.

— Przed wszystkim. Przed niczym. — Wzrusza
ramionami i znowu odwraca wzrok. — Przede
mną — mówi niespodziewanie łamiącym się
głosem, który rozluźnia więzy ściskające moje

serce.

— Co... O czym ty mówisz? — Wsuwam dłoń w jego dłoń i ściskam ją, zastanawiając się, co siedzi w jego głowie. — Ochronić mnie?

Pomiatanie mną i pokazywanie drzwi w żaden sposób mnie nie chroni, Colton, lecz krzywdzi.

Przerabialiśmy to wcześniej...

— Daj sobie spokój, Ry.

— Nie dam sobie żadnego pieprzonego spokoju! — odpowiadam podniesionym głosem, bo chcę podkreślić swoje zdanie. — Nie możesz...

— Daj spokój! — nakazuje z zaciśniętą szczęką i widocznym napięciem w karku.

— Nie!

— Sama powiedziałaś, że już tak dłużej nie możesz — jego słowa dopływają do mnie na tle kojącego szumu oceanu, chociaż w moim sercu szaleje istny tajfun. Po jego spokojnym głosie domyślam się, że cierpi, natomiast słowa sprawiają, że zaczynam szukać w pamięci tego, o czym mówi.

— Co...? — zaczynam, ale przerywa mi gestem dłoni i zaciska mocno powieki, bo znowu ma

atak bólu głowy. Oczywiście czuję się winna,
że go tak naciskałam, ale jeśli myśli, że sobie pójdę, to mnie nie zna. Chciałabym wyciągnąć
dłoń, żeby go pocieszyć i ulżyć mu w bólu, ale
wiem, że nie jestem w stanie mu pomóc, więc
siedzę bez ruchu i bezmyślnie pocieram
kciukiem wierzch jego napiętej dłoni.

— Gdy byłem tutaj... słyszałem, jak mówisz w
kuchni do Becksa, że już nie możesz tak
dłużej... i że chętnie byś odeszła... — milknie i
wwierca się wzrokiem w moje oczy. Mięsień
szczęki pulsuje zapalczywie, przekazując mi
pytanie, które nie pada bezpośrednio.

— I o to to wszystko? — pytam jednocześnie
zdumiona i olśniona. — O urywek rozmowy z
Becksem, gdy mówiłam mu, że chętnie bym
odeszła lub zrobiła cokolwiek inaczej, gdyby to
uchroniło cię od leżenia w śpiączce w szpitalu?

—
Przypominam

sobie

konwersację

z

Beckettem,

której

fragmenty

zostały

wypaczone. Ale Colton w ogóle mnie o to nie zapytał. Nawet o tym nie wspomniał. I to mnie irytuje bardziej niż całe nieporozumienie.

— Powiedziałaś, że z chęcią byś odeszła — powtarza zdecydowanym tonem, jakby nie wierzył, że mówię prawdę. — Twoja litość nie jest ani potrzebna, ani mile widziana.

— Odsuwałeś się, bo myślałeś, że jestem tutaj z litości? I że po wypadku już cię nie chcę? — Teraz ja jestem wkurzona. — Cieszę się, że masz o mnie tak wysokie mniemanie. Co za palant — mruczę bardziej do siebie niż do niego. — Super, opieraj się dalej na domysłach, bo nie wiem, czy pamiętasz, ale jak dotąd działały prawdziwe cuda w naszym związku.

— Nie potrafię powstrzymać się od sarkazmu, ale po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, gdy wydawało mi się, że zawsze znajdziemy jakieś rozwiązanie, boli mnie to, że w ogóle przyszło mu do głowy, iż mogłabym pragnąć go mniej dlatego, że nie jest w pełni sprawny.

— Rylee — wzdycha głośno i próbuje chwycić

moją dłoń, ale ją odsuwam.

— Żadna *Rylee*. — Nie potrafię powstrzymać łez wzbierających w moich oczach. — Prawie cię straciłam...

— Masz pierdoloną rację i dlatego muszę pozwolić ci odejść! — wykrzykuje, po czym mruczy pod nosem jakieś przekleństwo. Splata palce na karku i łączy łokcie, próbując choć trochę stłumić swój gniew. Podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy, i oddycham płytko w poczuciu zagubienia. — Jednego wieczoru słyszałem twoją rozmowę z Haddie, gdy myślałaś, że śpię. Mówiłaś jej, że nie wiesz, czy będziesz w stanie patrzeć na to, jak znowu wsiadam do samochodu. Nie chcę być zmuszony do wyboru między tobą a wyścigami — oznajmia z ewidentnym bólem, którego fale rozbijają się o emanującą ze mnie desperację. — Potrzebuję i ciebie, i wyścigów, *Rylee*. — Rozpacz w jego głosie miesza się ze strachem i uderza w bardzo głębokie struny. — *I ciebie, i wyścigów.*

W końcu rozumiem. Nie chodzi o to, że myśli, iż go nie chcę, bo jest niesprawny, lecz że nie będę go chciała w przyszłości, ponieważ będę

czuła strach za każdym razem, gdy wsiądzie do samochodu.

Nie wiedziałam, że słyszał tę rozmowę. Tak swobodną rozmowę. Przechodzi mnie dreszcz, gdy przypominam sobie, co mówiłam, i to bez owijania w bawełnę, jak w rozmowach z innymi ludźmi.

Chwytam dłonią jego twarz i zmuszam go, żeby na mnie spojrzeć.

— Rozmawiaj ze mną, Colton. Nie możesz mnie po prostu zignorować lub odtrącić po tym wszystkim, co przeszliśmy. Musisz ze mną porozmawiać.

Albo

nigdy

tego

nie

przezwyciężymy.

Widzę emocje w jego oczach i przykro mi, że musi się z nimi zmagać. Przykro mi, że przez ostatni tydzień coś zżerało go od środka, chociaż powinien być skupiony na wracaniu do zdrowia. Nie na nas. Przykro mi, że w ogóle podważał cokolwiek związanego z nami.

Robi postrzępiony wydech i zamyka na chwilę
oczy.

— Próbuję zrobić to, co jest dla ciebie
najlepsze — jego głos jest tak cichy, że niemal
ginie w szumie fal.

— To, co jest dla mnie najlepsze? — pytam
identycznym tonem. Jestem zdumiona, lecz
chcę zrozumieć mężczyznę, który jest tak
skomplikowany, a jednocześnie pod wieloma
względami tak dziecinny.

Otwiera oczy i widzę w nich ból. Jest taki
odsłonięty i wrażliwy, że rozdziera mi serce.

— Jeśli nie będziemy razem... to nie będę cię
krzywdził za każdym razem, gdy wsiądę do
samochodu.

Przełyka ślinę, a ja milczę przez chwilę, żeby on mógł znaleźć właściwe słowa, a ja —
odzyskać zdolność oddychania. Odpychał mnie
dlatego, że mu zależy i że stawia mnie na
pierwszym miejscu. Serce mi rośnie na tę
myśl.

Podnosi rękę, bierze dłoń, którą trzymam na
jego policzku, splata palce z moimi i kładzie na
swoim udzie. Wbija wzrok w nasze połączone
dłonie.

— Mówiłem ci, że dzięki tobie staję się
lepszym człowiekiem... I ja próbuję z całych sił
być dla ciebie lepszym, ale za cholere nie
potrafię. Jako lepszy człowiek pozwoliłbym ci
odejść, żebyś nie musiała przeżywać na nowo
mojego wypadku i tego, co stało się z Maxem,
za każdym razem, gdy wsiałę do samochodu.
Zrobiłbym to, co dla ciebie najlepsze.

Dopiero po chwili udaje mi się odzyskać głos,

bo

to,

co

właśnie

usłyszałam,

jest

równoznaczne ze słowami „wyściguję cię”.

Dowodzi tak głębokiej przemiany w nim, że nie

potrafię powstrzymać łzy, która zsuwa się po

moim policzku.

Poddaję się chwili. Nachylam się i przyciskam

usta do jego ust. Smakuję go, bo chcę chociaż

w taki sposób upewnić się, że żyje i jest ze mną. Że mężczyzna, którego miałam nadzieję

znaleźć pod tymi wszystkimi bliznami i ranami,

naprawdę tam jest. Że to właśnie ten piękny

pokrzywdzony facet, który przyciska teraz

swoje usta do moich.

Oddalam się odrobinę i patrzę mu w oczy.

— To, co najlepsze dla mnie? Nie wiesz, co jest

dla mnie najlepsze, Colton? Każde twoje

oblicze.

Uparte,

dzikie

i

lekkomyślne,

zabawne, poważne, a nawet to zepsute —

mówię, całując go między poszczególnymi

słowami. — Wszystko to, czego nigdy nie będę

w stanie znaleźć u kogoś innego... Tego

właśnie potrzebuję. Tego pragnę. Ciebie,

kochany. Tylko ciebie.

To właśnie jest miłość — chciałabym do niego wykrzyknąć. Potrząsnąć nim, żeby zrozumiał,

że tak wygląda prawdziwa miłość. A nie tak,

jak

nauczyła

go

matka.

Całe

to

niepohamowane cierpienie i przemoc, których doświadczył w przeszłości, nie ma nic wspólnego z miłością. To jest miłość: ja i on, szukający wspólnej ścieżki. To, że jedna strona jest silna, gdy druga tego potrzebuje. To, że myśli się o drugiej stronie, gdy ma się świadomość, że nasze działania mogą ją skrzywdzić.

Ale nie mogę tego powiedzieć.

Nie mogę wzbudzić w nim lęku, przypominając

mu to, co do mnie czuł, lub to, co mi

powiedział. Przeszkadza mi, że nie mogę mu

powiedzieć *wyściguję cię*, ale mogę mu to pokazać, trzymając go za rękę i okazując siłę,

gdy tego potrzebuje. I milcząc, chociaż

chciałabym krzyknąć.

Colton przygryza dolną wargę i patrzy na mnie

z absolutnym oddaniem w oczach. Wyczuwa

emocje i chrząka, po czym kiwa głową,

milcząco akceptując moje błagalne słowa.

— To, co powiedziałaś Haddie, jest prawdą.

Będiesz umierać za każdym razem, gdy

wsiądę do samochodu...

— Nie zamierzam cię okłamywać. Będę

umierała za każdym razem, ale znajdę sposób,

jak się z tym uporać, gdy dojdziemy do tego

momentu — mówię, chociaż na samą myśl

czuję na sercu lepkie macki strachu. — To

znaczy: *my* znajdziemy — poprawiam się, a jeden kącik jego ust unosi się w najbardziej

uroczym uśmiechu na świecie, który roztopia

moje serce.

Colton potakuje, a jego wzrok przekazuje mi

słowa, które chciałabym usłyszeć. Na razie mi

to wystarczy. Bo gdy masz do czynienia z

czymś

najważniejszym

na

świecie,

zaakceptujesz cokolwiek, żeby to zatrzymać.

— Nie jestem w tym dobry — wyznaje z troską

w oczach, która odciska się na jego twarzy.

— Nikt nie jest — odpowiadam, ściskając jego

dłoń. — Związki nie zawsze są usłane różami.

Zdarzają się komplikacje i trudności... ale w

takich sytuacjach najwięcej się o sobie uczymy.

A gdy wszystko jest w porządku... —

przerywam i czekam, aż spojrzy mi w oczy —

to czujesz się, jak w domu... jakbyś znalazł

brakującą część swojej duszy... — Odwracam

wzrok, bo nagle zawstydzam się swoimi

introspekcyjnymi słowami i beznadziejnie

romantyczną naturą.

Colton ściska moją dłoń, lecz ja nadal jestem odwrócona twarzą do słońca. Liczę na to, że w jego blasku nie będzie widać koloru moich policzków. Wyobrażam sobie, co mogłoby się stać, gdyby tylko dopuścił mnie do swojego wnętrza i pozwolił w nim zostać. Nie przeszkadza mi cisza, bo jest wypełniona możliwościami,

a

nie

wzajemnym

niezrozumieniem.

Skąpani

w

świecie

słonecznym zatapiamy się w myślach, bo taras

świetnie się do tego nadaje, a my akceptujemy

to, że mamy przed sobą wspólną przyszłość.

W takim refleksyjnym stanie miga mi przed

oczami stojący na stole talerz z jedzeniem i

tabletki.

— Hej, musisz wziąć tabletki — mówię,

odwracając się do niego i spoglądając mu w

oczy.

Colton kładzie dłoń na moim policzku i muska

kciukiem

moją

dolną

wargę.

Biorę

postrzępiony, egzaltowany wdech, a on

obserwuje mnie, przechylając głowę.

—

Jesteś

jedynym

lekarstwem,

jakiego

potrzebuję, Rylee.

Nie mogę się powstrzymać przed uśmiechem i

sarkastyczną odpowiedzią.

—

Widzę,

że

lekarze

nie

wycięli

ci

umiejętności bajerowania?

— Nie — mówi z diabelskim uśmiechem, po czym równocześnie zbliżamy się do siebie.

Bardzo delikatnie muskamy się wargami dwa razy, po czym Colton rozchyła usta i zaczynamy taniec języków. Pieścimy się dłońmi i czujemy, jak wzbierają nasze serca od czułości wkładanej w pocałunek. Podnosi drugą dłoń, żeby położyć na moim policzku, i próbuje ją na nim utrzymać, a ja czuję jej drżenie, więc przykładam do niej swoją dłoń, żeby mu pomóc. Czuję płomień pożądania w głębi brzucha i chociaż wiem, że zalecenia lekarza nie pozwalają mi zaspokoić mojej żądzy, to i tak rozpaczliwie tego pragnę.

Gdy przeżywamy intymne zespolenie, chodzi o coś więcej niż niezmierny orgazm z wyjątkowo doświadczonym Coltonem. O coś, czego nie da się opisać słowami. Satysfakcja płynąca z naszego

zespoleń

zapuszcza

korzenie

głęboko w mojej duszy i dopełnia mnie. I wiąże nas ze sobą. Brakuje mi tego uczucia.

Z głębi gardła Coltona dobywa się seksowny jak diabli pomruk, który wcale nie ułatwia mi opanowania żądy. Gładzę wolną ręką jego klatkę piersiową, odczuwając przyjemne wibracje będące rezultatem mojego dotyku.

Przechodzą mnie ciarki, ale wcale nie z powodu oceanicznej bryzy, lecz fali doznań, za którymi tak tęskni moje ciało.

— Kurde, tak bym chciał w ciebie wejść, Ry — szepcze w moje usta, a każdy nerw w moim ciele staje w gotowości i błaga o to, żeby mnie wziął, posiadał i ponownie uczynił swoją.

Zsuwam dłoń w dół jego torsu i już mam powiedzieć „*pieprzyć zalecenia lekarza*”, gdy nagle czuję, jak ciało Coltona się spina, a jego oddech staje się urywany.

Natychmiast zalewa mnie poczucie winy z powodu braku siły woli do odparcia pokusy, którą mam przed oczami, i przełączam się w tryb opiekuńczy.

— Mocno boli? — pytam.

Colton nieznacznie kiwa głową, nie zmieniając grymasu twarzy i nie otwierając zaciśniętych powiek, po czym przesuwa się i przyjmuje pozycję pólężącą. Biorę tabletkę i wkładam mu w dłoń.

Najwyraźniej nie jestem jedynym lekarstwem, jakiego potrzebuje.

Rozdział 14.

Spaceruję po domu w Malibu. Zamartwianie się Coltonem i tęsknota za chłopcami i Haddie spędza mi sen z powiek. To najdłuższy jak dotąd okres rozłąki z nimi i chociaż kocham Coltona, potrzebuję tego elementu *mojego życia*.

Potrzebuję ich energii, która zawsze podnosi mnie na duchu i poprawia mi samopoczucie.

Przegapiłam zeznanie Zandera, zdobycie czwartej bazy przez Ricky'ego, wezwanie Aideny do gabinetu dyrektora za przerwanie bójki, a nie za jej wszczęcie... Czuję się jak wyrodna matka, która zaniedbuje swoje dzieci.

Nie znalazłszy ukojenia, wchodzę po schodach,

żeby po raz milionowy sprawdzić, co u
Coltona. I upewnić się, że wciąż jest
znokautowany
przez
mieszankę
medykamentów, którą doktor Irons zalecił
nam przez telefon, gdy ból głowy Coltona nie
chciał ustąpić.

Wciąż się martwię. Chyba podświadomie boję
się zasnąć, bo mogłabym przegapić jego
wołanie o pomoc.

Przypominają mi się wyznania Coltona sprzed
ataku bólu głowy i na mojej twarzy rozkwita
bezwiedny uśmiech. To, że próbował mnie
odepchnąć, żeby mnie chronić, było może
niefortunne, ale cudowne.

Z całą pewnością jest jeszcze dla nas nadzieja.

Podchodzę do łóżka. W tle cicho gra
Halestorm, a ja odruchowo wstrzymuję
oddech, gdy siadam na łóżku obok Coltona.

Leży na brzuchu z rękami pod poduszką i
twarzą skierowaną w bok, w moją stronę.

Jasnoniebieskie prześcieradło zsunęło mu się
poniżej bioder. Wodzę wzrokiem wzdłuż

wyrzeźbionych linii jego pleców i pragnę
dotknąć jego rozgrzanej skóry. Potem oglądam
bliznę na głowie, która powoli kryje się pod
krótkimi włoskami. Jeszcze trochę i nikt nie
będzie wiedział, że pod włosami kryje się ślad
poważnej traumy.

Ale ja będę wiedziała. Będę pamiętała. I będę się bała.

Potrząsam głową i zamykam oczy, bo chcę
okiełznać nagły przypływ emocji. Biorę jego
koszulkę, która leży obok niego, i zanurzam w
niej nos, wchłaniając jego zapach. Chcę, żeby
to poczucie więzi złagodziło odczuwany
nieustannie strach. Nie wystarcza mi to, więc
kładę się na łóżku obok niego. Nachylam się i
składam pocałunek między łopatkami, starając
się go nie obudzić.

Wdycham jego zapach, czuję ciepło jego ciała
na swoich ustach i dziękuję Bogu, że znowu
mogę tego doświadczać. Za drugą szansę.

Leżę tak przez chwilę i szepczę bezgłośnie
podziękowania, gdy nagle Colton zaczyna
zawodzić.

— *Proszę, nie* — mówi dziecięcym głosem, który w ustach dorosłego mężczyzny brzmi
przerażająco, niepokojąco i druzgocąco. —

*Proszę, mamusiu, będę grzeczny. Nie daj mi
mnie skrzywdzić.*

Odrzuca głowę w proteście i obejmuje się
ramionami, a całe jego ciało się spina. Próbuję
go obudzić, chwytam go za ramiona i
potrząsam. Jego głos staje się coraz bardziej
uporczywy i niepokojący.

— *Proszę, mamusiu. Prooooooszę* — jęczy
błagalnym i falującym z przerażenia tonem.

Serce więźnie mi w gardle i łązy cisną się do oczu, gdy patrzę na tego małego chłopca w
ciele dorosłego mężczyzny.

— Obudź się, Colton! — Szarpię go za ramię.

Zaczyna bardziej się wiercić, ale silne
lekarstwa, które doktor Irons kazał mi mu
podać, nie pozwalają wyrwać go ze szponów
koszmaru. — Hej, Colton, obudź się —
powtarzam, a on zaczyna się kołysać i szeptać
dobrze mi znaną mantrę.

Wyrywa mi się szloch, a on po raz kolejny
przewraca się na drugi bok, milknie, po czym
odwraca
się
na
plecy.

Potem

jeszcze

przewraca się tam i z powrotem kilka razy, a

ja oddycham z ulgą, bo najwyraźniej koszmar

minął. Wciąż jednak wydaje się niespokojny,

więc wpełzam obok niego. Kładę głowę na

jego piersi, splatam nogi z jego nogami i

przykładam dłoń do jego szaleńczo bijącego

serca. A potem zaczynam robić jedyne, co

może go ukoić: śpiewam.

Śpiewam o małych chłopcach i żyjących w

wyobraźni

smokach.

O

wierze

w

coś

niemożliwego. O zapominaniu i ruszaniu dalej.

— Mój ojciec śpiewał mi to, gdy miałem

koszmary.

Pomruk jego głosu śmiertelnie mnie przeraża.

Nie wiedziałam, że się obudził. Obejmuje mnie

ramieniem i przyciąga bliżej do siebie.

— Wiem — szepczę w półmrok oświetlonego

księżycem pokoju — a teraz je miałeś.

Colton wydaje z siebie łagodne westchnienie i zapada cisza. Wiem, że wciąż ma w głowie swój sen, więc pozwalam mu pomyśleć o nim w ciszy. Przyciska usta do czubka mojej głowy i tak zastyga.

W końcu się odzywa, a ja czuję ciepło jego oddechu na głowie.

— Byłem przerażony. Pamiętam jak przez mgłę, że byłem przerażony w ciągu tych ostatnich kilku sekund, gdy samochód obracał się w powietrzu — po raz pierwszy przyznał się do czegoś, co potwierdza moje obawy związane z wypadkiem.

— Ja też — mówię, gładząc go dłonią po piersi.

— Wiem — odpowiada i wsuwa mi dłoń pod majtki, chwytając za pośladek i przyciągając do siebie, żebym spojrzała mu w oczy. —

Przepraszam,

że

musiałaś

przez

to

przechodzić po raz drugi. — Widzę szczerłość

w jego oczach i zmarszczonym czole, lecz nie potrafię się odezwać, bo łyzy blokują mi gardło.

Chcę mu jednak podziękować, że dostrzegł moje uczucia, więc nachylam się i całuję go w usta.

Rozchyła wargi, a ja wsuwam w nie swój język. Słyszę cichy pomruk dobywający się z głębi jego gardła, który pobudza mnie do posmakowania jedyne go lekarstwa na moje uzależnienie. Gładzę dłońmi jego zarośnięte policzki, po czym chwytam go za kark i zażywam odurzającą miksturę, od której zdążyłam się uzależnić. Mieszani nę jego smaku, dotyku i seksualnej wibracji.

Ujmuje moją twarz w dłonie, wplatając palce w moje włosy, i odsuwa ją na moment od swojej. Patrzymy na siebie, dysząc sobie w usta, a nasze oczy przekazują otwarcie emocje, które wcześniej staraliśmy się ukryć.

Czuję, jak jego szczęka pulsuje pod moimi palcami, gdy próbuje się wysłowić.

— Ry... — urywa, a ja wstrzymuję oddech.

Moja dusza zamiera z nadzieją. W myślach dopowiadam sobie upragnione dwa słowa,

które idealnie dopełniłyby jego wypowiedź i naszą relację. Słowa, które widzę w jego oczach i czuję w jego pełnym uwielbienia dotyku. Przełyka ślinę i dodaje: — Dziękuję, że zostałeś.

— Nie ma takiego miejsca, w którym wolałabym teraz być — mówię cicho. Widzę, jak moje słowa trafiają do jego wnętrza, bo przyciąga mnie do siebie i sadza sobie na udach, a potem rozgniata swoje usta o moje.

To prawdziwe zderzenie. Moje pragnienie zderza się z jego desperacją i następuje eksplozja gorączkowej namiętności. Błądzimy dłońmi, smakujemy się językami i rozpalamy emocje, przypominając sobie kształty naszych ciał.

Colton zsuwa dłoń po moich plecach i chwyta mnie za biodro, przesuwając mnie na ukrytą w bokserkach stalową erekcję. Zalewają mnie doznania, które wywołują tak intensywną żądzę, że aż graniczącą z bólem. Moje ciało domaga się tej wszechogarniającej rozkoszy, którą tylko on potrafi mi zapewnić.

Wchłaniam jego jęk, pochłonięta przez naszą

bliskość i emocje chwili. Colton zsuwa drugą
dłoń na moje biodro i próbuje ściągnąć mi
koszulkę, ale nie potrafi chwycić materiału
prawą dłonią. Nie chcę, żeby to zepsuło
nastrój
chwili,
więc
szybko
przejmuję
inicjatywę, krzyżuję dłonie na piersiach,
chwytam za dół koszulki i zdejmuję ją przez
głowę.

Siedzę na nim okrakiem. Nie licząc skąpych
majtek, jestem naga, a on błądzi wzrokiem po
moich kształtach. Widzę w jego oczach
samcze uznanie, nieokiełznane pożądanie i
nieodpartą żądzę. Wyciąga dłoń, żeby mnie
dotknąć. Tańczy palcami na mojej klatce
piersiowej, a potem przyciąga moją twarz do
swojej, żeby mnie smakować i kusić.

Moje piersi przyciskają się do jego torsu.

Jęczę, bo moje stwardniałe sutki są wrażliwe
na dotyk. Colton zmusza mnie do poruszania
biodrami i zalewają mnie doznania. Jestem na

granicy eksplozji. Wyginam się w łuk i daję się
ponieść doznaniom, a on całuje moje piersi,
przykładając gorące usta do chłodnej skóry.

Pragnę go. Potrzebuję go. Pożądam go tak
bardzo, że nie sądziłam, iż to w ogóle możliwe.

Dyszmy ciężko, a nasze serca łomoczą
szaleńczo, gdy dajemy się ponieść instynktowi,
który przyciąga nas do siebie od pierwszego
spotkania.

Nagle

czuję,

że

jego

ręka

wiotczeje, i przypomina mi się ostrzeżenie
doktora Ironsa. Chcę go zignorować i kazać
mu spierdalać, a potem osiąść swojego
mężczyznę, zadowolić go i oddać mu się tak,
jak on oddaje mi się każdym fragmentem
swojego jestestwa. Ale nie mogę ryzykować.

Zsuwam dłonie na biodra i splatam palce z
jego palcami. Przerywam pocałunek i opieram
czoło na jego czole.

—

Nie

możemy.

To

niebezpieczne

—

wykrztuszam, a mój napięty głos zdradza, z jakim trudem przychodzi mi rezygnacja ze zrobienia tego, czego oboje pragniemy. Colton nie wydaje żadnego dźwięku. Przyciska tylko mocniej dłonie do moich bioder, a nasze ciężkie oddechy wypełniają ciszę sypialni. — Zbyt duży wysiłek.

— Mała, jeśli nie ma wysiłku, to znaczy, że nie robię tego tak, jak należy — chichocze w moją szyję, łaskocząc zarostem spragnioną jego dotyku skórę.

Zmuszam się, żeby usiąść prosto i być dalej od jego kuszących ust, ale uświadamiam sobie, że w tej pozycji czuję większy nacisk między nogami, wywierany przez jego erekcję. Muszę stłumić jęk, który pragnie wyrwać się z moich ust. Colton się uśmiecha, bo dokładnie wie, co się właśnie stało. Próbuję udawać, że w ogóle to na mnie nie działa, ale moje wysiłki spełzają

na niczym, gdy zaczyna kołysać biodrami.

— *Colton* — jęczę przeciągle.

— Dobrze wiesz, że wcale nie chcesz, żebym przestał — mówi z szelmowskim uśmiechem i chce coś dodać, ale kładę mu palec na ustach.

— *Ta kobieta* po prostu dba o twoje bezpieczeństwo.

— Ale niestety zapomniałaś, że pacjent zawsze ma rację, a *ten pacjent* myśli, że *ta kobieta*...

— mówi i przez chwilę ssie mój palec, co wywołuje we mnie kaskadę doznań — pragnie być

porządnie

przerżnięta

przez

tego

pacjenta.

Zaciskam na nim nogi i przyciskam dłonie do

ud, bo moje ciało przypomina sobie, jak

wygląda porządne rżnięcie w wykonaniu

Coltona

Donavana.

Chociaż

staram

się

wykrzesać całą swoją siłę woli, moje ciało

krzyczy: bierz mnie, napiętnuj mnie, posiadź

mnie. Każdy kawałek ciała, tu i teraz.

— Bezpieczeństwo — protestuję ponownie,

próbując

odzyskać

choć

szczętkową

kontrolę nad swoim ciałem i sytuacją. Staram

się myśleć o jego bezpieczeństwie, a nie o

dzikim i nieokiełznanym płomieniu pożądania,

który czuję w środku.

— Ryles, czy ty widziałaś kiedykolwiek, żebym

dbał

o

bezpieczeństwo?

—

Posyła

mi

zwodniczy, diabelski uśmiech, któremu nigdy

nie potrafiłam się oprzeć. — Proszę... pozwól

mi się wysilić — błaga, a ja wiem, że pod tym

swawolnym tonem kryje się mężczyzna, który

ostatkiem sił panuje nad sobą. — Umieram z pragnienia, żeby zająć miejsce kierowcy i narzucić tempo.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu, bo jego słowa przypominają mi pewien komentarz.

— Gdy cię poznałam, Haddie się zastanawiała, czy pieprzysz się tak, jak prowadzisz samochód.

Chichocze krótko, po czym uśmiecha się szelmowsko, a na jego twarzy pojawia się uwielbiany przeze mnie dołeczek.

— Czyli jak?

— Ze szczyptą brawury, przekraczając wszelkie granice i z zaangażowaniem aż do ostatniego okrążenia... — milknę stopniowo, przesuwając palec przez środek jego klatki piersiowej, i czuję, jak jego mięśnie napinają się pod wpływem mojego dotyku.

Przechyliła głowę, a jego arogancki uśmiech nieco się poszerza.

— Myślisz, że miała rację, czy mam cię zabrać na kolejne okrążenie, żeby odświeżyć ci pamięć?

Uwielbiam patrzeć na Coltona, którego znam i

za którym tęskniłam. Ma w sobie taką
żywiłowość, że postanawiam się trochę
zabawić i pokonać go w jego własnej grze.
Chce seksu, którego nie zamierzam mu dać,
ale to nie znaczy, że nie mogę mu ulżyć za
pomocą drobnego pokazu. Muszę zrobić coś,
co jakoś go rozładuje.

Albo jeszcze bardziej rozpali pożądanie.

Przesuwam palce w dół jego klatki piersiowej
na swoje kolana, a potem w górę moich ud.
Patrzy, jak zatrzymuję się na szczycie
trójkątnego skrawka materiału zakrywającego
moją kobiecość.

— Nie wiem, czy pamiętam, As. Tak dawno nie
widziałam cię w akcji.

Wciąga powietrze, co jeszcze bardziej mnie
pobudza, i pozwalam sobie pójść o krok dalej.

Pocieram dłonią swój nagi brzuch, po czym
chwytam się za ciężkie od pożądania piersi.

Ujmuję sutki kciukami i palcami wskazującymi
i celowo przeciągam wargę przez zęby. Jęczę
cicho, oddając się doznaniom rozplywającym
się po całym ciele. Jego oczy ciemnieją, gdy
patrzy, jak sprawiam sobie przyjemność.

Rozchyła wargi, a jego członek pulsuje między moimi udami.

Ta reakcja mnie ośmiela i dodaje mi odwagi.

Jeszcze kilka miesięcy temu nie było mowy, żebym zrobiła coś takiego i bezwstydnie dotykała się pod jego badawczym wzrokiem.

Ale on zrobił to dla mnie i pokazał mi, że moje ciało jest seksowne. Że ciało, w którym widziałam tyle niedoskonałości, jest przez niego pożądane i go podnieca. *I w pełni go zaspokaja.*

Mając tę świadomość, jestem w stanie wykonać ten pokaz z pewnością siebie i bez drżenia dłoni.

Pozwalam sobie na jeszcze jeden jęk i widzę

pożądanie

w

jego

zielonych

oczach.

Dostrzegam moment, w którym orientuje się,

co zamierzam zrobić. Unosi w połowicznym

uśmiechu jeden kącik swoich nieziemsko

pięknych ust. Potrząsa lekko głową, a jego

twarz emanuje radością, która mówi mi, że z

przyjemnością zagra ze mną w tę grę.

— Jeśli chcesz mnie powstrzymać, nie
powinnaś rzucać takich komentarzy.

Porusza biodrami pode mną i czuję, jak jego
twarda jak skała męskość przyciska się
dokładnie tam, gdzie najbardziej pragnę ją
poczuć. Napiera na miejsce, które powinna
wypełnić,

i
podsycia
moje
niespełnione
pożądanie.

Próbuję
stłumić
odruchowe
westchnienie i udawać nieśmiałą, ale moje
starania spełzają na niczym, gdy Colton znowu
porusza biodrami. Rozchyłam wargi, z głębi
mojego
gardła
dobywa
się
zadowolone

mruczenie, a dłoń bezwiednie przyciska się do moich wilgotnych majtek. Muszę coś zrobić, żeby stłumić tę żądzę, która każe mi sięgnąć po zakazany, lecz upragniony owoc.

Po niego.

Przestaje ruszać biodrami, a ja zatapiam palce w udach, żeby powstrzymać się od zrobienia tego, czego pragnę: zerwania z niego bokserek, wzięcia jego nabrzmiałego członka w dłoń i nakierowania go w siebie, żeby poczuć to rozkoszne rozciąganie. Odzyskuję kontrolę nad sobą w wystarczającym stopniu, żeby podnieść wzrok i spojrzeć mu w oczy.

Udaję, że doskonale nad sobą panuję, chociaż tak naprawdę stąпам po bardzo cienkim lodzie.

Colton wyciąga dłoń i boleśnie wolno rysuje linię między moimi piersiami. Zauważa, że moje sutki stwardniały pod wpływem tego dotyku, i jego uśmiech rozszerza się na całe usta, bo to dowodzi, że moja stanowczość to tylko maska mająca ukryć moje niewiarygodne podniecenie.

— Cóż, jeśli myślisz, że pieprzę tak, jak

prowadzę samochód, powinnaś zobaczyć, jak
podkręcam tempo i *wyściguję* się z tobą na finiszu.

Oddech więźnie mi w gardle. Na pewno użył
słowa *wyścigować* przez przypadek, bo to w końcu jego zawód, ale każda cząstka mojej
duszy liczy skrycie, że jestem w błędzie. Że on
w ten sposób chce mi przekazać, iż pamięta.

Ale nadzieja gaśnie równie szybko, jak się
pojawia, a ja ostrożnie wydycham powietrze.

Robię więc jedyną rzecz, która mi pozwoli o
tym zapomnieć, a jemu ułatwi przypomnienie.

Czas na wykonanie show, którym go kusiłam.

Colton patrzy to w moje oczy, to na palce, a ja
rozkładam nogi szerzej, żeby dokładnie

widział, co robię. Wsuwam końce palców pod
majtki i zatrzymuję się. Moje ciało domaga się

dotyku równie mocno jak on, co widzę w jego

wzroku i w tym, jak pociera palce, pragnąc

samemu mnie dotknąć. Ale wciąż nad sobą

panuje. Wciąż jest spokojny.

Czas przetestować jego powściągliwość.

— Myślałam, że wyścigi to nie jest sport
drużynowy — mówię spod rzęs. — Wiesz,
każdy patrzy na siebie. — Sprawdzam, czy
patrzy, i zsuwam palce nieco dalej na południe,

a on z trudem przełyka ślinę.

— Każdy, tak — wykrztusza w końcu. —

Wyścigi to niebezpieczny sport, wiesz?

— Naprawdę? — odpowiadam pytaniem.

Wsuwam dłoń jeszcze głębiej między nogi,
żeby zadać sobie słodką torturę. Wślizguję się
między wilgotne od podniecenia wargi i
zaczynam pocierać łechtaczkę. Wszystko jest
takie rozkoszne — przyciskanie, pocieranie,
jego twardy członek napierający na mnie od
dołu — ale najbardziej podnieca mnie jego
wyraz twarzy. Niezaprzeczalne podniecenie i
absolutne skupienie na moich ruchach, których
może się tylko domyślać, bo zasłania mu
kawałek czerwonego jedwabiu.

Ale ja chcę czegoś więcej. Chcę zniszczyć jego
stoicką powściągliwość, więc poddaję się
doznaniom, poddaję się erotyzmowi tego, że
patrzy, jak się dotykam i robię coś, co z
pewnością przechyli szalę, bo jest jak
przyłożenie otwartego ognia do beczki prochu.

Odchylam głowę, zamykam oczy i pozwalam,
by z moich ust wymknęło się jęśliwe „o, Boże”.

— Słodki Jezu! — wykrzykuje Colton, a jego

powściągliwość pęka równocześnie z cienkim
materiałem moich majtek.

Nadal mam odchyloną głowę, ale wiem, że z
rozkoszą obserwuje ruchy moich palców. To,
że zerwał ze mnie majtki, żeby móc patrzeć,
było nieoczekiwanie wyzwalające. Czuję się
nieskrępowana,

pozbawiona

wstydu

i

całkowicie mu oddana, zarówno fizycznie, jak i
psychicznie.

Mój puls przyspiesza. Ciepło rozchodzi się po
ciele falą doznań, w której pragnę się zatopić.

Colton jęczy tuż obok mnie, przywracając
mnie do terażniejszości. Gdy podnoszę głowę i
otwieram oczy, widzę, że wbija wzrok między
moje uda. Wydaję syczące westchnienie,

wyciągając do niego palce, żeby zobaczył, jak

błyszczą od mojego podniecenia. Z trudem

opanowuję

wszechogarniający

plomień

rozpalający się we wcześniej nieznanym mi

miejscach i próbuję odzyskać głos.

— Cóż, As, ja się nie boję niebezpieczeństw, bo
doskonale opanowałam jazdę na *śliskim torze*

— mruczę i nie potrafię powstrzymać
uśmiechu, gdy on bezwiednie zaciska mocniej
dłonie na moich udach. Patrzę mu prosto w
oczy i wkładam palce do ust, żeby possać je
przez chwilę i powoli wyciągnąć.

Mięsień jego szczęki drga. Jego członek
pulsuje pode mną w odpowiedzi. Widzę, że
brakuje mu tchu.

— Ślisko i mokro, co? Niebezpieczeństwo
jeszcze nigdy nie było tak kuszące — mówi
przeciągle

i

zwilża

wargi

językiem,

obserwując, jak zsuwam dłonie w dół po
piersiach i po brzuchu, po czym zagłębiam je z
powrotem między uda. Tym razem rozstawiam
kolana jeszcze szerzej i rozchyłam palcami
wargi, żeby widział, jak palce drugiej ręki
przesuwają

się

wzdłuż

nabrzmiącego

różowego rozcięcia. Na pięknych rysach jego twarzy pojawiają się ślady wewnętrznej walki.

Patrzę, jak zalewa go pożądanie, a na jego ustach pojawia się sugestywny uśmiech, który idealnie go dopełnia.

Mój przystojny, arogancki rozbójnik.

Trochę zarozumiały.

Z wieloma wadami.

Cały mój.

— Wiesz — chrypi, wodząc palcem w górę mojego uda. Celowo omija moją napiętą w oczekiwaniu cipkę i kontynuuje ruch na drugim udzie. — Czasem nie jest łatwo dojechać do mety i takie żółtodzioby jak ty muszą dołączyć do jakiegoś zespołu, żeby uzyskać to, czego pragną.

Nie walczę z uśmiechem i nie próbuję ukryć drżenia w oddechu, gdy jego palce odrywają się od mojej skóry. Kładę dłonie na jego piersi, nachylam się i spoglądam mu prosto w oczy.

— Przykro mi, ale ten silnik świetnie sobie

radzi w pojedynkę — mówię i podnoszę się,
przejeżdżając paznokciami po jego klatce
piersiowej. Jego mięśnie drgają pod moimi
palcami, dzięki czemu wiem, że chociaż nadal
uśmiecha się arogancko, jego ciało pragnie
tego, co mam do zaoferowania. Wsuwam palce
z powrotem między uda i wypowiadam
kwestię, która ma na celu ostateczne
pozbawienie go panowania nad sobą. —
Doskonale wiem, co muszę zrobić, żeby
dojechać do mety.

— Oj, widzę, że lubisz ścigać się nieczysto, co?

Łamać wszelkie reguły? — szydzi, odbijając
piłeczkę z powrotem na moje pole.

— Och, zdecydowanie potrafię ścigać się
nieczysto — drażnię się, unosząc brwi, po
czym wyciągam dłoń w jego stronę. Zwęża
oczy, gdy podsuwam mu pod usta palce
pokryte moją wilgocią. Błyskawicznie łapie
mnie za nadgarstek i wsuwa je do ust. Niski
pomruk dobywający się z głębi jego gardła
rozchodzi się falą po całym moim ciele. Moja
siła woli także zostaje poddana testowi, gdy
jego język pieści moje palce, a ja odruchowo

przyciskam się do niego biodrami i zaczynam
nimi poruszać. *Ja pierdolę, co za niebiańskie uczucie.*

Docieram

do

granicy

swojego

opanowania. Poruszam się w tył, czując jego

twardość na swojej miękkości, a w głowie

mam wyłącznie krążące w ciele pożądanie.

Wilgoć między moimi nogami. Jego palce na

moim ciele, we mnie, doprowadzające mnie do

szczytu.

Matko, jak ja go pragnę. Rozpaczliwie. Robię

więc jedyną rzecz, jaką mogę, nie uciekając

się do bezpośredniego błagania. Wygłaszam

ostatnią

sensowną

provokację,

jaka

przychodzi mi do głowy zanim mój umysł

pogrzeży się w huraganie doznań. Nachylam się

tak, żeby czuł mój oddech na policzku,

wdycham jego zapach i mówię:

— Taki zawodowiec, jak ty, mógłby pokazać

żółtodziobowi naprawdę ostrą jazdę.

Przesuwam biodra dokładnie na koniec jego
członka i czuję, jak zacisnął zęby, żeby się
pohamować. Wykonuję ten sam ruch jeszcze
raz

i

wydaję

z

siebie

zadowolone

westchnienie, chociaż moje ciało błaga o
więcej.

— Zły wielki zawodowy kierowca boi się
pokazać

żółtodziobowi,

jak

operować

drążkiem, co?

Zapomniałam już, jak szybko potrafi się
ruszać. W mgnieniu oka odpycha mnie tak, że
znowu siedzę na nim okrakiem, przyciąga
moje stopy prawie pod swoje pachy i rozsuwa
moje kolana najszerzej jak to możliwe.

Bingo.

Bezpiecznik przepalony.

Udało mi się.

Dzięki Bogu!

Colton chyba źle odczytuje mój wyraz twarzy,

na której maluje się ulga pomieszana z

desperacją, bo stwierdza:

— Zmieniam biegi, kochana, bo tylko ja mam

prawo prowadzić ten samochód.

Zsuwa dłonie na moje biodra i muska kciukami

cienki pasek moich włosów. Jego delikatny

dotyk wyzwała we mnie eksplozję dreszczy,

które odbijają się rykoszetem po całym ciele,

zapowiadając to, co zaraz nastąpi, i zwiastując

poziomy rozkoszy, na jakie może mnie zabrać.

Jego palce zamierają, a on podnosi wzrok,

żeby spojrzeć mi prosto w oczy. Na jego

twarzy

pojawia

się

cień

zadowolonego

uśmiechu. Nie odrywa ode mnie oczu, jakby

próbował zmusić mnie do odwrócenia wzroku,

gdy wkłada jedną dłoń między moje uda,

rozchyła nabrzmiące wargi i wsuwa do środka

palce drugiej dłoni. Odrzucam głowę z jękiem.

Zaczyna poruszać palcami i zataczać nimi

kręgi,

dotykając

moich

uwrażliwionych

zakończeń nerwowych w środku. Wsuwa i

wysuwa palce, a moje ścianki zaciskają się na

nich zachłannie i pożądliwie.

Patrzę na jego twarz. Wsuwa lekko język, a

jego oczy ciemnieją od pożądania. Widzę, jak

mięśnie ramion zaciskają się na przemian, gdy

palcami doprowadza mnie do krawędzi.

Docieram do niej bardzo szybko, bo jestem tak

wygłodniała i tak przesiąknięta pożądaniem,

że jego widok, dotyk i związane z nim

wspomnienia działają na mnie jak benzyna

dolewana do ognia.

Moje

ciało

się

napina,

cipka

zaczyna

konwulsyjnie pulsować, a ja łamiącym się

głosem

jęczę

jego

imię

i

przeciągam

paznokciami po jego ramionach. Opadam na

jego pierś. Czuję falę gorąca rozchodzącą się

po całym ciele i rozpalającą mnie od środka.

Wszelkie sensowne myśli wyparowują. Pragnę

poczuć jego skórę na swojej skórze. Pragnę

poczuć twardość jego ciała i bezpieczeństwo

jego silnych objęć, gdy oddaję się wywołanym

przez niego doznaniom.

Moje ciało powoli się uspokaja. Oddycham

płytko, a on wodzi palcami po moim

kręgosłupie. Czuję jego łagodny chichot na

piersi.

— Hej, żółtodziobie?

Zmuszam się do wyrwania się z poorgazmowej

śpiączki i podniesienia wzroku.

— Hę? — wykrztuszam, gdy trafiam na jego

rozbawione oczy.

— Tylko ja mogę doprowadzać cię do

pierdolonej flagi z szachownicą.

Zaczynam się bezwiednie śmiać. Myślę sobie,

że moją flagę może zdobywać, kiedy tylko

zechce.

Rozdział 15.

— Och, jestem z ciebie taka dumna! — mówię,

walcząc z falą poczucia winy, która się przeze

mnie przetacza. Nie pomagałam Connorowi

przygotować się do testu z najgorszego jego

zdaniem przedmiotu, czyli z matematyki. —

Wiedziałam, że ci się uda!

— Wykorzystałam ten trik, o którym mi

powiedziałaś! — Duma w jego głosie sprawia,

że do oczu napływają mi łzy radości, a

jednocześnie czuję żal, że mnie przy nim nie

ma.

— Mówiłam ci, że on działa! No to ruszaj na

baseball. Jax na pewno już na ciebie czeka! —

Wybuch śmiechu Connora utwierdza mnie w

przekonaniu, że mam rację. — Obiecuję, że

zobaczymy się jeszcze w tym tygodniu,

dobrze?

— Dobrze. Leguję cię — mówi, wyrażając
uczucia za pośrednictwem pasji do klocków
Lego.

— Ja też cię leguję, stary!

Rozłączam się i odwracam się w stronę tarasu,
z którego dociera do mnie śmiech pomieszany

z

łoskotem

fal.

Wieloletnia

przyjaźń

przełamuje zły nastrój Coltona. Cieszę się z

wizyty Becketta. Słyszę, że znowu wybuchają

śmiechem, i jestem wdzięczna, że wpadł,

nawet jeśli żałuję, iż to nie ja wywołuję

uśmiech na naburmuszonej ostatnio twarzy

Coltona.

Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma.

Patrzę, jak stukają się szyjkami butelek, i

wzdycham głośno, bo chciałabym, żeby znikło

napięcie między mną a Coltonem. Napięcie,

które na pewno wynika z naszej frustracji

seksualnej.

Pragniemy,

potrzebujemy

i

pożądamy czegoś, co jest w zasięgu naszych
palców, ale nie możemy po to sięgnąć i się
zaspokoić. To jest brutalność w najczystszej
postaci.

Przyznaję, że jego wprawne palce przyniosły
mi pewną ulgę dwa dni temu, ale to nie to
samo.

Nawiązaliśmy

więź,

ale

jej

nie

przypieczętowaliśmy. Dopiero, gdy Colton jest
we mnie i dosłownie rozciąga mnie do granic
możliwości, czuję się wypełniona i spełniona w
każdym znaczeniu tych słów. Jest moim
dopełnieniem, zawłaszcza mnie i sprawił, że
nie potrafiłabym być z nikim innym.

Czuję się z nim bliżej przez to, że spędziliśmy
razem już tyle czasu, lecz jednocześnie jestem
daleko. I strasznie mi to nie odpowiada.

Otrząsam się z tego marudzenia i myślę sobie,

że przecież mogło być o wiele gorzej.

Zrzucam buty i idę na taras zaczerpnąć

świeżego

powietrza.

Przechodzę

między

szezlongami Coltona i Becketta i siadam na

trzecim, naprzeciw nich.

Raczę się ich widokiem zza okularów

przeciwsłonecznych i wiem, że nie ma na

świecie kobiety, która nie chciałaby teraz być

w mojej skórze. Obaj są zrelaksowani. Mają

na sobie szorty, czapki baseballowe i okulary.

Błądzą

leniwie

wzrokiem

po

wyraźnie

zarysowanych mięśniach na ich nagich torsach

i

walczę

z

uśmiechem,

który

pragnie

rozciągnąć moje usta.

— Toż to prawdziwa Florence Nightingale[1] —

mówi Beckett przeciągle w typowy dla siebie

sposób i podnosi butelkę do ust.

— Myślę, że gdybym była panią Nightingale,

powiedziałabym

swojemu

pacjentowi,

obecnemu tu Coltonowi Donavanowi, że raczej

nie powinien pić alkoholu, skoro ma we krwi

taką mieszankę środków przeciwbólowych.

— Prędzej siostra Ratched[2] — prycha Colton, patrząc na mnie spod daszka czapki. Wodzi

wzrokiem wzdłuż moich wyciągniętych na

szezlongu nóg. Błyskawiczne zwilżenie ust

językiem zdradza mi, że chciałby zrobić o

wiele więcej niż tylko patrzeć.

— Siostra Ratched, co? — pytam i przesuвам

stopą w górę i w dół łydki, starając się

zignorować obrazę.

— Taa — odpowiada i ściąga usta, obserwując

mnie znad butelki piwa. — Gdyby dała mi to,

czego naprawdę pragnę, wyzdrowiałbym o

wiele szybciej. — Unosi brwi, pozerając mnie

sugestywnym wzrokiem.

— Kurwa — stwierdza Beckett — albo muszę
was łączyć, albo pilnować żebyście się nie
łączyli. Pieprzyć to!

— *Pieprzyć* — mówi przeciągle Colton,
naśladowując manierę Becketta — to jest właśnie
to słowo.

Beckett parska i przewraca oczami.

— W istocie, całkiem fajne.

Colton przerywa nasz kontakt wzrokowy i
przechyla głowę, żeby spojrzeć na swojego
najlepszego przyjaciela.

— Zapewniam cię, stary, że jak tylko dostanę
błogosławieństwo od lekarza, żadna siła nie
odciągnie mnie od Rylee przez długie
pieprzone godziny. No może poza zmianą
prześcieradeł.

Moje policzki pokrywają się purpurą po tych
bezceremonialnych słowach, a przez ciało
przechodzi dreszcz w związku z zawartą w
nich obietnicą. Nie przejmuję się tym, że
Beckett to słyszał, bo skupiam się na frazie
„długie pieprzone godziny” .

— Zapamiętam — oznajmia Beckett i pociąga

kolejny łyk piwa.

— Muszę się odlać — stwierdza Colton i odpycha się od szezlongu. Przez ostatnie dni nauczyłam się tłumić odruch wstawania, gdy przez chwilę chwieje się z powodu nagłych zawrotów głowy, które go prześladują. Po kilku sekundach staje w miarę stabilnie i sięga prawą dłonią w stronę stolika, żeby odłożyć butelkę. Około trzydziestu centymetrów przed blatem ręka odmawia posłuszeństwa i butelka spada z brzękiem na ziemię.

Beckett rzuca mi ukradkowe zaniepokojone spojrzenie, po czym wybucha śmiechem, udając, że nie zauważył problemu z ręką.

— Wtopa! — wykrzykuje. — Może siostra Ratched ma rację sugerując, że nie należy łączyć wszystkich tych leków z alkoholem.

— Odwal się — rzuca przez ramię i rusza do środka. — Właśnie dlatego idę po następne! —

Patrzę za nim, jak wchodzi do kuchni, i gdy myśli, że nikt go nie widzi, bezskutecznie próbuje zacisnąć prawą pięść, po czym potrząsa głową.

— Jak jego stan?

Odwracam się do Becksa.

— Bóle głowy są coraz rzadsze, ale on jest coraz bardziej sfrustrowany. Wciąż trafia na szczegóły, których sobie nie przypomina. No i czuje się zamknięty. — Wzruszam ramionami.

— A sam wiesz, jaki jest, gdy tak się czuje.

Beckett wzdycha głośno i potakuje.

— Musi jak najszybciej wrócić na tor.

Patrzę na niego oniemiała.

— *Co?* — wrywa mi się, bo czuję w plecach sztylet zdrady. To ma być najlepszy przyjaciel?

Czyżby nie zależało mu na bezpieczeństwie

Coltona? Na utrzymaniu go przy życiu?

— Cóż, mówisz, że czuje się zamknięty... A tor

jest jedynym miejscem, w którym zawsze czułem

się wolny od wszystkiego — tłumaczy Beckett,

wytrzymując moje zdumione spojrzenie. —

Poza tym, jeśli w miarę szybko nie siądzie za kierownicą, trawiący go strach pochłonie jego

duszę, zawładnie jego myślami i sparaliżuje

go. I gdy potem uzna, że naprawdę może

usiąść za kierownicą, będzie zagrożeniem sam

dla siebie.

Jestem inteligentną osobą i gdybym wciąż nie

była zaskoczona pierwszym stwierdzeniem

Becketta, zrozumiałabym, co próbuje mi

przekazać

i

zobaczyła

to

z

szerszej

perspektywy. Ale nie rozumiem.

— O czym ty mówisz? Odkąd wróciliśmy do domu, nieustannie marudzi o powrocie na tor.

Chichocze

w

odpowiedzi.

Nie

jest

to

protekcjonalny chichot, ale i tak czuję się

przyparta do muru i zgrzytam zębami, gdy to

słyszę.

— No kurwa, wiadomo, że on też jest

przerażony, Ry. Do szpiku kości. Jeśli nie

będzie się mógł już wymawiać ręką, to

wymyśli coś innego... A naprawdę powinien

wrócić na tor. Jeśli tego nie zrobi, strach

pożre go żywcem.

Przewijam w myślach wydarzenia ostatniego tygodnia. Przypominam sobie słowa Coltona o wyścigach. I działania przeczące jego słowom. Powoli dociera do mnie, że Beckett może mieć rację.

— Ale co z *moim* strachem? — Nie potrafię stłumić desperacji.

— A myślisz, że ja się nie boję? Że dla mnie to będzie łatwe? — Gorycz w jego głosie skłania mnie do tego, żeby na niego spojrzeć. —

Myślisz, że nie będę odtwarzał w myślach tych ostatnich kilku sekund za każdym razem, gdy zapnę go w samochodzie? I za każdym razem, gdy będzie śmigał prosto? Kurwa, Ry, ja też niemal go straciłem. Nie myśl sobie, że dla mnie to będzie łatwe, bo nie będzie. Już

prędzej *kurewsko ciężkie*. Nie zmienia to faktu, że to jest coś, czego on naprawdę potrzebuje. — Wstaje z szezlongu i podchodzi do barierki, opiera się szeroko i wychyla na zewnątrz. — Zanim się pojawiłaś, liczyły się dla niego tylko wyścigi. Tylko one trzymały go przy zdrowych zmysłach. — Wzdycha głośno.

— To jedyne, co zna. — Odwraca się w moją stronę. Jego oczy są ukryte za okularami. —

Dlatego powinien jak najszybciej się pozbierać

i wrócić na tor. Będę go dopingował jak
najbardziej zagorzała cheerleaderka, ale nie
daj się zwieść i nie myśl, że moje serce nie będzie łomotało jak szalone przez cały czas,
gdy będzie siedział w samochodzie.

Śledzę go wzrokiem, gdy przechodzi na drugi
koniec tarasu, żeby się uspokoić, po czym
wraca, bierze piwo i wypija je do końca.

—

Wyścigi
to
osiemdziesiąt
procent
nastawienia
psychicznego
i
dwadzieścia
procent
umiejętności,
Rylee.

Musimy
przygotować go psychicznie i przekonać, że
jest gotowy. Wtedy będzie gotowy.
Dostrzegam logiczność jego argumentacji, ale
to nie znaczy, że nie jestem śmiertelnie

przerażona.

Leżę na szezlongu na tarasie i wystawiam twarz do słońca, żeby złapać jego ostatnie promienie, zanim schowa się za horyzontem.

Nucę lecącą w tle piosenkę *Collide* i myślę o rozmowie z Beckettem. Zastanawiam się też, jak to będzie, gdy Colton znowu wsiądzie za kierownicę i czy będzie się bał równie mocno jak ja.

— Hej, nad czym tak rozmyślasz w tej samotni? — głos Coltona wrywa mnie z transu. Otwieram oczy i widzę, że patrzy na mnie z góry, a na policzku ma odcisniętą poduszkę. Przenika mnie fala ciepła, bo bezwiednie zaczynam się zastanawiać, jak wyglądał jako mały chłopiec.

— Wypałeś się? — Odsuwam się trochę, żeby mógł obok mnie usiąść, ale nie za bardzo, bo chcę się w niego wtulić.

Obejmuje mnie i przyciąga do siebie.

— Tak, kompletnie mnie ścięło. — Uśmiecha się, przyciskając usta do czubka mojej głowy.

— Ale nie boli mnie głowa, więc wszystko jest

w porządku.

— Biorąc pod uwagę ilość piwa, jaką pochłonęliście, nie wyobrażam sobie, że mogłoby cię cokolwiek boleć.

— Nie bądź taka mądra.

— Wolę być mądra niż głupia.

— Widzę, że masz dzisiaj temperamencik? — pyta, łaskocząc mnie w zębra. — Wiesz, jak działa na mnie temperament, mała, i z chęcią bym go dzisiaj wykorzystał.

Wyrywam się z jego objęć.

— Niezła próba, lecz najprawdopodobniej musimy jeszcze odczekać parę dni, a potem będę dla ciebie miała taki temperament, jaki sobie zażyczysz — mówię, unosząc brwi, a on zaczyna gładzić mnie po plecach.

—

Nie

obiecuj

takich

rzeczy

tak

wyglodniałemu facetowi jak ja, jeśli nie zamierzasz ich zaoferować na miejscu,

kochana.

— Och, bez obaw, As — mówię i wtulam się w niego z powrotem. — Zaoferuję ci całą tonę temperamentu, gdy będę wiedziała, że ci nie zaszkodzę.

Colton nic nie mówi, mruczy jedynie coś w odpowiedzi.

Siedzimy

przez

chwilę

w

komfortowym milczeniu. Cieszę się, bo po raz pierwszy od kilku dni nie ma między nami tego napięcia. Gdy słońce chowa się w oceanie przed nadchodzącą nocą, znowu przypomina mi się rozmowa z Becksem. Jak to ja, muszę zapytać i poznać myśli Coltona na temat wyścigów.

— Mogę cię o coś zapytać?

— Uhm — mruczy w czubek mojej głowy.

Początkowo się waham, bo nie chcę podsuwać mu myśli, których być może jeszcze nie ma, ale w końcu się decyduję.

— Boisz się wrócić na tor? I wystartować w

wyścigach?

—

pytam

pośpiesznie

i

zastanawiam się, czy udało mi się ukryć

trwogę.

Zatrzymuje na chwilę dłoń w połowie ruchu na

moim kręgosłupie, a ja wiem, że poruszyłam

kwestię, w której nie czuje się na tyle pewnie,

żeby o niej rozmawiać lub coś potwierdzać.

Wzdycha, gdy ja milczę, żeby dać mu

pomyśleć.

— Trudno mi to wyjaśnić — mówi i przesuwa

się tak, żebyśmy siedzieli obok siebie i patrzeli

sobie w oczy. Potrząsa subtelnie głową i

kontynuuje: — W pewnym sensie jednocześnie

się tego boję i tego potrzebuję. Nie umiem

tego inaczej wytłumaczyć.

Wyczuwam jego niepokój, więc robię to, co

potrafię najlepiej: próbuję go uspokoić.

— Ze mną ci się udało.

Patrzy na mnie z zagubieniem w oczach.

— Co masz na myśli?

Nie miałam zamiaru sprowadzać rozmowy w te rejony i wprawiać go w zakłopotanie dyskusją o „nas” sprzed wypadku, skoro mnie *wyścigował*, lecz tego nie pamięta. Kładę dłoń na jego nieogolonym policzku i czekam, aż na mnie spojrzy.

— Bałeś się mnie i jednocześnie mnie potrzebowałeś... — mówię coraz ciszej.

Bierze wdech, a jego oczy błyszczą od emocji.

Ściąga usta na chwilę. Deprymuje mnie jego milczenie w połączeniu z intensywnością spojrzenia. Słyszę jego płytki oddech, szum oceanu i łomotanie swojego serca w uszach, a on milczy. Odwraca się, a ja próbuję się przygotować, chociaż nie wiem, na co. Gdy znowu na mnie spogląda, potakuje, a jeden kącik jego ust unosi się powoli w nieśmiałym uśmiechu.

— Masz rację, faktycznie cię potrzebuję.

Głęboko w środku czuję olbrzymią ulgę, bo w końcu przyznaje, że jest między nami więź.

Akceptuje ją. Nieważne, że nie mówi mi

„wyściguję cię”, bo to, że mnie potrzebuje, to coś więcej, niż kiedykolwiek marzyłam.

Podnosi dłoń, żeby delikatnie ująć mój policzek i pieści kciukiem moją dolną wargę. Nachyla

się i muska czule ustami moje usta, po czym
całuje mnie w czubek nosa. W końcu odchyła
się i posyła mi szelmowski uśmiech.

— Teraz moja kolej.

— Twoja kolej? — pytam, a on bawi się
guziczkami mojej bluzki.

— Tak. Gramy w pytanie i odpowiedź, Ryles, i
teraz ty siadasz na gorącym krzeselku.

— Z przyjemnością usiadłabym na twoim
gorącym krzeselku — stwierdzam, a on w
odpowiedzi obdarza mnie błyskawicznym
uśmiechem,

który

rozpala

do

białości

wszystkie hormony w moim ciele.

— Uważaj, złotko, bo jestem chodzącym
przypadkiem sinych jaj i niczego tak nie

pragnę, jak zatopić się w tej linii mety, którą masz między nogami — mówi, nachylając się
do mnie tak blisko, że mógłby mnie pocałować,

ale tego nie robi. Słodka tortura. — Lepiej nie

testuj mojej siły woli — mówi, a jego słowa

muskają mnie w usta.

Każda część mojego ciała się do niego przysuwa. Pragnie go, potrzebuje i prowokuje.

Ale on nadal nad sobą panuje, chociaż chichocze z trudem.

— Moja kolej. Dlaczego nie byłaś jeszcze u chłopców?

Spodziewałabym się każdego pytania, tylko nie tego. Muszę wyglądać na lekko zszokowaną, bo ma rację. Faktycznie desperacko pragnę się z nimi zobaczyć, ale nie wiem, jak to zrobić, nie przyprowadzając ze sobą tego całego medialnego cyrku. Cyrku, który nie jest im potrzebny i z którym nie potrafiliby sobie poradzić.

— Ty mnie teraz bardziej potrzebujesz —

odpowiadam,

bo

nie

chcę

podawać

prawdziwego powodu, żeby nie dokładać mi zmartwień.

— Ściemniasz, Ry. Jestem dużym chłopcem.

Można mnie zostawić samego na noc. Nic mi

się nie stanie.

A co, jeśli się stanie? Co jeśli będziesz mnie potrzebował, nikogo tu nie będzie i stanie się coś okropnego?

— Taa... ja właśnie... — urywam, bo

chciałabym mu powiedzieć, lecz nie chcę go

urazić. — Nie chcę, żeby ich świat zderzył się

z twoim światem. Nie potrzebują kamer

skierowanych w twarz i nie potrzebują tego,

żeby cały świat się dowiedział, że są sierotami

i że nikt ich nie chce. Ani żadnych innych

nieprzyjemnych konsekwencji, które na pewno

by z tego wynikły.

— Ry, spójrz na mnie — mówi i podnosi mój

podbródek, żebym spojrzała mu w oczy. — Ty i

ja? Absolutnie nie chcę, żeby szum związany z

moim życiem, media i cały ten szajs stanął

między tobą a chłopcami. Oni się tu

najbardziej liczą, a ja rozumiem to lepiej niż większość ludzi.

Gdybym teraz wygrała w lotto, nie miałyby to

dla mnie znaczenia, bo czuję się jak

najbogatsza osoba na świecie. Przyznał, że

mnie potrzebuje, a teraz to wyznanie.

Naprawdę mnie rozumie. Rozumie, że chłopcy

są częścią mojego życia i że jeśli chce być ze mną, musi ich kochać. Beckett twierdzi, że

jestem kołem ratunkowym Coltona, ale wydaje

mi się, iż Colton właśnie pokazał, że to działa w obie strony.

Przelykam łzy, które uwięzły mi w gardle, a on nadal na mnie patrzy, upewniając się, czy zrozumiałam, o co mu chodzi. Mruczę coś potakująco, bo z nadmiaru emocji nie potrafię nic wykrztusić.

— Coś wymyślę — mówi i muska delikatnie moje usta. — Dopilnuję, żebyś wkrótce zobaczyła się z chłopcami bez niepotrzebnych świadków, OK?

Potakuję i wtulam się w niego, a przez myśl przebiega

mi

mnóstwo

pytań,

które

chciałabym mu zadać. Nagle wiem.

— Moja kolej — stwierdzam. Chcę zadać to pytanie, chociaż boję się odpowiedzi.

— Uhm.

— Tego pierwszego wieczoru — przerywam, bo nie do końca wiem, jak o to zapytać.

Postanawiam rzucić się na główkę, licząc na to, że jestem na głębokim końcu basenu. — Co

robiłeś z Bailey w tej wnęce, zanim mnie

spotkałeś?

Colton śmieje się krótko i mruczy jakieś przekleństwo. Chyba jest trochę zaskoczony moim pytaniem.

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

Chcę? Teraz to sama już nie wiem. Potakuję i zamykam oczy, przygotowując się na to, co usłyszę.

— Poszedłem za kulisy, żeby odebrać telefon od Becksa — śmieje się. — Kurde, w momencie, gdy się rozłączyłem, rzuciła się na mnie jak grzechotnik. W ułamku sekundy zerwała ze mnie marynarkę, rozpięła sukienkę z przodu i wpiła się we mnie ustami... — milknie, a ja próbuję nic po sobie nie pokazać, ale wiem, że wyczuł napięcie w moim ciele, bo składa pokrzepiający pocałunek na czubku mojej głowy. — Uwierz mi, Rylee, to nie było takie ekscytujące, jak się wydaje.

— Naprawdę? Od kiedy to słynny kobieciarz Colton Donovan odtrąca chętną kobietę? — Nie potrafię ukryć sarkazmu. Trudno mi się tego słucha, chociaż sama go o to zapytałam.

— Poza tym wydawało mi się, że lubisz

dominujące kobiety.

Znowu się śmieje.

— Nie masz powodu, by być zazdrosną,
kochana... Chociaż to dość kręjące, że jesteś.

— Szturcham go palcem, zadowolona, że
próbuję złagodzić prawdę i zamiast mnie
odepchnąć, przyciąga mnie mocniej do siebie.

— A ja w całym życiu pozwoliłem dominować
tylko jednej kobiecie, bo poza nią na żadnej
innej mi nigdy nie zależało.

Pocieram nos, bo serce mi rośnie na te słowa,

ale

moja

głowa

zastanawia

się,

czy

przypadkiem nie próbuje chronić swojego

tyłka. Cynizm zwycięża.

— Phhh — parskam. — Jestem przekonana, że
słyszałam, jak mówisz „*słodki Jezu*”, i nie ja byłam tego przyczyną.

Czuję jak jego ciało wibruje, gdy wybucha
szczerym śmiechem, który tak uwielbiam.

— Wyobraź sobie to raczej jak bycie

pożerany przez piranię z tępyimi zębami. —
mówi, a ja nie potrafię powstrzymać śmiechu
i potrząsam głową. — Nie, serio — dodaje. —

W chwili, gdy udało mi się złapać trochę
powietrza, wykrztusiłem z siebie te słowa, bo
ta kobieta całowała jak pieprzony buldog. —
Teraz śmieję się pełną piersią, a zazdrość
ustępuje miejsca poczuciu ulgi. — A najlepsze
jest to, że w tym momencie zadzwoniła moja
mama, bo chciała się dowiedzieć, jak impreza,
i nieświadomie uratowała mnie z jej szponów.

— Chyba z jej magicznej cipki?

— O kurwa, nie — chichocze. — Ty, mała,
jesteś moją magiczną cipką. Bailey była raczej
jak cipka piranii.

Śmiejemy się jeszcze trochę z jego coraz
zabawniejszych porównań.

— No dobrze, więc... — mówi w końcu,
wodząc palcem po nagiej skórze mojego
ramienia i zostawiając na niej elektryzujący
ślad. — *AS?*

Czekałam na pytanie, lecz gdy to mówi,
odchylam się i potrząsam głową.

— Zamierzasz zmarnować na to swoje

następne

pytanie?

Będziesz

strasznie

rozczarowany. — Wykrzywiam usta i patrzę na

niego. — Nie chciałbyś dowiedzieć się czegoś

innego?

— Nie zmieniaj tematu, Thomas! — Łaskocze

mnie palcami w zębra, a ja próbuję mu się

wyrwać.

— Przestań — mówię, wiercąc się. — No

dobrze już, dobrze! — Podnoszę rękę. Colton

przestaje, a ja szturcham go w ramię. —

Tyran! — wykrzykuję, a on zaczyna mnie

znowu łaskotać. W końcu przestaje i chrząka,

a ja próbuję znaleźć właściwe słowa. —

Haddie miała niedorzeczną skłonność do

zbuntowanych złych chłopców — przerywam w

połowie zdania, widząc jego uniesione brwi.

— Przyganiał kocioł garnkowi, co? — mówi.

Widzę, że z trudem tłumi śmiech.

— Powiedziałam ci wtedy na imprezie, że *nie kręcą mnie* źli chłopcy.

— Och, słonko, z całą pewnością mną wtedy

zakręciłaś.

Nawet nie próbuję tłumić śmiechu, bo na jego twarz powrócił ten arogancki uśmiech, który rozświetla mu oczy i na nowo kradnie mi serce.

— Z całą pewnością, ale ty byłeś wyjątkiem od reguły — oznajmiam z uśmiechem.

— Tak jak ty moim — odpowiada, a ja myślę o tym, z jaką łatwością mówi teraz słowa, które jeszcze miesiąc temu w ogóle nie przeszłyby mu przez usta. Nachyla się i muska moje wargi. Wsuwa język między nie i kusząco tańczy z moim. Po chwili przerywa pocałunek, a ja jęczę z niezaspokojenia. — A teraz odpowiadaj, kobieto. AS? — pyta z uniesionymi brwiami.

— No dobrze, dobrze — ulegam, chociaż rozprasza mnie to, że jego usta są tak blisko, a ja rozpaczliwie pragnę je znowu poczuć, mimo że wciąż czuję na sobie ich ciepło. — Jak już powiedziałam,

Haddie

zawsze

wybierała

wytatuowanych chłopców, którzy zawsze łamią dziewczynom serce. Niektórzy byli dla niej

dobrzy, ale większość nie. Razem z Maxem śmialiśmy się z tego tabunu rebeliantów, który zawsze ją otaczał. W każdym razie na studiach chodziła z koleśkiem, który miał na nazwisko Stone — potakuję, gdy Colton patrzy na mnie pytająco, bo nie wie, czy dobrze słyszał.

— Tak, naprawdę nazywał się Stone. Był oczywiście dupkiem, ale Haddie szaleńczo się w nim zakochała. Pewnego wieczoru wystawił ją i poszedł się spotkać z kumplami.

Siedziałyśmy razem w domu przy butelce wina

i

pudełku

czekoladek

Hershey,

a

ja

stwierdziłam, że Stone to prawdziwy „as”

wśród kut-as-ów. Potem wypiliśmy jeszcze po

lampce, a potem po jeszcze jednej. — Śmieję

się na wspomnienie tak dawnych czasów. —

Gdy byłyśmy już naprawdę mocno pijane,

postanowiłyśmy, że słowo AS stanie się dla nas

skróttem... Wydawało nam się, że wymyślamy

bardzo błyskotliwe rozwinięcia, a kiedy w końcu wpadliśmy na takie, które idealnie pasowało do jej faceta, nie potrafiliśmy opanować chichotu. Jeszcze tej nocy wstąpił do nas, wracając z wieczoru z kumplami, a Haddie przywitała go w drzwiach słowami: „Cześć, As!” I tak ksywa się przyjęła. Jemu się wydawało, że to oznacza, iż jest asem w łóżku, podczas gdy Haddie tak naprawdę mówiła mu, że jest *Aroganckim Sukinsynem* — mówię.

Colton spogląda mi prosto w oczy, gdy w końcu wyjawiam mu to, co chciał wiedzieć. — Od tego czasu za każdym razem, gdy spotykała się z kolesiem pokroju Stone'a nazywałyśmy go As.

Przez chwilę patrzy na mnie w milczeniu, po czym kiwa nieznacznie głową.

— Hmpf — wyrzuca z siebie. Jego twarz jest stoicka i bez wyrazu. Przygryzam nerwowo dolną wargę w oczekiwaniu. W końcu na jego twarzy pojawia się leniwy,

połowiczny

uśmiech. — Dla mnie to wciąż oznacza

Absorbujące Spotkanie, ale domyślam się, że zasłużyłem

sobie

wtedy

na

to

twoje

przezwiśko.

Prycham.

— Cóż, hm, możesz to powtórzyć jeszcze raz.

— Nie kop chorego człowieka, który leży na

ziemi — mówi z udawanym smutkiem, a ja

nachylam się i całuję go w usta.

— Biedaczek — jęczę.

—

Oczywiście,

a

ponieważ

mi

teraz

współczujesz, zyskuję prawo do następnego

pytania. Czego jeszcze nie pamiętam, o czym

mi nie mówisz?

Przysięgam, że moje serce podskoczyło i

uwięzło mi w gardle. Próbuję nie zemdleć.

Próbuję nie pokazać, że zbił mnie z tropu, bo wtedy na pewno się domyśli, że wiem coś, czego on nie wie. Uznaję, że najlepszą strategią będzie zmiana tematu.

— Niezła próba, As — drażnię się, przełykając z trudem ślinę.

Schodzę niżej i składam rząd pocałunków na jego karku i klatce piersiowej. Wtedy przychodzi mi do głowy następne pytanie.

Przypuszczalnie nie powinnam go zadawać, bo wiem, że to temat tabu i że powinnam raczej zapytać o to czterokrotne stukanie w maskę samochodu, ale i tak je zadaję:

— Co oznaczają twoje tatuaże? — Czuję, że na chwilę wstrzymał oddech, więc podnoszę wzrok i patrzę mu w oczy. — To znaczy, wiem, co reprezentują poszczególne symbole... ale jakie mają znaczenie dla ciebie?

Patrzy na mnie z niepewnym wyrazem twarzy, a w jego oczach kotłują się emocje.

— Ry... — mówi niemal bezgłośnie, próbując znaleźć słowa, którymi mógłby wyrazić wojnę emocji toczącą się w jego oczach.

— Dlaczego je zrobiłeś? — pytam, uznawszy,
że lepiej nieco zmienić temat, bo może wtedy
zniknie
strach
przebłyskujący
w
jego
żrenicach.

— Uznałem, że skoro czuję w środku
nieustanne przerażenie, żyję z nim każdego
dnia i wiem, że nigdy się go nie pozbędę, to równie dobrze mogę napiętnować się także na
zewnątrz. — Odwraca wzrok z westchnieniem
i patrzy w ocean. — Żeby pokazać wszystkim,
że czasem coś, co z zewnątrz wydaje się
atrakcyjne, może być w środku zepsute,
napiętnowane i nie do naprawienia. — Głos mu
się łamie przy ostatnim słowie, podobnie jak
moje serce. Jego słowa są jak kwas
przeżerający moją duszę.

Nie mogę znieść smutku, który nim zawładnął,
więc przejmuję inicjatywę. Chcę mu pokazać,
że cokolwiek reprezentują te tatuaże, jest bez
znaczenia. Chcę mu pokazać, że tylko on
mógłby wykorzystać coś, co uważa za

niewidzialne wewnętrzne blizny, do stworzenia
pięknego dzieła sztuki. Chcę mu wyjaśnić, że
te blizny wewnątrz i na zewnątrz nie mają
znaczenia, bo liczy się mężczyzna, który je
posiada i *panuje nad nimi*. I którego
pokochałam.

Nie za bardzo wiem, jak mu to przekazać,
więc zdaję się na instynkt. Dotykam jego ręki
tak, żeby ją podniósł. Potem bardzo powoli
nachylam się i przyciskam usta do pierwszego
tatuazu

od

góry:

celtyckiego

symbolu

reprezentującego *przeciwności losu*. Czuję na
ustach, jak jego pierś drży pod wpływem
mojego pocałunku, gdy próbuje opanować
zalewające go emocje. Powoli przesuвам się
do następnego: *akceptacji*.

Świadomość, że ktoś mógłby trwale się
napiętnować, żeby zaakceptować straszliwe
doświadczenia, których nawet sobie nie
wyobrażam, uderza mnie z pełną mocą.

Przyciskam usta do znaku i zamykam oczy,
żeby Colton nie zobaczył wzbierających w nich
łez. Żeby nie uznał ich mylnie za przejaw
litości. Ale nagle dociera do mnie, że chcę,
żeby je zobaczył. Chcę, żeby wiedział, że jego
cierpienie jest moim cierpieniem. Że jego
wstyd
jest
moim
wstydem.

Że
jego
przeciwności losu są moimi przeciwnościami
losu. Że jego zmagania są moimi zmaganiem.
Że już nie musi toczyć tej walki samotnie i nie
musi samotnie nosić piętna w duszy i na ciele.

Gdy odrywam usta od symbolu *akceptacji* i przesuвам się do *uzdrowienia*, spoglądam na
niego rozmazanymi przez łzy oczami. Patrzy
prosto w nie, a ja staram się przelać wszystkie
swoje emocje w ten wzrokowy dialog.

Akceptuję cię — staram się mu przekazać.

Całego.

To, co zepsute.

To, co skrzywione.

To, czego się wstydzisz.

Pęknięcia, przez które przeziiera nadzieja.

Przerażonego małego chłopca i dorosłego
mężczyznę, który wciąż cierpi w jego cieniu.

Demony, które cię prześladują.

Twoją wolę przetrwania.

Twojego ducha walki.

Kocham każdą najdrobniejszą część ciebie.

I akceptuję.

I chcę pomóc ci wyjść na prostą.

Przysięgłabym, że żadne z nas nie oddychało w
trakcie tej milczącej rozmowy, lecz czuję
kruszące się mury, które otaczają serce bijące
pod moimi ustami. Przez niegdyś zamknięte
bramy przebija się światło nadziei, miłości i
zaufania. Ściany się rozpadają i po raz
pierwszy wpuszczają kogoś do środka.

Ta chwila jest tak obezwładniająca, że po
moim policzku spływa samotna łza. Słony smak
na ustach, jego zapach w nozdrzach i
łomotanie jego serca sprawiają, że rozpadam
się na miliony kawałeczków i układam w nową
całość.

Colton zaciska powieki, walcząc z łzami.

Zanim je otwiera, podnosi mnie, żebym
znalazła się na poziomie jego wzroku. Mięsień
jego szczęki pulsuje, a oczy zdradzają, że
zмага się z tym, jak to wszystko wyrazić. Daję
mu przestrzeń, której potrzebuje, i siedzimy
przez chwilę w milczeniu.

— Ja... — zaczyna, ale natychmiast przerywa i
spuszcza wzrok. Po chwili wraca spojrzeniem
do mnie. — Nie jestem gotowy, żeby o tym
rozmawiać. To dla mnie zbyt wiele, bo chociaż
pamiętam to wszystko bardzo dokładnie, bo
mam to odcisnięte w duszy i wraca to do mnie
w koszmarach, to mówienie o tym na głos po
raz pierwszy w życiu jest po prostu...

Serce

mi

pęka.

Rozpierała

się

na

najdrobniejsze

fragmenty

z

powodu

wspomnień, które sprawiają, że w jego oczach pojawia się to zagubione, przepraszające i zawstydzone spojrzenie. Ujmuję jego twarz w dłonie, próbując ukoić ból wygrawerowany w pięknych liniach jego twarzy.

— Ciiii. To zupełnie normalne, Colton. Nie musisz się z niczego tłumaczyć. — Całuję go w czubek nosa, tak jak on mnie całuje, po czym opieram czoło na jego czole. — Chcę tylko, żebyś wiedział, że jestem tu, jeśli kiedykolwiek się na to zdecydujesz.

Robi poszarpany wydech i przyciska mnie mocniej do siebie, żebym poczuła się bezpiecznie, chociaż to ja powinnam zrobić to dla niego.

— Wiem — szepcze w ciemniejące niebo. — Wiem.

Nie umyka mi to, że pozwolił mi pocałować wszystkie tatuaże i wyrazić w ten sposób

miłość do wszystkich symboli jego życia —

poza tym oznaczającym zemstę.

[1] Florence Nightingale — słynna angielska pielęgniarka z przełomu XVIII i XIX wieku. Od jej nazwiska pochodzi tzw. efekt Florence

Nightingale, objawiający się tym, że opiekunka

zaczyna żywić romantyczne uczucia do

swojego pacjenta — *przyp. tłum.*

[2] Siostra Ratched — despotyczna siostra oddziałowa z książki *Lot nad kukułczym gniazdem* — *przyp. tłum.*

Rozdział 16.

Colton

— Ja pierdolę!

Gdzie ja, do cholery, jestem? Zrywam się gwałtownie ze snu i siadam. Serce wali mi jak

oszałałe, głowa pulsuje z bólu i brakuje mi

tchu. Moja skóra lśni od potu, a ja próbuję

ogarnąć plątaninę obrazów, którą miałem w

głowie, zanim rozbiła się na kawałki.

Wspomnienia znikły jak pieprzone duchy w

chwili, gdy się obudziłem, i pozostał mi po nich

tylko nieprzyjemny smak w ustach.

Tak, ja i koszmary to jak rodzina. Jesteśmy

związani ze sobą na zawsze.

Zerkam na zegar. Dopiero siódma trzydzieści

rano, a ja potrzebuję szota — albo raczej *całej*

pierdolonej półlitrowki — żeby poradzić sobie z tymi pieprzonymi snami, które mnie dobijają.

Co

za

pojebana

ironia:

nie

pamiętam

traumatycznego wypadku, ale wykończę się,

próbując go sobie przypomnieć.

Czy to nie jest naprawdę popieprzone?

Śmieję się głośno, ale odpowiada mi tylko

łomotanie ogona Baxtera o jego poduszkę na

podłodze przy łóżku. Poklepuję łóżko, żeby

wskoczył obok mnie, i po chwili pieszczot

powalam go na prześcieradło, śmiejąc się z

jego nedorzecznej potrzeby lizania.

Kładę się na poduszce i zamykam oczy, żeby

przypomnieć sobie sen. Chciałbym wypełnić

puste miejsca w mojej pamięci, ale nic z tego.

Słodki Jezu! Rzuć mi chociaż jakiś ochłap.

Słyszę

jęk

Baxtera.

Otwieram

oczy,

spodziewając się uroczej mordki, błagającej o moją uwagę, ale nie. W żadnym wypadku. Nie potrafię powstrzymać śmiechu.

Pieprzony

Baxter.

Najlepszy

przyjaciel

człowieka i takie tam, ale poza tym przynosi mi ulgę, rozśmieszając mnie, gdy najbardziej tego potrzebuję.

— Serio, stary? Gdybym potrafił się tak lizać, nie potrzebowałbym kobiety. — Moje słowa nie robią na nim wrażenia i spokojnie kończy swoje zabiegi higieniczne. Po wszystkim przechyla głowę i spogląda na mnie ze zwisającym z boku pyska jęzorem. — Nie patrz na mnie z takim zadowoleniem, jełopie.

Wydaje ci się, że jesteś superpsem, skoro jesteś taki elastyczny, ale wierz mi, też byś wolał się wstrzymać, gdyby w grę wchodziła cipka Ry. Pierdolona magiczna cipka, Bax. — Drapię go po łbie i śmieję się, potrząsając głową.

Czy ja jestem aż tak zdesperowany, że rozmawiam o seksie z psem? A lekarz twierdzi, że z moją głową wszystko w porządku. Kurde, chyba zrobiłem o jedno okrążenie za dużo.

Baxter podnosi się i zeskakuje z łóżka.

— Jasne, rozumiem, wykorzystasteś mnie i sobie idziesz — mówię do niego i natychmiast przypominają mi się słowa Rylee z wieczoru, gdy się poznaliśmy. *Zerznąć i porzucić.*

Pieprzona

Rylee.

Klasowa,

cholernie

seksowna, temperamentna i z niewyparzoną gębą. Jakim cudem przeszliśmy od tamtej chwili do teraz?

Niech mnie szlag, jeśli życie nie jest ciągiem chwil. Niektóre są nieoczekiwane. Większość nie. Ale rzadko które są nieistotne. Nigdy w życiu nie przypuszczałbym, że przypadkowy pocałunek doprowadzi do tego. Rylee i ja.

Pierdolone flagi z szachownicą i w ogóle.

Robię długi wydech, bo czuję nadchodzący ból głowy. Przewracam się na łóżku i sięgam do

stolika po tabletki. Czuję, jakby moja głowa
miała za chwilę eksplodować białym światłem.

Wspomnienie spotkania kierowców uderza
mnie jak młot kowalski, po czym znika, zanim

zdążę

zarejestrować

cokolwiek

prócz

nielicznych szczegółów.

— Cholera! — Zbieram się z łóżka. Zawroty

głowy

są

mniejsze

niż

wczoraj.

I

przedwczoraj. Irytuje mnie to męczenie

pamięci, pieprzone zmuszanie umysłu, żeby

przywołał to, co właśnie przemknęło mi przez

głowę. Zaczynam chodzić tam i z powrotem,

ale nic się nie pojawia. Czuję się sfrustrowany,

ograniczony i niespokojny.

I trochę popieprzony.

Nie jestem sobą. A potrzebuję tego teraz

bardziej niż czeokolwiek innego. Bycia sobą.

Panowania nad sobą. Rozdawania kart w

swojej pierdolonej grze.

Bycia *pieprzonym* Coltonem Donavanem.

— Aaargh! — krzyczę, bo *pieprzenie* jest z całą

pewnością

czymś,

czego

teraz

potrzebuję. Czymś, co pomogłoby mi odnaleźć

siebie. Mogę sobie łązić po sypialni, ale mój

członek stoi jak drąg, a moje jaja są tak

niebieskie, że chyba zamienię się w Papę

Smerfa, jeśli szybko nie dostanę pozwolenia od

lekarza.

Dupa, a nie zakopać ból pod przyjemnością.

Co mam, do cholery, zrobić z bólem, skoro nie

mogę zakosztować przyjemności?

Niech mnie szlag, jeśli to nie jest najgorsza, a

zarazem najślodsza tortura: spanie obok

jedynej

kobiety,

której

kiedykolwiek

pragnąłem. Nie zniosę kolejnego dnia tej
udręki. Nawet na samą myśl o tym rozrywa
mnie w środku. Na samą myśl o niej
odruchowo chwytam się za członka, żeby
sprawdzić, czy czasem nie uschnął i nie odpadł
od nieużywania.

Taa, nadal na swoim miejscu.

Do tego jeszcze drży mi ręka. Trzęsie się tak,
że nawet nie potrafię utrzymać w niej swojego
członka.

Ja pierdolę, kurwa mać! Teraz to trzęsę się z frustracji.

Jestem

sfrustrowany

sobą,

Jamesonem, że we mnie wjechał, i całym

światem. To więzienie mnie dobija. Przeżera

mi mózg i sprawia, że zaczynam wariować!

Biorę poduszkę z kanapy i rzucając o szklaną

ścianę, po czym opadam na fotel.

— Kurwa! — Zaciskam powieki i nagle widzę

kalejdoskop obrazów, które powiększają się w

gwałtownym tempie i rozpryskują tuż przed

oczyma umysłu. Białe błyski uderzają z

częstotliwością

niemieckiego

techno

i

jednocześnie mnie paraliżują i zamrażają.

Jedź, jedź, jedź. No dalej, trzynastko. Dalej, mała. Jedź, jedź, jedź.

Zbyt szybko.

Kurwa!

Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

Gwałtownie otwieram oczy, gdy zgubione

wspomnienia

wracają

w

wysokiej

rozdzielczości.

Przewraca mi się w żołądku, bo wracają

zapomniane emocje. Z sercem w gardle

próbuję poskładać przebieg wypadku ze

wspomnień

podziurawionych

jak

ser

szwajcarski.

Niepokój atakuje mnie z pełną siłą i nie

potrafię się z niego otrząsnąć. Zawroty głowy.

Zaburzenia równowagi. Mdłości. Strach.

Cztery składniki zmieszane jak w drinku Long

Island Iced Tea, który teraz uratowałby mi

życie. Moje ciało drży z powodu odłamków

wspomnień,

które

umysł

postanowił

przywrócić.

Czuję się jak na kolejce górskiej w trakcie

swobodnego spadania i trudno mi złapać

pieprzony oddech.

Przestań jęczeć, Donovan. Skończ się nad

sobą użalać! Niech mnie szlag, bo jedyne, czego teraz pragnę, to Rylee. A nie mogę jej

mieć, więc kiwam się jak pierdolony kotek,

żeby powstrzymać się przed zadzwonieniem

do niej pierwszego dnia, który może poświęcić

chłopcom.

Ale i tak jej potrzebuję, szczególnie teraz, gdy

to

wszystko

zrozumiałem...

Gdy

ją

zrozumiałem. Rozumiem prześladowającą ją

klaustrofobię, bo w tej chwili nie potrafię nic zrobić. Mogę tylko leżeć na podłodze, patrzeć na wirujący przed oczyma pokój i próbować opanować pulsowanie w głowie.

W chwilowym przebłysku świadomości w środku szalejącej paniki uzmysławiam sobie, że owszem, wcześniej nie czułem się sobą, ale z całą pewnością nie cierpię tej aktualnej, użalającej się nad sobą wersji siebie, która jest rozwalona na łopatki i leży na podłodze jak ostatnia łajza z powodu paru wspomnień.

Zamykam oczy, a mój umysł unosi się w pieprzonej mgle.

Jeśli tak zapisano w kartach...

Przez głowę przemykają mi kolejne okruchy wspomnień, ale nie potrafię ich zatrzymać na tyle długo, żeby przyjrzeć im się dokładniej.

Twoi superbohaterowie tym razem się zjawili...

Odpycham wspomnienia z powrotem w ciemność.

Jestem

teraz

beznadziejny.

Chciałbym sobie przypomnieć, ale nie wiem,

czy

to

wytrzymam.

Zawsze

byłem

brawurowym koleśm, ale teraz muszę

posuwać się do przodu maleńkimi kroczkami.

Najpierw raczkowanie, potem chodzenie, i

takie tam.

Zamykam oczy i skupiam się na tym, żeby

pokój przestał wirować.

Stuk!

Uderza mnie kolejne wspomnienie. Pięć minut

temu

nie

potrafiłem

sobie

niczego

przypomnieć, a teraz nie potrafię zapomnieć.

Pieprzyć bycie zepsutym lub skrzywionym —

teraz jestem jak rozerwany wybuchem

samochód.

Oddychaj, Donovan. Oddychaj, do cholery.

Stuk!

Żyję. Jestem cały. I świadomy.

Stuk!

Biorę kolejnych kilka głębokich oddechów.

Dywan jest mokry od spływającego ze mnie
potu. Próbuję usiąść i bezskutecznie pozbierać

porozrzucane wszędzie części mnie, ale

najwyraźniej

trzeba

czegoś

więcej

niż

spawarka, żeby to wszystko poskładać do

kupy.

Wtedy z siłą pociągu towarowego uderza mnie

świadomość tego, co muszę teraz zrobić.

Zaczynam pełznąć. Gdybym był w lepszym

stanie psychicznym, zapewne śmieszyłaby

mnie moja naga dupa sunąca po podłodze w

stronę pilota i to, jak nisko upadłem.

Ale gównu mnie to obchodzi, bo jestem

zdesperowany.

Chcę znowu odnaleźć siebie.

Kontrolować strach, nad którym jestem w

stanie zapanować.

Skonfrontować

się

ze

wspomnieniami

i

odebrać im moc oddziaływania.

Nie chcę być pieprzoną ofiarą.

Nigdy.

Więcej.

Dotarcie po pilota kosztuje mnie więcej wysiłku niż przebiegnięcie zwyczajowych ośmiu kilometrów, a przepełniałem raptem trzy metry. Jestem beznadziejnie słaby pod tak wieloma względami, że nawet nie chce mi się ich liczyć. Brakuje mi tchu, a w głowie znowu zaczyna uderzać kafar. W końcu docieram do łóżka i siadam tak, żeby móc się oprzeć o jego ramę.

Czas zmierzyć się z jednym z dwóch lęków, które prześladują mnie w snach.

Kieruję pilota w stronę telewizora i włączam go. Widzę podwójnie i dopiero po minucie obraz zaczyna być wyraźny. Pieprzone palce

są jak z galarety i trochę mi zajmuje, zanim

trafiam we wszystkie potrzebne przyciski,

żeby

znaleźć

odpowiednie

nagranie

na

nagrywarce.

Muszę wykrzesać z siebie każdy gram

wszystkiego, żeby obejrzeć, jak mój samochód

wpada w dym.

Żeby nie odwrócić wzroku, gdy samochód

Jamesona uderza w mój, produkując iskry jak

na pokazie fajerwerków.

Żeby pamiętać o oddychaniu, gdy samochód

razem ze mną przelatuje przez wypełnione

dymem powietrze.

Żeby nie wzdrygnąć się po usłyszeniu

okropnego odgłosu po uderzeniu w barierkę.

Żeby zobaczyć, jak samochód rozpada się na

kawałki.

Rozpieprza się wokół mnie.

Beczki toczą się jak pierdolone opony

zrzucone ze schodów.

Odwracam się dopiero wtedy, gdy muszę
zwymiotować.

Rozdział 17.

Zadowolona i pełna nadziei wracam skąpaną w
słońcu autostradą do domu Coltona. Wracam
do miejsca, które przez ostatnie trzy tygodnie
były także moim domem. Mały kroczek o
olbrzymim znaczeniu dla naszego związku.

Taka była konieczność. To wcale nie oznacza,
że Colton chce, żebym została u niego na
nieokreślony czas. Rozumiemy się?

Czuję się lżej na duszy po spędzeniu
pierwszego

od

trzech

tygodni

dwudziestoczwierogodzinnego

dyżuru

z

chłopcami. Uśmiecham się bezwiednie, gdy
przypominam sobie poświęcenie Coltona, żeby
umożliwić mi wyjście z domu i pojechanie do
chłopców bez ogona złożonego z paparazzich.

Siadłam za kierownicą range rovera, ukryta za

jego mocno przyciemnianymi szybami, a Colton otworzył bramę na podjeździe i wszedł prosto w tłum reporterów, skupiając na sobie ich pełną uwagę. Gdy sępy go dopadły, wyjechałam z drugiej strony bez żadnego ogona.

„*Oczekiwania nie są nieistotne*” — te cztery słowa, które Colton napisał mi wcześniej, chodzą mi po głowie i prowokują do wymyślania możliwych scenariuszy.

Próbowałam do niego zadzwonić, żeby spytać, co miał na myśli, ale odezwała się poczta głosowa, a chwilę później dostałam drugiego SMS-a:

Żadnych pytań.

Przejmuję kontrolę.

Zobaczymy się po pracy.

Samo to, że byłam z nim praktycznie bez przerwy przez trzy tygodnie, a teraz nie mogę z nim porozmawiać, zbudowało we mnie dość spore oczekiwania. Pozostaje jednak pytanie:

czego mam się spodziewać? Oczywiście moje ciało już zdecydowało i całe wibruje od domniemanej odpowiedzi, ale mój umysł mówi, żebym nastawiła się na coś innego. Boję się, że jeśli uznam, iż dostał pozwolenie od lekarzy, a okaże się, że nie dostał, to będę tak przytłoczona nieokiełznaną żądzą, że sięgnę po to, czego desperacko pragnę, nawet jeśli nie będzie to dla niego bezpieczne.

Nie potrafię opanować zadowolonego uśmiechu, gdy zastanawiam się nad tym, co przyniesie wieczór, i wracam ze świetnej zmiany z *innymi* mężczyznami w moim życiu. Wchodząc do Domu, czułam się jak gwiazda rocka, bo chłopcy przywitali mnie z prawdziwą czułością i miłością. Tak za nimi tęskniłam. Ricky i Kyle oczywiście przekrzykiwali się, kto lepiej gra w baseball, Zander odzywał się sporadycznie, lecz regularnie swoim słodkim głosem, a Shane trajkotał o Sophii i o tym, że Colton musi wyzdrowieć, żeby nauczył go

prowadzić samochód. Były też uściski i moje
zapewnienia, że z Coltonem jest coraz lepiej, a
wszystkie
nagłówki
w
gazetach,
które
sugerują coś innego, są po prostu niezgodne z
prawdą.

Włączam radio. Akurat nadają piosenkę *What
I Needed*, więc zaczynam śpiewać na głos, bo
słowa wzmacniają mój dobry nastrój, jeśli to
możliwe, żeby był lepszy. Oglądam się przez
ramię przy zmianie pasa i po raz trzeci
zauważam za sobą niebieskiego sedana. Może
jednak nie udało mi się uciec przed
reporterami. Albo to jeden z ludzi Sammy'ego
pilnuje, żebym bezpiecznie dotarła do domu.

Ale i tak czuję lekki niepokój.

Gdy niepokój zaczyna przeradzać się w
paranoję, postanawiam zadzwonić do Coltona i
spytać go, czy kazał Sammy'emu przydzielić
mi jakąś obstawę. Sięgam po telefon na
siedzenie pasażera i trafiam dłonią na

własnoręcznie wykonane przez chłopców
prezenty dla Coltona. Uświadamiam sobie, że
odłożyłam torebkę z telefonem podczas
ładowania bagażnika i tam została, bo
zapomniałam ją zabrać.

Zerkam w lusterko, lecz samochód wciąż
jedzie kilkanaście metrów za mną. Próbuję
otrząsnąć się z trawiącego mnie uczucia
niepokoju i zmusić się do koncentracji na
drodze. Wmawiam sobie, że to po prostu
zdesperowany fotograf. Nic wielkiego. To
terytorium Coltona i on jest do tego
przyzwyczajony, a ja jeszcze nie. Wzdycham
głośno,
przejeżdżając
przez
nadmorską
dzielnice w stronę Broadbeach Road.

Nie powinnam być zaskoczona, że reporterzy
wciąż
oblegają
ulicę
przed
bramą

do

posiadłości Coltona. Nie powinnam się kulić,
bo muszę lawirować między nimi, gdyż
zauważyli, że jadę jego samochodem. Nie
powinnam patrzeć po raz kolejny w lusterko,
gdy naciskam przycisk otwierania bramy, bo
okazuje się, że niebieski sedan zaparkował
przy chodniku. Powinnam zwrócić uwagę na
to, że nikt z niego nie wysiadł, a tym bardziej
nie wyciągnął aparatu, żeby zrobić zdjęcie, dla
którego za mną jechał. Ale jazda wśród
eksplodujących fleszy sprawia, że trudno
skupić się na czymkolwiek innym.

Brama się za mną zamyka, a ja biorę drżący
oddech i parkuję auto. Wsiadam z drżącymi
rękami

i

wciąż

słyszając

swoje

imię

wykrzykiwane zza ogrodzenia, zastanawiam
się, jak można przywyknąć do tej medialnej
wrzawy. Podnoszę wzrok i widzę, że Sammy

stoi przy bramie, i odpowiadam skinieniem
głowy na jego pozdrowienie. Już mam go
zapytać
o
dodatkową
ochronę,
gdy

przypominam sobie wiadomość od Coltona.

„Oczekiwania nie są nieistotne”.

Wszystko w moim ciele zaciska się i rozpala,
jestem kłębkim nerwów i gorączkowo pragnę
zobaczyć się z mężczyzną, który jest w domu.

Otwieram bagażnik i wyciągam torebkę;
uznaję, że po resztę przyjdę później. Szybko
podchodzę do drzwi frontowych, wkładam
klucz i otwieram je. Gdy je zamykam,
kakoфонia na zewnątrz cichnie, a ja opieram
się o nie i opuszczam z ulgą ramiona, bo
właśnie dosłownie i w przenośni zamknęłam
drzwi do zewnętrznego świata i znalazłam się
w swoim zakątku raju.

Jestem teraz z Coltonem.

— Ciężki dzień?

Prawie wyskakuję ze skóry. Colton wyłania się

z zaciemnionej alkowy i opiera się plecami o
ścianę, a ja muszę wykrzesać całą swoją siłę
woli, żeby pamiętać o oddychaniu. Moje oczy
chciwie błędzą po wyraźnie zarysowanej
rzeźbie jego okrytego wyłącznie czerwonymi
szortami
ciała,
które
emanuje
czystą
męskością. Prześlizguję się wzrokiem wzdłuż
wytatuowanych symboli i po jego klatce
piersiowej,
aż
do
cienia
połowicznego
uśmiechu na jego ustach. Tuż przed tym, jak
spotykają się nasze spojrzenia, wyłapuję iskrę,
która detonuje naszą stłumioną żądzę.
Zanim robię kolejny oddech, Colton rzuca się
na mnie z lubieżnym pomrukiem. Przywiera do
mnie ciałem, przyciska mnie do drzwi i dosięga
miliardami doznań zamkniętych w pocałunku.

Zawłaszczają mnie bez opamiętania i naznaczają
swoim
nieskrępowanym
pożądaniem.

Instynktownie chwytam go za włosy z tyłu
głowy, a on robi mi to samo. Druga dłoń ląduje
na moim biodrze, a rozgorączkowane palce
penetrują
moje
chciwe
ciało.

Piersiami
ocieram się o jego twarde tors, którego ciepło
jeszcze bardziej wznieca szalejący we mnie
płomień.

Czuję piekło pożądania, które wydaje mi się
niemożliwe do zaspokojenia.

Poruszamy się jak w gorączce. Trzyma mnie
mocno za włosy tak, że moje wargi są na łasce
jego wprawnych ust. I języka, który zagłębia
się we mnie i pieści tak chciwie, jakby
smakował swój ostatni posiłek w życiu, jakby
powiedział
sobie

„pieprzyć

wszelkie

ograniczenia”, po czym poddał się ochoczo

grzechowi obżarstwa.

Przeciągam dłońmi po jego łopatkach, a on

jęczy z zadowolenia, że w końcu znowu może

oddać się doznaniom. Zakłada sobie moją nogę

na biodro, przez co jego stalowa erekcja

idealnie trafia w moją pulsującą kobiecość.

Opieram

głowę

na

drzwiach,

bo

to

przytłumione ocieranie wyzwala falę wilgoci, a

Colton

skwapliwie

wykorzystuje

to,

że

odsłoniłam szyję. W ułamku sekundy przyciska

usta do wrażliwej skóry i mięśniami języka

pobudza do życia wszystkie zakończenia

nerwowe, przypiekając je buzującym ogniem
namiętności.

Chwytam go za napięte bicepsy, gdy szybko
rozpina mi spodnie i wsuwa dłonie pod
materiał. Kołyszę biodrami, żeby ułatwić mu
ich ściągnięcie, a on zaczyna muskać chciwymi
palcami moją nabrzmiąłą cipkę. Pieści ją
delikatnie. Drugą dłonią chwytam mnie za
pośladek, odgradzając go od drzwi, i przyciąga
jeszcze bliżej siebie.

Pragnienie wzbija się na niewyobrażalne
szczyty, a rozpaczliwa żądza pożera każdy
skrawek mojego ciała.

— Colton — jęczę, bo pragnę, żeby dopełnił
naszego zespolenia. Zsuwam dłonie na brzuch
i rozrywam rzep jego szortów. Otaczam
dłońmi jego boleśnie dużą męskość, a on
wciąga powietrze ze świstem. Czuję, jak całe
jego ciało się napina, gdy czuje moją skórę na
swojej skórze.

— Ry... — dyszy moje imię, a ja przesuwam
dłoń w górę i w dół jego członka. Wkłada
dłonie pod moją bluzkę i ściąga ją szybkim
ruchem, po czym rozpina mi stanik. — Rylee —

mówi

przez

zaciśnięte

zęby.

Jest

tak

przytłoczony kaskadą doznań, że przestaje
mnie całować, puszcza moje ciało, opiera się
rękami o drzwi po obu stronach mojej głowy i
przyciska czoło do mojego czoła. Czuję, jak
cały wibruje od zalewającego go pożądania,
muskając moje usta skrawkami oddechów.

Mówi coś tak cicho, że jego głos ginie w
wypełniającym
pomieszczenie
dyszeniu.

Poruszam dłonią po raz kolejny, bo to takie
przyjemne, gdy cały drży.

— Stop — szepcze w moje usta. Tym razem go
słyszę. Natychmiast przestaję i odchylam się,
żeby na niego spojrzeć. Boję się, że to znowu
głowa. Mój niepokój się wzmaga, gdy widzę,
że zaciska mocno powieki.

Z trudem bierze oddech i powoli otwiera oczy.

Patrzy na mnie, delikatnie muskając palcami
moje pośladki.

— Rozpaczliwie pragnę się w ciebie zatopić,
Ry. Poczuć cię, zatracić się w tobie i odnaleźć
się na nowo... — mówi z wyraźną desperacją
w głosie, którą potwierdza jego napięta szyja.

— Zasługujesz na wolno i delikatnie, mała, ale
jedyne, co mogę ci teraz dać, to szybko i ostro,
bo już tak cholernie dawno cię nie miałem.

Mój Boże, ten facet jest tak cholernie
seksowny, a jego wyznanie tak mnie podnieca,
że mam gdzieś wolno i delikatnie. Moje
emocje, zakończenia nerwowe i samokontrola
są na takiej krawędzi, że wystarczy, iż lekko
mnie popchnie, a rozpadnę się na miliony
odłamków rozkoszy, żeby potem poskładać się
w nową, spełnioną całość.

Przechyliłam głowę i zbliżam ją do niego, po
czym muskam jego usta. Słyszę jego ciężki
wdech i czuję napięcie w jego ustach, gdy
ciągnę delikatnie zębami jego dolną wargę.

Odchylam głowę i trafiam na jego przepelnione
żądzą spojrzenie.

— Pragnę cię — szepczę. Jedną dłonią otulam

jego stalową męskość, a drugą dłonią trzymam kurczowo za włosy z tyłu głowy, bo chcę, żeby odczuł intensywność mojego pożądania. — W jakikolwiek możliwy sposób. Szybko, ostro, łagodnie, powoli, na stojąco, na siedząco...

Obojętne, pod warunkiem że to ty będziesz we mnie.

Patrzy na mnie przez sekundę, a w jego przesyconych żądzą oczach widzę przeblysk niedowierzania. Czuję, jak drży z pożądania, gdy próbuje się opanować, i dostrzegam moment, gdy daje się ponieść. Przywiera do mnie ustami. Bezceremonialnie i gwałtownie.

Jego język jest pieszczotliwy, kuszący i zawłaszczający, tak jak tylko Colton potrafi.

Silnymi dłońmi wodzi po moim tułowi, muskając od spodu ciężkie od pożądania piersi, po czym schodzi niżej, na biodra.

Mówi

się,

że

trzeba

zasiać

nasionko

namiętności, aby rozkwitło pożądaniem, lecz

to absolutna bzdura, bo teraz — *dokładnie*

teraz — jestem jak ogród żądz.

Pocieram kciukiem wilgotny czubek członka, a

on jeszcze bardziej się powiększa. Colton

wydaje z siebie gardłowy pomruk. Drugą

dłonią drapię go po plecach, a ustami wpijam

się chciwie w jego usta. Colton w ułamku

sekundy chwytą mnie za biodra, podnosi i

przyciska do drzwi. Próbuję opleść go w pasie

nogami, ale mi nie pozwala i zastygamy w

zawieszeniu

tuż

przed

najbardziej

upragnionym zespoleniem, a jego sterczący

twardo członek dotyka mnie między nogami,

zadając mi najśłodsza torturę.

Chwytam go dłonią, a Colton wstrzymuje

oddech. Chcę przejąć kontrolę nad mężczyzną,

którego nikt nie jest w stanie okiełznać.

Pragnę wyzwolić w nim to, co najgorsze,

najlepsze, wszystko.

W jego oczach migocze przez chwilę jakaś

nieokreślona

emocja,

ale

jestem

tak

wyposzczona i tak zaabsorbowana tym, co za chwilę się stanie, że w ogóle nie zwracam na nią uwagi.

Puszczam na chwilę członka i sięgam między swoje nogi, żeby zwilżyć palce. Potem smaruję czubek członka, bo chcę go przygotować, a jednocześnie pokazać Coltonowi, jak na mnie działa i czego od niego oczekuję. Mój mały pokaz pozbawia go resztek samokontroli.

Zatapia palce w moich biodrach i unosi mnie nieco wyżej. Nakierowuje mnie, po czym opuszcza na siebie. Oboje wydajemy z siebie jęk, gdy w końcu doświadczamy zespolenia.

Gdy moje gorące i mokre wnętrze rozciąga się do granic możliwości, żeby przyjąć jego natarcie.

Tak dawno we mnie nie był, że już zapomniałam to przyjemne, palące uczucie.

— Boże — dyszę, gdy moje ciało dopasowuje

się do niego. — Jestem taka ciasna —
stwierdzam, przypisując to temu, że nie
uprawialiśmy seksu od ponad trzech tygodni.
— Nie, kotku — mówi Colton z rozbawieniem,
stojąc nieruchomo i pozwalając mi się do
siebie dopasować. — To ja jestem taki duży.

Parskam w myślach, ale śmiech nie dociera do
moich ust, bo Colton rzuca jedynie swój
arogancki uśmiech, po czym od razu przywiera
do moich ust. Tym razem jego pocałunki są
władcze i zawłaszczające. Zaczyna poruszać

biodrami i prowadzić mnie dłońmi, a jego
członek
torturuje
każdy
nasycony
zakończeniami nerwowymi fragment mojego
wnętrza. Całkowicie panuje nad naszymi
ruchami i eskalacją naszych doznań.

Opieram głowę o drzwi i sycę się jego
widokiem.

Ma
zamknięte
oczy,

lekko

rozchylone usta i zmierzwiłone przeze mnie
włosy. Mięśnie ramion falują w rytmie jego
ruchów.

Mój pokrzywdzony mężczyzna jest teraz w
czysto dominującym trybie, a każdy nerw
mojego ciała błaga o to, żeby dać się
zdominować. Żeby uczynił mnie swoją. Żeby
to ja była tą, której udowodni swoją męskość.

— Boooże, jesteś taka rozkoszna — mówi,
unosząc mnie na chwilę, po czym zanurza się
we mnie z powrotem. Moje mięśnie się
zaciskają, a zakończenia nerwowe otrzymują
tak upragnione bodźce.

— Colton — dyszę i wbijam palce w jego
ramiona, bo czuję, że jestem coraz bliżej i
bliżej krawędzi. Doznania przybierają na sile,
a wstępne fale rozkoszy przygotowują mnie na
trzęsienie ziemi. Czuję w środku gwałtownie
rozprzestrzeniający się pożar. Wbija się
znowu. Czuję, jak moje uda zaciskają się
wokół niego. Drapię go po ramionach i
gorączkowo szukam jego ust.

Kilka sekund później rozkosz przeradza się w

eksplozję białego światła w pochłaniającej
mnie czarnej pustce. Świat zewnętrzny
przestaje istnieć, a ja zatracam się w naszym
zespoleniu. Jesteśmy tylko ja i on, opętani
przytłaczającymi doznaniem, przez które
brakuje nam tchu. Zatapiam się w płynnej
lawie i poddaję się doznaniom, dysząc raz po
raz jego imię.

Chwilę
później
przez
mgłę
mojego
rozkosznego otumanienia przebija się jęk
Coltona, a jego biodra zaczynają mnie
konwulsyjnie atakować. Colton kołysze się tam
i z powrotem kilka razy, żeby przedłużyć tę
chwilę. Oddycha ciężko, a jego pierś jest
wilgotna od jego potu pomieszanego z moim.
Opada na mnie i chowa twarz w mojej szyi.
Spoczywam na jego biodrach przyciśnięta do
drzwi i oplatom go ramionami. Rozkoszuję się
chwilą:
gwałtownym

unoszeniem

się

i

opadaniem jego klatki piersiowej, ciepłem jego

oddechu na swoim karku, jednoznacznym

zapachem seksu. Uświadamiam sobie, że dla

tego mężczyzny bez wahania poruszę niebo i

ziemię, jeśli będzie taka potrzeba.

Colton poprawia swój chwyt za moje biodra i

powoli opuszcza moje stopy na ziemię, chociaż

głową wciąż jestem w obłokach. Wysuwa się

ze mnie, ale odnawia zespolenie za pomocą

ramion, którymi mnie obejmuje. Przytula mnie

do swojej nagiej skóry, jakby nie chciał jeszcze

mnie wypuszczać.

A ja nie mam nic przeciwko, bo też nie wiem,

czy kiedykolwiek byłabym w stanie pozwolić

mu odejść.

— Kurde, ależ tego potrzebowałem —

wzdycha z lekkim uśmiechem. Wykrztuszam

jakieś mruknięcie w odpowiedzi, bo wciąż

jeszcze błędzę wysoko w chmurach.

Milczymy

przez

chwilę,
poddając
się
nastrojowi chwili, i cieszymy się po prostu z
bycia razem.

—
Nie
mogę
uwierzyć,
że
mi
nie
przypomniałaś — stwierdza, przerywając
ciszę. Kiwa głową przez chwilę, po czym
odchyła się, żeby spojrzeć pytająco w moje
oczy.

—
Nie
przypomniałam?

—
pytam
zdezorientowana.

Przez jego usta przemyka cień uśmiechu.
Kładzie dłoń na moim policzku i bardzo

delikatnie muska kciukiem nabrzmiąle od jego
pocałunków wargi.

— Tego, co ci powiedziałem, zanim wsiadłem
do samochodu...

Przerywam wdech w połowie, a serce
przestaje bić i więźnie mi w gardle, gdy słyszę
te słowa i widzę emocje w jego oczach. Pragnę
go poprosić, żeby powiedział mi te słowa, bo
choć oczywiście wiem, o jakie słowa chodzi,
to chciałabym się przekonać, że je pamięta i
że nadal czuje to, co się za nimi kryje.

Próbuję
zapanować
nad
oddechem
i

falowaniem głosu, bo muszę zapytać.

— Co masz na myśli? — Jestem beznadziejnym
kłamcą i wiem, że bez trudu przejrzał moją
udawaną dezorientację.

Chichocze cicho i całuje mnie czule w usta i w
czubek nosa. Potem odchyła się, żeby spojrzeć
mi prosto w oczy. Zwilża usta językiem i mówi:

— *Wyściguję cię, Ryles.*

Serce mi się roztopia, a dusza wzdycha, gdy

Colton powtarza słowa, których używałam

jako

spoiwa

sklejającego

połuczenia

spowodowane przez wypadek. Czuję spokój,

choć słyszałam niepokój w jego drżącym

głosie, i widzę, jak szarpie zębami dolną

wargę. W końcu jednak udziela mi się jego

nerwowość. Czy on po prostu powtórzył te

słowa, lecz wcale już tak nie myśli? Wiem, że to niedorzeczne, biorąc pod uwagę to, co

zaszło kilka chwil wcześniej, ale nauczyłam

się, że w przypadku Coltona nic nie jest

przewidywalne.

— Taa — wzdygam i spoglądam w jego

zuchwałe oczy. — Te słowa... mówisz je teraz,

bo sobie o nich przypomniałeś czy dlatego, że

wciąż to czujesz? — *Bach*. Wyłożyłam karty na

stół i zaoferowałam pierwszą opcję, żeby miał

jakieś *wyjscie*, gdyby już mnie nie *wyścigował*.

Gdyby wypadek zmienił jego uczucia i gdyby

to, co jest między nami, wróciło na poziom

przypadkowej znajomości.

Colton przechyla głowę i przez chwilę
przypatruje mi się badawczo. Jego wzrok jest
błagalny, lecz jego usta się nie poruszają. Czas
niemiłosiernie spowalnia, a ja czekam na
odpowiedź, która albo rozbije mnie na
kawałki, albo ukoi moje pokiereszowane
serce.

— Ry... nie wiesz, że ja nigdy nie zapominam
tego, co się dzieje, jak się wyściguję? *Zarówno
na torze, jak i poza nim?* — Chwilę trwa, zanim jego słowa do mnie docierają i
zaczynam zrozumieć ich znaczenie. On
pamięta i wciąż to do mnie czuje. Zabawne
jest to, że teraz, gdy wiem, że wszystkie te
obawy były bezzasadne i że możemy ruszyć
naprzód, to stoję jak wmurowana.
Jesteśmy nadzy i opieramy się o drzwi, za
którymi czyha ponad setka reporterów.

Mężczyzna,

którego

wyściguję,

właśnie

powiedział mi, że także mnie wyściguje. Ale ja
potrafię tylko patrzeć na niego w milczeniu,
gdy moją duszę wypełnia nadzieja, w końcu

zadomawiając się w niej na stałe.

Colton nachyla się tak, że prawie dotyka mnie ustami, i ujmuje moją twarz w dłonie, jakby chciał zajrzeć mi głęboko w duszę.

— Wściguję cię, Ryles — powtarza, mylnie uznając, że milczę, bo nie zrozumiałam, o co mu chodziło. Nie ma pojęcia, że w tej chwili, gdy stoję przed nim naga i z obnażonym sercem, zalewa mnie miłość do niego i dlatego nie potrafię wykrztusić ani słowa. Zamiast tego więc po prostu przyjmuję jego muskające, pełne oddania pocałunki. W końcu opiera czoło o moje.

— Nie rozumiesz? — pyta. — Jesteś moją pierdoloną flagą w szachownicy.

Całuje mnie znowu. Czuję, że jego usta układają się w uśmiech, i sama także pozwalam sobie wybuchnąć śmiechem. To takie przyjemne, bo nagle uświadamiam sobie, że zniknął cień, który kłuł mnie w serce.

Że mężczyzna, którego kocham, także mnie kocha.

I że złapał moje spadające serce.

Colton zsuwa dłoń po moim kręgosłupie, powodując tak delikatne dreszcze, że prawie

ich nie rejestruję. Potem przesuwa dłoń z powrotem w górę, a ja czuję na brzuchu, że znowu twardnieje.

— Zakładam, że dostałeś pozwolenie od lekarzy? — pytam, bo moje zaspokojone ciało także na nowo odnajduje w sobie żądzę.

— Jasne, ale po takim dniu — mówi, całując mnie w czoło i przytulając mocno — nie miało to żadnego pieprzonego znaczenia. I tak bym wziął to, co moje.

— To, co twoje, hę? — drażnię się z nim, chociaż jego słowa rozgrzewają moje serce.

— Uhm.

Nagle dociera do mnie znaczenie jego poprzednich słów i odchylam się od niego.

— Co było nie tak z twoim dniem?

Jakaś emocja przesłania jego oczy, ale szybko ją tłumi.

— Nie martw się o mnie — stwierdza, wzbudzając moje obawy.

— Co się stało, Colton? Przypomniałeś sobie coś jeszcze? Coś, co...

— Nie — ucina i przyciska swe usta do moich.

— Przypomniałem sobie tylko to, co ważne.

Część luk nadal pozostała. — Mistrz uniku w każdym calu. — Wydaje mi się, że ostatnio cię zaniedbywałem.

Czyli nie chce rozmawiać o tym, co go trapi.

Dobrze...

Biorąc

pod

uwagę

ostatnie

dwadzieścia minut, zdecydowanie mogę dać

mu trochę przestrzeni i go nie naciskać.

— *Zaniedbywałeś mnie?*

— Tak, nie traktowałem cię tak, jak

powinienem — oznajmia i klepie mnie w tyłek.

Czuję lekkie pieczenie, które rozlewa się falą

po moim wrażliwym ciele i dociera także

między uda. — Zajmowałaś się mną, jak

zwykle nie zważając na siebie, a ja nie

zajmowałem się tobą tak, jak należy.

— Moim zdaniem właśnie się mną zająłeś...

tak, jak należy — droczyć się, poruszając się w jego objęciach. Z gardła Coltona dobywa się

głęboki pomruk. — Jeśli to uważasz za

niezajmowanie się mną i zaniedbywanie mnie,

to *proszę*, As... — skubię go w szyję tuż pod krawędzią szczęki — zaniedbaj mnie jeszcze

trochę.

—

Mój

Boże,

kobieto,

testujesz

moją

powściągliwość — mruczy i zsuwa dłonie po

kręgosłupie na moje pośladki. — Ale to było

tylko małe odejście od tematu, bo...

— Ja bym nie nazwała go *małym* — wypalam, unosząc brwi, i znowu poruszam biodrami, a

Colton wybucha śmiechem. — W zasadzie

mógłbyś codziennie zaniedbywać mnie swoim

odejściem od tematu.

— Jasne, że mógłbym — drażni się, ściskając

moje biodra. — W każdym razie chciałem

powiedzieć, że nadszedł czas, żeby zapewnić

ci lepsze zajęcie niż siedzenie przy mnie i

zabawianie

mnie

w

łóżku,

dlatego

zorganizowałem porządną randkę. — Unoszę

brwi, gdy mówi o zabawianiu go w łóżku, ale
on tylko potrząsa głową i posyła mi uwielbiany
przeze mnie uśmiech. Nachyla się i całuje
mnie delikatnie. — Potem będziesz miała
mnóstwo czasu, żeby zabawiać mnie w łóżku,
bo teraz zabieram cię na premierę filmu —
mruczy w moje usta.

Jego słowa kompletnie mnie zaskakują.
— Cccoo? — pytam z niedowierzaniem na
twarzy i półotwartymi ze zdziwienia ustami. A
on uśmiecha się do mnie, zadowolony, że mnie
zaskoczył.

Przechodzi mnie lekki dreszcz ekscytacji na
myśl, że doświadczę z Coltonem czegoś
nowego. Że stworzymy razem jakieś nowe
wspomnienia. Oznacza to jednak, że będę się
musiała nim podzielić z *nimi*. Z *reporterami*, którzy czekają przed bramą, i bez wątpienia
pojawią
się
na
imprezie
ze
swoimi
napastliwymi

pytaniem

i

kamerami

wymierzonymi prosto w twarz. Oznacza to również, że musimy wyjść na zewnątrz, poza nasz przytulny mały świat, w którym możemy uprawiać słodką leniwą miłość, gdy tylko poczujemy na to ochotę.

Wiem, co bym woląa robić.

Przypomina

mi

się

jego

sarkastyczny

komentarz powiedziany do Becksa kilka dni

temu.

—

Myślałam,

że

jak

tylko

dostaniesz

błogosławieństwo od lekarza, żadna siła nie odciągnie cię ode mnie przez *długie pieprzone*

godziny, no może poza zmianą prześcieradeł

— powtarzam mu jego własne słowa.

Oczy

Coltona

natychmiast

ciemniej

z

pożądania i pojawia się w nich szelmowski

błysk. Wykrzywia usta, zastanawiając się,

którą opcję wybrać.

— Cóż — stwierdza ze śmiechem — faktycznie

tak powiedziałem. — Zsuwa delikatnie palec

po moim policzku, po szyi, a potem między

piersiemi. Wstrzymuję oddech, moje sutki

bezwiednie sztywnieją i czuję, jak zalewają

mnie emocje. — A jak wiesz, Ryles, zawsze

dotrzymuję słowa... Jakim cudem mam spełnić

obietnicę, że będziesz naga, nie licząc

prześcieradeł, a jednocześnie wybrać się na

premierę, na której też obiecałem się pojawić?

Hmm... decyzje, decyzje — szepcze, po czym

nachyla się i przejeżdża językiem po mojej

szyi. — Co powinniśmy zrobić?

Otwieram usta, żeby coś odpowiedzieć, ale

potrafię skupić się tylko na tym, żeby pamiętać
o oddychaniu, gdy Colton szarpie językiem
płatek mojego ucha.

— Myślę, że świat za chwilę się dowie, jak
seksownie wyglądasz w samym prześcieradle.

Podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy, a
moje libido skacze do góry wskutek szoku, ale
Colton w ułamku sekundy z diabelskim
uśmiechem chwyta mnie i przerzuca sobie
przez ramię.

— Nie! — piszczę, gdy rusza w stronę
schodów. — Puść mnie!

— Media będą miały niezłą sensację — szydzi.

Klepię go w tyłek, ale on idzie dalej. — Wiesz,
patrząc na to z innej strony, nie będziesz się musiała zbyt długo zastanawiać nad tym, co
założyć.

— Kompletnie ci odbiło! — krzyczę, a on w
odpowiedzi wymierza mi kolejnego klapsa w
nagą pupę przełożoną przez jego ramię.

— Moja strata, twój zysk, kochana! —
chichocze, wchodząc na ostatni stopień
schodów.

— *Dupa*, a nie zysk! — mruczę pod nosem, a Colton znowu się śmieje.

— Naprawdę? — mówi, po czym odwraca

głowę i całuje mnie w biodro. — Nie
wiedziałem, że lubisz się zabawiać z *tej*
strony, ale z całą pewnością możemy to
sprawdzić w stosownym momencie.

Otwieram usta i wystrzelam nerwowym
śmiechem, a Colton zatrzymuje się i powoli
zsuwa mnie z siebie, aż w końcu staję na
podłodze.

Jego
szelmowskie
spojrzenie
sprawia, że zaczynam się zastanawiać, czy on
czasem nie ma w zanadru jeszcze czegoś,
czego dotychczas nie brałam pod uwagę.

Jestem tak zatopiona w myślach i skupiona na
milczącej kalkulacji w jego oczach, że nie
rejestruję

tego,

iż

znajdujemy

się

na

ustronnym tarasie na drugim piętrze.

W końcu to sobie uświadamiam i zauważam,

co mnie otacza. Znowu jestem zszokowana...

lecz tym razem niespodzianka roztopia mi

serce.

— Och, Colton! — słowa bezwiednie wypadają

z moich ust, gdy widzę wszystko, co

przygotował. Na drugim końcu tarasu stoi

przenośny ekran, a przed nim stoją szezlongi

ustawione jak fotele w kinie i pokryte kilkoma

warstwami prześcieradeł. Uśmiecham się do

siebie i czuję rozplływające się w środku

ciepło, bo zauważam drobiazgi świadczące o

tym, że mu na mnie zależy: miska czekoladek

Hershey,

butelka

wina,

wata

cukrowa,

porozstawiane wszędzie świece i sterty

poduszek, żeby było na czym się położyć.

Łzy napływają mi do oczu, a jedna z nich

ucieka i spływa mi po policzku. Nie przejmuję

się tym, bo staranność tych wszystkich

przygotowań sprawia, że brak mi słów.

Odwracam się do Coltona i kręcę głową... bo

to, co przygotował, pozbawiło mnie słów, ale zewnętrzne i wewnętrzne piękno, które w nim dostrzegam, kradnie mi serce. Stoi przede mną nago, nieogolony, ze zmierzwionymi włosami, które, poza wygolonym plackiem, proszą się o fryzjera. Jakby tego było mało, potwierdza spojrzeniem to, co powiedział mi na dole.

— Dziękuję — mówię urywanym głosem. — To najmiłsza rzecz... — gubię głos, bo Colton podchodzi, ujmuje moją twarz w dłonie i odchyła ją, żeby spojrzeć mi w oczy. — To najlepsza randka, jaką mogę sobie wyobrazić.

Film z moim Asem, prześcieradła... *Tylko my i prześcieradła.*

Uśmiecha się nieśmiało w sposób, który mnie rozbija, i muska mnie pocałunkiem.

— Masz absolutną rację, Ry. Tylko my i prześcieradła. *Nic nas już nie rozdzieli: będziemy tylko my i prześcieradła.*

Jego słowa mnie uderzają, poruszają i dopełniają. Jedyne, co mogę zrobić, to zbliżyć się i przycisnąć usta do jego ust. Czuję bicie jego serca i drapanie jego zarostu na swoim podbródku i widzę miłość w jego oczach, więc

powtarzam bezwiednie:

— *Tylko my i prześcieradła.*

Rozdział 18.

Czuję na skórze ciepło porannego słońca,
rozgianego podmuchem chłodnej
oceanicznej bryzy. Zapomnieliśmy wczoraj
wyłączyć muzykę i w głośnikach słyszeć głos
Matta Nathansona, który niemal gubi się w
szumie fal. Wtulam się bardziej w Coltona,
zadowolona z nieoczekiwanego zwrotu, jaki
nastąpił zarówno w moim, jak i w jego życiu po
tym, jak niespodziewanie na siebie wpadliśmy.

Serce wręcz mnie boli od ogromu tego
wszystkiego. Oboje powoli akceptujemy to, że
dostaliśmy od życia drugą szansę, której
jeszcze rok temu nawet sobie nie
wyobrażaliśmy.

Mrużę oczy i patrzę z zadowoleniem na kratę
z pnącymi roślinami, rzucającą cień na łóżko z
szezlongów, na których wczoraj zasnęliśmy.

Nawet nie próbuję stłumić westchnienia
zadowolonej kobiety, gdy przypominam sobie
czuły, namiętny seks pod gwiazdami na łożu
nowych możliwości.

Przed oczyma przebiegają mi obrazy z
wczoraj. Siedzę na nim, opadam na niego,
obserwuję błyszczące w jego oczach emocje.
Łagodnie i powoli z Coltonem zapewnia równie
silne
doznania
jak
szybko
i
ostro.

Przypominam sobie, jak ten nieokazujący
uczuć mężczyzna, który nie dopuszcza nikogo
do swojego wnętrza, powoli się otwiera,
usuwa kolejne cegły z muru wokół serca i
pozwala, aby klucz przekręcił się w zamku i
otworzył drzwi.

Uśmiecham się lekko i oglądam pozostałości
po wczorajszym wieczorze. To wszystko było
po prostu niesamowite i zupełnie nie pasuje do
mężczyzny niewierzącego w romantyczność.
Który facet prosi swojego ojca o przysługę i
użyczenie kopii przyszłego przeboju kinowego,
który jeszcze nie miał premiery? I to tylko po
to, żeby obejrzeć go w zaciszu domowym ze

swoją dziewczyną? I chociaż odkryłam, że
Quinlan trochę mu pomagała, to sam pomysł
był jego... Tak samo jak różne istotne
drobiazgi, które znaczą dla mnie o wiele
więcej niż największe ekstrawagancje.

Podnoszę głowę z jego klatki piersiowej i
patrzę na niego, jak śpi. Owiewa mnie chłodna
bryza, ale rozgrzewa mnie miłość.

— Czuję, że na mnie patrzysz — mruczy pod
nosem, ściągając usta, lecz nie otwiera oczu.

— Uhm — mówię i bezwiednie się uśmiecham.

— Kto wymyślił, żeby tutaj spać? Ależ tu jasno.

— Przewraca się nie, otwierając oczu, i
przyciąga mnie do siebie ręką, którą trzymał
pod głową.

— Wydaje mi się, że ktoś powiedział: „Twoja
magiczna cipka wyssała ze mnie całą moją
magię. Nie mam sił, żeby się stąd ruszyć” —
powtarzam jego słowa, nie kryjąc zadowolenia
na twarzy i dumy w głosie.

— Nie, to zdecydowanie nie moje słowa —
stwierdza, po czym otwiera jedno oko i patrzy
na mnie z moim ulubionym lubieżnym
uśmiechem. — Mam nieskończone pokłady

magii, kotku. To musiał być jakiś inny koleś, z którego wyssałaś całą energię.

Tłumię wybuch śmiechu, bo ten chropowaty poranny głos i zaspane oczy są dla mnie kwintesencją seksowności, co bardzo utrudnia udawanie nonszalancji.

— Tak, masz rację. Jak zapewne pamiętasz, mnie nie pociągają tacy źli chłopcy jak ty. —
Wzruszam ramionami. — To był pewien gładko ogolony facet, z którym spotykam się na boku.

Taki, który daje mi to, czego ty nie jesteś w stanie mi zapewnić — droczę się i podnoszę prześcieradło przykrywające nasze biodra, żeby pod nie zerknąć. Wodzę chciwie wzrokiem wzdłuż jego imponującej porannej erekcji. Moje lekko obolałe po nocy mięśnie natychmiast kurczą się w nadziei na dalszy ciąg. Zamykam oczy, żeby ukryć pożądanie, które na pewno w nich widać, po czym wzdycham z zadowoleniem.

— Zobaczyłaś coś pięknego? Coś, czego tamten facet nie może ci zapewnić?

Uwielbiam
jego
swawolny

ton.

Muszę

pilnować swojego głosu, bo jego chępliwa gra

wstępna wzbudziła we mnie pragnienie tego,

co jest na wyciągnięcie ręki.

— Bez obaw. — Zmuszam się do wydobywania

głosu, patrząc spod rzęs prosto w jego

rozbawione oczy. — *Ta kobieta* jest nawet więcej niż zaspokojona. Nie ma potrzeby

doświadczenia twojej magii, skoro tamten

facet potrafi tak manipulować swoją różdżką,

że byś nie uwierzył.

Colton w ułamku sekundy odwraca mnie na

plecy i nachyla się nade mną, opierając się na

łokciu, a drugą ręką trzyma moje nadgarstki

nad głową. Zbliża twarz do mojej z

uśmiechem

na

ustach

i

wyzywająco

uniesionymi brwiami.

— Wydaje mi się, że ja mówiłem o *długich*

pieprzonych

godzinach

—
stwierdza,

przyciskając się swoją erekcją do mojej kości

łonowej. — Widziałaś już *długie*, a teraz pora zadbać o część mówiącą o *pieprzeniu*.

Mój wybuch śmiechu przeradza się w jęk

rozkoszy, gdy Colton zatapia się we mnie. Nie

jestem całkiem gotowa na jego wejście, ale nie

czuję bólu, chociaż normalnie byłoby to

nieprzyjemne. Tym razem tarcie pobudza

wszystkie możliwe zakończenia nerwowe,

łącznie z tymi, które mogły zostać wczoraj

pominięte.

— Słodki Jezu, kobieto, czuję się jak w niebie

— mruczy w moje ucho i wycofuje się

odrobinę. Trzymając moje ręce nad głową,

robi coś dziwnie intymnego i kładzie głowę w

zagłębieniu mojej szyi, przez co za każdym

razem, gdy ze mnie wychodzi i zatapia się

ponownie, czuję na skórze drapanie jego

zarostu i ciepło oddechu. Nie wiem, dlaczego,

ale w wydawanych przez niego odgłosach jest

coś niewiarygodnie podniecającego. Może

chodzi o to, że jego usta są tak blisko mojego

ucha, albo o to, że jesteśmy tak ze sobą

zestrojeni, ale kręci mnie, gdy jego pomruki
przeradzają się w jęki rozkoszy.

Próbuję uwolnić ręce, ale Colton nie pozwala
mi się wyrwać.

— Colton — dyszę, bo moje ciało zaczyna się
rozkręcać. Czuję falę gorąca i jestem tak
napięta z pożądania, że nie mogę się doczekać
uwolnienia. — Chcę cię dotknąć.

— He? — mruczy, a wibracja jego głosu
rezonuje w całym moim ciele. Zaczyna
wykonywać biodrami koliste ruchy, a jego
członek

uderza

w

ukryte

zakończenia

nerwowe, po czym wyciąga go i zaczyna
pocierać nim o moją łechtaczkę, a wszystkie
wcześniejsze myśli o uwalnianiu rąk wylatują
mi z głowy. Colton chichocze, bo doskonale
wie, co właśnie zrobił. — Tak jest dobrze?

— Boże, tak! — jęczę, a on powtarza całą
sekwencję. Moje uda zaczynają się napinać, a
skóra rumieni się od fali doznań, która

przygotowuje mnie na najwyższą rozkosz.

— Wiem, że jestem dobry, ale Bóg może
poczuć się trochę zazdrosny, jeśli będziesz nas
porównywać.

Żartobliwy ton, leniwe uprawianie miłości... bo
to jak najbardziej jest uprawianie miłości.

Colton nazywa to wyścigowaniem się, ale
szeptane

przez

niego

słowa,

dogłębna

akceptacja, pełna świadomość ciała kochanki,

poczucie komfortu — to wszystko wygląda,

jakby okazywał mi miłość.

Nie

potrafię

powstrzymać

beztroskiego

śmiechu. Wyginam się w łuk i przechylam

biodra,

przygotowana

na

jego

kolejne

staranne pchnięcie.

— Cóż, przygotuj się na to, że za chwilę sam będziesz zazdrosny — mówię wyzywająco, a

on odrywa głowę od mojej szyi, celowo

ocierając się zarostem o mój sutek. Fala

pożądania spływa w dół, między moje uda,

gdzie Colton tak wprawnie operuje biodrami.

Unosi

z

rozbawieniem

brwi,

próbując

rozgryźć, co właściwie miałam na myśli, ale

nie przestaje wykonywać kolistych ruchów

biodrami, więc się gubię.

Zatracam się w tej chwili.

W nim.

W orgazmie, który nagle przetacza się przeze

mnie i wciąga w wir przytłaczających doznań.

W mantrze: „*O Boże, o Boże, o Boże!*”, którą wykrztuszam po każdej zalewającej mnie fali

rozkoszy.

Zanurzam się w mgłę pożądania, ale i tak

słyszę, jak Colton chichocze, gdy dociera do

niego, dlaczego miałby być zazdrosny. Moje

ciało pulsuje wokół niego w konwulsyjnych skurczach, a on nachyla się do mojego ucha.

— Może i wołasz teraz jego imię, kochana, ale już za chwilę to mnie będziesz dziękować — mówi z tą swoją poranną chrypą, która rezonuje w całym moim ciele, po czym skubie zębami mój bark, puszcza moje ręce i oddala się ode mnie.

Jestem

tak

zatracona

w

przeżywanym

orgazmie, że ciepło jego ust i pociągnięcia językiem w najbardziej wrażliwym miejscu między nogami sprawiają, iż chwytam go za włosy.

— Colton! — krzyczę, gdyż jego liźnięcia potęgują intensywność mojego orgazmu i przedłużają falę ekstazy. — Colton! — powtarzam i wierzgam biodrami, bo rozkosz staje się tak intensywna, że jest niemal nie do zniesienia.

Po kolejnym liźnięciu rusza dalej w górę,

składając mokre pocałunki na moim brzuchu,
piersiach i szyi. W końcu dociera do ust i daje
mi skosztować smaku mojego podniecenia.

Jęczę cicho w jego usta, gdy wchodzi we mnie
ponownie i zaczyna pościg za własnym
orgazmem.

Odrywa się od moich ust, siada na kolanach i
trzymając moje nogi w górze, posyła mi
uśmiech, któremu nie potrafię się oprzeć.

— Mówiłem ci, że koniec końców to moje imię
będziesz krzyczyć — stwierdza.

Chcę coś odpowiedzieć, ale chwytą mnie za
biodra i zaczyna się we mnie wbijać w
morderczym
tempie.

Ściskam
dłońmi
prześcieradło, a jego imię staje się moją nową
mantrą, gdy prowadzi nas w stronę spełnienia.

— Co chciał Becks? — pytam Coltona,
wchodząc do jego gabinetu. Staję przed nim,
opierając się pośladkami o biurko. Gdyby nie
ta pozycja, nie dostrzegłabym błysku

niepewności w jego oczach tuż przed tym, jak się skrzywił.

— Mocny atak? — pytam o ból głowy, który próbuje przede mną ukryć.

— Nie, nie aż tak bardzo. Są coraz słabsze i rzadsze — mówi i milknie, rozginając w skupieniu spinacz do papieru.

— Becks? — przypominam mu, wyczuwając, że coś jest nie tak.

— Hm, on? Pytał, czy zarezerwować mi czas na torze, bo ustawili z wyprzedzeniem parę terminów, żeby mieć pewność, że będę miał czas, gdy tego zechcę. — Odwraca wzrok i skupia się na spinaczu. — Uważa, że powinienem wznowić treningi.

Pieprzony Beckett!

Chciałabym wrzasnąć te słowa ile sił w

płucach,

ale

poprzestaję

na

zganieniu

Becketta w myślach. No dobrze. Wściekam się

na niego bezpodstawnie, bo zrobił to, co sama

uznałam za właściwe, chociaż to wcale nie

oznacza, że się z tym zgadzam. Poczujębym się o wiele lepiej, gdybym miała pod ręką worek bokserski, bo wciąż przeraża mnie wizja Coltona zakładającego kombinezon i wsiadającego za kierownicę. Pytanie jednak brzmi, czy Colton też jest przerażony.

— Co o tym myślisz? Jesteś gotowy?

Colton wzdycha i odchyła się na krześle.

Splata palce za głową i wbija wzrok w sufit.

— Niiieee — mówi w końcu, przeciągając to

słowo,

żeby

zyskać

trochę

czasu

na

wyjaśnienie. — Wczoraj czu... — przerywa i

potrząsa głową. — Nieważne... Nie jestem na

razie w stanie utrzymać kierownicy tą

pieprzoną ręką — stwierdza. Wiem, że to

ściema, bo wczoraj bez problemu trzymał

mnie za pośladki, przyciskając do drzwi, ale

powiedzenie tego na głos byłoby kopaniem

leżącego,

bo

udowodniłabym,

że

jest

przerażony, a do tego kłamie.

Moją uwagę zwraca natomiast jego urwane wyjaśnienie, które w mojej głowie zderza się gwałtownie z wczorajszym komentarzem o ciężkim dniu. Bez słowa siadam mu na kolanach i wtulam się w niego. Wypuszcza z rezygnacją powietrze, po czym rozplata palce i obejmuje mnie.

— Co się stało wczoraj? — pytam po chwili.

Czuję, że jego ciało napięło się na sekundę, więc udzielam mu milczącego wsparcia, całując go w klatkę piersiową.

— Oglądałem nagranie.

Nie musi mówić nic więcej. Wiem dokładnie, o jakie *nagranie* mu chodzi, bo ja wciąż nie umiem się zmusić do jego obejrzenia.

— I jak sobie z tym poradziłeś?

Jego ciało wibruje z niepokoju. Domyślam się, że Colton potrzebuje się poruszyć, bo zaczyna się pode mną wiercić. Zeskakuję z jego kolan, a gdy wstaje i podchodzi do okna, zatapiam się

z powrotem w skórzany szeslong, jeszcze

ciepły od jego ciała.

Colton przeczesuje dłonią włosy i patrzy w dół,

w stronę plaży. Na jego nagich plecach

wyraźnie widać napięcie mięśni. Śmieje się w

wymuszony sposób.

—

Cóż,

jeśli

nazwiesz

dorośłym

spanikowanego faceta czołgającego się nago

po pierdolonej podłodze i targanego suchymi

torsjami,

bo

każde

pieprzone

uczucie

związane z wypadkiem uderza go jak młot —

mówi z ewidentnym sarkazmem — to jeśli to,

kurwa, nazywasz porażeniem sobie, to

jasne... zdałem ten pierdolony test. —

Wzrusza ramionami i nie oglądając się za

siebie, wychodzi z gabinetu. Dopiero, gdy

słyszę, jak odsuwa drzwi na taras i zasuwa je
za
sobą,
wypuszczam
powietrze,
które
wstrzymywałam.

Czekam chwilę zatopiona w myślach. Boli
mnie serce z powodu rozdarcia Coltona
między potrzebą jazdy a lękiem przed
wejściem do samochodu i wstaję, żeby go
poszukać.

Wychodzę na taras i słyszę plusk wody. Długa,
szczupła
postać
z
gracją
płynie
po
powierzchni. Szybko dociera do końca basenu,
gdzie wykonuje jakiś podwodny zwrot, po
czym pojawia się na powierzchni i płynie z
powrotem.

Siadam po turecku na brzegu basenu i

podziwiam jego naturalnie wysportowaną sylwetkę, ruchy mięśni i pełną kontrolę nad ciałem. Zastanawiam się, czy mój absolutny pociąg do niego ma jakiekolwiek granice.

Przy którejś z kolei nawrotce Colton odbija się od przeciwległej ściany basenu i zamiast wznowić ruchy ramion przewraca się na plecy i unosi się na wodzie, z rozpędu przesuając się w moją stronę. Oddycha ciężko, ale wygląda teraz tak spokojnie, że chciałabym częściej widzieć taką pogodę ducha na jego twarzy.

W pewnym momencie staje na nogach, wynurzając się częściowo z wody, podnosi dłonie i pociera twarz. Potem je opuszcza i podnosi wzrok. Z zaskoczeniem zauważa, że go obserwuję, a na jego twarzy pojawia się najbardziej urokliwy uśmiech. Pociera nos, a ja myślę sobie, że tak musiał wyglądać, gdy był małym chłopcem, i wszystkie moje troski związane z jego samopoczuciem znikają bezpowrotnie.

Podchodzi do mnie, nie odrywając ode mnie wzroku.

— Przepraszam, Ryles — wzdycha i potrząsa
głową. — Ciężko mi przyznać, że boję się
wrócić do samochodu.

Jestem
zszokowana
jego
wyznaniem.

Wyciągam dłoń, żeby musnąć jego policzek, i
czuję, że kocham go jeszcze bardziej.

— To nic. Ja też się boję.

Chwyta mnie za biodra i przyciąga do siebie,
żeby mnie pocałować. Jego muskające usta i

zapach
chlorowanej

wody

na

skórze

wystarczą, żebym znowu poczuła się z nim

dobrze. Zaczyna coś mówić i przerywa.

— Co? — pytam łagodnie.

Chrząka, zwilża usta językiem i odwraca

wzrok w stronę plaży.

— Gdy wrócę na tor, żeby wsiąść do
samochodu... będziesz... będziesz przy mnie?

— Oczywiście! — wykrzykuję bez wahania i od
razu obejmuję jego mokre ciało, żeby
podkreślić swoje słowa. Czuję drżenie jego
klatki piersiowej i rwący się oddech, gdy
przyciska się do mnie mocniej. Chowa twarz w
mój kark, a ja zaczynam bawić się jego
włosami.

Kocham cię — te słowa dudnią mi w głowie i muszę
siłą
je
powstrzymać,
żeby
nie
przedostały się do ust, bo intensywność moich
uczuć do niego jest nie do opisania.

Bezwarunkowa miłość.

Dobiegający z wnętrza domu dźwięk dzwonka
do drzwi sprawia, że się od siebie odrywamy.

Patrzę na niego zdezorientowana.

— To przypuszczalnie ktoś z ochrony —
stwierdza. Podnoszę się, a on podpływa do
schodków.

— Otworzę — mówię i wchodzę do domu,
odrywając zmoczoną koszulkę od ciała.

Dobrze, że założyłam czerwoną, a nie białą.

Przekręcam zamek i odciągam drewnianą

zasuwę.

— *Zaczekaj!* — krzyczy Colton z tarasu, ale za późno. Drzwi się otwierają i nieświadomie

staję twarzą w twarz z jednym z moich

najgorszych koszmarów.

Opuszczam ramiona z rezygnacją na jej widok.

Rejestruję tylko długie nogi, blond włosy i

protekcjonalny

uśmiech,

bo

ona

bezceremonialnie mnie mija. Zatrzymuje się w

środku, odwraca głowę i rzuca przez ramię:

—

Pakuj

manatki,

dziewczynko.

Koniec

zabawy, bo Colton już cię nie potrzebuje. Jest

teraz w dobrych rękach, bo wróciła pani

domu.

Szczęka

mi

opada

i

nie

wiem,

co

odpowiedzieć. Stoję jak wmurowana, a ona rusza w głąb domu, jakby należał do niej, pozostawiając za sobą obezwładniającą mgłę perfum.

— Colton? — krzyczę do niego, ale on już wchodzi do korytarza. Ręcznik, którym wycierał włosy, spada mu na ziemię.

Jego twarz jest bez wyrazu, chociaż w oczach dostrzegam

różne

emocje,

z

których

najwyraźniejszą jest irytacja.

A

w

przypadku

Coltona

kamienna

i

pozbawiona

emocji

twarz

oznacza

nadchodzący sztorm.

— Co ty *tu*, kurwa, robisz, Tawny? — jego lodowaty głos zamraża mnie na miejscu, ale na niej nie robi żadnego wrażenia.

— Colt, kochanie — mówi, zupełnie nie zważając na jego przykre słowa. — Musimy porozmawiać. Wiem, że dawno się nie widzieliśmy, ale...

— Nie jestem w nastroju do słuchania twoich melodramatycznych ściem, więc daruj je sobie. — Colton robi krok w jej stronę. — Wiesz, że nie jesteś tu mile widziana, Tawny.

Gdybym cię tutaj chciał, to bym cię zaprosił.

Jego głos jest tak jadowity, że przechodzi mnie

dreszcz, ale jednocześnie ogarnia mnie

wściekłość. Jestem wściekła, że wparadowała

tu tak, jakby ten dom należał do niej, chociaż to ja jestem jedyną kobietą, jaką Colton

kiedykolwiek tu przyprowadził.

— Mamy temperamencik, co? — gani go

żartobliwie, ignorując jego kompletny brak

zainteresowania. — Martwiłam się o ciebie i o

to, czy już odzyskałeś pamięć, więc...

— Wsadź sobie w dupę swoją troskę! Masz

dwie sekundy. Mów, co chcesz powiedzieć,

albo od razu wyrzucę cię z domu. — Colton

robi kolejny krok w jej stronę. Widzę, jak

zgrzyta zębami i patrzy na nią z zimnym

lekceważeniem.

— To, że jesteś wkurzony, bo tak powoli

dochodzisz

do

siebie

i

nie

potrafisz

przypomnieć sobie *ważnych* rzeczy, nie

oznacza, że możesz się na mnie wyżywać. —

Tawny śmieje się protekcjonalnie, po czym

odwraca

głowę

i

patrzy

na

mnie

Z

niedowierzaniem, jakby chciała powiedzieć:

„*Serio? Wybrał ciebie zamiast mnie?*”. Głośno jednak mówi: — Jestem pewna, że fajnie było być jego pielęgniarką, laleczko, ale nie jesteś już tutaj potrzebna.

Zalewa mnie gniew i jestem gotowa na nią

wybuchnąć, ale Colton mnie uprzedza. Chwyta

ją za ramię, wręcz promieniując wściekłością.

— Wynoś się! — krzyczy i rusza z nią w stronę

drzwi. — Nie będziesz przychodziła do mojego

domu i okazywała braku szacunku...

— Jestem w ciąży.

Słowa wypadają z jej ust i zasiewają ciszę w

całym pomieszczeniu, chociaż widzę, jak

rezonują w Coltonie. Zatrzymuje się, rozluźnia

uchwyt na jej ramieniu i zaciska zęby. Dopiero

po chwili odzyskuje panowanie nad sobą i

znowu zaczyna ciągnąć ją w stronę drzwi.

— To super. Gratuluję — cedzi przez zęby, a

jego słowa wręcz kipią od sarkazmu. —

Dobrze wiedzieć. — Zaczyna otwierać drzwi,

lecz Tawny wyrywa się z jego uchwytu.

— *To twoje.*

Ręka Coltona zamiera na klamce, a moje serce

staje w miejscu. Patrzę na rozwój sytuacji,

która rozgrywa się tuż przed moimi oczami,
ale czuję się jak przypadkowy obserwator
oddalony od nich o całe lata świetlne.

Opuszcza lekko głowę, zaciska pięści po
bokach, a jego oczy płoną gniewem, gdy
bardzo powoli się odwraca. Przez sekundę
wymienia spojrzenie ze mną, a to, co widzę w
jego oczach, wysącza ze mnie całą energię.

Nie jest to wściekłość, lecz niedowierzenie
pomieszane z prośbą o wybaczenie. Prośbą,
która zdradza, że głęboko w środku obawia
się, iż jej słowa mogą być prawdą. Czuję ołów

w
żołądku,

ale

Colton

z

powrotem

przywdziewa maskę gniewu, którą kieruje w
stronę Tawny.

— Oboje wiemy, że to niemożliwe, Tawny. —

Podchodzi krok bliżej i widzę, jak z całych sił

walczy ze sobą, żeby jej nie wyrzucić siłą za drzwi. Zerka na jej brzuch, po czym wraca do
oczu.

— Co? — wykrztusza Tawny boleśnie

zszokowanym głosem. — To ty nie pamiętasz?

— Przykłada dłoń do ust, a jej oczy wzbierają łzami. — Colton, ty i ja... w noc po urodzinach Davisa... Nie pamiętasz tego?

Żołądek mi się skręca, bo nawet jeśli próbowała odegrać mały teatrzyk, żeby odzyskać Coltona, to tym skrzywdzonym spojrzeniem i desperackim głosem właśnie zdobyła owację na stojąco.

O mój Boże. O mój Boże. To jedyna sensowna myśl, jaka przychodzi mi do głowy, bo cała drzę z nadmiaru wszelkich możliwych emocji.

— Nie — mówi Colton, potrząsając przecząco głową. Jego twarz wygląda tak, jakby się łudził, że jeśli będzie zaprzeczał odpowiednio długo, to cały ten koszmar się skończy. Dobija mnie to. Rozdziera mnie wewnątrz i otwiera rany, przygotowując na nadchodzącą lawinę bólu.

— To jedyna możliwość — mówi cicho Tawny i przykłada dłoń do brzucha. Na wygładzonej teraz bluzce widać niewielkie wybrzuszenie.

— Jestem w piątym miesiącu, kochanie.

Walczę z gulą w gardle, która rosnąc pożera całą nadzieję. Zmuszam się do oddychania.

Skup się, Rylee. Tu nie chodzi o ciebie, tylko o to, że spełnił się najgorszy koszmar Coltona, i to tuż po waszej magicznej nocy. Ale nie jest mi łatwo.

Słowa Tawny rezonują mi w uszach, więc koncentruję się na datach. *Pięć miesięcy, pięć miesięcy, pięć miesięcy* — powtarzam w kółko, bo znacznie łatwiej skupić się na upływie czasu niż na rzeczywistości, w której właśnie straciłam grunt pod nogami. Gdy odzyskuję zdolność

logicznego

rozumowania,

uświadamiam sobie, że od mojego poznania z Coltonem minęło niecałe pięć miesięcy. Kurwa, *to możliwe*.

Wmawiam sobie, że Tawny kłamie. Że próbuje zdobyć Coltona, czyli swoje najbardziej upragnione trofeum, wyciągając kartę „jestem w ciąży”. Najstarsze zagranie świata. Ale

mam

przed

sobą

dowód

w

postaci

nabrzmiącego brzucha i przerażonego wyrazu

twarzy Coltona, który próbuje sięgnąć do

spowitych mrokiem czeluści pamięci, aby

znaleźć wspomnienie, o którym mówi Tawny.

Na jego twarzy pojawiają się przebłyski

strachu, po czym wpadają w jego oczy, którymi

nagle boi się na mnie spojrzeć.

A ja, chociaż bardzo bym chciała, nie potrafię

odwrócić wzroku. Wpatruję się w niego tak

intensywnie, jakbym liczyła na to, że w końcu

się odwróci i zobaczę na jego twarzy ten

uśmiech,

którym

obdarzył

mnie

chwilę

wcześniej przy basenie, a ona po prostu

zniknie.

Tak się jednak nie dzieje.

Colton stoi między nami, zatopiony w myślach,

które mogę sobie tylko wyobrazić. Swawolny

mężczyzna z wczorajszego wieczoru zniknął
bez śladu. Widzę, jak tryby w jego głowie
pracują z wytężeniem, zauważam grymas,
który z pewnością oznacza kolejny atak bólu
głowy... Ale jeśli o nim można powiedzieć, że
stoi jak wmurowany, to ja jestem kompletnie
sparaliżowana.

Tawny zerka na mnie z absolutną pogardą, po
czym wraca spojrzeniem do Coltona i
uśmiecha się miękko.

— Odwiozłeś mnie do domu po imprezie

Davisa,

spytałeś,

czy

możesz

wejść...

uprawialiśmy seks, Colton. Byliśmy pijani...

desperacko pragnęliśmy to znowu zrobić i nie

użyliśmy kondomu.

Sztylet jej słów przebił moją skórę i zanurzył

się w moim sercu, lecz po jej komentarzu o

tym, że robili to wiele razy, ostrze obróciło się

kilka razy i weszło głębiej.

—

Wcześniej...

gdy

spotykaliśmy

się

wcześniej... — wykrztusza Colton i chrząka —

wręcz

fanatycznie

pilnowałaś

zażywania

pigułek. — Nie poznaję jego głosu, a byłam już

pod ostrzałem jego wściekłości. Tym razem

jednak jego głos emanuje absolutną pogardą,

od której przechodzą mnie ciarki.

— Nie brałam wtedy pigułek — mówi miękko i

przepraszająco wzrusza ramionami. Potem

podchodzi do niego o krok. Potencjalna matka

jego dziecka. Łagodna intymność jej głosu

wyciska łzy z moich oczu. Wyciąga dłoń, żeby

chwycić Coltona za ramię, lecz on się wyrywa.

Jego reakcja w połączeniu z absolutną paniką

w oczach sprawia, że powoli dociera do mnie

realność tej sytuacji i coraz trudniej mi ją

wypierać. To może wcale nie być intryga

mająca na celu odzyskanie faceta.

Opadam plecami na ścianę i czuję, jak duchy przeszłości i kobiece kompleksy wychylają swoje paskudne łby. Kładę dłoń na brzuchu, żeby stłumić ukłucie w swoim bezużytecznym łonie. Łonie, które na zawsze pozostanie puste. Łonie, które nie może dać mu tego, co *ona może*. Czuję nadchodzący atak paniki.

Brakuje mi tchu, serce łomocze jak oszalałe, wzrok mi mętnieje. Zastanawiam się, czy facet, który się zarzekał, że nigdy nie będzie miał dzieci, mógłby zmienić zdanie, gdyby zobaczył własne. Przecież tak dzieje się cały czas. A co w takim wypadku będzie z nami? Zostawi mnie? Kobietę, która nie może mu tego dać?

— Nie! — krzyczy Colton w odpowiedzi na moje rozmyślenia.

Odwraca się do mnie i rzuca mi krótkie spojrzenie. Jego twarz jest pełna udręki, jakby słyszał moje niespodziewane myśli. Wtedy Tawny prycha z pogardą, co dolewa oliwy do ognia jego wściekłości.

— Wynocha! — wrzeszczy tak głośno, że aż podskakuję, a ponieważ patrzy na mnie, przez chwilę boję się, iż mówi do mnie. Przełykam

ślinę z trudem, a on patrzy na mnie jeszcze przez chwilę, po czym odwraca się plecami i wskazuje ręką Tawny i drzwi. — Wy-ność. Się. Stąd!

— *Colty...*

— Nie waż się mnie tak więcej nazywać! — krzyczy stalowym głosem i wskazuje wzrokiem kierunek, w którym ona nie chce podążać. —

Nikt nie ma prawa tak do mnie mówić!

Myślisz, że jesteś wyjątkowa? Że możesz tu wparadować i gadać o piątym miesiącu ciąży? I że mnie to obchodzi? Dlaczego mówisz mi to teraz, co? Bo jest za późno, żebym mógł wyrazić swoje zdanie, więc myślisz, że złapałaś mnie w pułapkę? I zdobyłaś swój złoty bilet? — Wzdycha głośno i zaczyna chodzić dookoła, splatając palce za głową. — Nie jestem pieprzonym Willym Wonką, kochana. Znajdź sobie innego sponsora.

— Nie wierzysz mi?

Colton odwraca się na pięcie, wymienia ze mną spojrzenie przez ułamek sekundy, a ja wpadam w przerażenie na widok pustki w jego oczach. Natychmiast jednak odrywa ode mnie

swój martwy wzrok i odwraca się w stronę

Tawny.

— Oczywiście, że ci, do cholery, nie wierzę.

Przestań pieprzyć i wypierdalaj stąd razem ze swoimi głupimi kłamstwami. — Staje kilka centymetrów od jej twarzy. Wygląda groźnie, a oczy błyszczą mu z wściekłości.

— Ale ja wciąż cię kocha...

— Nie masz prawa tak mówić! — ryczy i wali pięścią w stojący obok kredens. Odgłos uderzenia i brzęk rozkołysanych wazonów rezonuje w cichym skądinąd domu. Tawny wydaje z siebie pojedynczy szloch, lecz jej wybuch emocji nie robi na Coltonie żadnego wrażenia. — Nie masz prawa tak mówić — powtarza bardzo cicho, lecz słyszę ból w jego głosie i widzę rozpacz, która przetacza się przez niego falami.

Pociera dłońmi twarz. Przez chwilę patrzy w okno na spokojny ocean, ale w nim samym widać nadciągającą burzę. Jestem w samym środku jego emocjonalnego sztormu i nie mam żadnego koła ratunkowego. Gdy podnosi wzrok na Tawny, za jego zsuwającą się maską

dostrzegam tak wiele emocji, że nie wiem, na której się skupi w swojej reakcji.

— Chcę testu na ojcostwo.

Tawny wciąga gwałtownie powietrze i osłania brzuch dłonią, ale gdy podnoszę wzrok na jej twarz, zauważam dokonującą się przemianę.

Dziewczynka w opałach przeradza się w mściwą jędzę.

— To dziecko jest twoje, Colton. Ja się nie puszczam.

Colton prychnął i potrząsał głową.

— Oczywiście, dla stałych klientów jesteś święta. — Podchodzi do drzwi i odwraca się w jej stronę.

—

Idź poszukać innego łatwowiernego skurwiela, któremu będzie zależało. Mój prawnik się z tobą skontaktuje.

— Będziesz mi musiał zaoferować coś znacznie większego niż straszenie mnie swoimi prawnikami, żeby się z tego wywinąć

— stwierdza i prostuje się. — Przygotuj swoją książeczkę czekową i swoje ego na poważne straty, *kochanie!*

— Czy ty serio myślałaś, że wparadujesz tu, rzucisz swoją ściemą, a ja uwierzę ci na słowo? A potem wypiszę ci sowity czek lub ożenię się z tobą i odjedziemy w stronę pierdolonego zachodzącego słońca? — grzmi.

— To. Nie. Moje!

Tawny

wzrusza

ramionami

i

przybiera

przymilny wyraz twarzy.

— Media będą miały gorący temat, gdy to nagłośnię... Miły, soczysty skandal, w którym będą mogły zatopić swe wygłodniałe zęby.

Rusza w stronę wyjścia. W chwili, gdy myślę, że będę mogła swobodnie odetchnąć, Colton wali dłonią w drzwi i odwraca się do Tawny, stając kilka centymetrów przed nią. Odgłos uderzenia niesie się echem w martwej ciszy domu.

— Do twojej wiadomości, *kochanie*: lepiej
wymyśl coś mocniejszego niż ta groźba, bo nie
boję się mediów. Nie tylko ty potrafisz grać w
tę grę — mówi drżącym z wściekłości głosem i
otwiera drzwi. — Upewnij się, że opowiesz
wszystkie pikantne szczegóły, bo ja na pewno
nie

będę
nic
ukrywał.

Swoją
drogą
zdumiewające, jak w tym mieście można

pogrążyć obiecującą karierę, gdy rozejdą się
plotki, że ktoś jest wymagającą divą. Nikt nie chce pracować z pieprzoną żołą, a ty
zdecydowanie zasłużyłaś na tę etykietę. A
teraz wypierdalaj.

Tawny, przechodząc obok, patrzy na niego, ale
on nie zaszczyca jej swoim spojrzeniem. Drzwi
od razu zatrząskują się za nią z hukiem, gdy
tylko
staje
za
progiem.

Colton

bez

zastanowienia podchodzi do kredensu, w który wcześniej uderzył, bierze jeden z wazonów i rzuca nim o ścianę. Odgłos rozpryskującego się szkła i dźwięczny deszcz odłamków na płytkach podłogi wyraźnie kontrastują z ciężkością chwili. Rzut nie przynosi mu ulgi, więc kładzie dłoń na kredensie i opiera się na niej.

Wychodzę z zacienionego miejsca w holu. Nie wiem, co zrobić, gdy podniesie wzrok i napotka mój. Próbuję odczytać jego emocje, ale nie potrafię, bo na jego twarz wróciła dawna maska. Kiedy uświadamiam sobie, ile wysiłku będzie wymagało ponowne rozwalenie tych murów, mała część mnie umiera i spoczywa obok innej części mnie, która umarła po tym, jak usłyszałam od lekarza, że ponowne zajście w ciążę byłoby praktycznie cudem.

Bezużyteczność mojego łona znowu mnie uderza.

Podchodzę

do

Coltona,

który

obserwuje mnie z pulsującą szczęką i

napiętym ciałem.

— Colton, ja...

— Rylee — ostrzega — odwal się ode mnie!

— Co, jeśli to prawda? Co, jeśli faktycznie to zrobiliście, a ty tego nie pamiętasz? — to

jedyna

logiczna

myśl,

jaka

potrafię

sformułować, bo mój umysł wiruje wokół

tematów *co, jeśli* i *co nigdy nie nastąpi*.

— *A co?* — Odwraca się w moją stronę, a ja przełykam nerwowo ślinę. — Liczysz na to, że

będziesz mogła się bawić w dom? — Podchodzi

o krok i patrzy na mnie tak, że przechodzi

mnie dreszcz. — Bo tak bardzo chcesz mieć

dziecko, że już je czujesz? Że zrobiłabyś

wszystko, żeby je mieć? Że wzięłabyś to, które

może jest, a może nie jest moje, żeby też

zapaść u mnie korzenie? W ten sposób

miałabyś z obu światów to, co najlepsze, czyli

kupę forsy i dziecko. Pierdolone marzenie
każdej kobiety. — Uderza mnie tymi słowami
jak batem i rani tę część duszy, która oddałaby
wszystko za szansę posiadania dziecka. — Ona
kłamie! — grzmi. — Ona kłamie — powtarza
znacznie spokojniej.

Stoję jak wmurowana. Chciałabym uciec i
zostać, czuję swój ból i jego cierpienie. Jestem
na rozstajach niepewności i pragnę skulić się
pod kloszem, żeby zewnętrzny świat przestał
istnieć. Żeby zniknęli Colton i Tawny, a także ból, który nigdy nie odejdzie. Bo nigdy już nie
poczuję, jak porusza się we mnie dziecko.

Nigdy nie stworzę czegoś z miłości z osobą,
którą kocham. Na samą myśl czuję gulę w
gardle i zatykam usta, żeby stłumić odruch
wymiotny.

— Taa, mi też chce się rzygać na myśl o tym, że miałbym być ojcem. — Śmieje się
szyderczo, a jego głos emanuje czymś więcej

niż

tylko

pogardą.

Tylko

dlatego

nie

zwymiotuję, ale nie mogę mu tego powiedzieć,

bo jestem zbyt skupiona na tym, by stłumić te

odruchy. — *Tylko my i prześcieradła.* — Śmieje się protekcyjnie, patrząc w sufit, po czym

spogląda na mnie. — Co za ironia, że cała ta sytuacja wynika z bycia na prześcieradle z

kimś innym, co nie, Ryles? Jak ci się teraz

podoba ta fraza?

— Pierdol się — mówię cichym, skrzywdzonym

głosem, bardziej do siebie niż do niego. Mam

dość. Może i jest zdenerwowany i prześladowa

go okropieństwa z przeszłości, ale to nie daje

mu

prawa

być

pieprzonym

dupkiem

i

wyżywania się na mnie.

Odwraca się do mnie. Uosobienie furii na tle

spokojnego oceanu za jego plecami.

— Dokładnie — cedzi przez zęby. — Pierdole

się.

Po tych słowach otwiera drzwi na taras. Nie

wołam za nim. Nie mam ochoty. Patrzę tylko,

jak

zbiega

po

schodach

na

plażę

i

gwizdnięciem przywołuje do siebie Baxtera.

Rozdział 19.

Im dłużej siedzę i czekam na niego, tym

bardziej jestem nerwowa.

I tym bardziej się wkurzam.

Jestem nerwowa, bo od momentu uzyskania od

lekarza pozwolenia na wzmożoną aktywność

fizyczną, czyli od wczoraj, jego jedynym

treningiem

było

pływanie.

Wiem,

że

wściekłość zmusi go do tego, żeby biec

szybciej, dalej i bardziej intensywnie, a

przecież nie wiadomo, ile mogą wytrzymać

jego gojące się naczynia krwionośne w mózgu.

Nie ma go już prawie godzinę. Jak długo to

zbyt długo?

A wkurzona jestem dlatego, że po tym wszystkim, co mi powiedział, nadal się o niego martwię.

Potrząsam głową, a jego słowa rezonują w moich myślach, gdy patrzę wzdłuż plaży.

Rozumiem jego gniew i potrzebę wyładowania się w związku z kurczowym trzymaniem się swoich uprzedzeń, ale myślałam, że mamy to już za sobą. Myślałam, że po tym wszystkim, co przeszliśmy przez krótki czas naszej znajomości, udowodniłam mu, iż jest inaczej.

Udowodniłam mu, że nie jestem taka jak *inne kobiety*. Że go potrzebuję. Że nigdy bym nim nie manipulowała tak, jak inne kobiety, żeby zdobyć to, czego pragnę. I że go nie opuszczę.

Chociaż desperacko pragnę stąd teraz wyjść i uciec przed kłótnią i kolejnymi ciosami, które mogą się posypać po jego powrocie. Muszę mu jednak udowodnić, że zostanę przy nim, gdy mnie najbardziej potrzebuje, nawet jeśli myśl o tym, że miałby mieć dziecko z inną kobietą, sprawia mi niewyobrażalny ból.

Przełykam gulę, która znowu uwięzła mi w gardle, i tym razem nie potrafię się już

powstrzymać. Biegnę do łazienki i opróżniam

zawartość

żołądka.

Chwilę

zajmuje

mi

odzyskanie równowagi. Próbuję się przekonać,

że nie warto skakać ze skały, na której się

znajduję, chociaż jestem już na krańcu

wytrzymałości. Tyle się zdarzyło w tak

krótkim czasie, że mój umysł pragnie się po

prostu wyłączyć.

Co jednak, jeśli to prawda? Co to oznacza dla

niego jako człowieka, dla nas jako pary i dla mnie jako kobiety, która nie może mu tego

dać? Tego, co dała mu *tamta kobieta*? Na samą myśl znowu robi mi się niedobrze. Kładę

czoło na muszli i zamykam oczy, żeby wyłączyć

obrazy uroczego chłopca z atramentowymi

włosami,

szmaragdowymi

oczami

i

szelmowskim uśmiechem. Chłopca, którego

nigdy nie będę w stanie mu dać.

A ona ma taką możliwość. Jeśli ten scenariusz okaże się prawdą, to co ja, do cholery, mam

zrobić? Kochać mężczyznę, ale nie jego
dziecko, bo nie ja jestem jego matką, tylko
właśnie Tawny? Cóż za okropną osobę to ze
mnie robi? I chociaż wiem, że to nieprawda i
że nie byłabym w stanie nienawidzić dziecka z
powodu okoliczności, na które nie miało
wpływu, to jednocześnie miałabym przed
oczami nieustanne przypomnienie tego, że
ktoś inny dał Coltonowi to, czego ja nie
potrafię.

Ostateczny dar.

Bezwarunkową miłość i niewinność.

Ocieram

łzy,

których

wcześniej

nie

zauważyłam. Słyszę słabe szczekanie Baxtera,

więc zbieram się i ruszam w stronę tarasu.

Nieszkodliwa bestia przeskakuje ostatnie

schody i wyczerpana pada z jękiem na płytki.

Biorę głęboki oddech i przygotowuję się na

nadejście Coltona, chociaż nie wiem, z jakim

jego obliczem będę miała do czynienia.

Po chwili pojawia się na tarasie. Oddycha ciężko i ma zaczerwienione policzki, a jego włosy są mokre od potu. Chcę zapytać, jak się czuje i co myśli, ale się powstrzymuję.

Pozwolę, żeby to on nadał ton tej rozmowie.

Podnosi na mnie wzrok i na jego twarzy przez sekundę maluje się szok. Zatrzymuje się, opiera dłonie na biodrach i patrzy się na mnie przez chwilę.

— Czemu ty tu, do cholery, ciągle jesteś?

Czyli tak to będzie wyglądało.

Myślałam, że się uspokoiłam, i miałam nadzieję, że jemu także bieg chociaż trochę pomógł, ale najwyraźniej oboje jesteśmy nadal owinięci kolczastym drutem poczucia krzywdy. Oboje jesteśmy gotowi zaciekle bronić swoich racji. Pytanie brzmi: jak przyjmie to, co zamierzam mu powiedzieć? Wybuchnie po raz kolejny? Znowu złamie mi serce? Czy może uświadomi sobie, że mimo bomby

przyniesionej

przez

Tawny

nasze

wyścigowanie się wcale się nie skończyło? I że

poradzimy sobie z tymi niezaplanowanymi

rewelacjami?

— Nie możesz cały czas uciekać, Colton. —

Mam nadzieję, że te słowa, które kiedyś mi

powiedział, jakoś do niego trafią.

Zatrzymuje się w pół kroku obok mojego

krzesła, lecz wbija wzrok w ziemię, żeby na

mnie nie patrzeć.

— Nie jestem twoją własnością, Ry. Nie

możesz mi mówić, co mogę, a czego nie mogę

robić, tak samo jak Tawny — mówi szeptem,

ale jego słowa są jak cios w żołądek.

— *Bez żadnych wykrętów, pamiętasz?* —

ostrzegam go z zuchwałością, która na pewno

nie jest widoczna w moich oczach. Colton stoi

niecierpliwie i w napięciu, a ja czuję, że

powinnam kontynuować. Albo przerwać, albo

podjąć zaczynającą się między nami walkę. —

Masz rację — kiwam głową. — Nie jesteś moją

własnością... i wcale nie chcę, żebyś był. Ale związek nie polega na tym, że krzywdzisz kogoś dlatego, iż sam cierpisz, bo potem możesz przeprosić i będzie dobrze. To ma swoje konsekwencje i...

— Mówiłem ci, Rylee... — Odwraca się do mnie twarzą, lecz chociaż wciąż na mnie nie patrzy, to ton jego głosu, wyrażający absolutne obrzydzenie, każe mi wstać. — Robię to, co mi się podoba. Lepiej, żebyś o tym *pamiętała*.

— Colton... — tylko tyle potrafię wykrztusić, bo po jego nieoczekiwanym wyznaniu czuję, jakbym w naszym związku została skopana o parę stopni w dół. Jakby nagle chciał odzyskać wymykającą mu się kontrolę nad swoim życiem. Ale on nic nie rozumie. To już nie jest tylko *jego* życie, ale także moje! Tu chodzi o mężczyznę, którego kocham, i o możliwości, jakie przed nami widzę. Dobija mnie to równie bardzo jak jego, ale on jest zbyt mocno zaabsorbowany sobą, żeby spojrzeć na to z innej perspektywy. Z trudem przełykam ślinę, próbując znaleźć właściwe słowa, żeby mu to przekazać. Żeby zrozumiał, że oboje cierpimy, a nie tylko on. Ale zbyt długo zwlekam i Colton

uprzedza moje słowa kolejnym ciosem.

— Mówisz, że jesteśmy w związku, Rylee...

Jesteś pewna, że tego chcesz? Bo tak właśnie

wygląda moje życie — krzyczy, wkładając w

zniecierpliwioną

gestykulację

całą

swoją

negatywną energię. — *Czarujące* życie

pieprzonego Coltona Donavana. Po każdym

wzlocie następuje nieunikniony upadek na łeb

na szyję. Każde dobre zdarzenie jest

równoważone złym. — Podchodzi o krok.

Ewidentnie

próbuję

mnie

sprowokować.

Wbijam

paznokcie

we

wnętrza

dłoni,

powtarzając sobie, że muszę dać mu się

wykrzyzczyć. Pozwolić mu zrzucić winę na cały

świat, jeśli to konieczne, żeby się uspokoił i żeby zrozumiał, że to nie jest koniec świata, chociaż w tej chwili sama tak właśnie myślę. —

Jesteś gotowa na taki *zwrot* na ścieżce mojego życia? — dokańcza kilka centymetrów od mojej twarzy kipiącym od sarkazmu głosem.

Wyczuwam promieniującą od niego wściekłość i desperację, z jaką próbuje sprowokować moją reakcję. Przęłykam ślinę i potrząsam głową.

— No dobrze — mówię przeciągle, żeby zyskać na czasie i móc się zastanowić. — Co jest w takim razie dobrym zdarzeniem, a co złym?

— Dobrym? — pyta, otwierając szeroko oczy.

Pot spływa mu na klatkę piersiową. — Dobrze jest to, że przeżyłem, Rylee. Że kurwa żyję! — krzyczy, uderzając się pięścią w pierś. Kulę się pod wpływem jego krzyków, a on mylnie odczytuje moją reakcję i karmi nią swoją wściekłość. — Co? Myślałaś, że powiem coś o

tobie? — Każę sobie nie płakać i myśleć, że wcale nie liczyłam na taką odpowiedź, ale kogo ja oszukuję? Czy ja naprawdę wierzyłam, że w całym tym szaleństwie Colton będzie mnie postrzegał jako źródło swojej siły? Jako powód do życia? Mogłam się łudzić, ale nie

powinnam być zaskoczona, skoro Colton tak mocno przywykł do polegania wyłącznie na sobie.

— Myślisz, że jak wparadujesz do mnie i będziesz się bawić w dom, pielęgnując mnie, gdy wracam do zdrowia, to wszystkie moje problemy i wszystkie moje pieprzone demony po prostu znikną? Wydaje mi się, że Tawny właśnie udowodniła, iż ta teoria jest błędna, co? — Wybuchła protekcjonalnym śmiechem, który wyżera małe dziury w resztkach mojej siły woli. — Idealny świat, w który wierzysz, z całą pewnością nie istnieje. Nie da się zrobić lemoniady z cytryny, która jest przegnita na wylot.

Nie wiem, co boli bardziej: kwas trawiący mój żołądek, jego wściekłość raniąca moje uszy czy ból ściskający moje serce. Wstrząs po wizycie Tawny przekształcił się w bolesne trzęsienie ziemi, w którym moje myśli wyrwały się spod kontroli i uderzyły z hukiem w ścianę, tak jak Colton. Tym razem zniszczenia są zbyt duże, żebym była w stanie je wytrzymać, bo wszystko dookoła mnie się rozpada. Znowu czuję nudności i próbuję rozpaczliwie znaleźć

cokolwiek, czego mogłabym się chwycić i co
dałoby mi chociaż odrobinę nadziei.

Potrzebuję powietrza.

Nie mogę oddychać.

Muszę się stąd wydostać.

Robię kilka kroków wstecz, żeby stąd uciec,
lecz wpadam na poręcz. Zwalczam kolejny
atak nudności, po czym odwracam się i
ściskam drewnianą balustradę, próbując się
nie przewrócić.

— Nie musisz już uciekać, Rylee, *jesteśmy w związku*. Czy nie tak brzmiały twoje reguły? —

Jego przedrzeźniający głos odzywa się bliżej,
niż się spodziewałam, a jego intymność
pomieszana z sarkazmem wytrąca mnie
ostatecznie z równowagi.

Odwracam się na pięcie.

— Nie uciekam, Colton! Ja cierpię! Serce mi
pęka, bo nie wiem, co powiedzieć i jak na
ciebie zareagować! — krzyczę. — Jestem
wkurwiona tym, że tak mnie poruszyła twoja
cholerna
bezdusznosc,
bo
masz

rację!

Oddałabym wszystko, żeby móc mieć dziecko.

Wszystko! Ale to niemożliwe, więc myśl o tym, że ktoś inny być może da ci coś, czego ja nie mogę, łamie mi serce.

Chowam twarz w dłoniach i zostaję tak przez

chwilę, próbując opanować płacz i zebrać

myśli. W końcu podnoszę głowę i znowu

spoglądam mu w oczy.

— Ale wiesz co? Nawet gdybym mogła mieć

dzieci, nigdy nie wykorzystałabym cię ani nie

zmanipulowała, żeby zajść w ciążę. Nie jestem

ani pieprzoną Tawny, ani tą żalowaną imitacją

człowieka, jaką była twoja matka. — Łzy płyną

strumieniami po mojej twarzy i widzę w

rozmyciu, jak stoi oniemiały moim nagłym

wybuchem.

Próbuje coś powiedzieć, ale podnoszę dłoń,

żeby mu przerwać, bo chcę dokończyć to, co

mam do powiedzenia.

— Nie, Colton, ja nie uciekam i nie zostawiam

cię, tylko po prostu nie wiem, co zrobić. *Nie mam pojęcia!* Mam tu zostać i pozwolić, żebyś jeszcze mnie trochę podręczył? Ja umieram od

środka, Colton. Nie widzisz tego? — Ocieram

łzy z oczu i potrząsam głową. Potrzebuję

jakiegokolwiek reakcji z jego strony. — Czy mam

po prostu sobie pójść? Dać nam kilka dni na
naprawienie tego szajsu, który miesza nam w
głowach? Żeby nie miała do ciebie żalu, jeśli
zdecydujesz się na coś, czego ja nigdy nie
doświadczę. I żebyś się przekonał, że nie
jestem taka, jak te wszystkie kobiety, które cię
wykorzystały.

Robię krok w jego stronę, w stronę mężczyzny,
którego kocham, i żałuję, że nie mogę zrobić
nic, co złagodziłoby jego wewnętrzny chaos.

Czuję, że też jest teraz na krawędzi, bo
perspektywa zostania ojcem to coś więcej, niż
potrafi znieść, biorąc pod uwagę to, co musiał
przeżyć. Nie potrafię mu jednak pomóc, bo
sama mam w środku kompletny chaos.

Mięsień jego szczęki pulsuje, gdy próbuje
zapanować nad swoimi emocjami, wściekłością
i potrzebą wyżycia się. Żałuję, że nie mogą nic
dla niego zrobić, bo jeśli mi pęka serce, to nie
wyobrażam sobie, co dzieje się z jego sercem.

Jedyne, co potrafię wymyślić, to danie nam
odrobiny
przestrzeni...
żebyśmy

się

uspokoili... i wszystko sobie poukładali. Bo wtedy będziemy mogli wrócić do siebie.

I odnaleźć się na nowo.

Podchodzę o jeszcze jeden krok bliżej i w końcu Colton podnosi wzrok i spogląda mi w oczy, dzięki czemu mogę zobaczyć, co czuje.

Może to kwestia tego, że tak dobrze się znamy, albo tego, że nawzajem zburzyliśmy swoje ściany ochronne, ale chociaż z całych sił stara się ukryć swoje emocje, to ja doskonale je wszystkie widzę. Strach, gniew, zagubienie, wstyd, obawa, niepewność. Widzę w nich też coś, co podejrzewałam: że próbuje mnie sprowokować do odejścia, żeby udowodnić sobie, iż jestem taka, jakie jego zdaniem są wszystkie kobiety. Jednocześnie jednak w jego oczach przebłyskuje poczucie winy. Moja dusza wzdycha z ulgą na ten widok i znajduje w nim punkt oparcia.

Colton także podchodzi bliżej. Stoimy bardzo blisko siebie, ale się nie dotykamy. Widzę przebłyki emocji na jego twarzy i napięcie w mięśniach wynikające z próby opanowania

tego wszystkiego, co dostrzegłam w jego oczach. Boję się, że jeśli go dotknę, oboje pękniemy, a w tej chwili przynajmniej jedno z nas musi być silne.

I to muszę być ja.

— Spójrz na mnie, Colton — mówię i czekam,

aż znowu wróci do mnie wzrokiem. — To ja,

dziewczyna, która cię wyściguje. Ta, która

będzie walczyć o ciebie ze wszystkich sił.

Zrobię wszystko, żeby zniwelować ból w

twoich oczach i cierpienie targające twoją

duszę... i żeby oskarżenia Tawny zniknęły bez

śladu... *ale nie mogę*. Nie mogę nic zrobić, dopóki nie przestaniesz mnie odpychać. —

Podchodzę bliżej. Chciałabym go dotknąć i

wymazać cierpienie z jego oczu. — *Bo ja chcę*

ci tylko pomóc. Potrafię znieść to, że jesteś dupkiem. Potrafię znieść to, że wylewasz na

mnie swoje pomyje... ale to niczego nie

rozwiąże. Nie sprawi, że Tawny, jej dziecko i

cokolwiek innego zniknie. — Krztuszę się

łzami, które wzbierają w moim gardle. — Po

prostu nie wiem, co zrobić.

— *Rylee...* — odzywa się w końcu Colton.

Przechodzą mnie ciarki, gdy słyszę swoje imię

wypowiadane z takim bólem. — Mam teraz

nieźle namieszane w głowie. — Z trudem
przełykam ślinę i potakuję, żeby wiedział, że
słucham. Zamyka oczy na chwilę i wzdycha. —
Słuchaj, ja... ja... potrzebuję trochę czasu,
żeby
to
wszystko
wyprostować...

nie
odpycham cię już... ja tylko...
Przygryzam dolną wargę. Sama nie wiem, czy
to, że chce, żebym poszła, mnie wkurza czy
przynosi mi ulgę. Wyciąga dłoń, ale odsuwam
się, bo boję się, że jeśli mnie dotknie, nie będę
w stanie odejść.

— Dobrze — mówię ledwie słyszalnym głosem
i robię krok w tył. — Odezwę się do ciebie za
kilka dni.

Nie potrafię już spojrzeć mu w oczy, bo nasze
cierpienie, chociaż wynika z innych powodów,
jest niemal wyczuwalne w powietrzu, więc
odwracam się i ruszam do środka.

— Rylee — powtarza moje imię w sposób, jaki
tylko on potrafi, a ja natychmiast się

zatrzymuję. Wiem, że czuje się tak, jak ja. Jest niepewny, niezdecydowany, chciałby, żebym została, i jednocześnie wolałby, żebym sobie poszła, dlatego nie odwracam się, tylko potakuję.

— *Wiem* — *Wiem*, że jest mu przykro z bardzo wielu powodów. Bo mnie skrzywdził, bo mnie kocha, bo muszę przez to przechodzić i konfrontować się z Tawny, z niepewnością i z własnymi kompleksami dotyczącymi tego, czego nie mogę mu dać... Ale najbardziej jest mu przykro dlatego, że pozwala mi teraz odejść, bo nie potrafi znaleźć w sobie siły, żeby poprosić mnie, abym została.

Rozdział 20.

— Jestem z ciebie taka dumna, stary. — Patrzą Zanderowi w oczy i próbuję opanować łzy. Chciałabym, żeby zobaczył głębię moich uczuć do niego, bo naprawdę go podziwiam. Dał prokuratorowi okręgowemu wszystko, co trzeba, żeby postawić w stan oskarżenia mężczyznę, który przepadł jak kamień w wodę. Usiadł przy stole pełnym przerażających dorosłych i niedawno odzyskanym głosem opowiedział im, jak jego

ojciec zamordował matkę. Że zaatakował ją od tyłu, wielokrotnie ją dźgnął, a potem zaczekał, aż umrze. Zander ukrywał się wtedy za kanapą, bo miał już spać. To jest dopiero odważny dzieciak. Ściskam go mocno, bardziej dla siebie niż dla niego, bo żałuję, że nie potrafię odebrać mu tego wspomnienia.

— Skąd wzięłeś w sobie tyle odwagi? —
pytam.

Nie oczekuję odpowiedzi, dlatego jestem w szoku, gdy ją słyszę.

—

Superbohaterowie

mi

pomogli

—

odpowiada, wzruszając ramionami. Z trudem przelkam palące mnie w gardle emocje, które odbierają mi zdolność mówienia. Patrzę w oczy tego małego chłopca, którego kocham z całego serca i siłą rzeczy widzę w nim podobieństwo do innego, dorosłego chłopca, który także skradł mi serce. Czuję miłość do nich obu, ale chociaż jestem przepełniona

niewiarygodną dumą, to jest ona nieco
zmacona smutkiem, bo wiem, że Colton
chciałby wiedzieć, czego Zander dzisiaj
dokonał. Bo pokonał niewidzialne bariery,
których większość dorosłych nawet nie jest w
stanie sobie wyobrazić.

Ale nie mam jak porozmawiać z Coltonem.
To już cztery dni, od kiedy opuściłam jego dom.

Cztery dni bez kontaktu.

Cztery dni dla niego i dla nas, żebyśmy
poukładali swoje sprawy.

A dla mnie cztery dni absolutnego chaosu
związanego z Domem, z moimi emocjami, z
szaleństwem mediów wokół domniemanego
dziecka, z tęsknotą za Coltonem.

Obiecuję

Zanderowi,

że

odłożę

jego

ukochanego pluszowego pieska na jego łóżko, i

każę mu iść pobawić się w berka z resztą

chłopców. Idź, bądź dzieckiem, baw się, śmieję

i, jeśli to w ogóle możliwe, zapomnij o

prześladujących cię obrazach.

Zabieram się za przygotowywanie obiadu i chociaż myślami jestem gdzieś indziej, pomagami w tym hałas bawiących się na zewnątrz chłopców.

Tęsknię
za
Coltonem.

Byliśmy
razem
codziennie

przez
prawie
miesiąc

i
przyzwyczaiałam

się
do
jego
obecności,
uśmiechu, głosu. Boli mnie to, że nie dzwoni,
ale jednocześnie nie oczekuję tego od niego.

Wysłał mi jedynie SMS-a z pytaniem, czy
dotarłam do domu, i z piosenką *I Am Human*.

Ma mnóstwo rzeczy do przemyślenia i rozwiązania. *Oczywiście* wolałabym być teraz przy nim, żeby mu w tym pomóc, ale to nie moja sprawa. Proste.

Chciałabym usłyszeć jego głos, dowiedzieć się, jak się czuje, albo po prostu powiedzieć „cześć”, i niezliczoną ilość razy brałam telefon, żeby do niego zadzwonić. Ale nie mogę tego zrobić. Wiem lepiej niż ktokolwiek, że dopóki Colton nie dopuści mnie do swojego zabarykadowanego serca,

rozmowa telefoniczna nie przyniesie mi nic dobrego.

Lukruję ciasto, które zrobiłam wcześniej w ramach nagrody dla Zandera za okazaną dziś odwagę, gdy dzwoni telefon. Zerkam na wyświetlacz i klikam „odrzuć”. Nieznany numer,

czyli najprawdopodobniej jakiś dziennikarz chce mi złożyć szczodłą ofertę w zamian za moją wersję historii Tawny. Tawny

powiedziała mediom, że jestem kochanką,
która odebrała jej, ciężarnej ofierze, miłość
życia, czyli Coltona.

Jedynym plusem jest to, że paparazzi na razie
nie odkryli Domu. Prędzej czy później jednak
na niego trafią, a ja wciąż nie mam pojęcia, *co
wtedy zrobię.*

Z

jakiegoś

powodu

śmieszny

mnie

naszkicowana przez Tawny opowieść. Nie
wierzę w sensacyjne doniesienia na PageSix o
tym, że ona i Colton na nowo zapalali do siebie
miłością. Byłam w domu Coltona i widziałam,
jak bardzo gardzi nią i wszystkim, co ona
reprezentuje. To nie dlatego jest mi smutno.

Ja po prostu za nim tęsknię. Za wszystkim, co
z nim związane.

Zabawne jest to, że nie boję się, iż tym razem
zwróci się do innej kobiety. Przerabialiśmy to i
szczerze powiedziawszy, dodawanie kolejnej
kobiety do tego równania jeszcze bardziej

skomplikowałyby mu życie. Nie, martwię się

nie tym, że zwróci się w stronę innej kobiety, lecz tym, że być może nie zwróci się do mnie.

Głosy chłopców przebijają się przez mgłę

zamyślenia przy krojeniu ziemniaków na

obiad. Wychwytyję słowa Connora:

— Znowu ten palant.

— Zawsze możemy go obrzucić jajkami — to

głos Shane'a.

O kim oni, do cholery, mówią?

— Hej, chłopcy? — wołam ich, wycierając ręce

i przechodzę do salonu. — O kim mówicie?

— O nim — odpowiada Shane, wskazując

głową w stronę okna. — Myśli, że sobie

anonimowo tam parkuje.

— Jakbyśmy go nie zauważyli — wtrąca się

Connor — i nie domyślili się, że jest

fotografem. Aparat mówi wszystko, koleś.

Natychmiast zaciągam firanki i zerkam na

ulicę. Wiem, czego szukam, chociaż dopiero po

chwili go zauważam. Ciemnoniebieski sedan,
który stoi kilka domów dalej, częściowo ukryty

za innym samochodem. Zupełnie o nim

zapomniałam.

Ten samotny paparazzi jest na szczęście

chciwy i chce zachować dla siebie informację o miejscu mojego pobytu, żeby samemu zgarnąć całą kasę. Za to mogę mu być wdzięczna. Ale skoro on się domyślił, to inni wkrótce podążą w jego ślady, aby dowiedzieć się czegoś więcej o zdzirze rozbijającej szczęśliwe związki, którą podobno jestem.

Niech to! Wiedziałam, że anonimowość Domu była zbyt piękna, żeby się utrzymała.

— Chodźcie chłopcy. Czas na...

— Super, że jesteś sławna! — wypala Connor w korytarzu.

Chcę go poprawić, ale Shane robi to za mnie, szturchając go zartobliwie w ramię.

— Nie ona, ty baranie! To Colton jest sławny.

Czy ty nic nie rozumiesz?

— Hej! Spokój! — krzyczę za nimi.

— Dzięki, że po mnie przyjechałaś.

— Żaden problem — odpowiada Haddie i rusza, bo światło zmieniło się na zielone. — Drażnienie fotografów było nawet zabawne, chociaż nie sądzę, żeby którykolwiek mi uwierzył, że ukrywasz się w domu.

Jęcę.

Trochę
trwało,
zanim
się
przyzwyczaiłam do reporterów kręcących się
dookoła domu i boję się, że do tych kilku, do których przywykłam, dołączyło całe stado.

— Mogę zapytać?

Haddie zerka na mnie i posyła mi swój
diabelski uśmiech.

— Nie, nie możesz, bo nie będziemy o tym
myśleć... ani o Coltonie... ani o mnie... ani
abskurwalutnie

o

niczym
ważnym

—

odpowiada.

— Nie? — Spoglądam na nią i bezwiednie się
uśmiecham. Cieszę się, że akurat miała czas i
mogła mnie odebrać z pracy, żeby nie dopadły
mnie te sępy.

— Nie! — odpowiada, a opony piszczą chórem
na zakręcie. — Poszukamy jakiegoś ciemnego
zakątka i zatopimy wszelkie smutki, a potem

znajdziemy jakiś szalony parkiet i będziemy

tańczyć do utraty przytomności!

Śmieję się z nią, bo ten pomysł wydaje mi się genialny. Chwilowa ulga dla serca i ucieczka od myśli, które nieustannie krążą po mojej głowie.

— A co z tobą? Jakie smutki chcesz zatopić? —

pytam i dopada mnie chwilowy smutek, że przez ostatnie kilka tygodni byliśmy tak zajęte, że nie znam odpowiedzi, chociaż dawniej w ogóle nie musiałabym pytać.

Haddie wzrusza ramionami i przez chwilę milczy, co w ogóle nie jest do niej podobne.

— Takie tam problemy z Lexy — stwierdza.

Chcę dopytać o szczegóły, bo zawsze była bardzo blisko ze swoją siostrą, ale uprzedza mnie. — Nie rozmawiamy o niczym, co wymaga omawiania, pamiętasz?

— Super! — odpowiadam. Haddie puszcza muzykę i obie zaczynamy nucić.

Odstawiam szklankę z brzękiem i uświadamiam sobie, że moje usta są trochę odrętwiałe. A raczej *bardzo* odrętwiałe.

Patrzę, jak Haddie uśmiecha się do faceta

naprzeciwko, po czym odwraca się z powrotem do mnie, a jej uśmiech się poszerza.

— Wygląda trochę jak Stone — mówi, wzruszając ramionami, a ja cieszę się, że już przełknęłam drinka, bo chyba bym nim parsknęła.

Nie wiem, czemu mnie to tak śmieszy, bo tak naprawdę to w ogóle nie jest zabawne. W każdym razie mój umysł zaczyna łączyć kropki poszczególnych wspomnień. Stone kojarzy mi się z Asem, As kojarzy mi się z Coltonem, a myśl o Coltonie sprawia, że *pragnę*... jego.

Wszystkiego, co z nim związane.

— Hola, hola — hamuje mnie Haddie, orientując się, o czym myślę. — Następna kolejka — mówi do barmana. — Nie myśl o nim. Obiecałaś, Ry. Żadnych facetów. Żadnego smutku. Żadnych zakłóceń ze strony penisów.

— Masz rację — odpowiadam ze śmiechem i mam nadzieję, że mi uwierzy, chociaż na pewno nie brzmię zbyt przekonująco. — Żadnych zakłóceń ze strony penisów. —

Barman przesuwa w naszą stronę nowe drinki.

— Dziękuję — szepczę i koncentruję się na

mieszaniu lodu słomką, żeby nie myśleć o Coltonie i nie zastanawiać się, co robi i jak się czuje. Niestety ponoszę sromotną klęskę. —

Opowiedziałam mu niedawno o Stonie.

Dziwię się, że Haddie mnie usłyszała, bo mówiłam naprawdę cicho. Ale musiała to słyszeć, bo uderza dłonią w bar.

— Wiedziałam, że nie wytrzymasz! —

wykrzykuje, skupiając na nas uwagę innych klientów. — Wiedziałam, że niezależnie od tego, ile wypijesz, i tak do tego dojdziemy.

— Przepraszam — mówię i wykrzywiam usta.

— Naprawdę mi przykro. — Skupiam się z powrotem na drinku, zmartwiona tym, że zawiodłam przyjaciółkę.

— Hej — mówi, pocierając moje ramię. — Nie wyobrażam sobie... Przepraszam... Chciałam po prostu, żebyśmy uwolniły się na chwilę spod dominacji członków i zaakceptowały swoje wewnętrzne dziwki. — Unoszę brew w jej stronę i potrząsam głową.

— Wewnętrzna dziwka zaakceptowana — oznajmiam, kładąc głowę na jej ramieniu, chociaż wcale tak naprawdę tego nie czuję.

— To jak, rozmawiałaś z nim? — pyta.

— Myślałam, że miałyśmy nie rozmawiać o

zdominowanych

przez

własne

członki

i

zakłócających nasze życie swoimi penisami

mężczyznach o nazwisku *Donavan* czy *Stone*

— śmieję się.

— Cóż — stwierdza przeciągle. — Trudno nie

gadać o twoim facecie, skoro tak wygląda z tą

swoją

seksowną

pewnością

siebie,

ściągającymi

majtki

oczami

i

diabelską

przystojnością. Kurde, takiego gościa można

wykopać z łóżka tylko wtedy, gdy chcesz

uprawiać z nim seks na podłodze.

Zaczynam się śmiać, tak szczerze, że aż nagle
w moich oczach pojawiają się łzy i czuję
drżenie dolnej wargi. Tłumię szlochnięcie i
natychmiast przeklinam alkohol, bo to musi
być wina alkoholu, że nagle robi mi się smutno
i tęsknię za Coltonem jak cholera.

*Weź się w garść, Thomas! To tylko jeden
popieprzony
tydzień.*

*Bądź
dojrzała.*

Reprimenda od głosu wewnętrznego nie
odnosi zamierzonego skutku, bo nie ma
znaczenia, czy minął dzień czy tydzień. I tak
tęsknię jak cholera. Jestem damską wersją
mięczaka do potęgi.

— W końcu to z siebie wyrzuciłaś — stwierdza

Haddie,

obejmując

mnie

ramieniem

i

przyciągając do siebie.

— Zamknij się! — krzyczę na nią, chociaż

wcale tego nie chcę.

Bo przecież siedzę w piątkowy wieczór w
knajpie z najlepszą przyjaciółką i powinnam
się świetnie bawić, ale potrafię myśleć tylko o

Coltonie. Jak się czuje? Czy dostał już wyniki testu na ojcostwo? Zadzwoń do mnie?

Dlaczego jeszcze nie zadzwonił? Czy myśli o
mnie tak, jak ja myślę o nim?

— Dlatego podniosę ten temat, bo chociaż

jesteśmy

tu

same,

to

i

tak

Colton

metaforycznie jest między nami. Jakkolwiek ta

idea mogłaby mu się podobać...

W końcu udaje jej się wydobyć ze mnie

szczerzy śmiech.

— Ech! Nie cierpię tego — mówię.

— To czemu do niego nie zadzwonisz?

Oto pytanie za milion dolarów.

— Cała ta sprawa z Tawny zamieszała mu w

głowie. Wydobyła brudy z jego przeszłości i

chociaż bardzo chciałabym przy nim być lub do niego zadzwonić, nie chcę, żeby się na mnie wyżywał. Dzwoniłam jedynie do Becksa, żeby się upewnić, czy wszystko z nim w porządku.

— Wzruszam ramionami. — Becks stwierdził, że Colton wciąż jest w rozsypce. Chciałabym z nim pogadać — przyznaję, a Haddie gładzi mnie po ramieniu — ale muszę dać mu trochę przestrzeni, o którą prosił. Zadzwoni do mnie, gdy pozbiera się do kupy.

— Hm, zastanawiam się, czy ja już gdzieś tego nie słyszałam? — mówi prowokująco, lecz ja tylko wzruszam ramionami.

— Jakaś mądra kobieta to powiedziała, jak mi się wydaje.

— W istocie, bardzo mądra — śmieje się, przewraca oczami i stuka szklanką w moją szklankę. — A skoro to ja jestem *ta* kobietą, pozwolisz, że zaoferuję ci kolejną drobną poradę?

— Haddie'izm?

— Tak, haddie'izm. Podoba mi się to słowo. —

Kiwa głową z aprobatą i bierze kolejny łyk drinka, uśmiechając się znowu do kolesia na drugim końcu baru. — Pytałam cię kiedyś, czy

Colton jest tego wart... Czy teraz, gdy zainwestowałaś w niego więcej czasu, wciąż czujesz tak samo? Wciąż widzisz w nim swoją potencjalną przyszłość?

— Kocham go, Had — odpowiedź wyrywa się z moich ust w ułamku sekundy. Bez wahania, bez wątpliwości. Absolutna pewność.

Haddie obserwuje mnie przez chwilę. Wiem, że skrycie testuje moją reakcję, próbując zobaczyć ją z szerszej perspektywy, i że jest zdziwiona tak *pełnym* zaangażowaniem z mojej strony.

— Kochasz go dlatego, że jest twoim pierwszym facetem od czasu Maxa, czy dlatego, że go wybrałaś? Obie wiemy, że masz słabość do skrzywdzonych dusz, więc czy kochasz go, bo chcesz go naprawić, czy dlatego, że wybrałaś *jego*, którym jest teraz, i *jego*, którym będzie za pięć lat?

Nie odpowiadam, ale nie dlatego, że nie znam odpowiedzi, tylko dlatego, że nie potrafię wydusić z siebie ani słowa z powodu guli zatykającej mi gardło. Ale Haddie widzi, co chciałabym powiedzieć, bo zna mnie na tyle dobrze, że wie, co czuję.

— A jeśli dziecko jest jego?

Odzyskuję głos.

— Jezu... zasypujesz mnie dzisiaj naprawdę trudnymi pytaniami. Myślałam, że miałyśmy dzisiaj nie myśleć o absokurwalutnie niczym?

Na pewno jest jakiś haddie'izm na tę sytuację.

Nie chodzi o to, że nigdy się nad tym nie

zastanawiałam, ale gdy słyszę to pytanie z jej ust, cały problem nagle staje się tak bardzo realny.

Bo zdarza się tak ciężki bagaż, że nawet miłość nie wystarczy, żeby się z nim uporać.

—

Zaraz

jakiś

wymyślę

—

stwierdza,

popychając w moją stronę nietkniętego drinka.

— W każdym razie sprawa jest istotna, bo moja najlepsza przyjaciółka cierpi, więc napij się i odpowiedz na moje pytanie.

Biorę łyk i uśmiecham się z rezygnacją.

— Przeraza mnie nie to, czy okaże się ojcem...

ale jego reakcja, gdy tak się stanie. — Po raz

pierwszy wyznają na głos swoją najgorszą obawę. — Co, jeśli jest ojcem, ale nie będzie umiał sobie z tym poradzić? Jak miałabym kochać mężczyznę, który nie potrafi kochać własnego dziecka, niezależnie od tego, kim jest matka? Który wypisze czek, żeby ją spłacić, i będzie udawał, że dziecko nie istnieje? Co, jeśli Colton wybierze taką opcję?

Jak miałabym spędzić noc z facetem, który wyrzekł się dziecka, a potem pójść do pracy w Domu pełnym chłopców, których spotkało dokładnie to samo? Przecież byłabym straszną hipokrytką.

Już. *Wyrzuciłam to z siebie.* Moją największą obawę. Że Kocham mężczyznę, który być może odejdzie od swojego dziecka. A będę musiała odejść od niego, skoro nie będzie potrafił stawić czoła swoim demonom i zaakceptować tego, że potrafi być mężczyzną, jakiego potrzebuje jego dziecko. Drobne kompromisy, preferencje i pragnienia w związku to jedno, ale rezygnacja z tego, kim jestem, i z moich najgłębszych przekonań i zasad moralnych nie wchodzi w grę.

Wzdycham i potrząsam głową.

— Co wtedy będzie, Haddie? Co jeśli Colton

dokona takiego wyboru?

— Cóż... — Haddie wyciąga rękę i ściska moją

dłoń. — Jak na razie niczego nie wiemy, więc

ta dyskusja jest bezpodstawna. Po drugie,

musisz

mu

dać

przywilej

domniemanej

niewinności... Jej sensacja go zszokowała,

wytrąciła z równowagi i wkurzyła... Ale to

dobry człowiek. Zobacz, jaki jest wobec

chłopców.

— Wiem, ale nie byłaś tam. Nie widziałaś jego

reakcji, gdy...

— Wiesz, co ja mówię w takich sytuacjach? —

pyta, przerywając mi i podnosząc stojące

przed nami od dłuższego czasu dwa szoty

tequili. Patrzę na nią i zastanawiam się,

dlaczego nagle, w połowie moich zwierzeń,

chce wnieść toast, ale biorę jeden z

kieliszków. — Ja mówię: nigdy nie osądzaj

faceta z góry, chyba że ma głowę między

twoimi nogami.

Krztuszę się własnym oddechem. Już dawno
powinnam do tego przywyknąć, ale ona wciąż
mnie zaskakuje i sprawia, że Kocham ją
jeszcze bardziej. W końcu przestaję się śmiać
i patrzę na nią.

— Jeden na szczęście...

— I jeden na odwagę — dokańcza i obie
wlewamy w siebie tequilę.

Z zadowoleniem przyjmuję palenie w gardle i
cieszę się, że jestem tu i teraz ze swoją
najlepszą przyjaciółką. Gdy w końcu dociera
do mnie, co przed chwilą powiedziała, patrzę
na nią kątem oka.

— Chyba że ma głowę między twoimi nogami?

Co, to jakieś stare rodzinne porzekadło?

Przekazywane z pokolenia na pokolenie?

— Uhm — potwierdza, wykrzywiając usta,
żeby stłumić wybuch śmiechu. — Nigdy nie
przeszkadzaj mężczyźnie, gdy stołuje się
między nogami.

— Haddie — śmieję się. — Serio?

— Mogę tak całą noc, siostró! — Po raz
kolejny stuka się ze mną szklanką, a mnie od
śmiechu bolą policzki. — Oto następne: co

robisz, gdy twojej najlepszej przyjaciółce jest smutno? Musisz ją sponiewierać, a potem zabrać na tańce.

— Cóż — stwierdzam, zeskakując ze stołka.

Odczekuję

chwilę,

aż

pomieszczenie

przestanie wirować. — Myślę, że to doskonały

pomysł!

Haddie płaci nasz rachunek i dzwoni po

taksówkę. Potem, chwiejąc się, ruszamy w

stronę wyjścia. Próbuję wyperswadować sobie

pomysł przekonania Haddie, że powinna mnie

zawieźć teraz do domu Coltona, chociaż w tej

chwili jest mi obojętnie, czy byłby miły czy

niemiły, bo zobaczyć go to jedyne, czego

pragnę.

—

Chodź,

jesteśmy

już

wystarczająco

zrobione.

Trzy

godziny

w

knajpie

to

zdecydowanie za długo — stwierdza, a potem

obejmuje mnie ramieniem i pomaga mi iść w

miarę prosto w stronę wyjścia.

Gdy stajemy za drzwiami, ciemne nocne niebo

eksploduje nagle błyskami niezliczonych fleszy,

a ja dostaję serią nieoczekiwanych pytań.

— Jakie to uczucie mieć opinię osoby

rozbijającej rodziny?

— Czy masz jakieś wyrzuty sumienia, że

wepchnęłaś się między Coltona i Tawny?

— Czy to nie jest hipokryzja, że namawiasz

Coltona

do

porzucenia

dziecka,

skoro

pracujesz z sierotami?

I tak dalej. Bez końca, seria za serią. Czuję się

jak w pułapce, a Haddie próbuje mnie

wyprowadzić poza tę nawałnicę krzyków,

błysków i pogardy.

Wygląda na to, że media już mnie znalazły.

Rozdział 21.

Colton

— Jaja sobie ze mnie robisz, prawda? —

krzyczę, walcząc z pragnieniem, żeby coś rozwalić. Pragnieniem, które rozpala moje emocje i sprawia, że pragnę słyszeć odgłosy zniszczenia. Odgłosy tego, jak moje życie rozpada się od środka.

Próbuję wyrzucić z głowy obrazy z ostatnich kilku dni.

Pobieranie krwi, markery DNA i pierdolone testy na ojcostwo.

Tawny, jej głupie kłamstwa i krokodyle łzy, pochłaniane przez medialne sępy jak świeże mięso.

Odwiedziny Jacka i Jima. To, że miałem tak dość oglądania świata przez dno pustej szklanki, iż obu dżentelmenów postanowiłem pić prosto z butelki.

A do tego Rylee.

Pierdolona Rylee.

Wszędzie jej ślady. Jej zapach w pościeli.

Gumka do włosów na blacie w łazience. Puszki

jej ulubionej dietetycznej coli ustawione

równiutko w lodówce. Czytnik książek na

stoliku nocnym. Pojedyncze włosy na mojej

koszulce. Dowód na to, że tak idealna istota

naprawdę istnieje. Dowód na to, że ktoś tak

czysty i dobry naprawdę chce być z kimś tak

skażonym i popieprzonym przez duże „P” jak

ja.

Pragnę i potrzebuję jej, nienawidzę się za to, że jej pragnę, i nienawidzę się za to, że tak bardzo jej potrzebuję, ale nie mogę tego

zrobić. Nie mogę wciągać jej w tę nawałnicę

kłamstw, pod którą jestem. Nie chcę, żeby

miała do czynienia z moim popieprzonym

obliczem, którego nawet ja nie znoszę. Muszę

najpierw

wszystko

naprostować.

Muszę

zapanować nad emocjami, które kierują moimi

działaniami.

Muszę poczekać na negatywny wynik testu

DNA.

Moja mama miała pierdoloną rację. Miała rację, a знаła mnie tylko przez pierwsze osiem

z trzydziestu dwóch lat mojego życia... Jeśli to nie ma znaczenia, to nie wiem, co ma. Nie da się mnie kochać. Jeśli ktoś mnie pokocha... jeśli dopuszczę kogoś zbyt blisko, to dobiorą się do niego moje demony. Wydostaną się przez pęknięcia w mojej duszy i znajdą sposób, żeby zniszczyć tę drugą osobę.

— Colton, jesteś tam?

Wyrywam się ze swojego ciągu myślowego, tego samego, który przerabiam na okrągło przez ostatni tydzień. Kupa ściem krążących w mojej głowie jak chomik w kołowrotku.

— Taa — odpowiadam mojej specjalistce od PR. — Jestem, Chase. — Spycham stos brukowców ze stolika przede mną, ale nawet gdybym je podpalił lub wyrzucił do kosza, wciąż będę miał przed oczami to zdjęcie Rylee wychodzącej z baru. Zszokowane spojrzenie, rozchylone usta i ogólne przytłoczenie tym medialnym piekłem, które zaskoczyło ją przy wyjściu.

Dobija mnie to! Nie mogę znieść, iż cały ten szajs i bycie ze mną doprowadziły do tego, że jej twarz przybrała taki wyraz. Że jej oczy

emanowały takim przerażeniem. Pragnę być mężczyzną, który ją ochroni i przytuli, ale nim nie jestem. Nie potrafię nim być, bo nie mam pojęcia, jakie słowa lub czyny poprawiłyby jej humor. Sprawiałyby, że to wszystko zniknie.

Ochroniły ją.

— To są pieprzone ściemy i dobrze o tym wiesz.

Słyszę, jak Chase wzdycha na drugim końcu linii. Wie, że jestem wkurzony. Wie, że żadne jej słowa mnie nie uszczęśliwią, chyba że kazałaby mi odszukać tych dupków, którzy prześladowają Rylee, i wyładować na nich moją potrzebę destrukcji.

— Colton, najlepsze, co możesz zrobić wobec oskarżeń Tawny, to milczeć. Jeśli zareagujesz, twój wizerunek publiczny...

— Mam w dupie mój wizerunek publiczny!

— Uwierz mi, wiem o tym — wzdycha. — Ale jeśli zareagujesz, media to podchwycą i tym dłużej będą krążyć w oczekiwaniu, aż coś zepsujesz lub stracisz. To oznacza, że tym dłużej będą męczyć Rylee...

Szlag mnie trafia, ale ona ma rację. Czego ja bym jednak nie dał, żeby móc wyjść do tych

sępów i dorzucić im swoje trzy grosze.

— Kiedyś nie wytrzymam, Chase — mówię.

— Wiem, wiem.

Rzucam telefon na kanapę naprzeciwko i pocieram twarz dłońmi. Potem siadam na tej za sobą i zamykam oczy. Co ja mam, do cholery, zrobić? I od kiedy w ogóle mnie to obchodzi?

Co się ze mną stało? Kiedyś miałem wszystko w dupie i nic mnie nie obchodziło, a teraz tęsknię za Rylee i chciałbym zobaczyć chłopców. Gówniane więzi. *Ja pierdolę.*

Słyszę głos dziękujący Grace, mojej gosposi, który sprowadza mnie na ziemię z krainy jednorożców i tęczy. Kompletnie to do mnie nie pasuje. Całe to badziewie typowe dla zniewieściałych dupków. Nie ma na nie miejsca w mojej głowie, od dawna zatruwanej inną trucizną.

Chwileczkę. Czuję jego obecność. Wiem, że patrzy na mnie i próbuje rozszyfrować moje myśli, ale nic nie mówi. Otwieram jedno oko i dostrzegam go. Opiera się o futrynę z rękami skrzyżowanymi na piersi i z zatroskaniem w

oczach.

— Będziesz tak stał i się gapił czy podejdziesz tu i rzucisz mi swój wyrok prosto w twarz?

Patrzy na mnie jeszcze przez chwilę.

Przysięgam na Boga, że nienawidzę tego uczucia. Nienawidzę tego, że na długiej liście osób, które zawiodłem, jest także jego nazwisko.

— Żadnego osądzania, synu — oznajmia, po czym wchodzi do pokoju i siada na kanapie naprzeciwko.

Nie potrafię podnieść wzroku i spojrzeć mu w oczy. Dziękuję w myślach Grace za to, że nie wygląda tu jak w chlewie, bo wtedy domyśliłby się, jak bardzo sytuacja z Tawny namieszała

mi w głowie. Biorę głęboki wdech i żałuję, że nie mam przy sobie piwa. Mógłbym rozkręcić tę imprezę.

— No weź, tato, złajaj mnie, bo wiem, że na pewno nie przyszedłeś tu czysto towarzysko.

Siedzi w milczeniu, a ja nie potrafię tego wytrzymać. W końcu podnoszę wzrok i widzę, że patrzy na mnie swoimi szarymi oczami.

Wykrzywia usta w zamyśleniu nad tym, co powiedzieć.

— Cóż, mogę szczerze przyznać, że wpadłem
tylko po to, żeby zobaczyć, jak sobie radzisz w
tej całej zawierusze — mówi, gestykulując
obojętnie dłonią — chociaż to było dość
oczywiste, biorąc pod uwagę twój gówniany
nastrój. — Odchyła się na oparcie, kładzie nogi

na stolik i patrzy na mnie. *Kurde, on się tutaj
rozgaszcz.* — Zaczнеш mówić, synu, czy będziemy tu tak siedzieć i patrzeć się na
siebie

przez

całą

noc?

Bo

ja

mam

nieskończoną ilość czasu. — Zerka na zegarek

i wraca spojrzeniem do mnie.

Kurwa! Nie chcę rozmawiać o całym tym

szajsie. Nie chcę mówić o dzieciach, o laskach

lejących na kasę, o chłopcach, za którymi

tęsknię, i o kobiecie, o której nie potrafię

przestać myśleć.

— Kurde, nie wiem.

— To mi nie wystarczy, Colton.

— To co mam ci powiedzieć? Że to
spierdoliłem? To chcesz usłyszeć? — Próbuję
go sprowokować. Cóż za przyjemna odmiana.
Przez ostatni tydzień wszyscy chodzili wokół
mnie na palcach, bo bali się, że wybuchnę,
dlatego wyzywanie się jest tak przyjemne,
nawet jeśli potem będę się czuł podle, że
zrobiłem to własnemu ojcu. — Chcesz
usłyszeć, że pieprzyłem się z Tawny i dostałem
to, na co zasługuję, bo wyrzuciłem ją jak
gorący kartofel, a teraz ona wraca i mówi, że
jest w ciąży? Że nie chcę mieć dzieci i *nie będę ich miał*, ani z nią, ani z nikim innym?
Nigdy. Bo nie podoba mi się, że ktoś
wykorzystuje dziecko jako kartę przetargową,
żeby coś ode mnie wyszarpać. A poza tym, jak
ktoś taki jak ja miałby być ojcem, skoro jestem
teraz równie popieprzony jak wtedy, gdy mnie
znalazłeś?

Zrywam się z kanapy i zaczynam chodzić po
pokoju. Wkurza mnie to, że nie połknął
przynęty i nie dał się sprowokować do walki,
do której tak się palę. Zamiast tego siedzi
spokojnie

wyrazem

kompletnego

zrozumienia i akceptacji na twarzy. Cóż za
pacyfikacja. Chciałbym, żeby mi powiedział, że
mnie nienawidzi, że go rozczarowałem i że
zasłużyłem sobie na to wszystko, co mnie
spotyka, bo w to jest mi znacznie łatwiej
wierzyć niż w coś odwrotnego.

— A co Rylee o tym wszystkim myśli?

Zatrzymuję się i wbijam w niego wzrok. *Co?*

Nie spodziewałem się takiego pytania z jego
ust.

— Co masz na myśli?

— Pytałem, co Rylee o tym wszystkim myśli. —

Nachyla się do przodu, opiera łokcie na
kolanach i patrzy na mnie pytająco z
uniesionymi brwiami.

— Gdybym tylko wiedział. — Chrząkam, a mój
ojciec potrząsa głową. *Boże, jak ja nienawidzę
się tłumaczyć.* Ale to mój ojciec. Mój
ostateczny superbohater. Jak mógłbym go
zignorować? — Była ze mną, gdy Tawny
zrzuciła swoją bombę. Poszarpaliśmy się, bo
jako nieczuły dupek zacząłem wszystko na nią

zrzucić. Pieprzyłem o dziecku, którego nie
chcę, chociaż wiem, że ona nie może mieć
dzieci. Krótko mówiąc: byłem w swojej
najlepszej formie — wyznaję i przewracam
oczami.

—
Uznaliśmy
wspólnie,
że
potrzebujemy
kilku
dni
przerwy,
żeby
wszystko sobie poukładać. Żebym zebrał się
do kupy.

— I od tego czasu z nią nie rozmawiałeś?

— Co to ma być, tato? Gra w dwadzieścia
pytań? Czy ja wyglądam, jakbym już się
pobierał do kupy? — Parskam drwiącym
śmiechem. Jeden krok do przodu, a potem
dwadzieścia kroków do tyłu. — Czy Tawny
nadal jest w ciąży? Czy przyszły już wyniki
testów? Tak i *kurewsko wielkie nie*... Tak więc

jeszcze do niej nie dzwoniłem. Dopisz to do

tych wszystkich rzeczy, które masz mi za złe.

Ale on tylko patrzy.

— Tak twoim zdaniem jest? Mam ci za złe to,

że masz problemy? Bo wygląda na to, że wcale

nie muszę ci w tym pomagać, synu. Pozwól

więc, że zadam ci pytanie, które sam

powinieneś sobie zadać: dlaczego wciąż

babrzesz się we własnym gównie zamiast

wynurzyć z niego głowę i do niej zadzwonić?

Wydycham powietrze ze świstem. Ja pierdolę.

— Nie chcę w to teraz wchodzić, tato. — *Idź*

sobie. Pozwól mi opróżnić następnego Jacka i poczekać, aż pieprzeni doktorzy w końcu

zdecydują, czy właśnie spierdoliłem życie

nienarodzonego dziecka. Bo jeśli to dziecko

jest moje, to jego dusza już jest skażona, a

tego za nic w świecie nie chciałbym mieć na

sumieniu.

— Cóż, ja chcę w to wchodzić, więc lepiej

dołącz do mnie, Colton, bo nie zamierzam stąd

wyść, dopóki nie porozmawiamy. Zrozumiano?

Otwieram z zaskoczeniem usta, bo w ułamku

sekundy cofam się o piętnaście lat wstecz, gdy

spędziłem

noc

w

areszcie

za

wyścigi

równoległe. Do momentu, kiedy przyszedł
mnie odebrać, porządnie mnie zrugął i
powiedział, jak to wszystko będzie wyglądało
od tamtej chwili. Ja pieprzę. Mam włosy na
klacie, dwa domy i kupę innego szajsu, a on
nadal potrafi sprawić, że czuję się jak
nastolatek.

Czuję atak wściekłości. Nie potrzebuję teraz
pieprzonego terapeuty, tylko negatywnego
wyniku tych cholernych badań. I Rylee
obejmującej mnie i wzdychającej cicho, gdy w
nią wchodzę. Ostatecznej przyjemności, żeby
zagrzebać cały ten niepotrzebny ból.

— A więc — mówi, przerywając moje marzenia
o niej — naprawdę pozwolisz jej odejść bez
walki? Pozwolisz jej zniknąć z twojego życia z
powodu *Tawny*?

— Ona ode mnie nie odejdzie! — krzyczę na
niego z wściekłością, że w ogóle tak pomyślał.

Na pewno nie odejdzie?

Ale on tylko unosi brew.

— Dokładnie — mówi, a ja spoglądam mu w oczy. — Dlatego przestań ją traktować tak, jakbyś zakładał, że odejdzie. Ona nie jest jak twoja matka.

Chciałbym się na niego wydrzeć, że, kurwa, wiem, że nie jest. I niech nie śmie umieszczać jej w tym samym zdaniu. Zamiast tego jednak bawię się szwem kanapy i myślę nad odpowiedzią, którą moim zdaniem chce usłyszeć.

Do
której
sam
próbuję
się
przekonać.

— Ona nie zasługuje na to... na cały ten szajs, który jest ze mną związany. Moją przeszłość... a teraz być może także przyszłość.

Wydaje z siebie pomruk. Nienawidzę tego, bo nie mam pojęcia, co to oznacza.

— Czy to nie powinno zależeć od niej, Colton? Bo w sumie podejmujesz decyzję za nią... Nie

powinna mieć w tej kwestii czegoś do

powiedzenia?

Zamknij się, chciałbym mu powiedzieć. Nie przypominaj mi, co powinna mieć, bo dobrze o tym wiem. Bardzo, kurwa, dobrze! A wiem o tym dlatego, że *nie potrafię jej tego dać*.

Myślałem, że potrafię... myślałem, że będę w stanie, ale w świetle tego, co się stało, wiem, że nie potrafię. To potwierdzenie wszystkich *jej* słów... wszystkiego, czego nigdy już nie wyrzucę ze swojej duszy.

— Twierdzisz, że ona cię nie opuści w chwili próby, synu, ale twoje czyny mówią mi, że wcale w to nie wierzysz. Ale nie widziałeś, jak walczyła o ciebie każdego dnia, który spędziła przykuty do szpitalnego łóżka.

Każdego pieprzonego dnia. Nigdy nie odeszła.

Wynika z tego, że w tym całym twoim małym dylemacie wcale nie chodzi o nią.

Każda cząstka mnie buntuje się przeciw jego słowom. Te słowa w ustach każdej innej osoby wywołałyby u mnie wybuch wściekłości, ale szacunek każe mi powstrzymać się od wrzeszczenia na mężczyznę, który w swoim wnioskowaniu trafił niebezpiecznie blisko.

— *Chodzi o ciebie*. — Cicha pewność jego głosu przepływa przez pokój i uderza mnie w twarz. Kusi mnie, żebym połknął przynętę, a ja

nie mam już siły się powstrzymać.

I nie mam ochoty o *tym* rozmawiać równie mocno, jak nie chcę spędzać kolejnej nocy bez Rylee w łóżku. Gdy podejdziesz zbyt blisko, na powierzchni zaczną się pokazywać duchy przeszłości, a ja nie mam już na nie siły, bo wystarczy mi cała szafa pierdolonych trupów.

Ale zapalka została zapalona i benzyna wybuchła. Ogień w moim wnętrzu zapłonął i cała frustracja, cała niepewność i cała samotność z ostatniego tygodnia uderzają mi do głowy i eksplodują we mnie. Wydepczę ścieżkę w tej cholernej podłodze, jak będę tak łąził, próbując bezskutecznie zwalczyć lub okiełznać ten wybuch.

— Spójrz na mnie, tato! — krzyczę na niego.

Chwytam się pod boki i nienawidzę się za to

załamanie

głosu,

za

to

nieoczekiwane

okazanie słabości. — Spójrz na to, co *ona* ze mną zrobiła! — Nie muszę wyjaśniać, o kogo

mi chodzi, bo pogarda w moim głosie mówi mu

wszystko.

Rozkładam ramiona, krew krąży we mnie jak

oszałała, a on sobie po prostu spokojnie siedzi

i uśmiecha się do mnie. Kurwa, uśmiecha się!

— *Widzę, synu. Patrzę na ciebie każdego dnia*

i myślę, jak bardzo jesteś niesamowity.

Jego słowa zabierają wiatr z moich żagli.

Wrzeszczę na niego, a on odpowiada mi *tym?*

Co to ma być za gra? Jeszcze bardziej

namieszać Coltonowi w głowie? Kurde, słyszę

jego słowa, ale nie dopuszczam ich do siebie.

To

nie

jest

prawda.

Nie

może

być.

Niesamowitość i zepsucie nie idą ze sobą w

parze.

Nie można powiedzieć „niesamowity” o

człowieku, który mówił molestującym go

ludziom, że ich kocha, niezależnie od tego, czy był do tego zmuszony, czy nie.

— To jest, kurwa, niemożliwe — mruczę, a

brudne wspomnienia podsycają mój gniew i

skłaniają do głębszego ukrycia swojej duszy.

Nie potrafię mu nawet spojrzeć w oczy, bo
mógłby zobaczyć, że w rzeczywistości jestem
jeszcze bardziej popieprzony. — To niemożliwe
— powtarzam do siebie, tym razem z większą
emfazą. — Jesteś moim ojcem. Musisz tak
mówić.

— Nie, nie muszę. I formalnie rzecz biorąc,
nie jestem twoim ojcem, więc niczego nie
muszę mówić. — Teraz zupełnie zbił mnie z
tropu...

i
sprowadził
do
poziomu
wystraszonego dziecka, które boi się, że
zostanie odesłane. Nigdy wcześniej nie
powiedział mi czegoś takiego i jestem
cholernie przerażony kierunkiem, w jakim
zmierza nasza dyskusja. Wstaje, podchodzi do
mnie i patrzy mi prosto w oczy. — Jesteś w
błędzie. Nie musiałem się zatrzymywać i
siadać obok ciebie na progu. Nie musiałem
zabierać cię do szpitala, adoptować cię,
kochać... — kontynuuje podsyćanie każdego

kompleksu z dzieciństwa, jaki kiedykolwiek miałem. Z trudem przełykam ślinę. Zmuszam się do patrzenia mu w oczy, bo nagle jestem przerażony do szpiku kości tym, co ma mi do powiedzenia. Prawdą, jaką za chwilę wyzna.

— Ale wiesz co, Colton? *Wiedziałem to* już wtedy,

gdy

byłeś

przestraszonym

i

wygłodzonym ośmiolatkiem. Wiedziałem od razu, że jesteś fantastyczny, że jesteś tą niesamowitą istotą, której nie potrafię się oprzeć. Nie odchodź ode mnie! — grzmi nagle, a ja zamieram zszokowany. Od spokoju i wspierania do wściekłości w ułamku sekundy. Stoję bez ruchu, owładnięty potrzebą ucieczki od tej rozmowy, która budzi we mnie tyle szajsu, że mój wewnętrzny buntownik błaga o możliwość wyjścia przez te drzwi prosto na plażę. Ale nie mogę. Nie potrafię. Od zawsze uciekam przed wszystkim w życiu, ale nie mogę odejść od człowieka, który nigdy ode mnie nie odszedł. Zwieszam głowę i zaciskam

pięści w oczekiwaniu na to, co powie.

— Czekałem prawie dwadzieścia lat na tę rozmowę, Colton — mówi spokojniej i równomierniej, co przeraża mnie jeszcze bardziej niż jego gniew. — Wiem, że chciałbyś uciec, wyjść przez te pieprzone drzwi i pobiec na swoją ukochaną plażę, ale tego nie zrobisz. Nie pozwolę ci tak tchórzliwie stąd spieprzyć.

— Tchórzliwie? — krzyczę i odwracam się, żeby wyrazić tłumioną przez te wszystkie lata wściekłość. Przez te wszystkie lata, gdy się zastanawiałem, co on tak naprawdę o mnie myśli. — To, przez co przeszedłem, nazywasz tchórzliwym spieprzaniem? — Na jego twarz wraca uśmiech. Wiem, że mnie prowokuje, bo chce, żebym połknął przynętę i wyrzucił z siebie to wszystko, ale i tak ją łykam. — Jak śmiesz stać tutaj i sugerować, że było mi łatwo, nawet po tym, jak mnie przygarnąłeś?

Że *los* był dla mnie łaskawy? — wrzeszczę.

Trzęsę się z wściekłości, a wszystkie urazy wypływają na powierzchnię. — Jak możesz twierdzić,

że

jestem

niesamowitym

człowiekiem, skoro przez dwadzieścia cztery

lata powiedziałaś mi z milion pieprzonych razy,

że mnie *KOCHASZ*, a ja *nigdy* ci tego nie powiedziałem? Ani razu! I mówisz, że ci to nie

przeszkadza? Jak mam nie myśleć, że jestem

popieprzony, skoro dałaś mi wszystko, a ja nie

dałem ci w zamian absolutnie nic? Nie potrafię

ci nawet powiedzieć tych dwóch pierdolonych

słów! — Po wyrzuceniu z siebie ostatnich słów

wracam do rzeczywistości i orientuję się, że

stoję kilka centymetrów od ojca i trzęsę się z wściekłości. Wściekłości, której małe odpryski

odpadały od mojego skamieniałego serca i

trawiły mnie od środka przez całe życie.

Cofam się o krok, ale on w mgnieniu oka z

powrotem się do mnie zbliża.

— Nic? Nic, Colton? — jego krzyk niesie się

echem po całym pokoju. — Dałaś mi *wszystko*,

synu. Nadzieję, dumę i wszystko to, co

nieoczekiwane. Nauczyłaś mnie, że nie ma nic

złego w strachu. Że czasem musisz pozwolić

osobie, którą kochasz, żeby gonila wiatr w

pieprzonym polu, bo tylko w ten sposób potrafi

uwolnić się od wewnętrznych koszmarów. To

ty, Colton, nauczyłeś mnie być mężczyzną... Bo

bardzo łatwo jest nim być, gdy cały świat
zostaje ci podany na srebrnej tacy, ale tobie
podano kanapkę z wielkim gównem, a mimo to
stałeś się tym mężczyzną, który przede mną
stoi! To jest dopiero definicja męskości, mój
synu.

Nie, nie, nie — chciałbym wrzasnąć do niego, żeby zagłuszyć słowa, w które nie mogę
uwierzyć. Próbuję zakryć uszy jak pieprzony
dzieciak, bo to dla mnie zbyt wiele. Wszystko.

Słowa, strach, pieprzona nadzieja, że być
może jestem tylko lekko skrzywiony, a nie
kompletnie zepsuty. Ale on mi na to nie
pozwala i muszę wykrzesać całą swoją
samokontrolę, żeby mu nie przywalić, gdy
odciąga mi dłonie od uszu.

— Nie-e — mówi, siłując się ze mną. — Nie
wyjdę stąd, dopóki nie powiem tego, po co tu
przyszedłem. Tego, z czym ze strachu zbyt
długo zwlekałem, bo teraz wiem, że jako
rodzic
popelniłem
poważny
błąd,
nie

zmuszając cię do wysłuchania tego wcześniej.

Więc im bardziej ze mną walczysz, tym dłużej to potrwa, dlatego sugeruję, żebyś pozwolił mi skończyć,

synu.

Bo

jak

powiedziałem

wcześniej, mam nieskończoną ilość czasu.

Wpatruję się w niego rozdarty między dwoma

ciałami: małego chłopca, który desperacko

pragnie aprobaty, i dorosłego mężczyzny, który

nie może uwierzyć, że kiedyś ją otrzymał.

— Ale to nie jest moż...

— Żadnych ale, synu. Żadnych — przerywa mi

i odwraca mnie, żeby nie trzymać mnie od tyłu,

bo wie, że po tylu latach wciąż nie mogę tego

znieść. Spogląda mi prosto w oczy, żebym nie

mógł się ukryć przed absolutną szczerością

jego wzroku. — Nigdy nawet przez chwilę nie

żałowałem, że cię wybrałem. Ani wtedy, gdy

się buntowałeś, ani wtedy, gdy ze mną

walczyłeś, gdy brałeś udział w ulicznych

wyścigach, gdy podkradałeś drobne z blatu...

Przeszywa mnie dreszcz po tych słowach.

Mały

chłopiec

wewnątrz

mnie

jest

zdruzgotany tym, że go przyłapano, nawet jeśli

ojciec nie okazuje złości.

— Myślałeś, że nie wiem o tym słoiku z

pieniędzmi i pudełku z jedzeniem, które

ukrywałeś pod łóżkiem? O tych zapasach na

wypadek,

gdyby

nam

się

odwidziało

i

postanowilibyśmy wyrzucić cię z powrotem na

ulicę? Nie zauważyłeś, że nagle wszędzie

zacząłem zostawiać drobne pieniądze? Celowo

to robiłem, bo nawet przez chwilę nie

żałowałem swojego wyboru. Nawet wtedy, gdy

przekraczałeś wszelkie granice i łamałeś

każdą możliwą regułę, bo lepiej było czuć

adrenalinę płynącą z nieposłuszeństwa niż
przypominać sobie o tym wszystkim, co ona
pozwalała im z tobą robić.

Oddech więźnie mi w gardle na te słowa. Cały
mój świat spowija się czernią i czuję się, jakby
w żołądku nastąpiła erupcja kwasu, który
rozlewa się teraz wszędzie jak lawa.

Rzeczywistość

się

rozpada,

bo

właśnie

zrealizowała się moja największa obawa... *on*

wie. Zna mój koszmar, moją słabość, moje podłe czyny i wie o sprzedanej miłości i skazie
na mojej duszy.

Nie potrafię podnieść wzroku, żeby spojrzeć
mu w oczy, i nie potrafię na tyle stłumić
wstydu, żeby się odezwać. Czuję jego rękę na
ramieniu, gdy próbuję na powrót przywołać to
dawne odrętwienie, żeby uciec od wspomnień
wytatuowanych w mojej duszy i na moim
pieprzonym ciele, ale nie potrafię. Rylee
przełamała tę cholerną barierę i obudziła we
mnie uczucia, i teraz nie potrafię już nie czuć.

— A skoro mówimy sobie o wszystkim —

dodaje znacznie łagodniejszym głosem i ściska moje ramię. — *Ja wiem, Colton.* Jestem twoim ojcem i wiem.

Pierdolona podłoga osuwa mi się spod nóg.

Próbuję wyrwać się z jego chwytu, ale mnie nie puszcza, nie pozwala mi się odwrócić i ukryć łez kłujących mnie w oczy jak szpilki.

Łez, które jeszcze dobitniej dowodzą, że jestem mięczakiem, który wcale z niczym się nie uporał.

I chociaż chciałbym, żeby się już zamknął...

żeby zostawił mnie w spokoju... to on

kontynuuje:

— Nie musisz mi niczego mówić. Nie musisz wyznaczać sobie tej wymaginowanej granicy, która każe ci się bać, że przyznanie się do tego ujęłoby ci męskości, że wszyscy by cię opuścili, a ty stałbyś się znowu tylko kartą przetargową, którą ona w tobie widziała...

Przerywa na chwilę, a ja staram się wykrzesać z siebie całą swoją siłę woli, żeby spróbować spojrzeć mu w oczy. Przez ułamek sekundy udaje mi się to zrobić, lecz natychmiast po tym

czuję obezwładniające pragnienie wyjścia

przez

drzwi

tarasowe,

bo

jednostajne

uderzenia stóp o piasek w rytm ciężkiego

oddechu są dla mnie jak heroina dla

narkomana. Ucieczka. Bieg. Spieprzanie.

Mimo to stoję jak wmurowany, a sekrety i

kłamstwa wirują w powietrzu i zderzają się z

prawdą. Prawdą, którą on zna, ale której ja po

dwudziestu

czterech

latach

absolutnego

milczenia wciąż nie potrafię wykrztusić.

— Dlatego nie mów teraz nic, po prostu

słuchaj. Wiem, że pozwalała *im* robić ci rzeczy podłe, odrażające i budzące moje obrzydzenie.

— Oddech mi się rwie, a mój żołądek napina

się i skręca, gdy słyszę te słowa wypowiedane

na głos. — Rzeczy, których nikt *nigdy* nie powinien znosić... Ale wiesz co, Colton? *To*

wcale nie oznacza, że miałeś w tym swój

udział. Nie oznacza, że na to zasłużyłeś ani że się na to zgadzałeś.

Osuwam się plecami po ścianie, aż w końcu
siadam na podłodze jak pieprzony dzieciak...

bo

jego

słowa,

słowa

mojego

ojca...

sprowadziły mnie z powrotem do tego okresu.

Przeraziły mnie.

Zmieniły mnie.

Namieszały

mi

w

głowie,

przez

co

wspomnienia zaczynają wypływać na wierzch

przez tunele czasoprzestrzenne w moim sercu

i w mojej duszy.

Chcę zostać sam.

Potrzebuję Jacka lub Jima.

Potrzebuję Rylee.

Muszę zapomnieć. Znowu.

— Tato? — pytam drżącym głosem. Głosem
małej pizdy pytającej o pozwolenie i niech
mnie szlag, ale czy teraz właśnie nią nie
jestem? Znowu na pieprzonej podłodze na
granicy rzygania, trzęsąc się jak galareta, z
gonitwą myśli w głowie i skręcającym się
żołądkiem?

Siada na podłodze przede mną, tak jak kiedyś,
gdy byłem dzieckiem. Kładzie dłoń na moim
kolanie, a jego cierpliwość trochę mnie
uspokaja.

— Tak, synu? — mówi tak miękkim i
niepewnym głosem, że wiem, iż boi się, czy nie
przegiął. Czy nie załamał mnie jeszcze
bardziej po tym, jak przez bardzo długi czas
byłem rozbity w trzy dupy i poklejony taśmą
klejącą.

— Chciałbym... chciałbym zostać teraz sam.
Słyszę, jak wciąga powietrze, i czuję jego
zrezygnowaną akceptację i nieskończoną
miłość. Ale chcę, żeby poszedł. Teraz. Zanim
mi to umknie.

— No dobrze — mówi łagodnie. — Ale nie
masz racji. Być może nigdy nie powiedziałeś

mi głośno tych słów, ale zawsze wiedziałem, bo ty mnie kochasz. Poznawałem to po twoich oczach, po uśmiechu, który poszerza się, gdy mnie widzisz, po tym, że bez proszenia dzieliłeś się ze mną swoimi ukochanymi snikersami. — Chichoczę na to wspomnienie.

— I po tym, że pozwalałeś mi trzymać się za rękę i razem z tobą powtarzać mantrę z superbohaterami, gdy leżałeś w łóżku i nie umiałeś zasnąć. Tak więc, Colton, słowa nie... ale każdego dnia przekazywałeś mi to w taki czy inny sposób. — Milknę na chwilę, a jakaś część mnie przyjmuje w końcu to, że on wie.

Przez te wszystkie lata niepotrzebnie się martwiłem, że on nie ma pojęcia, jak się czuję.

On wiedział.

— Wiem, że najbardziej na świecie boisz się mieć dziecko...

Wzbierającą we mnie radość połyka strach. To już naprawdę zbyt wiele. Zbyt wiele i zbyt szybko, skoro przez tyle czasu myślałem, że jestem w stanie to wszystko ukryć.

— Proszę, nie — błagam go, zaciskając mocno powieki.

— No dobrze... usłyszałeś dzisiaj całkiem sporo, ale to był najwyższy czas. Przykro mi, że przypuszczalnie namieszałem ci w głowie jeszcze bardziej, niż byś sobie życzył, ale synu, tylko ty możesz to teraz naprawić. Rozwiąż to teraz, gdy wszystkie karty są na stole. Muszę ci jednak powiedzieć, że nie jesteś twoją matką. DNA nie robi z ciebie potwora... i gdyby się okazało, że będziesz miał dziecko, wiedz, że twoje demony nie zostaną przeniesione na to nowe życie.

Zaciskam pięści i zgrzytam zębami na te ostatnie słowa, które podsycają moją największą obawę.

Wraca

potrzeba

rozwalenia

czegoś.

Uśmierzenia

powracającego bólu za pomocą zemsty. Wiem,

że specjalnie doprowadził mnie do punktu, w

którym muszę coś zrobić. Słyszę jego ciche

westchnienie, chociaż wszystko we mnie

krzyczy.

Wstaje powoli, a ja próbuję się zmusić, żeby

na niego spojrzeć. Chcę mu pokazać, że go

wysłuchałem, ale nie potrafię tego zrobić.

Kładzie mi dłoń na głowie, jakbym znowu był

małym

chłopcem,

i

niepewnym

głosem

szepcze:

— Kocham cię, Colton.

Słowa pulsują mi w głowie, ale nie potrafię ich

przepchnąć przez strach, który zapycha mi

gardło. Przez wspomnienia, w których po tych

słowach

następowała

brutalność

i

niewysłowione cierpienie. I chociaż chciałbym

mu to powiedzieć i czuję taką potrzebę, to nie

potrafię.

Widzisz, doskonały przykład — chciałbym

krzyknąć do niego, żeby się przekonał, jak

bardzo jestem popieprzony. Obnażył przede

mną swoją duszę, a ja nie potrafię dać mu

odpowiedzi, bo *ona* mi ją zabrała. I on myśli, że ja mogę być rodzicem? Przez nią moje

serce jest czarne, a dusza przegnita. Za żadne

skarby nie mogę mieć dziecka, jeśli istnieje

choćby cień ryzyka, że mógłbym mu to

przekazać.

Słyszę zamykane drzwi, ale nie wstaję z

podłogi. Na zewnątrz robi się ciemno. Jack

mnie wzywa, zachęca do zanurzenia się w jego

komfortowych objęciach, bez żadnej szklanki.

Tonę w niepewności, która wciąga mnie w swe

bagno.

Muszę oczyścić głowę.

Muszę pozbierać się do kupy.

Dopiero wtedy mogę zadzwonić do Ry. Boże,

jak ja pragnę do niej zadzwonić. Mój palec unosi się nad ikoną „połączenie”. Unosi się nad nią sporo ponad godzinę.

Połączenie.

Zakończ.

Połączenie.

Zakończ.

Kurwa!

Zaciskam powieki, w głowie mi szumi od wypitego alkoholu. Zaczynam się śmiać ze swojego upadku. Ja i podłoga staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi. Ja pierdolę.

Nietrudno ruszyć w górę, gdy jest się na samym dnie. Czas wejść do pieprzonej windy.

Wiem, że istnieje tylko jeden sposób na oczyszczenie głowy i poskromienie na chwilę moich demonów. Mój jedyny jebany odlot poza

Rylee. I chociaż desperacko jej teraz pragnę,

muszę najpierw zebrać się do kupy. Moja

prawa dłoń drży, gdy naciskam w końcu ikonę

„połączenie”. Jestem przerażony do szpiku

kości, ale już czas.

Oczyścić głowę.

Potem Rylee.

Pierdolone małe krocзки.

— Cześć, dupku. Myślałem, że zapomniałeś
mojego numeru, skoro tak kurewsko długo nie
dzwoniłeś.

Jęczy jak stara baba. Boże, uwielbiam tego
gościa.

— Chcę wrócić na pieprzony tor, Becks.

Jego śmiech natychmiast zamiera i zapada
cisza, która upewnia mnie, że mnie słyszał. Że
słyszał słowa, na które czekał od chwili, gdy
lekarze dali mi swoje błogosławieństwo.

— Co się dzieje, Wood? *Jesteś pewien?*

Czemu dzisiaj wszyscy mnie o wszystko
wypytyją?

— Powiedziałem, że chcę wrócić na pieprzony
tor!

— Dobrze — odpowiada w swój przeciągły
sposób. — Jak twoje samopoczucie?

— Serio? Najpierw próbujesz mnie do tego
skłonić, a potem kwestionujesz to, że chcę to
zrobić? Jesteś moją pieprzoną mamką?

— Cóż — chichocze w odpowiedzi — chociaż
lubię, jak ktoś bawi się moimi sutkami, Wood,
to na samą myśl, że miałbyś to robić ty, dostaję

erekcji wstecznej.

Nie potrafię powstrzymać wybuchu śmiechu.

Pieprzony Beckett. Zawsze potrafi mnie
rozbawić.

— Skończ pieprzyć i powiedz, czy załatwisz mi
powrót na tor, czy nie?

— A czy ty usuniesz ten bełkot z głosu i
odstawisz Jacka? Bo to bez dwóch zdań
wskazuje, że nadal masz najebane w głowie.

Dlatego

ponawiam

pytanie:

jak

twoje

samopoczucie?

— W kompletnej rozsypce! — krzyczę. Próbuję
nie brzmieć jak pijany, ale mi się nie udaje. —

Cholera, Becks! *Właśnie dlatego muszę*

wrócić na tor. Muszę oczyścić głowę, żeby móc to wszystko rozwiązać.

W słuchawce zapada cisza. Przygryzam język,

bo wiem, że jak przegnę, to Becks się

rozłączy.

— Tor nie poukłada nic w twojej zjebanej

głowie, ale myślę, że pewna laseczka z długimi

lokami mogłaby to dla ciebie zrobić.

— Odpuść sobie, Becks — cedzę słowa, bo nie

jestem

w

nastroju

na

kolejną

sesję

psychoterapeutyczną.

— Nie w kwestii twojego życia, pojebańcu.

Dziecko,

nie

dziecko,

ale

naprawdę

zamierzasz pozwolić odejść najlepszej osobie,

jaka kiedykolwiek poznałeś?

No to zaczynamy sesję numer dwa.

— Pieprzę cię.

— Nie, dziękuję. Nie jesteś w moim typie.

Jego protekcyjny ton niemiłosiernie mnie

irytuje.

— Nie mieszaj się, kurwa, do tego!

— O! Czyli jednak pozwolisz jej odejść? Co to

ma być, melodramatyczna piosenka czy co? W

każdym razie skoro ją sobie odpuszczasz, to

może ja w takim razie dam jej szansę.

Skurwiel. Czy naprawdę tak łatwo dzisiaj wyprowadzić mnie z równowagi?

— Jeśli jesteś bystry, lepiej się zamknij. Wiem,

że mnie prowokujesz... żeby do niej

zadzwoił.

— Łał! On naprawdę słucha. Ja pieprzę,

sensacyjna nowina!

Jestem ugotowany.

— Przestań pierdolić, rób to, co do ciebie

należy, i załatw mi powrót na tor, Beckett.

— Bądź na torze jutro o dziesiątej rano.

— Co?

— Najwyższy czas. Miałem już zrobioną

rezerwację w zeszłym tygodniu i czekałem, aż

pozbiasz dupę.

— Ehm. — Zabił mi ćwieka.

— I tak nie przyjdiesz — śmieje się.

— Pieprzę cię.

— Chciałbyś.

Rozdział 22.

Robię wydech i poruszam ramionami, ciesząc

się z palącego uczucia, gdy rozciągam

rozgrzane i kompletnie wyczerpane mięśnie.

Naprawdę potrzebowałam tego biegu —
ucieczki tylnym wyjściem, a potem przez
bramę sąsiadów z domu znajdującego się za
naszym, żeby zgubić uporczywy medialny
ogon.

Rozglądam się w trakcie rozciągania i coś po
drugiej
stronie
ulicy
przykuwa
moje

spojrzenie. Moją czujność od razu wzbudza
ciemnoniebieski sedan, o który opiera się
facet. Jego twarz jest zasłonięta aparatem z
teleobiektywem. Jest w nim coś znajomego,
ale nie umiem tego dokładnie uchwycić...

Wiem natomiast, że moje sekretne przejście
zostało odkryte.

Ta myśl wzbudza moją irytację i chociaż
jeszcze nigdy nie wdawałam się w bójki z
prasą, moje stopy zaczynają automatycznie
kroczyć w jego stronę. W głowie układam
sobie słowne manto, jakie zamierzam mu

spuścić. Obserwuję, jak podchodzę, migawka
klika z zawrotną prędkością, a aparat wciąż
przesłania jego twarz. Jakies piętnaście
metrów od niego otwieram usta, żeby zacząć
na niego krzyczeć, ale zaczyna dzwonić
telefon, który trzymam w dłoni.

Nawet po tylu dniach ciszy wciąż przyspiesza
mi puls na myśl o tym, że to być może Colton,
choć nawet nie patrząc na wyświetlacz
wiem, że to nie on. Jestem jednak trochę
zaskoczona, gdy widzę nazwisko Becketta.

Zatrzymuję się natychmiast i odbieram, bo
martwię się, że Coltonowi mogło się coś stać.

— Becks?

— Cześć, Ry — mówi, po czym zapada cisza. *O*

Boże. Przerazenie opada na mnie swą czarną kurtyną.

— Beckett, co się stało Coltonowi? — pytam

pełna obaw. Cisza się wydłuża, prowokując

lawinę

myśli.

Zerkam

na

fotografa

i

pośpiesznie ruszam z powrotem do domu.

— Chciałem, żebyś wiedziała, że Colton
właśnie jedzie na tor.

Jestem na otwartym powietrzu, ale nagle
brakuje mi tlenu.

— Co? — pytam tak cicho, że nie wiem, jakim
cudem to usłyszał. Przez głowę przelatuje mi
kaskada obrazów: wypadek, zmiążdżone auto,
Colton bez czucia na szpitalnym łóżku.

— Znam was... ta cała sprawa z dzieckiem, no
i wiem, że nie dzwonił do ciebie. — Wzdycha.

— Musiałem do ciebie zadzwonić i dać ci
znać... Pomyślałem, że chciałabyś o tym
wiedzieć. — Czuję, że jest rozdarty między
lojalnością wobec najlepszego przyjaciela i
zrobieniem tego, czego jego zdaniem ów
przyjaciel najbardziej potrzebuje.

— Dzięki — nie potrafię nic więcej wykrztusić
z powodu szalejącej burzy emocji.

— Nie jestem pewien, czy naprawdę jesteś mi
wdzięczna, Ry, ale uznałem, że powinienem
zadzwonić.

Znowu zapada cisza i wiem, że on jest tak
samo przerażony jak ja.

— Czy on jest gotowy, Becks? Nakłaniałeś go?

— Nie potrafię ukryć irytacji w głosie.

Wzdycha i z jakiegoś powodu chichocze.

— Ry, nikt nie jest w stanie do niczego nakłonić

Coltona. Wiesz o tym.

— Wiem, ale czemu teraz? Dlaczego tak

nagle?

— Bo tego właśnie teraz potrzebuje... —

Beckett milknie, szukając właściwych słów.

Otwieram bramę i przechodzę przez niskie
ogrodzenie dzielące mój ogródek od ogródka
sąsiadów.

—

Po

pierwsze,

musi

sobie

udowodnić, że nadal jest tak dobry, jak

wcześniej. Po drugie, tak sobie radzi, gdy ma

za duży chaos w głowie, a po trzecie...

Nie słyszę, co Beckett mówi dalej, bo skupiam

się na przypomnieniu sobie nocy przed

wyścigiem i naszej rozmowy. W końcu wpadam

na to słowo:

— Rozmycie.

— *Co?*

Pytanie Becketta wytrąca mnie z zamyślenia i uświadamia mi, że powiedziałam to na głos.

— Nic — odpowiadam. — Jaki był trzeci powód?

— Nieważne.

— I tak już powiedziałeś więcej, niż powinienesz, więc dlaczego miałbyś nagle przerywać?

Zapada niekomfortowa cisza. Beckett zaczyna mówić, lecz przerywa na chwilę.

— To nic takiego. Chciałem powiedzieć, że gdy w przeszłości był w takim stanie, miał na to trzy lekarstwa.

Przepraszam,
nie
powinienem...

— Nic nie szkodzi. Rozumiem to i rozumiem jego. W przeszłości, gdy życie stawało się nie do zniesienia, lekarstwem były kobiety, alkohol lub tor wyścigowy, prawda? — Becks milczy, co oznacza, że mam rację. — Cóż, w takim razie powinnam się cieszyć, że tor akurat był

wolny, co nie?

Beckett wybuchła śmiechem i czuję, że mu ulżyło.

— Boże, on na ciebie nie zasługuje, Rylee. —

Uśmiecham się na te słowa, chociaż wciąż zżerają mnie obawy. — Mam nadzieję, że oboje wiecie, jak bardzo cię potrzebuje.

Łzy napływają mi do oczu.

— Dzięki, że zadzwoniłeś, Becks. Jadę do was.

Na szczęście po drodze na tor Fontana nie było korków, a ochrona na parkingu nie pozwoliła reporterom wejść za mną na teren obiektu. Parkuję w środku i zamieram, gdy słyszę odpalenie samochodu. Silnik budzi się z rykiem do życia, a jego hałas niesie się echem po trybunach i wibruje w mojej klatce piersiowej.

Nie wiem, jak tego dokonam. Jak mam patrzeć na zapiętego pasami i mknącego dookoła toru Coltona, skoro tak się boję, a w myślach widzę tylko dym? Ale obiecałam mu, że będę na torze, gdy po raz pierwszy po przerwie wsiądzie za kierownicę. Nie wiedziałam, że

dostanę telefon wzywający do spełnienia

obietnicy, skoro wszystko między nami jest w
rozsypaniu.

W każdym razie muszę tu być. Bo dotrzymuję
słowa. I nie zniosłabym myśli, że jest tutaj, a ja
nie wiem, czy wszystko z nim w porządku.

Owszem, jeszcze nie rozmawialiśmy i nadal
czujemy ból i zagubienie, ale to nie oznacza,
że mogę wyłączyć swoje uczucia.

Znowu słyszę wycie silnika, które wytrąca
mnie z zamyślenia. Przerazenie i potrzeba
bycia tu dla niego, dla siebie i dla własnego zdrowia
psychicznego

zmusza

mnie

do

poruszania

nogami.

Przed

punktem

serwisowym spotykam Davisa, który podaje mi

rękę i prowadzi mnie do miejsca, w którym

pracuje ekipa Coltona.

Zatrzymuję się, gdy dostrzegam samochód z

wystającym hełmem Coltona w kapsule
kierowcy. Beckett pochyla się nad nim i
dociąga pasy w sposób, na jaki tylko Colton
mógł mu pozwolić. Próbuję przełknąć ślinę, ale
orientuję się, że nie mam nic do przełknięcia, bo w ustach zupełnie mi zaschło. Nawykowo
sięgam dłonią do pierścionka, żeby nim
pokręcić, ale go nie mam, więc muszę się
zadowolić zaciskaniem dłoni.

Davis prowadzi mnie po schodach na wieżę
obserwacyjną, podobną do tej, na której
siedziałam i patrzyłam, jak Colton wiruje w
powietrzu. Każdy krok w górę przypomina mi
coś z *tamtego* dnia. Odgłosy, zapachy,
skręcanie żołądka, absolutne przerażenie.

Każdy stopień wzbudza kolejne wspomnienia
tego, co nastąpiło po uderzeniu auta w
ogrodzenie. Moje ciało pragnie stąd uciec, ale
serce mówi mi, że muszę tu być. Nie mogę go
opuścić w sytuacji, w której najbardziej mnie
potrzebuje.

Łoskot silnika się zmienia i nie muszę się
odwracać, żeby wiedzieć, że Colton powoli
ruszył aleją serwisową w stronę pustego toru.
Stoję w wieży, a kilku członków ekipy

obserwuje odczyty układów elektronicznych w samochodzie. Od razu wyczuwam nerwową atmosferę. Nie tylko ja jestem przejęta pierwszą przejażdżką Coltona.

Słyszę kroki na schodach za sobą i wiem, że to musi być Becks. Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, ryk silnika słabnie i oboje odwracamy się w stronę końca pustej alei serwisowej. Po chwili silnik znowu odzywa się głośniejsze i samochód powoli wjeżdża na tor.

Beckett rzuca mi szybkie spojrzenie i wręcza słuchawki. Wyczytuję z jego wzroku, że jest równie zdenerwowany i niespokojny jak ja, co przynosi mi pewną ulgę. Nachyla się do mnie, gdy zakładam słuchawki, i mówi:

— Nie wie, że tu jesteś.

Potakuję tylko i dziękuję mu wzrokiem.

— Myślę, że tak będzie najlepiej.

Wskazuje siedzenie z przodu wieży, ale zdecydowanie potrząsam głową. Nie ma szans, żebym usiadła na miejscu. Niepokój drażni wszystkie moje zakończenia nerwowe i kołyszę się na stopach do przodu i do tyłu ze strachem, który zakotwiczył się w mojej duszy.

Silnik

pyrka

łagodnie

przy

wyjściu

z

pierwszego zakrętu. Odwracam się tak, żeby
śledzić Coltona wzrokiem, chociaż z całych sił

pragnę krzyknąć, żeby się zatrzymał, wysiadł i

wrócił

do

mnie.

Samochód

zaczyna

przyspieszać przed drugim zakrętem.

— Tak trzymaj, Wood. Płynnie i spokojnie —

Becks mówi do niego łagodnym głosem. Colton

nie

odpowiada.

Jedyne,

co

słysząc

w

słuchawkach, to jego ciężki oddech i odgłos

silnika. Przygryzam wargę i zerkam na

Becketta, bo nie podoba mi się, że Colton się nie odzywa. Mogę sobie tylko wyobrazić, co dzieje się w jego głowie.

— Cholera, Becks! — po raz pierwszy od tygodnia słyszę jego głos, a emanująca z niego mieszanina gniewu i strachu sprawia, że przyciskam słuchawki do uszu. — Ten samochód to szajs! Myślałem, że wszystko sprawdziłeś. To jest...

— Auto jest w porządku, Colton — słyszę wyraźnie równy głos Becketta, który zerka w stronę jednego z członków zespołu i potrząsa przecząco głową.

— *Gówno prawda!* Trzęsie się jak stara dupa i rozpadnie się, jak tylko przygazuję. — Nie słychać normalnej w takich warunkach wibracji w głosie, co oznacza, że Colton wjeżdża w zakręt tak powoli, że nie powinien czuć żadnych przeciążeń.

— To nowy samochód. Sprawdziłem go z każdej możliwej strony.

— Nie wiesz, o czym mówisz, Beckett!

Cholera! — wrzeszczy i zatrzymuje się na
przeciwległej prostej między drugim i trzecim
zakrętem, a jego frustracja rezonuje przez
radio.

— To inny samochód. Na torze nie ma nikogo,
kto mógłby cię stuknąć. Po prostu jedź, powoli
i spokojnie.

Cisza. Nic poza odległym odgłosem jałowej
pracy silnika, który z pewnością wkrótce
zgaśnie i ekipa będzie musiała go na nowo
zapalać. A Colton będzie miał mnóstwo czasu,
żeby
siedzieć,
wspominać
i
przeżywać
wypadek, który go paraliżuje.

Im dłużej to trwa, tym bardziej martwię się o mojego ukochanego mężczyznę. Wiem, że
mimo naszego wsparcia jest tam odizolowany
w metalowej puszce na kołach i czuje się
samotny. Serce więźnie mi w gardle, a panika i
poczucie bezradności zaczynają mnie dusić.
Beckett chodzi tam i z powrotem, raz po raz
przeczesuje dłonią włosy i zastanawia się, jak

zmotywować swojego najlepszego przyjaciela,
skoro
on
praktycznie
go
nie
słucha.

Przestępuję z nogi na nogę, w słuchawkach
słyszę tylko ciężki oddech Coltona i w końcu
nie wytrzymuję.

Podchodzę do Becketta.

— Wyłącz wszystkich w radiu. — Patrzy na
mnie, próbując rozgryźć, o co mi chodzi. —

Wyłącz ich — mówię, a mój niecierpliwy głos
jest zabarwiony desperacją.

— Wszyscy wyłączają radio — nakazuje
natychmiast Beckett, a ja podchodzę do
mikrofonu przed konsolą. Siadam i czekam na
sygnał od Becketta, że rozumie, co chcę
zrobić.

Rozglądam się po przyciskach, lecz Davis
nachyla się i przyciska za mnie ten, którego
szukam.

— Colton? — mówię drżącym głosem, ale

wiem, że mnie słyszy, bo wstrzymuje na chwilę oddech.

— Rylee? — to tylko moje imię, jedno słowo, ale Colton wypowiada je tak złamanym i

zranionym głosem, że do oczu napływają mi

łzy. Brzmi jak moi chłopcy, gdy obudzą się po koszmarzym śnie, i żałuję, że nie mogę

podbiec do niego po torze, żeby go przytulić i

wesprzeć. Ale skoro tego nie mogę, robię coś

innego w zamian.

— Mów do mnie. Powiedz mi, co się dzieje w

twojej głowie. Wszyscy się wyłączyli, jesteśmy

tylko ty i ja. — Zapada cisza, w trakcie której

pocą mi się dłonie z nerwów, bo martwię się,

że wcale mu w ten sposób nie pomagam.

— Ry — wzdycha z rezygnacją. Chcę odejść od

mikrofonu, ale on kontynuuje. — Nie mogę...

Chyba nie dam rady... — jego głos zamiera i

jestem pewna, że tak jak mnie zalewają go

teraz wspomnienia wypadku.

— Potrafisz to zrobić — mówię z większym

przekonaniem, niż czuję. — To jest Kalifornia,

Colton, a nie Floryda. Żadnych innych aut.

Żadnych

żółtodziobów,

którzy
mogliby
popęłnić jakiś głupi błąd. Żadnego dymu, przez
który nic nie widać. Żadnego wraku, na który
mógłbyś się nadziać. Tylko ty i ja, Colton. Ty i
ja. — Przerywam na chwilę, a gdy nie
odpowiada, dodaję jeszcze coś, co cały czas
chodzi mi po głowie. — Tylko my i
prześcieradła.

Słyszę krótkie parsknięcie i czuję ulgę, bo
wiem, że do niego dotarłam. Wykorzystałam
przyjemne wspomnienie, żeby przebić się
przez obezwładniający strach. Ale gdy się
odzywa, wciąż słyszę przerażenie w jego
głosie.

— Ja po prostu... — przerywa i wzdycha.
Mężczyźnie ciężko się przyznać do słabości,
szczególnie
przed
zespołem,
który
go
szanował i uważał za idola.
— Dasz radę to zrobić, Colton. Zrobimy to

razem, dobrze? Jestem tuż obok. Nigdzie nie odchodzi. — Daję mu kilka sekund, żeby przyswoił moje słowa. — Trzymasz dłonie na kierownicy?

— Uhm... ale prawa dłoń...

— Jest zupełnie w porządku. Widziałam, jak jej używałeś — stwierdzam, licząc na to, że to go trochę rozluźni. — Masz stopę na pedale?

— Ry? — jego głos znowu drży.

— Pedał. Tak czy nie? — Wiem, że potrzebuje, żebym przejęła kontrolę i była tym partnerem, który jest silny, a dla niego jestem w stanie zrobić wszystko.

— Tak...

— Dobrze, więc oczyść umysł. Jesteś tylko ty i tor, As. Potrafisz to zrobić. Potrzebujesz tego.

To twoja wolność, pamiętasz? — Słyszę ryk silnika, potem drugi, a na twarzy Becketta pojawia się ulga pomieszana z dumą. Skupiam się z powrotem na Coltonie. — Masz to

wszystko w małym paluszku... Przyciśnij gaz. Włącz biegi i przyciśnij gaz. — Silnik wyje trochę mocniej, a ja dodaję: — Super...

Widzisz? Udało się. Nie musisz jechać szybko. To nowy samochód, musisz się do niego

przyzwyczajaić. W każdym razie Becks byłby
wkurzony, gdybyś spalił silnik, więc jedź
powoli.

Odwracam się i obserwuję z zapartym tchem,
jak Colton powoli rusza w trzeci zakręt.

Nawet
nie
zbliżył
się
do
prędkości

treningowych, ale jedzie, i tylko to się teraz liczy. Razem walczymy ze strachem przed jego
powrotem na tor. Nie sądziłam tylko, że
zachęcanie go do jazdy zmniejszy mój własny
lęk.

Czuję wibracje w piersi, bo przed czwartym
zakrętem silnik znowu wyje. Colton przeklina.

— Wszystko w porządku? — Odpowiada mi
cisza i narastający ryk zbliżającego się
samochodu. — Mów do mnie, Colton. Jestem
tu.

— Nie umiem powstrzymać drżenia dłoni. —
Nie odpowiadam, bo wstrzymuję oddech, gdy
przyspiesza i wchodzi w pierwszy zakręt. —

Becks będzie wkurzony, bo mam kompletny chaos w głowie.

Zerkam na Becksa i widzę uśmiech na jego twarzy. Wiem, że słucha, żeby mieć pewność, że jego najlepszemu przyjacielowi nic nie grozi.

— W porządku... Obserwowanie ciebie stąd sprawia, że też mam niezły chaos w głowie...

Ale jesteś gotowy i potrafisz to robić.

— Niezła z nas para, co? — prycha w radio, a ja czuję, jak jego niepokój i strach maleją z każdą kolejną sekundą. Obserwujący nas członkowie zespołu rozluźniają się trochę, gdy widzą szeroki uśmiech na twarzy Becketta.

— No całkiem niezła — śmieję się i oddycham z ulgą. Chciałabym mu powiedzieć, że go kocham, ale się powstrzymuję. Silnik rozkręca się na przeciwległej prostej, a ja nie potrafię powstrzymać uśmiechu

na

ten

odgłos

zwycięstwa. — Hej, As, mogę ci z powrotem włączyć ekipę?

— Taa — mówi, lecz szybko dodaje: — Ry...

ja...

Serce mi puchnie od emocji w jego głosie.

Słyszę, że jest mu przykro, i czuję jego

absolutną szczerłość.

— Wiem, Colton. Ja też.

Walczę ze wzbierającymi łzami szczęścia, a

gdy podnoszę wzrok, widzę łagodny uśmiech

na twarzy Becketta. Potrząsa nieznacznie

głową

i

mówi

bezgłośnie

słowa

koło

ratunkowe.

Rozdział 23.

Samochód skręca do alei i podjeżdża pod

punkt. Beckett natychmiast do niego

podchodzi, a ja wiercę się za ścianą, bo chcę

zobaczyć się z Coltonem twarzą w twarz, żeby

się upewnić, że wszystko w porządku. Colton

ściąga kierownicę i wręcza ją Beckettowi, po

czym odpina kask, następnie ściąga przez

głowę urządzenie HANS, które Becks pomógł

mu odpiąć, a potem zdejmuję kominiarkę i cały zespół zaczyna wiwatować.

Przechodzą mnie dreszcze, gdy to słyszę.

Tymczasem Colton z pomocą Becksa wysiada i staje przed autem — spocony, piękny i seksowny jak diabli. Nie potrafię trzymać się z dala i wychodzę zza ściany razem z resztą zespołu.

Na

jego

widok

czuję

dumę

zabarwioną pożądaniem.

Nie sposób podejść do niego, bo wszyscy mu gratulują i poklepują go po plecach. Beckett patrzy na niego z tym irytująco szerokim uśmiechem na swojej przystojnej twarzy.

— Jestem z ciebie dumny, stary, ale, kurwa, *miałeś beznadziejne czasy okrążeń.*

Colton wybucha śmiechem i obejmuje go ramieniem.

— Zawsze mogę liczyć na to, że skopiesz mnie parę schodów w dół. — Zamierza powiedzieć

coś jeszcze, lecz milknie, gdy trafia wzrokiem

na mnie.

Mam

déjà

vu:

Colton

stoi

pośrodku

chaotycznie biegających członków zespołu i
wpatruje się we mnie z seksownym uśmiechem
na ustach. Czas znowu się zatrzymuje, świat
przestaje istnieć, a my się w siebie
wpatrujemy.

Wiem, że od ostatniego spotkania mamy
bardzo wiele do omówienia, ale jednocześnie
potrzebuję tej więzi z nim. Potrzebuję tej
cielesnej żądz, która błyskawicznie pokonuje
dzielącą nas odległość i mimo tych wszystkich
nierozwiązanych spraw uderza we mnie z siłą
huraganu.

Widzę, że on czuje to samo, bo bez wahania
rusza w moją stronę. Gdy tylko do mnie
podchodzi, wskakuję na niego i oplatom go
nogami w pasie, a on przyciska usta do moich

z gorączkowym pragnieniem. Chwytam go za ramiona, a on jedną rękę kładzie mi na pośladkach, a drugą trzyma za kark, tak kierując moimi ustami, żeby zakosztować wszystkiego, co oferuję.

— Boże, jak ja za tobą tęskniłem — mruczy w moje usta między pocałunkami. Bez żadnych ceregieli zaczynamy się przemieszczać. Niesie mnie na swoich silnych nogach, a jego mocarne ramiona trzymają mnie bezpiecznie, gdy zawłaszcza moje usta z nieokiełznaną zapalczywością.

Wszystkie hałasy zanikają. Pohukiwania i wrzaski członków zespołu niosą się echem po pustym torze, bo Colton wychodzi bez słowa wyjaśnienia.

— Znajdźcie sobie pokój! — ktoś krzyczy, a ja jestem tak obezwładniona i tak bardzo pragnę zaspokoić wszechogarniające pożądanie, że odpowiadam, zanim Colton zdąży to zrobić:

— Po co komu pokój? — pytam i natychmiast przywieram
z
powrotem

do

jego

ust,

zaciskając dłonie w jego włosach i napierając

biodrami na jego erekcję, którą ociera się o

mnie przy każdym kroku.

Słyszę śmiechy, po których następują gwizdy,

ale to tylko tło dla szalejącej w nas nawałnicy

pożądania.

— Szybciej — mówię do Coltona między

desperackimi pocałunkami.

— Ja pieprzę — mruczy, próbując otworzyć

drzwi za moimi plecami bez odrywania ust od

moich.

— O tak, lepiej się na to przygotuj —

odpowiadam i odchylam się, żeby mógł znaleźć

klamkę. Wybuch śmiechem, a ja zjeżdżam

językiem na jego szyję. Czuję słony smak potu

i wibrację jego śmiechu na ustach.

Ruszamy dalej, po schodach do ciemnego

korytarza. Nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

Trzymam się mocno, w gardle wzbiera mi

śmiech i czuję rozplywającą się po ciele ulgę

pomieszaną z pełnym napięciem oczekiwaniem

na to, co się wydarzy.

Nagle

wpadamy

do

pomieszczenia

z

przytłumionym światłem. Odwracam głowę i

mrugam oczami, rozglądając się dookoła.

Jesteśmy

w

jednym

z

luksusowych

pomieszczeń nad punktami serwisowymi:

drogie kanapy, barek, stolik wzdłuż ściany z

przyciemnianych okien wychodzących na tor,

gdzie zespół Coltona majstruje przy jego

samochodzie.

To wszystko, co rejestruję, bo Colton znowu

wpija się w moje usta, emanując toksyczną

mieszaliną pragnienia i żądz. Zsuwam się z

jego bioder i staję na podłodze, po czym

zaczynamy chaotyczny pochód w stronę

kontuaru. Opieram się o niego pośladkami, a

Colton zsuwa dłonie po moim tułowi i po
chwili czuję je pod bluzką, na nagiej skórze.
Nie wiem, czy podniecenie jest spotęgowane
adrenaliną toru wyścigowego czy naszym
ponownym zejściem, lecz nie mogę się od
niego oderwać. Jego dotyk, smak, pomruki z
głębi gardła, moje imię na jego ustach —
wszystko tylko dolewa oliwy do ognia mojego
pożądania. Odpinam rzep przy szyi, żeby móc
rozpiąć zamek, ale nawet te drobne gesty
sprawiają mi ból, bo muszę oderwać się od
jego ust. W chwili, gdy zamek jest na dole,
przywieram
z
powrotem
do
jego
ust.
Rozpinamy
ubrania,
wyjmujemy
ręce
z
rękawów, Colton zsuwa moje szorty i majtki,

ubrania łądują bezładnie na podłodze, lecz
nawet na moment nie odrywamy od siebie ust.

— Ry — szepcze między pocałunkami,
trzymając mnie mocno za włosy, a drugą dłonią
sprawdzając moją gotowość na jego natarcie.

Nie mamy czasu na żadną grę wstępną.

Jesteśmy tak wygłodniali i tak desperacko
pragniemy wyprostować błędy naszej ostatniej
rozmowy, że nie wymieniając ani słowa, wiemy,
jak bardzo potrzebujemy tego zespolenia.

Porozmawiać możemy później. Tak samo
przytulać się i głaskać. Teraz pochłania nas
wir pożądania, przytłaczającej namiętności i
miłości. — Kurwa, pragnę cię tu i teraz.

— Weź mnie — dwa proste słowa. Wypadają z
moich ust bez zastanowienia, a sekundę
później Colton odwraca mnie tyłem, kładzie
moje dłonie na blacie i chwyta mnie za biodra.

Czuję

z

tyłu

jego

pulsującego

penisa.

Przykłada główkę między moje fałdki i zaczyna

nim pocierać w górę i w dół. Całe moje ciało napina się w oczekiwaniu, a z moich ust dobywa się cichy jęk.

W tej chwili, tuż przed tym, jak Colton bez wahania mnie weźmie, jest coś takiego, że czuję, iż każda komórka mojego ciała błaga o jego dotyk i o to, żeby mnie posiadał.

— Błagam, teraz — dyszę, moja cipka drży z pożądania, a ciało jest idealnie dostrojone do każdego jego ruchu, na który instynktownie reaguje, otwiera się, zaprasza.

Odwracam się i próbuję sama go wziąć, żeby zademonstrować mu swoją żądzę, która przenika każdy nerw, okrada z wszelkiej racjonalności i wzbudza jeszcze silniejsze pragnienie.

— *Zachowuj się!* — chichocze z czysto samczym uznaniem i chwyta w garść moje włosy, a drugą dłoń kładzie mi na lewym pośladku. Czuję ciarki na karku, ale są niczym wobec nawałnicy doznań, gdy wchodzi we mnie jednym gładkim i wstrząsającym ziemią pchnięciem. Wstrzymuję oddech, po czym wydaję z siebie cichy jęk. Doznania rozlewają

się we mnie falami, a moje ścianki pulsują
konwulsyjnie wokół niego.

Ciągnie mnie za włosy, odchylając moją głowę
do tyłu, i zbliża się ustami do mojego ucha.

— To jest najseksowniejszy dźwięk na świecie

— mruczy. Jego usta lądują na moim barku, a
zarost łaskocze zwykle zapominane strefy

erogenne na plecach. Skubie zębami mój bark,
po czym przyciska do niego usta i wpija się we
mnie, a ja jęczę z czystego zachwytu, bo

jednocześnie

przeciąga

brodą

wzdłuż

kręgosłupa.

Zaczynamy się rytmicznie poruszać i teraz

moja kolej na rozkoszowanie się wydawanymi

przez niego odgłosami. Na moim ciele, mimo

rozlewającego się wszędzie ciepła, pojawia się

gęsia skórka. Colton trzyma mnie jedną dłonią

za biodro, kontrolując każdą iniekcję rozkoszy

powodowaną przez ruchy naszych bioder, a

jego członek pobudza wszelkie możliwe

zakończenia nerwowe. Moje ciało przyspiesza,

porwane jego zwierzęcym chwytem za włosy i samczą dominacją nad moim ciałem.

— O, Boże! — dyszę. Pragnę go, pożądam, chociaż jednocześnie nie wiem, czy będę w stanie wytrzymać jeszcze więcej. Moje dłonie zaczynają się ślizgać na blacie, bo są wilgotne od potu.

— Kurrwaa! — grzmi. Słyszę w jego głosie pragnienie zapanowania nad sobą. A ja albo wyczuwam wyzwanie, albo po prostu w końcu uwalniam swoją wewnętrzną lisicę, którą pomógł mi odnaleźć, lecz pragnę złamać jego samokontrolę. Pragnę go sprowokować, żeby zerznął mnie jeszcze mocniej i szybciej, żeby wziął mnie bez opamiętania, bo... o mój Boże... ten gardłowy pomruk, to uczucie pełności, gdy wchodzi we mnie do końca, te obrotowe ruchy jego bioder przy wbijaniu się we mnie, to wszystko popycha mnie jeszcze dalej i rozpala jeszcze mocniej, poza wszelkie wyobrażenie. Pragnę dać mu chociaż ułamek rozkoszy, jaką zapewnia mi jego ciało. Sięgam ręką między nogi, opieram się pokusie zajęcia się swoją łechtaczką i zamiast tego

zaczynam się bawić jego jądrami. Wbija się we
mnie, a ja pieszczę go palcami, skrobię
paznokciami i chwytam w dłoń. Ciągnie mnie
mocniej za włosy, słyszę odgłosy, jakie wydaje,
i wiem, że zaciska szczękę, balansując na
cienkiej jak brzytwa krawędzi dzielącej
samokontrolę

od

poddania

się

czystej

cielesności

tego

aktu.

Od

samczego

zaspokojenia własnych pragnień. To mnie

jeszcze bardziej nakręca. Pragnę jeszcze

szybciej zepchnąć go z tej krawędzi, bo wiem,

że z pewnością spadnę w tę otchłań razem z

nim.

Zatracam się w tym uczuciu, w odgłosach

uderzających o siebie ciał, w tym, że władczo

trzyma mnie za biodro, i w tym, że raz po raz

nieświadomie

mruczy

moje

imię,

i

błyskawicznie docieram do własnej krawędzi,

po czym spadam w otchłań orgazmu, a moje

ciało

zostaje

owładnięte

huraganem

sprzecznych doznań.

— Colton! — krzyczę raz za razem, a on

zwalnia tempo i przeciąga językiem po moich

plecach, żeby pomóc mi przedłużyć orgazm.

Czuję, jak moje mięśnie pulsują wokół jego

powoli poruszającego się członka. Nagle moje

uszy wypełnia dziki okrzyk, bo on także nie

mógł się już dłużej utrzymać na krawędzi.

Wbija się we mnie jeszcze kilka razy, po czym

niespodziewanie obejmuje mnie mocno i

podnosi do pozycji stojącej.

Ten nieoczekiwany akt czułości jest pełnym

przeciwieństwem

wcześniejszej

absolutnej

dominacji nad moim ciałem. Colton przyciska

mnie do siebie i chowa głowę w zagłębieniu

mojej szyi. Stoimy tak przez jakiś czas,

chłonąc się nawzajem i przyjmując wzajemne

milczące przeprosiny.

Rozdział 24.

Ubieramy się w milczeniu. Zaspokoiliśmy

pożądanie i teraz, gdy nasze ciała nie są już

połączone fizycznie, zaczynam się

zastanawiać, czy uda nam się połączyć za

pomocą słów.

Bo nie możemy tego tak zostawić. I nie

możemy tego zignorować. Miejmy nadzieję, że

czas przecierpiany w samotności na coś się

przyda i w końcu ruszymy dalej.

Ale nawet jeśli tak się stanie, czym właściwie miałyby być to „dalej”?

Patrzę ukradkiem, jak zapina kombinezon i

spogląda przez przyciemnione szyby na swój

zespół na dole, i nie potrafię go odczytać.

Zakładam

bluzkę

i

zwilżam

usta,

zastanawiając się, co powiedzieć.

— Musimy porozmawiać — mówię łagodnie,

jakbym bała się zmarszczyć spowijający nas

całun ciszy.

— Wystawiłem dom w Palisades na sprzedaż

— odpowiada cicho, nie oglądając się na mnie,

a ja jestem tak skupiona na nim i na jego

emocjach, że nie dociera do mnie ukryte

znaczenie jego słów.

Halo! Co? Więc tak zamierza to rozegrać?

Klasyczny unik?

Chociaż na mnie nie patrzy, wiem, że zwraca

na mnie uwagę, więc próbuję ukryć szok

spowodowany zarówno słowami, które właśnie

powiedział, jak i tymi, których nie powiedział.

— Colton? — wypowiadam jego imię jak

pytanie o bardzo wiele różnych kwestii.

Rozwiążemy to jakoś? Czy zignorujemy?

Dlaczego sprzedajesz ten dom?

— Nie korzystam z niego... — odpowiada na

moje milczące pytanie i zerka na mnie, lecz

szybko wraca wzrokiem do ludzi na dole.

Mówi to niemal tak, jakby prosił o wybaczenie,
i mam wrażenie, że chce mi przekazać, iż
przeprasza mnie za to wszystko, co się stało:
za Tawny, za potencjalne ojcostwo, za to, że
potrzebuje przestrzeni.

Gdy nie odpowiadam, tylko cierpliwie go
obserwuję, odwraca się do mnie. Spoglądamy
sobie w oczy i patrzymy się na siebie przez
chwilę, przekazując sobie bez słów swoje
wątpliwości.

— Nie potrzebuję go już — wyjaśnia i czeka na
moją reakcję.

I chociaż jest między nami nierozwiązany
dramat, to jego słowa świadczą o tym, że
naprawdę chce się zaangażować na dłuższą
metę.

Po
tych
wszystkich
katastrofach
ostatniego tygodnia, które wywróciły jego
świat do góry nogami, chce sprzedać miejsce,
do którego nie wróciłabym za żadne skarby
świata. Najwyraźniej znaczą dla niego na tyle

dużo, że jest skłonny pozbyć się symbolu
swojego
dawnego
stylu
życia,
pełnego
warunków i usprawiedliwień.

— O... — tylko tyle jestem w stanie
wykrztusić. Kompletnie brakuje mi słów, więc
nadal patrzymy się na siebie w tym
pomieszczeniu, które pachnie seksem. Widzę,
że myśli, i nie wie, co powiedzieć i co
powinniśmy teraz zrobić, więc postanawiam
zacząć. — Co ci chodzi po głowie, Colton?

— Tak sobie myślę — odpowiada, ściągając
usta i przeczesując dłonią włosy — że nie
miałem pojęcia, jak bardzo pragnę usłyszeć
twój
głos,
dopóki
nie
pojawił
się
w

słuchawkach.

Każda część mojego ciała wydaje z siebie

ciche

usatysfakcjonowane

westchnienie,

rozgrzewając mnie w środku i sprawiając, że

jeszcze bardziej oddaję mu swoje serce.

Dawna

ja

przewróciłaby

oczami

i

stwierdziłaby, że próbuje mi się przypodobać,

ale dawna ja nie potrzebowała Coltona tak

bardzo jak dzisiejsza ja i nie wiedziała, jak

wiele Colton ma do zaoferowania.

— Wystarczyło do mnie zadzwonić — mówię

cicho i kładę rękę na jego dłoni. — Obiecałam,

że będę tu na twoim pierwszym treningu po

powrocie.

Śmieje się z samego siebie i potrząsa głową.

— I co miałem powiedzieć? Że nie odzywałem

się, bo jestem dupkiem, ale potrzebuję cię

dzisiaj na torze? — mówi z wyraźnym

sarkazmem.

— To przecież twój powrót — mówię coraz

cichszym głosem, ściskając jego dłoń. —

Ustaliliśmy, że musimy pozbierać się do kupy i

wyprostować chaos w naszych głowach, ale

gdybyś

zadzwoił,

przyjechałabym

bez

wahania.

Wzdycha i odwraca głowę w stronę toru pod

nami.

— Przepraszam za to, co ci powiedziałem... Za

to, o co cię oskarżałem... Zachowałem się jak

palant. — Jego głos drży z emocji, przez co te

słowa są jeszcze bardziej ujmujące.

Nie chcę zepsuć chwili, ale muszę mu coś

powiedzieć.

— Skrzywdziłeś mnie. Wiem, że byłeś

wkurzony i wyładowałeś się na osobie, która

była najbliżej... Ale *skrzywdziłeś mnie*, gdy byłam w rozsypce. I ty, i ja codziennie

zmagamy się ze swoją przeszłością, a potem

zdarza się coś takiego i... ja... — Nie potrafię

znaleźć właściwych słów, żeby wyrazić to, co

chcę przekazać, więc po prostu urywam myśl.

Colton zbliża się do mnie i bierze mnie za

rękę. Przyciąga mnie do siebie tak, że

rozdzielają nas jedynie ubrania.

— Wiem. — Bierze drżący wdech i kontynuuje.

— Nigdy tego nie robiłem, Ry. Próbuję

wszystko rozgryzać na bieżąco i, kurde, wiem,

że moje wyjaśnienia robią się nudne i wkrótce

przestaną być wybaczone, ale... no ja pieprzę,

staram się.

Wzrusza ramionami. Potakuję, lecz odejmuje

mi mowę, bo on robi coś, w czym nigdy nie był

dobry: mówi o sobie. Nawet jeśli uważa to za

małe kroki, to nasz związek właśnie zyskał

potężne fundamenty.

Nachyla się i nieoczekiwanie muska moje usta.

— Chodź tu — mruczy i opiera się pośladkami

o parapet, przyciągając mnie tyłem do siebie.

Staję między jego nogami i opieram głowę na

jego piersi. Czuję niedorzeczne zadowolenie,

gdy obejmuje mnie ramionami i mocno

przytula, opierając podbródek na moim

ramieniu. — Dzięki ci za dzisiaj. Nigdy

wcześniej nikt nie zrobił dla mnie czegoś

takiego.

Jego słowa trochę mnie zaskakują, ale po jakiejś minucie dociera do mnie, o co mu chodziło, i muszę go skorygować.

— Becks, twoja rodzina, oni cały czas coś takiego robią. Ty po prostu nie pozwalasz sobie tego zobaczyć i przyjąć.

— Tak, ale oni są rodziną i nie mają innego wyjścia — przerywa i chociaż nie widzę jego wzroku, czuję, że się zastanawia, kim właściwie dla niego jestem. — A ty? Ty jesteś moją pierdoloną flagą w szachownicy — stwierdza. Przechyliłam nieznacznie głowę i widzę drobny uśmiezek na jego ustach, który pojawia się po tym, jak moje usta unoszą się w szerokim uśmiechu.

—
Trochę

trudno

przywyknąć do całej tej koncepcji, bo nigdy wcześniej tego nie doświadczałem. Muszę się przyzwyczaić do tego, że jesteś przy mnie,

żeby mi pomagać, i że cię potrzebuję. I niech mnie szlag, jeśli to nie sprawia, że cofam się o

kilka kroków, bo jestem cholernie tym

przerażony.

Jasny gwint! Znowu odbiera mi mowę, gdy
słyszę jego próbę wyjaśnienia strachu, który z
pewnością czai się na obrzeżach jego psychiki.

Kładę dłonie na obejmujących mnie ramionach
i ściskam je w wyrazie uznania dla jego
dojrzałości, którą chce mi pokazać.

— Nie zamierzam uciec, Colton — mówię

zdecydowanie. — I nie uciekłam, ale ty
naprawdę mnie skrzywdziłeś. Wiem, że

przechodzisz teraz ciężkie chwile, ale mnie

też nie jest łatwo to wszystko przyswoić. I

czasem też będę potrzebowała pit stopu.

Wiesz, ty, media, kobiety, które wciąż cię

pragną i mnie nienawidzą, to, że być może

będziesz miał... — nie potrafię dokończyć

zdania. Nie mogę wypowiedzieć słowa *dziecko*

i nie potrafię pozbyć się nagłego gryzącego

smaku w ustach.

— *No wiem, do czego zmierzasz.* — Wzdycha

głośno i czuję, że zaciska szczękę.

Nie chcę zepsuć chwili, bo brakuje nam takich

szczerých rozmów, ale skoro niezaplanowanie

podniosłam tę kwestię, to wolę ją rozwiązać,
żeby mieć to za sobą.

— I co zamierzasz z tym zrobić? — Zamykam
oczy i zgrzytam zębami w oczekiwaniu na
odpowiedź.

— Nie obchodzi mnie, co ona mówi o moich
domniemanych
czynach,
których
nie

pamiętam. Wiem, że to nie moje, Rylee.

Prostota jego wyjaśnienia i pewność, z jaką go
udzielił, wskrzesza we mnie iskrę nadziei,
która jednak szybko zaczyna gasnąć. Jeśli
wyniki już przyszły, to czemu nie zadzwonił?

— To dostałeś już wyniki? — pytam ostrożnie,
próbując ukryć niepewność.

— Nie — potrząsa głową, a iskierka nadziei
gaśnie zupełnie. — Zrobiłem testy dwa dni
temu. Wyniki powinny przyjść lada dzień. Ale
ja wiem... wiem, że to nie moje — stwierdza, a
ja nie potrafię wywnioskować z brzmienia jego
głosu, kogo próbuję bardziej przekonać: siebie
czy mnie.

— Skąd wiesz, Colton, skoro nie pamiętasz? —

pytam głośno, bo jestem sfrustrowana. Chcę to zamknąć i chcę, żeby okazał więcej emocji, niż okazuje. Biorę głęboki wdech i próbuję się uspokoić. — Chodzi mi o to, że jeśli ty i Tawny faktycznie... — przerywam, bo nie potrafię dokończyć. — Ona powiedziała, że nie

użyliście

kondomu

—

dodaję

niemal

bezgłośnie. Nienawidzę tego, że po raz

kolejny

nasza

cudowna

chwila

zostaje

zrujnowana

przez

świat

zewnątrzny

i

doganiającą nas przeszłość.

— Jesteś jedyną kobietą, Ry... jedyną, z którą uprawiałem seks bez kondomu. Nie wypieram się, że z nią spałem, ale po prostu wiem,

Rylee... wiem, że użyłbym kondomu. — Słyszę w jego głosie błaganie, żebym mu uwierzyła.

Żebym chociaż częściowo zrozumiała strach, jaki budzi w nim perspektywa posiadania dziecka. Gdy nie odpowiadam, odsuwa się ode mnie i zaczyna przemierzać pokój tam i z powrotem. Sielanka sprzed pięciu minut

zniknęła, a w jej miejsce pojawił się niepokój, jak u zwierzęcia zamkniętego w klatce, które pragnie uciec.

— To nie moje! — mówi podniesionym głosem.

— To niemożliwe, żeby to było moje!

— A co, jeśli jest twoje? — powtarzam z pełną świadomością tego, że dolewam oliwy do ognia.

— Nie jest — krzyczy. — Kurwa! Wiem tylko tyle, że już nic, do cholery, nie wiem!

Nienawidzę tego, że pieprzone media łążą za tobą i cię prześladowają. Nienawidzę tego twojego wyrazu twarzy, który sugeruje, że poczujesz się przegrana, jeśli okaże się, że to moje dziecko, nawet jeśli mówisz mi coś

innego. Nienawidzę pieprzonej Tawny i
wszystkiego, co sobą reprezentuje. I tych
rozpowszechnianych przez nią kłamstw na
twój temat, na które według Chase nie mogę
odpowiedzieć, bo media zaczną cię jeszcze
bardziej nękać. Nienawidzę tego, że po raz
kolejny cię skrzywdziłem... i że spieprzę to
wszystko, bo moja przeszłość jest taka, jaka
jest... — Zamyka oczy i porusza ramionami,
próbując okiełznać swój gniew.

To jest walka, z którą jestem w stanie sobie
poradzić. On się piekli, ja go wysłuchuję, przez
co być może zmniejszy się cierpienie w jego
oczach i napięcie w ramionach, nawet jeśli
tylko odrobinę.

— Masz dość własnych zmartwień. Nie
powinieneś martwić się teraz o mnie — mówię,
choć strasznie mnie cieszy, że przejmował
się wpływem tej katastrofy na moje życie.

—

Nie
powiniennem?

—

pyta

Z

niedowierzaniem.

—

Do

mnie

należy

opiekowanie się tobą, a ja nie potrafię ci tego

zapewnić, bo wszystko jest takie pogmatwane!

— Colton...

— Niech mnie szlag, całkowicie przewróciłem

ci cały twój świat, a ty bardziej martwisz się o

mnie i o chłopców niż o siebie. — Podchodzi do

mnie potrząsając głową. Patrzę na niego

zmieszana, gdy wskazuje mnie palcem. —

Jesteś pieprzoną świętą, na którą absolutnie

nie zasługuję.

— Każdy grzesznik musi mieć świętego dla

równowagi — stwierdzam z uśmiechem.

Śmieje się cicho i ujmuje moją twarz w dłoń.

I chociaż niedawno się zaspokoiliśmy, moje

ciało natychmiast zaczyna wibrować pod

wpływem jego bliskości, oznajmiając swoje

pragnienie i pożądanie. Colton wbija wzrok w

moje oczy, a przez zasłonę rzęs przebijają się

sugestie tego, co chciałby ze mną zrobić.

— Boże, jak ja cię wyściguję — mówi z emfazą,

po czym błyska połowicznym uśmiechem i

potrząsa głową, jakby wciąż nie ogarniał do

końca głębi swoich emocji.

Ile jeszcze razy będzie kradł mi serce? Bo

właśnie

zrobił

to

znowu.

Jego

nieprzewidywalność sprawia, że te słowa

działają na mnie jeszcze silniej i każda

komórka mojego ciała drży ze wzruszenia.

Nie ma sensu walczyć ze łzami zbierającymi

się w moich oczach, bo te słowa mają o wiele

głębsze znaczenie niż to, że mnie „wyściguje”.

On się stara i przeprasza za momenty, w

których mnie zawiedzie. I chociaż wcześniej

nikogo do siebie nie dopuszczał, wręcza mi

klucz do drzwi wraz z nieograniczoną

przepustką.

Wyciągam dłoń, chwytam go za kark i

przyciągam do siebie, bo jest po prostu

niesamowity i absolutnie nie do odparcia.

Całuję go czule i wsuwam mu język między wargi, żeby wykonać intymny taniec z jego językiem. Bez natarczywości, z łagodną, subtelną akceptacją. Nie minęło zbyt wiele czasu od ostatniego pocałunku, ale wydaje mi się, jakby to była cała wieczność. Gdy kończymy się całować, opiera czoło na moim czole, a ja mówię:

— Ja też cię wyściguję.

Czuję na ustach jego uśmiech i dokładnie w tym momencie uświadamiam sobie, iż naprawdę to zrozumiał i akceptuje to, że go kocham. To jak metaforyczny promień światła ze strony mrocznego anioła, który mnie rozgrzewa od środka. Przysięgam po cichu, że na zawsze zapamiętam to, jak się teraz czuję.

Wciąż

mamy

sporo

nierozwiązanych

problemów i nie wiemy, co przyniesie nam

przyszłość,

ale

przynajmniej

wiem,

że

startujemy w tym wyścigu razem.

— Chodź — mówi, ciągnąc mnie za rękę. —

Chodźmy stąd.

Wracamy do punktu serwisowego, gdzie ekipa

Coltona pracuje przy samochodzie. Gdy tylko

wchodzimy, Beckett potrząsa głową i uśmiecha

się do nas. Szybko odwracam wzrok, bo mam

świadomość,

że

każdy

mężczyzna

w

warsztacie dokładnie wie, co przed chwilą

robiliśmy. Wymykanie się chyłkiem od faceta

też bywa wstydlive, ale gdy twoje wyjście

obserwują ludzie, którzy wiedzą, że to

robiliście, to cóż... wstyd jest znacznie

większy.

Colton śmieje się za mną i ściska moją rękę.

— Co cię tak śmieszy? — mamroczę, nie odrywając wzroku od ziemi.

— Wyglądasz uroczo, gdy się czerwienisz — drażni mnie. — Chociaż wolę róż innych części twojego ciała.

Otwieram usta z szoku, lecz zanim zdążę je zamknąć, Colton przyciska do nich swoje.

Słyszę dookoła brzęk spadających narzędzi, ale i tak potrafię się skupić wyłącznie na biciu swojego serca. Pocałunek jest tylko namiastką tego, co przed chwilą robiliśmy, ale gdy Colton się ode mnie odrywa i całuje czubek mojego nosa, jeden kącik jego ust unosi się w uśmiechu.

— Za co to? — Jakby mnie to w ogóle obchodziło. Może mi to robić w każdym miejscu i w każdej chwili.

— Znasz mnie, kochanie. Jeśli mają się gapić, to możemy im dać niezłe przedstawienia, prawda? Poza tym, na wypadek, gdyby ktoś jeszcze tego nie wiedział, chciałem pokazać wszystkim, że jesteś moja.

Serce mi wzbiera po tych słowach, lecz

odpowiadam z sarkazmem:

— Znaczymy teren, co?

— Słonko, ja już oznaczyłem teren —

odpowiada, zatrzymując się, żeby spojrzeć na

mnie z uśmiechem. — Bez wątpienia.

Przewracam oczami ze śmiechem i ruszam

dalej.

— No co, As — rzucam przez ramię — nie

potrafisz mi dotrzymać tempa?

Czuję klepnięcie w tyłek.

— Ty już dobrze wiesz, że potrafię dotrzymać

tempa

—

stwierdza,

obejmując

mnie

ramieniem, i nachyla się tak, że jego usta są tuż przy moim uchu. — Mój członek, ty

przyciśnięta do drzwi, moja potencja... to

wszystko świadczy o tym, że dotrzymuję

tempa... i tak naprawdę to jest najważniejsze,

nie sądzisz? — chichocze, a ja potrząsam

głową z rozbawieniem.

Ustalamy, że Sammy odwiezie mój samochód

do domu, a Colton prowadzi mnie na
zadaszony parking, gdzie stoi Sex. Nie
przeczę, że widok wartego grzechu auta budzi
wspomnienia chwil, które wywołują uśmiech
na mojej twarzy. Odrywam wzrok od maski i
patrzę na Coltona, który posyła mi zmysłowy
uśmiech.

Unosi

brew

z

szelmowskim

spojrzeniem, zwilża wargi językiem i otwiera
mi drzwi.

— Niezłe autko wybrałaś na dzisiaj — mówię,
wsiadając do luksusowego wnętrza.

— Przypomina mi o tobie, a ja potrzebowałem
cię tu dzisiaj — stwierdza i zamyka drzwi,
żebym nie mogła odpowiedzieć. Może to i
dobrze, bo to proste wyznanie tak wiele dla
mnie znaczy.

Małe krocзки.

Kilka chwil później suniemy autostradą przy
dźwiękach muzyki Dave Matthews Band,
spowici pomrukiem silnika, z napastliwymi

reporterami na ogonie. Colton w okularach przeciwsłonecznych patrzy w lusterko, po czym odwraca się do mnie.

— Pasy zapięte? — pyta, a ja nagle czuję sensacje w żołądku z obawy przed tym, co się za chwilę stanie.

Zanim zdążę cokolwiek odpowiedzieć, samochód podrywa się do przodu z rykiem silnika. Colton śmieje się, gdyż reporterzy nie są w stanie za nami nadążyć. Czuję zastrzyk adrenaliny i przez ułamek sekundy rozumiem jego uzależnienie, ale potem patrzę, jak manewruje w gęstym ruchu ulicznym, i serce staje mi w gardle, a cały zewnętrzny świat się rozmazuje.

Rozdział 25.

Wyrównuję dokumenty na blacie kuchennym. Jestem zadowolona z transkrypcji zeznania Zandera, które umożliwia postawienie formalnych zarzutów jego ojcu. Wkładam je do brązowej teczki i orientuję się, że straciłam

poczucie czasu: jest siódma czterdzieści, a

chłopcy mają być na boisku o ósmej. Cholera!

Muszę przygotować do końca rzeczy

potrzebne na mecze. Wstaję od stołu i

zaczynam napełniać butelki. Ustawiam je obok

torebek z nasionami słonecznika. Wytężam

słuch, żeby usłyszeć hałasy w domu, i

dochodzę do wniosku, że dzięki Jacksonowi

chłopcy są prawie gotowi do wyjścia.

— Hej, Ry?

— Tak? — Odwracam się i widzę, że Jackson

opiera się o ścianę i patrzy na mnie

zmartwionym wzrokiem.

— Zander i Scoot wciąż śpią. — Przerzywa na

chwilę, po czym dodaje: — Nie spałaś, gdy

Shane wczoraj wrócił?

Patrzę na niego, próbując się domyślić,

dłaczego pyta.

— Tak. Czytałam w swoim pokoju. A co?

— Widziałaś go? Rozmawiałaś z nim?

W mojej głowie odzywa się alarm. Przerywam

to, co robię, i odwracam się do Jacksona.

— Nie. Zawołałam go, a on odpowiedział

„dobranoc” i poszedł do swojego pokoju. Nie

strasz mnie, Jax. Coś się stało?

— Cóż, wygląda na to, że Shane się wczoraj nawalił. Ma kompletny zgon na łóżku, jego pokój cuchnie piwem, a sądząc po wyglądzie ubikacji, oglądał w nocy to, co wypił, w odwrotnej kolejności. — Jackson uśmiecha się półgębkiem i chociaż wiem, że to niestosowne, też tłumię śmiech z tego, iż Shane zrobił coś tak typowego dla swojego wieku. Szybko jednak odpowiedzialność bierze górę.

Przygryzam wargę i patrzę na Jaxa.

— Wiedzieliśmy, że prędzej czy później do tego dojdzie... Kurde, chcesz, żebym się tym zajęła, czy ty to zrobisz?

— Będziemy czekać w aucie, Jax! — krzyczy

Ricky.

— Okej! — odpowiada i odwraca się z powrotem do mnie. — Mogę tu zostać z Zanderem, Scooterem i Shane'em, jeśli chcesz iść dzisiaj na baseball.

— Nie, spoko — mówię, a on zbiera butelki. —

Przyjdziemy później na boisko obejrzeć grę.

Poradzę sobie z Shane'em.

— Jesteś pewna?

— Jasne.

Jax się żegna i wychodzi. Gdy zamyka za sobą
drzwi, nie jestem już taka pewna. Siedzę na
stołku barowym i się zastanawiam, jak
poradzić
sobie
ze
skacowanym
szesnastolatkiem. Jest najstarszy i jako
pierwszy przez to przechodzi, więc czuję się
zagubiona. Oczywiście jako grzeczna pod
każdym
względem
dziewczynka
nie
odważyłam się pić w szkole średniej, dlatego
to wszystko jest dla mnie trochę obce.
Dzwoni telefon. Na mojej twarzy natychmiast
pojawia się uśmiech, gdy widzę, że to Colton.
— Dzień dobry — mówię, a moje serce zalewa
się ciepłem. Przez ostatnie kilka dni było nam
ze sobą dobrze, może dlatego, że celowo
ignorowaliśmy
napięcie
związane

Z

oczekiwaniem na wyniki testów. Colton był
podekscytowany tym, że w przyszłym tygodniu
wróci do biura i będzie mógł zobaczyć
najnowsze poprawki w zabezpieczeniach, nad
którymi pracują. Śmiałam się z niego, że
najpierw wrócił na tor, a potem do biura, ale on stwierdził z uśmiechem, że tor to była
konieczność, a biuro nie.

— Hej... to łóżko jest nieznośnie puste bez
ciebie. — Jego zaspana poranna chrypa mnie
kręci, a jego słowa działają uwodzicielsko,
choć wiem, że nic z tego teraz nie będzie.

— Uwierz mi, że wolałabym być w nim z
tobą...

— No to zbieraj się jak najszybciej, mała, bo szkoda czasu. Mam dzisiaj długą listę rzeczy
do
zrobienia

—

mówi
rozbawionym
i

sugestywnym głosem. Uwielbiam to w nim, że
samym brzmieniem głosu potrafi rozluźnić
moje poranne napięcie.

— A co takiego masz dzisiaj do zrobienia?

— Ty na kanapie, ty na blacie, ty oparta o ścianę, ty w każdym innym możliwym miejscu... — mówi coraz ciszej, a dotychczas uśpione części mojego ciała nagle budzą się do życia.

Jęczę do telefonu.

— Nie masz pojęcia, jak bardzo kusi mnie ten plan, szczególnie że mam dzisiaj trochę przerąbane.

— Dlaczego? Co się stało? — pyta zatroskany.

— Shane miał swoje pierwsze doświadczenia z alkoholem, które nie były dobre, z tego, co mówi Jax.

Colton parska śmiechem.

— Sponiewierał się? Zuch chłopak!

— Colton! Ja ich próbuję wychować na przyzwoitych ludzi! — W chwili, gdy to mówię, uświadamiam

sobie,

że

brzmie

jak

staroświecka cnotka, ale to prawda.

— Sugerujesz, że jestem nieprzyzwoity, Ryles?

Uśmiecham się, bo potrafię sobie wyobrazić ten szelmowski uśmieszek, który ma teraz na twarzy.

— Cóż, nie da się ukryć, że robisz ze mną niezbyt przyzwoite rzeczy... — stwierdzam prowokująco. Moje ciało się napina, a w dolnej

części

brzucha

czuję

pulsowanie

na

wspomnienie

naszej

przedwczorajszej

sekswycieczki na schodach domu w Malibu.

Jego śmiech jest uwodzicielski i sugestywny.

— Och, kochanie, w tym akurat jestem

najlepszy, ale mam coś innego na myśli. Nie

żałowałem sobie alkoholu w szkole średniej i

wyrośłem na zupełnie normalnego człowieka.

— No nie wiem — drażnię się. — Czyli

sugerujesz, że to nic takiego? Żebym dała mu

spokój i nie wyciągała żadnych konsekwencji?

— Nie, wcale tego nie sugeruję. Myślę jedynie,

że to dobry znak, że Shane wychodzi do ludzi i

zachowuje się jak normalny szesnastolatek. To

nie jest ani złe, ani dobre, po prostu typowe. I

o ile mamy do czynienia z jednorazowym

wybrykiem, czyli że nie pije po to, żeby uciec od przeszłości, to nic mu nie będzie.

W pewnym sensie zgadzam się z Coltonem,

lecz jednocześnie wiem, że muszę coś zrobić z

Shane'em. Muszę mu powiedzieć, że to było

nie w porządku i że nie chcę, żeby się

powtórzyło, chociaż wiem, że się powtórzy.

— No więc, panie były zbuntowany nastolatku,

jak powinnam to rozwiązać?

— Ja nadal jestem zbuntowany, Ry — mówi z

rozbawieniem. — To, moja droga, nigdy nie

ulegnie zmianie. Niech Jax z nim pogada, bo

on nie będzie chciał cię teraz słuchać.

— Ośmielę się mieć inne zdanie. — Nie podoba

mi się to, że chłopcy mieliby mnie nie słuchać dlatego,

iż

jestem

jednym

z

niewielu

wychowawców płci żeńskiej w Domu.

— Nie rób z igły wideł, Thomas — mówi ze śmiechem. — Nie twierdzą, że sobie z tym nie poradzisz, tylko że będzie bardziej słuchał słów mężczyzny.

— Cóż, Jax jest na meczu baseballu, więc to muszę być ja.

— Jesteś tam sama? — jego głos natychmiast zabarwia się troską. Cieszę się na ten nagły przejaw opiekuńczości wobec mnie i dbania o moje bezpieczeństwo. To całkiem urocze.

— Colton — wzdycham — pilnuje mnie pięćdziesięciu fotografów stojących przed domem. Nic mi nie będzie.

—

Dokładnie.

Pięćdziesięciu

fotografów,

którzy są tam tylko po to, żeby nękać ciebie i chłopców. Ja pierdolę! — klnie do siebie. —

Mam dość tego, że moje brudy lądują na twojej wycieraczce.

— To naprawdę nie jest aż taki...

— Będę u ciebie za trzydzieści minut — mówi i

się rozłącza.

No dobrze. Czyli przyjedzie, żeby zająć się prasą, co nic nie zmieni, a ja wciąż muszę wymyślić, jak załatwić sprawę z Shane'em.

Niech to!

— Możesz jeszcze pooglądać z godzinę, Scooter, a potem musimy iść na boisko, dobrze?

— Jasne! — krzyczy do mnie i biegnie korytarzem do salonu, w którym z pewnością zaraz będą leciały poranne niedzielne kreskówki.

Idę dalej i zatrzymuję się przy pokoju Zandera i Aideny. Zander siedzi na łóżku owinięty kocem, przyciska do siebie swojego

ukochanego

pluszowego

pieska

i

z

zamkniętymi oczami kiwa się do przodu i do tyłu. Wchodzę do pokoju, przechylam głowę i obserwuję go przez chwilę, zastanawiając się, czy śpi. Robię kolejny krok i nagle słyszę łkanie dobywające się z jego piersi, więc zdaję się na instynkt.

— Hej, Zander, wszystko w porządku? —

pytam łagodnie i siadam powoli na łóżku obok niego.

Nadal się kiwa, lecz podnosi głowę, żeby na mnie spojrzeć. Ma łzy na twarzy, a wzrok zdradza kompletnie złamane serce. Bo niezależnie

od

tego,

ile

minie

czasu,

wspomnienia zawsze będą zapuszczały swoje

destrukcyjne macki najgłębiej jak się da, tak
żeby nigdy nie zapomniał. I nawet jeśli w
pewnym momencie poczuje się gotowy, żeby
pójść dalej, to nigdy nie zapomni.

— Chcę do mamy — zawodzi. Gdyby moje

serce

mogło

się

rozpaść

na

milion

kawałeczków, to właśnie by to zrobiło z

powodu tego chłopca, którego kocham ponad

wszystko.

Bardzo powoli wciągam go na swoje kolana i

przytulam. Chowam jego głowę w zagłębieniu

mojej szyi, żeby nie widział łez płynących mi

po twarzy. Boli mnie jego utracona niewinność

i to, że w jakimś stopniu zawsze będzie mu

brakowało matki.

— Wiem, stary — mówię, kołysząc go. —

Wiem. Byłaby tu, gdyby mogła. Nigdy by cię

nie zostawiła, gdyby nie to, że aniołki jej

potrzebują.

— Ale... ale ja też jej potrzebuję... —

stwierdza, pociągając nosem, a ja nie wiem, co
na to odpowiedzieć. Kompletnie. Dlatego
przyciskam usta do jego głowy i przytulam go
mocniej, żeby moja miłość zdjęła trochę
ciężaru z jego serca, chociaż wiem, że to mu
nigdy nie wystarczy.

Siedzimy tak przez chwilę i nawzajem się
pocieszamy. W końcu trochę się uspokaja,
więc
przeczesuję
jego
włosy
dłonią,
zastanawiając się, co by go rozchmurzyło.

— Hej, Zand, wiesz, że Colton do nas jedzie?

Podrywa
się
cały
i
patrzy
na
mnie
zaczerwienionymi oczami.

— Naprawdę?

Jak na komendę słyszę jakieś poruszenie przed domem.

Mimo

zamkniętych

okien

i

zasuniętych rolet dobiega do mnie pomruk

silnika, klikanie aparatów i wykrzykiwanie

pytań.

— Tak, myślę, że właśnie przyjechał.

Cieszę się z synchronizacji Coltona, bo oczy

Zandera

natychmiast

się

rozświetlają.

Wstajemy

i

idziemy

w

stronę

drzwi

wejściowych. Każę chłopcom iść do salonu,

żeby nie byli w zasięgu aparatów, gdy otworzę

drzwi.

Colton przeciska się wąską szczeliną, mrucząc przekleństwo pod nosem, i od razu zamyka za sobą drzwi. Ma sfrustrowany wyraz twarzy, a pod pachą trzyma brązową torbę z zakupami.

Uśmiecha się.

— Cześć.

— Cześć, As — odpowiadam i podchodzę do niego, żeby go pocałować, lecz jego ciało się spina. Natychmiast robię krok wstecz, bo wiem, że któryś z chłopców patrzy. Colton zawsze zwraca na nich uwagę i uważa, żeby nie całować mnie przy nich, nawet przelotnie, bo wie, że są wobec mnie nadopiekuńczy, i nie chce zburzyć tego porządku.

— No pocałuj ją i chodź dalej! — poirytowany głos Scootera za mną sprawia, że oboje wybuchamy śmiechem, a ja odwracam się do niego.

Colton staje obok mnie i kładzie mi dłoń na lędźwiach, po czym kuca przed Scooterem.

— Mogę? — pyta chłopca, którego oczy właśnie zmieniły się w spodki. — No wiesz, bo to niezbyt grzeczne wchodzić do domu innego

mężczyzny i całować jego dziewczynę... Ale skoro jesteś jednym z mężczyzn w tym domu, to myślę, że mogę ją pocałować, jeśli powiesz, że nie masz nic przeciwko.

Scooter otwiera usta i wyprostowuje się z dumą.

— Naprawdę? — Ekscytacja w jego głosie sprawia, że kładę dłoń na sercu. — Taa... nie mam. Pod warunkiem, że nie będzie przez ciebie smutna.

— W porządku. — Colton wyciąga rękę i potrząsa dłoń Scootera. Moje serce puchnie od miłości i muszę walczyć ze łzami, które po raz drugi dzisiaj wzbierają w moich oczach.

Tym razem z dumy z tych dwóch mężczyzn mojego życia.

— W takim razie — Colton podnosi się i spogląda na mnie — mężczyzna z tego domu mówi, że mogę cię pocałować.

Mój uśmiech się poszerza, a Colton nachyla się i muska po bratersku moje usta.

— Eeeee, fuj! — krzyczy Scooter, wyciera usta wierzchem dłoni i ucieka do salonu, żeby opowiedzieć to Zanderowi.

Colton odwraca się przez ramię, żeby
sprawdzić, czy Scooter poszedł, po czym bez
zawahania z powrotem wpija się w moje usta.

To krótki pocałunek, ale ścina mnie z nóg,
wzmacniając przekonanie, że nie mogę żyć
bez tego narkotyku.

— Łał! — mówię, gdy się ode mnie odrywa.

— Powiedział, że mogę to zrobić — stwierdza

Colton z uśmiezkiem i wzrusza ramionami. —

Gdzie ta nasza pijana szmata?

— Nadal śpi — odpowiadam i spoglądam na

brązową torbę pod jego ramieniem. — Co to?

Colton odpowiada uśmiechem.

— Małe co nieco, żeby na długo zapamiętał ten
poranek. Wiesz, mały klinik.

— Colton — ostrzegam go, bo zauważam, że

torba przypomina kształtem sześciopak. —

Nie mogę mu dać piwa! Wyleją mnie z pracy!

— protestuję przyciszonym głosem.

Ale on patrzy na mnie bezczelnie i chichocze.

— Dokładnie. Dlatego ja to zrobię. — Po tych

słowach skręca w prawo do pokoju Shane'a.

Przypomina mi się, jak wcześniej mówił, że

Shane nie będzie chciał mnie słuchać, więc idę

za nim, żeby zobaczyć, co zrobi.

Colton podnosi rolety i cały pokój staje w świetle. Potem zerka na komodę Shane'a i na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Po kilku sekundach głośniki z wpiętym do nich ipodem rozbrzmiewają łomoczącym bitem.

Shane natychmiast zrywa się z łóżka z krzykiem i zatyka uszy. Z opóźnieniem dociera do niego, kto przed nim stoi ze skrzyżowanymi rękami i uniesionymi brwiami.

Patrzą na siebie przez chwilę, po czym Shane bierze poduszkę i kładzie sobie na głowie, żeby stłumić dźwięki i zasłonić się przed jasnym światłem.

— Wyłącz to! — jęczy. Colton podchodzi ze śmiechem do ipoda i wyłącza go. — Dzięki! — mówi stłumionym przez poduszkę głosem.

— Nie, nie, nie — stwierdza Colton, siada gwałtownie na łóżku obok niego i wydziera mu poduszki, a Shane próbuje zasłonić oczy ramionami. — Sądząc po zapachu w twoim pokoju i wyglądzie twojej twarzy, zgaduję, że ostro się wczoraj skułeś. Mam rację, stary? — pyta, a gdy Shane nie odpowiada, wybucha

złowieszczym śmiechem doktora Zło. —

Pulsuje ci w głowie? Cały pokój wiruje? Bolać cię oczy? Masz ochotę się wyrzygać, ale czujesz, że żołądek jest już pusty?

— Zamknij się — jęczy Shane i próbuje naciągnąć kołdrę na głowę, ale Colton ciągnie ją z powrotem w dół.

— Nie. Jeśli chcesz się zadawać z dużymi chłopcami i łoić tak jak oni, to czas wstać i przyjąć to jak mężczyzna. — Z mojego punktu obserwacyjnego w korytarzu widzę, że Colton opiera się wygodnie o ścianę i sięga do brązowej torby. Słyszę syknięcie otwieranego piwa. Shane podrywa się na łóżku i patrzy na Coltona jak na wariata.

— Pogięło cię? — chrypi spanikowanym głosem.

— Tak — odpowiada Colton i patrzy na Shane'a z uśmiechem. Bierze łyk piwa, po czym wręcza je Shane'owi. — Z pewnością oszalałem. Twoje zdrowie, synu.

— Nie ma mowy! — wypala Shane i odskakuje od puszki jak oparzony. — Nie możesz dawać mi piwa!

Colton unosi brwi.

— Przecież właśnie to robię. Przestań wreszcie się tym wykręcać. Wczoraj byłeś na tyle dorosły, żeby się skuć? No to najwyższa pora, żebyś sobie przypomniał, dlaczego tak ci się to podobało. — Colton ponownie podsuwa mu piwo. — No dalej, napij się. Nie bądź tchórzem.

— O co, kur...

— Pij! — naciska Colton. — Co? Jesteś na tyle wyluzowany, żeby napić się z kumplami, a ze mną się nie napijesz?

— Jak to wypiję, to się porzygam!

— W końcu coś do ciebie dociera! — oznajmia Colton z uśmiechem, sięga wolną ręką do torby i wyciąga kolejne piwo. — Mam jeszcze dla ciebie pięć, gdy skończysz to.

Shane blednie i robi wielkie oczy, gdy docierają do niego słowa Coltona.

— Nie ma mowy! Porzygam się!

— *To dobrze* — oznajmia i nachyla się bliżej Shane'a. — Pij — mówi. — Chcę, żebyś zapamiętał, jak dobrze smakuje piwo, gdy przechodzi przez gardło po raz drugi.

Następnym razem, gdy koledzy będą cię namawiać do picia albo będziesz chciał zrobić

wrażenie na dziewczynach... to chcę, żebyś
przypomniiał sobie zajebiste wrażenie, jakie
robisz, rzygając zgięty nad kiblem. Zaręczam
ci, z własnego doświadczenia wiem, że to nie
jest zbyt piękny widok. — Colton oddała się od
Shane'a i z powrotem opiera się o ścianę z
cieniem uśmiechu na twarzy. Odchyła głowę,
ale patrzy w bok na Shane'a. — Jesteś pewien,
że nie chcesz tego piwa? Nie chcesz sobie
przypomnieć, jak smakuje?

Shane potrząsa głową. Jest w lekkim szoku po
słownych batach spuszczonej przez swojego
idola, ja zresztą też.

Colton kontynuuje złowieszczo spokojnym
głosem.

— No dobrze, skoro coś do ciebie dociera,
ustalimy parę podstawowych reguł, dobrze? —

Nie czeka na odpowiedź. — Jak dotarłeś
wczoraj do domu, Shane?

Jego pytanie mnie zaskakuje, podobnie jak
Shane'a.

— Davey mnie przywiózł.

— Czy Davey też wczoraj pił? — spokojny głos

Coltona sprawia, że Shane odwraca wzrok, a

ja czuję serce w żołądku.

— No, trochę. — Słyszę wstyd w głosie

Shane'a, który wie, że to było złe.

— Eeeee! Zła odpowiedź! — odpowiada Colton

i odwraca głowę w jego stronę. — Chcesz być

głupi i się nawalić? Spoko, potrafię to

zrozumieć. Ale nie będę tolerował tego, że z

własnej

woli

wsiadasz

do

samocho-
du

prowadzonego przez pijanego kierowcę, bo

powiedzmy sobie szczerze, byłeś nawalony,

więc skąd możesz wiedzieć, ile wypił Davey!

Masz w tym domu zbyt wiele osób, które cię

kochają i które *troszczą się o ciebie, Shane.*

Ani Ry, ani chłopcy, ani ja nie chcielibyśmy,

żeby coś ci się stało. Pozwól więc, że wyrażę to inaczej, dobrze? Nie będę cię pytał, czy

zamierzasz jeszcze kiedykolwiek się upić, bo

musiałbyś mnie okłamać. Oto moje pytanie:

wsiądziesz jeszcze kiedyś do samochodu z

pijanym kierowcą?

Shane przełyka głośno ślinę i potrząsa głową

przecząco, ale Colton nadal się w niego

wpatruje, więc odpowiada na głos:

— Nie.

— Świetnie! W końcu do czegoś dochodzimy...

— mówi Colton, waląc głośno ręką w ścianę.

Shane podskakuje i chwyta się za głowę, a

Colton wybucha śmiechem. — Na pewno nie

chcesz tego piwa? — Wyciąga dłoń, lecz Shane

energicznie potrząsa głową. — Jesteś bystrym

dzieciakiem, więc wymyśl sobie, co chcesz: idź

na piechotę, zadzwoń do mnie, jeśli będziesz

musiał, ale nigdy nie jedź z pijanym. Ostatnia rzecz: *dlaczego?*

Shane podnosi wzrok i spogląda Coltonowi w

oczy.

— To znaczy?

Colton patrzy mu w oczy przez dłuższy czas, a

ja nie mogę znieść tego, że nie widzę tej

milczącej wymiany między nimi.

— Żeby być cool? Zrobić wrażenie na

dziewczynie? Złagodzić ból zadany przez

mamę? Nie musisz mi mówić, Shane, ale to

bardzo ważne pytanie. To jest pytanie, na

które sam musisz sobie odpowiedzieć. —

Widzę, że Shane spuścił głowę i wciągnął

oddech z zaniepokojeniem. Potem opiera się o ścianę tak jak Colton. Obaj mają stopę położoną na kolanie drugiej nogi, skrzyżowane ramiona i wzrok wbity w sufit. Widok ich obu razem jest bezcenny i wiem, że to jedna z chwil, które zapamiętam do końca życia.

Colton wzdycha i zaczyna mówić tak cicho, że muszę wyęźać słuch, żeby go usłyszeć.

— Jako dziecko przeżyłem dość poważne piekło. *Naprawdę poważne*. Niezależnie od tego, co robiłem, jak bardzo byłem greczny lub jak usilnie się starałem... to nie potrafiłem tego przerwać. Nikt mi nie pomógł. Więc w swoim siedmioletnim umyśle doszedłem do wniosku, że to moja wina. Nawet teraz zdarzają się dni, gdy wciąż tak myślę.

Najgorsze jednak było to, że musiałem żyć z tym bólem i poczuciem winy. — Wzdycha, pochylając głowę i odrywa wzrok od sufitu i czeka, aż Shane spojrzy mu w oczy. — Kurde, zacząłem pić, gdy byłem znacznie młodszy od ciebie, Shane... i piłem dlatego, że tak bardzo cierpiałem. Po kilku głupich popisach i sytuacjach, z których cudem wyszedłem cało,

mój ojciec posadził mnie przed sobą i zadał mi

to samo pytanie, które usłyszałeś ode mnie. I

powiedział mi to samo, co ja ci powiedziałem.

A potem zapytał: „Po co pić, żeby to stłumić, skoro cierpienie to odczuwanie, odczuwanie to

życie, a czy nie lepiej być żywym?” — Colton

potrząsa głową. — I wiesz co? Kiedyś

myślałem, że to ściema i że nie będę w stanie

spędzić całego dnia bez myślenia o tym, bez

bólu, bez poczucia winy... i, kurwa, w te dni

chciałem pić. Gdy miałem piętnaście lat,

Shane, to piłem, żeby się z tym uporać... Ale

mój ojciec siadał potem ze mną i powtarzał mi

te słowa. I wiesz co? Miał rację. To wymagało

czasu. Mnóstwa czasu. I wiem, że moja

przeszłość nigdy nie zniknie... ale cieszę się,

że wybrałem życie, a nie odrętwienie. Cieszę

się, że wybrałem życie, a nie śmierć.

Widzę

łzy

na

policzkach

Shane'a

i

uświadamiam sobie, że moje też są mokre.

Colton obejmuje go za szyję i przyciąga do siebie.

Obdarza

go

szybkim,

męskim

uściskiem, a Shane'owi wyrywa się szloch.

Colton, co nietypowe, całuje go w czubek

głowy i powtarza szeptem:

— Pamiętaj, cierpieć to odczuwać, odczuwać

to żyć, a czy nie lepiej być żywym?

Serce więźnie mi w gardle, brakuje mi tchu i

uświadamiam sobie, że nigdy nie będę w

stanie

odejść

od

tego

pięknego,

pokrzywdzonego mężczyzny.

Cierpiący

mężczyzna

pomagający

skrzywdzonemu dziecku.

Colton puszcza Shane'a, a ja od razu

wyczuwam ich dyskomfort spowodowany tym
okazaniem sobie emocji. Colton wstaje z
łóżka, jeszcze raz oferuje Shane'owi piwo i
śmieje się, gdy ten odmawia. Zabiera torbę z
resztą puszek i rusza w stronę drzwi. Tuż
przed wyjściem odwraca się za siebie.

— Hej, Shane? Cuchniesz, stary. Weź prysznic
i ubierz się, mamy dzisiaj mecz do obejrzenia.

Po tych słowach wychodzi i wpada na mnie.

Patrzymy się na siebie, a w jego oczach
pływają niezliczone emocje, gdy dostrzega łzy
na moich policzkach. Mówię szeptem jedyne
słowa, jakie potrafię wykrztusić.

— Dziękuję.

Colton kiwa głową, jakby nie ufał swojej
zdolności mówienia, i rusza w głąb korytarza.

Rozdział 26.

Colton

— Przejmiesz ich, Jax? — pytam, obserwując,
jak Scooter kupuje jakieś cukrowane śmieci za
pieniądze, które mu dałem. Shane nie chce.

Jest wciąż zielony na twarzy. Jeszcze przez
jakiś czas niczego nie zje, chyba że chce to od
razu zobaczyć z powrotem.

Ach, słodkie wspomnienia z okresu dorastania
i upijania się do pieprzonego betonu. Przykro
mi, jak na niego patrzę, ale nie mogę
powiedzieć, że obserwowanie tego rytuału
przejścia wcale mnie nie bawi.

Jax poprawia swoją baseballówkę, odkłada kij
i podchodzi do mnie.

— Tak, przejmę ich. — Wyciąga dłoń i potrząsa
moją. — Dzięki za... — mówi i wskazuje
podbródkiem w stronę Shane'a.

— Nie ma za co — śmieję się. — Nie wyglądał
nawet w połowie tak źle jak ja po swoim
pierwszym spotkaniu z dnem butelki, ale
pogadałem z nim.

— Dzięki. Ry nie zmieniła zdania i nie
przyjdzie?

— Nie. — Potrząsam przecząco głową i
obserwuję, jak Ricky uderza piłkę, która
wylatuje poza boisko. Gwiżdżę z uznaniem,
żeby wiedział, że go widziałem, a on spogląda
na mnie i obdarza mnie szerokim uśmiechem.

Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że wyrażanie
uznania może działać cuda. — Nie przyjdzie.

Zander miał dość ciężki poranek i nie chciała

zmuszać

go

do

paradowania

przed

obiektywami. Dlatego ja wziąłem chłopców,

licząc na to, że pojedą za mną.

Pieprzone sępy. Patrzę w stronę swojego range rovera na parkingu i widzę, że stoją tam

z aparatami na szyjach i długimi obiektywami

skierowanymi we mnie, z nadzieją, że

uchwycą... no, kurde, nie mam pojęcia, co

można uchwycić na meczu małej ligi. Ale z

drugiej strony jestem trochę zdziwiony, bo

zachowują dystans i nie ostrzeliwiają mnie, gdy

jestem z dziećmi. Od kiedy to mają

jakikolwiek maniery? No ale w końcu nie

zamierzam robić niczego ekscytującego za

trybunami, żeby spłodzić kolejne nieślubne

dzieci. — W każdym razie — wzruszam

ramionami — chyba się udało.

Jax śmieje się, patrząc na tłumek fotografów

na parkingu.

— Tak sądzisz? Szaleństwo, człowieku, mieć

ich cały czas na głowie. Można się do tego

przyzwyczajaić?

— A czy samochód może jeździć bez kół? —

Najgłupsze pytanie świata, ale to jest Jax.

Koleś jest spoko. Troszczy się o Ry.

— Racja — mówi, kiwając głową.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, po czym

ruszam w stronę samochodu, żeby dać tym

Pasożytniczym dupkom zbliżenia, za które

dostaną trochę pieniędzy. Mam nadzieję, że

kupię sobie spokój na przynajmniej jeden

pieprzony dzień.

Atakują

mnie

swoimi

aparatami,

gdy

przechodzę, i muszę się siłą powstrzymać,

żeby nie zdzielić kogoś pięścią. Ale by mi

ulżyło, gdybym mógł się na nich wyżyć.

Pieprzona Chase. Jej słowa powstrzymują

mnie

tylko

dlatego,

że

mówiła,
iż
zaszkodziłbym Ry, gdybym uwolnił swojego
wewnętrznego
buntownika,
którego
prowokują głupimi sugestiami, jakoby Ry
rozbiła rodzinę.
Pierdolone obietnice. Pieprzyć je wszystkie.
Dlatego ich nigdy nie składam. Albo raczej nie
składałem przed pojawieniem się Ry. Kto by
pomyślał, że któregoś dnia wpadnę pod
pantofel i nie będzie mi to przeszkadzało.
Najwyraźniej zamarzył kolejny krąg piekła,
które staje się zimne jak biegun po tym, co ona
we mnie zmienia.
Powiedziałem jej, że staram się być lepszym
mężczyzną. No cóż. Nie wiedziałem, że
zostaniemy rzućni w sam środek tego
pieprzonego sztormu, którzy pozamiatał nami
jak zeszłorocznymi liśćmi.
Jak dotąd jestem grzeczny. Nie zadzwoniłem
do Tawny i nie zwymyślałem jej za te
pieprzone ściemy, za rzucenie Rylee wilkom na

pożarcie i za skrzywdzenie mnie. Ale wiem, że
gdybym to zrobił, pokazałbym jej, iż udało się
jej do mnie trafić. A dla niej to jak wygranie połowy walki.

„*Kiedy ślub, Colton?*”.

„*Czy Tawny wie, że byłeś dzisiaj z Rylee?*”.

„*Wybrałeś już imię dla waszego syna?*”.

Jeden z reporterów szturcha mnie z boku,
więc odwracam się do niego gwałtownie z
zaciśniętymi pięściami.

— Nie dotykaj mnie, do cholery! — cedzę
przez zaciśnięte zęby.

Rylee. Rylee. *Moja pieprzona Rylee*. Muszę to sobie powtarzać na okrągło, żeby łatwiej mi
było ignorować ich gówniane kłamstwa i nie
tracić panowania nad sobą.

Na szczęście reporter się odsunął i mogę
otworzyć drzwi do samochodu. Dzięki Bogu za

luksusowe samochody, bo w chwili, gdy
zatrząskuję

drzwi,

zapada

cisza,

a

przyciemniane

szyby

utrudniają

sfotografowanie mnie na krawędzi załamania.

I chociaż chciałbym tu posiedzieć, żeby się uspokoić, jest to niemożliwe, gdy otacza mnie cały ten cyrk.

Dodaję gazu i mam nadzieję, że załapią i się odsuną, żebym nikogo nie przejechał. Gazuję jeszcze raz i wycofuję, a oni odskakują do swoich samochodów, żeby mnie śledzić.

Na litość boską!

Mam przesrane, proszę jechać za mną —
gdybym miał zrobić sobie naklejkę na tylny zderzak, to taka powinna być jej treść.

Zerkam na dzieciaki i gazuję jeszcze raz, po czym szybko wyjeżdżam z parkingu. Udaje mi się zgubić większość z nich, gdy przejeżdżam przez skrzyżowanie na żółtym świetle tuż przed zmianą na czerwone. W końcu oddycham z ulgą i przez minutę nucę sobie piosenkę *Best of You*, która leci w radiu.

Potem sprawdzam telefon.

Nagle czuję, że brakuje mi powietrza, a pod wpływem otrzymanej wiadomości cierpnie mi noga na gazie, jak u niedzielnego kierowcy.

„Mam na biurku zapieczętowaną kopertę.

Przyszły wyniki. Zadzwoń”.

Całe moje ciało zamiera: płuca, serce, gardło,
wszystko. Patrzę się przed siebie i próbuję
opanować nawał emocji, ściskając kierownicę
tak mocno, że bieleją mi kostki.

Zmuszam się do oddychania, do mrugania, do
myślenia. W chwili, gdy moja głowa odzyskuje
panowanie nad ciałem, gwałtownie zjeżdżam
na prawy pas i słyszę trąbienie za sobą.

Skręcam na najbliższy zjazd na parking przy
centrum handlowym i się zatrzymuję.

Sięgam po telefon, żeby zadzwonić do
prawnika, ale odkładam go i zaciskam powieki,
próbując zapanować nad nagłą nerwowością.

To już teraz. Odpowiedź czekająca po drugiej stronie linii albo przyniesie mi życiową
katastrofę, albo największą ulgę.

Wcale już nie czuję absolutnej pewności, że to
nie moje dziecko. Wzdycham głośno, uderzam
pięścią w deskę rozdzielczą, zbieram się do
kupy i biorę telefon.

Każdy sygnał mnie rozwała. Jakbym czekał z
niewinnie zawiązaną pętlą na szyi, aż ktoś
wykopie mi krzesło spod nóg.

— Cześć, Donovan — mówi głos w słuchawce.

Chyba

z

minutę

się

zbieram,

żeby

odpowiedzieć.

— Cześć, CJ — mój głos brzmi cholernie obco,

jakbym

był

dzieckiem

czekającym

na

ogłoszenie kary.

— Jesteś gotowy?

— Ja pierdolę, powiesz mi w końcu? —

odszczekuję.

Chichocze i słyszę rozdieranie papieru.

Łatwo mu się śmiać, gdy moje serce łomocze

jak oszalałe, w głowie mi pulsuje, a stopa

szaleńczo skacze po podłodze. W końcu słyszę

jego westchnienie.

— Jest OK.

Niemożliwe, żebym dobrze usłyszał.

— *Co?*

— Kłamała. Dziecko nie jest twoje.

Wyciągam rękę z zaciśniętą pięścią i krzyczę.

Potem ściskam dłońmi głowę, bo czuję, jak adrenalina uderza z pełną siłą. Ręce mi drżą i czuję wzbierające łzy. Nie potrafię myśleć.

Wiem, że CJ coś mówi, ale nie słyszę go, bo serce dudni mi w uszach od adrenaliny jak przed rozpoczęciem wyścigu. Podnoszę dłoń, żeby przeczesać włosy, ale zatrzymuję się w połowie ruchu i uderzam nią w kierownicę, a potem pocieram twarz, bo jestem tak oszołomiony... Topię się w zalewającym mnie uczuciu ulgi i nie potrafię sformułować żadnej myśli poza jedną.

To nie moje.

Nie spierdoliłem życia niewinnej osobie, przekazując jej swoje skażone geny.

Nie będę miał dziecka z tą dwulicową suką.

— Wszystko w porządku, Wood?

Chwilę trwa, zanim przełykam ślinę i odzyskuję głos.

— Taa — wzdycham. — Lepiej niż w porządku.

Dzięki.

—

Powiem

Chase,

żeby

przygotowała

oświadczenie prasowe...

— Ja się tym zajmę — przerywam mu, bo

niczego tak nie pragnę jak nakarmienia sępów

smakiem klęski i wypieprzenia na chwilę ich

nachalnych obiektywów z naszego życia. Żeby

Rylee mogła powoli dostosować się do mojego

szalonego

życia,

gdy

będziemy

szukać

wspólnego gruntu.

I znowu. Myślę o szukaniu wspólnego gruntu,

przyszłości z nią i tak dalej. Ona jest moim

kryptonitem.

Ja pierdolę.

Nagle to do mnie dociera.

Rylee.

Muszę jej powiedzieć.

— Dzięki jeszcze raz, CJ, muszę kończyć, bo mam pilny telefon.

Rozłączam się i zaczynam wybierać numer

Rylee, ale z powodu krążącej w żyłach

adrenaliny tak bardzo trzęsie mi się dłoń, że

zatrzymuję się na sekundę.

W tej chwili przerwy uświadamiam sobie, że

zanim do niej zadzwonię, chcę to raz na

zawsze rozwiązać. Chcę do niej zadzwonić z

czystą kartą, żebym mógł jej powiedzieć, że to

wszystko jest już za nami. Dziecko, Tawny,

kłamstwa...

wszystko

jest

pozamykane,

posprzątane i pozamiatane.

Biorę głęboki wdech i wybieram numer, który

był kiedyś tak swojski, lecz teraz doprowadza

moją krew do wrzenia.

— Colton? — Cieszę się, że jest zaskoczona,

bo to oznacza, iż przyłapałem ją z opuszczoną

gardą.

Czas zrobić to, co trzeba zrobić.

— Tawny — mówię płaskim, wypranym z
emocji głosem. I milknę. Chcę, żeby ją
skręcało. Chcę, żeby się zastanawiała, czy już
wiem. Skoro jest na tyle bezczelna, że potrafi
skłamać mi w żywe oczy, to sprawdzmy, czy
będzie nadal ciągnęła tę gierkę czy wyłoży
karty na stół.

A wynik testu jest moim asem w rękawie.

— Cześć — mówi tak łagodnie, że nie potrafię
określić, czy jest onieśmielona czy próbuje
brzmieć uwodzicielsko.

Obojętne, i tak przewraca mi się w żołądku,
jak ją słyszę.

Przygryzam policzek, zastanawiając się, jak
poprowadzić tę konwersację, bo chociaż
chciałbym, żeby cierpiała, to zależy mi na tym,
żeby przepadła z mojego życia. Sajonara,
adios, strzała na drogę. Chrząka i wiem, że ta
cisza ją dobija.

Dobrze.

— Colton — mówi jeszcze raz moje imię, a ja
gryzę
się
w

język.

Niech

cierpi.

—

Potrzebujesz czegoś? Ja... jestem zaskoczona
twoim telefonem...

— Naprawdę? Jesteś zaskoczona? — Sarkazm
kapie z moich słów jak olej ze starego silnika.

— A to niby czemu?

Próbuje coś wyjąkać, ale wszystkie wyrazy
urywają się po pierwszej sylabie.

— Daruj sobie, Tawn. Powiedz mi tylko jedną
rzecz: *dlaczego?*

Kiedy ona się taka stała? Kiedy zmieniła się z
mojej licealnej miłości w tę krętaczkę i
manipulatorkę, z którą właśnie rozmawiam?

Co ja, do cholery, przegapiłem?

—

Dlaczego?

—

odpowiada

pytaniem,

przeciągając to słowo. Tak długo byliśmy
przyjaciółmi, że wiem, iż zarzuca wędkę.

Szuka jakiegokolwiek wskazówki, żeby ją wykorzystać lub przekręcić to, co zamierzam powiedzieć, tak, aby najlepiej pasowało jej interesom.

Mam dość. W jej przypadku, uwzględniając jej pieprzone kłamstwa, to już dawno nie jest niewinna rutyna. Przynajmniej teraz ją widzę.

Po tym, co zrobiła Ry i próbuje teraz zrobić mnie.

Szykuj się do walki, złotko.

— Tak, dlaczego? — odszczekuję. — Dlaczego te cholerne kłamstwa przeszły ci przez tę idealną buźkę? Dlaczego wykorzystywałaś mój wypadek, żeby...

— Colton, ja nie próbowałam...

— Zamknij się, Tawny! Nie interesują mnie twoje żalosne wymówki! — krzyczę na nią, bo w końcu kontroluję sytuację i cieszę się, że mogę to wszystko z siebie wyrzucić. Uwolnić całą wściekłość, cały strach i całą niepewność, które panowały w moim życiu przez ostatnie kilka tygodni.

pozostawiły

po

sobie

dezorientujący chaos, w którym poruszałem

się tak, jak w dymie w trakcie wypadku, z

nadzieją, że szczęśliwie przejadę na drugą

stronę. — Nie próbowałaś czego?

Jestem wściekły do granic możliwości. Muszę

się ruszyć. Muszę spalić trochę energii, więc

otwieram drzwi samochodu i zaczynam

kroczyć tam i z powrotem. Wolną ręką

przezesuję włosy, a moje stopy uderzają

głucho o pieprzoną ziemię.

— Nie próbowałaś wykorzystać mojego

wypadku i tego, że *miałem namieszane w*

głowie, żeby zdobyć to, czego chcesz? Nie powiedziałaś mi, że cię pieprzyłem, chociaż

tego nie zrobiłem? Nie próbowałaś złapać

mnie na swoje nieślubne dziecko? *Jak bardzo*

trzeba być popieprzonym? Jakim trzeba być śmieciem, żeby coś takiego zrobić, Tawn? Co?

Możesz mi powiedzieć, dlaczego kobieta,

którą znałem i która kiedyś była moją

przyjaciółką,

upadła

tak

nisko,

że

wykorzystywała dziecko do tego, żeby mnie odzyskać?

Ten parking jest za mały, żeby ulżyć mojej potrzebie rozchodzenia toczącej mnie w środku furii, bo im bardziej myślę o tym, co próbowała mi zrobić, tym bardziej się wściekam.

Dobrze, że siedzi cicho, myślę sobie, gdy nie odpowiada ani słowem. Po drugiej stronie linii słyszę tylko płaczliwe pojękiwania.

— I pomyśleć, że kiedyś się o ciebie troszczyłem.

Niewiarygodne,

Tawn.

—

Potrząsam głową i przełykam olbrzymią gulę powietrza. — Tak traktujesz ludzi, których kochasz? Wykorzystujesz dziecko, żeby ich zmanipulować?

Oszukujesz,

żeby

zdobyć

miłość?

— Dostałeś wyniki. — To nie pytanie, tylko

ciche stwierdzenie, które wypowiada ze

złowieszczym spokojem.

Czyli wie.

— Tak, dostałem wyniki — mówię cicho, lecz

tak ostro, że lepiej, żeby rozejrzała się za

jakąś osłoną. — Już raz ze mną pogrywałaś,

Tawn. Rozwiązałem to najdelikatniej, jak się

dało, ze względu na więź między naszymi

rodzinami. — Opieram się o samochód i

potrząsam głową z niedowierzaniem. Mój puls

szaleje i mam przyspieszony, płytki oddech. —

Ale najwyraźniej miałaś to gdzieś, skoro

zasadniczo znowu ze mną pogrywałaś. I to

próbując wmówić mi coś, co jak wiesz,

kompletnie by mnie zniszczyło. Sugeruję więc,

żebyś słuchała bardzo uważnie, bo powiem to

tylko raz. Skończyłem z tobą raz na zawsze.

Nie kontaktuj się ze mną. A już na pewno nie

kontaktuj się z Ry. A imprezy rodzinne? —

Śmieję się, chociaż na pewno nie ze szczęścia.

— Wymyśl jakiś ból brzucha, grypę lub inny

powód, żeby się nie pojawić. Rozumiemy się?

Byłaś moją przyjaciółką, a teraz jesteś...

nikim.

— Proszę, posłuchaj mnie — błaga, a jej głos, który kiedyś tyle dla mnie znaczył, zupełnie na mnie nie działa. W ogóle. — Nie bądź taki zimny...

— Zimny? — krzyczę na nią, a moje ciało wibruje z gniewu. — Zimny? Zimny? Lepiej przygotuj się na arktyczny lód, bo z nami koniec. Jesteś dla mnie martwa, Tawny. Nie mam nic więcej do powiedzenia — kończę i rozłączam się mimo, że słyszę szloch na drugim końcu linii. Opieram się dłońmi o samochód i próbuję to wszystko zrozumieć.

Jak przyjaciółka z dzieciństwa mogła mi coś takiego zrobić?

Nagle

uświadamiam

sobie,

że

to

jest

kompletnie nieważne. Ani *dlaczego* ani *po co*.

Bo mam teraz Ry.

Jasny gwint. Tak bardzo skupiłem się na sobie, że zapomniałem o powodzie, dla którego to zrobiłem.

Rylee.

Wsiadam do auta i szukam jej w telefonie.

Sekundę zajmuje mi znalezienie jej wśród

ostatnich

połączeń.

Słyszę

sygnał,

ale

cholernie się niecierpliwię.

— No dalej, Ry! — Uderzam w kierownicę

pięścią. Sygnał przenosi się na głośniki w

samochodzie.

— Hej! — mówi Ry ze śmiechem.

Ten głos. *Mój Boże*, ten beztroski głos chwyta mnie za pieprzone serce i ściska mnie tak

mocno, że nie mogę złapać oddechu. To tak,

jakby nagle wszystkie ściemy związane z

Tawny i wypadkiem zniknęły i chociaż nie

potrafię złapać tchu, po raz pierwszy czuję, że

mogę spokojnie odetchnąć. Czy nie tak

powinno być? Pieprzona jasność sytuacji i w

ogóle.

Chcę coś powiedzieć, ale nie potrafię. Co jest,

do cholery? Jakbym chciał powiedzieć jej

wszystko naraz i nie wiedział, od czego

zacząć. Wybucha śmiechem, szaleńczym
śmiechem wariata, bo jestem pod jakimś
beznadziejnym centrum handlowym i teraz
mnie to uderza.

— Dobrze się czujesz? — pyta tym swoim
seksownym tonem.

— Taa — wykrztuszam przez śmiech. — Ja po
prostu...

Słyszę w głośniku wyraźny chichot i milknę. To
Zander, a ja po raz pierwszy słyszę jego
śmiech, którego brzmienie otwiera mnie na
wskroś jak nóż do filetowania. Niech to, chyba
kompletnie zniewieściałem, bo jestem teraz
jednym wielkim kłębkim emocji.

— Weź swoją rękawicę z ogrodu i ruszamy,
dobrze? — Słyszę, że się zgodził. — Sorry, ale
musisz mi powiedzieć, co cię tak rozbawiło.

Zaczynam mówić, chcę jej powiedzieć o

wynikach

badań,

lecz

przerywa

mi

prerażający odgłos, który wdziera się do

mojej piersi i rozrywa moje niepokorne serce.

— Co to, do cholery, było? — mówię to zbyt
późno, bo mimo pisku przypominającego
skomlenie rannego zwierzęcia, które walczy o
życie, słyszę, jak Rylee się przemieszcza.

Przewraca mi się w żołądku z powodu tego
odgłosu i jej pieprzonego milczenia. — Ry?

Powiedz mi, co się dzieje? Ry?

— Nie, nie, nie, nie! — mówi, a jej głos

emanuje

taką

mieszanią

strachu,

niedowierzania, szoku i oporu, że przechodzą

mnie

ciarki

i

automatycznie

zapalam

samochód i wrzucam bieg.

— Ry, na litość boską! Mów do mnie! Co się

tam

dzieje?

—

krzyczę

do

telefonu

spanikowany, ale słyszę tylko jej ciężki oddech.

I łkanie. — Rylee!

— Nie możesz go zabrać — mówi złowieszczo

spokojnym głosem, który brzmi bardzo

odległe. Wpycham się przed jakiegoś palanta

na sąsiednim pasie.

— Kto tam jest, Ry? *Proszę, powiedz mi,*

kochanie — błagam i jestem tak przerażony, jak w młodości, gdy czułem żółć w ustach.

Przerażony do szpiku kości. Nie umiem się

zdecydować, żeby zadzwonić na 911, bo to

oznaczałoby konieczność rozłączenia się z nią.

A wtedy już bym jej nie słyszał i nie

wiedziałbym, czy wszystko z nią w porządku.

— Ty pierdolona suko! — słyszę w głośniku.

Rylee krzyczy z bólu, po czym połączenie się

przerywa.

— Nie! — krzyczę i uderzam dłonią w

kierownicę. Mimo rozmytego wzroku próbuję

wpisać na telefonie 911, ale palce tak mi drżą,

że udaje mi się dopiero za trzecim razem.

— Co się stało? — odbiera bezosobowy

kobięcy głos.

— Proszę, pomóżcie im. Oni krzyczą i... oni krzyczą! — błagam.

— Kto krzyczy, proszę pana?

— Rylee i Zand... — Nie potrafię jasno myśleć.

Lód płynie w moich żyłach, a w głowie mam tylko to, że muszę jakoś do nich dotrzeć, przez co nie zdaję sobie sprawy z tego, że gadam od rzeczy. — Proszę, ktoś tam jest i...

— Proszę pana, jak pan ma na imię? Jaki to adres?

— Co-Colton — jąkam się, bo uświadamiam sobie, że nawet nie znam pieprzonego numeru domu. Tylko ulicę. — Switzerland Avenue.

Kurwa. Kurwa. Trzymaj się, mała. Trzymaj się. Jadę. Mówię to bez przerwy swojemu drżącemu ciału.

— Jaki to adres, proszę pana?

— Nie mam zielonego pojęcia! — krzyczę do operatorki. — Dom z tymi wszystkimi pieprzonymi reporterami przed wejściem. W środku została tylko ona i mały chłopczyk.

Proszę! Szybko!

Gdy podnoszę wzrok znad telefonu po

zakończeniu

rozmowy,

muszę

przycisnąć

hamulec do dechy, bo inaczej uderzyłbym w

ogrodzenie.

— Kurwa! — wrzeszczę, przyciskając klakson,

jakby był moim kołem ratunkowym.

Rylee.

Tylko o niej myślę.

Rylee.

Boże, proszę, nie.

Rozdział 27.

— Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.

Spider-Man. Batman... — Zander powtarza w

kółko, siedząc za mną w kącie podwórka.

Tylko to przebija się przez szum w mojej

głowie po otrzymanym ciosie. Zander zakrywa

dłońmi uszy i kiwa się, zamykając się w sobie.

Ucieka przed światem, w którym źli mężczyźni

grożą bronią, a ojcowie zabijają nożem swoje

żony.

Problem polega na tym, że w jego świecie jest

taki mężczyzna.

Rejestruję to wszystko w ułamku sekundy po
otrzymaniu ciosu, gdy moje ciało zostaje
odrzucone w tył i skręca się od siły uderzenia,
a mój chłopiec kuli się w sobie. Czas staje w miejscu, po czym rusza w zwolnionym tempie.
Ból policzka i oka w żaden sposób nie tłumi
strachu, jaki odczuwam, kiedy podnoszę
wzrok, żeby spojrzeć w oczy mężczyźnie,
który snuł się za mną od kilku tygodni. Spadła
mu czapka i okulary przeciwsłoneczne i teraz
dopiero zaczynam rozumieć.

Znam tego mężczyznę.

Widziałam go wcześniej.

To

facet,

który

na

parkingu

Target

spowodował, że przeszły mnie ciarki. To facet

z

ciemnoniebieskiego

sedana,

którego

widziałam przed Domem chłopców i moim

domem. Gdy jest bez czapki i okularów, widzę w nim Zandera. Wiem, czemu wtedy na parkingu wydawał mi się znajomy. Ma takie same oczy, te same rysy twarzy. Jego włosy są nieco dłuższe i ciemniejsze, ale podobieństwo jest uderzające.

Patrzę na matowo czarny metal wymierzonego we mnie pistoletu, po czym wracam do jego oczu, ciemnych i pozbawionych emocji, które zerkają to na mnie, to na Zandera nucącego z tyłu swoją mantrę z superbohaterami.

— Co ty mu zrobiłaś? — krzyczy na mnie, wskazując pistoletem Zandera, po czym z powrotem wymierza broń we mnie. — Czemu on to robi? Odpowiedz mi!

Spokojnie, Rylee. Tylko spokojnie.

— On... on jest przerażony.

To ty mu to zrobiłaś! Ty mu to zrobiłaś, ty beznadziejna mordująca

kupo

gówna!

Chciałabym mu to wszystko wykrzyczeć, hamuję się jednak, próbując ukryć strach i uniknąć jękania. Próbuję się skupić na

łomotaniu serca i liczyć uderzenia w uszach,
żeby się uspokoić. Czuję strumyki potu
spływające między łopatkami i piersiami.

Czuję

zapach

strachu,

a

mój

żołądek

przewraca się na myśl, że to mój zapach.

Połączony z jego zapachem.

I tej myśli się trzymam.

Że on też jest przerażony.

Myśl, Ry. Myśl. Nie mogę go denerwować i muszę chronić Zandera. Nie mam pojęcia, jak

to pogodzić. Nieokiełznany strach miesza mi w

głowie i utrudnia mi logiczne myślenie. Nad

tym, co powinnam zrobić, bo wiem, że ten

człowiek już raz kogoś zabił. Zabił matkę

swojego dziecka i swoją żonę.

Co go powstrzyma przed zabiciem mnie?

Nie ma nic do stracenia.

To przeraża mnie bardziej niż cokolwiek

innego.

Z trudem przełykam ślinę i rozglądam się

szybko po całym dziedzińcu. Na ziemi przy wejściu leży jego aparat i fałszywa przepustka dziennikarska.

Na brzegu trawnika dostrzegam swój telefon, który wypadł mi, gdy dostałam cios. Natychmiast myślę o Coltonie. Chwytam się myśli, że mnie usłyszał, że wie, iż mam kłopoty, że zadzwoni po pomoc. Bo jeśli nie, to nie mam szans ochronić Zandera przed tym szaleńcem. Ani siebie.

Łzy mnie pieką, a opuchlizna pod okiem w miejscu, w które mnie trafił, boli jak cholera.

Ze strachu trzęsą mi się ręce i rwie się oddech, a coraz głośniejsza mantra Zandera zwiększa poziom stresu w całej tej sytuacji.

Jedyne, na czym potrafię się skupić, to zawodzenie tego małego chłopca, który stracił wszelką nadzieję. Z każdą chwilą jego szeptane słowa przybierają na sile, jakby próbował zagłuszyć głos swojego ojca.

— Cze... czego pan chce? — pytam w końcu, wyczuwając, że dawno stracił kontakt z

rzeczywistością. A ja nie wiem, jak się

dogadać z szaleńcem.

Robi krok w moją stronę, taksując spojrzeniem

moje ciało. Chociaż wszystkie moje nerwy były

już

pobudzone,

jego

martwy

wzrok

prześlizgujący się po moim ciele skłania je do ponownego uderzenia na alarm. Sygnały

ostrzegawcze wibrują boleśnie w moim

żołądku i są tak intensywne, że muszę walczyć

z odruchem wymiotnym.

Podnosi broń. Zamieram, gdy przejeżdża lufą

w górę i w dół mojego policzka. Zimna stal,

nieubłagana rzeczywistość metalu na ciele

oraz to, co to oznacza, zamrażają mi krew w

żyłach.

— Całkiem ładna z ciebie sztuka, *Rylee*. —

Prawie wymiotuję, gdy wypowiada moje imię w

taki sposób, jakby pieprzył je swoim językiem.

Ściska dłonią moje policzki i zbliża się do mnie

na odległość kilku centymetrów. Łzy płyną mi

po twarzy. Chcę być twarda. Chcę mu

powiedzieć, żeby się odwalił. Chcę krzyknąć

do Zandera, żeby uciekał i sprowadził jakąś

pomoc.

Chcę

błagać

o

pomoc

Boga,

kogokolwiek. Chcę powiedzieć Coltonowi, że go kocham. Ale żadna z tych rzeczy nie jest

teraz możliwa. Drżą mi kolana, a zęby próbują

szczękać w jego żelaznym uścisku. Ma w

garści

wszystko,

czym

jestem:

moją

przyszłość, moje możliwości, mój kolejny

oddech.

Zbliża się jeszcze bardziej i wbija mi palce

mocniej w policzki. Czuję na ustach jego

oddech i z moich ust wydobywa się jęk

strachu.

— Pytanie brzmi, *Rylee*... jak daleko się

posuniesz, żeby ochronić jednego ze *swoich*

chłopców?

— *Pierdol się* — rozsypane słowa wypadają z moich ust, zanim zdążę je powstrzymać, bo wściekłość usuwa filtr między głową i językiem. Ułamek sekundy później czuję cios w brzuch, po którym zataczam się w tył.

Łąduję z hukiem na betonowym tarasie, uderzając ramionami i głową w drewniany płotek.

Pożerający mnie strach zostaje przyćmiony przez ból po ciosie. Upadłam niedaleko Zandera, więc przeczołguję się jak najszybciej do niego i przytulam go, starając się go ochronić najlepiej jak mogę. Wiem, że jego ojciec stoi za mną, bo czuję wymierzoną we mnie broń, ale kołyszę Zandera.

— Nie bój się, Zand. On cię nie skrzywdzi. Nie pozwolę, żeby cię skrzywdził — mówię przyciszonym głosem, ale Zander nie przestaje się kołysać i wciąż powtarza swoją mantrę.

Jestem tak przerażona, że zaczynam ją powtarzać razem z nim i siedzimy tak na dziedzińcu, który zbudowano na nadziei, lecz który przypuszczalnie za chwilę zostanie splamiony przemocą.

— Przyszedłem zabrać mojego syna. — Jego
głos już wcześniej był zimny, ale teraz jest
idealnym
odzwierciedleniem
stali
jego
pistoletu.

— Nie — odpowiadam. Drżenie głosu zdradza,
że jestem mniej pewna, niż mi się wydaje.

— Czy ty, do cholery, nie wiesz, kim jestem? —
ryczy, stukając mnie lufą w plecy. Jej twardy
koniec wbija się głęboko między łopatki. —
Czas, żebyś odsunęła się od mojego syna.

Zaciskam pięści, żeby powstrzymać drżenie
rąk, bo nie chcę, żeby Zander widział, jak
bardzo jestem przerażona. Ojciec też lepiej,
żeby tego nie wiedział. Ciałem Zandera
zaczyna targać szloch, a ja jeszcze bardziej
utwierdzam się w przekonaniu, że nie mogę
pozwolić ojcu się do niego dobrać, mimo iż
zalewa mnie zimny pot i czuję strach w sercu.
Muszę ochronić Zandera za wszelką cenę, bo
nikt inny tego wcześniej nie zrobił.

Lufa wbija mi się głębiej w żebra. Przełykam

ukłucie bólu, chociaż łzy spływają mi po policzkach. Zaczynam szarpać zębami dolną wargę, bo za chwilę będę musiała wstać. A potem odwrócić się i pokazać mu, że się go nie boję. Muszę odegrać przed nim rolę życia, jeśli chcę ocalić tego małego chłopca.

— Już! — ponagla mnie ojciec. Wzdrygam się, gdy jego ostry głos przebija się przez monotonną mantrę Zandera.

Nachylam się do ucha chłopca i próbuję zatrzymać jego kiwanie. Mam nadzieję, że moje słowa do niego dotrą. Że przebiją się do świata, w którym się schronił przed strachem i wspomnieniami związanymi z ojcem.

— Zander, posłuchaj mnie — mówię. — Nie pozwolę mu cię zabrać.

Obiecuję.

Superbohaterowie

przyjdą.

Pojawią

się,

rozumiesz? Teraz wstanę, a gdy powiem

„Batman”, chcę, żebyś pobiegł ile sił w nogach do domu, dobrze? Zapamiętaj: *Batman*.

W chwili, gdy kończę mówić, facet odrywa lufę od moich pleców i kopie mnie w lewy bok.

Krzyczę z bólu i przytulam mocniej Zandera, a

siła

ciosu

popycha

nas

na

drewniane

ogrodzenie, przy którym siedzimy.

— Wstawaj, *Rylee*.

— Pamiętaj: *Batman* — powtarzam i zaciskam

zęby, próbując oddychać mimo bólu. Zmuszam

się do wstania na drżących nogach. Biorę

głęboki wdech i odwracam się twarzą do ojca

Zandera.

— Twarda z ciebie sztuka! — Uśmiecha się

ironicznie. — *Lubię*, gdy moje kobiety są twarde.

Przełykam gulę w gardle i zmuszam się do

tego, by mój głos zabrzmiał równo.

— Nie pozwolę ci go zabrać.

Wybuchła głośnym śmiechem, odchylając głowę do tyłu, po czym z powrotem spogląda na mnie. Zastanawiam się, czy właśnie nie przegapiłam jedynej szansy na to, by kazać Zanderowi biec. Serce mi staje w miejscu na tę myśl.

— Cóż, nie sądzę, żebyś była na pozycji umożliwiającej mówienie mi, *co mogę i czego nie mogę* robić. Prawda?

Rozpaczliwie

szukam

w

głowie

jakiejś

odpowiedzi. Muszę jakoś okiełznać nerwy,

które

zaczynają

brać

nad

nim

górze.

Jednocześnie jednak potrzebuję czasu. Im

dłużej to przeciągnę, tym większa szansa, że

nadejdzie pomoc.

— Przed domem stoi mnóstwo reporterów. Jak zamierzasz z nim wyjść?

Znowu wybucha śmiechem, a ja wiem, że ten odgłos będzie mnie prześladował do końca życia.

— I tu się mylisz. Wszyscy pojechali za twoim wspaniałym chłopakiem. — Nachyla się bliżej i przystawia

broń

do

mojej

twarzy.

—

Zostaliśmy tylko ja, ty i Zand. I co na to powiesz, hę?

Przysięgam, że cała krew spłynęła mi do stóp,

bo kręci mi się w głowie i nie potrafię się

skupić na utrzymaniu pozycji stojącej. Po

chwili udaje mi się odzyskać równowagę i

zobaczyć coś przez ciemność przed oczami.

Muszę wymyślić, co zrobić.

Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to

rozproszyć go jakoś, rzucić się na broń i

krzyknąć Zanderowi, żeby uciekał.

Ale jak?

Kiedy?

Wydaje mi się, że całą wieczność stoimy w tym milczącym, wymuszonym układzie i nie ma wątpliwości, kto dzierży całą władzę. Czas się rozciąga, a jego dłoń zaczyna drżeć, mięśnie jego twarzy drgają i cały lśni od potu.

Niestabilność sytuacji potęguje narastająca mantra Zandera w tle.

— Każ mu się zamknąć, do cholery! — krzyczy na mnie i rozgląda się nerwowo po całym podwórku niczym uwięzione zwierzę, które nie ma jak się ruszyć.

Truchleję, gdy słyszę hałas za plecami ojca.

Serce podchodzi mi do gardła, bo pies

sąsiadów

zaczyna

wściekle

ujadać

za

ogrodzeniem. Ojciec Zandera odwraca się

razem z bronią w stronę hałasu. Działam pod

wpływem instynktu, nie myśląc o możliwych

konsekwencjach.

— BATMAN! — krzyczę, rzucając się na niego.

Zderzam się z nim, a siła uderzenia mojego
szczupłego ciała o jego ciało wytrąca mi z
głowy wszystkie myśli poza nadzieją, że
Zander mnie usłyszał. Że dotarłam do niego i
biegnie, żeby się uratować, bo jeśli mi się nie
uda, to właśnie przypieczętowałam swój los.

Ogłuszający huk.

Uwalniający się z lufy pocisk.

Wstrząs ciała od siły odrzutu.

Mój krzyk, pierwotny wrzask, który słyszę, ale
nie rozpoznaję jako własny. Potem wszystko
cichnie. Tracę oddech, gdy uderzamy o ziemię.

Łąduję na nim i przez sekundę jestem
kompletnie ogłuszona, po czym próbuję od
niego uciec. Muszę zdobyć broń i upewnić się,
że Zander uciekł.

Z trudem odpycham się od tego podłego
mężczyzny. W głowie słyszę tylko: *bierz broń,*
bierz broń, bierz broń, ale ślizgam się na czymś dłonią. Odskakuję w tył i czuję, jak
promieniuje we mnie ból pomieszany z paniką.

Łąduję z hukiem na pośladkach, a wstrząs
przechodzi wzdłuż kręgosłupa i wytrąca mój
umysł z szoku, w którym tkwił.

Przestaję się skupiać na mężczyźnie i patrzę
na
krew
na
trzęsących
się
dłoniach.

Zauważam krew na koszulce z nadrukowaną
maskotką drużyny Ricky'ego. Gorączkowo
przeszukuję wszystkie zakamarki umysłu, by
znaleźć jakieś rozwiązanie, bo widok takiej
ilości krwi przyprawia mnie o zawroty głowy.

Jestem zagubiona.

I przerażona.

Kręci mi się w głowie.

Mój świat spowija się w czerni.

Rozdział 28.

— Kochanie, ocknij się, proszę.

Colton? Kręci mi się w głowie, ale słyszę jego głos i czuję w pobliżu jego zapach. Próbuję
rozszyfrować, co się właściwie dzieje. Powieki
wydają się tak ciężkie, że nie jestem w stanie
ich na razie otworzyć.

— Przepraszam, musi mi pan pozwolić
zbadać...

— Nigdzie się stąd nie ruszam!

W tych ciemnościach jest tak ciepło, miło i bezpiecznie, ale skąd się wziął tutaj Colton...

Wtedy wszystko mi się przypomina i uderza falą przytłaczających emocji. Próbuję wstać.

— Zander! — ledwo skrzeczę jego imię, mocując się z ramionami, dłońmi i wszystkim innym, co nie pozwala mi wstać.

— Ciiiiiii! Wszystko w porządku, Ry. Wszystko w porządku.

Colton.

Natychmiast z ulgą opadam na ziemię. Colton tu jest. Otwieram oczy, które już toną we łzach, i to jego pierwszego widzę. Mój as.

Promień światła w całym tym mroku. Spogląda mi w oczy głęboko zatroskanym wzrokiem i wymuszonym uśmiechem przyklejonym do tych zniewalających ust.

— Nic ci nie jest, kochanie.

Mrugam nerwowo, bo zauważam całą resztę, całą tę gorączkową bieganinę na podwórku, wszystkich policjantów i lekarzy.

— Zander. Pistolet. Ojciec. — Mój umysł wyławia pojedyncze słowa, bo nie nadążam z

wypowiedzeniem swoich myśli. Rozglądam się nerwowo i skupiam się na grupce mężczyzn pochylonych nad czymś niedaleko mnie. Powtarzam te słowa, aż w końcu Colton nachyla się i całuje mnie w usta. Czuję słony smak i próbuję się domyślić, dlaczego miałby płakać. Gdy się ode mnie odrywa, jego uśmiech jest nieco mniej niepewny.

— Moja dziewczyna — mówi łagodnie, głaszcząc mnie po włosach, policzkach i twarzy. — Nic ci nie jest, Ry. Zanderowi też nic nie jest. — Opiera czoło na moim czole.

— Ale krew...

— Nie twoja — przerywa mi, a jego usta unoszą się w uśmiechu ulgi. — Nie twoja — powtarza. — Zachowałeś się niesłychanie głupio i jestem za to zły na ciebie, ale gdy rzuciłeś się na broń, policjanci oddali strzał.

Jego krew, kochanie. To jego krew. Nie żyje.

Wstrzymuję oddech. Czuję, jak kamień spada mi z serca, i uświadamiam sobie, jak bardzo potrzebowałam tej ulgi. Wraz z nią nadchodzą łzy. Ostry, targający ciałem i oczyszczający ze wszystkiego szloch. Colton pomaga mi usiąść i przyciąga mnie do siebie, na swoje kolana.

Przytula mnie mocno, udzielając wsparcia i

zapewniając bezpieczeństwo. Chowa głowę w
mojej szyi i całkowicie do siebie przywieramy.

— Zanderowi nic się nie stało. Jest w środku.

Jax został z chłopcami, żeby nie musieli
oglądać i doświadczać tego, co się stało.

Zadzwoił po Avery, żeby przyjechała do
Zandera. Jedzie też do nas terapeutka, która
pomoże mu, jeśli będzie tego potrzebował —
tłumaczy, znając moje obawy i rozpraszając je
kolejno każdym wypowiedzianym słowem. — A
ty... gdzie cię boli?

— Proszę pana, czy możemy...

— Jeszcze nie! — Colton odszczekuje głosowi
za moimi plecami. — Jeszcze nie — mówi tak
cicho, że ledwo go słyszę, po czym przytula
mnie jeszcze mocniej, upajając się moim
zapachem. Jestem teraz w pełni świadoma,
rejestruję
aktywność
wokół
ciała
ojca

Zandera. Wydawało mi się, że rozumiem
podejmowane ryzyko, ale nagle czuję spazmy,

targające ciałem Coltona, który próbuje

opanować cichy szloch.

Już po mnie. Nie wiem, co zrobić, gdy ten silny

mężczyzna rozpada się w milczeniu na

kawałki. Zaczynam się ruszać, żeby się do

niego odwrócić, ale on ściska mnie jeszcze

mocniej.

— *Proszę* — błaga mrukliwym głosem. — Nie chcę cię jeszcze wypuszczać. Jeszcze tylko

minutkę.

Więc pozwalam się trzymać.

Pozwalam się przytulać na tym trawniku, na

którym przemoc próbowała pozbawić Zandera

nadziei po raz ostatni.

Colton zamyka za mną drzwi range rovera i

zajmuje miejsce kierowcy. Przejeżdża przez

blokadę policji i błyskające flesze reporterów

czekających pod Domem. Za nami trzy bardzo

długie godziny. Trzy godziny przesłuchań i

mówienia o wszystkim, co zapamiętałam z

wydarzeń za domem. Pamiętam, że

opowiadałam, jak kazałam Zanderowi biec na

hasło „Batman”. I że Colton patrzył na mnie

dziwnie, gdy odmówiłam pomocy medycznej i

badania w szpitalu. Przypomina mi się jego
rosnąca wściekłość, kiedy powtarzałam
wypowiedzi ojca Zandera i opowiadałam o
jego atakach. Podpisywanie zeznań i
fotografowanie moich siniaków. Odebrałam
też telefony od Haddie i moich rodziców,
których zapewniłam, że nic mi nie jest i że
później im wszystko wytłumaczę.

Trzy godziny czułam się bezradna, bo nie
mogłam pocieszyć chłopców i powiedzieć im,
że nic mi nie jest. Terapeuta uznał, że najlepiej
będzie, jeśli nie zobaczą mojego podbitego oka
i napuchniętego policzka, bo to może
odgrzebać ich trudne historie. Trudno mi było
się pogodzić z tym, że nie mogę im pokazać, że
wszystko ze mną w porządku. Pocałowałam
Zandera i tuliłam go tak długo, jak mogłam,
chwaląc go w kółko za to, że był taki dzielny.

Tym razem pomógł kogoś ocalić. Wiem, że nie
jestem jego matką, ale chciałam zmniejszyć
jego poczucie winy i złagodzić poczucie
bezzadności.

Wjeżdżamy na autostradę. W samochodzie
jest cicho, nie licząc głosu Roba Thomasa,

który jak na ironię śpiewa *Unwell*. Colton nie mówi ani słowa, chociaż ścisza kierownicę tak mocno, że bieleją mu kostki. Wyczuwam emanującą z niego falami wściekłość, ale jedyny powód, jaki przychodzi mi do głowy, to to, że ryzykowałam swoje życie.

Zatapiam się w fotelu i zamykam oczy, ale muszę je natychmiast otworzyć, bo od razu widzę *jego* oczy, czuję zimną stal na policzku i słyszę mantrę Zandera w tle.

Chcę jakoś złagodzić napięcie między mną i Coltonem, bo naprawdę go teraz potrzebuję.

Na nic mi się nie przyda, jeśli zamknie się w krainie wkurzonego Coltona. Wolałabym, żeby mnie objął. Chciałabym poczuć ciepło jego oddechu

na karku.

Chciałabym

poczuć bezpieczeństwo, które zawsze czuję w jego obecności.

— Robił to, co mu powiedziałeś — mówię tak cicho, że nie wiem, czy w ogóle mnie słyszy.

Wyjawiam jedyną rzecz, którą zataiłam przed policją.

Czułam,

że
zdradzając
to,
zawiodłabym zaufanie, jakim mnie obdarzył.

Po
kilku
minutach
słyszę
jego
głośne
westchnienie i widzę, że na mnie zerknął.
Dodaję więc: — Gdy wyszłam na zewnątrz,
Zander był skulony i przez cały czas, gdy tam
byliśmy, wzywał twoich superbohaterów.
Wydaję z siebie bezwiedny krzyk, bo Colton
przy akompaniamencie klaksonów gwałtownie
przecina dwa pasy i z piskiem opon hamuje na
poboczu. Zanim zdążę odzyskać oddech lub
odpiąć pas, wypada z samochodu i przechodzi
przodem w stronę barierki. Patrzę na niego i
próbuję się domyślić, o co, do cholery, mu
chodzi. Samochód się zepsuł? Obserwuję, jak
przechodzi obok moich drzwi do tyłu, a potem
wraca.

Mija

przód,

lecz

idzie

dalej.

Zatrzymuje się po około trzech metrach i
widzę, jak zwrócony plecami do mnie
wrzeszczy na całe gardło. Nigdy nie słyszałam
u niego tak dzikiej wściekłości.

Myślałam wcześniej o tym, żeby wysiąść, ale w
takich okolicznościach na pewno tego nie
zrobię. Widzę napięcie w jego barkach, które
unoszą się i opadają w rytm ciężkiego
oddechu. Zaciska dłonie w pięści, jakby
szykował się do walki. On kontra świat.

Nie mogę oderwać od niego wzroku i próbuję
rozszyfrować, co się dzieje w jego głowie. Po
jakimś czasie odwraca się, idzie w stronę
moich drzwi i otwiera je na oścież. Spoglądam
na niego i widzę zaciśnięte zęby i napięty
kark. W końcu patrzę mu w oczy. Próbuję
odczytać to, co mi przekazują, ale jest to tak sprzeczne z jego mową ciała, że dochodzę do
wniosku, iż muszę się mylić. Widzę pulsujący
mięsień jego szczęki, gdy wyciąga dłoń w

stronę mojego policzka, po czym ją cofa.

Przechyliłam pytająco głowę, a moja dolna

warga

zaczyna

drżeć,

bo

jestem

już

przeładowana tym wszystkim, co się dzisiaj

wydarzyło. Zerka na moje usta, dostrzega

moją rozsypkę i sekundę później zostaje

przyciśnięta do jego piersi. Jedną rękę trzyma

na moich plecach, a drugą z tyłu mojej głowy i

przytula

mnie

do

siebie

z

absolutną

desperacją.

Stoimy w tym zespoleniu i moje łzy kapią na

jego koszulkę.

— Nigdy w życiu nie czułem się tak bezradny

— wyznaje pełnym emocji głosem i przytula

mnie jeszcze mocniej. — Jestem teraz

strasznie wściekły i nie wiem, jak sobie z tym poradzić. — Słyszę w jego głosie czającą się tuż pod powierzchnią furję.

— Już po wszystkim, Colton. Nic nam się nie stało...

— Miał cię w swoich pieprzonych rękach! —

krzyczy,

odpychając

się

ode

mnie

i

przechodząc kilka kroków. Potem odwraca się

i przeczesuje dłonią włosy. Patrzy na mnie

blagającym o wybaczenie wzrokiem, chociaż

nie ma o co błagać, bo nie zrobił niczego

złego. — Miał cię w swoich pieprzonych

rękach, a mnie przy tobie nie było! Nie

ochroniłem cię, chociaż to właśnie powinienem

robić, Rylee! Chronić cię! Opiekować się tobą!

A ja nie mogłem! Kurwa, nie mogłem! —

Spuszcza wzrok na żwir na poboczu drogi. Ból

w jego głosie mnie dobija, rozrywa mnie na

kawałki, bo przecież zrobił wszystko, co mógł
zrobić, ale wiem, że nie ma sensu mu tego
mówić.

Gdy podnosi wzrok, w jego oczach lśnią łzy.

— Szamotałem się z policjantem pilnującym
blokady. Wsadzili mnie na tył samochodu,
żebym się uspokoił, bo próbowałem dostać się
do domu, nie czekając na nich. Słyszałem cię

przez

telefon,

Rylee,

potem

te

słowa

rozbrzmiewały mi w głowie na okrągło, a ja

nie mogłem się do ciebie dostać. — Potrząsa

głową, a po jego policzku spływa samotna łza.

— Nie mogłem się do ciebie dostać. — Głos mu
się załamuje.

Przesuwam

się,

żeby

wysiąść,

ale

on

zatrzymuje mnie dłonią, żebym pozwoliła mu
dokończyć.

— Broń wypaliła — mówi i widzę, że z całych
sił walczy z naporem przytłaczających go
emocji — i myślałem... myślałem, że to ty. Te
kilka minut po tym, jak Zander wybiegł przed
dom z krzykiem, a ja czekałem na ciebie, lecz
ty nie wychodziłaś... Ja pierdolę, Ry, posypałem
się. Kompletnie się posypałem.

Podchodzi o krok bliżej, ocierając łzę
wierzchem
dłoni.

Przełykam

emocje

wzbierające mi w gardle.

— Upewniłem się, że z Zanderem jest
wszystko w porządku, i ruszyłem do środka.

Musiałem się do ciebie dostać, zobaczyć cię,

dotknąć... ale gdy wszedłem do salonu,

zobaczyłem was na trawie. Leżeliście na

plecach i oboje mieliście krew na piersiach. I żadne z was się nie ruszało.

Wchodzi między moje nogi, tworząc więź

fizyczną, której tak desperacko pragnę, i

ujmuje moją twarz w dłonie.

— Myślałem, że cię straciłem. Byłem

przerażony

jak

nigdy

wcześniej,

Ry.

Podbiegłem do ciebie, padłem na kolana, żeby

cię przytulić, pomóc czy... Nie wiem, co ja do

cholery zamierzałem z tobą zrobić, ale

musiałem cię dotknąć. *I okazało się, że żyjesz*

— mówi łamiącym się głosem i opiera czoło o

moje. — Okazało się, że żyjesz — powtarza,

przyciskając usta do moich, i zastygamy w tym

pocałunku. Jego ramiona drgają, a po

policzkach płyną łzy, których słony smak czuję

między naszymi złączonymi wargami.

— Jestem przy tobie, Colton. Nic mi nie jest —

zapewniam go. Opieram czoło o jego czoło i

kładę dłonie na jego karku, a on kładzie swoje

na moim karku. Zewnętrzny świat przemyka

obok z prędkością stu trzydziestu kilometrów

na godzinę, lecz teraz jesteśmy tylko Colton i ja.

Czujemy się, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na

tej planecie.

Akceptujemy to, że wraz z upływem czasu

łączą nas coraz większe emocje.

Próbujemy sobie poradzić ze świadomością, że

nie zawsze będziemy w stanie się nawzajem

ocalić.

Kochamy się tak, jak nie sądziliśmy, że w ogóle

można kochać.

Skręcamy na Broadbeach Road. Trzymamy się

za ręce, zbliżając się do największego

zbiegowiska reporterów, jakie widziałam w

życiu. Colton wzdycha głośno. Nasze emocje

zostały poddane poważnej próbie i

zastanawiam się, ile jeszcze Colton jest w

stanie wytrzymać, zanim pęknie.

Modłę się, żeby ten chaotyczny tłum nie

okazał się kroplą, która przeleje czarę, bo

szczerze powiedziawszy, ja też już mam dosyć.

Pochylam głowę i podnoszę dłoń, żeby zasłonić

spuchniętą część twarzy przed falą błysków,

mimo uderzeń w maskę mających nas skłonić

do podniesienia głów. Powoli jedziemy do

przodu i przejeżdżamy przez otwartą bramę,

przy której Sammy z dwoma ochroniarzami
pilnuje, żeby reporterzy nie dostali się do
środka. Parkujemy, a gdy Colton otwiera mi
drzwi,
uderza
mnie
niesamowity
huk
medialnego zgiełku.

Pomaga mi wysiąść. Krzywię się z bólu, bo
moje ciało zaczęło się usztywniać po tym
wszystkim, co przeszło. Colton zauważa mój
grymas i zanim zdążę się sprzeciwić, bierze
mnie na ręce i niesie w stronę drzwi
wejściowych. Chowam głowę w jego szyi i
czuję jej wibrację, gdy wypowiada imię
Sammy'ego, a potem kiwa głową w jego
stronę.

Nagle jednak staje w miejscu. Nie wiem, co
usłyszał lub co go sprowokowało, ale zawraca
i rusza w stronę bramy na końcu podjazdu.

— Otwórz tę pierdoloną bramę, Sammy! —
wyszczekuje, a ja automatycznie wtulam się
bardziej

w

Coltona,

bo

zalewa

mnie

zagubienie i niepewność.

Słyszę szcęk metalu, szum otwieranej bramy

i rosnący zgiełk reporterów, którzy to widzą.

Gdy dostrzegają Coltona ze mną na rękach,

wpadają w istny szal. Serce kołacze mi jak

oszałałe, bo nie mam pojęcia, co on, do diabła,

zamierza. Trzyma mnie na rękach, a ja

chowam głowę w jego szyi i stoimy tak przez

chwilę pod ostrzałem nachalnych pytań i tak

oślepiających błysków fleszy, że widzę je przez

zamknięte oczy.

Colton przechyla głowę i zbliża usta do mojego

ucha. Mimo tego całego zewnętrznego hałasu

wyraźnie słyszę jego słowa.

— Muszę zrobić coś, co powinienem był zrobić

od razu, gdy to wszystko się zaczęło.

Przepraszam — mówi i całuje mnie w policzek.

— Postawię cię teraz na ziemi, dobrze?

Zastanawiam się, o co mu chodzi, ale potakuję.

Co on zamierza?

Stawia mnie na ziemi.

— W porządku? — pyta, patrząc mi w oczy tak, jakbyśmy byli tu sami. Potakuję, a on posyła mi swój szelmowski uśmiezek i ku mojemu absolutnemu zaskoczeniu wpija się w moje usta w poruszającym duszę i serce intymnym pocałunku, który nie pozostawia żadnych złudzeń co do tego, do kogo należy jego serce. Zawłaszcza mnie ustami i spija mnie jak człowiek umierający z pragnienia.

Zatracam się w nim całkowicie, bo pragnę go równie mocno i przestaję słyszeć otaczających nas ludzi i cykające szaleńczo migawki aparatów, bo niezależnie od zewnętrznego świata wszystko ostatecznie sprowadza się do nas.

W końcu odrywa się ode mnie z westchnieniem i znowu rzuca mi ten swój uśmiezek.

— Jeśli mają się gapić, Ryles... — mówi, wzruszając ramionami, a ja w myślach dokańczam słowa, które powiedział mi w

Vegas:

to

możemy

im

dać

porządne

przedstawienie.

— Zrobiliście sobie porządne zdjęcia? —

wykrzykuje do otaczającego nas tłumu, a ja

patrzę na niego zagubiona. — To teraz

powiem wam, jak możecie je podpisać. Rylee

nie jest żadną rozbijaczką rodzin. To Tawny

nią jest. Która dodatkowo jest pieprzonym

kłamcą. — Spogląda na mnie, a ja stoję z

otwartymi ze zdziwienia ustami. — Tak —

wykrzykuje. — Wyniki badań na ojcostwo są

negatywne. Więc wasza sensacja przestała

być sensacją!

Dopiero po chwili dociera do mnie znaczenie

jego słów. Patrzy na mnie z najszerszym

uśmiechem świata i potrząsa głową, po czym

przyciąga mnie do siebie i mocno przytula.

— Jak... dlaczego... co? — wyjąkuję, bo

przetacza się przeze mnie istny huragan

emocji, z których najsilniejszą jest ulga.

— Chase mnie za to zabije — mruczy do siebie

z uśmiechem na twarzy, którego do końca nie
rozumiem. Ale nim zdążę go o to zapytać,
odwraca się razem ze mną i wracamy do
środku w zgiełku wykrzykiwanych pytań o to,
co stało się dzisiaj w Domu. Ignoruje je i
czeka, aż brama się zamknie. Potem odwraca
się do mnie.

— Z tym właśnie do ciebie dzwoniłem... gdy
stało się to wszystko.

Przyglądam mu się w milczeniu. Widzę, że z
jego
oczu
zniknęło
wcześniejsze
przygnębienie. Przypuszczalnie zniknęło już
wcześniej, ale trzeba przyznać, że mieliśmy
dziś dość sporo na głowie. Potakuję tylko, bo
nie potrafię nic wykrztusić, a on bierze moją
rękę i podnosi do swoich ust.

Wtedy

z

niespotykaną

wcześniej

intensywnością uderza mnie to uczucie.

Uda nam się. Wszystkie dzielące nas

przeszkody zostały w ten lub inny sposób

usunięte.

Została

tylko

bezinteresowna

dziewczyna i dochodzący do siebie chłopiec,

którym naprawdę może się ułożyć.

W moich oczach wzbierają łzy. Wtulam się w

jego ramiona i nie chcę ich opuścić, bo właśnie

tutaj pragnę być.

Tutaj przynależę.

To jest mój dom.

Rozdział 29.

— Na pewno wszystko w porządku?

Pyta mnie o to chyba już setny raz, ale jakaś część mnie uśmiecha się skrycie i cieszy, że

tak

się

o

mnie

troszczy.

Ten

dzień

niemiłosiernie

się
wydłuża.

Najpierw
zapewniałam Haddie, że czuję się dobrze, że
nie musi urywać się z pracy w San Francisco,
żeby przekonać się na własne oczy, i że
zadzwonię do niej rano. Potem rozmowa z
rodzicami i znowu te same zapewnienia, a
potem chłopcy... Sprawdziłam, co u Zandera,
żałując, że nie mogę z nim porozmawiać
twarzą w twarz, podobnie jak z pozostałymi
chłopcami. Potem Colton odciął mnie od
świata, tłumacząc wszystkim dzwoniącym, w
tym jego rodzicom, Quinlan, Beckettowi i
Teddy'emu, że muszę teraz odpocząć i
zadzwonię do nich jutro.

— Nic mi nie jest. Nie czuję się zbyt dobrze, ale
to
chyba
z
powodu
wyczerpania.

Przewraca mi się w żołądku. Powinnam zjeść
coś, zanim wzięłam środki przeciwbólowe. A

po nich czuję się strasznie śpiąca...

Colton siada na łóżku.

— Chcesz, żebym przyniósł ci coś do jedzenia?

— Nie — odpowiadam i ciągnę go za ramię,
żeby położył się na plecach, a potem patrzę na
niego i pytam: — *Przytulisz mnie?*

Natychmiast przesuwa się trochę, ostrożnie
otacza mnie ramionami i przyciąga tak, że
nasze ciała ściśle do siebie przylegają.

— Tak dobrze? — mruczy w czubek mojej
głowy.

— Uhm — potwierdzam, przytulając się tak
mocno, jak tylko pozwala mi na to obolałe
ciało, bo w jego ciasnym uścisku ból jest nieco
łatwiejszy do zniesienia.

Leżymy tak przez chwilę, nasze oddechy
powoli się wyrównują. Jestem na krawędzi
snu, gdy Colton szepcze:

— Wyściguję cię, Ry. Naprawdę szczerze cię
wyściguję.

Każda komórka mojego ciała wzdycha na te
słowa, bo wiem, jak trudne jest dla niego takie
wyznanie. Całuję go w moje ulubione miejsce
tuż pod krawędzią jego szczęki.

— Ja też cię wyściguję, Colton.

Bardziej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić.

Budzą mnie skurcze żołądka.

Leżę

w

atramentowych

ciemnościach

bezksiężycowej nocy, a ciągłe ukłucia bólu w

połączeniu ze spoconą skórą i zawrotami

głowy mówią mi, że powinnam szybko dostać

się do łazienki, zanim zwymiotuję. Wysuwam

się z rozluźnionych objęć Coltona. Staram się

zrobić to szybko, ale tak, żeby go nie obudzić.

Zamieram na chwilę, gdy mruczy coś pod

nosem, lecz potem przewraca się na plecy i

milknie.

Kręci mi się w głowie, gdy staję, a do tego

jestem

poważnie

zamroczone

środkami

przeciwbólowymi. Czuję się, jakbym chodziła

po wodzie. Śmieję się, bo nawet podłoga

wydaje mi się jakaś mokra. To muszą być
omamy mojego odurzonego mózgu. Ruszam,
opierając się o ścianę, żeby zachować
równowagę i nie wpaść w ciemnościach na
coś, co obudziłoby Coltona.

Mój Boże, zaraz zwymiotuję! Czuję pod
stopami gruby dywanik w łazience i prawie
wydaję z siebie jęk bólu pomieszanego z ulgą,
że jestem już tak blisko ubikacji. Gdy dywanik
się kończy, poślizguję się lekko i przeklinam w
myślach Baxtera i jego cholerną miskę z wodą,
którą zawsze rozlewa po łazience. Zamykam
drzwi łazienki i zapalam światło. Wybuch
jasności kłuje mnie w oczy, więc zamykam je, a

zawroty

głowy

uderzają

z

pełną

siłą.

Nachylam się z ręką na muszli. Mój żołądek
kurczy się jak przy wymiotach, ale nie czuję
nic poza wirowaniem całego pomieszczenia.

Raz po raz atakują mnie suche skurcze.

Żołądek napina się tak mocno, że czuję wilgoć spływającą mi po nogach.

Zaczynam się śmiać z zażenowania tym, że mam tak silne skurcze, iż właśnie zsikałam się pod siebie, ale mój umysł jest tak odrętwiały i tak wolno składa ze sobą myśli, że zamiast zastanowić się, co dalej, siadam na piętach.

Zsuwam się na śliską od moczu podłogę, ale tak bardzo boli mnie brzuch i kręci mi się w głowie, że w ogóle się tym nie przejmuję.

Myślę tylko o tym, że muszę wyglądać teraz strasznie głupio. I że za żadne skarby nie zawołam Coltona na pomoc.

Jestem kompletnie wyczerpana i strasznie senna, a do tego boję się, że znowu zachce mi się wymiotować, więc postanawiam oprzeć głowę na dłoniach otaczających muszlę i chwilę odpocząć.

Głowa zaczyna mi się zsuwać z muszli. Nie wiem, jak długo to trwa, ale uczucie spadania sprawia, że gwałtownie się budzę. Przez moje ciało przetacza się fala gorąca, a zaraz po niej fala zimna. Zmuszam się do tego, żeby zatrzymać się na minutę i odetchnąć.

Coś jest nie tak.

Czuję to od razu, chociaż mój umysł nadal ma problemy ze składaniem myśli w spójną całość.

Po prostu nie jest w stanie tego zrobić. Nic z tego nie rozumiem. Głowa mi ciąży, a ręce ważą chyba z milion kilogramów. Próbuję zawołać Coltona, bo jest mi już obojętne, że zobaczy mnie w kałuży moczu. Coś jest nie tak. Opieram się dłonią o boazerię, bo chcę wstać i otworzyć drzwi, żeby mnie usłyszał, ale moja dłoń się ześlizguje. A gdy otwieram oczy i udaje mi się skupić wzrok, dostrzegam na ścianie krwawy ślad po mojej dłoni.

Hmm.

Zaczynam się śmiać, bo mój umysł odpływa w majaki. Patrzą pod siebie i okazuje się, że nie siedzę we własnym moczu.

Nie.

Dlaczego podłoga jest cała we krwi?

— Colton! — wołam, ale jestem tak osłabiona, że mój głos na pewno jest zbyt cichy.

Kręci mi się w głowie, jest mi gorąco i czuję się wycieńczona. Zamykam oczy i uśmiecham się, bo widzę twarz Coltona.

Taką przystojną.

I moją.

Czuję, że sen zaczyna brać górę nad moim

umysłem, ciałem i duszą. Jego letargiczne
palce powoli ze mną wygrywają.

Tuż przed zapadnięciem w sen dociera do
mnie, co to wszystko oznacza, *choć nie
rozumiem, jak to się stało.*

Och, Colton.

Wybacz mi.

Ciemność wciąga mnie w swoje objęcia.

Proszę, nie znienawidź mnie.

Nie mam już sił opierać się jej absolutnej
czerni.

Kocham cię.

Spider-Man. Batm...

Rozdział 30.

Colton

Budzi mnie odgłos wystrzału. Zrywam się z
łóżka i z trudem łapię oddech, powtarzając
sobie, że już po wszystkim. To tylko
koszmarny sen. Ten pieprzony drań dostał to,
na co zasługiwał, i nie żyje. Zander jest
bezpieczny. Rylee też.

Ale coś jest nie tak. Coś mi nie pasuje.

„*Say something, I'm giving up on you...*” [\[1\]](#)—

wzdrygam się z paniki, gdy słyszę te słowa

dobiegające z głośników nad głową. *Kurde.*

Zapomniałem wczoraj wyłączyć muzykę. To ona mnie tak przerażała? Pocieram twarz dłońmi, próbując otrząsnąć się z otumanienia po przerwaniu snu.

To musiało być to.

„I’m sorry that I couldn’t get to you...” [2].

Sięgam na stolik nocny po pilota, żeby wyłączyć muzykę. Wtedy słyszę to znowu.

Odgłos, który mnie obudził.

— Bax? — krzyczę w stronę pokoju i orientuję się, że strona łóżka Rylee jest pusta. Bax znowu jęczy. — Cholera, Bax! Naprawdę musisz teraz siku? — krzyczę do niego, stawiając stopy na podłodze, i wstaję z łóżka.

Czekam przez sekundę, żeby opanować kręcenie w głowie. Na szczęście trwa to coraz krócej, bo mam już dość tego, że za każdym razem,

gdy

wstaję,

czuję

się

jak

osiemdziesięciolatek.

Zerkam w stronę schodów, żeby zobaczyć, czy na dole nie świeci się światło. Jeżą mi się włosy, bo wszędzie jest ciemno jak cholera.

Baxter znowu jęczy.

— Spokojnie, stary. Już idę! — Przechodzę

kilka kroków i czuję niewielką ulgę, bo widzę

pasek światła wokół zamkniętych drzwi

toalety. *Boże, Donavan, uspokój się, nic jej nie*

jest. Nie mogę jej zagłaskiwać i męczyć tylko dlatego, że jestem przerażony.

Baxter znowu jęczy i uświadamiam sobie, że

też jest w łazience. Co, do cholery? Ten pies najwyraźniej za często liże swoje jaja i

zwariował.

— Zostaw ją, Bax! Ona nie czuje się dobrze. Ja

cię wyprowadzę. — Idę do łazienki. Wiem, że

Bax się nie ruszy, dopóki nie wezmę jego

obrożę. Klnę na niego pod nosem, żeby był

posłuszny, ale on nawet nie drgnie. Jestem

zmęczony i nie mam ochoty na użeranie się z

tym upartym bydlęciem. Poślizguję się na

podłodze, co sprawia, że wybucham. —

Przestań pić tę cholerną wodę, to nie będziesz

musiał wychodzić na siku w środku pieprzonej

nocy! — Robię kolejny krok i znowu się

ślizgam. Tym razem jestem wściekły. Już nad sobą zapanowałem, ale teraz nie umiem się uspokoić.

Baxter znowu jęczy pod drzwiami toalety.

Podchodzę do nich i pukam lekko.

— Wszystko w porządku, Ry? — Cisza. *Co jest, kurwa?* — Ry? Wszystko w porządku?

Między moim ostatnim słowem a otwarciem drzwi mija ułamek sekundy, ale mnie się wydaje, jakby to była cała wieczność. Przez głowę przemyka mi tak wiele myśli, miliony, jak na początku wyścigu, ale nad moim ciałem i umysłem zapanowuje jedyne uczucie, które zawsze blokowałem i któremu nigdy się nie poddawałem.

Strach.

Mój umysł próbuje ogarnąć to, co widzę, ale nie jest w stanie, bo rejestruje jedynie krew. Jest wszędzie, a w samym środku tej jatki, oparta plecami o ścianę, z zamkniętymi oczami i twarzą tak bladą, jak jasny marmur ściany, leży Rylee. Próbuję przetworzyć ten widok, ale nie potrafię ogarnąć tego wszystkiego naraz.

Nagle czas rusza i zaczyna biec zdecydowanie
zbyt szybko.

— Nie! — Słyszę swój krzyk. Nie czuję krwi
oblepiającej moje kolana, gdy padam na nie,
żeby ją podnieść. — Rylee! Rylee! — krzyczę i
szarpie ją, żeby się ocknęła, ale jej głowa
zwisa bezwładnie na bok. — O Boże! O Boże!
— powtarzam, sadzając ją sobie na kolanach i
potrząsając nią, ale nie potrafię jej obudzić.

Nagle zamieram. Zamieram w jedynej chwili w
życiu, w której powinienem działać. Jak
sparaliżowany

podnoszę

powoli

dłoń

i

zatrzymuję się na chwilę, bo boję się, że gdy przycisnę dwa palce pod jej podbródkiem, nie
poczuję pulsu.

Boże, ona jest taka piękna — ta myśl

przebiega mi przez głowę i znika razem z

moją odwagą.

Baxter trąca mnie wilgotnym nosem i wciągam

powietrze w płuca, uświadamiając sobie, że

wstrzymywałem oddech. W pewnym stopniu

odzyskuję

zdolność

myślenia

i

zdrowy

rozsądek. Jestem na granicy, ale zaczynam
myśleć. Przyciskam palce i wydaję z siebie
okrzyk ulgi, gdy czuję pod nimi słaby puls.

Chciałbym schować głowę w jej szyi, przytulić
ją i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze,
ale wiem, iż te trzydzieści sekund, które
zmarnowałem, siedząc na podłodze, to o wiele
za dużo.

Powtarzam sobie, że muszę myśleć, że muszę
się skoncentrować, ale moje myśli są w takiej
rozsypaności, że nie potrafię żadnej uchwycić.

Zadzwoń na 911.

Znieść ją na dół.

Tyle pieprzonej krwi.

Nie mogę jej stracić.

— Zostań ze mną, kochanie. Proszę, zostań ze
mną — błagam i zawodzę. Nie wiem, co
jeszcze mogę zrobić. Jestem zagubiony,
przerażony i kompletnie nad sobą nie panuję.

Mój umysł wyrывa się spod kontroli i podsuwa mi, co muszę zrobić i co jest najważniejsze...

Wiem, że za żadne skarby świata nie chcę jej opuścić. Ale muszę. Wynoszę ją z ciasnej toalety. Ślizgam się po zakrwawionej podłodze, ciągnąc ją na dywan, a widok ciemnej krwi rozsmarowującej się na jasnych kafelkach wywołuje nowy atak paniki.

Delikatnie kładę ją na ziemi.

— Telefon. Zaraz wracam — mówię i ślizgając się, biegnę w stronę stolika nocnego, na którym leży telefon. Wybieram numer i wracam z telefonem przy uchu. Przy drugim sygnale jestem przy niej i przykładam palce do jej szyi.

— 911...

— 5462 Broadbeach Road. Szybko! Proszę...

— Proszę pana, potrzebuję...

— Wszędzie jest pełno krwi i nie wiem...

— Proszę pana, proszę się uspokoić, my...

— Uspokoić? — krzyczę na operatorkę linii. —

Potrzebuję pomocy! Pośpieszcie się, proszę! —

mówię i rzucam telefon. Muszę znieść ją na

dół. Żeby była bliżej wejścia, bo w ten sposób

szybciej otrzyma pomoc, gdy przyjedzie

karetka.

Podnoszę ją, biorę na ręce i najszybciej jak
mogę idę przez sypialnię do schodów, a potem
na dół. Nie mogę opanować pieprzonego
szlochu. Ogarnia mnie panika pomieszana z
zagubieniem i paralizującym strachem.

— Sammy! — krzyczę. Jestem jak pieprzony

szaleniec i nic mnie to nie obchodzi, bo cały czas mam przed oczami krew w całej łazience.

Cały czas przypomina mi się pieprzona lalka

Quin, która nazywała się Raggedy Ann czy

jakoś tak. Niezależnie od tego, jak Quinlan ją trzymała, ręce i nogi lalki zwisały bezwładnie,

i pamiętam, że Quin płakała, gdy bez przerwy

żartowałem sobie, że lalka nie żyje.

Nie potrafię przestać myśleć o tej pieprzonej

lalce, bo tak właśnie wygląda teraz Rylee. Jej

głowa leży kompletnie bez życia na moim

ramieniu, a ręce i nogi zwisają bezwładnie.

— Boże! — szlocham, docierając na dół.

Pieprzony obraz tej lalki utkwił mi w głowie. —

Sammy! — krzyczę po raz kolejny. Boję się, bo

chociaż

chciał

się

przespać

w

pokoju

gościnnym

z

powodu

szaleństwa

prasy,

kazałem mu iść do domu.

— Colt, co się dzieje? — Wybiega zza rogu i

robi wielkie oczy, widząc mnie z Rylee na

rękach. Zamiera i przez krótką chwilę

wyobrażam sobie, jak Ry jest na mnie wściekła

za to, że pozwoliłem mu ją tak oglądać, w

samej podkoszulce i majtkach. Wręcz słyszę

jej reprimendę. Brzmienie jej głosu w głowie

zupełnie mnie powala i padam z nią na kolana.

— Potrzebuję pomocy, Sammy. Zadzwoń znowu

na 911. Zadzwoń do taty. Pomóż mi! Pomóż

jej! — błagam i chowam twarz w jej szyję.

Kołyszę ją, mówię, żeby się trzymała, że

wszystko będzie dobrze i że nic jej nie będzie.

Wiem, że Sammy dzwoni, słyszę jego

rozmowę, ale mój zszokowany umysł nie

przyjmuje żadnej innej myśli poza tą, że muszę jej jakoś pomóc. Że nie może mnie opuścić. Że *teraz ona jest zepsuta.*

— Colton! Colton! — głos Sammy’ego wrywa mnie z objęć hipnotyzującej paniki. Podnoszę wzrok na niego. Trzyma telefon przy uchu i z pewnością słucha instrukcji operatora linii 911. Nie wiem, czy coś mu odpowiedziałem, czy nie. — Skąd krwawi?

— *Co?*

— Spójrz na mnie! — krzyczy, rozpędzając moją mgłę. — Skąd to krwawienie? Musimy spróbować je zatamować.

O cholera! Czemu o tym nie pomyślałem?

Otwieram

usta,

żeby

odpowiedzieć,

i

uświadamiam sobie, że nie mam zielonego

pojęcia, bo byłem tak owładnięty paniką.

Sammy wbija we mnie wzrok, jakby chciał mi

przekazać, że muszę to zrobić i że ona mnie

potrzebuje. Udaje mu się przebić przez mój

spowolniony umysł. Natychmiast kładę ją na

ziemi, chociaż dobija mnie to, bo jest tak zimna, że wolałbym ją jakoś ogrzewać swoim ciałem. Przebiegam dłońmi po jej ciele i zaczynam drzeć z wściekłości na siebie, że o tym nie pomyślałem. I z przerażenia tym, co za chwilę znajdę.

Wydaję z siebie jęk strachu, gdy uświadamiam sobie, że po jej nogach nadal płynie krew, i nawet nie chcę sobie wyobrażać dlaczego.

— Jej wypadek. Coś związanego z jej wypadkiem — mówię Sammy'emu, podnosząc jej koszulkę i pokazując mu blizny na brzuchu.

Jakby to miało coś wyjaśnić. A potem biorę ją z powrotem na ręce i przytulam. Przytulam jej zimne ciało do swojej gorącej skóry, a Sammy wraca do rozmowy z osobą na drugim końcu linii.

— Trzymaj się, kochanie. Pomoc już nadchodzi

— mówię. Kołyszę ją, a świadomość, że nie potrafię zatamować krwawienia, rozrywa mi serce.

Trzymam ją mocno i przysięgam, iż w pewnym momencie poczułem, że się rusza. Wykrzykuję jej imię, żeby pomóc jej do mnie wrócić.

— Rylee! Rylee! Proszę, kochanie, proszę. —

Ale nic to nie daje. Kompletnie nic. Moim ciałem targa kolejny szloch desperacji i uświadamiam sobie, że to ja nią poruszam. To moje trzęsące się ciało i moje błagania sprawiają, że ona się porusza.

— O Boże! — krzyczę. — Nie ona. Tylko nie ona. Zabierasz mi wszystko, co dobre — krzyczę w pustym domu do Boga, w którego w tej chwili i tak nie za bardzo wierzę. — *Nie możesz jej zabrać* — wrzeszczę i trzymam ją, bo tylko to mi pozostało. Wszystko inne przesypuje mi się przez palce. Chowam głowę w jej szyi. Targają mną szlochy, a mój gorący oddech ociepla jej zimną skórę. — *Nie... możesz... jej... zabrać.*

— Colton! — Czuję dłoń szarpiącą mnie za ramię i wyrywam się z transu. Nie mam pojęcia, ile minęło czasu, ale widzę ratowników medycznych. Na ścianach błyska światło ambulansu wpadające przez otwarte

drzwi wejściowe. Wiem, że muszą ją ode mnie
zabrać, żeby jej pomóc, ale jestem tak
przerażony, iż nie chcę jej wypuścić z rąk.

Potrzebuję mnie teraz, chociaż dobrze wiem,
że ja potrzebuję jej bardziej.

— Proszę, nie zabieraj mi jej — chrypię, gdy
jeden z ratowników bierze ją z moich ramion.

Nie wiem, czy mówię do niego czy do Boga.

— Ile jeszcze, Sammy? — pytam, zrywając się
z krzesła. Nerwy mnie zżerają. Zaczynam
chodzić tam i z powrotem, ale to ich nie
uśmierza.

— Tylko trzydzieści minut. Musisz dać im
trochę czasu.

Wiem, że wszyscy w tej pieprzonej poczekalni
się na mnie gapią, bo w końcu nie na co dzień

widzi

się

mężczyznę

w

zakrwawionych

ubraniach, który przemierza wte i wewte całe

pomieszczenie jak zwierzę w klatce. Jestem

niespokojny. Zniecierpliwiony. Przerażony jak

diabli. Muszę się dowiedzieć, gdzie ona jest i co się jej stało. Siadam z powrotem, ale moje kolano skacze jak u cholernego ćpuna, który

potrzebuje kolejnej działki. Uświadamiam

sobie,

że

faktycznie

jestem

ćpunem.

Potrzebuję mojego narkotyku. Potrzebuję

mojej Ryles.

Wczoraj najpierw myślałem, że ją straciłem,

potem się okazało, że nie, ale gdy już uznałem,

iż jest bezpieczna, bo, do cholery, zasypia w

moich ramionach, została mi wydarta. Jestem

straszenie zagubiony. Cholernie wściekły. I...

nie wiem już, kim jestem, chcę tylko, żeby w

końcu ktoś wyszedł przez te pieprzone drzwi

automatyczne i powiedział mi, że z Rylee

wszystko w porządku. Że cała ta krew

wyglądała stokroć gorzej, niż faktycznie było.

Ale nikt nie wychodzi. Nikt nie udziela mi

odpowiedzi.

Chcę krzyknąć, walnąć w coś pięścią, przebiec

sprintem dziesięć pieprzonych kilometrów...

cokolwiek, byle pozbyć się tego cholernego bólu w klatce piersiowej i skręcania w żołądku. Czuję, że zaraz zwariuję. Chciałbym, żeby czas przyspieszył lub zwolnił, w zależności od tego, co jest dla niej lepsze, pod warunkiem że jak najszybciej ją zobaczę i będę mógł wziąć w ramiona.

Wyciągam telefon, bo potrzebuję jakoś się z nią skontaktować. Jakkolwiek. Zaczynam pisać do niej SMS-a, wyrażając to, co najlepiej rozumiem, czyli uczucia.

Kończę, naciskam „wyślij” i trzymam się myśli, że odbierze to, gdy się ocknie, bo musi się ocknąć. I będzie wiedziała, jak się w tej chwili czułem.

— Colton!

To głos człowieka, który zawsze wszystko potrafił naprawić, ale tym razem nic nie może zrobić. Z tego powodu... gdy słyszę ten głos, tracę panowanie nad sobą. Nie wstaję, żeby się przywitać. Nawet nie podnoszę głowy, bo jestem tak wszystkim przytłoczony, że nie mam siły tego zrobić. Spuszczam głowę i zaczynam szlochać jak jakieś dziecko.

Nie obchodzi mnie, że tutaj są ludzie. Nie

obchodzi

mnie,

że

jestem

dorośli

mężczyzną, a mężczyźni nie płaczą. Nie

obchodzi mnie nic, bo myślę tylko o tym, że nie

mogę jej teraz pomóc. *Że mój najlepszy*

superbohater nie może jej teraz pomóc.

Drgają mi ramiona, boli mnie klatka piersiowa

i palą mnie oczy, a on obejmuje mnie

ramieniem i przytula do siebie najmocniej jak

potrafi, próbując mnie pocieszyć, chociaż

wiem, że to w żaden sposób jej nie pomoże.

Nie wymaże z mojego umysłu prześladowającego

mnie widoku jej ciała przypominającego

szmacianą lalkę Quinlan i jej bladych ust.

Pierdolony Humpty Dumpty.

Jestem w takiej rozsypce, że nie potrafię nic

powiedzieć. A nawet gdybym potrafił, nie

wiedziałbym, jak wyrazić to, co myślę. Ale on

zna mnie na tyle dobrze, że w ogóle się nie

odzywa. Przytula mnie po prostu, a ja

wyrzucam z siebie wszystko, czego nie

potrafię wyrazić w żaden inny sposób.

Siedzimy w milczeniu przez pewien czas. W

końcu przestaję płakać i chowam twarz w

dłoniach, ale on dalej mnie obejmuję.

Jego jedyne słowa to: „Jestem przy tobie, synu.

Jestem przy tobie”. Powtarza je w kółko, bo to

jedyne, co może mi powiedzieć.

Zaciskam powieki i próbuję nie myśleć, ale to

nie działa. Wciąż powraca myśl, że moje

demony ostatecznie zwyciężyły. Dobrały się do

najczystszej

istoty,

jaka

kiedykolwiek

poznałem, i odebrały jej pieprzone światło.

Jej iskrę.

Co ja najlepszego zrobiłem?

Słyszę piszczenie butów na podłodze, które

zatrzymują się przede mną. Jestem tak

przeżony tym, co ta osoba ma do

powiedzenia, że nie podnoszę głowy i nie

otwieram

oczu.

Pozostaję

w

swoich

ciemnościach, licząc na to, że uda mi się nie dopuścić do tego, żeby ją także pochłonęły.

— Czy pan jest ojcem? — słyszę pytanie

zadane z łagodnym, południowym akcentem.

Czuję, że mój ojciec się poruszył, i uznaję, że musiał przytaknąć pytającej osobie, wyrażając

gotowość

wzięcia

na

siebie

ciężaru

wysłuchania przynoszonych wieści.

— Czy pan jest ojcem? — głos pyta ponownie.

Podnoszę głowę i patrzę na ojca, bo chcę, żeby

to za mnie zrobił. Niech przejmie kontrolę nad

sytuacją, a ja zamknę oczy i będę bezradnym

dzieckiem, bo tak się właśnie czuję. Ale on

spogląda mi prosto w oczy i patrzy. Nie

odrywa ode mnie wzroku, a ja po raz pierwszy

w życiu nie potrafię odczytać, co próbuje mi

przekazać.

Jego wzrok jest niezachwiany. Patrzy na mnie

jak wtedy, gdy byłem w małej lidze i nie

chciałem wyjść na boisko, bo na pozycji
miotacza stał Tommy Williams, który zawsze
trafiał w pałkarza, a ja bałem się, że dostanę piłką w głowę. Patrzy na mnie, jak robił to
dawno temu, gdy próbował mi przekazać, że
dam radę i że jestem w stanie zmierzyć się ze swoimi obawami.

Oblewam
się
cały
zimnym
potem,
bo
uświadamiam sobie, co ten wzrok próbuje mi
przekazać i o co pyta stojąca nade mną
kobieta. Przełykam głośno ślinę, szum w
głowie nie pozwala mi myśleć, po czym znika,
a ja zaczynam się trząść jak osika. Podnoszę
głowę i spoglądam w cierpliwe brązowe oczy
kobiety przede mną.
— Czy pan jest ojcem? — pyta po raz kolejny z
posepnie
rozciągniętymi
ustami,
jakby
uśmiechała się, żeby złagodzić słowa, które za

chwile mi powie.

Wpatruję się w nią i nie potrafię wykrztusić
słowa, bo emocje, które wyrzuciłem z siebie w
objęciach ojca, wróciły do mnie ze zdwojoną
siłą.

Siedzę
oniemiały,
oszołomiony

i
przerażony. Tato ściska dłonią moje ramię
ponaglająco.

— Rylee? — pytam ją, bo to musi być jakaś
pomyłka. Ona na pewno się pomyliła.

— Czy pan jest ojcem dziecka? — pyta

łagodnie, siadając obok mnie. Kładzie dłoń na

moim kolanie i delikatnie je ściska. Ale ja nie jestem w stanie skupić się na niczym innym niż

na

dłoniach,

palcach

i

skórkach

na

paznokciach,

które

wciąż

są

pokryte

zaschniętą krwią. Ręce zaczynają mi drżeć na

widok płamiącej mnie krwi Rylee.

Moje ręce są splamione krwią mojego

dziecka.

Podnoszę głowę, odrywając wzrok od widoku

symbolizującego życie, które odeszło i umarło

na moich rękach, oraz nadzieję i strach,

związane z tym, czego wcale nie jestem już

pewien.

— Tak — mówię niemal niesłyszalnym

szeptem. Przełykam ślinę, ale czuję, jakbym

przełykał żwir. — Tak. — Ojciec ściska znowu

moje ramię, a ja patrzę na nią wzrokiem

błagającym jednocześnie o potwierdzenie i

zaprzeczenie.

Zaczyna mówić powoli jak do pieprzonego

dwulatka.

— Rylee jest wciąż w trakcie badań —

oznajmia, a ja mam ochotę nią potrząsnąć i

zapytać, co to, do cholery, właściwie oznacza.

Moje kolano zaczyna podskakiwać, gdy

czekam na jej odpowiedź z zaciśniętą szczęką
i splecionymi dłońmi. — Doszło albo do
przedwczesnego odklejenia łożyska, albo do
łożyska przodującego i...

— Stop! — mówię, bo nie rozumiem ani słowa
z tego, co mówi, i gapię się na nią jak jeleń w
światła reflektorów.

—

Naczynia

krwionośne

łączące

ją

z

dzieckiem w jakiś sposób ucierpiały i lekarze
właśnie próbują to ustalić. W każdym razie
straciła sporo krwi. Jest teraz w trakcie
transfuzji, która pomoże jej w...

— Odzyskała świadomość? — Nie potrafię
przetworzyć tego, co usłyszałem. W głowie
mam tylko dziecko, krew, transfuzja. — Nie
słyszałem, czy pani powiedziała, że nic jej nie będzie, a muszę, do cholery, usłyszeć, że nic jej
nie będzie! — krzyczę, bo wszystko w moim
życiu rozpada się wokół mnie, jakbym znowu
był w pieprzonym samochodzie wyścigowym,

tyle że tym razem nie wiem, co będę w stanie z powrotem poskładać... A to przeraża mnie do szpiku kości.

— Tak — odpowiada miękko, a jej kojący głos sprawia, że mam ochotę nią potrząsnąć, żeby zapewniła mnie o tym trochę bardziej przekonująco. Chciałbym wymazać wszystko, jak z magicznej tablicy, i narysować nowy obrazek, którego sobie życzę. — Daliśmy jej znieczulenie, żeby złagodzić ból łyżeczkowania, a gdy dostanie jeszcze trochę krwi, powinna być w znacznie lepszym stanie fizycznym.

Nie mam pojęcia, co właśnie powiedziała, ale uczepiam się słów, które rozumiem: że Rylee będzie w lepszym stanie. Zwieszam głowę i przyciskam wnętrza dłoni do oczu, żeby powstrzymać płacz, bo nie doznam prawdziwej ulgi, dopóki jej nie zobaczę, nie dotknę i nie poczuję.

Ściska ponownie moje kolano i mówi:

— Przykro mi. Dziecku nie udało się przeżyć.

Nie wiem, co powinienem jej powiedzieć, bo w
głębi serca znałem prawdę, chociaż głowa nie
potrafiła jej wtedy zrozumieć. Ale jej słowa
sprawiają, że świat pod moimi stopami
przestaje się kręcić, a ja nie potrafię
oddychać. Nie umiem zaczerpnąć powietrza.

Wstaję i chwiejnym krokiem ruszam do
przodu, po czym zawracam, kompletnie
przytłoczony przez szum w uszach.

— Colton! — słyszę głos ojca, ale potrząsam
tylko głową i pochylam się do przodu, próbując
złapać oddech. Chwytam się dłońmi za głowę,
jakby to miało uspokoić panujący w niej chaos.

— *Colton.*

Macham rękami przed sobą, żeby się ode mnie
odczepił.

— Potrzebuję pieprzonego pit stopu! — mówię
mu, patrząc na dłonie splamione krwią czegoś
stworzonego przez Rylee i mnie. Przez świętą
i grzesznika.

Niezmacona niczym niewinność.

I nagle to czuję. Czuję, jak coś roztrzaskuje
się we mnie na kawałki niczym lustro w tym
pieprzony osiedlowym barze, gdy Rylee

powiedziała mi, że mnie kocha. Coś jakby
blokada istniejąca w mojej duszy przez
ostatnie dwadzieścia kilka lat. Dwie sytuacje,
w których zdarzyło się coś, czego absolutnie
nigdy nie chciałem doświadczyć, a mimo to...

Nie potrafię opanować uczuć i nie rozumiem,
dlaczego przychodzą mi do głowy możliwe
scenariusze, skoro zarówno wtedy, jak i teraz
wiem, że to po prostu nie może się zdarzyć. To
jest coś, czego nigdy, absolutnie nigdy nie
chciałem. A mimo to wszystko, czego byłem
pewien, w jakiś sposób się zmieniło.

Nie wiem jeszcze, co to oznacza.

Wiem tylko, jak się z tym czuję. Inaczej.

Wyzwolony i niepełny. Cholernie przerażony.

Przewraca mi się w żołądku, a gardło zapycha

się tak wieloma emocjami i tak wieloma
uczuciami, że nawet nie wiem, od czego

zacząć

przetwarzanie

tej

nowej

rzeczywistości.

Od

utraty

zmysłów

powstrzymać mnie może tylko skupienie się na osobie, której można teraz pomóc.

Rylee.

Nie potrafię złapać oddechu, serce łomocze w piersi jak karabin maszynowy, a ja jestem w stanie myśleć tylko o niej. Jedyne, czego pragnę, jedyne, czego potrzebuję, to Rylee.

— Colton. — To mój ojciec, który znowu kładzie ręce na moich ramionach. Ręce, które prowadziły

mnie

w

najmroczniejszych

chwilach i które próbują wyrwać mnie z

zachłannych

szponów

ciemności.

—

Porozmawiaj ze mną, synu. Co się dzieje w twojej głowie?

Żartujesz sobie ze mnie? — chciałbym

wykrzyknąć na niego te słowa, bo nie mam

pojęcia, co zrobić z pochłaniającym mnie
strachem, a jedyne, co przychodzi mi do głowy,
to wyładować się na osobie, która jest
najbliżej.

To
zupełnie
inny
strach
niż
wcześniej, lecz mimo to nadal ten sam.

Potrząsam jednak tylko głową i podnoszę
wzrok na brązowe oczy kobiety, zastanawiając
się, co zrobić, co czuć i co powiedzieć.

— Czy ona wie? — Nie poznaję własnego
głosu. Jest złamany, ma dziwny ton i wyraża
kompletne niedowierzenie.

— Tak, lekarze już z nią rozmawiali —
odpowiada, a ja uświadamiam sobie, że Rylee
musi sobie z tym poradzić... *samotnie*.

Oddałaby wszystko, żeby mieć dziecko, i
samotnie musiała przyjąć wiadomość, że
choć mówiono jej, iż nigdy nie będzie mogła
go mieć, to je miała.

I straciła.

Znowu.

Jak to przyjęła? Jak to na nią wpłynie?

Jak to wpłynie na nas?

Wszystko wymyka się spod kontroli, ale ja muszę nad tym zapanować. Chcę, żeby ziemia przestała się pode mną poruszać. Wiem, że tylko ona może z powrotem wyprostować mój świat. Muszę poczuć jej skórę pod palcami, żeby uśmierzyć ten cały toczący mnie chaos.

Rylee.

— Muszę ją zobaczyć.

— Teraz odpoczywa, ale może pan przy niej usiąść, jeśli pan chce — oznajmia, wstając.

Potakuję i biorę wdech, a ona rusza w stronę korytarza. Tato trzyma dłoń na moim ramieniu przez cały czas, okazując swe milczące wsparcie przez całą drogę do pokoju Rylee.

—

Będę

na

zewnątrz,

gdybyś

mnie

potrzebował. Zaczekam na Becksa — mówi

ojciec, a ja tylko kiwam głową, bo mam w gardle taką gulę, że nie potrafię oddychać.

Wchodzę do środka i staję jak zaczarowany.

Rylee.

Imię, którego się kurczowo trzymam, gdy mój umysł próbuje *wszystko* ogarnąć.

Rylee. Jest taka drobna i blada, że wygląda jak mała dziewczynka, która gubi się w tym wielkim białym łóżku. Gdy podchodzę do łóżka, muszę przypominać sobie o konieczności oddychania. Pragnę ją dotknąć i wyciągam dłoń, ale nagle dopada mnie lęk, że jeśli to zrobię, ona się rozpadnie na kawałki. I już nigdy jej nie odzyskam.

Nie mogę się jednak powstrzymać, bo jeśli na tylnej kanapie radiowozu czułem się bezradny, to teraz wydaje mi się, że jestem kompletnie bezużyteczny. Bo nie mogę tego naprawić. Nie jestem w stanie wparować i uratować jej przed złymi ludźmi... I po prostu nie wiem, co zrobić, co powiedzieć, jak się zachować.

Rozwala mnie to na kawałki.

Stoję i patrzę na nią. Wchłaniam ją całą. Pełne blade usta, skóra, która pachnie wanilią, szczególnie tuż pod uchem. Uświadamiam

sobie,

że

ta

zuchwała,

żywiłowa,

nieposłuszna i stawiająca warunki kobieta

mnie zdobyła.

Kompletnie.

Każdą część mnie. W tym krótkim czasie, gdy jesteśmy razem, zburzyła pieprzony mur, który nieświadomie budowałem wokół siebie przez całe życie. Bez tych ścian jestem bezradny.

Tyle czasu nic nie czułem, bo wolałem być odrętwiały, ale teraz nauczyłem się przeżywać emocje i nie potrafię już ich wyłączyć. Nie da się tego zatrzymać. W tej chwili, wchłaniając jej absolutne piękno, wiem, że desperacko jej potrzebuję. Musi poprowadzić mnie po tym nieznanym mi terenie, zanim poddam się świadomości, że to wszystko przeze mnie.

To przeze mnie będzie zmuszona do dokonania wyboru, a ja nie jestem nawet pewien, czy chciałbym, żeby go dokonywała.

Siadam na krześle obok jej łóżka i poddaję się

swojej jedynej słabości: potrzebie dotknięcia

jej. Delikatnie ujmuję obiema dłońmi jej

bezwładną rękę i chociaż śpi i nie wie, że ją dotykam, i tak czuję tę iskrę.

Kocham cię.

Przemyka mi to przez głowę i wstrzymuję

oddech, bo czuję burzę w środku w związku z

tymi słowami, lecz nie w związku ze swoimi

uczuciami. Skupiam się na tym, żeby się odciąć

i odepchnąć te słowa, które oznaczają

wyłącznie cierpienie, bo nie chcę, żeby

splamiły tę chwilę. Nie chcę, żeby myśli o nim

pomieszały się z myślami o niej.

Oddech znowu więźnie mi w gardle i zaczynają

płynąć mi łzy. Przyciskam usta do jej dłoni.

Serce wali mi jak oszalałe i uświadamiam

sobie, że przypuszczalnie właśnie zburzyła

ostatnią żelazną ścianę i otworzyła moją duszę

jak puszkę Pandory. Całe zamknięte w niej od

zawsze zło może teraz uciec, a mi zostaje

tylko jedno.

Pieprzona nadzieja.

Pytanie brzmi: na co ja, do cholery, mam teraz

nadzieję?

[1] „Say something...” — „Powiedz coś, bo rezygnuję z ciebie”. Fragment piosenki *Say*

something — przyp. tłum.

[2] „I'm sorry...” — „Przepraszam, że nie potrafiłem do ciebie dotrzeć” — *przyp. tłum.*

Rozdział 31.

Mam mętlik w głowie i jestem potwornie zmęczona. Chciałabym z powrotem zatopić się w jego ciepło. *Ach, to takie przyjemne.*

Nagle wszystko mi się przypomina. Krew, zawroty głowy, ból, kwadratowe płytki na suficie,

gdy

nosze

jechały

korytarzem,

zwiastując słowa lekarza, których już więcej

miałam nie usłyszeć. Otwieram oczy z

nadzieją, że to był tylko zły sen, a ja nadal jestem w domu, ale widzę aparaturę medyczną

i kroplówki. Czuję ból w żołądku i zaschnięte

słone ślady łez na policzkach.

Łez,

które

popłynęły,

gdy

usłyszałam

potwierdzenie tego, co już wiedziałam. I

choć czułam wcześniej, jak nowe życie
odchodzi z mojego wnętrza, usłyszenie tego z
ust lekarki złamało mi serce. Krzyczałam i
pomstowałam, twierdziłam, że na pewno się
pomyliła, bo nawet jeśli przywracała moje
ciało do życia, jej słowa sprawiały, iż serce
przestawało
mi
bić.
Walczyłam
z
rzeczywistością, bólem i zdruzgotaniem, aż
czyjeś ręce przytrzymały mnie na łóżku,
dostałam kroplówkę i z powrotem odpłynęłam
w ciemność.
Zamykam znów oczy. Próbuję odnaleźć jakieś
uczucie w przejmującej wewnętrznej pustce.
Próbuję przebić się przez mgłę niedowierzania
i nieskończony, niepojęty żal. Próbuję uciszyć
wymaglinowany płacz, który słyszę teraz,
choć nie słyszałam go wczoraj, gdy moje
dziecko umarło.

Po
moim

policzku

spływa

łza.

Jestem

pochłonięta swoimi odczuciami, skupiam się na

wszystkim, co mogłabym czuć, ale i tak

odnajduję w środku tylko jedno.

Samotność.

Rezygnację.

Odchodzenie

w

nieznane bez żadnego poczucia pewności.

— O, znowu do nas wróciłaś — mówi głos po

mojej prawej. Otwieram oczy i trafiam na miłe

spojrzenie kobiety w białym kitlu. Tej samej,

która wcześniej przyniosła mi te fatalne

wieści. — Byłaś nieprzytomna całkiem sporą

chwilę.

Zmuszam się do nieznacznego uśmiechu,

przepraszając milcząco za swoją reakcję, bo

okazuje

się,

że

jedynej

osoby,

którą

chciałabym zobaczyć i której potrzebuję

bardziej niż kogokolwiek innego, nie ma.

Jestem zdruzgotana.

Czy on wie o życiu, które stworzyliśmy? Część

mnie i część jego. Nie mógł tego znieść i

odszedł? Ogarnia mnie panika, a w oczach

wzbierają łzy. Potrząsam głową, nie mogąc

wykrztusić ani słowa. Jak to możliwe, żeby

Bóg był tak okrutny i dwukrotnie pozbawił

mnie dziecka i ukochanego mężczyzny?

Nie dam rady. Nie przeżyję tego po raz

kolejny.

Mam w głowie kompletny chaos, skalpel

gniewu wbija się coraz głębiej i głębiej, a ja próbuję odnaleźć jakiegokolwiek uczucie poza

nieskończonym bólem i niesłychaną pustką w

środku. Chciałabym się chwycić czegokolwiek

poza garścią brzytw, na które wciąż trafiam.

— Wiem, kochanie — mówi lekarka, pocierając

moje ramię. — Bardzo mi przykro. — Próbuję

zapanować nad emocjami związanymi z

dzieckiem i z Coltonem, czyli dwiema osobami,

nad którymi nie panuję i które straciłam. Czuję

ból w piersi, bo chociaż oddycham szybko,

wciąż

brakuje

mi

powietrza.

Próbuję

przełknąć gulę emocji, która blokuje dopływ

tlenu. Ale dochodzę do wniosku, że będzie

łatwiej, jeśli się zadławię. Odejdę w ciemność,

wpełnę z powrotem pod jej czarny płaszcz i

znowu przestanę cokolwiek czuć. Może znowu

odzyskam

nadzieję

i

okażę

się

tylko

skrzywiona, a nie zepsuta.

— Rylee? — zwraca się do mnie lekarka, żeby

sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy

może znowu się na nią rzucę tak jak wtedy,

gdy powiedziała mi o poronieniu.

Potrząsam tylko głową, bo nie mam nic do

powiedzenia. Skupiam się na splecionych na

brzuchu

dłoniach

i

próbuję

odzyskać

panowanie nad sobą oraz przyzwyczać się do ponownej pustki i samotności.

Gdy w końcu trochę się uspokajam, lekarka uśmiecha się do mnie.

— Jestem doktor Andrews. Przedstawiałam się wcześniej, ale co zrozumiałe, przypuszczalnie tego nie pamiętasz. Jak się czujesz?

Wzruszam

ramionami,

bo

dyskomfort

odczuwany w pustym łonie w żaden sposób nie może się równać z dogłębnym bólem serca.

— Jestem pewna, że masz jakieś pytania.

Możemy zacząć teraz czy chcesz poczekać, aż Colton wróci?

Nie opuścił mnie? Gula w gardle nieco się

zmniejsza i biorę głęboki wdech, a słowa

lekarki sprawiają, że ów wbijający się we mnie

skalpel rani nieco mniej. Lekarka przechyla
głowę i patrzy na mnie ze smutkiem, a ja
czuję, że próbuje mi coś powiedzieć bez słów.

Ale co? O reakcji Coltona na tę nowinę?

Jestem niebotycznie przerażona spotkaniem z
nim i koniecznością rozmawiania na ten temat
w sytuacji, gdy jeszcze nie opadł kurz po

bombie

zrzuconej

przez

Tawny,

lecz

jednocześnie czuję w środku niewielką ulgę, że
on wciąż przy mnie jest.

— Jest tutaj? — pytam ledwo słyszalnym
głosem.

— Przed chwilą wyszedł po raz pierwszy,
odkąd tu jesteś — wyjaśnia, wyczuwając moje
obawy. — Bardzo się denerwował i jego ojciec
w końcu go przekonał, że powinien wyjść na
chwilę rozprostować nogi.

Te słowa przynoszą mi niesłychaną ulgę. Czuję
dreszcze na ramionach na myśl, że Colton

mnie nie opuścił. *Nie opuścił mnie.* Głupio mi, że w ogóle przyszło mi do głowy, iż mógłby to

zrobić, ale byłam przytłoczona nawalem zdarzeń, a wytrzymałość ludzka ma swoje granice.

A moja skończyła się dawno temu.

W końcu udaje mi się odzyskać głos i podnoszę wzrok, żeby spojrzeć jej w oczy.

— Może być teraz. — Mam tyle pytań, które wymagają wyjaśnienia. Potrzebuję odpowiedzi, których Colton wolałby nie usłyszeć. — Wciąż nie potrafię tego wszystkiego ogarnąć — mówię i przełykam ślinę, próbując stłumić wracające łzy. — Co...?

— ...się stało? — dokańcza za mnie, gdy urywam zdanie.

— Powiedziano mi, że nigdy już nie zajdę w ciążę, bo uraz był zbyt... — Jestem tak wstrząśnięta, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, że nie potrafię dokończyć zdania.

Myśli przelatują przez mój umysł z szybkością karabinu maszynowego i na żadnej nie potrafię się na dłużej zatrzymać.

— Przede wszystkim muszę powiedzieć, że rozmawiałam

twoim

ginekologiem

i

przeglądałam twoją kartotekę. Rzeczywiście,

szanse

na

to,

że

mogłoby

dojść

do

zagnieżdżenia

zarodka,

czy

choćby

do

zapłodnienia, były naprawdę nikłe — mówi i

wzrusza ramionami. — Lecz czasem ludzkie

ciało okazuje się odporne... zdarzają się cuda,

natura zwycięża.

Uśmiecham się słabo, chociaż wiem, że

uśmiech nie dociera do moich oczu. Jak to się

stało, że nie wiedziałam, iż noszę w sobie

życie, moje dziecko, cząstkę Coltona? Jak to

możliwe, że tego *nie poczułam*?

— Jak mogłam tego nie zauważyć? To znaczy

który to był miesiąc? Dlaczego poroniłam? Czy

to dlatego, że dziecko... *moje dziecko*... było zbyt słabe, czy może to moja wina, skutek

czegoś, co zrobiłam? — Pytania wysypują się

ze mnie jedno po drugim, bo zaczynam płakać.

Łzy płyną mi po twarzy, gdy czuję na sobie

ciężar winy za poronienie. Lekarka pozwala

mi wyrzucić z siebie wszystkie pytania i stoi

przede mną ze współczuciem w oczach. —

Istnieje szansa, że to się powtórzy, czy to był

jednorazowy przypadek? To mnie po prostu

przerasta — przyznaję zadyszana z przejęcia.

— I nie wiem... Nie wiem już, w co wierzyć.

Kręci mi się w głowie...

— To zrozumiałe, Rylee. Bardzo dużo

przeszłaś — mówi, zmieniając pozycję. Gdy to

robi, zauważam Coltona opartego o futrynę, z

rękami w kieszeniach i koszulą poplamioną

krwią. Moją krwią, krwią dziecka... *naszego*

dziecka.

Jeśli

wcześniej

łzy

pływały

strumieniami, to teraz czuję prawdziwą

powódź.

W mgnieniu oka podchodzi do łóżka. Jego

twarz jest porwana cierpieniem, a oczy

emanują

nieprzeniknionymi

emocjami.

Wyciąga dłoń, żeby mnie pocieszyć, lecz

zatrzymuje się z wahaniem, gdy widzi, że

rozmyte przez łzy spojrzenie kieruję w dół, na

plamy na jego koszuli. W ułamku sekundy

zrzuca z siebie kurtkę i ściąga koszulę przez

głowę, rzuca to wszystko na krzesło i

obejmuje mnie, przyciągając do siebie.

Teraz dopiero zaczynają się łzy. Potężny,

poszarpany, wstrząsający szloch, który szarpie

moim wtulonym w niego ciałem. Colton

kompletnie nie ma pojęcia, jak mnie pocieszyć,

więc po prostu pozwala mi płakać. Gładzi mnie

dłońmi po plecach i szepcze słowa, które i tak

nie przebijają się przez moje odurzenie

pełnym niedowierzania żalem.

Uderza mnie naraz tak wiele emocji, że nie

potrafię

się

na

żadnej

skupić.

Jestem

zagubiona, przerażona, zdruzgotana, pusta,
zszokowana, bezpieczna. A do tego czuję, że
bardzo wiele rzeczy zmieniło się na zawsze.

Dla mnie.

Między nami.

Los, który nigdy nie dopuszczał mnie do głosu,
dawno temu odarł mnie z nadziei, marzeń i
pragnień. Łzy płyną jeszcze intensywniej, gdy
uświadamiam sobie, że doświadczam tego po
raz drugi. Po raz drugi zostaję pozbawiona
nadziei, której w ogóle nie spodziewałam się
odzyskać.

Przez cały ten czas Colton nieustrudzenie
całuje moją mokrą od łez twarz, starając się
wyprzeć mój ból swoim współczuciem, a żal
miłością. W końcu przechyla głowę i spogląda
mi prosto w oczy. Siedzimy tak przez chwilę,
nasze usta milczą, lecz oczy mówią bardzo

wiele, a ja czuję bezbrzeżną ulgę. Najgorsze jest jednak to, że nie potrafię odczytać tego, co próbuje mi przekazać.

Jedyne, co wiem na pewno, to to, że jest równie zagubiony jak ja, ale głęboko w środku boję się, że czuje się tak z zupełnie innych powodów niż ja.

— Hej — mówi cicho z nieznacznym uśmiechem w kącikach ust. Czuję, że trochę drżą mu dłonie. — Przestraszyłaś mnie do szpiku kości, Ryles.

— Przepraszam. Dobrze się czujesz? — mój głos brzmi niemrawo i ospale.

Colton spuszcza wzrok i potrząsa głową, chichocząc sztucznie.

— Leżysz na szpitalnym łóżku i pytasz, czy ja dobrze się czuję? — mówi i podnosi wzrok, a w jego oczach błyszczą łzy. — Rylee, ja... — przerywa i wzdycha. Jego głos jest przesycony emocjami.

Dalszą wypowiedź przerywa mu pukanie w futrynę. To doktor Andrews pyta, czy może już wrócić. Ani ja, ani Colton nie zorientowaliśmy się, że wyszła, bo byliśmy tak bardzo zaabsorbowani sobą.

— Jesteś gotowa usłyszeć odpowiedzi?

Potakuję z oporem, ale muszę się tego dowiedzieć. Colton natychmiast mnie puszcza, a pozbawienie jego dotyku wprawia mnie w przerażenie. Okazuje się, że po prostu założył bluzę i z powrotem chwyta mnie za dłoń.

Lekarka podchodzi do łóżka i wzdycha.

— Niestety nie mogę powiedzieć niczego

konkretnego,

bo

możemy

wnioskować

wyłącznie na podstawie śladów po tym, co się

wydarzyło. Skoro jesteś teraz w lepszym

stanie niż przy naszym pierwszym spotkaniu,

może opowiesz mi, co pamiętasz?

Czuję się, jakbym pływała pod wodą, ale

streszczam wszystko, co mi się przypomina, aż

do siedzenia na podłodze w łazience. Potem

nie wiem nic do momentu, gdy obudziłam się

tutaj. Lekarka potakuje i notuje coś w swoim

tablecie.

— Miałaś prawdziwe szczęście, że Colton

znalazł cię tak szybko. Straciłaś mnóstwo krwi

i kiedy do nas trafiłaś, byłaś na granicy

wstrząsu hipowolemicznego.

Mam tyle pytań, które chciałabym zadać... tyle niewiadomych, z którymi mój umysł wciąż próbuje się uporać. Zerkam na Coltona i ze względu na to, co przeszliśmy z powodu

Tawny, waham się zapytać o to, co najbardziej mnie interesuje. Postanawiam zapytać o coś innego, co także mnie dręczy.

— W którym byłam miesiącu? — mój głos jest bliski szeptu. Colton trzyma mnie mocno za rękę, a ja uświadamiam sobie dobitnie, że przecież miałam już nigdy nie mieć powodu, żeby zadać takie pytanie. A tymczasem

nosiłam w sobie dziecko. *Dziecko*. Podbródek zaczyna mi niebezpiecznie drgać i z całych sił próbuję się znowu nie rozplakać.

— Szacujemy, że byłaś między dwunastym a czternastym tygodniem — odpowiada, a ja zaciskam powieki, próbując przyjąć to, co usłyszałam. Palce Coltona zaciskają się na mojej dłoni i słyszę jego powolne, poszarpane westchnienie. Lekarka daje nam chwilę na przyswojenie jej słów, po czym kontynuuje. —

Na ile można to stwierdzić, miałaś albo przedwcześnie odklejone łożysko, albo łożysko

przodujące

z

powodu

zerwania

naczyń

krwionośnych.

— A co to znaczy?

— Po przywiezieniu do szpitala krwawienie było już w takim stopniu zaawansowania, że mogliśmy jedynie domyślać się jego przyczyny.

Zakładamy, że to było łożysko przodujące, bo

w tak wczesnym stadium ciąży rzadko

dochodzi do odklejenia łożyska, jeśli nie miał

miejsca żaden gwałtowny uraz lub uderzenie

w brzuch i...

Mówi dalej, ale ja przestaję ją słyszeć,

podobnie

zresztą

jak

Colton,

który

natychmiast

wstaje

z

łóżka

i

zaczyna

przemierzać

pokój.

Cały

wibruje

od

negatywnej energii, a jego twarz jest porwana

gniewem.

Skupiam się na nim i jego wybuchu emocji, bo

to dla mnie znacznie łatwiejsze niż myślenie o

sobie. Mój przeciążony umysł uznaje, że nie

będę musiała wtedy mierzyć się z własnymi

uczuciami. Bo może popchnęłam ojca Zandera

nieco zbyt mocno, zbyt intensywnie. I to

wszystko jest moją winą.

Zaczynam opowiadać przebieg wydarzeń, a

doktor Andrews z troską w oczach patrzy

najpierw na Coltona, potem na mnie. Za

każdym razem, gdy wspominam o tym, że

ojciec Zandera mnie uderzył, widzę, jak

wzrasta zdenerwowanie Coltona. Nie wiem

dokładnie, jak to na niego wpływa, co sobie

myśli i ile jeszcze jest w stanie wytrzymać.

Boję się bardzo wielu rzeczy, bo wiem, jak
sama się czuję.

—

To

mogła

być

przyczyna,

która

doprowadziła do poronienia — mówi doktor

Andrews po kilku sekundach.

Zaciskam mocno powieki i z trudem przełykam

ślinę, a Colton rzuca przekleństwo pod nosem.

Wciąż nie może sobie znaleźć miejsca i ma

zaciśnięte pięści. Obserwuję go uważnie,

próbując odczytać emocje przemykające przez

jego twarz. W końcu zatrzymuje się i odwraca

do mnie.

— Muszę na chwilę wyjść — oznajmia i

wychodzi, nie czekając na moją odpowiedź.

Znowu czuję łzy. Jestem w emocjonalnej

rozsypance i wiem, że nie rozumiem zbyt jasno,

ale w głowie pojawia mi się myśl, że Colton

jest zły, bo byłam w ciąży, a nie dlatego, że straciliśmy

nasze

dziecko.

Natychmiast

odpycham tę myśl i nienawidzę się za to, że w

ogóle się pojawiła, ale po tym, co przeszliśmy w ciągu ostatnich kilku tygodni, nie jestem w

stanie jej powstrzymać. Co więcej, powoduje

ona wysyp kolejnych niekontrolowanych myśli,

więc mówię sobie, że muszę wziąć się w

garść. Przecież Colton się o mnie troszczy i

nie odszedłby ode mnie z takiego powodu.

Zmuszam się do skupienia na odpowiedziach, a

nie na niewiadomych.

Dlatego

bez

zastanowienia

wypalam

z

kolejnym pytaniem, chociaż powietrze wciąż

wibruje od gniewu Coltona.

— Czy to możliwe, żebym... żebym znowu

zaszła w ciążę? Czy będę w stanie ją donosić?

Lekarka spogląda na mnie ze współczuciem na

stoickiej twarzy i wzdycha, a jej oczy

zaczynają niebezpiecznie błyszczeć.

— Czy to możliwe? — powtarza za mną i na moment zamyka oczy, kiwając nieznacznie głową. Potem bierze moją dłoń i obserwuje mnie przez chwilę. — To w ogóle nie miało być możliwe, Rylee — mówi łamiącym się głosem.

Mój żal i niedowierzenie najwyraźniej nie pozostają dla niej obojętne. — Mam nadzieję, że los nie będzie tak okrutny, żeby zrobić ci to dwa razy i nie dać ci kolejnej szansy. — Ociera łzę szybkim ruchem i pociąga nosem. — Czasem najlepszym lekarstwem jest nadzieja.

Czuję go, zanim jeszcze otwieram oczy. Wiem, że siedzi obok mnie. Niecierpliwy mężczyzna okazuje mi swoją cierpliwość. Wzdycham lekko, a potem czuję ból w sercu na myśl o małym chłopcu, który na zawsze się we mnie zatracił. Ciemne włosy, zielone oczy, piegowaty nos, szelmowski uśmiech. Otwieram oczy i trafiam na to samo spojrzenie, które widziałam w wyobraźni.

Ale jego oczy wyglądają na zmęczone, zmatowiałe i zatroskane. Nachyla się i bierze dłoń, którą do niego wyciągam.

— Hej — mówię skrzekliwie i przesuвам się,
żeby zmniejszyć dyskomfort w brzuchu.

— Hej — odpowiada łagodnie, siadając na
krawędzi krzesła. Zauważam, że zamiast
swojej koszuli ma szpitalną. — Jak się czujesz?

— pyta i całuje moją dłoń, a ja znowu
zaczynam płakać. — Nie. — Wstaje i siada na
brzegu łóżka. — Nie płacz, kochanie — mówi,
obejmując mnie i przyciągając do swej piersi.
Potrząsam głową, bo uczucia przelewają się
przeze mnie, pociągając mnie to w górę, to w
dół. Z jednej strony jestem zdruzgotana utratą
dziecka, bo to mogła być moja ostatnia szansa,
nawet jeśli cała ta sytuacja sugeruje pewne
możliwości.

Z

drugiej

strony

czuję

przesiąkniętą poczuciem winy ulgę, bo gdybym

była w ciąży, to co stałoby się ze mną i

Coltonem?

— Nic mi nie jest — mówię i całuję go w szyję

tuż pod linią szczęki, czerpiąc siłę z

wyraźnego pulsu, który wyczuwam ustami.

Potem

opieram

się

na

spiętrzonych

poduszkach, żeby móc na niego spojrzeć.

Zdmuchuję włosy z twarzy; nie chcę używać

do tego dłoni, żeby nie przerywać naszego

kontaktu.

Patrzy na mnie tak intensywnie i ma tak

napiętą szczękę i ściągnięte z emocji usta, że spuszczam wzrok na nasze złączone dłonie,

żeby przygotować się psychicznie na to, co

muszę mu powiedzieć, chociaż boję się jego

reakcji. Biorę głęboki wdech i zaczynam.

— Musimy o tym porozmawiać — mówię

niewiele głośniej od szeptu, podnosząc na

niego wzrok.

On potrząsa głową, zapowiadając odpowiedź,

która padnie za chwilę z jego ust.

— Nie — ściska moją dłoń. — Ważne jest tylko

to, że będziesz zdrowa.

— Colton... — mówię tylko jego imię, ale wiem,

że słyszy zawarte w nim błaganie.

— Nie, Ry! — wstaje z łóżka i zaczyna

przemierzać

tam

i

z

powrotem

małą

przestrzeń przy łóżku. Przypomina mi się, jak

wczoraj przytłoczony poczuciem winy chodził

przy autostradzie. Czy to było naprawdę

wczoraj? Bo wydaje się, jakby minęła cała

wieczność. — Nie rozumiesz, prawda? —

krzyczy na mnie tak, że aż wzdrygam się od

jego gwałtowności. — Znalazłem cię — mówi,

wbijając wzrok w ziemię, a jego złamany głos

mnie dobija. — Wszędzie była krew. — Podnosi

wzrok i patrzy mi w oczy. — Wszędzie... A ty...

Ty

leżałaś

w

środku

tej

jatki,

cała

zakrwawiona. — Podchodzi do brzegu łóżka i
chwytą mnie za obie dłonie. — Myślałem, że
cię straciłem. I to po raz drugi w ciągu
jednego dnia!

Z tymi słowami chwytą mnie mocno za kark i
wpija się zaborczo w moje usta. Jego język
tańczy we mnie z przenikliwym niepokojem i
namacalnym pragnieniem, aż w końcu Colton
odchyła się i opiera swoje czoło o moje. Nie
puszcza mojej szyi, a drugą dłonią ujmuje mój
policzek.

— Daj mi chwilę — szepcze, muskając mnie
oddechem. — Pozwól mi tak być, dobrze?

Potrzebuję teraz tego... ciebie. Chcę cię
trzymać w taki sposób, bo wychodziłem z
siebie, czekając na twoje przebudzenie.

Czekając, aż do mnie wrócisz, Ry, bo teraz,
gdy tu jesteś, gdy jesteś w moim życiu... i gdy
stałaś się częścią mnie, nie potrafię oddychać,
jeśli nie wiem, czy z tobą wszystko w
porządku. I że do mnie wróciłaś.

— Zawsze do ciebie wrócę — wypalam bez
zastanowienia, bo kiedy serce chce coś
powiedzieć, po prostu to robi. Słyszę jego

drżący oddech, czuję jego palce na karku i
wiem, że jako mężczyzna, który nigdy nikogo
nie potrzebował, kompletnie nie ma pojęcia, co
zrobić w tej sytuacji, gdy nie może żyć bez
czegoś, czego nigdy nie chciał.

Siedzimy tak przez chwilę. W końcu Colton
odchyła się i całuje mnie w czubek nosa.

Słyszę kroki i widzę w drzwiach swoją
najlepszą przyjaciółkę.

— Jezu Chryste, kobieto! Chcesz mnie
przyprawić

o

atak

serca?

—

mówi,

wparowując do środka. — Zabieraj z niej
swoje łapy, Donovan, i dopuść mnie do niej —
nakazuje. Czuję, że jego usta układają się w
uśmiech, gdy mnie całuje. Chwilę później
wchłania mnie cyklon, jakim jest Haddie, która
przytula mnie mocno i obie zaczynamy płakać.

— Pozwól mi na siebie spojrzeć! — mówi i
odchyła głowę, uśmiechając się przez łzy. —

Wyglądasz gównianie, ale wciąż jesteś piękna

jak zawsze. Dobrze się czujesz? — szczerłość

jej tonu sprawia, że znowu wzbierają mi łzy i muszę przygryźć wargę, żeby je pohamować.

Potakuję, a Haddie podnosi wzrok i trafia na

wzrok Coltona. Przez chwilę wymieniają pełne

emocji spojrzenia. — Dziękuję ci — mówi do

niego cicho, a ja zamykam na moment oczy, bo

uderza mnie intensywność tego wszystkiego.

— Żadnych łez, dobrze? — Haddie ściska moją

dłoń, a ja potakuję, nie otwierając oczu.

— Dobrze — wzdycham i otwieram oczy, żeby

spojrzeć na Coltona. Jest w nich coś, czego nie

potrafię uchwycić, ale oboje przeszliśmy w

ciągu

ostatnich

dni

tak

wiele,

że

przypuszczalnie

to

zwykłe

przeciążenie

emocjonalne.

Siedzimy tak przez moment. Z każdą chwilą Colton coraz bardziej się wycofuje. Wiem, że Haddie to widzi, ale po prostu trajkuje dalej, jakbyśmy nie były w szpitalu i jakbym ja wcale nie opłakiwała utraconego dziecka. Dobrze, że to robi, bo, jak zwykle, doskonale wie, czego potrzebuję.

Właśnie opowiada, że rozmawiała z moimi rodzicami, którzy zmierzają do mnie z San Diego, gdy dostaje SMS-a. Czyta go, po czym patrzy na Coltona.

— Becks jest na parkingu i chce, żebyś zszedł po niego.

Patrzy na nią dziwnie, lecz potakuje, całuje mnie w czoło i uśmiecha się łagodnie.

— Zaraz wrócę, dobrze?

Uśmiecham się w odpowiedzi i patrzę za nim, jak wychodzi z pokoju. Potem spoglądam na Haddie.

— Możesz mi powiedzieć, co tu jest, do cholery, grane? — pyta, a ja się śmieję, bo wiem, że będzie walić prosto z mostu. —

Kurde — wzdycha. — Kazałam ci zakosztować trochę buntowniczego seksu z nim, oczyścić

się z pajęczyn i takie tam. A tymczasem ty
nadajesz
się
do
jakiegoś
talk
show.

Zapłodniona siłujesz się z facetem z bronią i
przeżywasz poronienie dziecka, o którym nie
miałaś pojęcia.

Znowu pojawiają się łzy, ale tym razem ze
śmiechu, bo każdy, kto posłuchałby tej
rozmowy, uznałby Haddie za bezduszną, ale ja
wiem, że głęboko w środku radzi sobie z
nieoczekiwanym niepokojem w jedyny znany
sobie sposób, czyli za pomocą sarkazmu. Dla
mnie to jak terapia, bo przywykłam do tego
przez ostatnie dwa lata w ciężkie noce po
wypadku z Maxem.

Haddie śmieje się ze mną, ale jej śmiech
szybko zastępują łzy. W końcu patrzy na mnie i
mówi:

— Wiesz, kto by przypuszczał, że ten facet ma
supermocną spermę, która potrafi zrobić istny

desant i naprawić zepsute łono jak jakiś

pieprzony superbohater?

Krztuszę się ze śmiechu i wzdrygam na to, co
powiedziała, bo nigdy nie opowiadałam jej o
superbohaterach

Coltona,

ponieważ

nie

chciałam zawieść jego zaufania. Ale ona tego
nie zauważa, tylko kontynuuje.

— Od teraz logo Supermana będzie mi się
kojarzyło z Coltonem i jego supersperma.

Przebijającą jajeczka i niebiorącą jeńców.

Chichoczę razem z nią, a jednocześnie

uśmiecham się po cichu do jej słów i

spoglądam w stronę drzwi, bo desperacko go
pragnę i potrzebuję.

— Jak on się czuje? — pyta, gdy jej zabarwiony
łzami śmiech powoli wygasa.

Wzruszam ramionami.

— W ogóle nie mówi nic bezpośrednio o... o
dziecku. — Trudno mi wypowiedzieć to słowo.

Zaciskam

powieki,

żeby

powstrzymać

powracające łzy. Haddie ściska moją dłoń. —

Nie powiedział tego, ale wini za to siebie.

Wiem, że myśli, że gdyby nie zostawił mnie w

Domu samej, to ojciec Zandera nie odważyłby

się wejść. Nie uderzyłby mnie. I nie doszłoby

do... — To głupie, że nie potrafię wykrztusić

słów „poronienie” lub „utrata dziecka”, bo po

tym, co mnie spotkało, powinnam zasadniczo

być przyzwyczajona do ich wypowiedania. Ale

za każdym razem, gdy o tym myślę... i gdy to

mówię, czuję się jak za pierwszym razem.

Haddie kiwa potakująco głową i zerka na

mnie, po czym spuszcza wzrok na nasze

złączone dłonie. Czekam, aż się odezwie, rzuci

jakimś haddie’izmem, żeby mnie rozśmieszyć.

Ale gdy podnosi wzrok, w jej oczach błyszczą

łzy.

— Przeraziłaś mnie do szpiku kości, Ry. Colton

do mnie zadzwonił... Gdybyś słyszała, jak

brzmiał... Nie miałam żadnych wątpliwości, co

do ciebie czuje.

Oczywiście idę w jej ślady i zaczynam płakać,

więc ona siada na łóżku obok mnie i przytula mnie mocno do siebie. W tej samej pozycji przesiedziałyśmy wiele godzin po tym, jak straciłam Maxa i nasze dziecko. Przynajmniej tym razem kamień na moim sercu jest nieco lżejszy.

Rozdział 32.

Czuję się jak na paradzie, gdy Colton pcha mój wózek inwalidzki w stronę wyjścia ze szpitala.

Nie potrzebuję go, ale pielęgniarka powiedziała, że taka jest polityka szpitala.

Moja mama rozmawia cicho z Haddie, a mój ojciec słucha z półuśmiechem na twarzy, bo nawet on nie jest odporny na jej urok. Becks podjeżdża range roverem bezpośrednio pod wejście, a Sammy stoi na straży, żeby w razie czego odgonić prasę, która na szczęście nie wie o moich najnowszych doświadczeniach.

Jeszcze.

Colton popycha wózek w milczeniu. Zresztą milczał przez większą część ostatnich dwóch dni.

Gdyby

to

był
ktokolwiek
inny,
przypisałabym to wycofanie nieoczekiwanemu
poznaniu moich rodziców. Pierwsze spotkanie
z rodzicami partnera lub partnerki to poważny
krok w każdym związku, a już na pewno w
związku z kimś takim jak Colton, który nie ma
żadnych doświadczeń w takich sprawach.
Jakby tego było mało, poznał ich po tym, jak
jego dziewczyna poroniła dziecko, z którego
istnienia nie zdawała sobie sprawy.
Ale w przypadku Coltona chodzi o coś innego.
I chociaż kocham rodziców za to, że przybyli
do mnie jak najszybciej, Haddie za jej
niezachwiany
humor,
Becksa
za
nieoczekiwane żarty i każdą inną osobę, która
wpadła,
żeby
życzyć
mi

zdrowia,

to

chciałabym w końcu zostać z Coltonem sam na sam. Wtedy nie będzie się mógł przede mną ukrywać i ignorować tego, co chodzi mu po głowie. Milczenie powoli zaczyna nas dusić, a ja potrzebuję powietrza. Chcę, żebyśmy mogli sobie powrzeszczeć, pokrzyczeć, popłakać i powściekać się po to, żeby to wszystko z siebie wyrzucić, a nie da się tego zrobić na oczach rodzin pilnujących, żebyśmy się nie załamali.

Bo my potrzebujemy się załamać. Musimy pęknąć. Dopiero wtedy będziemy w stanie pozbierać swoje kawałki i na nowo poskładać się w całość.

Zerkam za siebie na Coltona i jego spokojny wyraz twarzy. Po głowie chodzą mi uparte myśli o tym, co by się stało, gdyby nie zdarzenie z ojcem Zandera. Co by było, gdybym wciąż była w ciąży? Jak by to na nas wpłynęło?

Nie skupiaj się na tym, powtarzam sobie, chociaż tylko o tym potrafię myśleć. O ciąży.

Wydaje mi się to tak realną perspektywą,

wręcz namacalną, że nieustannie przebłyskuje w mojej głowie. Colton zatrzymuje wózek za wyjściem i staje przede mną. Patrzy mi w oczy. Łagodność zajmuje miejsce intensywności, którą widziałam w jego oczach przez ostatnie kilka dni. Na jego usta wpełza uśmiech. Czy ja byłabym w stanie odejść od tego faceta dlatego, że chcę dziecka, a on nie chce? Czy byłabym w stanie odejść od mężczyzny, bez którego nie potrafię żyć, dla czegoś, za co jeszcze niedawno oddałabym wszystko?

Nie. Odpowiedź jest prosta. Ten złamany, piękny, dojrzewający mężczyzna jest po prostu dla mnie zbyt ważny, żebym była w stanie kiedykolwiek od niego odejść.

Colton nachyla się i kładzie delikatny pocałunek na moich ustach, a ja mam poczucie winy za swoje myśli.

— Wszystko w porządku? — pyta.

Wyciągam dłoń i kładę ją na jego policzku, po czym uśmiecham się, potakując.

— Tak, a u ciebie?

Uśmiecha się szerzej, bo wie, że nawiązuję do tego, jak mój ojciec taksował go wzrokiem, zastanawiając

się,

czy

to

odpowiedni

mężczyzna dla jego małej córeczki.

— Daję radę — odpowiada, puszczając mi
oczko, i potrząsa głową. Potem prostuje się,
nie odrywając ode mnie wzroku i wciąż
ogrzewając mi serce swym uśmiechem. —

Wątpisz w moje możliwości?

— Nie, w to z całą pewnością nie wątpię. —

Śmieję się, ale przestaję, gdy on przechyla
głowę i patrzy na mnie. — Co?

— Dobrze w końcu widzieć twój uśmiech —
stwierdza łagodnie. Nagle spogląda na coś za

moim

ramieniem

i

jego

spojrzenie

pochmurnieje. Gdy wraca wzrokiem do mnie,

jego oczy są z powrotem jasne i łagodne. —

Gotowa, żeby stąd spadać?

Chwyta mnie za jeden łokieć, moja mama za

drugi, a ja wstaję. Oboje mnie asekurują, co jest zupełnie zbędne.

— Jest w porządku, naprawdę — mówię do nich.

Mama obejmuje mnie ramionami i przytula nieco dłużej niż normalnie.

— Jeśli chcesz, możemy zostać jeszcze jeden dzień. Dopilnujemy, żeby było ci miło i przytulnie, zanim wrócimy do domu.

— Ona nie idzie do domu. — Wszystkie głowy, w tym moja, jak na komendę zwracają się w stronę Coltona. Ale on mimo tych wszystkich spojrzeń patrzy wyłącznie na mnie. —

Zostaniesz u mnie. Koniec tematu.

Po tym rozporządzeniu mija uśmiechającego się Becketta, zadowoloną Haddie i moich oniemiałych rodziców. Zamyka tylną klapy samochodu i podchodzi do moich rodziców.

— Oczywiście jak najbardziej możecie także u mnie zostać. Mam mnóstwo miejsca. — Unosi brwi do nich, gotowy

obalić

wszelkie

ewentualne zastrzeżenia.

— Nie, w porządku — odpowiada mój ojciec,

chwytną

wyciągniętą

rękę

Coltona

i

wymieniając z nim uścisk dłoni. — Wierzę, że

będziesz się nią dobrze opiekował.

To takie proste. Czuć między nimi nienazwaną

wieź, jak między ojcem a ukochanym jego

córki. Dwaj mężczyźni. Dwaj obrońcy. Colton

trzyma zdecydowanie dłoń mojego ojca i

potakuje, przyjmując zaufanie, jakim został

obdarzony. Zgodnie z *męskim kodem* jest

teraz odpowiedzialny za mnie. Patrzą sobie w

oczy przez dłuższą chwilę, a ja czuję

wzbierające w gardle emocje. Zerkam na

mamę, która obserwuje ich rozmowę i także

ma w oczach łzy.

Obie patrzymy na nich jeszcze trochę, po czym

mama pomaga mi wsiąść do samochodu.

Zapina mi pas, po czym ujmuje moją twarz w dłonie i spogląda mi w oczy.

— Powiedziałaś mi, że nie jesteś pewna, co jest między tobą i Coltonem. — Odgarnia mi z twarzy niesforny kosmyk. — Ten facet jest w tobie zakochany po uszy, słonko. — Uśmiecha się łagodnie i kiwa głową, gdy otwieram usta i próbuję temu zaprzeczyć. — Jestem twoją mamą i widzę to jak na dłoni, Ry. Mężczyźni nigdy tego nie widzą, nie akceptują i nie pragną, dopóki się o to nie potkną i nie wpadną w to twarzą. Jesteś szczęściarą, że drugi raz w życiu zdarza ci się mężczyzna, który chce się specjalnie potknąć i wpaść w tę studnię bez dna. Nawet jeśli coś zepsuje... — Unosi dłoń, gdy chcę go obronić, i przewraca oczami. — Spójrzmy prawdzie w oczy, to mężczyzna, na pewno coś zepsuje... W każdym razie bądź wyrozumiała, bo kocha cię równie mocno jak ty jego.

Słowa,
których
nie

potrafi

wypowiedzieć, są wypisane na całej jego przystojnej twarzy.

Potakuję bez słowa, przygryzając dolną wargę, żeby powstrzymać nieskończony strumień znowu wzbierających łez.

— Wiem — mówię bardzo cicho, przytłoczona szczęściem i smutkiem.

Sięga w dół i ściska moje dłonie oparte na udach.

— Jeśli jest ci pisane dziecko, Ry, będziesz je miała. Wiem, że to wcale nie sprawi, że poczujesz się lepiej, ale przypomnij sobie te słowa w środku nocy, gdy będzie ci smutno.

Pamiętaj, że w życiu nie chodzi o to, żeby przetrwać sztorm, tylko żeby umieć tańczyć w deszczu. — Nachyla się i całuje mnie w policzek. — Kocham cię.

— Ja też cię kocham, mamó — odpowiadam i obejmuję ją, a jej mądre słowa dźwięczą mi w głowie. — Dziękuję.

Pozostali zegnają się szybko, bo samochód stoi w miejscu, gdzie nie wolno parkować. Beckett zegna się ostatni. Colton rozmawia o czymś z Sammym z drugiej strony auta, a Becks

przysłupiał mnie krótko. Chce zamknąć drzwi,
ale zatrzymuje się i patrzy na mnie, kiwając
głową.

— To o kole ratunkowym działa w obie strony,
wiesz? Wykorzystaj je. Wykorzystaj jego. Nie
pęknie, jeśli to zrobisz... ale ty możesz pęknąć,
jeśli tego nie zrobisz.

— Dzięki, Becks. Jesteś dla niego naprawdę
dobrym przyjacielem.

— Prędeż dupkiem! — mówi Colton, siadając
za kierownicą. — Byłby jeszcze lepszym
przyjacielem, gdyby zabrał swoje łapska z
mojej dziewczyny i pozwolił mi zabrać ją do
domu.

— Oto i nasz dobrze wychowany przyjaciel —
mówi Beckett ze śmiechem, ściskając moją
dłoń. — Też cię kocham, Wood!

— Również, stary! — śmieje się Colton.

Przyciska guzik na desce rozdzielczej i silnik
budzi się do życia.

— Trzymaj go krótko — mówi Becks,
puszczając mi oczko i potrząsając głową, po
czym zamyka drzwi.

Wyjeżdżamy z parkingu i oboje cieszymy się

zapadła ciszą. Chcę jak najszybciej być w domu i znaleźć się w łóżku, wtulona w pokrzepiające ciepło Coltona. Zamykam oczy i odchylam głowę, a mój umysł przewija każde chaotyczne zdarzenie z ostatnich kilku tygodni. Wzdycham w ciszy, a Colton włącza radio i chwyta mnie za rękę.

W powietrzu zaczyna unosić się głos Sarah Bareillis. Zaczynam bezwiednie nucić i uśmiecham się z powodu trafności słów. Wiem, że Colton słyszy te słowa, bo ściska moją dłoń. W końcu otwieram oczy i jestem zdumiona tym, co przed sobą widzę.

— Colton, co...?

— Wiem, że wciąż jesteś obolała, ale chciałem zabrać cię w miejsce, które cię uszczęśliwi.

— Ty mnie uszczęśliwiasz — stwierdzam i

łapię

na

chwilę

jego

spojrzenie,

żeby

wzmocnić swoje słowa, po czym przenoszę

wzrok na rozciągającą się przed nami plażę.

— Tym razem jestem przygotowany. —

Uśmiecha się nieśmiało. — Mam koce, kurtki i

trochę jedzenia, jeśli chcesz ze mną pójść i

posiedzieć trochę na słońcu.

Śmieję się, a w oczach zbierają mi się łzy.

— Chcę. Przepraszam — mówię o łzach, które

ocieram. — Jestem w rozsypce emocjonalnej.

Hormony

ciężowe

i...

—

milknę,

bo

uświadamiam sobie, że poruszyłam temat

tabu, którego jeszcze nie omawialiśmy.

Zapada między nami niezręczna cisza. Colton

chwyta mocno kierownicę, wzdycha głośno i

bez słowa wysiada. Otwiera tylne drzwi,

wyciąga jakieś rzeczy, po czym pomaga mi

wysiąść.

— Ostrożnie — mówi, gdy powoli zsuwam się z fotela.

— Nic mi nie jest.

Chwytam się za dłonie i w milczeniu

schodzimy na plażę. Tym razem jest więcej

ludzi, nie tak jak wtedy, gdy byliśmy tu kilka miesięcy temu na naszej pierwszej oficjalnej randce. Czuję radość w sercu, że zabrał mnie

w

miejsce,

w

którym

mogę

znaleźć

pocieszenie.

— Tu będzie dobrze? — pyta, po czym puszcza

moją dłoń i rozkłada koc na piasku, stawiając

obok brązową papierową torbę z zakupami.

Gdy próbuję usiąść, chwyta mnie za biodra.

— Nic mi nie będzie — mówię cicho, chociaż

uwielbiam czuć na sobie jego dłonie. Zwykły

dotyk,

który

daje

mi

siłę,

komfort

i

bezpieczeństwo.

Siada za mną tak, że jestem między jego
nogami, i przyciąga mnie do swojej piersi,

obejmując

ciasno.

Opuszcza

głowę

w

zagłębienie mojej szyi i wzdycha.

— Wiem, że nic ci nie będzie, Ry, ale było
naprawdę groźnie. Wiem, że jesteś silna i
niezależna i że przyzwyczyłaś się robić
wszystko samodzielnie, ale pozwól mi się teraz
tobą zaopiekować, dobrze? Potrzebuję tego...

potrzebuję, żebyś mi na to pozwoliła —

kończąc, przyciska usta do mojej skóry i tak
zostaje. Czuję ciepło jego oddechu i łaskotanie
zarostu.

— OK — szepczę i wzdycham głęboko, a
kłujący ból w brzuchu przypomina mi, że

musimy porozmawiać. Przechylam głowę w stronę słońca i zamykam oczy, ciesząc się ciepłem, chociaż w środku czuję chłód.

— No powiedz to — mówi z lekką irytacją w

głosie. — Czuję, że się spinasz i udajesz, że wcale nie myślisz obsesyjnie o tym czymś, o co

chcesz mnie spytać. Nie będziesz w stanie się rozluźnić, dopóki tego nie powiesz —

chichocze. Jego pierś wibruje na moich plecach, ale wyczuwam, że niekoniecznie jest zachwycony.

Nie otwieram oczu jeszcze przez chwilę, bo nie chcę zniszczyć tego spokoju między nami.

Muszę jednak rozwiązać to ukryte napięcie.

— Musimy porozmawiać o... o dziecku. — W

końcu udaje mi się to powiedzieć i jestem z

siebie dumna, że mój głos nie drżał jak za

każdym razem w ciągu ostatnich kilku dni, gdy

próbowałam poruszyć ten temat. — Nic mi o

tym nie powiedziałaś i nie wiem, co myślisz...

ani co czujesz. A muszę to wiedzieć...

— Dlaczego? — pojedyncze słowo wyrywa mu

się niczym kolano w odruchu skokowym, bo

chociaż nie widzę jego twarzy, wyczuwam, że

jego ciało się spięło. — Dlaczego ma to

znaczenie? — pyta w końcu nieco bardziej
opanowanym głosem.

Bo tak właśnie się robi w związkach,

chciałabym mu odpowiedzieć, lecz zamiast
tego wzdycham cicho i mówię:

— Colton, przytrafiło się nam coś poważnego...
a przynajmniej mnie...

— Nam — poprawia mnie, czym wytrąca mnie
przez chwilę z mojego toku myślenia. Po raz
pierwszy naprawdę uznał dziecko, które
straciliśmy. Coś, co stworzyliśmy razem i co w
jakiś sposób zawsze będzie nas wiązało.

— Nam. Ale ja nie wiem, jak się z tym czujesz.

Wiem tylko, że mój świat zachwiało się w
posadach i że kręci mi się od tego wszystkiego
w głowie. Ja po prostu... Jesteś przy mnie i
doświadczasz tego ze mną, ale jednocześnie
czuję, jak się zamykasz i nie rozmawiasz ze
mną — wzdycham. Mam świadomość, że plotę
bez ładu i składu, ale nie za bardzo wiem, jak
do niego trafić. Próbuję jeszcze raz. —

Powiedziałeś,

że

potrzebujesz,

żebym

pozwołała ci się sobą zaopiekować. Rozumiem to. A czy ty rozumiesz, że ja potrzebuję, żebyś ze mną porozmawiał? Że nie chcę, żebyś mnie teraz odcinał? Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnę, jest zamartwianie się tym, na czym stoimy.

Zmuszam się do zamilknięcia, bo zaczynam słyszeć desperację we własnym głosie. Colton nie odpowiada, więc siedzimy w niezręcznej ciszy. Zaczyna się ode mnie odrywać, a ja przygotowuję się na pustkę i na to, że zdystansuje się, chociaż teraz najbardziej go potrzebuję. On jednak zanurza nos w moich włosach i po prostu mną oddycha. Zamykam oczy i czuję dreszcze na skórze, bo wiem, że nie zamierza mnie odepchnąć, lecz po prostu, jak to on, potrzebuje chwili na zebranie myśli.

— Rylee... — wzdycha moje imię w tak

przesycony

emocjami

sposób,

że

aż

wstrzymuję oddech z przejęcia. Opiera czoło o
tył mojej głowy i ściska dłońmi moje ramiona.

— Nie potrafię o *tym* rozmawiać. Po prostu nie potrafię — wyznaje, akcentując słowo „*tym*”
tak, że wiem, iż chodzi mu o dziecko. — Mogę
rozwiązywać tylko jeden problem w danym
momencie, a teraz wciąż jeszcze próbuję
uporać się z tym, że prawie cię straciłem.

Przesuwa czoło w lewo i w prawo po mojej
głowie.

— Nie przywykłem do uczuć, Ry, tylko do życia
w odrętwieniu... Uciekania na pierwszy
sygnał, że robi się zbyt poważnie. A ty, my... —

wzdycha. — To jest tak cholernie poważne, że
bardziej nie mogłoby być. Czuję, jakby ktoś
przywalił mi z zaskoczenia w brzuch w

sytuacji, gdy dopiero przyzwyczajałem się do
nowej pierdolonej normalności. Jestem w

rozsypance i nie wiem, gdzie jest góra, a gdzie dół, ale staram się z tym uporać najlepiej jak potrafię.
To oznacza, że muszę jakoś wyrzucić

z głowy obraz ciebie przypominającej martwą
szmacianą lalkę.

Jego słowa docierają głęboko do mojej duszy i
wskrzeszają ziarenko nadziei, które obumarło
wraz z poronieniem i obawami trawiącymi
mnie z powodu jego milczenia. Nie chce

rozmawiać o dziecku, bo nie potrafi, ale przynajmniej mi o tym powiedział. I chociaż chciałabym z nim o tym pogadać i zapewnić go, że potrzebuję tylko jego, a resztę możemy ustalić później, to milczę i pozwalam mu, żeby najpierw uporał się z tym, co mnie spotkało.

Przesuwam się, żeby usiąść bokiem i przekładam nogi nad jego nogą. Chcę zobaczyć jego twarz i pokazać mu, że wszystko jest w porządku. Patrzę w jego zagubione oczy, kładę dłoń na jego policzku i łagodnie się uśmiecham.

— Nic mi nie jest, Colton. Uratowałeś mnie — mówię i kładę czuły pocałunek na jego ustach, których chyba nigdy nie będę miała dosyć. —
Dziękuję, że mnie uratowałeś.

— Myślę, że to ja powinienem tobie podziękować. — Potrząsa nieznacznie głową.
— Bo to ty mnie uratowałaś.

Jego słowa wypłaszają z mojej głowy wszelkie myśli poza słowami, których nie mogę mu powiedzieć. *Kocham cię*. Kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek będziesz wiedział, i bardziej, niż kiedykolwiek będę w stanie wyrazić. Czy

on ma świadomość, że mogłam go uratować tylko dlatego, że w końcu mnie do siebie wpuścił? Kiedy w końcu pogodzi się z tym, że jest wart uratowania? Patrzymy sobie w oczy i rozmawiamy bez słów. Zaskakuje mnie, gdy w kącikach jego oczu zbierają się łzy, a on bierze drżący oddech.

— Obojgu nam nic nie jest, Ry. Ja po prostu potrzebuję małego pit stopu, żeby przerobić sobie w głowie całe to badziewie, do którego nie przywykłem, dobrze? Nie proszę cię o przestrzeń i rozejście się na jakiś czas, tylko o odrobinę cierpliwości, gdy będę próbował to wszystko ogarnąć.

Potakuję, przygryzając dolną wargę, bo nie potrafię wykrztusić ani słowa. Fizycznie nie jestem do tego zdolna po jego słowach. Chce złagodzić wszystkie moje największe obawy, zanim mój umysł zacznie jak zwykle wszystko nadmiernie analizować.

Siedzimy tak przez chwilę, tym razem w komfortowym milczeniu.

— Jesteś głodna? — pyta po jakimś czasie.

Wzruszam

ramionami,

rozkoszując

się

wtulaniem głowy w jego szyję i obejmującymi

mnie ramionami. — Gdy byliśmy tu pierwszy

raz, zwałaś mnie z nóg.

— Dlaczego? — mój głos jest senny i

zadowolony. Nie ma takiego miejsca na

świecie, w którym wolałabym teraz być.

Czuję jego wzruszenie ramion.

— Nie wiem. Myślałem, że się wkurzysz, że

zabrałem cię na plażę i nakarmiłem salami,

serem i winem z plastikowych kubeczków —

chichocze. — Nie wiedziałem, że zachwiejesz

całym moim światem.

Ogarnia mnie fala ciepła. Przez głowę

przemykają wspomnienia tego, jak siedziałam

tu z tym nieziemsko przystojnym mężczyzną i

zastanawiałam się, co on, do cholery, we mnie

widzi. Teraz to rozumiem. Dostrzegał kawałki

mnie, które mogą utworzyć nową całość.

Akceptował

szorstkie

krawędzie,

które

wymagały wygładzenia, bo też taki był. A teraz znowu jesteśmy w rozsypce i musimy się poskładać na nowo. Tym razem jednak mamy siebie nawzajem i możemy na sobie polegać.

— Boże, byłeś takim fiutem, ale po prostu nie potrafiłam ci się oprzeć, *As*.

— No, kochana, wciąż jestem równie arogancki i z pewnością mam sporego fiuta.

Przewracam oczami i chichoczę.

— Dobry Boże! — Nie potrafię przestać, a on całuje mnie w czubek głowy. — Arogancja jak u króla.

— Nie — odpowiada. — Jak u asa.

— Słabe! — mówię. Cieszy mnie nasze swobodne przekomarzanie się. Odchylam się i patrzę mu w oczy. — Serio? Nie wymyślisz nic lepszego? Tylko do tego potrafisz dojść?

— Oj, Ry — uśmiecha się do mnie zmysłowo i obdarza mnie szybkim pocałunkiem w usta — nie bój się o dochodzenie, bo byłoby ci bardzo trudno znaleźć mężczyznę, z którym będziesz dochodzić lepiej niż ze mną.

Nim cokolwiek wykrztuszę, oplata mnie

ramionami i przyciska usta do moich. Nasze

serca splatają się tak, jak nigdy nie

podejrzewałam, że w ogóle można.

Pokochaliśmy się.

Zgubiliśmy się.

A teraz na nowo szukamy wspólnego gruntu.

Szukamy nas. A ja jeszcze nigdy nie czułam się

tak przyjemnie, zatracając się w kimś po to,

żeby odnaleźć się na nowo.

— Na pewno wszystko w porządku?

Czuję jego ciężar na łóżku, gdy siada obok

mnie, a jego woda kolońska natychmiast

przesłania antyseptyczny zapach pozostawiony

przez sprzątających.

— Uhm. Jestem po prostu zmęczona — mówię

i przewracam się na bok, żeby móc na niego

spojrzeć. — Dzięki za to popołudnie. —

Nawiązuję do chwil spędzonych na plaży. Do

naszej rozmowy, do jedzenia z delikatesów,

które przypomniało nam pierwszą randkę, i do

milczenia, które nie było już bolesne i

samotne. — A u ciebie wszystko w porządku?

Klepie Baxtera po głowie i nachyla się, żeby

pocałować mnie czule w usta. Zauważam, że
nie odpowiedział na moje pytanie.

— Pójdę teraz trochę popracować — oznajmia
i wstaje z łóżka. — Na pewno wszystko w
porządku?

— Tak, Colton. Prześpię się po prostu. —
Odwraca się, żeby odejść od łóżka, ale
ściskam jego dłoń. — Hej, nie wiesz, gdzie jest
mój
telefon?

Chciałabym
zadzwoić
do

Haddie, żeby się nie martwiła.

Podchodzi do komody i podaje mi go. Całuje
mnie w czoło i w nos, a potem wychodzi.

Patrzę za nim i wiem, że nigdy mi się nie
znudzi. Nigdy nie przestanę go sobie cenić,
skoro dotarcie do tego punktu wymagało tyle
pracy.

Włączam telefon i ze zdziwieniem zauważam,
że bateria się nie rozładowała, chociaż leżał tu
od tamtej feralnej nocy. Potrząsam głową, gdy
widzę niekończącą się liczbę życzeń powrotu

do zdrowia. Czytam kilka wiadomości o
zbliżającej się przełomowej imprezie mającej
upamiętnić rozpoczęcie nowego projektu, ale
ostatni SMS zupełnie mnie rozwała.

Zapiera mi dech w piersi i kradnie moje serce.

To od Coltona. Chyba jeszcze nigdy nie napisał
mi czegoś tak szczerego i wyrażającego tak
absolutną desperację.

*Czuję się zagubiony. Jesteś gdzieś tam w
środku tego cholernego szpitala, a ja
potrzebuję rozmowy z tobą. Twojego dotyku.*

*Czegokolwiek związanego z tobą, bo jestem
przerażony jak diabli... Dlatego powiem ci to w sposób, który na pewno zrozumiesz.*

Lifthouse, Broken .

Teraz pojawiają się łzy. Spływają po mojej

twarzy,

a

ja

nawet

nie

próbuję

ich

powstrzymać ani ukryć, bo i tak nikt ich teraz

nie zobaczy. I dlatego, że są to łzy radości.

On mnie kocha.

Rozdział 33.

Colton

— Zamierzasz tu siedzieć i topić smutki całą noc jak jakaś jęcząca dupa czy co?

Dochodzący z atramentowych ciemności głos przeraża mnie do szpiku kości.

— Ja pierdolę, Becks! — warczę i odwracam się, żeby zobaczyć, jak wyłania się z tyłu domu. — Co to ma być, stary? Nie słyszałeś nigdy o drzwiach frontowych?

— Taa, a ty nie słyszałeś nigdy o odbieraniu pieprzonego telefonu? Poza tym pukanie jest dla przyjaciół, a ja jestem pieprzoną rodziną, więc przestań marudzić.

— Od dwóch miesięcy jestem tak częstym gościem w szpitalach, że nie mam teraz w planie ataku serca. — Biorę spory łyk piwa i w końcu czuję się na tyle pijany, że gdy myślę o Rylee, obraz jej zimnego, pokrytego krwią i bezwładnego ciała nie pojawia się jako pierwszy.

— Cóż, to jaki jest w takim razie twój plan? — pyta, otwierając piwo wyciągnięte z lodówki. Z jego uśmiešku wnioskuję, że ma coś do

przekazania, a ja, *do cholery*, nie potrzebuję żadnych przekazów, porad czy czegokolwiek w tym stylu.

— Jasne, czuj się jak u siebie w domu —

mówię. — Złodzieju mojego piwa.

— Nieee, ja je tylko pożyczam — odpowiada i

klapie na krzesło obok mnie. Siedzimy w milczeniu, próbując odgadnąć swoje nastroje.

— Nie mieliśmy kiedy pogadać w szpitalu.

— Tak? Cóż, miałem na głowie istotniejsze rzeczy niż pieprzenie z tobą o głupotach. —

Kurde,

zachowuję

się

jak

duppek.

Potrzebowałem wtedy jego obecności, ale teraz nie czuję się zbyt komfortowo, bo nie wiem, do czego zmierza. Czuję, że zmyje mi głowę. *Kurwa!*

— Śpi? — pyta, wskazując podbródkiem w stronę piętra.

— Jest po północy, więc jak myślisz?

— Nie bądź takim dupkiem. Słuchaj, trafiło ci się sporo szajsu i...

— Odwal się, Becks. Daj mi po prostu napić się w spokoju piwa. — Rzucam pustą butelkę w stronę kosza i nie trafiam. Chyba jestem bardziej pijany, niż mi się wydaje. Cholera.

— Nie ma takiej opcji, bracie. — Wzdycha, a ja mówię pod nosem „bałwan”, co wywołuje jego chichot. — Spieprzyłeś to wszystko zbyt wiele razy, dlatego przyszedłem ci pomóc.

— Uważaj, żeby drzwi nie uderzyły cię w dupę, gdy będziesz wychodził, *misiaczku*. — Chcę po prostu zostać sam. Ja, piwo, pies i mój święty spokój.

— Niezła próba, ale jesteś na mnie skazany.

Coś jak na opryszczkę, tyle że lepiej.

Co?

— Stary, czy ty właśnie porównałeś siebie do pieprzonej opryszczki? — Odchylam się i patrzę w gwiazdy, po czym spoglądam na niego i potrząsam głową. — Bo w przypadku opryszczki przynajmniej najpierw zostałby obsłużony mój fiut. W twoim przypadku bardziej możliwe, że trzeba się wypiąć bez żadnego smarowania.

Śmieje się tym swoim śmiechem, który unosi kąciki moich ust. Uparty bałwan dobiera się

do mnie, chociaż marzę o tym, żebym został sam.

— Cóż, dobrze wiedzieć, że byś się wypiął — stwierdza, puszczając mi oczko, i gapi się na mnie tak długo, aż nie wytrzymuję i wybucham śmiechem, przed którym się powstrzymywałem.

— Jesteś chorym pojechańcem, wiesz o tym? — mówię, otwierając kolejne piwo.

— Nie chciałbyś mnie, gdybym był inny.

— Uhm — odpowiadam i wypijam pół butelki, pozwalając, by na chwilę zapadła między nami cisza. Z jednej strony wolałbym zostać sam, żeby poukładać chaos w głowie, z którego wynika, że raczej prędzej niż później stanę przed koniecznością podjęcia pewnych decyzji.

Z drugiej strony jednak miło mieć przy sobie Becksa, nawet jeśli jest jak wrzód na dupie.

Stukam kciukiem do grającej w głośnikach piosenki Seether, a Becks daje mi kilka minut, zanim zacznie się bawić w psychoterapeutę i

będzie grzebał w toksycznych odpadach w
mojej głowie.

— Pamiętasz tę pannę, Roxy Tomlin? — pyta w
końcu, zwalając mnie z nóg.

— *Odkurzaczkę?* — śmieję się. Ciekawe, po co
wspomina królową obciążania z dawnych
czasów. Tę, która zrobiła laskę najpierw jemu,
a potem mnie. Normalnie wyrzuciłbym ją za
drzwi po takim numerze, ale skoro Becks
twierdził, że to było najlepsze obciążanie w
jego życiu, postanowiłem dać szansę jej
chętnym ustom.

— Tak, odkurzaczkę. Nieskończone ssanie —
śmieje się ze mną, potrząsając głową na to
wspomnienie. — Wciąż dość wysoko w mojej
prywatnej klasyfikacji.

— Nie jest to Rylee, ale owszem — wzruszam
ramionami — była całkiem przyzwoita.

— Przyzwoita? — wyszczekuje. — Przysięgam
na Boga, ta kobieta nie miała odruchu
wymiotnego.

— Może dlatego, że masz za małego, żeby
dotrzeć aż do tyłu gardła. — Poruszam do
niego brwiami i dopijam piwo. Skoro chciał

przyjść do mojego domu, żeby mieszać mi w głowie, to ja też mogę mu trochę pomieszać.

— Pieprz się, Wood.

Siedzę i uśmiecham się, a kapsel jego butelki trafia mnie w klatkę piersiową.

— Zdarzały mi się znacznie lepsze oferty, mój drogi, ale i tak dziękuję — mówię i zastanawiam się usilnie, do czego on właściwie zmierza, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

— Wpadłem na nią ostatnio. — Jego spokojny głos skłania mnie, by odwrócić głowę i na niego spojrzeć.

— *I...?*

— Byłem zszokowany tym, co zrobiła.

— A to czemu? — udaję zainteresowanie, chociaż niezbyt mnie to obchodzi. Zerkam w stronę okna sypialni, w którym światło nadal się nie świeci, i chociaż jeszcze daleko mi do upojenia, cieszę się, że Ry tam jest. Próbuję się skupić na Becksie, ale dlaczego miałyby mnie interesować wyruchana przez nas obywatelka sztuka, która miała nasrane w głowie bardziej ode mnie?

— Prawie jej nie poznałem. Wciąż jest olśniewająco piękna. Nieco pełniejsza we

wszystkich właściwych miejscach.

Taa, do rzeczy, Beckett.

— Razem z nią były trzy dzieciaki.

— Słuchaj, stary. Wiem, że odślaniasz tu przede mną jakąś skomplikowaną tajemnicę, ale nie nadążam za tobą, więc zmierzaj do sedna. — Nagle doznaję olśnienia. *O cholera!*

— Hej, ale to nie twoje dzieciaki, Becks?

— Jezu Chryste, Donavan, jesteś bardziej pijany, niż myślałem — krztusi się śmiechem, po czym podnosi dłoń i wskazuje na siebie palcem. — Patrzysz na króla, który zawsze wchodzi w płaszczu!

— A kto cię tego nauczył, palancie?

— Na pewno nie ty, bo najwyraźniej sam nie stosujesz się do własnych nauk.

Jego nieoczekiwane słowa wywołują kłujący ból w moich trzewiach, którego nienawidzę.

To samo ukłucie czuję za każdym razem, gdy myślę o Rylee leżącej na pieprzonej podłodze nie wiadomo jak długo, i za każdym razem, gdy myślę o cząstce mnie, która umarła w jej wnętrzu. Sącę piwo, odpychając te refleksje z głowy i zmuszając się do oddychania.

— Dokąd, do cholery, zmierzasz, Daniels? Bo
jestem nawalony, skończyła mi się cierpliwość i
zaczyna mi się wydawać, że chcesz mnie
sprowokować do żywej reakcji na ów
pieprzony wniosek, do którego zmierzasz.

Dlatego po prostu mi go powiedz.

— Pamiętasz, jak kiedyś zrobiliśmy się na
ognisku u Jimmy'ego?

— Beckett! — warczę na niego, bo cierpliwość
skończyła mi się jakieś pięć minut temu.

— Wyluzuj, zatkaj się i słuchaj. — Podnoszę
głowę, żeby na niego spojrzeć, bo kompletnie
nie mam nastroju. — Byliśmy nieźle nawaleni i
ona zaczęła opowiadać o całym tym szajsie,
który spotkał ją w życiu. Pamiętasz? —

Potakuję oszczędnie, bo wciąż nie rozumiem,
gdzie on, do cholery, zmierza, chociaż

pamiętam

jej

opowieść

o

byciu

wykorzystywaną na wszelkie możliwe sposoby.

Rozmowę, w której w ogóle nie zabrałem

głosu. — Twierdziła, że nigdy nie chce mieć dzieci, bo życie jest zbyt popieprzone i ona nie chce, żeby musiały przechodzić takie piekło jak ona. A teraz ma trójkę dzieci, męża i wydaje się naprawdę szczęśliwa.

— No i? — warczę na niego.

— Przestań być taki uparty, Donavan, i połącz te pierdolone kropki, dobrze?

— Nie jestem pieprzoną konstelacją. Twoje kropki nie tworzą żadnego obrazka, więc pomóż mi, do jasnej cholery.

— Dla mnie wyglądasz trochę jak Mała Niedźwiedzica — uśmiecha się szyderczo.

Biorę leżącą obok mnie poduszkę i ciskam w niego.

— Spieprzaj! Już prędej Wielka! — Biorę potężny łyk piwa. Cholera, skończyło się.

Znikają tak szybko, że nie nadążam z liczeniem. Normalnie przespałbym się tutaj, ale Ry jest na górze. Nie ma mowy, żebym zasnął bez niej przy boku. Wzdycham, a słowa Becksa krążą mi po głowie i przeczuwam, o co mu chodzi, chociaż nie potrafię tego w pełni uchwycić. — Serio, Becks, co ty mi próbujesz

przekazać? Po prostu mi powiedz.

— Wszystko się zmienia, stary! Życie.

Priorytety. Z góry wyrobione poglądy. Musisz się do nich dostosować albo zostaniesz w tyle.

— Wstaje, podchodzi do poręczy i spogląda w czerń nocy. Gdy się odwraca, jest śmiertelnie poważny. — Jesteśmy przyjaciółmi od ilu?

Prawie dwudziestu lat. Kocham cię, stary.

Nigdy nie wtrącałem się w twoje klocki... Nie mówiłem ci, która kobieta ma ci ogrzewać pościel, ale ja cię pieprzę, Wood...

Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza ta rozmowa. Muszę zrobić unik.

— Z tego, co pamiętam, mówiłeś, że powinienem wypieprzyć jakąś niunię, a nie ciebie — stwierdzam, próbując rozluźnić humorem tę poważną konwersację. Nie mam pojęcia, jak przeszliśmy od Odkurzaczkii do tego, że Becks wtyka swój nos w nie swoje sprawy.

Śmieje się. Ma czelność drwić sobie ze mnie.

A potem podchodzi do mnie i potrząsa głową.

— Nie czaisz tego, prawda? Nie mów mi o pieprzeniu niuń, bo na górze masz wszystko,

czego potrzebujesz, ona śpi w twoim łóżku
i jedyną osobą, która może to spieprzyć, jesteś
ty! — krzyczy na mnie.

Co, do licha? Bierze jej stronę? Niech to szlag,
jeśli magiczna cipka Rylee nie wpłynęła na
niego, a przecież zawsze był na to odporny.
Ona naprawdę jest jakaś supermagiczna.

— Becks? Jak niby miałbym to spieprzyć? Jest
tutaj,
prawda?

Chcę,
żeby

tu

była,

przywiozłem ją tutaj, więc czego jeszcze ode
mnie oczekujesz? I co tu ma do rzeczy

Odkurzaczka?

— Jezu Chryste, ja pieprzę! — mówi,

przechodząc obok mnie i pociągając spory łyk

piwa. — Jest tutaj na razie! Jest tutaj, dopóki nie zaczniesz zbyt dużo myśleć o waszej

relacji, bo teraz, gdy się okazało, że jednak

może mieć dziecko, nie wiadomo, czy będzie

chciała z tobą być, skoro ty nigdy nie chcesz ich mieć. Jest tutaj, dopóki nie zaczniesz jej odpychać i
krzywdzić, prowokując do podjęcia

decyzji za ciebie, żebyś nie musiał robić tego samodzielnie. Ale świat się zmienia, Colton!

Spójrz na taką Roxy „Odkurzaczkę” Tomlin.

Nigdy nie chciała mieć dzieci z powodu szajsu,
który ją spotkał, gdy sama była dzieckiem, a
teraz co? Dzieci są całym jej pieprzonym
światem!

— Pierdol. Się. — Chłód mojego głosu mógłby
równać się z chłodem polarnej czapy lodowej.

— Nie, Colton, to ty się pierdol! Siedziałeś w tym
cholernym

pokoju

szpitalnym,

gdy

najbardziej cię potrzebowała, i faktycznie,

byłeś przy niej... Ale poprawianie poduszek nie
złagodzi jej wewnętrznego bólu. Ani twojego.

Siedziałem tam i wyraźnie widziałem, jak

powoli się od niej oddalałeś.

— Ostrzegam cię, Becks! — mówię i wstaję z

zaciśniętymi pięściami, a w moich żyłach krąży

furia. Jego słowa są zbyt trafne. Ocierają się o

coś,

czego

nigdy

nie

chciałem

i

nie

tolerowałem, ale czego nagle nie potrafię

wyrzucić z umysłu. O wyobrażenia życia,

którego miałem nigdy nie doświadczyć. Jak to

jednak w ogóle możliwe? Zepsuta karuzela w

mojej głowie wciąż wiruje, ale ja myślę tylko o

tym, że Becks powinien się już zamknąć, bo

ma pieprzoną rację, mówiąc o odpychaniu. I o

tym, że nie było mnie przy niej, gdy najbardziej

mnie potrzebowała. Ma tak bardzo rację, że

aż boli mnie żołądek.

— Prawda boli, stary? Masz ochotę mi

przywalić? Odrzucić prawdę, z którą nie

chcesz się zmierzyć?

Zgrzytam zębami i rzucam butelką do kosza,

obserwując,

jak

rozbija

się

na

milion

pieprzonych kawałeczków. Jestem znowu w

tym

samym

punkcie:

rozbite

szkło,

pokawałkowany umysł i wszystko w rozsypce.

Becks szturcha mnie w ramię od tyłu, żeby

mnie

sprowokować,

a

ja

błyskawicznie

połykam przynętę. Obracam się, zginam ręce

jak do ciosu i zaciskam pięści. Jestem wściekły

do granic możliwości.

Ale Becks stoi bez ruchu ze wzrokiem wbitym

w moje oczy. Unosi podbródek, jakby chciał

powiedzieć „pieprz się”, i prowokuje mnie do

zadania ciosu.

— Jaki masz problem, mistrzu? Już nie

jesteśmy tacy twardzi, co?

Całe moje ciało wibruje od wszystkich emocji,

które tłumilem w sobie przez ostatni tydzień,

ale nie potrafię się ruszyć. Patrzę na niego i desperacko pragnę wyrzucić z siebie to

pierdolone poczucie winy, które zżera mnie od środka.

Czuję, że to wszystko moja wina. Nie okazałem się mężczyzną, zostawiłem ją z Zanderem, nie wróciłem do Domu odpowiednio szybko, za późno przyszedłem do ubikacji.

Poczucie winy przywiera do wszystkiego we mnie, do całej mojej nadziei i do mojej wewnętrznej trucizny. Jedyne, czego pragnę, to otworzyć następne piwo, otumanić się i odepchnąć to wszystko precz.

— Chcesz się bić? A może sobie darujesz? A może powalczysz o coś, co jest tego warte? Bo ona — mówi, wskazując okno sypialni, i obniża głos, który staje się stalowo cichy — ona jest tego warta, stary. Warta każdego lęku, który cię zżera. Warta wszystkiego, od A do pierdolonego Z, bo jest całym twoim jebanym alfabetem. — Staje przede mną i szturcha mnie palcem w klatkę piersiową. — Czas uporać się z przeszłością, bo Rylee... — ponownie wskazuje pokój na piętrze, a potem z powrotem na mnie. — Rylee jest twoją przyszłością. Czas wybrać: walczysz czy uciekasz.

Miejmy
nadzieję,
że
jesteś
mężczyzną, za jakiego zawsze cię uważałem.

Całe moje ciało spina się na jego słowa. Jestem
niemożliwie wściekły na siebie, że nie
powiedziałem mu od razu, iż pieprzy od
rzeczy. Jestem kurewsko wściekły na to, że
przez chwilę, przez ułamek sekundy, poczułem
taki strach, że pomyślałem o ucieczce.

Pomyślałem o ucieczce, chociaż ona na
każdym
kroku
udowadnia,
że
jest
wojowniczką. Diabelnie piękną, nieposłuszną i
zadziorną wojowniczką. Pokazuje to za
każdym razem, gdy musi walczyć o swoje, a
tymczasem ja się waham. Zgrzytam zębami
tak mocno, że za chwilę złamię sobie zęby
trzonowe.

Odwracam

się

od

Becksa,

podchodzę do poręczy i ciskam przekleństwo
w ciemność równą tej, którą czuję teraz w
swojej duszy.

Nie zasługuję na nią. Grzesznik i święta. Moja
ostrożność i jej flaga z szachownicą. I chociaż
wiem to wszystko, a przy każdym wdechu
czuję z tego powodu ból w klatce piersiowej,
to mam przed oczami tylko ją. Tylko jej
pragnę. *Mojej pieprzonej Rylee.*

— Zapomniałeś języka w gębie, Colt? — szydzi
Becks za moimi plecami. — Jesteś aż tak głupi,
że odejdiesz od niej dlatego, że była w ciąży?

Z powodu jakiegoś szajsu, który zda...

Już po mnie.

Pękam.

To jak benzyna dolana do mojego ognia.

— Nie masz zielonego pojęcia, co się stało! —
odwracam się i krzyczę do niego łamiącym się
głosem. — Zielonego pojęcia!

Beckett błyskawicznie pokonuje dzielące nas
pięć kroków.

— Masz rację! Nie mam zielonego pojęcia! —

Chwyta mnie za ramiona, żebym nie mógł się

od niego odwrócić, i chociaż próbuję mu się

wyrwać, nie potrafię. — Ale Colton, *bracie*, obserwowałem przez lata, jak męczy cię to, co

ta jędra ci zrobiła, gdy byłeś dzieckiem, lecz *już nim nie jesteś*. Nie jesteś tamtym

dzieciakiem. *To już nie wróci*. I stary, Rylee to akceptuje. Akceptuje ciebie. *Kurwa, ona cię*

kocha. Wymyśl, jak się z tym pogodzić, a reszta sama się ułoży. — Klepie mnie dłonią po

twarzy, po czym odchodzi o krok i potrząsa

głową. — Czas dorosnąć i uświadomić sobie,

że też ją, do cholery, kochasz, bo jest już dość

późno i możesz stracić jedyną osobę, dzięki

której znowu jesteś szczęśliwy. Wymyśl, jak

się uporać z przeszłością, żebyś nie stracił

pieprzonej przyszłości.

Po tych słowach skurwiel kiwa głową i

odchodzi w stronę domu, jakby nigdy nic.

Zatrzymuje się przed drzwiami i odwraca się

do mnie.

— Gdy byliśmy młodszy, nie rozumiałem tego,

ale pamiętasz, co twój ojciec mówił o tym, że cierpienie to odczuwanie i takie tam ściemy?

— Potakuję. — No to myślę, że powinieneś

sobie to teraz przypomnieć.

Odwraca się i znika w domu, zostawiając mnie

w ciemnościach nocy sam na sam z

prześladującymi mnie wspomnieniami.

*Cierpieć to odczuwać, odczuwać to żyć, a czy
nie lepiej być żywym?* Mantra mojego ojca
chodzi mi po głowie, gdy wchodzę do pokoju i
widzę śpiącą Ry.

Ja pieprzę.

Wciąż zapiera mi dech w piersi. Wciąż
wzbudza we mnie takie pragnienie, potrzebę i
pieprzoną żądzę, jak żadna inna kobieta.

Wiem, że nadal pragnę ją zdeprawować. To się
nigdy nie zmieni. Śmieję się w myślach,
choć głęboko w środku wiem, że to już nie
ma znaczenia. Tylko ona się teraz liczy.

Rylee. Pieprzona flaga w szachownicę i w
ogóle.

Podchodzę do łóżka. Mógłbym godzinami na
nią patrzeć. Ciemne loki rozsypane na mojej
poduszce, podkoszulek na ramiączkach, który

zakrywa

te

idealne

cycki,

lecz

jest

podciągnięty na brzuchu, odsłaniając skąpane

w księżycowym świetle blizny z przeszłości.

Blizny, które jeszcze trzy pieprzone dni temu

symbolizowały pozbawienie jej upragnionej

przyszłości.

Obserwuję ją i pocieram się dłonią po boku,

wzdłuż swoich atramentowych blizn, które

także jeszcze trzy pieprzone dni temu

symbolizowały

niemożliwą

dla

mnie

przyszłość. Docieram do ostatniego tatuażu,

pustego i bezbarwnego. Ostatnia rzecz, jaką

muszę rozwiązać, żeby uzyskać pewność, że

mogę zrobić to, czego pragną moja głowa i

moje serce.

Bo bagaż potrafi być naprawdę ciężki. Może

cię pochłonąć. Nie pozwolić ci się ruszyć.

Zabić cię. I czasem uczucia to za mało, żeby

się od niego oderwać i pójść dalej. Ale gdy

stoję tu i patrzę, jak jej pierś wznosi się i opada, wiem z całą pewnością, że nadszedł

czas, żeby odprawić do lotu mojego boeinga

747 z bagażem i wszystkim innym.

Bo postanowiłem walczyć.

Oddech więźnie mi w gardle, gdy sobie
uświadamiam, że tego pragnę. Pragnę jej — w
swoim życiu, w dzień, w nocy, teraz, później.

Ta myśl mnie zdumiewa. Rozwala i skleja na
nowo. Poskramia nieposkromione. Ja pieprzę.

Potrząsam

głową

i

śmieję

się

cicho.

Powinienem raczej powiedzieć, że tego *nie*
spieprzę. Nie mogę już wytrzymać i wsuwam się

na

łóżko

obok

niej,

odpychając

wspomnienia tego, co stało się ostatnim

razem, gdy leżeliśmy tu razem.

Poddaję się poczuciu konieczności krążącemu

we mnie jak adrenalina, której pragnę.

Obejmuję ją i przyciągam mocno do siebie, a
ona odwraca się w moich ramionach tak, że jej
twarz chowa się pod moim podbródkiem,
ramiona są przyciśnięte między naszymi
klatkami piersiowymi, a ciepło jej oddechu
muska moją skórę, po czym szepcze:

— Kocham cię, Colton.

Jej głos jest tak delikatny, że prawie go nie słyszę. Tak cichy i zaspany, że uświadamiam
sobie, iż powiedziała to przez sen, ale i tak oddech więźnie mi w piersi. Czuję ból w sercu
i bijący szaleńczo puls. Otwieram usta, lecz
zamykam je, żeby przełknąć, bo czuję, jakbym
właśnie zjadł pół worka waty kosmetycznej.

Robię jedyną rzecz, jaką jestem w stanie
zrobić: całuję ją w czubek głowy.

Chciałbym zwalić to na pieprzony alkohol.

Chciałbym wierzyć, że któregoś dnia uda mi
się wypowiedzieć te słowa i nie będę się czuł,
jakbym otwierał stare rany i na nowo je
rozjątrzał.

Chciałbym wierzyć, że mam szansę na
normalne życie. Że ta wtulona we mnie
kobieta jest moim lekarstwem.

Dlatego mówię jej jedyne słowa, które potrafię
i które mają dla niej znaczenie.

— Wyściguję cię, Ry. — Całuję ją w ramię. —

Branoc, mała.

Rozdział 34.

— Impreza zaczyna się o czwartej. Będziecie, prawda?

— Jasne, mamó! Będziemy — krzyczy Shane i z potężnym uśmiechem na twarzy wychodzi dumnym krokiem przez drzwi wejściowe, kręcąc na palcu kluczyki od samochodu.

— Boję się, że stworzyliśmy potwora — śmieję się, odwracając się do Coltona, który opiera się ramieniem o ścianę i patrzy na mnie z milczącą intensywnością. Dostrzegam pod jego oczami ciemne kręgi, które nie schodzą mu już od kilku tygodni. Smuci mnie to, bo najprawdopodobniej znowu ma koszmary, lecz nie rozmawia o nich ze mną. No ale w zasadzie nie rozmawia ze mną o niczym poza pracą, chłopcami lub ceremonią rozpoczęcia realizacji projektu. To dziwne, bo między nami nie ma żadnych spięć. Wręcz przeciwnie, jest uważniejszy i bardziej czuły niż kiedykolwiek wcześniej, ale mam wrażenie, że próbuje mi w ten sposób zrekompensować to, że jeszcze nie

porozmawialiśmy o poronieniu.

Prosił o przestrzeń i dałam mu jej aż nadto.

Nie mówiłam nic o stracie dziecka, o swoich uczuciach ani o tym, jak sobie z nimi radzę.

Posunęłam się w tym tak daleko, że nawet nie powiedziałam mu o wczorajszej wizycie kontrolnej.

Rozumiem, że oboje radzimy sobie z tym na swój sposób.

Jego

metoda

polega

na

odgradzeniu się i przemyśleniu tego w

pojedynek,

lecz

moja

wymaga

nieco

ciaśniejszej więzi i nieco bliższego kontaktu.

Potrafię znieść chwilowy dystans, o ile wiem,

że jest chwilowy, lecz jednocześnie dobija

mnie, gdy widzę, jak cierpi. Sama też cierpię, bo potrzebuję go, a nie mogę poprosić o nic

więcej. Potrzebuję kontaktu, który zawsze był dla nas czymś oczywistym.

Dobija mnie to, że daję mu przestrzeń, o którą prosił, chociaż pragnę mu pomóc.

Gdy dzisiaj w nocy obudziłam się z koszmaru

pełnego

zmiądzonych

samochodów

i

zakrwawionych podłóg, patrzyłam jak śpi, a

mój umysł powędrował w stronę tych

ciemnych, mrocznych myśli, przed którymi

ukrywam się w świetle dnia. Zastanawiałam

się, czy jego niechęć do rozmowy o poronieniu

wynika z tego, że się boi, iż chcę teraz

dziecka. I że jesteśmy przekłęci, bo on nigdy

nie będzie go chciał.

Ale jeśli nie mogę z nim porozmawiać, bo

zmienia temat za każdym razem, gdy próbuję

go poruszyć, to nie mogę mu powiedzieć, że

wcale tak nie jest.

Oczywiście myślę czasem o dziecku, ale nie

mogę się na nie nastawiać. Nie mogę pozwolić

sobie na wiarę w to, że taki powypadkowy cud

zdarzy się więcej niż jeden raz w moim życiu.

Taka nadzieja mogłaby mnie zniszczyć,

gdybym kierowała się tylko nią.

Ale co, jeśli kieruję się nadzieją, że on ze mną

porozmawia i do mnie wróci, a tymczasem on

będzie powoli się odsuwał i coraz bardziej

wymykał z moich dłoni? Czy taka nadzieja

mnie nie zniszczy? Becks stwierdził, że muszę

być cierpliwa, bo na ile może powiedzieć po

tylu latach przyjaźni, Colton sam rozwiązuje

swoje problemy, ale nie powinnam pozwolić

mu się za bardzo oddalić. A skąd, u licha, mam

wiedzieć, jak bardzo to za bardzo?

Chcę być mu potrzebna równie mocno jak on

był mi potrzebny, gdy borykałam się z

emocjami związanymi z utratą czegoś naszego

i wspólnego... I dobija mnie to, że on myśli

inaczej. Owszem, obejmuje mnie przez całą

noc, gdy śpimy, ale jego umysł jest gdzieś

indziej.

Być

może

orbituje

wokół

niekończących

się

ostatnio

SMS-ów

i

szeptanych rozmów. Denerwuje mnie to,
choć głęboko w środku wiem, że mnie nie
zdradza.

Coś jednak ukrywa, z czymś próbuje się
uporać i robi to beze mnie, chociaż ja
potrzebuję jego pomocy.

Próbuję sobie mówić, że to z braku więzi
fizycznej za bardzo wszystko analizuję i
przesadzam.

Bo

choć

leżę

w

jego

ramionach każdej nocy, przytulona do jego
piersi dokładnie tak, jak pragnę, to od powrotu
ze szpitala jeszcze nie uprawialiśmy seksu.

Całujemy się, lecz gdy próbuję to pogłębić,

zjeżdżam dłońmi w dół jego ciała i staram się doprowadzić do tego, żeby zapragnął mnie

równie mocno jak ja jego, chwyta mnie za nadgarstki i mówi, że powinniśmy zaczekać, aż poczuję się lepiej, chociaż mówiłam mu, że nic mnie nie boli i że czuję się doskonale. I że chcę poczuć go w sobie i zespolić się z nim. Chcę, żeby mnie wziął.

Odrzucenie strasznie mnie boli, bo znam Coltona. Wiem, że ma temperament i potrzebuje fizyczności, gdy cierpi. Dlaczego więc mnie nie weźmie, skoro wyraźnie widzę cierpienie w jego oczach?

Otrząsam się z myśli i skupiam na wpatrujących się we mnie szmaragdowych oczach mężczyzny, którego kocham. I boję się jak diabli, że wymyka mi się z dłoni.

— Potwór? Nie — mówi, potrząsając głową, i uśmiecha się połowicznie tak, że jego dołek się pogłębia.

—

Rozpuszczony

nastolatek?

Zdecydowanie tak.

Uśmiecham się do niego, a on podchodzi do mnie, bo w końcu może mnie dotykać, skoro pozostali chłopcy są na treningu baseballu i wrócą dopiero na imprezę inauguracyjną.

— Wszystko w porządku? — pytam chyba milionowy raz w ciągu ostatniego tygodnia.

— Taa, nie narzekam. A u ciebie?

— Też. — I tak wygląda nasza codzienna

konwersacja,

odbywana

przynajmniej

trzykrotnie. Potwierdzamy, że wszystko w

porządku, nawet jeśli nie jest. — Colton... —

mój głos opada, bo tracę odwagę, by zapytać

go o więcej.

Wyczuwa moje wahanie, kładzie mi dłoń na

policzku i pociera go delikatnie kciukiem.

Zamykam oczy i wchłaniam jego dotyk, bo dla

mnie to coś znacznie więcej niż tylko skóra

ocierająca się o skórę. Czuję wibracje

przenikające

do

najgłębszych

zakątków

mojego jestestwa, wkradające się w nieznane

wcześniej

miejsca,

piętnujące

je

swoją

obecnością i niewidzialnymi tatuażami, które

sprawiają, że nie istnieję dla nikogo innego.

Otwieram oczy, Colton stoi na wprost przede

mną i patrzy na mnie.

— Hej, przestań się martwić. Wszystko będzie

dobrze. Damy sobie z tym radę. — Przełyka

ślinę i spuszcza na chwilę wzrok, po czym

podnosi go z powrotem na mnie. — Próbuję po

prostu ogarnąć swoje brudy, żeby nie

wpływały na nasz związek.

—

Ale...

—

Ucina

moje

zastrzeżenia

pocałunkiem. Delikatnym muśnięciem, które powoli się pogłębia, bo Colton wsuwa mi język między wargi i zaczyna powolny taniec z moim językiem. Czuję smak pragnienia splecionego z pożądaniem, ale zachodzę w głowę, dlaczego on za tym nie podąży?

Przesuwam dłonie w górę, żeby móc pobawić się jego włosami tuż nad karkiem i w ten sposób uciszyć umysł i kazać mu cieszyć się chwilą obecną i Coltonem. Czuję wzbierające łzy, bo rozwała mnie czułość jego dotyku, a ja jestem wrażliwa i na krawędzi załamania.

Nie wiem, czy wyczuł mój drżący oddech, gdy próbowałam powściągnąć emocje, ale odrywa się od moich ust i całuje mnie w nos, co niemal przerywa tamę łez. Potem odsuwa moją głowę i spogląda na mnie. Trzyma moją twarz w dłoniach i przeszukuje moje oczy.

— Nie płacz — szepcze i całuje mnie w czoło.

— Proszę, nie płacz — mruczy.

— Ja tylko... — wzdycham, bo nie umiem znaleźć słów, które nie byłyby nachalne i wyrażałyby to, co czuję i czego od niego

pragnę.

— Wiem, mała. Wiem. Ja też. — Przyciska usta do moich ust, a po policzku spływa mi kolejna łza. — Ja też.

Zgromadzeni ludzie klaszczą, gdy kończę przemawiać i schodzę z podium. Taksuję wzrokiem publikę. Shane siedzi obok Jacksona i klaszcze razem z pozostałymi, ale nie widzę Coltona.

Próbuję
wymyślić
jakieś
wiarygodne
usprawiedliwienie
niewytłumaczalnej
nieobecności głównego sponsora projektu na
ceremonii otwarcia i sesji fotograficznej, które
nastąpią za niespełna dziesięć minut.

Gdzie on, do cholery, jest? Przecież nie opuściłby celowo czegoś dotyczącego

chłopców lub projektu, którego realizacja bez niego byłaby zasadniczo niemożliwa. Ruszam w stronę Shane'a, żeby spytać go o Coltona, i zerkam po drodze na telefon. Nic. Żadnego nieodebranego połączenia, żadnego SMS-a, nic.

Oklaski ustają, a na mównicę znowu wchodzi Teddy, żeby zakończyć konferencję prasową.

— Shane! Shane! — szepczę podniesionym głosem i pokazuję, żeby do mnie podszedł.

Jax szturcha Shane'a, który rusza w moją stronę. Odwracam się i odchodzę na bok, zakładając, że Shane pójdzie za mną.

Skręcamy za róg, żeby nie być na celowniku prasy, a ja zmuszam się do oddechu.

— Gdzie jest Colton? — pytam, nie próbując ukrywać niepokoju.

— Cóż — odpowiada Shane, przebierając nogami, po czym podnosi wzrok i spogląda mi w oczy. — Gdy tu jechaliśmy, zadzwoniła jakaś Kelly. Colton kazał mi zjechać na pobocze, bo chciał wysiąść i porozmawiać na osobności.

Serce przestaje mi bić i podchodzi do gardła, chociaż mówię sobie, że musi istnieć jakieś

logiczne wyjaśnienie tego zdarzenia. Ale
wmawianie sobie i przekonanie samej siebie to
dwie zupełnie inne kwestie.

— Wszystko w porządku? — pyta Shane, a
jego niebieskie oczy błędzą po mojej twarzy i
trafiają w moje.

Ganię się w duchu, bo uświadamiam sobie, że
Shane nie jest już dwunastolatkiem, tylko
nastolatkiem
na
progu
męskości,
który
dostrzega pewne rzeczy.

— Taa, w porządku, po prostu dziwię się, że go
nie ma, i tyle.

— Wiesz, po chwili wrócił do samochodu i
mówił tej osobie, że oddzwoni za kilka minut,
bo musi nas tu przywieźć. Przyjechaliśmy tuż
przed rozpoczęciem przemów i powiedział,
żebyśmy poszli, a on zaraz do nas dołączy.

Wysiadł i patrzył, jak siadam obok Jaxa, a
potem widziałem, że rozmawia przez telefon i
macha mi na pożegnanie. Dlaczego? Coś się

stało, Ry?

— Nie, nic się nie stało. Po prostu nie
zdążyłam odebrać jego telefonu — okłamuję
Shane'a i przypuszczalnie także siebie, żeby
osłabić siłę tego ciosu. — Byłam ciekawa, czy
mówił ci, kiedy wróci, bo nie chciałam, żeby
przegapił przecięcie wstęgi.

— Cóż, na pewno musiało mu wypaść coś
bardzo ważnego, skoro go tu nie ma. Wie, jak
wiele to dla ciebie znaczy i w ogóle —
stwierdza,
uśmiechając
się
nieznacznie.

Próbuje mnie pocieszyć w niezręczny, typowy
dla nastolatków sposób i moje serce puchnie z
dumy.

— To musiało być bardzo ważne — mówię i
uśmiecham się do niego. — Dobrze wiecie, że
jesteście dla niego całym światem. — Kładę
dłoń na jego ramieniu i wracamy do tłumu.

Mam nadzieję, że Shane nie odczyta tego,
czego nie powiedziałam, czyli że być może ja
już nie jestem dla Coltona całym światem.

Wracamy w sam raz na ceremonię przecięcia

wstęgi.

Nie

mogę

się

powstrzymać

i

gorączkowo przeczesuję wzrokiem tłum.

Powtarzam sobie w myślach słowa Shane'a: *to*

musiało być coś naprawdę ważnego. Coś

poważnego. Pytanie jednak brzmi: co?

Po

chwili

oczywiście

dopadają

mnie

wątpliwości i zaczynają podkopywać moją

pewność. Wskoczyło coś z Tawny? Z jego

rodziną? Ale gdyby tak było, to by zadzwonił,

napisał lub jakoś się skontaktował, prawda?

Po zakończeniu ceremonii żegnam się z

chłopcami, a moje nerwy są w strzępach.

Przeszłam przez zatroskanie, zdenerwowanie,

niepokój i gniew, a teraz, gdy jadę autostradą

w stronę domu na Broadbeach Road i wciąż
trafiam na jego pocztę głosową, jestem tak
pełna obaw, że przewraca mi się w żołądku.
Gdy dojeżdżam do bramy i parkuję na pustym
podjeździe, szaleję z niepokoju. Otwieram
drzwi frontowe i krzyczę jego imię. Nie muszę
jednak nawet wchodzić do kuchni, by wiedzieć,
że go nie ma. Poznaję nie tylko po
entuzjastycznym szczekaniu Baxtera, lecz
także po złowieszczej ciszy.

Otwieram przesuwne drzwi, żeby wypuścić
Baxtera na taras, i przychodzi mi do głowy
kolejne wyjaśnienie. A co, jeśli coś stało się z jego głową? Co, jeśli doznał jakiegoś urazu i
potrzebuje pomocy, ale nikt o tym nie wie?

Wbiegam z powrotem do kuchni i wybieram
numer Haddie.

— Cześć!

— Czy Colton dzwonił do domu?

— Nie, a co się stało? — pyta Haddie
z troskanym głosem, lecz ja nie mam czasu na
wyjaśnienia.

—

Wytłumaczę

ci

później.

Dzięki.

—

Rozłączam się, gdy ona jeszcze coś mówi.

Przepraszę ją za to później, bo teraz

wybieram kolejny numer.

— Rylee!

— Becks, gdzie jest Colton?

— Nie mam pojęcia, czemu?

Słyszę w tle kobiecy chichot, ale w ogóle nie zastanawiam się nad tym, w czym im przeszkodziłam.

— Nie pokazał się na ceremonii. Shane mówił, że ktoś do niego zadzwonił, i potem już nikt go nie widział.

Beckett każe kobiecie być cicho.

— Nie pokazał się? — Słyszę jakieś trzaski na drugim końcu linii, a głos Becketta jest zabarwiony niepokojem.

— Nie. Kim jest Kelly?

— Kto? — pyta i milknie na chwilę. — Nie mam pojęcia, Ry.

Znowu milknie, a ja zaczynam wątpić w jego szczerość i wypowiadam na głos rozsypane myśli.

— Mam gdzieś wasz męski kod i tym podobne rzeczy, Beckett, więc jeśli wiesz, to musisz mi powiedzieć, niezależnie od tego, czy będzie to dla mnie bolesne, czy nie, bo jestem przerażona jak cholera i... i... — plotę gorączkowo i w końcu zmuszam się do przerwania, bo zaczynam wpadać w histerię, która nie ma żadnych podstaw poza moją intuicją, podszeptującą mi, że coś jest nie tak.

— Uspokój się. Weź głęboki oddech. OK? — Zaciskam powieki i biorę się w garść. — Ostatni raz, gdy z nim gadałem, uczył Shane'a prowadzić, a potem mieli pojechać na ceremonię. Wiesz...

— No to czemu nie odbiera telefonu?

— Ry, on ma kupę badziewia do przemyślenia, może po prostu... — milknie, bo nie wie, co mi powiedzieć. Słyszę, jak wzdycha głęboko, i idę zamknąć taras, bo Baxter właśnie wrócił.

Zaczyna dzwonić telefon stacjonarny i widzę, że to Quinlan. Coś się dzieje, a jej imię na wyświetlaczu mówi mi, że moje obawy są uzasadnione.

— Quinlan dzwoni, muszę kończyć — mówię do Becketta i zanim się rozłączam, słyszę, jak

prosi, żebym oddzwoniła.

— Wszystko z nim w porządku? — pytam od razu po odebraniu, a niepokój sprawia, że czuję palący kwas w żołądku.

— O to samo chciałam cię zapytać. — Troska w jej głosie dorównuje mojej.

— Co? A skąd wiesz, że coś mogłoby być nie w porządku? — *Mam mętlik w głowie*. Myślałam, że ona wie, co się dzieje.

— Byłam na zajęciach cały dzień i miałam wyłączony telefon. Właśnie go włączyłam i odsłuchałam jego wiadomość. — Boję się spytać, co powiedział. — Wydawał mi się zdenerwowany. Plótł coś o tym, że musi z kimś pogadać, bo jest w całkowitej rozsypce psychicznej. *I że on wie*. Ale nie wyjaśnił, co to znaczy.

Ołów kapie na moją duszę, gdy próbuję połączyć puzzle, które w ogóle do siebie nie pasują.

— Coś się stało, Ry? Coś związanego z poronieniem? Ja... Nigdy nie słyszałam, żeby tak brzmiał.

W moim umyśle pojawiają się urywki myśli, ale żadna nie tłumaczy tego, co się dzieje z

Coltonem. Ruszam po schodach na górę, bo
przychodzi mi do głowy pewne miejsce, w
którym może być.

— Quin, chyba wiem, gdzie on jest. Zadzwońię,
jak się upewnię.

Rzucam telefon na łóżko i pośpiesznie idę do
łazienki, zostawiając za sobą ścieżkę z
eleganckich ubrań, które z siebie zrzucam. Po
chwili jestem już w dresie i zawiązuję buty
najszybciej jak potrafię. Sięgam po telefon i
biegnę
po
schodach
w
stronę
drzwi
prowadzących na taras, a potem zbiegam w
dół na plażę.

Ruszam pełnym sprintem w stronę miejsca, w
które Colton zabrał mnie w tę pierwszą,
brzemienną w skutki noc w jego domu. Jego
szczęśliwego miejsca, do którego przychodzi
pomyśleć. Im dłużej się nad tym zastanawiam,
tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu,

że tam właśnie musi być. Przypuszczalnie
siedzi na skale, patrzy, jak słońce chowa się za
horyzontem, i próbuje ogarnąć to wszystko, co
się wydarzyło.

Dlaczego jednak nie wziął ze sobą Baxtera? I

gdzie

jest

jego

samochód?

Odpycham

wątpliwości, przekonując się, że na pewno tam
rozmyśla, ale niepewność rośnie z każdym
krokiem.

Niepewność zmienia się w pewność, gdy
dobiegam na miejsce i widzę, że go nie ma. Od
razu wyciągam telefon i dzwonię.

— Znalazłaś go? — pyta zdenerwowanym
głosem Becks. Głupio mi, że doprowadziłam go
do takiego stanu, ale boję się o Coltona.

— Nie. Myślałam, że wiem, gdzie jest, ale... —
muszę przerwać, żeby złapać oddech, bo płuca
mnie palą od tego sprintu po plaży.

— Ry, co się dzieje?

— Zadzwoił do Quin i powiedział, że on *wie* i że jest w całkowitej rozsypce psychicznej —

mówię, dysząc. — Więc pobiegłam do jego

miejsca na plaży, ale tu go nie ma. Znasz go lepiej niż ktokolwiek inny... Gdzie chodzi, gdy potrzebuje

oczyścić

umysł,

poza

tym

miejscem?

— Do ciebie.

— Co?

— Idzie do ciebie. — Jego szczerłość rezonuje na linii.

Staję jak wryta na te słowa. Trafiają bardzo głęboko i sprawiają, że serce puchnie mi z miłości i troski. Łzy wzbierają w moich oczach, bo uświadamiam sobie, jak rozpaczliwie za nim tęsknię. Odzyskałam go zaledwie kilka tygodni temu, a teraz znowu został mi zabrany przez okrutny splot wydarzeń, który doprowadził do poronienia. Przełykam kulę w

gardle i próbuję odzyskać głos.

— Zanim się pojawiłam, Becks...

— Tor.

— Tam faktycznie może być. — Puszczam się biegiem w stronę domu. — Jadę tam.

— Chcesz, żebym...

— Ja to muszę zrobić, Becks. To muszę być ja.

— To były najszczęśliwsze słowa w moim życiu,

bo głęboko w środku czuję, że mnie

potrzebuje. Nie wiem dlaczego, ale wiem, że

jestem mu potrzebna.

— Napiszę ci, jak dostać się do środka.

— Dzięki.

Rozdział 35.

Z powodu ruchu na autostradzie dotarcie na tor zajmuje mi całą wieczność. Na skrzydłach nadziei i z sercem w gardle skręcam w zjazd w Fontanie, zastanawiając się, w co się wpakuję, gdy go znajdę.

Podjeżdżam pod bramę kompleksu i nadzieję

wypiera

panika,

bo

wszędzie

panują

atramentowe

ciemności,

przeplatane

sporadycznie

nielicznymi

lampami

na

parkingu.

Objeżdżam

główny

kompleks,

kierując się w stronę tunelu, i wydobywam z

siebie potężne westchnienie ulgi, bo widzę

range rovera należącego do Coltona.

Czyli jest tutaj. I co mam teraz zrobić?

Parkuję obok jego samochodu i spoglądam w

nieprzeniknione

ciemności

pustego

toru.

Wyłączam silnik i piszczę, bo ktoś puka w

szybę od strony pasażera. Serce bije mi jak

oszałałe, ale orientuję się, że to Sammy, więc zmuszam się do wznowienia oddychania i

wysiadam z auta.

Troska

w

jego

oczach

potęguje

moje

zmartwienie.

— Proszę, powiedz, że nic mu nie jest, Sammy.

Sammy walczy ze sobą, bo nie chce zdradzić
swojego szefa i przyjaciela.

— On cię potrzebuje — mówi tylko. I więcej
nie musi.

— Gdzie on jest? — pytam, ruszając za

Sammy

przez

ciemne

przejście

pod

potężnymi trybunami. Docieramy do końca i

zauważam, że jestem w środku trybuny

głównej i patrzę na złowieszczo pusty tor.

Wymieniam w ciemnościach spojrzenia z

Sammy, który wskazuje wzrokiem za moje

lewe ramię. Odwracam się natychmiast.

Zauważam go.

W tej części trybun pali się tylko jedna lampa i

na skraju jej świetlnej obręczy dostrzegam

samotny cień. Bez namysłu ruszam w jego

stronę i wspinam się po kolejnych stopniach.

Nie widzę jego twarzy, ale wiem, że na mnie

patrzy, bo czuję ciężar jego spojrzenia.

Docieram do rzędu siedzeń, w którym siedzi, i

skręcam w jego stronę, czując jednocześnie

niepokój i ulgę.

Próbuję się zastanowić nad tym, co powinnam

powiedzieć,

ale

moje

myśli

są

tak

poszatkiwane przez strach, że nie potrafię się

skupić. Ale gdy w końcu dostrzegam jego

zacienioną twarz, wszystko przestaje być

ważne i zostaje tylko ściskająca serce

bezwarunkowa miłość.

Jego postura mówi mi wszystko. Siedzi

pochylony

z

łokciami

na

kolanach,

opuszczonymi ramionami i twarzą naznaczoną

łzami. A jego oczy, które zawsze były tak

intensywne i błyszczały szelmostwem lub

radością, są teraz przepełnione absolutną

desperacją. Wpatrują się we mnie błagalnie,

prosząc mnie o tak wiele, ale ja nie do końca wiem, jak powinnam zareagować.

Gdy w końcu do niego podchodzę, jego żal

rozbija się o mnie niczym fala przyływu.

Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, wrywa

mu się szloch i przyciąga mnie do siebie.

Chowa twarz w moim karku i zwiesza się,

jakbym

naprawdę

była

jego

kołem

ratunkowym, dzięki któremu nie zsuwa się w

otchłań i nie tonie. Obejmuję go i przywieram

do niego, starając się dać mu to, czego

potrzebuje.

Bo nic nie wzbudza większego niepokoju niż

obserwowanie, jak silny i pewny siebie

mężczyzna kompletnie się załamuje.

Jego stłumione szlochy wypełniają ciszę, a

drżania ciała przenoszą się rykoszetem na

moje ciało. Myślę intensywnie. Co się stało, że

ten arogancki buntownik wpadł w taką

rozpacz? Trzyma się mnie mocno, a ja szepczę

„ciiiii”, kołysząc go delikatnie do przodu i do tyłu. Cokolwiek, byle uciszyć sztorm, który

najwyraźniej szaleje w jego wnętrzu.

— Jestem tu, jestem tu — to jedyne słowa,

które mogę powiedzieć, gdy wyzwała z siebie

wszystkie wzburzone emocje. Tulę go w

ciemnościach,

w

miejscu,

w

którym

zrealizował swoje marzenia, i mam nadzieję,

że zaczyna się godzić z demonami, przed

którymi właśnie tu próbował uciec. Mam

nadzieję, że się zatrzymał i że się z nimi

mierzy.

Mija czas. Odgłosy ruchu na autostradzie za
pustym parkingiem tracą na intensywności, a
księżyc powoli przesuwa się po niebie. Colton
nadal mnie trzyma, nadal czerpie ode mnie to,
co

jest
mu
potrzebne.
Upajam
się
świadomością, że moje wątpliwości okazały się
niesłuszne i on wciąż mnie potrzebuje. Skaczę
w myślach po wspomnieniach i przypomina mi
się ława pod prysznicem i to, jak wtedy do
mnie
przywarł.

Tak
samo
jak
teraz.

Zastanawiam się, co mogło powalić mojego
mężczyznę na kolana, i po prostu go trzymam
tak jak wtedy i bawię się jego włosami. W
końcu jego płacz powoli cichnie, a ciało nieco się rozluźnia.

Nie wiem, co powiedzieć i co myśleć, więc mówię to, co przychodzi mi do głowy jako pierwsze.

— Wszystko w porządku? Chcesz o tym porozmawiać?

Rozluźnia uścisk, po czym, biorąc drżący wdech, jeszcze mocniej przyciska dłoń do moich pleców i przytula mnie do siebie.

Przeraża mnie, ale nie dlatego, że się go boję, tylko dlatego, że musiało się zdarzyć coś naprawdę poważnego, żeby zmusić go do takiej reakcji.

Odchyła się i zamyka oczy, zanim zdążę w nie zajrzeć. Pociera twarz dłońmi i wzdycha głośno. Potem zwiesza głowę i potrząsa nią, a ja ubolewam nad tym, że nie widzę jego twarzy.

— Zrobiłem... — zaczyna mówić i znowu wzdycha. Kładę dłoń na jego kolanie. Potakuje, jakby mówił do siebie, a potem jego ciało znowu się spina. — Zrobiłem to, co mówiłaś, że powinienem.

Co? Zastanawiam się, co takiego kazałam mu zrobić.

— Zrobiłem to, co mówiłaś, i teraz... teraz

mam absolutny chaos w głowie. Jestem w całkowitej rozsypce psychicznej.

Jego łamiący się głos jest tak przesiąknięty żalem, że siadam obok niego i czekam, aż spojrzy mi w oczy.

— Co zrobiłeś?

Chwyta mnie za rękę, splata palce z moimi i mocno ściska.

— *Odszukałem swoją mamę.*

Oddech więźnie mi w gardle, bo gdy to mówiłam, nie sądziłam, że kiedykolwiek naprawdę to zrobi. Nie wiem, co teraz powiedzieć, ponieważ to ja spowodowałam całe to cierpienie.

— Colton... — tylko tyle udaje mi się wykrztusić. Tylko tyle mogę mu dać poza podniesieniem

jego

dłoni

do

ust

i

pocałowaniem jej.

— Kelly zadzwonił, gdy byłem... O kurwa!

Przegapiłem ceremonię. Wystawiłem cię do

wiatru

—

mówi

z

tak

absolutnym

niedowierzaniem, że wiem, iż naprawdę

wyleciało mu to z głowy.

— Nie, nie, nie — uspokajam go, próbując mu

przekazać,

że

to

bez

znaczenia.

Że

najważniejsze jest teraz to, że zmierzył się ze

swoimi lękami. — Nic się nie stało — dodaję i

znowu ściskam jego dłoń.

— Tak mi przykro, Ry... Ja po prostu... nie

potrafię teraz w ogóle myśleć. — Odrywa

wzrok ode mnie i zawstydzony spogląda w

bok, ocierając drugą dłonią łzy z policzków. —

Wiesz... — potrząsa głową i patrzy w dal, w

ciemny tor przed nami. — To dość zabawne, że przychodziłem w to miejsce, żeby o wszystkim zapomnieć, a dzisiaj przyszło mi do głowy jako pierwsze, gdy musiałem się z tym wszystkim uporać.

Podążam za jego wzrokiem i patrzę na tor. Absorbuję wielkość — zarówno toru, jak i czynu Coltona. Siedzimy w milczeniu, a mnie uderza znaczenie jego słów. Próbuje zmierzyć się z przeszłością, uzdrowić swoje rany i ruszyć dalej. Jeszcze nigdy nie byłam z niego tak dumna.

— Parę miesięcy temu spytałem ojca, czy wie, co się z *nią* stało. Skontaktował mnie ze swoim prywatnym detektywem, Kellym. Wynajmował go przez dziesięć lat, gdy byłem młodszy, bo chciał mieć pewność, że matka będzie się trzymała z daleka — mówi płaskim, beznamiętnym głosem,

który

wyraźnie

kontrastuje z wcześniejszymi zdesperowanymi

szlochami, ale i tak wyczuwam pod jego

powierzchnią

skrajne

emocje.

—

Kelly

zadzwoił dzisiaj i powiedział, że ją znalazł —

mówi i patrzy na mnie osamotnionym

wzrokiem małego chłopca, który próbuje

znaleźć swoją ścieżkę. Rozbraja mnie to

spojrzenie i przełamuje falę emocji, którą

próbowałam powstrzymać, żeby być dla niego

silną.

Chciałam być skałą, gdy on się chwieje.

Pierwsza łza spływa po moim policzku, kiedy

wyciągam dłoń i kładę na jego policzku. Tym

prostym dotykiem przekazuję mu to, co myślę,

co czuję, i to, czego moim zdaniem ode mnie

potrzebuje. Czuję pod dłonią jego zaciśniętą

szczękę. Nie odrywając od niego oczu,

nachyliłam się i muskam lekko jego usta.

— Jestem z ciebie taka dumna — szepczę. Nie pytam, co odkrył ani kim ona jest. Skupiam się na nim, na chwili obecnej, bo wiem, że próbuje się pogodzić z przeszłością, a jednocześnie stara się ogarnąć swoją przyszłość. Dlatego skupiam się na teraźniejszości i mam nadzieję, że zrozumie, iż będę przy nim przy każdym jego kroku, jeśli mi na to pozwoli.

Siedzimy tak w ciszy uwydatniającej mój wspierający dotyk i zrozumienie wyrażone pocałunkiem. Tym razem milczenie jest kojące i demonstruje moją akceptację dla jego umęczonej duszy.

Colton z trudem przełyka ślinę i mruga gwałtownie, jakby także próbował wszystko zrozumieć. Ale on ma o wiele więcej puzzli do poukładania niż ja, więc czekam cierpliwie, aż znowu się odezwie. Przerywa nasz kontakt wzrokowy i spogląda z powrotem na tor.

— Moja mama nie żyje — mówi te słowa bez jakichkolwiek emocji, lecz chociaż wypowiada je w ciemność nocy, czuję, że go dławią. Patrzę na niego, na jego profil skąpany w księżycowej poświacie na tle nocnego nieba i postanawiam,

że nie będę nic mówić i pozwolę mu prowadzić

tę konwersację.

Zniecierpliwiony

wstaje

z

siedzenia,

przechodzi

do

końca

przejścia

między

siedzeniami

i

staje.

Jego

postać

jest

obramowana światłem pojedynczej lampy za

nim.

— Nie zmieniła się. Domyślam się, że nie

powinienem był spodziewać się niczego innego

— mówi bardzo cicho, ale i tak słyszę każdą

modulację i każde załamanie jego głosu.

Odwraca się w moją stronę, podchodzi kilka

kroków i się zatrzymuje.

— Ja... Ja... mam teraz w głowie kompletny chaos i nie... — Pociera twarz dłońmi, po czym przeczesuje

ręką

włosy

i

śmieje

się

autoironicznym

śmiechem,

od

którego

przechodzą mnie ciarki. — Nie mam żadnego pozytywnego wspomnienia z nią związanego.

Żadnego. Osiem lat mojego pierdolonego życia

i nie pamiętam ani jednej chwili, która

wywoływałaby mój uśmiech.

Wiem, że jest mu ciężko, i desperacko pragnę

do niego podejść i go dotknąć, przytulić,

pocieszyć, ale wiem, że potrzebuje to z siebie

wyrzucić. Musi się pozbyć tej wyimaginowanej

trucizny zatruwającej jego duszę.

— Moja matka była naćpaną dziwką. Mieczem

wojowała i od miecza zginęła... — mówi z tak zjadliwą złościwością i przejmującym bólem, że w moich oczach wzbierają łzy i nie potrafię opanować drżenia oddechu. — Tak — dodaje i znowu śmieje się tym złowieszczym śmiechem.

— Ćpunka. Ale nie była wybredna. Wzięłaby cokolwiek, żeby się naćpać, bo to było dla niej najważniejsze. Znacznie ważniejsze niż jej mały synek, który siedział w kącie przerażony jak diabli. — Porusza ramionami i chrząka, jakby próbował oczyścić gardło z emocji. — Dlatego po prostu tego nie rozumiem... — Jego głos cichnie. Próbuję się domyślić, co chciał mi przekazać, ale mi się nie udaje.

— Nie rozumiesz czego, Colton?

— Nie rozumiem, czemu, do jasnej cholery, przejąłem się tym, że umarła! — krzyczy, a jego głos niesie się echem po pustych trybunach. — Dlaczego mnie to dręczy?

Dlaczego jest mi przykro? Dlaczego czuję cokolwiek innego, a nie tylko ulgę? — Jego głos znowu się łamie, a słowa odbijają się rykoszetem od betonu.

Ściska mnie w żołądku, bo wiem, że cierpi i że

nie potrafię z tym nic zrobić. Nie jestem w

stanie

niczego

naprawić,

złagodzić

ani

rozwiązać, więc postanawiam go pocieszyć.

— Ona była twoją matką, Colton. To normalne,

że jest ci przykro, bo jestem pewna, że

głęboko w sercu na swój sposób cię kochała...

— Kochała mnie? — krzyczy, przerażając mnie

tym gwałtownym przejściem od zagubienia i

żalu do nieokiełznanej wściekłości. — Kochała

mnie? — wrzeszczy znowu, podchodzi do mnie

i uderza się w klatkę piersiową. — Wiesz,

czym była według niej miłość? Miłość polegała

na oddawaniu swojego sześciolatniego syna za

pierdolone dragi, Rylee!

Podchodzi jeszcze o krok i zatrzymuje się.

— Miłość polegała na pozwalaniu na to, żeby

jej diler gwałcił jej syna, *pieprzył jej małego chłopca, który musiał powtarzać na głos, jak bardzo to kocha i jak bardzo jego kocha.* Bo dzięki temu mogła dostać następną pierdoloną

działkę! Miłość polegała na traktowaniu syna

gorzej niż pieprzonego psa, żeby tylko zdobyć

dragi na swój następny odlot! Wiedziała, że

skurwiel daje jej możliwie jak najmniejsze
działki, bo nie może się doczekać, kiedy wróci
i będzie mógł zrobić to jeszcze raz. Miłość
polegała na tym, że siedziała za zamkniętymi
drzwiami sypialni i słyszała, jak jej mały synek
krzyczy z najgorszego pierdolonego bólu, bo
jest rozdzierany fizycznie i emocjonalnie, ale
nie

kiwnęła

nawet

palcem,

żeby

to

powstrzymać, bo była taką kurewską egoistką.

Wzdryga się na te słowa, a jego ciało napina

się tak mocno, że boję się, iż jego kolejne

słowa przerwą to napięcie, uwolnią chłopca,

lecz złamią ukrytego w środku mężczyznę.

Patrzę na niego z bólem w sercu i straconą

wiarą w ludzkość, wyobrażając sobie horror,

jaki musiało przeżyć jego dziecięce ciało.

Zmuszam się do stłumienia odrazy, bo boję się,

że uzna, iż czuję odrazę do niego, a nie do

potwora, który go wykorzystywał.

Słyszę jego przyspieszony oddech, czuję, jak fizycznie buntuje się przeciw własnym słowom, próbując zmusić się do przełknięcia śliny. Gdy zaczyna mówić dalej, jego głos jest bardziej opanowany, lecz jego złowieszczą cichość wywołuje ciarki na moich plecach.

— Miłość polegała na złamaniu ręki swojemu synowi za to, że tak mocno bił gwałcącego go mężczyznę, iż ten nie dał jej następnej działki speedballu. Miłość polegała na wmawianiu swojemu synowi, że tego pragnie, że na to zasługuje i że nikt go nie pokocha, jeśli pozna prawdę. O, jeszcze miłością było też mówienie synowi, że wzywani przez niego w trakcie gwałtu superbohaterowie, *tak, ci superbohaterowie*, nigdy nie przyjdą go uratować. Nigdy! — krzyczy w ciemność nocy, po jego twarzy płyną łzy tak jak po mojej, a jego ramiona drgają z ulgą po zrzuceniu ciężaru dźwiganego przez dwadzieścia pięć lat.

— Jeśli więc tym właśnie jest miłość — znowu

śmieje się mrocznym śmiechem — to tak,

przez pierwsze osiem lat życia byłem tak

kochany, że byś kurwa nie uwierzyła. —

Podchodzi do mnie i mimo ciemności widzę fale

wściekłości, żalu i rozpacz, które przetaczają

się przez jego ciało. Przez chwilę zwiesza

głowę, a ja patrzę, jak kapiące z jego twarzy łzy przyciemniają biały beton poniżej. Potem

potrząsa głową i spogląda na mnie z

druzgocącą rezygnacją i wstydem. — Pytasz

dłaczego się dziwię, że jej śmierć wzbudza we

mnie cokolwiek innego poza nienawiścią?

Właśnie dlatego, Rylee — mówi tak cicho, że

muszę wyęźać słuch, żeby go usłyszeć.

Nie wiem, co mam powiedzieć. Nie wiem, co

zrobić, bo każda cząstka mnie właśnie została

roztrzaskana i rozsypała się wokół mnie.

Spotkałam się już z tym w pracy, ale teraz

mówi mi o tym dorosły mężczyzna, który był

załamany,

zagubiony,

osamotniony

i

przytłoczony ciężarem wstydu przez całe

swoje życie. Mężczyzna, któremu oddałabym

całe serce i całą duszę, gdyby to było w stanie
ukoić ból i zniweczyć wspomnienia. Jestem w
kompletnej rozsypce.

W ułamku sekundy, gdy się nad tym
zastanawiam, do Coltona dociera to, co
właśnie powiedział. Dogasa wybuch adrenaliny
związany z wyznaniem i jego ramiona
zaczynają się trząść. Nogi odmawiają mu
posłuszeństwa i pada na siedzenie za sobą.

Natychmiast do niego podbiegam. Chowa
twarz w dłoniach i całym jego ciałem zaczyna
targać rozdzierający, przejmujący szloch.

— O mój Boże! — powtarza co chwilę.

Obejmuję

go

w

poczuciu

absolutnej

bezradności, ale nie chcę się poddać. Nigdy

się nie poddam.

— Wszystko będzie dobrze, Colton. Wszystko

będzie dobrze — powtarzam między jego

słowami. Moje łzy kapią na jego ramiona i

ściskam go mocno, żeby wiedział, że złapię go,

niezależnie od tego, jak nisko upadnie.

Zawsze go złapię.

Próbuję powstrzymać szloch targający moim ciałem, lecz bezskutecznie. Nie pozostało mi nic poza empatią, odczuwaniem jego żalu i jego żałoby. Siedzimy tak w ciemnościach, ja mocno go trzymam, a on wyrzuca z siebie wszystko w miejscu, które zawsze zapewniało mu spokój.

Modłę się, żeby tym razem spokój znalazł

sobie

jakieś

stałe

miejsce

w

jego

pokieroszowanej duszy.

Powoli przestajemy płakać, ale on nadal chowa

twarz w dłoniach i mocno zaciska powieki.

Nawał emocji obnaża całe jego wnętrze.

Chciałabym, żeby przejął pałeczkę i pokazał

mi, jak mu pomóc, więc siedzę cicho.

— Nigdy... jeszcze nigdy nie wypowiedziałem

tego na głos — mówi ochrypłym od łez głosem,

wbijając wzrok w swoje niespokojne palce. —

Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem —

szeptze. — Myślałem, że jeśli powiem, to... nie

wiem, co myślałem, że się stanie.

— Colton — wypowiadam jego imię, próbując

wymyślić,

co

powiedzieć

dalej.

Muszę

zobaczyć jego oczy i chcę, żeby spojrzał w

moje. — Colton, popatrz na mnie, proszę —

mówię najłagodniej jak potrafię, lecz on tylko

potrząsa głową niczym dziecko, które boi się

kary.

Daję mu chwilę i pozwalam mu się ukryć w

milczeniu i ciemnościach nocy. Rozmyślam o

cierpieniu tego mężczyzny, którego darzę tak

wielką miłością. Zamykam oczy, próbując to

wszystko przetworzyć, i nagle słyszę słowa,

których w ogóle się teraz nie spodziewałam.

— *Spider-Man. Batman. Superman. Iron Man.*

Uderza mnie to niczym worek cegieł. To, co

chce mi przekazać tą cichą, szeptaną mantrą.

Serce mi pęka i krzyczę:

— Nie, nie, nie, nie!

Padam przed nim na kolana, ujmuję jego twarz

w dłonie i kieruję ją tak, żeby spojrzał mi w oczy. Wzdryga się, gdy go dotykam, a mnie

przechodzą ciarki, bo wiem, że przeraża go

pierwszy krok na drodze do wydobrzenia. Boi

się, co sobie o nim pomyślę, kiedy już

poznałam jego sekrety. Nie wie, za jakiego

mężczyznę go uznam, skoro pozwolił na coś

takiego. Wstydzi się, że będę go oceniać na

podstawie urazów, które wciąż panują nad

jego ciałem, duszą i umysłem.

Ale to wszystko jest nieprawdą.

Siedzę i czekam cierpliwie, a moje ręce drżą

na jego policzkach. W końcu odsłania swoje

zielone

oczy

i

spogląda

na

mnie

z

niewyobrażalnym bólem.

— Chciałabym ci teraz powiedzieć tak wiele

rzeczy... — zaczynam, nie walcząc z drżeniem
głosu. Łzy spływają mi po twarzy, a na ciele
pojawia się gęsia skórka. — Chciałabym je
powiedzieć małemu chłopcu, którym byłeś, i
niewiarygodnemu mężczyźnie, jakim jesteś. —

Przełyka ślinę, próbując opanować drżenie
szczęki i strumień łez, a jego oczy błyszczą ze
strachu i niedowierzania.

Dostrzegam w nich także nadzieję. Jest tam,
czai się tuż pod powierzchnią i czeka na
pojawienie

się

poczucia

bezpieczeństwa

wynikającego z bycia otoczonym opieką i
miłością.

Jestem pod wrażeniem zaufania, jakim mnie
obdarzył, bo nie potrafię sobie wyobrazić, jak
trudno jest się otworzyć, gdy znasz tylko ból.

Patrzy na mnie, a ja pocieram kciukiem jego
policzek i dolną wargę, szukając słów, które
przełożą mu prawdę, jaką powinien usłyszeć.

— Coltonie Donavanie, to nie jest twoja wina.

Jeśli miałbyś zapamiętać tylko jedną rzecz z

tego, co ci powiem, to zapamiętaj właśnie to.

Nosiłeś to w sobie tak długo, lecz chcę, żebyś zrozumiał, że niczym, co zrobiłeś jako dziecko i jako dorosły, nie zasłużyłeś sobie na to, co cię spotkało. — Jego oczy się powiększają i skręca trochę ciało, otwierając nieco swoją ochronną postawę. Mam nadzieję, że jego gest

odzwierciedla to, jak się przy mnie czuje. Że mnie słucha, rozumie i *przyjmuje* to, co mówię. Bo mam mu do powiedzenia bardzo wiele rzeczy o tym, czego się domyślałam i o czym teraz się dowiedziałam. Rzeczy, które chciałam mu powiedzieć od dawna i w końcu mogę je wyrazić.

— Nie masz się czego wstydzić, *ani teraz, ani w przyszłości*. Podziwiam cię za twoją siłę. —

Próbuje mi przerwać, ale kładę palec na jego ustach, żeby go uciszyć i powtarzam. —

Podziwiam cię za twoją siłę, bo potrafiłeś utrzymać to tak długo w tajemnicy i nie dałeś się przez to zniszczyć. Nie jesteś zepsuty, spierdolony ani beznadziejny, tylko odporny, odważny i godny szacunku.

Głos mi się łamie przy ostatnim słowie i wyczuwam dłonią dygotanie jego podbródka, bo trudno mu słuchać te słowa, skoro przez

tak długi czas myślał o sobie coś zupełnie przeciwnego. Mimo to nie odrywa ode mnie wzroku. Samo to daje mi do zrozumienia, że jest otwarty na to, żeby się z tego wyleczyć.

—

Startowałeś

z

miejsca,

w

którym

doświadczałeś niewyobrażalnego bólu, a mimo

to... to ty jesteś dla mnie tym niewiarygodnym

światełkiem, pomagasz mi odnaleźć siebie i

pomagasz moim chłopcom wyjść na prostą. —

Potrząsam głową, próbując znaleźć słowa

przekazujące jak się czuję. Żeby zrozumiał, że

jest w nim sporo światła, chociaż przez

dłuższy czas widział w sobie wyłącznie

ciemność.

— Ry — wzdycha i widzę, że ma problemy z

zaakceptowaniem prawdy moich słów.

— Nie, Colton. To prawda. Nie wyobrażam

sobie, jak ciężko ci było spytać ojca o twoją biologiczną matkę. Nie wyobrażam sobie, jak

się czułeś, odbierając dzisiaj ten telefon. Nie wyobrażam sobie, jak trudno było ci wyznać

sekrety, które tak długo ciążyły ci na duszy...

Chciałabym, żebyś wiedział, że twoje sekrety są u mnie bezpieczne.

Pociąga nosem, żeby stłumić szloch, i mruga gwałtownie z bólem na twarzy. Nachylam się i całuję go delikatnie w usta. Mały, fizyczny gest, którym chcę nam obojgu dodać otuchy.

Potem całuję go w nos i opieram czoło o jego czoło, dając sobie chwilę na przyswojenie tego wszystkiego.

— Dziękuję ci za zaufanie i podzielenie się tym ze mną — szepczę, muskając słowami jego usta. Nie odpowiada, ale nie musi. Siedzimy tak czoło przy czole, akceptując przekroczone granice i dodając sobie nawzajem otuchy.

Nie oczekuję, że podzieli się czymś jeszcze, więc wzdrygam się, gdy słyszę jego głos.

— Nie miałem pojęcia, jak sobie z tym poradzić, gdy dorastałem. — Przenika mnie na wskroś dogłębny wstyd w jego głosie. Kręci mi się w głowie, gdy myślę o samotności, jakiej musiał doświadczać jako nastolatek. Pocieram kciukiem jego policzek, żeby wiedział, że jestem przy nim i słucham. Wzdycha cicho, ogrzewając oddechem moje usta i dokańcza

swoje wyznanie.

— Próbowałem gorączkowo udowodnić sobie, że chociaż on robił mi takie rzeczy, to nie jestem na zawsze przeklęty. Przeleciałem sporo dziewczyn w liceum, żeby się do tego przekonać. Poprawiło mi to samopoczucie, czułem się chciany i pożądany przez kobiety, a strach na chwilę zniknął... i tak powstał mój sposób radzenia sobie z tym... mój mechanizm obronny.

Zakopywanie

bólu

pod

przyjemnością.

Szepczę równocześnie z nim to zdanie, które powiedział mi w pokoju hotelowym na Florydzie. Utkwiło mi to w pamięci i męczyło mnie, bo chciałam zrozumieć, skąd się to wzięło. Teraz wiem. Rozumiem skakanie z kwiatka na kwiatek. Żeby zerznąć i porzucić. Chciał udowodnić za pomocą tych kobiet, że nie ciąży na nim piętno przeszłości. To były jego wymienne opatrunki na otwartych ranach, które nie chciały się zabiżnić.

Zaciskam mocno powieki i czuję, że pragnę go
całym sercem i duszą. Nagle jego głos
przerywa ciszę.

— Nie pamiętam wszystkiego, ale wiem, że
zwykle zachodził mnie od tyłu. To dlatego... —
mówi bardzo cicho i milknie, odpowiadając mi
na
pytanie
zadane
kiedyś
na
gali
charytatywnej.

— Rozumiem — odpowiadam, żeby wiedział,
że go słyszałam i że już wiem, z jakiego
powodu
nie
potrafi
zaakceptować
tak
niewinnego dotyku.

— Superbohaterowie — kontynuuje, a od jego
przejmującej szczerości oddech więźnie mi w
gardle. — Nawet jako dziecko musiałem mieć

coś, co pozwalałoby mi uciec przed bólem,
wstydem i strachem, więc wzywałem ich, żeby
sobie z tym jakoś poradzić. Żeby mieć jakąś
nadzieję, której mogłem się uchwycić.

Czuję słony smak w ustach. Zakładam, że to
moje łzy, ale nie wiem na pewno, bo nie
potrafię określić, gdzie kończy się on, a
zaczynam ja. Siedzimy tak czoło przy czole i
dochodzę do wniosku, że być może łatwiej mu
to wszystko wyrzucić, gdy mamy zamknięte
oczy, czujemy nasze łomoczące serca i
stykamy się naszymi duszami. Bo wtedy nie
widzi rozpacz, bólu i współczucia w moich
oczach. Jednak mimo zamkniętych oczu czuję,
jak powoli pękają łańcuchy, które tak długo go
wiązały. Czuję, jak kruszy się mur wokół jego
serca. Czuję, że w jego mrocznym wnętrzu
pojawia się iskierka nadziei. Tylko ja i on w miejscu, w którym może gonić za marzeniami
bez przeszłości deptającej mu po piętach.

Przechyliłam głowę i całuję go w usta. Czuję ich
drżenie. Mój pewny siebie mężczyzna jest
całkowicie obnażony i otwarty. W końcu
odchyła głowę do tyłu i odrywa czoło od
mojego, a ja mogę spojrzeć mu w oczy, które

błyszczą niespotykaną wcześniej czystością.

Jakaś część mnie wzdycha z ulgą, bo być może
uda mu się teraz znaleźć spokój i odstawić
demony na bok.

Uśmiecham się uroczyście, a on bierze
poszarpany wdech, po czym chwytą mnie za
ręce, wciąga na swoje kolana i mocno
przytula. Siedzę kołysana, pokrzepiana i
kochana przez mężczyznę, który tak wiele
potrafi dać. Mam nadzieję, że w końcu to
dostrzegł i zaakceptował. Zarzekał się, że nie
potrafi kochać, a dokładnie to mi właśnie
przekazuje: miłość. I to w samym środku
najczarniejszej rozpacz. Całuję go tuż pod
szczęką i czuję łaskotanie jego zarostu na
swoich wrażliwych ustach.

Opada kurz rozwalonej przeszłości, a na jej
zgliszczach pojawia się nadzieja.

— *Dlaczego postanowiłeś mi to powiedzieć?*

Wzdycha płytko, przytula mnie mocniej i całuje
w czubek głowy, chichocząc cicho.

— Bo jesteś pieprzonym alfabetem.

Co? Potrząsam głową i odchylam się, żeby na niego spojrzeć. I gdy patrzę mu w oczy i widzę
uśmiech, który rozkwita na jego twarzy i

rozjaśnia otaczające nas ciemności, moja
miłość do niego jeszcze bardziej rozkwita.

— *Alfabetem?*

Muszę wyglądać na kompletnie oniemiałą, bo
jego uśmiech poszerza się jeszcze bardziej,
pogłębiając dołeczek. Potrząsa głową.

— Taa, od A do pierdolonego Z. — Widzę w
jego oczach przeblyskującą iskrę, której
wcześniej nie było, i cieszę się, że jego głos znów pobrzmiewa rozbawioną arogancją.
Chichocze znowu i mówi: — Pieprzony Becks.

— A potem nachyla się i całuje mnie w usta,
ignorując moje pytanie.

Potem mnie odciąga i patrzy mi intensywnie w
oczy.

— Dlaczego teraz, Ry? Przez ciebie. Bo tak
długo przyciągałem cię i odpychałem i tak
długo cię krzywdziłem... a ty mimo to
walczyłaś o mnie. Chciałaś ze mną być, pomóc
mi, uzdrowić mnie, *wyścigować* mnie. Po raz pierwszy w życiu chciałem, żeby ktoś do dla
mnie robił. I chciałem się uwolnić od
przeszłości, żeby też umieć to dla kogoś
zrobić. Ja... — wzdycha, próbując znaleźć
słowa, które wyraziłyby emocje pływające w
jego oczach. Oczach, w których wciąż czai się

ślad strachu, ale jest znacznie słabszy niż

dotychczas,

a

samo

to

napawa

mnie

szczęściem.

—

Chciałem

mieć

szansę

udowodnienia, że jestem do tego zdolny. Że to

wszystko... — macha dłonią w powietrzu — nie

pozbawiło mnie przyszłości. Że mogę być

kimś, kogo potrzebujesz i kto da ci to, czego pragniesz — mówi z błaganiem w głosie.

W jego głosie wciąż pobrzmiewa smutek

związany z wcześniejszym wyznaniem, ale

słyszę też emanującą z niego nadzieję. Tak

mnie to cieszy, że przyciskam usta do jego ust.

Czuję targające nim emocje, gdy pogłębia

pocałunek, wsuwając język między moje

półotwarte i chętne wargi. Czuję, że wciąż

próbuję się odnaleźć na tym nowym gruncie,

ale wiem, że mu się uda.

Bo jest wojownikiem.

Zawsze nim był.

I zawsze nim będzie.

Rozdział 36.

Odwracam się do niego i patrzę na grę świateł

ulicznych na jego twarzy, cicho nucąc

dobiegającą z radia piosenkę *Everything*

Lifehouse'a. Jest późno, ale czas przestał mieć

dla nas znaczenie, gdy siedzieliśmy razem na

trybunach, leczyliśmy swoje stare rany i

szukaliśmy nowego początku. Sammy odwozi

mój samochód do domu, lecz gdy zjeżdżamy z

autostrady, zauważam, że Colton jeszcze nie

jedzie do domu.

Do domu.

Co za szalone stwierdzenie, to o jechaniu

razem do domu. To nasz dom, bo teraz, po

dzisiejszej nocy, to słowo znaczy o wiele więcej

niż budynek z betonu. Oznacza komfort,

odzyskiwanie siebie i Coltona. *Mojego asa.*

Wzdycham, a moja klatka piersiowa wibruje z

miłości.

Spoglądam na niego znowu. Musiał poczuć

moje spojrzenie, bo odwraca się do mnie. Jego

oczy są nadal lekko zaczerwienione od łez.

Wpatruje się w moje oczy przez chwilę,

uśmiecha się łagodnie i nieznacznie potrząsa

głową,

jakby

wciąż

próbował

ogarnąć

wydarzenia ostatnich kilku godzin, po czym

wraca spojrzeniem na drogę. Ale ja nie

odrywam od niego wzroku, bo głęboko w

środku wiem, że niezależnie od tego, na co

będę patrzeć, i tak do niego wrócę.

Jestem tak głęboko zamyślona, że nie mam

pojęcia, gdzie dotarliśmy. Colton zajeżdża na

parking i zatrzymuje samochód.

— Mam tu jeszcze coś do załatwienia. Idziesz

ze mną?

Patrzę na niego, zastanawiając się, co można

mieć do załatwienia o dwudziestej trzeciej na

przypadkowym parkingu na przedmieściach

Hollywood. To musi być coś ważnego, bo

wydaje mi się, że po tej nocy na pewno jest

wyczerpany i pragnie wrócić do domu.

— Jasne.

Wysiadamy z samochodu. Rozglądam się podejrzliwie, bo trochę szkoda mi opuszczać przytulne auto, aby się znaleźć na słabo oświetlonym, opustoszałym parkingu, ale Colton się tym w ogóle nie przejmuje. Przytula mnie mocno do siebie i prowadzi do potężnych drewnianych drzwi, które wyglądają, jakby trafiły tu wprost ze średniowiecza. Gdy Colton je otwiera, uderza nas jasne światło, łagodnie grająca muzyka i dziwne bzyczenie.

Zerkam na niego, a on patrzy na mnie z zaciekawieniem i rozbawieniem. Wydaje z siebie krótki chichot i potrząsa głową, widząc moje otwarte usta i zdziwiony wzrok.

Nigdy wcześniej nie byłam w takim miejscu.

Głęboko w środku czuję, dlaczego tu jesteśmy, ale kompletnie tego nie rozumiem.

Colton splata palce dłoni z moimi i ruszamy wąskim korytarzem w stronę pomieszczenia, z którego dobiega to jasne światło. Colton pierwszy przekracza próg i czeka, aż bzyczenie ucichnie.

— O kurwa, w dupę jeża! Pieprzony piękniś
wpadł z wizytą — słyszę dudniący głos. Colton
wybucha śmiechem i zostaje wciągnięty
głębiej. — Do licha, dobrze cię widzieć, Wood!

Wokół Coltona owijają się ręce pokryte
różnokolorowymi wzorami i rysunkami. Po
krótkim uścisku piwne oczy ich właściciela
dostrzegają mnie za ramieniem Coltona.

— Ożeż kurwa! Przepraszam za to całe
pierdolone przeklinanie — mówi mężczyzna,
odsuwając Coltona na bok i podchodząc do
mnie. — Stary, jeśli przyprowadzasz tu
pieprzoną damę, musisz mnie ostrzec, żebym
zachowywał się z szacunkiem!

Colton się śmieje, a mężczyzna wyciera dłoń o
dżinsy i wyciąga ją do mnie. Jest gruby i cały pokryty tatuażami, ma krótko obcięte włosy i
długą niesforną brodę, ale najbardziej ujmują
mnie rumieńce na jego policzkach. To dość
urocze, chociaż wątpię, czy byłby zachwycony,
gdybym mu o tym powiedziała.

— Przepraszam, kurwa! Ja pieprzę, znowu
przekląłem! — Potrząsa głową i wydaje z
siebie rżący śmiech. Ja też nie mogę się
powstrzymać od śmiechu.

— Nie przejmuj się — odpowiadam i wskazuję podbródkiem w stronę Coltona. — Jego gęba jest równie niewyparzona. Jestem Rylee.

— Dobra, cóż, spróbuję ograniczyć *pieprzenie* do minimum — mówi i znowu się czerwieni. — Znaczy nie z tobą oczywiście... o ile sobie tego nie życzysz...

— Nawet o tym nie myśl, Sledge — ze śmiechem ostrzega go Colton, a Sledge potrząsa głową i znowu śmieje się tym swoim wyjątkowym charczącym śmiechem, po czym zaprasza nas gestem głębiej.

— To jak, naprawdę, stary? — pyta Coltona.

— Taa — odpowiada, spoglądając na mnie z uśmiechem. — Naprawdę. — Nic z tego nie rozumiem.

— Cóż, wygląda na to, że nie robisz sobie jaj — odpowiada, potrząsając głową, po czym podchodzi do blatu i zaczyna przeszukiwać jakieś papiery. — A skoro już mowa o jajach...

— Zerka na mnie i wykrzywia twarz w przeprosinach, po czym wraca do szukania czegoś w papierach. — Jak tam twoja zajebicie

ładna

siostra,

której

z

przyjemnością powierzyłbym swoje jaja...

Czekam na wybuch złości Coltona, ale on odrzuca głowę i wybucha śmiechem. Widząc jego reakcję, uświadamiam sobie, że ci dwaj muszą się znać od bardzo dawna.

— Pozarłaby cię żywcem stary, dobrze o tym wiesz... Jesteś za miękki.

— Pieprz się! — śmieje się Sledge, a Colton

ściąga koszulkę. I chociaż jest tu tyle nowych rzeczy do obejrzenia, nie mogę oderwać wzroku od jego muskularnego brzucha. Patrzę na cztery symbole reprezentujące jego przeszłość i zastanawiam się, co zamierza zrobić.

— Taa... wielki mi twardziel — drażni go Colton, sadzając mnie na krześle. Całuje mnie niewinnie w policzek, po czym patrzy mi przez chwilę w oczy, jakby chciał powiedzieć „*zaufaj mi*”. Potem sam też siada na krześle. —

Tatuażysta, który słucha Barbary Streisand i

ma pięć kotów na zapleczu. — *O czym on do cholery mówi?* — Nie wiesz, że jeśli chcesz udawać twardziela, to powinieneś słuchać

death metalu i mieć krwiożerczego pitbulla, a
nie tyle kotów, że mógłbyś rywalizować ze
starymi pannami? — naigrawa się Colton, a
jego
śmiech
jest
niemalże
beztroski.

Niezależnie od tego, kim jest jego rozmówca,
cieszę się, że wydobył to z niego.

— Jestem delikatny jak kwiat! — kpi sobie

Sledge, po czym wykrzykuje: — Aha!

—
Kwiat-srat!

—
odpowiada

Colton,

potrząsając głową i śmiejąc się, a Sledge

podchodzi do niego z kartką. — To jest ten? —

pyta Colton, a ja wyciągam się na krześle,

żeby zobaczyć, co jest na kartce. Ogląda ją

przez chwilę ze ściągniętymi ustami i

przechyla głowę, zastanawiając się. — Jesteś

pewien? Będzie pasował? — podnosi wzrok na

Sledge'a,

podkreślając

pytanie

wyrazem

twarzy.

— Nie napieprzaj się, przecież sam to najlepiej wiesz. Ups, znowu wyrwało mi się pieprzenie.

— Zerka na mnie, przepaszająco unosząc brwi. — Stary, jeśli mam cię napiętnować, sprawdzę to dla pewności.

— Sprawdzisz w internecie czy na dnie butelki? — pyta Colton.

— Wynocha z mojego pieprzonego krzesła! — wrzeszczy żartobliwie Sledge, wskazując ręką drzwi, po czym spogląda na mnie. — Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz na co dzień.

Unoszę brwi i śmieję się, a Colton nachyla się do mnie i patrzy mi w oczy. Przez chwilę widzę w jego oczach smutek, który jednak znika równie szybko, jak się pojawił.

— Ryles?

— Tak? — Przesuwam się na brzeg siedzenia, wciąż zaciekawiona tym, co przedstawia rysunek.

— Czas wysłać demony na emeryturę —

oznajmia, nie odrywając ode mnie wzroku — i ruszyć dalej.

Zmuszam się do odwrócenia wzroku i spoglądam na szkic przedstawiający wzór z powyginanych i przeplatających się linii. Znam ten symbol i wiem, że to węzeł celtycki. Pasuje do pozostałych, chociaż nie mam pojęcia, jakie jest jego znaczenie.

Podnoszę wzrok znad kartki i patrzę na Coltona pytająco.

— Nowy początek... — mówi, przekazując wzrokiem, że jest gotowy — odrodzenie.

Wstrzymuję oddech, a w oczach wzbierają mi łzy. Ten symbol ma tak głębokie znaczenie, że nie potrafię znaleźć właściwych słów, więc tylko potakuję w odpowiedzi.

— Dobra, rozumiem to wasze miłosne gruchanie, ale nie mogę się doczekać momentu, w którym zadam ci ból, Wood, więc wskakuj z powrotem na pierdolone krzesło — stwierdza, popychając go, i puszcza mi oko z uśmiechem. — Bo nie będziesz miał szansy na odrodzenie się, skurwielu, jeśli będziesz gapił

się na nią tak długo, że zdechniesz w
międzyczasie.

Wybucham śmiechem i chociaż poznałam tego
faceta przed chwilą, już go kocham. Colton
spełnia polecenie, ale odgryza się.

— Stary, po prostu mi zazdrościsz!

— Jasne, że ci zazdroszczę. Jak na nią patrzę,
to założę się, że potrafi... — milknie i zerka na
mnie, po czym wraca spojrzeniem do
sprzętów,

które

przygotowuje

—

błyskawicznie upichcić przyzwoitą michę
makaronu z serem. — Znowu śmieje się tym
swoim śmiechem.

— Co racja, to racja — przyznaje Colton,
klepiąc go w ramię. — I do tego jest
smakowita i ostra.

Wciągam oddech jednocześnie ze Sledge'em i
oboje się czerwienimy. Patrzę na Coltona z
niedowierzaniem i potrząsam głową, a on
odpowiada

mi

szelmowskim

spojrzeniem

niegrzecznego chłopca. Ten widok sprawia, że uśmiecham się jeszcze szerzej.

— Powinienem ci za to zrobić pieprzonego

bratka zamiast... — Potrząsa głową i

uruchamia igłę, a Colton wzdryga się na ten

odgłos. Sledge odrzuca głowę i wybucha

głębokim, basowym śmiechem. — Ciotowaty

twardziel! Ups, serduszko. Ups, wagina. Ups,

stokrotka! — drażni się z Coltonem, udając, że

przykłada igłę do jego ciała.

Boli mnie brzuch ze śmiechu. Tak bardzo tego

potrzebowałam po tej ciężkiej nocy.

— Ups, but w twojej dupie, prędzej to

zobaczysz. — Colton zaczyna się śmiać, ale

przestaje, gdy Sledge zbliża igłę do jego boku.

Nigdy nie widziałam, jak się robi tatuaż, i

jestem trochę zaciekawiona. Wstaję i siadam

na krześle obok Coltona, żeby mieć lepszy

widok. Początkowo nawet nie muszę patrzeć,

bo poznaję, kiedy igła go dotyka, po tym, że

spina się cały i wciąga z sykiem oddech.

— Boże, nic się nie zmieniło — stwierdza

Sledge zirytowany. — Mięczak zawsze będzie mięczakiem. — Bzyczenie ustaje i Sledge podnosi wzrok na Coltona. — Serio, stary? Jeśli masz zamiar się trząść jak pieprzony czilała, to będziemy mieć poważne problemy i wątpię, żebym chciał się podpisać pod takim dziełem.

Colton bez słowa podnosi dłoń i pokazuje Sledge'owi środkowy palec, po czym zerka na mnie. Bzyczenie się wznawia, tym razem bez przerw, a gdy Colton trochę się rozluźnia, przechodzę z drugiej strony Sledge'a, aby sprawdzić, czy będę w stanie patrzeć, jak utacza krew Coltona. W końcu zdobywam się na odwagę, lecz to, co widzę, wprawia mnie w zdumienie.

Sledge pracuje igłą na symbolu zemsty. Wycina ciemnoczerwone linie, na których widok się wzdrygam, wyobrażając sobie ból Coltona w klatce piersiowej.

Podnoszę wzrok, zastanawiając się, o co chodzi, i trafiam na

spojrzenie Coltona.

— Sledge wymyślił, jak zakryć tym węzłem symbol zemsty.

— Już po zemście — szepczę i z jakiegoś powodu tak mnie to porusza, że stoję z

otwartymi

ustami

i

potrzęsając

głową,

obserwuję, jak Sledge zmienia symbol, który

jeszcze bardziej zniszczyłby Coltona, na taki,

który emanuje nadzieją.

— Czas pogrzebać demony.

Przełykam gulę w gardle, po czym wyciągam

rękę, żeby chwycić go za dłoń, i razem

obserwujemy powolną transformację jednej z

jego atramentowych blizn, która staje się

teraz symbolem nadziei i odrodzenia.

Colton

i

Sledge

nadal

co

chwile

się

przekomarzają, a ja coraz bardziej uwielbiam

tego nowo poznanego artystę. Po jakimś

czasie transformacja zostaje ukończona.

— Chcę go zobaczyć, zanim go zawiniesz —

mówi Colton, gdy Sledge obficie smaruje

tatuaż wazeliną. — Idź się pobaw ze swoimi

kotkami, bo zasłaniasz mi widok, a muszę

sprawdzić, czy nie przemyciłeś mi tam

jakiegoś serca lub tęczy, skurczybyku. —

Colton wstaje z krzesła. Zwracam uwagę, że

znacznie szybciej odzyskuje równowagę.

Rusza do pokoju w głębi, w którym jest lustro.

Nie wiem, co we mnie wstępuje, może to

wydarzenia nocy, a może nadzieja, która

wkrada się powoli w nasze życie, ale gdy

Colton wychodzi do sąsiedniego pokoju,

podejmuję decyzję. Muszę działać szybko,

zanim stracę odwagę i mój racjonalny umysł

dogoni nieracjonalne serce.

Zanim stchórzę.

— Hej, Sledge — mówię i siadam na

zwolnionym przez Coltona miejscu. Zsuwam

spodnie od dresu, odsłaniając kość biodrową, i wskazuję na nią. — Myślę, że to świetny moment, żebym zrobiła sobie pierwszy tatuaż.

Chcę to samo, tylko znacznie mniejsze.

Patrzy

na

mnie

z

intensywnością

i

przestrachem.

— Kochanie, gdy mówiłem o pieprzeniu, nie

sądziłem, że się podłóżysz i że zaczniesz

ściągać spodnie, jak tylko Wood pójdzie na

zaplecze. — Puszczą mi oczko, uśmiecha się i

znowu spogląda mi prosto w oczy. — Chcesz,

żeby mnie zabił?

Śmieję się.

— Nic ci nie zrobi. Wydaje mi się, że ma do ciebie słabość, Sledge.

— Taa, raczej słabość do siebie. — Zwilża

wargi i ogląda moje biodro przez chwilę.

Potem patrzy na mnie z niepokojem i

niepewnością. — Jesteś pewna? To tak jakby

niezmywalne — pyta, unosząc z rozbawieniem

brew. Potakuję szybko, zanim wyczerpie mi się

odwaga.

Chcę

to

zrobić

i

udowodnić

Coltonowi, że pragnę mu towarzyszyć na

każdym kroku tej ścieżki.

Sledge śmieje się i zaciera ręce.

—

Uwielbiam

jako

pierwszy

dotykać

dziewiczej skóry. Sterczy mi jak cholera i w

ogóle... — Wzdycha głośno. — Kurde,

przepraszam. Znowu. — Potrząsa głową i

zaczyna kreślić palcem rysunek na moim

biodrze, patrząc na mnie, żeby się upewnić,

gdzie chcę go mieć.

— Na pewno? — pyta po raz ostatni, a ja

potakuję, bo jestem tak zdenerwowana, że z

trudem przelkam ślinę.

Nie jestem dziewczyną, która się tatuuje, mówię sobie, więc dlaczego to robię? Wtedy

przychodzi mi do głowy, że nie jestem też
dziewczyną, którą pociągają źli chłopcy. Cóż,
najwyraźniej nie miałam w tej kwestii racji.

Wzdrygam się, gdy igła zaczyna bzyzczyć. Mam
płytki oddech i czuję, jak całe ciało wibruje z niecierpliwego oczekiwania. Przygryzam dolną
wargę i zaciskam dłonie, gdy igła uderza po
raz pierwszy. Jasny gwint! To boli znacznie
bardziej, niż myślałam. *Nie wymiękaj, nie
wymiękaj*, powtarzam sobie na okrągło w
myślach, próbując zagłuszyć bzyczenie igły,
która niemiłosiernie kłuje mnie w biodro. Moja
mantra wcale nie zmniejsza bólu, więc
zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Sledge
przerywa i patrzy na mnie, więc kiwam mu,
żeby kontynuował.

Nie słyszę i nie widzę Coltona, ale od razu
wiem, że wrócił do pokoju, bo go wyczuwam.

Jego energia, nasza więź i jego magnetyzm
sprawiają, że natychmiast otwieram oczy i
trafiam na jego spojrzenie.

Wyraz jego twarzy jest bezcenny. Szok i duma
mieszają się z niedowierzaniem, gdy podchodzi
bliżej, żeby zajrzeć pod dłonie Sledge'a.

Poznając moment, w którym zauważa symbol,
bo wstrząśnięty wciąga głośno powietrze i
spogląda mi w oczy.

—
Odrodzenie

—
tylko

tyle

potrafię

wykrztusić,

wchłaniając

pełne

emocji

spojrzenie zielonych oczu.

— Wiesz, że to jest trwałe, co? — mruży,

potrząsając głową, wciąż zszokowany tym, na

co się zdecydowałam.

— Taa — mówię i splatam dłoń z jego dłonią —

trochę tak jak my.

Rozdział 37.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu i napływu
czułych emocji, gdy Colton kończy tłumaczyć
mi całą historię dotyczącą porównania mnie do
alfabetu. Wesóły ton jego głosu wprawia mnie

w zadowolenie i przypomina mi mroczne

chwile w szpitalu, gdy z całego serca

pragnęłam znowu tego doświadczyć. Bez

zastanowienia pytam więc:

— Możemy zjeść dzisiaj lody na śniadanie?

Colton zatrzymuje dłoń na moim udzie i parska śmiechem.

— Co? — pyta. Uwielbiam wyraz jego twarzy

w tym momencie: beztroski, swobodny i

pozbawiony ciężaru sekretów, które już nas

nie dzielą.

W tle cicho gra muzyka. Colton leży naprzeciw

mnie, a ja uśmiecham się bez słowa,

poprawiam sobie poduszkę i odwracam się na

plecy. Wzdycham, czując na sobie jego

rozbawione

spojrzenie,

i

wzruszam

ramionami, bo nagle głupio mi z powodu tego,

co powiedziałam. Po prostu poczułam, że

wszystko zatacza krąg. To, co mówiłam, że

chciałabym zrobić, to, czego potrzebuję,

obietnice złożone na szpitalnym łóżku, których

muszę dotrzymać.

— Tak, lody na śniadanie — mówię i krzywię się, bo gdy się ruszam, spodnie ciągną za bandaż na moim świeżym tatuażu. Mama mnie zabije, jak go zobaczy. Jego przestraszony wzrok wyrywa mnie z zamyślenia. Nachylam się, żeby przyjrzeć mu się bliżej, bo ciekawi mnie, co tam znowu wymyślił. Patrzy na mnie przez chwilę, potem mruga kilka razy, jakby próbował coś ogarnąć, po czym potrząsa głową i uśmiecha się do mnie, roztapiając mi serce i utwierdzając mnie w przekonaniu, że absolutnie niczego nie żałuję.

Nie żałuję bycia z nim i tatuażu, który właśnie sobie zrobiłam, żeby to przypieczętować.

Nie żałuję wzlotów i upadków, przez które przeszliśmy, które przetrwaliśmy i dzięki którym jesteśmy silniejsi.

Nie żałuję niczego, co doprowadziło nas do tego momentu, tu i teraz.

Gdy nawzajem się naprawiamy i obdarzamy miłością.

Gdy podejmujemy pierwsze kroki w stronę wspólnej przyszłości.

Colton przechyla podpartą na łokciu głowę i
ściąga usta.

— Cóż, jeśli kobieta czegoś pragnie, to musi to
dostać.

— Podoba mi się to — mówię, poruszając
biodrami — bo mam całe mnóstwo innych
pragnień, panie Donavan.

— Doprawdy? A jakież to mogłyby być
pragnienia? — Unosi brwi, a zmysłowy
uśmiech unosi jeden kącik jego ust. Nachyla
się i całuje mnie delikatnie w krawędź
bandaży. Podnosi wzrok, w którym tańczy
nieokiełznane pożądanie, i powoli wdrapuje się
na mnie. Zatrzymuje się kilka milimetrów od
moich ust.

Dobry Boże, jak ja pragnę się zbliżyć,
zakosztować tych ust i poczuć, jak skóra budzi
się do życia pod wpływem jego dotyku...
postanawiam jednak przedłożyć mu jeszcze
jedną prośbę, zanim ostatecznie się w nim
zatracę.

— A na kolację chciałabym...

— Naleśniki — dokańcza. — Lody na śniadanie
i naleśniki na kolację. Pamiętam, że mówiłaś

coś takiego — stwierdza pełnym czci i
uwielbienia głosem, a ja jestem wzruszona
tym, że słyszał mnie, gdy był nieprzytomny w
szpitalu. Patrzę, jak próbuje to wszystko
przetrawić i potrząsa głową. — Sporo mówiłaś
— mruczy, nachylając się bliżej, ale nie dotyka
moich ust. Wiem, że się uśmiecha, bo widzę to
po zmarszczkach wokół jego oczu.

— Czyli mamy ustalony jadłospis na jut...

Przerywa mi delikatnym pocałunkiem.

— Czas przestać gadać, Ryles — oznajmia, po
czym odchyła się i patrzy mi w oczy z
rozbawieniem i nieskrępowaną miłością.

— Colton — mówię i wyginam się w łuk,
próbując otrzeć się piersiami o jego nagi tors,
bo każda komórka mojego ciała desperacko
pragnie jego dotyku, jego smaku i naszego
zespolenia. Ale on nawet nie drgnie. Chwytam
go więc za kark i próbuję przyciągnąć do
siebie, lecz bezskutecznie.

Nadal się nie porusza, tylko intensywnie się
we mnie wpatruje. Po raz pierwszy dociera do
mnie, co miał na myśli, gdy mówił, że byłam
pierwszą osobą, która naprawdę go zobaczyła

i zajrzała do jego duszy, bo teraz nie jestem w stanie niczego przed nim ukryć. Absolutnie niczego. Nasza więź jest tak silna i tak nieodparta.

Ten wieczór był pełen emocji, a chociaż jego emocje były przypuszczalnie większe, to moje ciało pragnie się wyładować. Czuję, że aż wibruje z żądz i pragnie tylko jego.

— Rylee... — zakłete w moje imię błaganie, które porusza mnie za każdym razem.

— Żadna *Rylee* — naciskam, dostrzegając troskę w kącikach jego pożądliwych oczu.

Ujmuję jego twarz w dłonie i trzymam go mocno, żeby musiał mnie wysłuchać. — *Nic mi nie jest*, Colton.

— Tak się boję, że zrobię ci jakąś krzywdę...

— jego głos tonie w morzu troski, przez które każda cząstka mnie zostaje jeszcze głębiej wciągnięta w otchłań miłości.

— Nie, Colton, nie. Nie zrobisz mi krzywdy. —

Nachylam się i muskam ustami jego usta, po czym odsuwam się, żeby z powrotem spojrzeć mu w oczy. — Krzywdzisz mnie, gdy nie chcesz ze mną być, bo to mnie wyniszcza. Potrzebuję

cię,

Colton,

pod

każdym

względem:

emocjonalnym

i

psychicznym.

Dzisiaj

obnażyliśmy się ze wszystkiego, co nas

dzieliło, i teraz chcę być z tobą blisko. Chcę poczuć więź w każdy możliwy sposób, bo tylko

tak mogę ci pokazać, co naprawdę do ciebie

czuję. I co dla mnie zrobiłeś.

Słyszę jego poszarpany wydech ułamek

sekundy przed tym, jak jego ciepło dociera do

moich ust. Zaciska dłoń na moim bicepsie, a

potem ją rozluźnia, jakby pragnął, ale się

waha.

Wpatruje

się

we

mnie

z

niezdecydowaniem wypisanym na twarzy. W

końcu jego przesłonięte pożądaniem oczy
mówią mi, że decyzja została już podjęta, a ja
patrzę na jego pulsujący mięsień szczęki,
ostatni bastion jego oporu.

Nachyla się, żeby mnie pocałować. Chyba
jeszcze nigdy zwycięstwo nie miało tak
doskonałego smaku.

Muska mnie delikatnie raz i drugi, po czym
wsuwa język między moje wargi i zaczyna
lizać mój. Gładzi mnie po plecach i przyciąga
do

siebie,

a

nasze

języki

kontynuują

uwodzicielski balet. Wsuwa dłonie pod bluzkę i
ściąga mi ją przez głowę, pieszcząc po drodze
moją nagą skórę.

Wydaję z siebie ciche westchnienie, gdy
musimy się na chwilę od siebie oderwać, żeby
przepuścić moją bluzkę. Natychmiast jednak
odnajdujemy swoje usta na nowo. Puszczam
jego włosy i drapię paznokciami jego napięte

bicepsy. Jego ciało reaguje, napinając się pod wpływem mojego dotyku. Słyszę gardłowy pomruk, który mnie nakręca, wabi i wzbudza jeszcze większe pragnienie.

Z każdą sekundą nasze pożądanie i pragnienie jest coraz większe. Ściskam uda, a mój oddech robi się coraz płytszy.

— Colton — szepczę, a on przemierza ustami linię szczęki i dociera do mojego punktu rozkoszy tuż pod uchem. Gdy czuję gorąco jego ciała na moim chętnym ciele, wyginam się w łuk i jęczę, a on muska dłońmi skórę na mojej klatce piersiowej, po czym chwytając ciężkie od pożądania piersi, wzniecając falę doznań rozchodzącą się po całym ciele.

— Kurde, Ry, nie potrafię się przy tobie opanować. Tak bardzo pragnę poczuć smak twojej słodkiej cipki. Chcę usłyszeć ten odgłos, który wydajesz, gdy w ciebie wchodzi. Chcę poczuć cię na sobie, gdy dochodzisz.

Wsuwam dłonie w jego szorty. Jęczy, gdy chwytam jego gorące ciało. A potem mówi do mnie rozpalające słowa, które jeszcze bardziej rozniecają wymykający się spod kontroli

pożar, a nagła czułość jego dotyku drastycznie

kontrastuje z ich dosadnością.

— Pragnę, żeby każda cząstka ciebie drżała,

żeby wręcz *wibrowała*, błagając o mój dotyk, Ry, bo wiem, że ja tak właśnie będę się czuł.

Pragnę być twoim westchnieniem, twoim

pomrukiem, twoim jękiem przyjemności i

wszystkimi innymi odgłosami, które z siebie

wydasz. — Nachyla się i skubie moją wargę.

Czuję, że drży, i wiem, iż jest równie

poruszony jak ja.

— *Pragnę cię czuć*. Pragnę czuć twoje

paznokcie wbijające się w moje barki. Twoje

uda

napinające

się

wokół

moich,

gdy

doprowadzam cię coraz bliżej krawędzi —

dyszy,

a

w

jego

dominującym

głosie

pobrzmięwa nieokiełznana żądza, od której całe moje ciało zaczyna wibrować. — Chcę zobaczyć, jak podwijasz palce u nóg, gdy odpychasz się od mojego torsu. Chcę patrzeć, jak twoje usta się rozchylają i zamykasz oczy od rozkoszy tak intensywnej, że niemal nie do zniesienia. Bo taką właśnie rozkosz chcę w tobie wywołać. Chcę, żebyś poczuła w środku, że naprawdę żyjesz, i to tak samo intensywnie, jak ja się przez ciebie czuję.

Nie mogę już dłużej wytrzymać. Jego słowa to najbardziej uwodzicielska gra wstępna, jaką mógł zafundować mojemu wygłodniałemu ciału. Przyciągam go do siebie, a wszelkie wahanie spada w niepamięć. Nasze ciała i serca zderzają się ze sobą i padamy na łóżko, pieszcząc się zapalczywie dłońmi i ustami.

Popycham go na plecy, drapiąc palcami po torsie. Napina mięśnie pod wpływem mojego dotyku i wydaje z siebie desperacki, gardłowy jęk. Sunę uwodzicielsko ustami wzdłuż jego szyi, a potem w dół, aż do wyraźnie zarysowanych mięśni brzucha, które napinają

się
po
każdym
liźnięciu
językiem
lub
drapnięciu palcami. Zsuwam się ustami niżej,
wzdłuż jednej z krawędzi jego seksownego
„V”. Docieram do szortów i przenoszę się na
drugą stronę, uważając na świeży tatuaż, a
palcami otaczam przez materiał jego twardą
męskość.

Podnoszę wzrok, patrzę mu w przesłonięte
pożądaniem i emocjami oczy i zsuwam mu
szorty. Całuję cienką ścieżkę włosów, a potem
dotykam wilgotnymi i ciepłymi ustami czubek
członka, który zaczyna wierzgać.

— *Kurwa!* — syczy Colton, a przeciągły
sposób, w jaki to mówi, skłania mnie, by wziąć
go głębiej w usta. Przyciskam język od dołu i zsuwam się wargami niżej.

Jego ręce, które leżały bez ruchu na łóżku,
zaciskają się w pięści, a biodra drgają, gdy
przesuwam się w górę, aż w moich ustach
zostaje sam koniuszek. Bawię się nim za

pomocą języka, zwracając szczególną uwagę
na zakończenia nerwowe pod spodem, po
czym biorę go z powrotem w usta tak głęboko,
że aż uderza w tył mojego gardła. W tej samej
sekundzie
pod
wpływem
przytłaczającej
rozkoszy chwytam mnie za włosy.

— Słodki Jezu — wykrztusza między ciężkimi,
płytkimi oddechami, ale nie przerywam swojej
zabawy ustami. — To takie przyjemne.

Czubkami palców łaskoczę i muskam wrażliwą
skórę pod członkiem. Wciągając policzki przy
każdym ruchu w dół i robię próżnię, gdy
podnoszę głowę do góry. Patrzę na niego i nie
mogę powstrzymać zadowolonego uśmiechu,
który próbuje wpełznąć na moje usta, nie
przejmując się znajdującym się w nich
członkiem. Colton ma odrzuconą w tył głowę,
ściągnięte z rozkoszy usta i napięte mięśnie
karku. Od dawna jestem gotowa, żeby go
przyjąć,
ale

obserwowanie,

jak

powoli

opanowuje go rozkosz, wyzwala we mnie

jeszcze większą falę wilgoci.

Zaciskam dłoń na jego członku i zaczynam

wykonywać skrętne ruchy, a ustami pieszczę

pozostałą część członka, który zamienia się w

stal w moich ustach, a Colton wydaje z siebie jęk i w tej samej sekundzie ciągnie mnie do

góry. Czuję falę pożądania, gdy moje sutki

ocierają się o jego nagą skórę.

Wpija się we mnie ustami od razu, gdy moje

znajdują się w jego zasięgu, i spajamy się w

chciwym zderzeniu warg, języków i zębów.

Dominuje w pocałunku, biorąc to, czego chce,

choć ja jestem i tak gotowa oddać mu

wszystko.

Błyskawicznie

zmienia

naszą

pozycję i nagle jestem na plecach i leżę na

stercie poduszek. Zjeżdża spojrzeniem w dół

klatki piersiowej, dociera do majtek i wraca, a

na jego ustach pojawia się szelmowski

uśmiech.

— Trochę wyszedłem z wprawy — mówi,
potrzęsając głową, i przez ułamek sekundy
miga mi jego dołeczek. I chociaż każdy nerw
mojego ciała zatapiają fale nieokiełznanej
żądzy, nie potrafię powstrzymać śmiechu, gdy
Colton zrywa ze mnie majtki. — Proszę —
mówi, zsuwając się do mojego brzucha i
kładąc tam pocałunek. — Znacznie lepiej.
Jego usta zatrzymują się na moment tuż pod
moim pępkiem i nagle ta chwila nabiera
znacznie głębszego znaczenia. Jednocześnie
to, co robi, jest po prostu słodkie, bo z
zamkniętymi oczami przyciska usta do łona, w
którym było jego dziecko. Natychmiast czuję
ciarki na całym pobudzonym do granic ciele.
Po chwili wznawia swoją boleśnie wolną
wędrówkę w górę, do moich piersi. Czuję na
nich jego gorący oddech oraz muśnięcia języka
i ssanie ust na sutku. Jęczę bezwiednie, bo
wywoływane przez niego doznania są jak
uderzający prosto między moje nogi piorun,
który
rozwała

wszelkie

zahamowania

i

wznieca nieugaszony pożar.

— Colton — dyszę. Pragnienie w moim

wnętrzu staje się coraz bardziej nieznośne.

Znaczę paznokciami skórę na jego ramionach,

a on pieścizotami ust podpowiada mi to, czego

doświadczę za chwilę. Gdy moje sutki są

nabrzmiące i pobudzone do granicy bólu,

wędruje ustami w górę. Jedną dłonią chwyta

mnie z tyłu za włosy, a drugą zsuwa w dół i wkłada mi między nogi.

Wstrzymuję oddech po tym, jak rozsuwa moje

uda, lecz nie dotyka mnie jeszcze w

kluczowym miejscu. Kończy mi się powietrze

w płucach, całe ciało drży w oczekiwaniu.

Wtedy Colton wpija się w moje usta w

namiętnym i upajającym pocałunku. Gdy

odrywa się ode mnie, kręci mi się w głowie i czuję, że moje pożądanie wymyka się spod

kontroli. Właśnie wtedy rozsuwa mnie na dole

palcami i bierze w swe posiadanie. Jęczę w

jego usta pod wpływem wprawnych pieścizot.

Czuję falę gorąca i z głębi mojego gardła

dobywa się krzyk rozkoszy, bo jestem

kompletnie pochłonięta i rozbrojona przez
niego.

Przesuwa mokrymi od mojego podniecenia
palcami po pulsującej łechtaczce.

— Ach! — Nie potrafię się powstrzymać, gdy
czuję jego palce i zalewają mnie doznania i
emocje. Pieści mnie palcami na dole, a
jednocześnie drażni ustami skórę szyi, a ja w
błyskawicznym
tempie
zblizam
się
do

krawędzi. Sutki nabrzmiewają i całe ciało się
napina pod wpływem rozchodzących się po nim
fal pożądania, które chwilę później uderzają
mnie z dziesięciokrotnie większą siłą.

Już po mnie. Oddaję się upojeniu rozkoszą,
która atakuje wszystkie moje zmysły i
wyplukuje wszelkie myśli. Zaciskam dłonie na
jego ramionach i wierzgam biodrami, a moje
ciało
ekspłoduje
miliardem

odłamków

przyjemności. Przez dudniący w moich uszach

puls

przebija

się

tylko

jeden

odgłos:

zadowolony jęk, który dobywa się z jego ust.

W chwili, gdy unoszę się na ostatniej fali

orgazmu, Colton zmienia pozycję, rozsuwa mi

uda kolanami i przyklada główkę członka do

mojego wciąż pulsującego wejścia.

Wtedy uderza mnie coś, co przebija się przez

zamroczenie orgazmem i przywraca mi

trzeźwość zmysłów. Odpycham się od jego

piersi i potrząsam głową.

— Colton... musimy użyć prezerwatywy... —

mówię. Rzeczywistość uderza mnie silniej niż

orgazm, który wciąż targa moim podnieconym

ciałem.

Colton się spina i odrywa wzrok od miejsca

naszego zespolenia. Przechyla głowę i patrzy

na mnie w milczeniu. Jedynym odgłosem w

pokoju jest mój urywany oddech i delikatne

dźwięki *Stolen* w tle. Ale to, jak na mnie patrzy — jakbym była jego następnym

oddechem — sprawia, że wszelkie kolejne

protesty giną bezgłośnie, zanim dotrą do

moich ust.

— *Nie chcę zakładać prezerwatywy, Rylee.* —

Truchleję na te słowa. Chociaż bardziej na

sposób,

w

jaki

je

wypowiada.

Z

niedowierzaniem, rezygnacją i irytacją.

Ale dlaczego?

Nie wierzy, że mogłam zepsuć nastrój tą

prośbą? Irytuje się, bo teraz będzie musiał ją założyć?

— No weź, Colton, nie bądź taki. Wiem, że to

nie to samo, ale musimy to wziąć pod uwagę

i...

Colton nieoczekiwanie przewraca się na łóżko,

wciągając mnie na siebie tak, że siadam na

nim okraciem, a ja z zaskoczenia milknę.

Chwyta mnie obiema dłońmi za kark, muska

kciukami moją twarz i wpatruje się we mnie z
pełną czci intensywnością, której nigdy
wcześniej u niego nie widziałam.

— Nie, Ry. Nie chcę zakładać prezerwatywy,
ale nie z powodu słabszych doznań. Kurwa,
kotku, nawet gdybym miał kondoma z płótna,
to i tak bym cię czuł.

Chcę się roześmiać, ale mój umysł zawiesza
się na tym, co właśnie usłyszałam.

— Co... co ty mi próbujesz powiedzieć? — I
choć nie odpowiada od razu, moje serce
przyspiesza, a palce zaczynają drżeć.

Patrzę jak przełyka ślinę, a jego jabłko Adama
porusza się w górę i w dół. Na jego ustach
pojawia
się
cień
uśmiechu.

Potrząsa
nieznacznie głową i uśmiecha się szerzej.

— Nie wiem, jak to wyjaśnić, Ry. *Tamta noc* była straszna. Przeżyłem coś, czego nie
zapomnę do końca życia. Ty... ja... dziecko...

— milknie i lekko potrząsa głową, spuszcza
na chwilę wzrok. Wiem, że wciąż próbuje się

pogodzić z tym, że straciliśmy nasze dziecko.

Wydaje z siebie poszarpane westchnienie i podnosi oczy, których przenikliwa szczerłość sprawia, że wstrzymuję oddech. — Byłem przerażony do szpiku kości — mówi, muskając moje usta najczulszym z pocałunków. Potem całuje mnie w nos i odchyła się. — Wciąż czuję przerażenie, gdy tylko pomyślę o tym, co mogło się stać. Ja... po prostu nie wiem, jak to wyjaśnić — stwierdza i wzdycha głośno. Widzę po jego twarzy, że pragnie znaleźć właściwe słowa, żeby wyrazić to, jak się czuje.

— Nie spiesz się — szepczę ze świadomością, że dałabym mu cały czas świata, gdyby o niego poprosił.

Pociera kciukami moje policzki, a doniosłość tej chwili przyprawia mnie o gęsią skórkę.

— Jakaś część mnie... — głos mu się łamie.

Widzę, jak pulsuje mięsień szczęki, gdy próbuje opanować wzbierające w oczach emocje. — Jakaś część *nas* umarła tamtej nocy. A ja byłem zdany tylko na siebie.

Oddech więźnie mi w gardle i chwytam go dłońmi za bicepsy, gdy słyszę, że opisuje dziecko jako *nasze*.

— Siedziałem w poczekalni, Ry, z twoją krwią i z krwią naszego dziecka na sobie, i jeszcze nigdy... jeszcze nigdy nie czułem tak dobitnie tego, że żyję. — Na jego niesamowite usta wraca ten łagodny uśmiezek, ale to jego oczy najbardziej mnie fascynują. Zielone iskierki, które patrzą błagalnie, pytają i sprawdzają, czy rozumiem jego słowa, zarówno te wypowiedziane, jak i te niewypowiedziane. Spuszcza na chwilę wzrok na dłonie. Jego twarz skrzy od emocji, gdy przypomina sobie swoje uczucia w tamtym momencie. W końcu spogląda z powrotem na mnie.

—

Krew
dziecka,
którego
nigdy
nie
zobaczyłem,
lecz
które
stworzyliśmy
wspólnie... — mówi.

Jego chrapliwy głos łamie się przy ostatnim słowie, lecz mimo to nie odrywa ode mnie wzroku, bo chce, żebym zobaczyła wszystko, co zdradzają jego oczy: żal, niedowierzenie, poczucie straty.

— Wszystkie emocje... wszystko, co się stało...

próbowałem to wszystko ogarnąć, ale za każdym razem ponosiłem sromotną klęskę. —

Wzdycha ciężko i zamyka na chwilę oczy, przytłoczony wspomnieniami i chęcią jak najwierniejszego przekazania swoich uczuć. —

Nadal nie wiem, czy kiedykolwiek będę to w stanie zrozumieć. Wiem jednak jedno — mówi

i chwyta mnie mocniej za policzki, żeby podkreślić pewność swoich słów — że gdy

siedziałem w tej poczekalni i lekarka powiedziała mi... o dziecku... przepelniły mnie

uczucia, o które nigdy bym się nie posądzał — kończy, wpatrując się we mnie bez mrugnięcia

i z kompletnym uwielbieniem w głosie. W moim sercu wzbiera nadzieja na rzeczy, o

których nie sądziłam, że kiedykolwiek się spełnią.

Nawet nie wiem, w którym momencie po moim

policzku spływa łza, a Colton ociera ją

kciukiem i kontynuuje.

— A gdy siedziałem w tym cholernym pokoju i

czekałem, aż się obudzisz... uświadomiłem

sobie, ile dla mnie znaczysz i co udało nam się

razem stworzyć. Połączenie tego, co najlepsze

w tobie i we mnie. Wtedy doznałem olśnienia

— wyznaje z taką wrażliwością w oczach, że

gdy otwieram usta, żeby coś powiedzieć, nic

się z nich nie wydobywa. Uśmiecha się

łagodnie do mnie i zwilża językiem dolną

wargę. — Uświadomiłem sobie, że to, co *ona* mi zrobiła, wcale *nie musi* się powtórzyć. Że mogę dać komuś życie, jakiego sam nie

miałem, Rylee. Życie, które pokazałaś mi, że

jest możliwe.

Powstrzymuję się od komentarza, który ciśnie

mi się na usta, bo słowa Coltona rozbijają

ostatnie fragmenty osłony, jaką miałam wokół

swego serca. Zaciskam palce na jego

bicepsach, a mój podbródek drga od nawału

przetaczających się przeze mnie emocji.

— Nie, nie płacz, Ry — szepcze i całuje ścieżki

łez spływających po moich policzkach. — Już

wystarczająco dużo się napłakałaś. Chcę cię

teraz uszczęśliwić, bo kurwa, kochanie, to

dzięki tobie wszystko jest inaczej. To ty pokazałaś mi, że mój największy lęk... że cała ta tocząca mnie od środka trucizna wcale nie była aż tak straszna. Używałem jej jako wymówki, żeby się nie otwierać na innych, bo rzekomo sprowadzę na nich wyłącznie ból i przekleństwo swoich demonów. Ale wiem z *całą pewnością*, że nigdy nie skrzywdziłbym dziecka. Dziecka zrodzonego z mojej krwi. I już na pewno wiem, że ty nie skrzywdziłabyś dziecka tylko po to, żeby zrobić mi na złość. Łzy wzbierają w jego oczach. Spuszcza na chwilę wzrok i potrząsa głową, bo to wyznanie i otworzenie duszy w końcu zbierają swoje żniwo. Ale gdy podnosi spojrzenie, to mimo łez widzę w jego oczach taką jasność, czystość i uwielbienie, że brakuje mi tchu. A moje serce już dawno zostało skradzione i należy wyłącznie do niego.

— To tak, jakby na końcu tych straszliwych ciemności, w których spędziłem całe życie, pojawił się ten niewiarygodny promień światła. Głos mu się łamie i łzy spływają po jego twarzy. Siedzimy nago na łóżku, przeszłość nie jest już tajemnicą, serca są obnażone i

wrażliwe jak nigdy wcześniej, lecz mimo to
jeszcze nigdy nie czułam takiej pewności z
jakąkolwiek osobą w swoim życiu.

Podnosi moją głowę, żebym na niego spojrzała

i pyta:

— To nie masz nic przeciwko?

Nie jestem pewna, o co pyta, lecz mam
nadzieję, że moje domysły są właściwe.

Rozdział 38.

Colton

— Boże, Rylee, muszę wiedzieć, czy nie masz
nic przeciwko? — Szukam w jej twarzy
jakiegokolwiek wskazówki, że chce podążać tą
ścieżką ze mną, bo moje serce łomocze jak
oszalałe i z każdym oddechem czuję coraz
większy ciężar w piersi.

W jej fioletowych oczach, jedynych, które
potrafiły zajrzeć prosto do mojej duszy i
zobaczyć wszystko, co w niej ukryłem,
wzbierają

łzy.

Odpędza

je

mruganiem,

próbując przetworzyć to, co mówię. Że chcę z

nią czegoś, czego nigdy nie chciałem.

Jutra.

Perspektyw.

Pieprzonej przyszłości.

Ostatecznej pierdolonej flagi z szachownicą.

Głęboko w sercu wiem z absolutną pewnością,

co czuję do tej kobiety, która wparowała w

moje życie, chwyciła mnie za jaja — i

najwyraźniej także za serce — i już nie

wypuściła. Nie potrafię się oprzeć próbie

uspokojenia dręczących mnie obaw. Chcę

złagodzić

niepokój

duszy,

która

kiedyś

wydawała mi się przeklęta. Nachylam się i

całuję ją, czerpiąc otuchę z jej ust, chociaż ona

nawet nie wie, że mi jej dodaje.

Patrzę na moje dłonie. Drżą na jej policzkach,

ale wiem, że nie ma to nic wspólnego z

pieprzonym wypadkiem, lecz wynika wyłącznie

z gojeniem się ran, które są tak stare, że nie sądziłem, iż w ogóle się zabliznią. Podnoszę

wzrok i patrzę jej w oczy, bo chcę, żeby
wiedziała, że chociaż miałem przed nią wiele
kobiet, to ona jest jedyną, której to mówię.

— Powiedziałem ci na Florydzie, że zawsze
wykorzystywałem
adrenalinę...

rozmycie,

kobiety... żeby wypełnić dręczącą mnie
pustkę. A teraz... — Potrząsam głową, bo nie
mam pojęcia, jak sprawić, żeby słowa, które
kotłują się w mojej głowie, zabrzmiały
sensownie i spójnie. Biorę głęboki oddech, bo
są to najważniejsze słowa, jakie kiedykolwiek
wypowiem. — Teraz, Ry, przestało to mieć dla
mnie znaczenie. Potrzebuję tylko ciebie.

Tylko. Ciebie. I chłopców. *I tego, co razem stworzymy.*

Czuję dreszcze na całej skórze, bo jestem
przytłoczony tym wszystkim. Tą chwilą, tą
pieprzoną wrażliwością. Z trudem przelkam
ślinę i zamykam na chwilę oczy. A gdy je
otwieram, współczucie i miłość w jej oczach —
i samo to, że widzę jej miłość i ją akceptuję —
sprawia, że przyspiesza mi puls i czuję euforię,
która

przełamuje

ostatnią

blokadę

z

przeszłości.

— *Kocham cię, Rylee* — szepczę. Ciężar w mojej piersi rozpada się na miliony kawałków,

ostatecznie

uwalniając

moją

duszę

z

dręczącego ją przez tyle lat bagażu.

Rozdział 39.

On mnie kocha.

Ta myśl przebiega mi przez głowę raz po raz i

za

każdym

razem

wyzwała

zastrzyk

adrenaliny.

Właśnie powiedział, że mnie kocha.

Nie wiem, co odpowiedzieć, bo pochłania mnie

fala miłości i dumy z tego mężczyzny. Spowija

mnie kokonem możliwości i wycisza resztki

wątpliwości, jakie mogłam jeszcze mieć.

— Colton... — Jestem przytłoczona emocjami i nie potrafię nawet wykrztusić słów, na których powiedzenie czekałam tak długo.

— Ciiii — ucisza mnie, przykładając palec do moich ust, i uśmiecha się nieśmiało. — Pozwól mi dokończyć. *Kocham cię, Rylee.* — Tym razem mówi to pewniejszym głosem, jakby stopniowo odnajdywał się na tym nowym gruncie. Jego uśmiech się poszerza i ja też uśmiecham się szerzej z jego palcem na ustach. — Myślę, że zawsze cię kochałem... od tego pieprzonego pierwszego wieczoru. Byłaś jasnym punktem... iskrą, przed którą nie potrafiłem się schować nawet wtedy, gdy ogarniały mnie ciemności. Boże, kochanie, przeszliśmy razem tak wiele, że ja... — milknie, a z jego wilgotnych oczu wymyka się pojedyncza łza, która powoli spływa po policzku.

Wyrywa mi się tłumiony szloch, bo nie potrafię pohamować emocji. Ujmuję jego twarz w dłonie, czuję jego kojąco szorstki zarost i

przyciskam usta do jego ust, a on mnie

obejmuje i przyciąga mocno do siebie.

Opieram czoło na jego czole i chwytam go za włosy z tyłu głowy, bo chcę ją odciągnąć, żeby spojrzeć mu w oczy.

— Kocham cię, Colton. Nie mogłam się doczekać, kiedy ci to znowu powiem. — Śmieję się, bo nie potrafię opanować wzbierającego we mnie szczęścia. — Kocham cię, ty dzielny, niesamowity, skomplikowany, uparty, cudowny mężczyzno, którego chyba nigdy nie będę miała dosyć...

Wpija się w moje usta. Pocałunek niesie ze sobą tak wiele emocji, że nie potrafię

pohamować

łez

i

powtarzania

szeptem

wyznania, z którym musiałam się tak długo

powstrzymywać.

Czuję na plecach drapanie jego twardych palców. Przyciska mnie do siebie. Jego stalowe mięśnie na miękkości moich piersi wzniecają

na nowo płomienie pożądania w głębi mojego

brzucha. Oddajemy się temu leniwemu, lecz

namiętnemu

i

obezwładniającemu

pocałunkowi, a niezaspokojone języki tańczą w

atmosferze

wspólnych

westchnień

i

intensyfikują nasze pragnienie. Każdy nerw

mojego ciała krzyczy, zachłannie domagając

się zawłaszczającego dotyku jego palców.

Ocieram się wzgórkami o czubek jego erekcji,

a jego język sprawia, że miękną mi nogi i staję

się bezbronna. Samym pocałunkiem naznacza

mnie swoim nieusuwalnym piętnem. Muskam

bezmyślnie palcami twarde mięśnie jego

ramion, po czym wsuwam dłonie w jego włosy,

zniewalając jego głowę tak, jak on zniewolił

każdy, nawet najmniejszy fragment mojego

ciała.

Przerywa pocałunek i odrywa się ode mnie.

Jęczę w proteście, ale mam wrażenie, że nigdy

nie uda mi się w pełni zaspokoić mojego
pożądania. Patrzę na jego rozczochrane włosy
i błyszczące oczy, lecz nagle mój wzrok pada
na jego uśmiech, który kompletnie mnie
rozbraja. Bardzo subtelnymi muśnięciami
palców kreśli linie wzdłuż mojego kręgosłupa,
a ja próbuję odczytać, co chce mi przekazać.

— Chcę się z tobą kochać, Ry — mówi
ochrypłym z emocji głosem.

Ile jeszcze razy tej nocy sprawi, że zabraknie
mi tchu w piersi? Ile jeszcze razy zamierza
ofiarować mi potłuczone fragmenty swojej
duszy, żebym mogła razem z nim na nowo
poskładać ją w całość i wyleczyć?

Patrzę na niego, a na moich ustach pojawia się
uśmiech.

— Ja *zawsze* się z tobą kocham. — Potrząsam
głową, bo nadmiar emocji wykwita rumieńcem
na moich policzkach. Głupio mi, że czuję się
zawstydzona, skoro wyznaliśmy już sobie
wszystkie tajemnice, ale z przyjemnością
zauważam, iż po moich słowach w jego oczach
pojawiły się iskry i rozchylił lekko wargi.

Przesuwam dłoń po jego ramieniu i kładę mu ją

na sercu. — Zawsze się z tobą kochałam, ty po prostu o tym nie wiedziałeś.

Parska śmiechem, a kąciki jego ust unoszą się jeszcze wyżej, gdy kładzie mnie na plecach na stercie poduszek i nachyla się nade mną.

Opiera się na łokciach, jego kolana są między moimi nogami, a twarz unosi się kilka centymetrów od mojej.

— Cóż, tym razem oboje będziemy wiedzieli — stwierdza i bierze drżący oddech, przyciskając swoją stalową męskość do mojego wejścia.

Zamykam oczy. Całe moje ciało drży pod nim, pragnąc tej nieuchronnej nawałnicy obezwładniających doznań.

— Spójrz na mnie, Ry. — Otwieram oczy i zatracam się w pięknie jego twarzy. — Chcę, żebyś widziała, jak będę cię brał. Chcę, żebyś widziała, jak cię kocham. — Nachyla się i muska moje usta

lekkim

jak

piórko

pocałunkiem, po czym wraca wzrokiem do
moich oczu. — Kocham cię.

Wraz z tymi słowami wbija się we mnie. Czuję
się, jakby wzniecił snop iskier, bo tym razem
to coś więcej niż tylko zespolenie fizyczne. To
zespolenie serc, dusz i wszystkiego, co nas
tworzy. Patrzę, jak jego oczy przesłaniają się
mgłą pożądania i ciemnieją od emocji, gdy
wchodzi aż do końca.

— Słodki Jezu! — jęczy i zaczyna się poruszać,
pobudzając we mnie każdy wewnętrzny nerw.

Moje ciało reaguje instynktownie: wyginam się
w łuk, żebym mogła jak najpełniej czerpać
rozkosz od tego niewiarygodnego mężczyzny.

Czuję, jak bombardują mnie doznania. Czuję,
jak jego skóra przesuwa się po mojej. Widzę
niepohamowaną żądzę i nieskrępowaną miłość
w jego oczach. Słyszę ciche jęki rozkoszy z
głębi jego gardła. Pochłania mnie fala gorąca,
gdy on wbija się we mnie kolistym ruchem, a
potem powoli wycofuje.

Moje ciało wibruje od tego zmysłowego
odurzenia. Wszystkie doznania zderzają się ze
sobą z tak idealną synchronizacją, że nie
byłabym w stanie przed tym uciec, nawet
gdybym chciała.

Narasta napięcie. Colton katapultuje mnie na
oszałamiające wyżyny przyjemności, znajdując
powolny, lecz niezmienny rytm, w którym
pobudza i pociera każdy możliwy nerw. Nie
odrywa ode mnie wzroku, ale widzę, że
pragnienie obserwowania mnie jest stopniowo
wypierane
przez
rozkosz.

W
pewnym
momencie zamyka na chwilę oczy. Patrzą na
jego zaciśniętą w skupieniu szczękę, ociążałe
powieki i rozszerzone nozdrza.
— Colton... — jęczę, bo moim ciałem zaczyna
kołysać
wszechogarniająca
żądza.
Moje

mięśnie zaciskają się w oczekiwaniu na
zaciekły atak doznań. Na dźwięk swojego
imienia Colton zmienia pozycję i siada na
piętach, przesuując dłonie wzdłuż mojego
ciała. Dociera do wzgórka i zaczyna muskać
kciukiem moją łechtaczkę, a ja wierzgam
biodrami, prosząc o więcej.

Jego

zmarszczona

koncentracją

twarz

wygładza się nieco, a usta układają się w

zmysłowy uśmiezek.

— Chcesz jeszcze?

Przytakuję, bo nie potrafię wykrztusić ani

słowa od nawału doznań. Uważając na mój

świeży tatuaż, chwytą mnie mocno za pośladki

i z uśmiechem kontynuuje swoją serię

niesamowicie

pobudzających

pchnięć

i

następujących po nich wycofań. Pochłania

mnie to całkowicie i nie jestem w stanie

zapanować nad tą wszechogarniającą inwazją
na moje zmysły. Colton patrzy mi w oczy i
doprowadza mnie coraz wyżej i wyżej.

Napinam biodra i odrzucam głowę, bo czuję
nadchodzący orgazm.

I nagle wszystko się urywa.

Colton zastyga bez ruchu i kradnie mi w ten
sposób mój orgazm. Podnoszę na niego
sfrustrowany wzrok i trafiam w zielone oczy, w
których
rozbawienie
miesza
się
z
powściągliwością.

Nachyla się, a jego gorący członek wbija się
niewyobrażalnie głęboko, zmuszając mnie do
niepohamowanego jęku, którego nawet nie
próbuję stłumić. Chwyta mnie dłońmi za uda, a
jego twarz wypełnia całe moje pole widzenia.
Czuję na sobie jego gorący oddech i widzę, jak
napina mięśnie, żeby utrzymać w ryzach
pragnienie bezceremonialnego, szybkiego i
ostrego

rżnięcia,

które

błyskawicznie

doprowadziłoby nas na szczyt. Wiem, że tak

lubi.

— Kurde, kochanie, czuję się jak w niebie —

mówi, muskając moje usta. Ku mojemu

zaskoczeniu wsuwa mi język między wargi i

zapanowuje nad pocałunkiem tak samo, jak

zapanował nad moim sercem. Czuję, jak

powoli

traci

opanowanie,

każdy

słodki

centymetr

jego

męskości

we

mnie

maksymalnie

nabrzmiwa,

a

rosnące

pożądanie wyplukuje wszelki rozsądek.

Zawłaszczając moje usta, zaczyna się powoli

we mnie poruszać. Bierze mnie, kusi,

provokuje

do

podjęcia

jego

wyzwania.

Przygaszony płomień wznieca się na nowo, a

ciepła lawa w moim wnętrzu rozpala pożar

doznań, który przed chwilą musiałam porzucić.

Wchłaniam ustami jego jęk, a on wbija się

coraz głębiej, wyzwalaając drobne iskierki

przyjemności, które rozbudzają każdy mój

nerw.

Przygryza moją dolną wargę, po czym

przerywa

pocałunek

i

zaczyna

powoli

przyspieszać. Opuszcza czoło na moje ramię i

wbija się we mnie z pełną pasją desperacją.

Moje ciało zaczyna drżeć od jego zacieklej

inwazji w moje wnętrze, ale on nadal
utrzymuje to mordercze tempo i doprowadza
mnie coraz wyżej i wyżej. Pokój wypełnia się
moimi cichymi jękami, jego nieartykułowanymi
pomrukami i odgłosami uderzeń skóry o skórę.

Skubie zębami mój obojczyk i to doznanie
przechyla szalę. Ogarnia mnie amok rozkoszy,
moje ciało zaczyna się na nim napinać, a ja
całkowicie się mu poddaję i spadam w
odurzającą mgłę.

Przez niego zapominam o wszystkim. Nie liczy
się nic, poza jego zapachem, odgłosami,
smakiem i dotykiem. Fale doznań rozbijają się
o moje ciało zjednoczone z jego ciałem, a on
powtarza moje imię.

— Patrzenie na twój orgazm jest takie
odurzające — szepcze, a jego zarost drapie
mnie po szyi. Przerywa na chwilę ruchy, po
czym zaczyna bardzo powoli wchodzić i
wychodzić, przeciągając ostatnie skurcze
przetaczającego się przeze mnie orgazmu.

Moja cipka zaciska się wokół jego członka, a ja
znaczę paznokciami jego ramiona, poddając
się kolejnym falom przyjemności.

— Kurwa, Ry, to takie rozkoszne! — jęczy,
wykonując gwałtowne ruchy biodrami, gdy mój
orgazm spycha go powoli z krawędzi. Siada z
powrotem na piętach, podciąga do góry moje
biodra i zaczyna uderzać mnie szaleńczo,
ścigając własny orgazm.

— No dalej, kochanie — dyszę i próbuję
odpowiadać mu synchronicznymi uderzeniami,
poddając się całkowicie jego potrzebom.

Gdy dociera do szczytu, jego gardłowy jęk
wypełnia cały pokój. Całe jego ciało się napina
i zaczyna drżeć. Po chwili, nie przerywając
naszego zwierzęcego zespolenia, przewraca
się na plecy, kładąc mnie na sobie. Mam
policzek na jego piersi i słucham łomotania
jego serca.

Zastygamy tak na chwilę, kreśląc leniwe linie
na
swoich
ciałach.

Powoli
odzyskujemy
oddech, a nasze serca się uspokajają. Panuje
komfortowa cisza, bez demonów czających się

w cieniach. Owszem, jakaś część jego duszy na zawsze już będzie uszkodzona, ale po raz pierwszy ma kogoś, z kim mógł się tym podzielić. Kogoś, kto pomoże mu dźwigać ten ciężar i ułatwi wyjście na prostą.

Wzdycham na tę myśl i czuję się absolutnie zadowolona. Colton całuje mnie w czubek głowy.

— Kocham cię — szepczę, wciąż przytłoczona tym, jak wiele się dzisiaj wydarzyło, a on wodzi palcami po moich plecach. Zamykam oczy i rozkoszuję się naszymi zespolonymi ciałami i prostotą jego dotyku. Nagle daje o sobie znać moja nadpobudliwość, bo uświadamiam sobie, co jego palce piszą na moich plecach.

Podpieram głowę na rękach leżących na jego mostku i patrzę na niego.

— Co? — pyta niewinnie, chociaż jeden kącik jego ust jest uniesiony, a oczy błyszczą szelmostwem, które w nim kocham i którego od niego oczekuję. Zamiast odpowiedzieć unoszę tylko brwi. Czuję wibracje jego chichotu, które przenoszą się z jego klatki piersiowej na mnie.

— Alfabet, As? — Unoszę znowu brew i próbuję powstrzymać się od uśmiechu, lecz ponoszę klęskę.

— Tak. Teraz postrzegam go w zupełnie innym świetle — stwierdza, porzucając pisanie na moich plecach i przenosząc się niżej.

Uprzedza mój śmiech, chwytając mnie za pośladki. Pożądanie, które zawsze tli się we mnie, gdy jestem obok niego, zaczyna powoli rozpalać się na nowo. Czuję, jak Colton powiększa się we mnie, a ja znowu robię się wilgotna pod wpływem tak ścisłego zespolenia naszych ciał.

— A jaka jest twoja ulubiona litera?

Colton wybucha śmiechem, a wibracje z jego klatki piersiowej przenoszą się aż na członka, który jest w pełni pobudzony i schowany w moim wnętrzu.

— Och, kochanie, mam słabość do „V”, które tworzą twoje uniesione nogi, gdy się w ciebie wbijam.

Śmieszy mnie jego beznadziejna odpowiedź, ale nie mam okazji się zaśmiać, bo on w tym samym

momencie

zadaje

mi

pchnięcie

biodrami. Wstrząs rozchodzi się po całym ciele, czuję ocieranie jego skóry o moje sutki i z mojego gardła wyrywa się jęk rozkoszy.

Zamykam oczy i rozluźniam ciało, wchłaniając wzmocnione poprzednim orgazmem doznania wywoływane przez jego ruchy.

— Dobry Boże! — wzdycham, gdy wyrywa mnie z katatonicznego stanu po szczytowaniu i od nowa roztacza nade mną swój czar.

Rozdział 40.

Colton

Ciepło słońca jest równie przyjemne jak smak lodowatego piwa i widok pochylającej się przede mną Rylee. *Kurwa* — besztam się milcząco za to, że myślę o rzeczach, o których nie powinienem myśleć przy chłopcach.

Czy to się kiedykolwiek skończy? To, że chcę, by była w pobliżu? Że chcę patrzeć, jak śpi, i budzić się obok niej? Że chcę znowu w niej być? Minęły dopiero trzy godziny od chwili, gdy opuściliśmy łóżko, a ja mam straszliwą

ochotę zaciągnąć ją znowu na górę.

— Leżeć!

Oto kubek zimnej wody splukujący moje gorące
wizje.

— Co tam, Becks?

— Uważaj, bo zrobi ci się namiocik, jeśli nie przestaniesz na nią patrzeć takim wzrokiem,
jakbyś chciał ją przegiąć przez tę sofę i
zerznąć do nieprzytomności — stwierdza i
bierze łyk piwa.

Cóż, zawsze to jakaś myśl.

Wydaję z siebie jęk.

— Dzięki za wizualizację, stary, bo to

naprawdę

mi

teraz

nie

pomaga

—

odpowiadam,

przewracając

oczami

i

potrząsając głową, a zaraz potem rozglądam

się za chłopcami, bo wolałbym, żeby nie

usłyszeli naszej rozmowy o tym, jak z chęcią
zdeprawowałbym ich nieziemsko seksowną
wychowawczynię. Mój Boże, ona jest jak
chodzący mokry sen. Zmieniam znowu pozycję
na krześle i obserwuję, jak kuca, poprawia
górną stroju i zaczyna smarować Zandera
kremem do opalania.

Potrząsam głową, myśląc o tym, jak wcześniej
zastanawiała się, który strój wybrać na
przyjęcie basenowe z chłopcami. Nawet ten
czerwony, w którym jej zdaniem wygląda jak
matrona, uwydatnia wszystkie pieprzone linie
jej ciała, a ja mam nieodpartą chęć na jazdę
testową po wszystkich jej krągłościach.

Uwaga na niebezpieczne zakręty i wzgórki?

No kurwa. *Dawać mi je*. Uwielbiam ryzyko i związany z nim dreszcz. Niech mnie szlag,
jeśli nie myślę teraz wyłącznie o tym.

O jeździe bez trzymanki.

— Sądząc po twoim ckliwym wyrazie twarzy,
między wami wszystko w porządku? — pyta
Becks, wyrywając mnie z nieczystych wizji i
siadając obok.

— Raczej tak. — Otwieram kolejną butelkę i
pociągam łyk.

— Tylko proszę, nie mów mi, że się teraz

udomowisz i w ogóle.

— Udomowię? Jasne, że nie — śmieję się. —

Chociaż ta kobieta wygląda seksownie jak

diabli, gdy idzie przede mną w szpilkach i

popycha supermarketowy wózek. — Właśnie

to sobie wyobrażam. Mam niewyobrażalną

ochotę ją zerznąć.

—

Ty,

Coltonie

Donavanie,

byłeś

w

supermarkecie? — wykrztusza.

— Jasne. — Unoszę brwi i śmieję się ze

zszokowanego wyrazu jego twarzy.

— I to nie wyłącznie po kondomy?

Nie mogę się powstrzymać. Uwielbiam go

drażnić. To po prostu zbyt łatwe.

— Nie, kondomy są niepotrzebne, gdy masz

kartę stałego klienta w klubie jeżdżących na

oklep.

— Jezu Chryste, stary, czy ty chcesz, żebym

udławił się piwem? — mówi, wycierając z

brody piwo, którym parsknął.

— Mam coś lepszego, co może prowadzić do

zakrztuszenia — mruczę i znowu patrzę na

pochylającą się Rylee, która nieustannie

przyprawia mnie o wzwód. Tak bardzo

skupiam się na jej widoku i moich zdrożnych,

lecz jakże rozkosznych wizjach tego, co zrobię

z nią później, że nie rejestruję, co mówi Becks.

— Hę? — pytam.

—

Stary,

jesteś

opętany

przez

cipkę,

skurczybyku, przyznaj się.

Zerkam na niego z zamiarem obrony swojej

męskości, lecz uświadamiam sobie, że właśnie

tam ją widzę, w pieprzonych dłoniach Rylee,

która idealnie łączy w sobie słodycz i ostrość.

Dlatego śmieję się w głos i potrząsam głową,

po czym biorę łyk piwa i wzruszam ramionami.

— Jeśli w grę wchodzi jej cipka, zgadzam się z

tobą w stu procentach.

Becks krztusi się znowu, lecz tym razem ze śmiechu. Klepię go w plecy, a Ry odwraca się do nas, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

— Mój Boże! To musi być najlepsza magiczna cipka na świecie, skoro usidliła pieprzonego Coltona Donavana.

— *Usidliła?* Nigdy! — Chichoczę, potrząsając głową, po czym odchylam się na leżaku i zerkam na Becksa. — Po prostu pewien bałwan... ehm, przyjaciel... uświadomił mi, jak bardzo lubię pierdolony alfabet.

— W takim razie ten *przyjaciel* zasługuje na kontener piwa w podzięce — stwierdza, wzruszając ramionami. — Albo na załatwienie mu wyśmienitej dupy w ramach rewanzu.

Parskam

śmiechem,

wdzięczny

za

jego

sarkazm, bo dzięki temu nie musimy gadać o głębi uczuć i podobnych bzdurach, o których niezbyt komfortowo mi się opowiada. Dopiero co nauczyłem się o tym mówić przy Ry, ale na

pewno nie będę tak sielsko-sentymentalny z

Becksem.

— *Ona ma niezłą przyjaciółkę* — stwierdzam, unosząc brew. Becks prychnął w odpowiedzi na powtórzenie kwestii, którą powiedziałem, gdy przekonywałem go, żebyśmy wzięli Ry na wycieczkę do Vegas.

— Z całą pewnością — mruczy.

Chcę coś odpowiedzieć, ale Aiden wskakuje na bombę do basenu i opryskuje nas wodą.

Zaczynamy się śmiać, mamy ochlapane okulary i wylatuje mi z głowy to, co chciałem powiedzieć.

— Hej — mówi Becks, więc odwracam się w jego stronę. — Wciskam ci gówna, bo tacy już jesteśmy... ale cieszę się twoim szczęściem, Wood. Nie spierdol tego.

Uśmiecham się. *Skurwiel.*

— Dzięki za zaufanie, stary.

— Do usług, ziom. Do usług. — Siedzimy przez chwilę w milczeniu, obserwując chłopców, którzy zachowują się tak jak powinni, czyli jak dzieci. — To jesteś gotowy?

Głos Becksa wyrywa mnie z zamyślenia i naprowadza na to, na czym powinienem się

skupić: na wyścigu w przyszłym tygodniu.

Pierwszy raz w samochodzie od wypadku. Gaz do podłogi i w lewo. Sama myśl o tym sprawia, że skacze mi ciśnienie.

Ale mam to pod kontrolą.

— No co ty, gotowość mam we krwi —

odpowiadam, stukając szyjką w jego butelkę.

— Flaga z szachownicą na mnie czeka.

— Jasne, że tak — stwierdza i zerka na

telefon, bo właśnie dostał SMS, a ja wracam

wzrokiem do Rylee i myślę o majtkach w

szachownicę, których ostatecznie jeszcze nie

zdobyłem. Muszę coś z tym zrobić, bez dwóch

zdań.

Potrząsam głową i zatapiam się bardziej w

leżaku. Obserwuję, jak chłopcy wskakują do

basenu i bawią się w bitwę morską. Siedzę i

czekam na to, co zawsze, ale nic się nie dzieje.

Nie czuję tego pieprzonego ukłucia zazdrości,

które kiedyś pojawiała się za każdym razem,

gdy widziałem chłopców w tym wieku,

wygłupiających się beztrosko tak, jak ja nigdy

nie miałem okazji. Bo nawet po tym, jak

zostałem adoptowany, ten strach ciągle był we

mnie, przenikliwy jak diabli.

Rylee łapie moje spojrzenie z drugiego końca tarasu i na jej ustach wykwita ten seksowny grzeszny uśmiech. Niech mnie kule biją! Moje jaja się napinają i czuję ucisk w klatce piersiowej na myśl, że to ja spowodowałem ten uśmiech. Ta kobieta jest moim pieprzonym kryptonitem.

Jakiej innej kobiecie pozwoliłbym zaprosić siedmiu chłopców do mojego domu na basenowe przyjęcie z okazji rozpoczęcia lata?

Jakiej innej kobiecie mógłbym zwierzyć się ze swoich demonów, a ona zamiast uciec w podskokach spojrzałaby

mi

w

oczy

i

powiedziała, że jestem odważny? Jaka inna kobieta napiętnowałaby swoją skórę, żeby udowodnić mi, że wchodzi w to całym sercem?

Pieprzone flagi w szachownicę, alfabety i prześcieradła. Jak to się stało, że się z tym wszystkim pogodziłem?

Potrząsam głową, udając, że mnie to nie obchodzi, ale nie potrafię oderwać od niej wzroku dłużej niż na sekundę i znowu trafiam na jej spojrzenie.

Biorę nowe piwo, które podaje mi Becks, i pociągam łyk. Zerkam na niego, a on potrząsa głową ze śmiechem.

— *Co?*

— Ty się zdecydowanie z nią ożenisz.

Teraz ja krztuszę się piwem. Zginam się w pół z kaszlu, a Becks klepie mnie trochę zbyt mocno w plecy.

— Nic mu nie jest! — słyszę jego głos, próbując opanować kaszel pomieszany z cisnącym mi się na usta śmiechem. — Nic mu nie jest — powtarza rozbawionym głosem.

— Odwal się, Becks! — udaje mi się w końcu wykrztusić. — Nie ma szans! *Zero obrączek, zero bolączek* — powtarzam ze śmiechem nasze stare motto. A potem odszukuję wzrokiem Ry. Jest na drugim końcu tarasu, siedzi na krawędzi basenu z dietetyczną colą w dłoni i sędziuje w grze w marco polo[1]. Ricky ku swojemu niezadowoleniu zostaje

złapany, a Rylee odrzuca głowę i śmieje się z czegoś, co Scooter do niego powiedział.

Jest w niej teraz coś niezwykłego: włosy rozświetlone promieniami słońca, beztrocki śmiech, ewidentna miłość dla wszystkich swoich podopiecznych. W każdym razie coś związanego z jej podejściem do chłopców i tworzeniem im normalnego życia w miejscu, które jeszcze niedawno — zanim się pojawiła — nie było tak naprawdę domem, uderza mnie mocniej niż pieprzony żółtodziób Jameson na Florydzie. A ja zaczynam myśleć o wspólnej przyszłości i innych bzdurach, których jeszcze sześć miesięcy temu w ogóle nie brałem pod uwagę.

To na pewno przez Becksa, który miesza mi w głowie.

Wprowadza zamęt.

Skurczybyk

powinien się zamknąć i nie gadać rzeczy, które nigdy nie będą mieć miejsca.

Nigdy.

Dlaczego więc, do cholery, zastanawiam się, jak Ry wyglądałaby w bieli? Dlaczego

zastanawiam

się,

jak

zabrzmiałyby

wypowiedziane na głos słowa *Rylee Donovan*?

Nigdy. Próbuję wyrzucić te wizje z głowy, ale

one nie chcą odejść i nadal mnie straszą.

— *Nie ma żadnych szans* — powtarzam ze

śmiechem, ale nie wiem, kogo tak naprawdę

próbuję przekonać: Becksa czy siebie?

Zerkam ukradkiem na Rylee. To byłby

konkretny falstart, bo przecież ta dyscyplina

jest dla mnie zupełnie obca. Pieprzony

Beckett. — Usidlanie to jedno, dupku, ale

obrączkowanie? — Gwiżdżę. — Tym rodzajem

zabawy w wiązanie w ogóle nie jestem

zainteresowany. — Potrząsam głową, widząc

jego irytująco szeroki uśmiech, i wstaję z

leżaka. — Nigdy.

— Zobaczymy — odpowiada z uśmiechem,

który bardzo chętnie starłbym mu z twarzy.

— Stary, czujesz to? — pytam, wyciągając ręce

na boki i odchylając twarz w stronę słońca, po

czym spoglądam na niego.

— He?

— To jest ciepło, Daniels. Piekło nie może zamarznąć, jeśli na zewnątrz jest tak gorąco

— rzucam przez ramię i podchodzę do krawędzi basenu. Koniec dyskusji. Żadnego więcej gadania o małżeństwie i tym podobnych bzdurach.

Czy on chce, żebym zszedł na atak serca?

Kurwa.

— Bombaaaa! — wrzeszczę i skaczę do basenu z nadzieją, że spowoduję większy chaos, niż Becks próbuje wywołać w mojej głowie.

[1] Marco polo — gra podobna do polskiej ciuciubabki, rozgrywana w basenie. Jedna osoba zamyka oczy i krzyczy „Marco”, pozostali muszą odpowiedzieć „Polo” i osoba z zamkniętymi oczami próbuje złapać kogoś, kierując się słuchem — *przyp. tłum.*

Rozdział 41.

Gdy wychodzę przed Coltonem z przyczepy, *déjà vu* uderza mnie z siłą pędzącego pociągu.

Z nieba nad Fort Worth leje się wilgotny żar, ale strużka potu spływająca mi po plecach nie ma nic wspólnego z pogodą, bo wynika

wyłącznie z niepokoju dręczącego każdą komórkę mojego ciała.

Niepokoju związanego z Coltonem.

I z samochodem, do którego idziemy.

Wiem, że jest zdenerwowany, bo ściska mocno moją rękę, ale z zewnątrz wygląda jak człowiek w stu procentach przygotowany do swojego zadania. Otaczający nas ludzie bez przerwy o czymś do siebie mówią, lecz ja, Colton i Becks wchodzimy na tor w absolutnym skupieniu, jak jedno ciało.

Próbuję odepchnąć bombardujące mój umysł wspomnienia, bo chcę wyglądać na spokojną, chociaż w środku wszystko mi się trzęsie z przerażenia.

— W porządku? — jego zatroskany głos przywraca mnie do porządku. Mam poczucie winy, bo to ja powinnam go pocieszać, a nie on mnie.

Nie potrafię go okłamywać. Zorientowałby się, a to sprawiłoby, że zacząłby się jeszcze bardziej martwić. A myślenie o mnie jest ostatnią rzeczą, jakiej teraz od niego oczekuję.

Gdy

wsiądzie

do

samochodu,

powinien być skupiony i pewny siebie od zielonej flagi na rozpoczęcie wyścigu aż do flagi w szachownicę na mecie.

— Powoli się uspokajam — mówię cicho i ściskam jego dłoń. Docieramy do punktów serwisowych i tłumu fotografów pragnących udokumentować pierwszy wyścig Coltona po wypadku. Klikanie migawek i wykrzykiwane pytania zagłuszają jego odpowiedź. Coraz bardziej zzerają mnie nerwy, ale Colton chyba się trochę rozluźnił, bo najwyraźniej czuje się w tym otoczeniu jak ryba w wodzie.

Uświadamiam sobie, że chociaż dla mnie to wszystko jest niepokojące i obce, dla niego stanowi to część rozmycia, w którym kiedyś żył. Otoczony krzykami i błyskami fleszy, jest w stu procentach w swoim żywiole. Ten kompletny chaos pozwala mu zapomnieć o dręczących go obawach, co mnie bardzo cieszy.

Staję nieco z boku i obserwuję, jak odpowiada na pytania, błyskając swoim rozbijającym uśmiechem, któremu nie potrafię się oprzeć. Z jednej strony w każdej odpowiedzi emanuje urokiem aroganckiego złego chłopca, ale z drugiej strony widzę w nim mężczyznę, który uwielbia ten sport i rolę, jaką w nim odgrywa. Mężczyznę, który krok po kroku, wraz z każdą udzieloną odpowiedzią, odzyskuje pewność siebie, którą zgubił na torze w Saint Petersburgu.

I chociaż przechodzi mnie dreszcz

przerażenia, gdy słyszę tradycyjny okrzyk:

„*Panowie, zapalamy silniki*”, to głęboko w środku czuję ulgę, że Colton tu wrócił. Mój dzielny, zbuntowany łobuz odzyskał grunt pod nogami i dumnie wraca na swoje miejsce.

Zapada cisza. Nieustanny hałas wraz z upływem kolejnych minut dzielących nas od rozpoczęcia wyścigu powoli zamienia się w

ciche mruczenie. Wyczuwam rosnące zaniepokojenie Coltona, który nie może usiedzieć na miejscu. Chciałabym mu jakoś ulżyć, ale boję się, że wyczuje moje obawy, a to tylko pogorszyłoby sprawę.

Widzę, jak wyrzuca papierek po snickersie do kosza i krąży po punkcie serwisowym, ustalając coś z Becksem i kilkoma innymi członkami zespołu. Jego twarz emanuje intensywnością, lecz mowę ciała ma płynną. Odchodzi od samochodu i przygląda mu się przez chwilę z przechyloną głową, co wygląda jak milcząca rozmowa między człowiekiem i maszyną. Podchodzi do niego powoli, a mechanicy dokonujący ostatnich regulacji przerywają pracę i odchodzą na bok. Kładzie dłoń na przednim skrzydle i przesuwa ją aż do kokpitu, tak jakby pieścił samochód. Potem stuka kostkami w bok, jak zwykle cztery razy. Za czwartym razem zatrzymuje pięść i przez sekundę opiera ją o metal, po czym potrząsa głową.

Mimo otaczającego mnie chaosu ostatnich przygotowań nie potrafię oderwać od niego

wzroku. Uświadamiam sobie, jak bardzo się myliłam, gdy siedząc przy szpitalnym łóżku, łudziłam się, że z tego zrezygnuje. Proszenie go, by porzucił wyścigi, byłoby jak próba zmuszenia go, by oddychał bez powietrza.

Albo by kochał osobę, której nie kocha. Widzę to teraz jak na dłoni, że on ma wyścigi we krwi

i

że

wyścigi

są

dla

niego

absolutną

koniecznością.

Zastanawiam się, na ile ten wyścig będzie inny,

skoro Colton nie czuje depczących mu po

piętach demonów, które zmuszałyby go do

przyspieszenia i większego ryzykowania. Czy

bez zagrożenia, które prześladowało go przez

całe życie, będzie mu łatwiej czy trudniej?

Megafony budzą się do życia, wytrącając mnie

z zamyślenia i przerywając Coltonowi jego

chwilę refleksji. Odwraca się przez ramię i od

razu napotyka moje oczy. Na jego ustach

pojawia

się

nieśmiały

uśmiech,

który

potwierdza, że łączy nas tak głęboka więź, iż

nie potrzebujemy słów. To uczucie jest

bezcenne.

Ludzie biegają wokół nas, a on, nie odrywając

ode mnie wzroku, stuka jeszcze dwa razy w

maskę, po czym odwraca się od samochodu i

rusza w moją stronę.

— Tworzysz nową tradycję? — pytam z

uniesioną brwią, szerokim uśmiechem i

sercem nabrzmałym z miłości. — Dwa

dodatkowe stuknięcia, żeby mieć więcej

szczęścia, czy co?

— Nie. — Uśmiecha się i pociera nos w uroczy

sposób, co zupełnie nie licuje z mocnymi

rysami jego twarzy i kradnie mi serce. — Moje

największe szczęście stoi przede mną —

oznajmia i ofiaruje mi najczulszy pocałunek, a

potem przez chwilę zastyga z ustami na moich

ustach.

Czuję we wnętrzu emocjonalną burzę. Albo
raczej wojnę. Próbuję się przekonać, że jego
nagła uczuciowość nie wynika z tego, że stanie
się coś strasznego i los chce mi dać ostatnie piękne
wspomnienie

z

nim.

Próbuję
desperacko zwalczyć zagrażające łązy i cieszyć
się chwilą, ale wiem, że on wie. Wyczuwa mój
niepokój, bo ujmuje moją twarz w dłonie,
odchyła się i spogląda mi prosto w oczy.

— Wszystko będzie dobrze, Ry. Nic mi się nie
stanie. — Zmuszam się do wychwycenia
absolutnej pewności w jego głosie, żeby choć
trochę się rozluźnić i być dla niego silną.

Potakuję nieznacznie.

— Wiem...

— Kotku, w niebie na razie mnie nie chcą, a w
piekle by ze mną nie wytrzymali, więc
poniekąd utknęłaś tu ze mną. — Błyska
krótkim uśmiechem, w którym jest wszystko,
czego nigdy nie uważałam za seksowne, a co

teraz

wywołuje

we

mnie

pożądanie:

nieprzewidywalność,

żądza

przygód,

arogancja.

— Utknęłam z tobą, co?

Nachyla się do mojego ucha.

— Miałem na myśli raczej „utknąłem w *tobie*”

— szepcze, a jego gorący oddech wysyła

strumień ciarek w dół mojego kręgosłupa. —

Dlatego proszę, naprawdę *proszę*, powiedz, że

masz na sobie majtki w szachownicę, które

będę mógł potem zdobyć, bo jedyne, o czym

teraz myślę, to przerzucić cię przez ramię i

zrobić sobie jazdę testową.

Każda część mojego ciała zaciska się po tych

słowach. Może to wpływ adrenaliny lub

nadmiernych

emocji

wracających

w

tej

bezczennej chwili, która została nam brutalnie zabrana miesiąc temu, ale ja też myślę tylko o tym, że chciałabym, żeby to ze mną zrobił.

— Uwielbiam, gdy mężczyzna mnie o coś błaga

— przekomarzam się z nim, bawiąc się

opadającym mu na kark kosmykiem.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, o co jestem

gotów błagać, jeśli chodzi o ciebie, kochanie.

— Rozbraja mnie tym swoim łobuzerskim

uśmiechem, a po jego słowach oddech więźnie

mi w gardle. — Poza tym moje błaganie

prowadzi do twojego jęczenia, a to jest

najbardziej podniecający odgłos na świecie.

Wydaję z siebie cichy jęk frustracji, bo

rozpaczliwie go pragnę, lecz nie mogę go

mieć... i wiem, że właśnie dlatego pożądanie

jest tak intensywne. Zaczynam coś mówić, ale

przerywają mi pierwsze dźwięki hymnu.

Colton przyciska dłonie do moich policzków i

patrzy mi w oczy jeszcze przez chwilę, po

czym całuje mnie w usta i w nos. Dopiero

wtedy odwraca się w stronę flagi, ściąga swoją

szczęśliwą czapkę i kładzie dłoń na sercu.

Gdy hymn dobiega końca i rozbrzmiewają
ostatnie dźwięki, biorę głęboki wdech, żeby
przygotować się na najbliższe chwile. Muszę
być silna i nie okazywać strachu, który wciąż
jest we mnie, niezależnie od poziomu pewności
siebie Coltona. Nagle spada na nas chaos
wiewającego tłumy.

Colton jest już ubrany, owinięty i zapięty. Ma rękawice na dłoniach. Silniki zaczynają wyć, a
ich łoskot wibruje w mojej piersi. Colton jest w
swoim żywiole, słucha Becksa i skupia się na
tym, co ma teraz zrobić.

Przesąd każe mi zadbać o to, żeby ten wyścig
był inny. Davis nie może mnie odprowadzić.

Muszę zmienić cokolwiek, żeby nie mieć
wrażenia powtórki z historii. Nagle słyszę jego
głos.

Głos,

który

rozwała

całą

moją

determinację odłamkami nostalgii.

— *Rylee?*

Natychmiast na niego spoglądam. Oddech
więźnie mi w gardle pod wpływem jego głosu i
słodko-gorzkich wspomnień. Patrzymy sobie w
oczy, gdy podchodzi do mnie, ignorując wrzask
Becketta o absolutnym braku czasu.

Rozchyłam usta i marszcząc brwi, pytam:

— Hę?

Wyciąga dłoń nad niskim ogrodzeniem, które
nas dzieli, i przyciąga moje ciało do swojego
tak, że nasze serca uderzają obok siebie.

— Naprawdę myślałaś, że tym razem pozwolę
ci odejść, nie mówiąc ci tych słów?

Uśmiech na mojej twarzy przypuszczalnie
sięga do uszu, bo bolą mnie policzki. Moje
oczy robią się wilgotne i tym razem nie są to łzy strachu.

Lecz łzy miłości.

Bezwarunkowego

uwielbienia

dla

tego

trzymającego mnie mocno mężczyzny.

— Kocham cię, Ryles — mówi cicho tym swoim

lekko ochrypłym głosem, lecz ja i tak wyraźnie

go słyszę, mimo całego tego hałasu wokół nas,

tych ryczących silników, wrzawy na trybunach
i trzasków w megafonach.

Te słowa owijają się wokół mojego serca,
wplatają się w nie i wiążą mnie z Coltonem.

Odpowiadam

drżącym

westchnieniem

i

uśmiecham się do niego.

— Ja ciebie też, As.

Uśmiecha się i muska moje usta pocałunkiem,
od którego przechodzą mnie ciarki.

— Czas na flagę z szachownicą, mała.

— Czas na flagę z szachownicą — powtarzam.

— Do zobaczenia na podium — mówi i puszcza
mi oczko, po czym odwraca się i odchodzi do
swoich ludzi, którzy czekają bez ruchu na
swojego kierowcę.

Patrzę zahipnotyzowana miłością i strachem,
jak pomagają mu założyć kask, a potem dają
się

odprowadzić

Davisowi

do

punktu

obserwacyjnego. Zakładam słuchawki i patrzę

przez

okno,

jak

zapinają

na

Coltonie

urządzenie HANS, dociągają paski i zakładają

kierownicę.

— Test radia, Wood — rozbrzmiewa w moich

uszach

bezcieleśny

głos

obserwatora,

sprawiając, że się wzdrygam. — Raz, dwa.

Raz, dwa.

Przez chwilę w radiu jest cicho i spoglądam w

dół, tak jakbym liczyła na to, że zobaczę go

mimo kasku i zasłaniających go ludzi.

Obserwator próbuje ponownie.

— Raz, dwa, raz, dwa.

— Test radia, A, B, C — słyhać w słuchawkach

wyraźny głos Coltona.

— Wood? — w głosie obserwatora słysząc

niepewność. — Wszystko w porządku?

— Nigdy nie było lepiej — śmieje się Colton. —

To takie podziękowanie dla całego alfabetu.

Zżerające mnie nerwy znikają bez śladu.

— *Alfabetu?*

— Tak. Od A do pierdolonego Z.

Quinlan ściska mnie za rękę, a ja zerkam na

licznik na górze ekranu, pokazujący, ile

okrążeń zostało do końca.

Dziesięć.

Dziesięć okrążeń wypełnionych całą gamą

emocji

—

zdeenerwowaniem,

ekscytacją,

wariowaniem, nadzieją, miłością — tak jak

poprzednie

dwieście

trzydzieści

osiem

okrążeń. Robiłam już wszystko: stałam,

siedziałam, chodziłam w kółko, krzyczałam,

modliłam się i musiałam przypominać sobie o oddychaniu.

— Uda mu się — szepcze za mną Quinlan, ściskając moją rękę nieco mocniej. Zgadzam się z nią, bo myślę, że Colton będzie miał wielki comeback i wygra ten wyścig, ale nie mówię tego na głos, bo boję się zapeszyć.

Patrzę w dół na Becksa, który ukradkiem omawia coś z innym członkiem zespołu.

Niemal dotykają się głowami, pisząc coś na kartce. Nie znam się zbyt dobrze na wyścigach, ale z tego, co wiem, martwią się, iż w kalkulacjach zużycia paliwa zostawili tak mały margines, że

na

ostatnim

okrążeniu

Colton

będzie

dosłownie jechał na oparach.

Liczby na wyświetlaczu zmieniają się na coraz niższe. Gdy widzę piątkę, przyspiesza mi puls, a serce wzbiera nadzieją.

— Masz Masona, który zbliża się ostro i szybko od góry — mówi obserwator, a jego

stoicki

zazwyczaj

głos

jest

zabarwiony

niepokojem.

— Zrozumiałem — odpowiada Colton, w pełni skupiony na jeździe.

— Dobiera się! — wykrzykuje obserwator.

Zerkam na monitor, żeby obejrzeć zbliżenie tego, co widać przez okno. Całe moje ciało napina się niecierpliwie, gdy pędzą w stronę trzeciego zakrętu. Dwie metalowe puszki rozpędzone do nieludzkich prędkości. Wszyscy wychylają się z siedzeń, żeby to lepiej zobaczyć. Zaciskam dłonie w pięści i staję na palcach, jakbym dzięki temu mogła zobaczyć więcej, a w myślach modlę się, żeby Coltonowi udało się utrzymać prowadzenie.

Słyszę krzyk tłumu w tej samej chwili, gdy wracam wzrokiem na monitor i widzę, jak tylne opony wchodzą w kontakt. Mason za mocno koryguje tor jazdy i ociera się o ścianę po prawej, a samochód Coltona gwałtownie

odbija w stronę wewnętrznej części toru.

Wszyscy

w

punkcie

obserwacyjnym

natychmiast wstają. Chociaż to inny tor, ten sam dźwięk sieje spustoszenie w naszych nerwach. Zasłaniam dłonią usta i wychylam się przez otwarte okna punktu, żeby lepiej widzieć tor.

— Colton! — krzyczy Beckett. Wstrzymuję oddech, bo czerwony samochód sunie na wewnętrzną część toru, jakby Colton nad nim nie panował. Zawsze odpowiada od razu, lecz teraz w radiu panuje absolutna cisza. Jakaś część mnie umiera w tym momencie. Wiem z całą pewnością, że za każdym razem, gdy zobaczę dym lub żółtą flagę, poczuję to ukłucie niepokoju i przypomni mi się burza emocji, której doświadczyłam po wypadku Coltona. Widzę, jak Beckett ciągnie za daszek czapki ze wzrokiem wbitym w tor. Jestem coraz bardziej zdenerwowana, chociaż wciąż czuję to nasionko pewności zasianej we mnie przez

Coltona, które jest gotowe do zakiełkowania.

Nie wyobrażam sobie, co musi się dziać w jego głowie, ale wiem, że mimo nawału emocji i wspomnień na pewno się nie podda. Samochód nawet odrobinę nie zwolnił.

Colton wciąż milczy.

— No dalej, synu — mruczy do siebie stojący niedaleko mnie Andy. Zaciska dłonie do białości na krawędzi stołu przed sobą.

Mija zaledwie kilka sekund, ale mnie się wydaje, jakby to była cała wieczność. Patrząc na niekontrolowany ślizg samochodu Coltona w stronę trawy wewnątrz toru, prosto na barierkę. Tuż przed nią odzyskuje panowanie i koryguje tor jazdy.

Wszyscy w punkcie obserwacyjnym wydają westchnienie

ulgi,

a

samochód

z

charakterystycznym

czerwono-niebieskim

skrzydłem wraca z wewnętrznej części z

powrotem na tor. Pod kontrolą kierowcy. I

wciąż na prowadzeniu. Wtedy w słuchawkach

odzywa się głos Coltona:

— Ja pierdołę! — wyszczekuje i nawet przez

radio słysząc, że zalewają go emocje. Chwilę

później pod wpływem adrenaliny dodaje do

tego okrzyk: — Juhu!

— Sprowadź ją do domu, kotku! — krzyczy do

niego Becks, który chodzi tam i z powrotem.

Wydaje głośnie westchnienie ulgi i ściąga na

chwilę słuchawki i czapkę, żeby odzyskać

panowanie nad sobą, ale szybko zakłada to

wszystko z powrotem.

Cztery okrążenia do końca.

Odzyskuję zdolność oddychania. Splatam

znowu palce z nerwów, a nadzieja osiąga

nieznane

wcześniej

wyżyny.

No

dalej,

kochanie, dasz radę — powtarzam do niego w

myślach. Mam nadzieję, że wyczuwa energię,

jaką przekazuję mu wraz z tysiącami ludzi na

trybunach, którzy życzą mu zwycięstwa.

Trzy okrążenia do końca. Nie mogę już
wytrzymać. Moje ciało wibruje nie tylko od
ryku silników samochodów, które mijają nas
nieskończoną sekwencją. Odchodzę od blatu.

Quinlan posyła mi pytające spojrzenie, ale
wzruszam ramionami. Chcę być jak najbliżej
niego, więc idę do schodów i zbiegam w dół.

— Dwa do końca, kotku! — krzyczy Becks do
mikrofonu, gdy jestem na ostatnim stopniu.

Trzymam

się

blisko

ściany

punktu

serwisowego. Nie widzę stąd zbyt dobrze
toru, ale uśmiecham się, obserwując Becksa,
który patrzy w monitor, potrząsa głową i tak
go nosi, że nie potrafi ustać w miejscu.

Zerkam na tablicę wyników. Colton wciąż jest

na

prowadzeniu,

a

tymczasem

flagowy

przygotowuje

białą

flagę,

sygnalizującą

ostatnie okrążenie. Gdy zaczyna nią machać, serce podchodzi mi do gardła. Becks uderza pięścią w powietrze i ściska ramię stojącego obok niego członka zespołu.

Ktoś ociera się o moje ramię. Odwracam się i widzę obok siebie Andy'ego. Uśmiecha się ostrożnie, gotowy do wybuchu radości, gdy tylko w powietrzu pojawi się flaga z szachownicą. Spoglądam w stronę stanowiska flagowego, ale widok zasłania mi rząd ludzi w czerwonych ognioodpornych kombinezonach, którzy stanęli na murku alei serwisowej i czekają z niecierpliwością na finisz.

Wtedy to słyszę.

Rozdzierający wrzask tłumu i triumfujące krzyki członków zespołu, którzy skaczą, gwizdząc i wiwatując. Jestem tak przytłoczona emocjami, iż nie mam pojęcia, kto kogo przytula, ale wiem, że obok mnie stoi Andy i że

ściskamy się z niepohamowanej radości. Udało
mu się. Naprawdę mu się udało.

Następne pięć minut mija w atmosferze
uścisków

i
przybijania
piątek.

Wszyscy
ściągamy słuchawki i ruszamy wielką masą w
stronę pasa zwycięzcy. Colton podjeżdża z
wyjąłym silnikiem na swoje miejsce, bo
właśnie zakończył zwycięskie okrążenie.

Nie mam pojęcia, jaki jest protokół dla osób
spoza zespołu, ale wbijam się w tłum i walczę
o to, żeby zobaczyć Coltona. Nawet dzikie
konie nie byłyby w stanie mnie teraz od niego
odciągnąć.

Widok blokuje mi przez chwilę zespół
reporterów. Jestem zdenerwowana, serce bije
mi jak oszalałe, policzki bolą od śmiechu, a
moja dusza jest przepełniona miłością. Jedyne,
czego pragnę, to zepchnąć ich wszystkich z
drogi i dostać się do niego.

Gdy zmieniają pozycję, żeby uzyskać lepsze

zdjęcie,
dostrzegam
Coltona.
Przyjmuje
gratulacje
od
Becksa,
popija
gatorade,
przeczesuje dłonią wilgotne od potu włosy,
które sterczą na wszystkie strony w totalnym
nieładzie, i ma najpiękniejszy wyraz twarzy,
jaki potrafię sobie wyobrazić: wyczerpanie
połączone z ulgą i dumą.

Nagle jakby wyczuwa moje spojrzenie, bo
odwraca się i na jego twarzy pojawia się
największy i najbardziej ujmujący uśmiech.
Serce przestaje mi bić, gdy na niego patrzę.
Przysięgam, że od naszej wymiany spojrzeń w
powietrzu zaczęły przeskakiwać iskry. Bez
słowa zostawia Becketta i zaczyna przeciskać
się przez tłum, który rusza razem z nim.
Podchodzi do mnie, nawet na chwilę nie
odrywając ode mnie wzroku.

Bez chwili wahania obejmuje mnie i bierze w ramiona tak, że moje stopy odrywają się od ziemi. Odrzuca głowę i wybucha najbardziej beztruskim śmiechem, jaki słyssałam, po czym przywiera do moich ust. Wokół nas dzieje się tak wiele, to niemal kompletny chaos, ale nic nie równa się z tym, jakie uczucia we mnie teraz wywołał.

Całe otoczenie znika, bo jestem tam, gdzie powinnam być — w jego ramionach. Czuję ciepło jego ciała przyciśniętego do mnie i nie zwracam uwagi na poszturchujących nas reporterów, którzy chcą uzyskać jak najlepsze ujęcie. Wdycham jego zapach, w którym mydło i dezodorant mieszają się z zapachem spracowanego ciała, a moje feromony natychmiast zostają pobudzone i milcząco błagają, by mnie wziął, zdominował i posiadał, bo chcę być naznaczona tym zapachem. Czuję smak gatorade na jego ustach, ale to nawet w małym

stopniu

nie

zaspokaja

mojego

pożądania, bo w przypadku Coltona jeden

smak to zawsze za mało. Słyszę znowu jego

śmiech, gdy odrywa się od pocałunku i przez

chwilę opiera czoło na moim czole. Cała jego

pierś wibruje od dudniącego odgłosu euforii.

— Dales radę!

— Nie — zaprzecza, odchylając głowę i

spoglądając mi prosto w oczy. — My daliśmy

radę, Ry. Dokonaliśmy tego razem, bo bez

ciebie nie byłbym w stanie wygrać.

Serce przewraca mi się w piersi i rozbija o

żołądek, który poderwał się w górę, jakbym

spadała w otchłań. *I w pewnym sensie*

spadam. Bo moja miłość do niego jest

bezkresna, bezdena, wieczna.

Uśmiecham się do niego przez wzbierające mi

w oczach łzy i całuję go krótko w usta.

— Masz rację — szepczę. — Dokonaliśmy tego

razem.

Przyciska mnie do siebie mocno po raz ostatni,

po czym odstawia mnie na ziemię i znowu
błyska tym zabójczym uśmiechem. Powoli
odzyskuję świadomość otoczenia. Robię krok
wstecz, dopuszczając do niego wszystkich
innych ludzi, którzy pragną mu pogratulować,
a w głowie dudnią mi te trzy słowa:

dokonałiśmy tego razem.

Patrzę na niego, na mojego ukochanego

mężczyznę,

i

wiem,

że

te

słowa

to

najszczerza

prawda.

Naprawdę

tego

dokonałiśmy. Razem zmierzyliśmy się z

naszymi demonami.

Jego przeszłość, jego obawy, jego wstyd.

Moja przeszłość, moje obawy, mój żal.

Zerka na mnie w trakcie udzielanego wywiadu

i puszcza mi oczko z uśmiechem. Zalewa

mnie dumą, miłość i poczucie ulgi.

Jasny gwint.

Naprawdę tego dokonaliśmy.

Rozdział 42.

Siadam i patrzę, jak Zander pracuje z terapeutką. Serce mi rośnie, gdy widzę, jaki jest aktywny. Coraz więcej mówi i coraz lepiej się czuje. Pozwalam sobie na dumę, a w moich oczach wzbierają łzy.

Bo naprawdę mu się udaje.

Wychodzę z jego pokoju, w którym odbywa się sesja, i wracam do kuchni. Słyszę muzykę z pokoju

Shane'a

i

rozmowy

chłopców

bawiących się klockami lego na tarasie z tyłu

domu. Gdy wchodzę do kuchni, Dane akurat

wyciąga ostatnie sztuczki ze zmywarki. Siadam

na stołku i wzdycham ze zmęczenia.

— Zgadza się! — stwierdza Dane, zamykając szufladę, i siada obok mnie. — A więc? — pyta,

gdy nic nie odpowiadam. — Jak tam z naszym zrywającym majtki adonisem?

Przewracam oczami.

— Chciałbyś, żeby był zrywającym bokserki adonisem — pryham.

— Jak cholera, ale porzuciłem wszelką nadzieję, że przekonam go do przejścia na lepszą stronę. Tylko ślepy nie zauważyłby, jak na ciebie patrzy.

— Och, Dane — wzdygam i uśmiecham się na samą myśl o Coltonie i tym, jak świetnie nam się układa przez ostatnie kilka tygodni. Udało nam się znaleźć komfortowy rytm, chociaż w ogóle o tym nie rozmawialiśmy. Wszystko wyszło jakoś tak naturalnie. Jakby tak miało być. Żadnych dramatów, żadnego braku komunikacji i ukrywania sekretów. — Jest po prostu super. Nie mogłoby być lepiej.

Naprawdę w to wierzę. To już nie jest życie na szpilkach w oczekiwaniu na nieuchronną katastrofę.

Wręcz

przeciwnie.

Nie

spodziewam się żadnej, bo życie z Coltonem
nauczyło mnie, że nasza miłość nie jest
cierpliwa i nie jest łaskawa, ale jest wyjątkowa
i nasza.

— Czyli zamieszkanie razem nie okazało się
kompletną katastrofą?

— Nie — mówię z miękkością w głosie, bo
uświadamiam sobie, że jest wręcz przeciwnie.

— Właściwie to jest praktycznie idealnie.

— No weź, przecież on musi mieć w sobie coś
okropnego — podpuszcza mnie Dane.

— Nie, jest w każdym calu *idealny* —
odpowiadam, ciesząc się z możliwości użycia
słowa „idealny” w odniesieniu do Coltona i
mnie.

— Nie wierzę w to — stwierdza Dane,
uderzając pięścią w stół. — Na pewno dłubie
w nosie, chrapie jak niedźwiedź albo pierdzi
jak nosorożec.

— Nie! — zaprzeczam, wybuchając śmiechem.

Dane próbuje z całych sił zachować powagę,
ale ponosi klęskę.

— Z całą pewnością kłamiesz, Ry, bo żaden
facet nie jest idealny. — Wzrusza ramionami.

— To znaczy, oczywiście, poza mną.

— To znaczy, oczywiście — przyznaję ze śmiechem i potrząsam głową. — Hm, zastanówmy się... — mówię i zastanawiam się nad czymś, co go usatysfakcjonuje. — Odmówił mi, jak poprosiłam go ostatnio, żeby kupił mi tampony, gdy wracał z biura.

Wyraz twarzy Dane'a jest bezcenny. Szczęka na ziemi i oczy jak spodki.

— A to dupek! — wycedza przez zęby z udawaną odrazą, po czym potrząsa głową. — Kurde, właśnie poszybował o dwadzieścia punktów w górę na mojej skali. Kochanie, nie możesz prosić takiego alfa-adonisa, żeby kupował ci twoje dziewczyńskie zabawki. Równie dobrze mogłabyś go poprosić, żeby wręczył ci swoje jaja na tacy.

Woda, którą miałam w ustach, niemal wypływa mi nosem, gdy parskam śmiechem.

— Dane!

— No co, to prawda. — Wzrusza ramionami.

— W sumie powinienem sprawdzić, czy jego jaja są nadal przytwierdzone do ciała.

— Taa — pry cham. — Żądza cię zaślepia.

— Cóż — mówi przeciągle. — Tworzylibyśmy

piękną parę, no i nie ukrywam, że lubię jaja przytwierdzone do ludzi, z którymi się umawiam na randki.

Mój następny łyk wody nie ma tyle szczęścia co poprzedni. Parskam nim ze śmiechu, a zrobiona przeze mnie fontanna sprawia, że wybuchamy jeszcze większym śmiechem.

Przez kilka minut nie potrafimy się uspokoić, bo za każdym razem, gdy wymieniamy spojrzenia, na nowo wybuchamy śmiechem.

Musiąłem znowu pojechać do biura.

Poprosiłem Haddie, żeby odebrała Cię z pracy. Zadzwoń, jak będę wracał. Luke Bryan, Crash My Party. XX C.

Moje serce szybuje w górę i czuję ciepło w duszy z powodu polecanej przez niego piosenki. Mój sentymentalny mężczyzna alfa, pełen ciągłych sprzeczności. Wzdycham, żeby odegnąć rozczarowanie, bo strasznie za nim dzisiaj tęskniłam, ale cieszę się na spotkanie z Haddie. Nie widywałyśmy się ostatnio zbyt często.

Biorę telefon i odpisuję:

Tęsknię za Tobą. Wróć jak najszybciej. John Legend, All of Me. XXX

Sprawdzam godzinę i uświadamiam sobie, że straciłam poczucie czasu. Zaczynam zbierać swoje rzeczy i żegnać się z chłopcami.

Wychodzę z domu i widzę, że Haddie siedzi w samochodzie. Otwieram drzwi pasażera i słyszę jej zachwycony pisk.

— Niech mnie drzwi ścisną, tak dawno cię nie widziałam!

— No wiem! — odpowiadam, a ona przytula mnie krótko, po czym zapala silnik i rusza ze śmiechem.

Śmiejemy się razem beztrosko, a ja zamykam oczy na chwilę i pozwalam, by wpadający przez otwarte okno wiatr owiewał moją twarz.

Haddie zamyka okno i wiatr znika, więc odwracam się do niej i widzę, że zerka co chwilę w moją stronę.

— Dzięki, że po mnie przyjechałaś. Gdybym wiedziała, że Colton będzie pracował do późna, przyjechałabym swoim samochodem.

Sorry.

— Wiem, jesteś po prostu okropna! — żartuje, wrzucając kierunkowskaz, i skręca w lewo. —

Cóż, skoro pan Superciacho tymczasowo cię porzucił, co powiesz na kilka drinków i pogadanie o tym i owym? Na przykład dlaczego, chociaż masz w domu wszystkie swoje rzeczy, to nigdy do niego nie wracasz?

Mimo że stanowczo zaprzeczasz, jakobyś „oficjalnie” się do niego wprowadziła.

Śmieję się i potrząsam głową.

— Nie chcę zapeszyć — odpowiadam, wzruszając ramionami. — Wiesz, jaka jestem.

— Jasne, że wiem. Dlatego wypijemy kilka drinków, żebyś się rozluźniła, wpadła w gadatliwy nastrój i wszystko mi opowiedziała.

Plan wydaje mi się kuszący, ale jestem śmiertelnie zmęczona.

— Może zrobimy to w jego domu? Siądziemy na tarasie, popatrzymy na ocean i napijemy się wina. Poza tym — dodaję, spoglądając w dół na swoją koszulkę i džinsy — nie jestem wyjściowo ubrana.

— Wiedziałam, że to powiesz — odpowiada, sięga za mój fotel i szuka tam czegoś przez chwilę. W końcu kładzie mi na kolanach jakąś torbę na zakupy. Rzucam jej zdziwione

spojrzenie, lecz ona się tylko uśmiecha. —

Nieźła wymówka, Ry, ale idziemy się napić. —

Wskazuje głową torbę i dodaje: — Bluzka,
seksowne buty i makijaż.

— Co? — pytam zaskoczona, chociaż z drugiej
strony wcale mnie nie dziwi, że stawia na
swoim.

— Zabieraj się za wylaszczanie się! Prowadzę
samochód, a czas to pieniądz! — mówi, a ja
śmieję się i potrząsam głową. — Podziękujesz
mi, jeszcze zanim ten wieczór się skończy. —
Zatrzymujemy się na czerwonym, a ona bierze
telefon i wysyła wiadomość, po czym odkłada
go i spogląda na mnie. — Nie uciekniesz mi,
Thomas. Tęsknię za przyjaciółką, chcę się
napić, koniec dyskusji.

Światła się zmieniają i ruszamy, a na moich
ustach pojawia się uśmiech. Boże, uwielbiam
ją.

Nie zwracam zbytnej uwagi na drogę, bo
patrzę w lusterko w osłonie przeciwsłonecznej
i poprawiam makijaż oraz układam włosy.

Haddie rzuca tylko, że mam zostawić
rozpuszczone, gdy chcę je spać. Rozmawiamy

o

różnych

rzeczach,

nadrabiając

brak

codziennego

kontaktu.

Gdy

zapinam

kosmetyczkę, dzwoni telefon.

Szukam go niezdarnie i widzę, że to Colton.

Od razu przychodzi mi do głowy, że może

skończył już pracę i dołączy do nas.

— Cześć! — mówię, wrzucając wszystko do

torby, która leży na podłodze przede mną.

— Cześć, kochanie.

Samo brzmienie jego głosu sprawia, że zalewa

mnie fala miłości.

— Skończyłeś pracę?

— Okłamałem cię — stwierdza, kompletnie

zbijając mnie z tropu. — Nie pracowałem, bo

byłem zajęty organizowaniem idealnej randki,

więc spójrz przed siebie, bo randka właśnie

się zaczyna.

Podnoszę wzrok i szloch więźnie mi w gardle,
bo widzę przed sobą zakurzone pole i
nieczynne wesołe miasteczko. Nieruchomy
diabelski młyn, puste budki i zamknięte bramki
obrotowe.

— Colton... co... dlaczego? — próbuję
wykrztusić w zdumieniu i słyszę na drugim
końcu linii jego rozbawiony chichot.

— Nie byliśmy na prawdziwej randce od
tamtego wieczoru w wesołym miasteczku,
więc pomyślałem, że to będzie najlepsze
miejsce na rozpoczęcie tej randki. Wiem, że
boisz się nieznanego, ale obiecaj, że to
zrobisz. Dla mnie.

Co? Jasny gwint!

— Tak... oczywiście — wykrztuszam.

— Do zobaczenia wkrótce — odpowiada i się
rozłącza.

Patrzę na Haddie, która ma na twarzy
najszerszy uśmiech świata.

— Ty! — mówię łamiącym się od nadmiaru
emocji głosem. — Wiedziałaś o tym?

— No chyba żartujesz. — Śmieje się z
udawaną odrazą, po czym dodaje: — No jasne,

że wiedziałam!

Siedzę w samochodzie w stanie absolutnego
zdumienia. Rozglądam się i próbuję to
wszystko
ogarnąć.

Nie
rozumiem,
jak
mężczyzna, który się zarzekał, że nie bawi się
w romans, może być w głębi serca tak
romantyczny.

—

Jak...

co?

—

próbuję
wykrztusić sformułowane w myślach pytanie,
ale mi się nie udaje.

— Colton uznał, że zasługujesz na prawdziwą
randkę w ramach podziękowania za to, że
towarzyszyłaś mu we wszystkim, i poprosił
mnie o małą przysługę. — Wzrusza ramionami.

— Zgodziłam się z nim i dlatego tu jesteśmy.

Łzy wzbierają mi w oczach. Oddycham

głęboko, bo nie mogę uwierzyć, że byliśmy tu siedem miesięcy temu. Tymczasem Haddie sięga za mój fotel i wyciąga pudełko niewiele większe od pudełka na buty.

Śmieję się.

— Masz tu cały sklepik?

— Nie, to już ostatnia rzecz — odpowiada i podaje mi pudełko. Śmieję się nerwowo, ale nie z powodu zdenerwowania, tylko dlatego, że nie lubię niespodzianek i wolę mieć wszystko pod kontrolą.

Colton tak dobrze mnie zna.

Patrzę na prostokątny szary karton i nie

potrafię

powstrzymać

uśmiechu,

gdy

przypominam sobie słowa, które usłyszałam od

Coltona

dawno

temu:

czasem

bycie

pozbawionym

kontroli

jest

bardzo

wyzwalające.

— Jezu, kobieto, otwórzże to cholerne
pudełko! Ta niepewność mnie zabije! — mówi
Haddie zniecierpliwionym głosem.

Biorę głęboki oddech i zdejmuję pokrywkę,
jakby coś miało wyskoczyć na mnie ze środka.

Okazuje się, że w środku na papierze w
czarno-białą szachownicę leży koperta z moim
imieniem. Biorę ją i wyjmuję ze środka
karteczkę.

Ryles,

*wiem, że przypuszczalnie zastanawiasz się, co
tu się właściwie dzieje, dlatego pozwól, że Ci
wyjaśnię. Zawsze stawiasz na pierwszym
miejscu kogoś innego niż siebie: mnie,
chłopców, bezpańskiego psa na ulicy. Dlatego
uznałem, że najwyższy czas zamienić miejsca
i postawić Ciebie w centrum zainteresowania.*

*Z pomocą przyjaciół zorganizowałem małe
podchody. Aby zdobyć nagrodę, musisz
znaleźć wszystkie wskazówki i odpowiedzieć*

na wszystkie pytania.

Powodzenia.

Oto

pierwsza

wskazówka:

w

wesołym

miasteczku zorientowałem się, że jesteś dla

mnie kimś więcej, niż oczekiwałem. Siedząc

w wagoniku diabelskiego młyna, wiedziałem,

że choćbym nie wiem, jak ze sobą walczył, nie

jestem w stanie mieć z Tobą wyłącznie

przypadkowego seksu, i że zasługujesz na o

wiele więcej. Dlatego pierwszy fant czeka na Ciebie na pierwszej karuzeli, na jaką

poszliśmy.

Buziaki

Colton

Ocieram spływające po policzkach łzy, starając

się nie zepsuć zrobionego przed chwilą

makijażu, ale to praktycznie niemożliwe.

Haddie ściska mnie za ramię, żeby pomóc mi

odzyskać panowanie nad sobą. Patrzę na nią,

próbując zrozumieć, jak wiele wysiłku musiało

wymagać zorganizowanie tego i wyrażenie na

papierze myśli i uczuć, które ciężko mu

zwerbalizować.

— Wypieprzaj z tego samochodu i znajdź

swojego chłopaka, zanim dostanę ataku serca

z tego napięcia — mówi i wypycha mnie, gdy

otwieram drzwi.

Wysiadam z samochodu. Serce łomocze mi w

piersi,

a

głowa

uświadamia

sobie,

że

Coltonowi zależy na mnie tak bardzo, iż chciał

to wszystko zorganizować. Podchodzę do

wejścia i zauważam, że jedna bramka jest

odblokowana. Przechodzę przez nią i ruszam

w

głąb

złowieszczo

pustego

wesołego

miasteczka. Idę coraz szybciej, a z każdym

krokiem zalewają mnie nowe wspomnienia.

Pluszowy pies, skradzione pocałunki i wata cukrowa. Prowokowanie złego chłopca, który skradł moje serce, lecz nie chciałam wtedy jeszcze się do tego przyznać. Obawy, pierwsze razy i nieśmiały, połowiczny uśmiech na jego niesamowitej twarzy.

Docieram do karuzel i idę w stronę tej z wirującymi spodkami. Staję jak wryta, bo z ciemnej budki wynurzają się Shane i Connor, obaj z potężnymi uśmiechami na twarzach i pudełkami w dłoniach.

Przyciskam dłoń do piersi, bo zapiera mi dech z szoku i uwielbienia dla Coltona za to, że zaangażował chłopców w tę zabawę w podchody. Że pozwolił, by mu pomogli zrobić dla mnie coś miłego.

— Wy dwaj! — krzyczę, podbiegając do nich i spoglądając w ich szelmowskie oczy. —

Ukrywaliście to przede mną? — Przytulam ich i wszyscy się śmiejemy.

—

Musieliśmy

przysiąc,

że

dochowamy

tajemnicy — wyznaje Shane i się rumieni.

— Colton powiedział, że nie będziesz zła, że cię okłamujemy — dodaje Connor, potrząsając głową.

— Nie jestem. — Śmieję się, kompletnie tym wszystkim przytłoczona. — Nigdy nie będę na was zła za coś takiego.

Shane chrząka, żeby zwrócić moją uwagę.

— Mamy dla ciebie następną wskazówkę.

— O, świetnie — odpowiadam ze śmiechem i znowu czuję się lekko zestresowana.

— Żeby ją dostać, musisz odpowiedzieć na to pytanie, okej? — Potakuję w odpowiedzi. —

Gdy widzisz ten przedmiot w ręce Connora, jakie słowo przychodzi ci do głowy?

Connor wyciąga dłoń z żółtą gumową kaczką.

Wpadam w niekontrolowany chichot, a w kącikach oczu znowu pojawiają się łzy.

Potrząsam głową, próbując opanować śmiech, ale nie potrafię i z trudem wykrztuszam:

— Kwa!

W mojej głowie pojawiają się wspomnienia krzyków i zmieszanego z porannym chłodem

bólu przed domem w Palisades, pokoju
hotelowego na Florydzie i mojej menażerii
zwierząt, którymi się posługiwałam, próbując
ochronić serce przed błędnie pojmowaną
prawdą. Przypomina mi się, jak byłam tak
uparta, że nie słyszałam, co próbuje mi
przekazać.

Ale teraz słucham. Nie tylko on się czegoś
nauczył przez ten czas, gdy jesteśmy razem.

Connor i Shane wydają mały okrzyk radości i
wręczają mi kopertę, którą w pośpiechu
otwieram. W środku jest kartka.

*Wspomnienia związane z tą wskazówką są na
stałe wypalone w moim umyśle i są równie
trwale jak tatuaże na moim ciele. Byłaś wtedy
seksowna jak diabli. Cholera! „Na wypadek,
gdybyś potrzebowała się osłodzić po tym, jak
Cię zbrukam”. Gdzie możesz kupić tę rzecz?*

Każdy miesiąc poniżej pasa kurczy się na

wspomnienie

Coltona

i

waty

cukrowej.

Uśmiecham się do tych myśli, po czym patrzę na chłopców i trochę mi dziwnie, że mam przy nich takie myśli.

— Dacie sobie radę? — pytam od razu.

Przewracają oczami.

— Nie jesteśmy tutaj sami — stwierdza Shane.

— No a teraz idź za wskazówką!

—

Dobrze

—

odpowiadam

z

rosnącą

ekscytacją. Całuję ich obu w czubek głowy i ruszam w poszukiwaniu budki z watą cukrową. Z każdym krokiem coraz bardziej cieszę się na to, że spotkam Coltona i zobaczę jego szelmowski uśmiech.

Ale nigdzie nikogo nie ma.

Zaczynam panikować na tym opuszczonym terenie. Po chwili chaotycznego łążenia skręcam za róg i dostrzegam zwisający ze stoiska samotny kłębek waty cukrowej.

Podchodzę bliżej i krzyczę z przestraszu, bo

za ladą stoją w fartuchach Ricky i Jackson.

— Już nie mogłem się doczekać! — mówi Ricky, szukając czegoś pod ladą. Po chwili wręcza mi pudełko. Oboje z Jaxem śmiejemy się z jego ekscytacji, że mógł wziąć w tym udział.

Stawiam pudełko na ladzie i je otwieram. W środku jest tabliczka aukcyjna z napisem:

Wróć tam, gdzie wszystko się zaczęło. Gdzie nauczyłem się, że opór może być bardzo seksowny.

Znowu potrząsam głową, bo nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Żegnam się z nimi i pośpiesznie wracam na parking. Haddie siedzi za kierownicą. Brwi uniesione, palce bębnią ze zniecierpliwieniem.

— No powiedz mi, powiedz — prosi w kółko, gdy wsiadam do samochodu. Każę jej jechać w miejsce, gdzie odbyła się aukcja charytatywna, po czym opowiadam o dwóch wskazówkach otrzymanych

w

wesołym

miasteczku.

Podskakuje na swoim fotelu z ekscytacji, a ja siedzę

zszokowana

tą

sympatyczną

niespodzianką Coltona.

— Kurde, to stuknięcie w głowę w wyścigu na

Florydzie

strasznie

poprawiło

u

niego

wyczucie

romantyzmu

—

stwierdza

ze

śmiechem. — Myślę, że to powinno być

obowiązkowe dla wszystkich osób z penisami!

Śmieję się.

— Naprawdę o tym nie wiedziałaś? — pytam ją

kilka razy.

— Ry, Colton powiedział mi tylko, że

zaplanował fajną randkę, i spytał, czy chcę być

twoim szoferem. Dlatego tu jestem i też nie

mogę się doczekać tego, co jeszcze wymyślił!

— odpowiada w końcu, przebiegając dłonią przez słowa na tabliczce aukcyjnej, która leży na moich kolanach, a ja nie potrafię przestać na tę tabliczkę patrzeć.

Gwiazdy najwyraźniej nam sprzyjają, bo unikamy korków i w rekordowym czasie docieramy do starego teatru.

— Zaczekam tu na ciebie! — krzyczy za mną, gdy wysiadam z tabliczką w dłoni i ruszam truchtem w stronę wejścia. Jedne drzwi są uchylone.

Wchodzę

do

znajomego

przedsiönka,

rozglądam się i ruszam w stronę drzwi po prawej stronie od sceny, tak jak kilka miesięcy temu. Z przyzwyczajenia zaczynam nucić

piosenkę *Overjoyed* Matchbox Twenty, która cicho gra w głośnikach. To musi być przypadek, bo nawet Colton nie byłby w stanie tak dokładnie określić momentu, w którym przyjadę, ale uśmiecham się z radości, że gra

mój

zespół.

Mrugam

powiekami,

żeby

odpędzić łzy, bo uświadamiam sobie znaczenie

tej chwili. Colton sprowadził mnie tu z

powrotem po całym tym czasie, w którym

zaczęło się coś, czego nigdy tak naprawdę nie

pragnęłam.

I spójrz, kim jesteśmy teraz.

Przełykam palącą kulę łez w gardle, popycham

drzwi i wchodzę do oświetlonego korytarza za

kulisami. Nagle moje łzy przeradzają się w

niekontrolowany chichot, bo zauważam, że

mała wnęka, w której Bailey próbowała go

uwieść, jest zagrodzona taśmą ostrzegawczą.

Jeszcze zabawniejsze jest to, że na taśmie

widnieje napis: „Uwaga, grasujące piranie”.

Ze śmiechem na ustach skręcam korytarzem i

widzę *naszą* kryjówkę. Drzwi są uchylone, a w

środku pali się światło. Moje obcasy stukają o

linoleum, a ja próbuję się domyślić, kogo tam

spotkam. Jakaś część mnie chciałaby, żeby to

był Colton, bo mogłabym go pocałować,

uściskać i podziękować mu za to wszystko, ale

z drugiej strony nie wiem, czy chcę, żeby ta
podróż w przeszłość już się skończyła.

Chichot powraca na moje usta, bo w środku
siedzą Aiden i wychowawca Austin, którzy
grają w uno. Aiden podskakuje z piskiem, gdy
mnie dostrzega, a Austin i ja śmiejemy się z
jego entuzjastycznej reakcji.

— Cześć, chłopaki!

—

Rylee!

—

wykrzykuje

Austin

z

podnieceniem. — Proszę! To dla ciebie!

Sięga za siebie i podaje mi kopertę oraz dwa
pudełka: jedno większe, a na nim drugie,
znacznie mniejsze. Patrzę na Aidena i Austina,
którzy, tak jak ja, uśmiechają się ze
zniecierpliwieniem.

Odkładam

pudełka

i

rozdzieram kopertę. W środku jest jak zwykle

kartka z odręcznym pismem Coltona:

*Byłaś pierwszą osobą, która spojrzała na mnie
i zobaczyła moją duszę. Przeraziło mnie to do
szpiku kości. Gdzie to się stało? Jeśli
potrzebujesz wskazówki, jest w górnym
pudełku. (To większe otwórz dopiero po
wyjściu z teatru).*

C.

Serce łomocze w piersi, a dłonie drżą mi z
ekscytacji. Znam odpowiedź. Nawiązuje do
pokoju, w którym po imprezie promocyjnej
rumu Merit po raz pierwszy uprawialiśmy
seks. Nie spodziewałam się jednak tego, co
znalazłam w pierwszym pudełku.

Oddech więźnie mi w gardle i odruchowo
podnoszę dłoń do ust. W środku jest jeden
kolczyk. Kolczyk, którego nie mogłam znaleźć,

gdy

próbując

ocalić

swoją

godność,

opuszczałam pokój. Zgubiłam go tam i nie

myślałam, że jeszcze go kiedyś zobaczę,

zresztą podobnie jak nie sądziłam, że jeszcze spotkam mężczyznę, który teraz mi go oddaje. To, że widzę ten kolczyk, i to, że Colton trzymał go przez cały czas i zostawił sobie, nawet gdy od niego odeszłam, wywołuje we mnie tak wielkie emocje, że z trudem wykrztuszam słowa podziękowania do Aideny i Austina, po czym biorę drugie pudełko i pośpiesznie wracam do Haddie, żeby pojechać w następne miejsce.

Oszołomiona i zdezorientowana wsiadam do auta i wyjaśniam Haddie znaczenie kolczyka. Ruszamy w stronę hotelu. Otwieram większe pudło i niemal umieram ze śmiechu. Mam przed sobą wszystkie majtki, które zostały ze mnie zdarte. W pudle jest także kolejna koperta, ale jej otwarcie zajmuje mi ponad minutę, bo tak się śmieję z powodu wspomnień związanych z majtkami i tego, że on je wszystkie sobie zostawił.

— Jezu, kobieto! Nie żartowałaś, gdy mówiłaś, że ten facet szerzy spustoszenie w twoich szufladach! — mówi prowokacyjnie i kiwa głową, żebym otworzyła kopertę.

Rozrywam ją. Ze środka wypada karta
podarunkowa do sklepu La Perla opiewająca
na jakąś niedorzeczną kwotę. Ale dołączony
do niej liścik jest dla mnie znacznie cenniejszy.

*Lepiej kup sobie duży zapas, Ry, bo nie
zapowiada się, żeby moje pragnienie brania*

Cię gdzie zechcę, kiedy zechcę i jak zechcę miało w najbliższym czasie wygasnąć.

Bezczelna zmysłowość tych słów wznieca
płomień pożądania między moimi udami,
którego nawet nie próbuję zignorować.

— Łał! — wykrzykuje Haddie przeciągle,
wyrywając mnie z mojej rozkosznej zadumy,
bo przeczytała kartkę, zaglądając mi przez
ramię, gdy stałyśmy na światłach. — Ten facet

jest cholernie przystojny *oraz* potrafi mówić w tak niegrzeczny i dominujący sposób? —

Bierze drżący wdech. — Kurde, Ry...

powiedziałabym mu, żeby przykuł mnie do

łóżka

i

pozwoił

być

swoją

seksualną

niewolnicą do końca życia — mówi ze

śmiechem.

To niesamowite, że ten facet jest cały mój.

— Kto mówi, że tak nie zrobię? — odpowiadam z uśmiechem na ustach i uniesionymi brwiami.

— Niech cię diabli! — stwierdza, klepiąc mnie w udo. — I tak trzymaj!

Śmiejemy się razem i próbujemy wymyślić, jaka może być następna wskazówka, aż w końcu Haddie zajeżdża pod hotel.

— Przypuszczam, że zaraz wrócę — mówię, wysiadając z auta, i wbiegam do holu.

Zatrzymuję się jednak, bo uświadamiam sobie, że nie mogę tak po prostu pójść do tego pokoju i zapukać do drzwi.

Podchodzę do recepcji, a stojąca tam kobieta przygląda mi się z góry na dół.

— Pani Tomas, zgadza się?

— Tak... — odpowiadam z lekkim zdumieniem, że wie, kim jestem.

— Tędy proszę — mówi i prowadzi mnie do osobnej windy z boku holu. Bierze kartę i przyciska do skanera, żeby otworzyć drzwi. —

Proszę — mówi i uśmiecha się szeroko, po czym odwraca się i wraca do recepcji.

— Dziękuję — wołam za nią i wchodzę do windy. Znajomy wystrój budzi we mnie wspomnienia naszego pierwszego razu i tego, jaka byłam zdenerwowana mroczną obietnicą Coltona wygłoszoną w innej windzie. Odzywa się dzwonek i drzwi się otwierają. Wsiadam z uśmiechem na ustach, bo przypomina mi się nasze desperackie, pełne szamotania wyjście tamtej nocy.

Pukam do drzwi pokoju i słyszę chichotanie.

Drzwi otwiera Zander, a za nim stoi Avery.

Oboje patrzą na mnie z promiennymi uśmiechami, a beztroski chichot Zandera sprawia, że rozczulam się jeszcze bardziej.

— Cześć! Niech zgadnę: macie dla mnie wskazówkę?

Zander gorączkowo potakuje i zerka na Avery, żeby się upewnić, czy może mi dać to, co ma w dłoniach.

— Cześć, Rylee.

— Cześć!

— No dobrze, nasza wskazówka jest taka: jakie słowo nasuwa ci się na myśl, gdy widzisz to, co ma Zander?

Opuszczam wzrok na Zandera, który wyciąga
zza pleców małe pudełko i mi je wręcza.

Patrzę na nie równie zakłopotana jak Avery,
dopóki Zander go nie otwiera.

Wtedy wybucham śmiechem.

W środku jest ognistoczerwona poszetka do
smokingu. Moje zmysły natychmiast budzą się
do życia, gdy przypominam sobie każde
doznanie wywołane przez Coltona tamtego
wieczoru w limuzynie, gdy byliśmy za bardzo
lub za mało wystrojeni. Ale to nie może być
odpowiedź, bo to więcej niż jedno słowo.

— Oczekiwanie! — prawie krzyczę, gdy nagle
sobie przypominam, a przez głowę przelatują
mi obrazy z tego pamiętnego wieczoru.

— Bingo! — oznajmia entuzjastycznie Avery, a
Zander szaleńczo podskakuje.

— Dobra robota, Ry! — stwierdza i podaje mi
drugie pudełko i kopertę. Patrzę na niego ze
zmarszczonymi brwiami, które wywołują u
niego kolejną falę chichotu, po czym biorę od
niego obie rzeczy.

— To dla mnie? — pytam.

— Aha! — odpowiada, kiwając głową.

— Na pewno?

— Tak! Otwórz już! — rzuca z uroczym
zniecierpliwieniem.

Rozrywam kopertę i uśmiecham się, chociaż
nie mam pojęcia, co w niej jest, ale wiem, że słowa Coltona na pewno mnie poruszają.

Ry,

zawsze wiedziałem, że jesteś inna niż

wszystkie... ale tamtej nocy stałaś się moją

flagą w szachownicy. Bez wątpienia. Tej nocy

przekonałem się, że jest coś, czego nigdy nie

chciałem, a o co będę walczył do końca. Udaj

się tam, gdzie po raz pierwszy zaznajomiłaś się z przedmiotem z pudełka.

C.

Ostrożnie otwieram pudełko i przewracam

oczami,

bo

moim

oczom

ukazuje

się

miniaturowy model czerwonego Ferrari F12.

Doskonale wiem, gdzie mam się udać, bo tej

nocy nigdy nie zapomnę.

Żegnając się i pełna oczekiwań zjeżdżam windą,

po czym w pośpiechu przebiegam obok

uśmiechającej

się

hostessy

w

recepcji.

Wsiadam do samochodu i opowiadam Haddie o

wskazówce. Śmiejemy się, po czym ona

potrząsa głową i zawozi mnie kilka przecznic

dalej, do hotelu, w którym byłam z Coltonem

na gali charytatywnej.

Każę jej jechać na najwyższe piętro parkingu i

odruchowo wstrzymuję oddech, gdy zauważam

Sex. Zalewają mnie obrazy i emocje, których

nawet nie próbuję tłumić.

— Cholera, ten samochód wygląda jak

pieprzony orgazm na kółkach — mruczy

Haddie z uznaniem.

—

Nawet

sobie

nie

wyobrażasz

—

odpowiadam przeciągle i gwizdzę. Wysiadam
zarumieniona i ruszam w stronę ferrari
stojącego w ustronnym miejscu parkingu.

Dostrzegam sylwetkę człowieka za jednym z
filarów za samochodem i serce podchodzi mi
do gardła. Mam nadzieję, że to Colton.

Wystarczy mi już podróży przez wspomnienia i
choć bardzo mi się to podoba, to po prostu
go pragnę. Desperacko.

Śmieję się jednak, bo zza filaru wyłania się
Beckett z szerokim uśmiechem przylepionym
do swojej przystojnej twarzy. Patrzy przez
moje ramię na Haddie i subtelnie kiwa do niej
głową, a jego uśmiech znacznie łagodnieje.

Wzbudza to moją ciekawość, ale zapominam o
tym, gdy zaczyna do mnie mówić.

— Cóż, nie wiem, co zrobiłaś z moim kumplem

— stwierdza, obejmując mnie przez chwilę —

bo sądząc po tym ceremonialnym wyznaniu,
zupełnie stracił jaja, ale nie powiem, że mi się
to nie podoba!

— Jestem pewna, że karmisz go mnóstwem

bzdur — odpowiadam, a on tylko przechyla

głowę i patrzy na mnie przez chwilę z

łagodnym wyrazem twarzy.

— Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby był tak szczęśliwy — oznajmia, kiwając głową.

Bez namysłu wypalam:

— A jak myślisz, czemu taki jest?

Becks wybucha swoim niskim chichoczącym śmiechem i z rozbawieniem wręcza mi reklamówkę. Biorę ją i zaglądam do środka.

Dopiero po chwili orientuję się, na co patrzę.

— Bo jestem całym alfabetem — szepczę,

patrzac

na

plastikowe

litery

dla

przedszkolaków.

— Od A do pierdolonego Z, Ry — potwierdza, a

ja podrywam głowę w samą porę, by dostrzec

oczko, które mi puszcza. Zaraz potem na jego

twarzy

pojawia

się

leniwy,

połowiczny

uśmiech. Patrzę na niego i uśmiecham się

głupio. — Tak więc ja zabieram cię do

następnego miejsca — obwieszcza.

Odruchowo oglądam się przez ramię i z

zaskoczeniem

stwierdzam,

że

Haddie

zniknęła. Byłam tak zaabsorbowana tą

interakcją, że nie zauważyłam jej odejścia.

Becks wskazuje drzwi. Wsiadam i zapinam

pasy. Zapala silnik i odwraca się do mnie.

— W jakim miejscu udowodniłaś Coltonowi, że

żółtodzioby mogą wygrać wyścig?

Zaczynam się śmiać, przypominając sobie

naszą intymną rozmowę o żółtodziobach i

wyścigach, po czym orientuję się, że Coltonowi

chodziło o bardziej niewinny czas spędzony z

chłopcami.

— Tor gokartowy! — wykrzykuję, gdy

wyjeżdżamy z parkingu na ulicę.

— Tak, madam — potwierdza. Wjeżdżamy na

autostradę i zostawiamy za sobą ruch uliczny.

Rozmawiamy o różnych rzeczach, ale chociaż

staram się go podejść na różne sposoby, nie chce powiedzieć, jakie są pozostałe wskazówki ani gdzie kończy się gra. Uśmiecha się tylko i potrząsa głową.

Po chwili docieramy do parku przemysłowego, do którego Colton zabrał mnie i chłopaków na gokarty.

— Zaczekam tutaj — oznajmia Becks, gdy wyskakuję z auta i ruszam w stronę szklanych drzwi.

Mój uśmiech się poszerza, gdy widzę za ladą Dane'a i Scootera.

— Rylee! — wykrzykuje Scooter i biegnie, żeby się przytulić.

Ściskam go mocno i całuję w czubek głowy, a potem patrzę na Dane'a z uniesioną brwią.

— Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś! — mówię do niego, wywołując chichot mojego uroczonego Scootera.

— Niektórych rzeczy lepiej nie zdradzać — odpowiada z uśmiechem i wzrusza ramionami, po czym odpycha się od lady i podaje Scooterowi torbę.

Potrząsam głową z udawanym gniewem, a on

parska śmiechem. Nie mówię nic więcej, bo

Scooter

prawie

wyskakuje

z

butów

z

ekscytacji.

— No dobrze, Scoot... pomożesz mi rozwiązać

to zadanie?

— A mogę? — pyta.

— Oczywiście — odpowiadam i wyciągam z

torby plastikową figurkę Spider-Mana. W

moich oczach natychmiast pojawiają się łzy,

choć staram się uśmiechać.

— Jaka jest odpowiedź? O czym myślisz, gdy

go widzisz?

Zastanawiam się przez chwilę, bo są dwie

możliwe odpowiedzi. Ale sposób Scootera na

wyrażanie miłości był zapalnikiem, który to

wszystko zainicjował.

— Spidermanuję cię! — mówię i od razu po

smutniejszej twarzy Scootera widzę, że to zła

odpowiedź, ale nie przejmuję się, bo i tak

chciałam mu powiedzieć, że go kocham.

Próbuję więc swój drugi strzał: — Spider-Man.

Batman. Superman. Iron Man.

— Tak! — wykrzykuje i zaczyna szaleńczo

skakać, po czym przytula mnie mocno,

wzbudzając radość moją i Dane'a.

Dane spogląda mi w oczy i wręcza kopertę.

— Z tego, co widzę, faktycznie jest *idealnie*.

— Niedoskonale, lecz idealnie — potwierdzam

z lekkim uśmiechem i otwieram kopertę.

Dlaczego superbohaterowie? Bo po tamtej

nocy na torze już się nie boję. Nie potrzebuję

już sposobu z dzieciństwa, bo mam Ciebie, Ry.

To Twoje imię teraz powtarzam. Wskazówka

do następnego miejsca: „Witaj w pierwszej

lidze, As”.

Śmieję się na wspomnienie chwili, gdy mi to

mówił i gdy ja nieudolnie próbowałam

odwrócić role w uwodzeniu, a jednocześnie

upajam się pozostałymi słowami na kartce.

Ceni

mnie

równie

wysoko

jak
swoich
ukochanych superbohaterów. Moje serce jest
tak przepełnione miłością, że niemal pęka. Gdy
podnoszę wilgotne od łez oczy i patrzę na
Dane'a, nie odzywa się, lecz jego oczy mówią
wszystko. *To ten jedyny.*

Żegnając się z nimi krótko i w pośpiechu
wracam do seksownie burczącego ferrari.
Wsiadam i spoglądam na szczerzącego się
Becketta.

— Gdzie teraz, Ry?

— Surf Shack — oznajmiam, potrząsając
głową, po czym patrzę na niego przez chwilę
w milczeniu.

— *Co?* — pyta, przechylając głowę.

Biorę głęboki oddech i odwracam się w stronę
przedniej szyby.

— Nic, po prostu próbuję to wszystko
ogarnąć... To trochę oszałamiające.

— No cóż — stwierdza, gazując na światłach

— wygląda na to, że piekło zamarzło jak
cholera. — Wybuchają śmiechem, a ja dołączam
do niego, opierając głowę na zagłówku. Jestem

wdzięczna, że Becks daje mi chwilę na
pozбиeranie myśli i zastanowienie się nad
wszystkim, co dotychczas przekazał mi Colton.
Zatrzymujemy się na parkingu i natychmiast
przychodzi mi do głowy spotkanie z Tannerem
i niedoszła bójka z Coltonem. Przypominam
sobie kipiący testosteron i zszokowany wyraz
twarzy
Coltona,
gdy
odrzucałam
go
i
zostawiłam na parkingu. Patrzę na Becksa,
którego twarz zdaje się mówić: „*Cóż, to ruszaj
dalej*” .

Wysiadam i wchodzę do restauracji. Rachel
stoi na podium dla hostessy. Uśmiecha się
szeroko, gdy mnie zauważa i mówi od razu:
— Twój stolik już na ciebie czeka.
— Dzięki, Rachel — odpowiadam i ruszam
pośpiesznie za nią, bo ciekawi mnie następna
niespodzianka. Zakładam, że spotkam Kyle’a,
bo spośród wszystkich chłopców jeszcze tylko

jego dzisiaj nie widziałam. Wychodzę na taras
i przypomina mi się, jak poznawałam Coltona,
gdy byliśmy tu po raz pierwszy, jak opowiadał
mi o przeszłości, swojej rodzinie i tym, że lubi,
gdy *leżą na plecach*.

Z mgły wspomnień wyrywa mnie widok
Quinlan i Kyle'a siedzących przy stoliku —
naszym stoliku. Oboje mają na ustach
uśmiechy szerokie jak ocean za ich plecami.

— Cześć!

—

Cześć,

Ry

—

odpowiada

Quinlan

równocześnie z Kyle'em. — Mamy dla ciebie
następną wskazówkę.

— Twój brat jest niemożliwy — mówię z
emfazą.

— Taa, też tak sędzę — potwierdza ze
śmiechem. — No cóż, miłość zmienia ludzi. —

Patrzy na mnie wilgotnymi od łez oczami, w
których

widzę
łagodność,
akceptację
i
podziękowanie.

Przez chwilę patrzymy na siebie w milczeniu,
ale tę rozmowę bez słów przerywa Kyle,
popychając w moją stronę kolejne pudełko.

— Otwórz je, otwórz! — nalega. — Musisz
podać właściwą odpowiedź, żeby dostać
następną wskazówkę!

Ściągam wieczko i zaczynam się śmiać, bo w
środku

jest

komplet

prześcieradeł

z

nadrukowanymi literkami. Quin patrzy na mnie
dziwnie i stwierdza:

— Mam nadzieję, że istnieje jakieś sensowne
wyjaśnienie, bo to wygląda dość nietypowo dla
kogoś z zewnątrz.

—

Oczywiście,

że

istnieje

sensowne

wyjaśnienie — odpowiadam ze śmiechem.

Jestem pod wrażeniem, że Colton na tych podchodach nie zapomniał o niczym. Patrzę na Kyle'a. — Tylko my i prześcieradła.

— Juhu! — wykrzykuje i podskakuje tak energicznie, że prawie przewraca stolik.

Quinlan chwytą blat i obejmuje Kyle'a ramieniem. — Udało jej się! — oznajmia jej Kyle. Quin potakuje i Kyle wręcza mi kopertę.

— Mogę ją otworzyć? — pytam, chociaż moje palce aż palą się, żeby to zrobić.

— Tak! — wrzeszczy Kyle, przestraszając innych klientów restauracji.

Rozrywam ją i czytam kartkę.

Ry,

najmocniej czułem, że nie potrafię bez Ciebie

żyć, gdy nie mogłem Cię mieć. Być może nie mówiłem tego wprost, ale często o tym myślałem. Gdzie byliśmy, gdy mówiliśmy, że:

„Nic nas już nie rozdzieli: będziemy tylko my i prześcieradła”?

Czuję, jakby ktoś przykleił mi niezmywalny

uśmiech do twarzy. Żegnam się i wracam do

Becketta, który czeka w samochodzie.

— No i? — pyta, przechylając głowę.

— Broadbeach Road!

Ruszamy wzdłuż wybrzeża. Im bliżej jesteśmy,

tym większą czuję ekscytację. Jestem pewna,

że Colton tam na mnie czeka.

Rozdział 43.

Gdy podjeżdżamy pod dom w Broadbeach,

czuję ekscytację, nerwowość i każdą inną

możliwą emocję. Brama otwiera się, zanim

pod nią podjeżdżamy. Pod domem nie czekam,

aż Beckett zupełnie się zatrzyma, tylko

wyskakuję z jeszcze jadącego samochodu i

biegnę w stronę drzwi wejściowych, przy

których stoi Sammy.

— Cześć, Sammy! — wykrztuszam prawie bez

tchu i czekam, aż odsunie się od drzwi.

— Nie chcesz następnej wskazówki? — pyta

swoim głębokim basem. Szczęka mi opada i

zwieszam ramiona, bo myślałam, że to już

koniec wskazówek. Myślałam, że to finisz i że

za chwilę zobaczę Coltona.

— Chcę — zgadzam się niechętnie. Sammy

wyrzuca coś w powietrze, a ja odruchowo zasłaniam twarz. Przez minutę nie wiem, o co chodzi. Patrzę na srebrne drobinki błyskające w promieniach słońca i nagle doznaję olśnienia. Każda część mojego ciała staje na baczność i dostaję gęsiej skórki. Swoją drogą to dość zabawnie wygląda, że ten silny, onieśmielający mężczyzna stoi w brokatowym deszczu. Ta chwila jest bezcenna pod wieloma względami, bo Sammy inscenizuje słowa piosenki Pink *Glitter in the Air*[\[1\]](#).

Szloch więźnie mi w gardle, a Sammy uśmiecha się i podaje mi pudełko. Biorę je z łomoczącym sercem, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Otwieram i nie potrafię już pohamować łez, bo w środku jest kubek na kawę wypełniony kostkami cukru.

Może i to jest banalne do bólu, ale uświadamiam sobie, że Colton słuchał mnie tej nocy, gdy tłumaczyłam mu znaczenie słów piosenki Pink, a teraz przypomina mi te słowa po tych wszystkich gestach i to mnie rozbiera. Rozbija mnie na kawałki, całkowicie otwiera i dopełnia za pomocą zwykłego różowego kubka

na kawę z kostkami cukru w środku.

— No i? — pyta Sammy, próbując stłumić

uśmiech

spowodowany

moją

przesadnie

emocjonalną

reakcją

na

tę

tandetną

wskazówkę.

— „There you are, sitting in the garden,

clutching my coffee, calling me sugar”[\[2\]](#)—

nucę drżącym głosem z uśmiechem na twarzy.

— Zuch dziewczyna! — Śmieje się i odchodzi

na bok, otwierając mi drzwi. — Ostatnia

wskazówka. — Spoglądam na niego zdziwiona.

— Idź tam, gdzie pierwszy raz słuchałaś tego z

Woodem.

— Dzięki, Sammy! — krzyczę przez ramię i

biegnę jak szalona przez cały dom i po

schodach w górę. Serce łomocze jak oszalałe,

ręce mi drżą z przejęcia i kręci mi się w

głowie. Desperacko pragnę go zobaczyć,
dotknąć, pocałować i podziękować mu, ale gdy
wbiegam na taras, jest pusty, nie licząc setek świeczek postawionych na każdej możliwej
płaskiej powierzchni.

Widok miękkiego, migotliwego światła na tle
ciemniejszego nieba zapiera mi dech w piersi,
ale biegnę na górny taras. Przeciagam palcem
po szezlongu i słyszę z głośników ciche
dźwięki piosenki *Glitter in the Air*. Wybucham śmiechem.

— Pieprzona Pink — to rozbawiony głos
Coltona, którego chrapliwość wdziera się we
mnie i robi ze mnie swojego zakładnika.

Wzdrygam się, lecz jednocześnie czuję, że w
końcu jestem w domu.

— Pieprzona Pink — powtarzam za nim i
odwracam się w stronę mężczyzny, którego
kocham całym sercem. Stoi przede mną na tle
zachodu słońca, który otacza aureolą światła
jego ciemną sylwetkę. Zalewa mnie tak wiele
emocji, gdy go widzę. Trzyma ręce głęboko w
kieszeniach znoszonych dżinsów, ma na sobie
swoją ulubioną koszulkę i opiera się luzacko o
futrynę z lekko nieśmiałym uśmiechem na
ustach, który roztopia moje serce.

— Miałaś dobry dzień? — pyta obojętnie, a jego oczy łąpczywie taksują moje ciało na całej długości. Zwilża usta językiem, próbując stłumić szerszy uśmiech.

Boże, jak ja pragnę rzucić się w jego ramiona i całować go do utraty zmysłów. Moje ciało tak silnie wibruje z emocjonalnego i fizycznego pragnienia, że zaciskam dłonie na kubku, żeby się nie poddać.

— A, wiesz, biegałam bez sensu, jak za jakimś jednorożcem, ale jestem pewna, że w końcu trafiłam tam, gdzie jest moje miejsce.

— Hmm... — Odpycha się od ściany i wolno kroczy w moją stronę. Istne uosobienie seksu.

— Czyli gdzie? — pyta, unosząc brew.

Jego nonszalancja mnie dobija. Przepala się na wylot przez szalejący we mnie pożar. Jedyne, czego pragnę, to rozkoszować się tym mężczyzną. Mężczyzną, który pozbierał myśli, słowa i wspomnienia dotyczące naszych wspólnych chwil i stworzył z nich spójną całość, żebym mogła je odkrywać kawałek po kawałku i przypominać sobie znaczenie każdej z tych chwil. A co ważniejsze, pamiętał te

chwile, czyli że są dla niego tak samo

znaczące jak dla mnie.

— Tutaj — szepczę. — Tu jest moje miejsce,
przy tobie, Colton. — Podchodzę do niego, do
mojego narkotyku, pragnienia i dożywotniego
uzależnienia. Kładę mu dłoń na policzku,
chociaż chciałabym przyciągnąć go do siebie i
zatrzymać na zawsze. — Dziękuję ci — mówię.

Nasze ciała są oddalone o marne centymetry,
ale serca są bez wątpienia złączone. — Nie
wiem, co powiedzieć.

Pozwala sobie na szeroki uśmiech i zaczyna

bawić

się

lokiem

na

moim

ramieniu.

Obserwuję, jak jego oczy podążają za palcami.

To, że wydaje się być trochę skrepowany moim

komplementem, sprawia, że jest jeszcze

słodszy, a cały ten wieczór nabiera jeszcze

głębszego znaczenia.

Po chwili wraca do mnie wzrokiem. Jego

kryształowo zielone oczy płoną od emocji, ale
wzrusza nieznacznie ramionami.

— Jesteś najbardziej bezinteresowną osobą,
jaką znam. Chciałem po prostu zrobić coś,
żeby ci pokazać, jak wiele to dla mnie znaczy.

Chciałem,

żeby

chłopcy

też

w

tym

uczestniczyli, bo w ten sposób mogli ci

pokazać, jak wiele znaczysz dla nich.

Łzy wzbierają w moich oczach chyba po raz

setny. Przełykam gulę w gardle i patrzę na

tego pięknego z zewnątrz i w środku

mężczyznę.

Mężczyznę,

którego

kiedyś

uważałam za aroganckiego i samolubnego,

lecz który wielokrotnie udowodnił mi, że nie

jest dupkiem.

Tylko prawdziwym asem.

Pocieram kciukiem jego policzek i uśmiecham się do niego.

—
Wbiłeś
mnie
w
ziemię...
jestem
oszołomiona...

tym
całym
twoim
przedsięwzięciem. — Spuszczam wzrok na
dłuższą chwilę, bo muszę uspokoić drżący
głos. — Nikt jeszcze nigdy nie zrobił dla mnie
czegoś takiego.

Nachyla się i muska moje usta najśłodszym
pocałunkiem. Próbuję pogłębić pocałunek, bo
desperacko go pragnę. Pragnę usłyszeć jego
westchnienia i poczuć ciepło jego dotyku, ale
on się odrywa, całuje mnie w czubek nosa i
opiera czoło na moim czole. Przykłada drugą
dłoń do mojego policzka symetrycznie do
pierwszej i bawi się moimi włosami.

— Czyli w pewnym sensie byłem twoim pierwszym. — Jego ciepły oddech oplata moje usta.

— Tak. — Serce mi łomocze i wydaję z siebie potargane westchnienie.

— To dobrze, Ry, bo chcę być twoim pierwszym, twoim ostatnim i twoim każdym pomiędzy — podkreśla każde słowo, jakby ich wypowiedzianie sprawiało mu ból.

Serce mi się ściska, bo nagle moje nadzieje i marzenia przestały być tylko mrzonkami, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo

Colton odchyła się i patrzy mi w oczy z taką intensywnością, jakby robił to po raz pierwszy w życiu, po czym zadaje mi pytanie, którego w ogóle się nie spodziewałam.

— Dlaczego mnie kochasz, Rylee?

Odrzucam głowę i spoglądam mu w oczy, a przez myśl przechodzi mi tak wiele rzeczy, że nie potrafię wykrztusić słowa, więc po prostu zaczynam się śmiać. Patrzy na mnie dziwnie, a ja wykorzystuję ten moment zaskoczenia, żeby chwycić go za kark i przyciągnąć do siebie.

W ułamku sekundy wpijam się w niego ustami.

Mój język wsuwa się między jego rozchylone wargi i łączy się z jego językiem. Jego napięte

usta zdradzają zaskoczenie, które znika w chwili, gdy naśladowując mój gest, zaczyna bawić się moimi włosami i zatapia się w delikatnym i czułym pocałunku. Odpowiadam na jego pytanie ruchami języka, zadowolonymi gardłowymi jękami i wiecznym nienasyceniem jego osobą.

I chociaż wcale nie czuję się zaspokojona, odrywam się od jego usta i spoglądam w jego oczy.

— Kocham cię, Coltonie Donavanie, z bardzo wielu powodów. — Muszę przerwać, bo opanowują mnie emocje, a chciałabym, żeby widział moje oczy, bo wtedy będzie z całą pewnością wiedział, dlaczego czuję to, co czuję.

— Kocham cię za to, kim jesteś, za to, kim nie jesteś, za to, skąd się wziąłeś, i za to, dokąd zmierzasz. — Uśmiecham się łagodnie do niego, do mojego ukochanego mężczyzny, i pozwalam sobie poczuć wszystko to, o czym mówię. — Kocham twój mały chłopięcy uśmiezek ukrywający się pod szyderczym wyrazem twarzy złego chłopca. Kocham cię, bo dopuściłeś mnie do środka, oddałeś mi

swoje serce, powierzyłeś mi swoje sekrety i
pozwoliłeś mi zobaczyć oblicze, którego nikt
inny wcześniej nie widział... *Pozwoliłeś mi być
twoją pierwszą.* — Głos mi się łamie przy ostatnich
słowach,

a
w
moich
oczach
wzbierają
łzy,
bo
jestem
kompletnie
obezwładniona emocjami.

— Kocham cię za uwielbienie dla waty
cukrowej i seksownych samochodów. Kocham
ten dołeczek... — Nachylam się i kładę
pocałunek w miejscu, gdzie się znajduje. — I
kocham to — dodaję, przeciągając dłonią po
jego zaroście. — I uwielbiam na nie patrzeć,
gdy unosisz się nade mną, zanim we mnie
wejdiesz — mówię, ściskając jego bicepsy, a
on je napina i błyska uśmiechem. — Ale

najbardziej ze wszystkiego Kocham to, co

kryje się tutaj. — Nachylam się i całuję go w pierś. Czuję pod ustami łomotanie jego serca.

Zostaję tak przez chwilę, po czym podnoszę

wzrok i patrzę na niego spod rzęs, żeby podać

najważniejszy powód. — Bo to, co kryje się

tutaj, jest czyste, dobre i tak niewiarygodnie

piękne, że nie potrafię tego wyrazić i nie

wiem, co powiedzieć, tak jak dzisiaj... i tak jak

teraz.

Widzę pulsujący mięsień jego szczęki, gdy

stara się przyjąć wszystko, co właśnie mu

powiedziałam. Patrzymy sobie w oczy, nasze

dusze są obnażone, a serca płoną tak silną

akceptacją,

że

zatracamy

się

w

niewypowiedzianych słowach.

Nagle on przyciąga mnie do siebie, obejmuje i

mocno przytula.

— *Kurwa, Kocham cię* — mówi, chowając

twarz w mojej szyi. Czuję jego nierówny

oddech, gdy próbuje odzyskać panowanie nad

sobą.

Przywieramy do siebie, a desperacja jego
dotyku i jego słowa cementują wszystko, co
jest między nami.

— O to mi właśnie chodziło — szepcze,
składając pocałunek na mojej szyi niedaleko
ucha.

—

Dzisiejszy

wieczór

miał

być

poświęcony tobie, a ty i tak dałaś mi tak wiele,
że praktycznie nie potrafię złapać tchu.

Odchyła się ogarnięty emocjami. Widzę w jego
wzroku małego chłopca, dorosłego mężczyznę
i zbuntowanego łobuza, którzy patrzą na mnie
z bezwarunkową miłością. Bierze głęboki
wdech i z trudem przełyka ślinę.

— Nie da się być obok ciebie, Ry, i nie zostać
w jakiś sposób poruszonym. Przez połowę
czasu nie wiem, co powiedzieć, a mój
pieprzony żołądek zwija się w supły. —

Potrząsa głową, a ja uśmiecham się do niego,

poruszona tymi komplementami. Wyciąga dłoń

i odgarnia kosmyk z mojej twarzy. — Kochałaś

mnie

w

najmroczniejszych

chwilach

—

szepcze, a mnie zapiera dech.

Brutalna rzeczywistość jego słów sprawia, że

dostaję gęsiej skórki i nie wiem, co

powiedzieć. Patrzy na mnie wilgotnymi oczami

i

przygryza

dolną

wargę,

szukając

odpowiednich słów do wyrażenia swoich

emocji.

— Kochałaś mnie, gdy się nienawidziłem. Gdy

cię odpychałem i próbowałem skrzywdzić,

żebyś nie zobaczyła... mojej przeszłości.

Zaakceptowałaś mój strach i pokochałaś go. —

Potrząsa głową. — A do tego chwyciłaś mnie

za

jaja,

postawiłaś

swoje

warunki

i

powiedziałaś: „*Bez żadnych wykrętów*”. —

Śmiejemy się z tych słów, a ich zabawność

pozwała nam rozładować trochę energii

skumulowanej w tej intensywnej konwersacji.

— Tak na marginesie, to nadal obowiązuje —

stwierdzam z uśmiechem, a on nachyliła się i

muska moje usta.

— Ja... — wzdycha. — Ry, dałaś mi tak wiele i

dzisiaj chciałem ci pokazać, że to widzę.

Przyjmuję to i czuję do ciebie to samo. —

Przeczesuje dłonią włosy i zamyka na chwilę

oczy, a po chwili na jego ustach pojawia się

uwielbiany przeze mnie nieśmiały uśmiech.

Zaczyna mówić, lecz przerywa, bo emocje

więzną mu w gardle. Podnosi wzrok i patrzy

mi w oczy.

— Dałaś mi nadzieję, gdy myślałem, że jestem

beznadziejny.

Pokazałaś

mi,
że
nieposłuszeństwo jest seksowne jak diabli, że
krągłości są moim kryptonitem i że *pieprzyć blondynki*,
bo
brunetki
są
znacznie
zabawniejsze. — Śmieję się, zadowolona z
powrotu mojego aroganckiego złego chłopca.
Pociera dłonią twarz i słyszę delikatne
skrobanie zarostu. — Gadam bez ładu i
składu... niezbyt to wszystko sensowne, ale nie
wychodź.
— Nie ma innego miejsca, w którym
wolałabym teraz być, Colton — odpowiadam, a
on prowadzi mnie do szezlongu i sadza na nim.
Kłęka przede mną, między moimi nogami,
obejmując mnie w pasie.
— Ry, spytałem cię, dlaczego mnie kochasz, ale
tak
naprawdę
chciałem
ci

powiedzieć

wszystkie powody, dla których ja ciebie
kocham. To dla mnie ważne, żebyś nie wątpiła
w moje uczucia do ciebie... bo, kurde, Ry,
zwaliałaś mnie z nóg. Reprezentujesz jedyną
rzecz, której nigdy nie chciałem i której nigdy,
przenigdy się nie spodziewałem, a bez której
teraz nie mogę żyć. — Śmieje się z własnego
wyznania, a mój uśmiech też się poszerza. —
Prowokowałaś mnie, kusiłaś, zmuszałaś do
konfrontacji z prawdami, z którymi nie
chciałem się zmierzyć, i jesteś uparta jak osioł,
ale Boże, kochanie, nie chciałbym, żebyś się
zmieniała. Nie chciałbym, żeby *między nami*
coś się zmieniało.

Kładzie dłonie na moich ramionach i pieści
kciukami zagłębienia nad obojczykami. Potem
potrząsa głową.

— Myślę, że zawsze przeczuwałem, że jesteś
dla mnie kimś *więcej*... ale to, że cię kocham, uświadomiłem sobie na tej imprezie Kids
Now...

gdy

stałaś

w

tym

ogrodzie

i

sprowokowałaś mnie do podjęcia ryzyka...

sprowokowałaś mnie do pokochania cię — głos

mu się łamie od emocji związanych z tamtą

nocą.

— A potem pokazałeś mi Sex i uprawialiśmy na

niej seks — dodaję ze śmiechem, a on wydaje z

siebie

diabelnie

podniecający

gardłowy

pomruk.

— Kurwa, Ry, klatka schodowa, maska

samochodu, wata cukrowa, to wszystko

sprawiło, że nie mogłem przestać o tobie

myśleć — mówi przeciągle.

— Taki był mój plan od samego początku —

drażnię się.

— Doprawdy? Czyli przez cały ten czas to była

twoja gra?

— Uhm — potwierdzam. — Cóż, nie możesz

się gniewać na swoje karty — śmieję się. —

Witaj w pierwszej lidze, As — dodaję bez

zastanowienia,

a

mój

sarkazm

zostaje

nagrodzony

uwielbianym

przeze

mnie

uśmiechem. Potrząsa głową, muska mnie

ustami, po czym, ku mojemu zaskoczeniu,

pogłębia pocałunek. Jego język kusi i wabi,

wzniecając płomień pożądania, od którego

kurczą się wszystkie mięśnie na południe od

mojego pasa. Odrywa się równie nagle.

— Widzisz — szepcze — za to właśnie cię

kocham. Nie za wielkie rzeczy, które robisz,

lecz za miliony pierdolonych drobiazgów, z

jakich nawet nie zdajesz sobie sprawy. Za to,

że rozśmieszasz mnie, bo wiesz, że czuję się

nieswojo, mówiąc o takich rzeczach, i

akceptujesz to. Za to, że dzięki tobie widzę

świat w innym świetle, czego przykładem są

lody na śniadanie i naleśniki na kolację. —

Potrząsa głową i spuszcza wzrok na chwilę.

— A ja kocham cię właśnie za to — mówię. —

Bo chociaż czujesz się nieswojo, mówiąc o

tych rzeczach, to wiesz, że chcę je usłyszeć, i

się starasz... A dzisiaj to już w ogóle zwałeś mnie z nóg. To było idealne i ty byłeś idealny.

— Daleko mi do ideału, Ry — mówi z

autoironicznym śmiechem.

Wyciągam dłoń i przejeżdżam wzdłuż jego

policzka.

— Na swój specyficzny sposób dla mnie jesteś

idealny, Colton.

Uśmiecha się łagodnie, a jego oczy nagle robią

się intensywne i poważne.

— Nie, chyba nie rozumiesz, Ry, a ja nie wiem,

jak inaczej ci to powiedzieć... — Znowu ujmuje

moją twarz w drżące dłonie i patrzy mi prosto

w oczy. — Chcę być twoją flagą w

szachownicy, Rylee. Twoim samochodem

bezpieczeństwa prowadzącym cię w ciężkich

chwilach, twoim pit stopem, gdy będziesz

potrzebowała przerwy, twoim startem, twoją

meta

i

twoim

pieprzonym

zwycięskim

okrążeniem.

Nie wiem, co powiedzieć, bo jego słowa

zaspokajają

potrzebę,

którą

czułam

od

naszego

pierwszego

spotkania.

Chociaż

starłam się walczyć z uczuciami w tę feralną

noc, to pragnęłam być jego. Pragnęłam

znacznie więcej niż lizanka w korytarzu za

kulisami.

Pragnęłam

całego

pieprzonego

wyścigu.

— Twoim trofeum — dodaję z lekkim

uśmiechem,

przypominając

sobie

naszą

rozmowę po pierwszym spotkaniu. Wiem, że

on też to pamięta, bo odpowiada mi takim

samym uśmiechem.

— Nie — szepcze, nachylając się i muskając

moje usta. — Jesteś dla mnie czymś więcej niż

trofeum, Rylee. Po zakończeniu zabawy trofea

stają się nieistotne... Ale ty? *Niemożliwe,*

żebyś stała się nieistotna. — Czuję, że jego usta układają się w uśmiech.

— Nie, ty i ja razem... *to sprawi, że będziesz*

mój — odpowiadam z uśmiechem, dorzucając coś od siebie z naszej przeszłości.

— Dobrze — przyznaje, odchylając się z

diabelskim uśmieszkiem na swojej przystojnej

twarzy. — Moja kolej — stwierdza, zwilżając

językiem usta. — Czyją dupę muszę skopać,

zanim będę to mógł ogłosić? — mówi ze

śmiechem i z wyzywającym spojrzeniem.

Potrząsam głową z uśmiechem, a on błędzi

palcem po moim ramieniu i czeka, aż rzucę

swoim tekstem. Jego dotyk mnie rozprasza,

ale pamiętam.

— Co ogłosić, panie Donavan? — pytam,

mrugając rzęsami. Patrzę mu w oczy i
zaskakuje mnie intensywność jego spojrzenia.

— *To, Rylee* — szepcze. — *To ogłosić* —
powtarza.

Nagle brakuje mi tchu i odruchowo zasłaniam
dłonią

usta,

bo

zauważam

błyszczący

pierścionek zaręczynowy. Cieszę się, że

siedzę, bo cały świat nagle zaczyna wirować

mi przed oczami. Jedyne, na czym potrafię się

skupić, to blask mężczyzny przede mną, który

chce dopełnić mój świat. Świat, którego

istnienia nawet nie podejrzewałam.

Przypominam

sobie

o

konieczności

oddychania, ale nadal nie wierzę w swoją

zdolność formułowania zdań, więc po prostu

na niego patrzę. Mam gęsią skórę na całym

ciele, mimo że zalewa mnie ciepło jego miłości.

Wpatruję się w niego zamglonymi przez łzy oczami i kiwam głową zszokowana. Nie odrywam od niego wzroku, bo wiem, że ta chwila znaczy dla niego równie wiele jak dla mnie.

— Ogłośmy oficjalnie, że jesteśmy razem, Rylee — prosi zdecydowanym tonem, chociaż jego dłonie drżą.

Skoro jest tak zdenerwowany, to najwyraźniej znaczę dla niego tak wiele, że boi się, iż mogłabym się nie zgodzić.

— Powiedziałem ci kiedyś, że jeśli nie będę w stanie wypowiedzieć oczekiwanych przez ciebie słów, to zrobię wszystko, żeby udowodnić ci swoje uczucia. Cóż, teraz potrafię już mówić te słowa. Ty mnie tego nauczyłaś. Kocham cię. — Patrzy mi w oczy, ale ja nie potrafię się powstrzymać i spuszczam wzrok na ten uwielbiany przeze mnie nieśmiały uśmiech. — Kocham to, kim jesteś, i to, do czego mnie motywujesz.

Kocham to, że jesteś iskrą, która zniwelowała rozmycie. Kocham to, że chcesz się ze mną wyścigować. I to, że nie potrzebuję już

superbohaterów, bo mam ciebie.

Potrząsa nieznacznie głową i śmieje się

nerwowo.

— Kurwa, mamy już za sobą *na dobre i na złe*

oraz *w zdrowiu i w chorobie*. Zostało nam jeszcze *póki śmierć nas nie rozłączy*. Spędź ze mną życie, Ryles. Zaczynaj ze mną. Skończ ze

mną. Dopełnij mnie. Bądź moją jedyną

pierwszą. Bądź moim zwycięskim okrążeniem

i moją flagą w szachownicę, bo ja na pewno

będę tym dla ciebie, jeśli mi pozwolisz.

Wyjdiesz za mnie, Ry?

Łzy płyną po naszych twarzach. Jestem pod

takim wrażeniem piękna jego słów i jego

otwartej duszy, że nie potrafię nic wykrztusić,

więc postanawiam mu to pokazać. Nachylam

się i przyciskam usta do jego ust, wkładając

całą duszę w ten słony od łez pocałunek.

Nagle doznaję głupawki i zaczynam chichotać

w jego usta. Emocje biorą nade mną górę. Nie

potrafię się powstrzymać. Odchylam się i

ocieram łzy wierzchem dłoni.

— Dobijasz mnie, Ry... — mówi drżącym

głosem, w którym irytacja miesza się z

niepokojem. Nie odrywa ode mnie wzroku, a

jego błagalne spojrzenie uświadamia mi, że

choć znam odpowiedź, to jeszcze mu jej nie powiedziałam.

— Tak, Colton — mówię przepełnionym radością głosem, a po policzkach płynie nowy strumień łez. — Tak, wyjdę za ciebie.

— Dzięki Bogu! — Wzdycha i potrząsa głową, patrząc na mnie z absolutnym uwielbieniem.

Nie odrywam od niego wzroku, ale on bierze moją dłoń i spogląda w dół. Patrzę za nim i widzę, jak wsuwa mi na palec serdeczny pierścionek z diamentem w szlifie „cushion” otoczonym małymi diamencikami.

Patrzymy na niego w milczeniu, obezwładnieni potęgą tej chwili. Pierścionek jest piękny i ogromny, ale tak naprawdę wystarczyłaby mi zwykła złota obrączka, bo gdy podnoszę wzrok, mam przed oczyma swoją prawdziwą nagrodę.

Ciemne

włosy,

zielone

oczy,

zarośnięte policzki... i serce, które zdobyło

moje ciało, mój umysł i moją duszę.

— Kocham cię — szepczę.

— Ja też cię kocham — odpowiada i całuje mnie w usta, po czym nieoczekiwanie odrzuca głowę, wybucha śmiechem i wrzeszczy na całe gardło: — Zgodziła się!

Wzdrygam się na jego krzyk, ale po chwili wszystko rozumiem, bo słyszę wiwaty z dołu, i szybko podbiegam do poręczy. Spoglądam w dół i z zaskoczeniem odkrywam, że na dolnym tarasie jest pełno ludzi i wszyscy się na nas patrzą. Wszyscy, których dzisiaj spotkałam, a do tego moi rodzice i rodzice Coltona.

Wiwatom i gwizdom nie ma końca. Nie mam wyjścia, potrząsam głową i przyjmuję ich radość. Macham do nich i wyciągam dłoń, żeby pokazać pierścionek.

Potem odwracam się do Coltona i daję się pochłonać emocjom. Kocham go całym sercem.

Bez pytań, bez wątpliwości, bez obaw.

— Hej, Ryles — mówi, przyciągając mnie do siebie. — Jeśli mają się gapić... — Unosi brew i uśmiecha się, gdy dostrzega pierścionek na mojej lewej dłoni spoczywającej na jego bicepsie.

Odrzucam głowę i wybucham śmiechem, po

czym dokańczam za niego.

—

To

możemy

im

dać

porządne

przedstawienie.

Kurwa, kocham cię, moja przyszła pani

Donavan — stwierdza przeciągle.

Czuję ciarki na kręgosłupie i uśmiecham się, a

on zaczyna mnie całować.

Wiwaty urastają do poziomu zamieszek

ulicznych, ale ja słyszę tylko cichy gardłowy

jęk Coltona. Czuję każde miejsce, w którym

nasze ciała się dotykają. Całe moje ciało

ogarnia fala ciepła, która zadomawia się w nim

na stałe.

Wszystko inne przestaje istnieć.

Ludzie pod nami.

Świat na zewnątrz.

Bo wszystko, czego potrzebuję, mam teraz w

ramionach.

Mamy coś, czego oboje nie chcieliśmy i bez

czego już nie potrafimy żyć.

Siebie nawzajem.

[1] Chodzi o słowa: „Have you ever thrown a fist full of glitter in the air?”, czyli: „Czy zdarzyło ci się kiedyś rzucić w powietrze

garść brokatu?” — *przyp. tłum.*

[2] „There you are... sugar” — „Tu jesteś, siedzisz w ogrodzie z moją kawą w dłoniach i mówisz do mnie »cukiereczku«” — *przyp.*

tłum.

Rozdział 44.

Rok później

Spóźniasz się. Co ty sobie myślisz, że jesteś jakąś panną młodą czy co?

Śmieję się z jego SMS-a i próbuję odpisać, ale

nie pozwalają mi trzęsące się dłonie. Nie

potrafię ich uspokoić, ale muszę to zrobić, bo jeśli moja mama je zobaczy, pomyśli, że się

denerwuję, i przypuszczalnie uzna, że mam

wątpliwości i chcę się wycofać.

Nic bardziej mylnego.

Bo jestem w stu procentach zdecydowana. Nie

mogę się doczekać, kiedy go zobaczę, pocałuję

i stanę się *oficjalnie* jego. Wręcz podskakuję z ekscytacji. Czuję motylki w brzuchu, bo tak

chciałabym już zobaczyć jego twarz, gdy ujrzy

mnie po raz pierwszy. To będzie chyba

najlepsza część wesela.

Spoglądam na telefon i odpisuję:

Mogę się spóźnić, jeśli chcę. To mój ślub.

Reguła numer jeden: panna młoda — żona —

ma zawsze rację. Bez żadnych wykrętów.

Patrzę przez okno naszej sypialni na dolny taras, który został przerobiony na tropikalny raj. Wszyscy zajmują swoje miejsca: najbliższa rodzina, nasi przyjaciele i wystrojeni w jednakowe smokingi chłopcy.

Cieszę się tymi cichymi chwilami między szaleństwem poranka a chaosem, który z całą pewnością wkrótce nastąpi. *To moje ostatnie chwile jako Rylee Thomas.* Jestem na biało, cała w koronkach, dopieszczona do perfekcji, poza jedną rzeczą, na którą sama się uparłam.

Patrzę w lustro na szarfę w biało-czarną szachownicę, owiniętą wokół mojej talii i spływającą z tyłu. Moja mała oda do Coltona i nasz prywatny żart.

Telefon bżyczy.

Jeszcze nie jesteśmy po ślubie, a Ty już stawiasz warunki? Prosisz się o to, żeby Cię zerznąć i pokazać, kto tu rządzi. Moja reguła numer jeden: niezależnie od tego, co napiszesz, w sypialni to ja ustalam reguły.

Śmieję się, bo moje ciało jest w stanie tak chronicznej żądz, że jeden jego dotyk wywołałby eksplozję rozkoszy. Myślę sobie o

mojej bieliźnie w szachownicę i gardłowym pomruku Coltona, gdy ją zobaczy. Desperacko pragnę, żeby ta część już nastąpiła, bo nie pozwalałam mu się dotykać przez ostatni miesiąc, nie zwracając uwagi na jego prośby i błagania. A gdy postanowiłam złamać własne reguły, poddać się pożądaniu i uprawiać z nim seks, odrzucił mnie. Usłyszałam tylko: „*Witaj w pierwszej lidze*” .

As, zdominowałeś mój umysł, serce i duszę...

Sypialnia to tylko dodatkowy bonus. Poza tym od kiedy stosujesz się do reguł?

Klikam „wyślij” i uśmiecham się do swojego odbicia. Włosy zebrane u góry poza paroma luźnymi lokami, oczy jasne i pozbawione wątpliwości. Jestem w pełni gotowa wziąć ślub z mężczyzną, z którym chcę spędzić resztę życia. Mój wzrok pada na przedmiot, który jest elementem przesądów ślubnych. Od razu chwytam za telefon i piszę.

Prezent bardzo mi się podoba. Nie trzeba było. Dziękuję. Nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę.

Chcę nacisnąć „wyślij”, ale się powstrzymuję.

Muszę mu to przekazać w *nasz sposób*, więc dopisuję:

Katy Perry, Unconditionally

Myślę o nim i przebiegam palcami po
bransoletce na moim nadgarstku. To prezent,
który zostawił mi na komodzie. Gdy go
otworzyłam, moja mama zmarszczyła brwi,
lecz ja wybuchłam śmiechem, widząc litery
alfabetu przeplatane diamentami i szafirami.

Coś niebieskiego i coś nowego.

Potem patrzę na diamentowe kolczyki, które
moja mama miała na sobie, gdy wychodziła za
tatę. Mam nadzieję, że nasze małżeństwo
będzie równie szczęśliwe i pełne miłości.

Coś starego.

Czuję ściskanie w sercu, gdy przypominam

sobie

wyraz

twarzy

Haddie,

która

zaoferowała mi wczoraj prostą tiarę. „Jesteś

jedyną siostrą, jaka mi została. Chciałabym,

żebyś to założyła”.

Coś pożyczonego.

Zamykam na chwilę oczy, bo zalewa mnie fala

emocji, gdy o tym wszystkim myślę. Chcę

zapamiętać, jak się teraz czuję — niemożliwie
podekscytowana, na progu poważnej zmiany w
życiu. Moje myśli wracają do mężczyzny, z
którym
pragnę
spędzić
resztę
życia.

Mężczyzny, który złapał mnie pierwszego dnia
i mimo paru wybojów nigdy nie wypuścił, a ja
coraz bardziej się w nim zakochiwałam.

Każdego dnia.

Co on teraz myśli i jak się czuje? Jest
roztrzęsiony? Zdenerwowany? Czy jest tak
samo pewny swojej decyzji jak ja?

Znowu bzyczy telefon.

*Przyzwyczaj się do rozpieszczania. Już
niedługo się zobaczymy. Wiesz, jak bardzo Cię
kocham, bo odrywam sobie jaja na chwilę,
żeby napisać tytuł tej piosenki. Beyonce, Halo.
Brr. Jaja wracają na miejsce. BTW: tu jest pełno
wystrojonych
kobiet,
skąd*

mam

wiedzieć, która z nich to Ty?

Słowa piosenki uderzają mnie w tym samym momencie co jego sarkazm. Wrywa mi się szloch, a moje ciało nie potrafi zdecydować, za którą emocją podążyć. Postanawiam pozwolić sobie na wszystkie emocje, bo tylko raz w życiu zdarza się taki dzień.

A ponieważ pozwalam sobie na wszystkie emocje, uświadamiam sobie, że desperacko go pragnę. Cieszę się ze wszystkich gości, ale nie obchodzi

mnie

cała

ta

pompa

i

ceremonialność,

bo

najważniejszy

jest

mężczyzna, który będzie na mnie czekał na

środku.

Biorę telefon po raz ostatni i odpisuję z

uśmiechem:

Będę na biało.

Pukanie do drzwi wrywa mnie z zamyślenia.

— Proszę.

— Jesteś gotowa, kochanie?

Głos mojej mamy na nowo wzbudza szalejącą

we mnie burzę emocji i znowu muszę walczyć

z palącym uczuciem w gardle. Powtarzam

sobie, że nie mogę płakać, bo zepsuję cały

makijaż, ale to bezcelowe. Przez ostatnie trzy

i pół roku wypłakałam się za całe życie, więc mam teraz prawo zrujnować makijaż łzami

radości.

— Tak, jestem. — Odwracam się do mamy i

uśmiecham się lekko, tak jak ona. Patrzy na

mnie, a w jej niebieskich oczach duma jest

zabarwiona nutką smutku, że musi mnie

oddać. — Nie zaczynaj — ostrzegam, bo wiem,

że jeśli ona zacznie płakać, to ja też nie

wytrzymam.

— Wiem. — Pociąga nosem ze śmiechem, po

czym ujmuję moją twarz w dłonie i spogląda mi

prosto w oczy. — To jest ten jedyny, Ry. Matki

wiedzą takie rzeczy. — Kiwa głową z łagodnym

uśmiechem na twarzy, po czym odpowiada na

pytanie, które widzi w moich oczach. —

Tańczy z tobą w deszczu. Stąd wiem.

Po raz kolejny przełykam łzy, bo przypomina

mi się jej porada, gdy wychodziliśmy ze

szpitala. O tym, że w życiu nie chodzi o to, żeby przetrwać sztorm, lecz o to, żeby umieć

tańczyć

w

deszczu.

Gdybym

miała

jakiegokolwiek wątpliwości, rozplynęłyby się w

powietrzu po tej prostej uwadze.

Nie ma to jak błogosławieństwo matki, dzięki

któremu ta chwila jest jeszcze piękniejsza.

Już mam coś odpowiedzieć, gdy przez drzwi

wpada Haddie.

— Czas pomachać flagą, kochana, ołtarz

czeka! — oznajmia i gwizdże. — A niech mnie,

kobieto!

— Dzięki — śmieję się, a Haddie razem z moją

mamą

zaczynają

zbierać

moją

suknię.

Ruszamy w stronę schodów przy dźwiękach piosenki *A Thousand Years*, granej na dole na gitarze akustycznej. Słowa tej piosenki wyrażają wszystko, co czuję do czekającego na mnie mężczyzny.

Quinlan daje mi sygnał, że Colton jest na miejscu i że mnie nie widzi. Mama i Haddie pomagają mi z trenem, żebym mogła zejść po schodach, nie potykając się i nie skręcając kostki. Na dole mama przytula mnie mocno, po czym odchyła się i uśmiecha, a jej oczy są wilgotne od emocji.

— Wiem — szepczę do niej i potakuję, a Shane odprowadza ją na jej miejsce.

Czuję czyjąś rękę na ramieniu i odwracam się.

Tanner

wygląda

bardzo

przystojnie

w

smokingu. Patrzy mi prosto w oczy i potrząsa głową.

— Cóż, to nie to samo co w domu babci —

drażni się z miłością w oczach i bierze mnie za rękę. — Jesteś gotowa to zrobić, mała?

Energicznie kiwam głową, bo emocje więzną mi w gardle, gdy przypominam sobie, jak bawiliśmy się w ślub w domu naszej babci.

Mieliśmy żelkowe obrączki, a misie pełniły rolę gości.

— W stu procentach — odpowiadam i całuję go w policzek, a w oczach mojego zwykle opanowanego brata wzbierają łzy.

—

Wyglądasz olśniewająco

—

mówi, potrząsając głową z niedowierzaniem, i oddaje mi całusa.

— Tato? — pytam i oglądam się za siebie.

— Próbuje się pozbierać — odpowiada Tanner, puszczając mi oczko. — Nie co dzień zdarza się oddawać komuś swoją małą córeczkę. Daj mu jeszcze chwilę. — Kiwam głową w odpowiedzi, a Tanner odchodzi do Quinlan, która jest w kompletnej rozsypce. Odwraca się

do

mnie

i

potrząsa

głową,

milcząco

przekazując mi, że jeśli teraz podejdzie

pogadać, to obie się pobeczymy i już się nie

pozbiemy.

— Tu jest kobieta odpowiedzialna za tysiące

niewiast płaczących dziś w poduszki.

Odwracam się i widzę mężczyznę, którego

przez ostatni rok bardzo polubiłam.

— Becks — tylko tyle potrafię wykrztusić, ale

uwielbienie w moim głosie przekazuje mu

wszystko, co powinien wiedzieć. Uwielbiam go

z wielu powodów, szczególnie za to, że

popchnął nas do siebie, gdy myśleliśmy tylko o

tym, żeby od siebie odejść.

— Hej, ślicznotko — mówi. — Masz jeszcze

czas, żeby uciec, jeśli chcesz. Jego ego jeszcze

bardziej urośnie, gdy dostanie dzisiaj główną

nagrodę.

Serce mi się ściska na te słowa.

— Pod warunkiem, że ty będziesz prowadził samochód — prowokuję go i biorę głęboki wdech, żeby opanować emocje.

— Eee, skopałby mi za to dupę — śmieje się cicho i przytula mnie. — Czeka na ciebie — szepcze mi do ucha, po czym oddala się i kiwa głową.

Idealnie trafia ze swoimi słowami, bo nagle wszystko staje się takie prawdziwe. Muzyka. Haddie i Quinlan w klasycznych czarnych sukniach z kolorowymi bukietami w rękach. Tanner, który kołysze się na piętach i próbuje zachować spokój, lecz czeka niecierpliwie na przyjęcie, żeby ściągnąć muszkę. Dźwięk gitary. Szum otoczenia. Serce łomoczące z niewyobrażalnego zniecierpliwienia.

Jestem w stu procentach gotowa.

Haddie podchodzi bliżej. Moja najlepsza przyjaciółka ze łzami w oczach zaczyna poprawiać mój tren. Gdy kończy, spogląda na mnie z uśmiechem.

— Pamiętaj, w małżeństwie bywa ciężko. W takich chwilach ubierz sukienkę z suwakiem na plecach.

Patrzę na nią, jakby oszalała.

— Będzie musiał cię dotknąć, żeby pomóc ci się rozebrać, a to, co znajdzie pod spodem, sprawi, że zapomni, o co się wkurzył. — Unosi brwi. — I wtedy zaczniesz się najlepsze, czyli *seks na zgodę* — mówi ze śmiechem, a ja przewracam oczami.

— Dzięki, Had — odpowiadam, potrząsając głową, bo chociaż jestem pewna tego, co zamierzam zrobić, żołądek właśnie opadł mi do stóp.

— Kocham cię, Ry. — Przyciska usta do mojego policzka, a ja przygryzam wargę i potakuję. — Jeden na szczęście — szepcze.

— I jeden na odwagę — szepczę w odpowiedzi i także całuję ją w policzek. Tym razem nie potrzebuję tequili, bo jestem wystarczająco odurzona nadmiarem emocji.

Rusza w stronę Becketta, bo Quinlan i Tanner rozpoczęli pochód do przodu, ale zatrzymuje się i odwraca do mnie.

— Hej, Ry?

— Tak?

— Dzisiejszy dzień będzie niewiarygodnie szybki. Wszystko przeleci z prędkością dwustu

kilometrów na godzinę. Dopilnuj, żeby się
zatrzymać i to wszystko wchłonąć, żebyś
dobrze zapamiętała pierwszy dzień reszty
waszego życia.

Po tych słowach nie mogę złapać oddechu, bo z
całych sił powstrzymuję się od płaczu. Kiwam
głową i wzdycham głośno, próbując się
pozbierać.

Patrzemy

sobie

w

oczy,

przekazując

mnóstwo

niewypowiedzianych

słów. W końcu odwraca się, obejmuje Becksa i
razem ruszają do przodu.

Wychyłam się zza zasłony, bo chcę wszystko
widzieć i wszystko zarejestrować, ale moje
oczy instynktownie zaczynają szukać Coltona.

Niestety z mojego miejsca go nie widzę, więc
rozglądam się wśród przyjaciół i rodziny.

Zespół

Coltona,

moi
współpracownicy,
członkowie naszych rodzin — wszyscy siedzą
na krzesłach i patrzą, jak moja najlepsza
przyjaciółka i najlepszy przyjaciel Coltona
przechodzą środkiem do przodu. Łapię
spojrzenie Dorothei, która uśmiecha się i
bezgłośnie mówi „ślicznie”, a potem szturcha
Andy’ego, który od razu odwraca głowę.
Patrzemy sobie w oczy przez chwilę. Andy
dyskretnie kiwa głową, a jego twarz wyraża
podziw i wdzięczność.

— Jesteś gotowa, córeczko?

Słyszę za sobą głos mężczyzny, z którym
porównywałam wszystkich swoich facetów, i
czuję, że zaraz pękne. Odwracam się i patrzę
na
ojca,
który
wygląda
niewiarygodnie
przystojnie. Całe moje ciało drży na myśl, że
dzisiaj przestanę być jego małą córeczką.
Wzdycham ciężko, a on patrzy na mnie i nie

potrafi ukryć wzbierających w kącikach oczu łez.

— Dobrze się spisałaś, Ry. — Kiwa głową, a jego silny podbródek drży z emocji.

Pierwsza łza spływa po moim policzku, gdy słyszę to, co każda dziewczyna pragnie usłyszeć od swojego ojca — słowa aprobaty.

Szczególnie w kwestii osoby, z którą planuje spędzić resztę życia.

— Dzięki, tato. — Nie mogę wykrztusić nic więcej, bo runie tama i popłyną łzy. Wiem, że on czuje się tak samo, bo oboje odwracamy wzrok.

Zaczyna się *Kanon* Pachelbela i czuję dreszcze na całym ciele. To mój znak. Tato wyciąga do mnie łokieć, a ja chwytam go, powierzając mu się po raz ostatni. Zawsze będzie moim bohaterem i źródłem życiowych porad, ale czas ruszyć w stronę mężczyzny, z którym będę tworzyć nowe wspomnienia.

To moja przyszłość.

Początek nowej bajki.

Moje „żyli długo i szczęśliwie”.

— Wyglądasz naprawdę pięknie — szepcze do mnie, gdy przekraczamy próg, a moje oczy przesłaniają się łzami. — Twój mąż na ciebie

czeka.

To słodko-gorzkie pożegnanie ojca ze swoją córeczką niemal przerywają tamę, ale udaje mi się przełknąć łzy i opanować.

Biorę głęboki wdech i patrzę na kolorowe płatki róż rozsypane na białym dywanie w przejściu. Mrugam powiekami, żeby rozpędzić łzy, bo gdy podniosę wzrok, by spojrzeć na Coltona po raz pierwszy, chcę, żeby był wyraźny, nierozmazany i idealny.

Taki jak miłość, którą do niego czuję.

Robimy pierwszy krok. Słyszę poruszenie wśród gości, którzy wyciągają szyje, żeby mnie zobaczyć, i szepczą między sobą, gdy im się to udaje. Słyszę dźwięki skrzypiec i odgłosy migawek aparatów. Czuję swój łomoczący puls i drżenie ręki mojego ojca, gdy wykonujemy ten najważniejszy w życiu wspólny spacer.

Zapach kwiatów rozrzuconych na tarasie miesza się z łagodną oceaniczną bryzą.

Próbuję wchłonąć to wszystko zgodnie z radą

Haddie,

żeby

zapamiętać

każdy,

nawet

najdrobniejszy szczegół.

Przede wszystkim jednak słyszę syk wdechu

Coltona, kiedy pojawia się w jego polu

widzenia. Nie mogę już dłużej czekać. Każda

część

mojego

ciała

wibruje

ze

zniecierpliwienia.

Podnoszę wzrok.

Moje stopy nadal się poruszają.

Ale serce staje w miejscu. A potem znowu

rusza.

Patrzę Coltonowi w oczy, wchłaniam jego

oszołomiony wyraz twarzy i oddech więźnie mi

w gardle. Mężczyzna, który zawsze był tak

pewny siebie, wygląda, jakby świat się

zatrzymał, skręcił i poleciał w inną stronę.

Zabawne jest to, że... *tak właśnie się stało*, zaczynając od chwili, kiedy pierwszy raz

wpadłam w jego ramiona.

Nie odrywamy od siebie wzroku. Nawet gdy

całuję ojca w policzek, a on wymienia z

Coltonem uścisk dłoni, po czym siada obok
mojej mamy. Nawet wtedy, gdy Colton bierze
mnie za dłonie, potrząsa głową i chichocze.

— Niezła flaga w szachownicę — mówi.

— Bałam się, że nie będziesz w stanie mnie
rozpoznać — żartuję i po raz pierwszy tego
dnia czuję, że mogę odetchnąć. Serce łomocze
mi w piersi i drżą mi dłonie, lecz w końcu
jestem z nim.

— Kochanie, znalazłbym cię, nawet gdybym
był ślepy. — Na jego ustach pojawia się ten
uśmiech, ten, który rozświecła jego oczy i
rozgrzewa moją duszę. Zatracam się w jego
oczach

i
przekazywanych

przez

nie
niewypowiedzianych słowach i nie zauważam,
że oficjantka rozpoczęła już ceremonię.

Orientuję się dopiero wtedy, gdy Colton zerka
na nią, po czym wraca wzrokiem z powrotem
do mnie. Jego zielone oczy błyszczą od emocji,

a uśmiech łagodnieje.

— Rylee — mówi i potrząsa lekko głową,

zerkając

na

nasze

dłonie.

—

Byłem

człowiekiem, który pędził wyścigiem przez

życie i który nigdy nie myślał o miłości. Miłość

po prostu nie była dla mnie. Ale wtedy ty

zderzyłaś się ze mną. Zobaczyłaś we mnie dobro, chociaż ja nie potrafiłem go dostrzec.

Zobaczyłaś przyszłość, chociaż ja nic nie

widziałem. A gdy cię odepchnąłem, popchnęłaś

mnie dziesięć razy mocniej. — Chichocze

cicho. — Raz za razem okazywałaś mi swoje

serce. Nauczyłaś mnie, że flagi z szachownicą

są znacznie cenniejsze poza torem niż na nim.

Wprowadziłaś światło w moje ciemności swoją

bezinteresownością

i

zuchwałością...

—

Wyciąga dłoń i ociera kciukiem łzy, które w

milczeniu płyną po moich policzkach.

Ta osobista przysięga podkreśla głębię jego miłości. Mężczyzna, który się zapierał, że nie jest zdolny do miłości, potrafi kochać całym sercem.

— Dałaś mi życie, jakiego nie wiedziałem, że potrzebuję, Ry. Za to wszystko oddaję ci siebie całego. To, co złamane, to, co skrzywione, i wszystko inne. Oddaję ci się całym sercem, bez oszustw i bez zewnętrznych nacisków.

Ślubuję pisać ci w SMS-ach tytuły piosenek, żeby dotrzeć do ciebie, gdy nie będziesz mnie słuchać. Ślubuję wspierać twoją empatię, dzięki której jesteś tym, kim jesteś. Ślubuję prowokować cię do spontaniczności, bo łamanie reguł to coś, co najlepiej mi wychodzi

— mówi z uśmiechem, a po jego twarzy zsuwa się samotna łza. — Ślubuję ci, że będziemy bardzo często grali w baseball, żebyśmy zaliczyli wszystkie bazy. *Łącznie z czwartą!* — Ostatnie słowa mówi tak cicho, że tylko ja jej słyszę, i śmieję się przez łzy.

Nie mogę się już powstrzymać, więc wyciągam dłoń i głaskam go po policzku. Nie obchodzi

mnie, co ludzie pomyślą o tej przysiędze.

— A to... ten śmiech? Ślubuję rozśmieszać cię
każdego dnia. *I wywoływać westchnienia.*

Twoje westchnienia też lubię. — Puszczam ci
oczko. — Ślubuję, że nic w moim życiu nie
będzie ważniejsze od ciebie. Że nigdy nie
staniesz się nieistotna. I że ci, których
kochasz, będą moimi ulubieńcami. — Przy tych
słowach odwraca się w stronę rzędu, w
którym siedzą chłopcy. — Ślubuję być twoim i
oddawać ci całego siebie, chociaż wiem, że
całe życie to za mało, żeby okazać ci moją
miłość. To po prostu niewykonalne. —

Wzrusza ramionami, lecz głos mu drży, gdy to
mówi, a ja czuję niesłyszana radość w sercu.

— Ale cóż, mam całą wieczność, żeby
próbować. Chcesz tego?

— Tak! — wykrztuszam, a Colton wsuwa
obrączkę na mój palec. Całe moje ciało drży,
ale serce bije pewnie i spokojnie, a w głowie mam absolutną jasność.

— Kocham cię — szepcze.

Łzy spływają mi po twarzy, lecz nawet nie
próbuję ich zatrzymać. Colton jest rozdarty,
bo chciałby mnie przytulić i uspokoić. Zerka

na oficjantkę, pytając ją wzrokiem, czy może
mnie dotknąć. To takie urocze, że mężczyzna,
który nigdy nie przestrzegał reguł, boi się je teraz złamać.

Osuszam oczy chusteczką higieniczną podaną
mi przez Haddie i biorę głęboki wdech,
przygotowując się do wygłoszenia swojej
przysięgi.

— Colton, chociaż z całych sił próbowałam z
tym walczyć, myślę, że zakochałam się w tobie
już w chwili, gdy wypadłam z tej komórki
prosto
w
twoje
ramiona.

Absorbujące

Spotkanie. Dostrzegłeś we mnie iskrę, mimo że byłam wtedy pogrążona w żałobie.

Pokazałeś mi romantyzm, chociaż zarzekałeś
się, że w niego nie wierzysz. Nauczyłeś mnie
odczuwać, chociaż przez tak długi czas byłam
odrętwiała.

Potrząsam głową i patrzę na nasze dłonie, po
czym wracam do jego oczu.

—

Pokazałeś

mi,

że

blizny,

zarówno

wewnętrzne, jak i zewnętrzne, są piękne i że

można je nosić bez strachu. Pokazałeś mi

prawdziwego siebie i *wpuściłeś mnie do*

środka, chociaż przed wszystkimi innymi się zamykałeś. Pokazałeś mi taki hart ducha i

niezłomność, że nie miałam innego wyjścia jak

cię pokochać. I chociaż o tym nie wiedziałeś,

co chwilę okazywałeś mi swoje serce. Każdy

jego skrzywiony fragment — mówię cicho,

trzymając go za ręce drżącymi dłońmi.

Nigdy nie zapomnę jego oczu w tym

momencie, pełnych akceptacji, uwielbienia i

czci. Po jego policzkach wolno płyną łzy, które

stanowią

uderzający

kontrast

z

intensywnością jego wyrazu twarzy. Ale ja

widzę jego wrażliwość. I czuję miłość.

— Powiedziałeś, że wniosłam światło w twoje

ciemności, ale nie zgadzam się z tobą. Twoje

światło zawsze tam było, ja ci tylko
pokazałam, jak pozwolić mu rozblysnąć.
Dajesz mi życie, jakiego zawsze pragnęłam.
Za to wszystko oddaję ci siebie całą. Moje
nieposłuszeństwo,
bezinteresowność,
cały
pieprzony alfabet. Oddaję ci się całym sercem,
bez oszustw i bez zewnętrznych nacisków.
Wiem, że to wbrew zasadom, ale nie potrafię
się powstrzymać i całuję go lekko w usta. Gdy
się odchylam, trafiam na jego wzrok i
szelmowski uśmiech, który zapamiętam do
końca życia.
— Łamaczka reguł — przeżywa mnie na żarty,
unosząc brew, gdy przygotowuję się do
dokończenia przysięgi.
— Uczyłam się od najlepszych. — Potrząsam
głową i patrzę na niego pewnym wzrokiem. —
Ślubuję wspierać twoją swobodną duszę i twój
brak pokory, bo dzięki temu jesteś tym, kim
jesteś. Ślubuję cię prowokować i zachęcać,
żebyśmy oboje stawali się coraz lepszymi
wersjami siebie. Ślubuję być cierpliwą i

trzymać cię za rękę wtedy, gdy tego nie
chcesz, bo to jest coś, co najlepiej mi
wychodzi. Ślubuję wysyłać ci SMS-y z tytułami
piosenek,
żebyśmy
nie
stracili
naszego
porozumienia. I ślubuję ubierać sukienki z
suwakami na plecach — dodaję pod wpływem
impulsu, a Colton zerka na Haddie, która
wybuchą śmiechem. Potrząsa głową i wraca
wzrokiem do mnie. — Ślubuję ci życie pełne
śmiechu, lodów na śniadanie i naleśników na
kolację. I pamiętaj, że uwielbiam machać flagą
z szachownicą, więc bądź gotów na *odbieranie
trofeów*. — Uśmiecham się równocześnie z
nim, a moja miłość do niego wzbija się na nowe
szczyty. — Ślubuję, że nic w moim życiu nie
będzie ważniejsze od ciebie. Bo wszystko inne
jest nieistotne, a ty, Colton, z całą pewnością nie
jesteś
nieistotny.
Pamiętam,

jak

siedzieliśmy w Starbucksie, a ja patrzyłam na ciebie i zastanawiałam się, jak by to było, gdybyś dał mi szansę cię pokochać, a teraz mam na to całe życie. Ale i tak wiem, że to za mało.

Biorę od Haddie obrączkę ze wzorem szachownicy i wsuwam na jego palec.

Becks zaczyna nas przedrzeźniać i wszyscy goście wybuchają śmiechem. Mam ochotę go udusić, ale nigdy tego nie zrobię. To jest teraz moje życie, a on jest jego częścią.

— Jesteś następny, skurwielu — mruczy do niego Colton. Becks się krztusi, a ja zaczynam się jeszcze bardziej śmiać. Dopiero po chwili ludzie powoli się uspokajają i z powrotem skupiają na nas.

— Colton, mamy całą wieczność, żeby próbować. Chcesz tego?

— Wiesz, że to jest trwałe, co? — pyta łagodnie, przypominając mi o symbolu na moim biodrze. Potakuję nieznacznie, a on przechyla głowę, patrzy na mnie z rozbawieniem i mówi:

— Oczywiście, że tego chcę. — Spuszcza

wzrok na swoją dłoń, na obrączkę na palcu
serdecznym, i potrząsa głową, oswajając się z
tym, co się stało. Wyraz jego twarzy jest
bezcenny. A potem z niecierpliwością godną
moich chłopców patrzy na oficjantkę.

—

Tak,

Colton

—

chichocze,

wiedząc

doskonale, o co chce zapytać. — Możesz

pocałować pannę młodą!

Zalewa mnie zachwyt i miłość.

— Dzięki Bogu! — wzdycha, po czym

podchodzi do mnie i ujmuje moją twarz w

dłonie. — Ta flaga w szachownicę na zawsze

jest moja.

Po czym przyciska usta do moich ust z

niepodważalną pasją, a ja słyszę głos

oficjantki:

— Panie i panowie, przedstawiam wam panią i

pana Donavan.

Epilog 1.

10 lat później

Czuję w klatce piersiowej wibracje silnika, jeszcze zanim samochód wejdzie w czwarty zakręt. Patrzę za nim, jak walczy na przedostatnim okrążeniu, i zastanawiam się, czy zawsze już tak będzie. Czy zawsze będę kłębkim nerwów, gdy on jest na torze.

Na pewno. Bez wątpienia.

Słyszę, jak zmienia biegi, wchodząc w drugi zakręt, jedyny, który widzę ze swojego miejsca w pomieszczeniu obok punktu serwisowego, więc odwracam się w stronę monitora. Słyszę komentatora,

który

coraz

bardziej

się

gorączkuje, i nawet nie próbuję ukrywać dumy ani tłumić uśmiechu.

— Donavan wpada w trzeci zakręt. Jeszcze jeden i będzie miał kolejne zwycięstwo na koncie, a tym samym obejmie prowadzenie w klasyfikacji punktowej. Zostawia wszystkich z tyłu przed czwartym zakrętem i na ostatniej

prostej nikt nie jest w stanie mu zagrozić. —

Komentator

zaraża

wszystkich

swoim

entuzjazmem, a ja odrywam wzrok od ekranu i

patrzę na samochód, który przecina linię mety.

Ale chociaż widzę przed sobą jego wynik,

uspokoję się dopiero wtedy, gdy znowu poczuję

go w swoich ramionach.

— Donovan pierwszy! Panie i panowie,

Donavan zdobywa flagę w szachownicy w Indy

Lights Grand Prix! Kolejne trofeum dla tego

utalentowanego

kierowcy,

którego

z

pewnością jeszcze wiele razy zobaczymy na

pasie zwycięzcy.

Wszyscy

w

pomieszczeniu

zaczynają

wiwatować, ale ja nie tracę czasu na

pogawędki. Zrzucam słuchawki i zbiegam po schodach. Wszyscy znają już procedurę, więc nie interesuję się teraz tym, kto z kim przyszedł lub kiedy się znowu spotkamy.

Przebijam się przez tłum dokładnie w chwili, gdy jego samochód powoli wjeżdża na biało-czarny pas zwycięzcy.

Cała drzę z ekscytacji i mam serce w gardle, gdy widzę, jak zespół tłoczy się wokół niego, ściskają go za ramię lub poklepują po kasku w ramach gratulacji. Stoję z tyłu, pozwalając im na tę zespołową chwilę, chociaż nie mogę się doczekać, kiedy sama mu pogratuluję.

Widzę, że oddaje kierownicę i wysiada z samochodu. Pomocne dłonie pomagają mu odzyskać równowagę i władzę w nogach po pięciogodzinnym siedzeniu w kokpicie.

Cały zespół odstepuje o krok, a do zwycięzcy podchodzi jeden człowiek. Ta szczęśliwa rutyna jest już stosowana cały rok. Zalewa mnie miłość, gdy patrzę, jak mężczyzna, którego z każdym dniem kocham coraz bardziej, podchodzi do niego i pomaga mu odpiąć kask.

Reporterzy cisną się wokół mnie, żeby

dopchać

się

bliżej,

ale

ja

stoję

jak

przymurowana i obserwuję chwilę, która za

każdym razem mnie porusza. Chwilę, która

nigdy nie przestanie na mnie działać.

Kask i biała kominiarka zostają ściągnięte

jednym płynnym ruchem, a ja w końcu mogę

zobaczyć oczy Zandera. Błyszczą w nich duma

i podekscytowanie zwycięstwem identyczne

jak te, które sama czuję. Colton zabiera jego

kask i obdarza *naszego syna* szybkim,

przepełnionym emocjami uściskiem. Wiem, co

do niego teraz mówi. To samo, co powtarzał

mu niezliczoną ilość razy przez te wszystkie

lata.

— *Jestem z ciebie dumny, synu. Kocham cię.*

— Chce, żeby Zander zapamiętał te słowa na

zawsze

i

nigdy

nie

wstydził

się

ich

wypowiadać. Przełykam gulę w gardle, gdy

Colton czochra jego wilgotne od potu włosy, po

czym odchodzi do tyłu, żeby pozwolić

Zanderowi nacieszyć się chwilą w centrum

uwagi.

Colton ginie w tłumie, a do Zandera podchodzi

Becks, który obejmuje go ramieniem, żeby mu

pogratulować, zanim dopadną go media.

Stoję w otaczającym mnie tłumie i czekam, bo

wiem, że mnie znajdzie. Po kilku minutach

czuję jego dłonie wokół talii. Przyciąga mnie

do siebie, moją miękkość do swojego twardego

ciała, i czuję jego usta obok swojego ucha.

— Dobrze się dziś spisał, co? — jego chrapliwy

głos sprawia, że zamykam oczy i zastanawiam

się, jak to możliwe, iż po dziesięciu latach

nadal tak na mnie działa. Dlaczego wciąż

wywołuje we mnie taką falę uczuć, jak tej

pierwszej nocy, gdy się poznaliśmy.

Przechylałam głowę i czuję jego zarost na swojej skórze. Zbliżam usta do jego ucha, żeby usłyszał mnie mimo krzyków spikerów i ogólnego chaosu.

— Z wyścigu na wyścig coraz lepiej — mówię, po czym przyciskam usta do skóry pod linią szczęki i zostaję tak na chwilę. — Ma świętego nauczyciela — dodaję z ustami na jego skórze. — Teraz twoja kolej na zdobycie flagi w szachownicę. — Podnoszę głowę i widzę jego uniesioną brew i szelmowski uśmiech. Na pewno nie myśli teraz o swoim wyścigu za tydzień. Nie mogę się powstrzymać od śmiechu. — Na torze, As! Tę flagę już zdobyłeś!

— No nie da się ukryć — śmieje się. Całuje mnie w głowę i nie odrywając ust, szepcze: — Muszę wrócić do zespołu. Zobaczymy się za chwilę?

— Uhm. Powiedz wszystkim, że kolacja jest jutro o osiemnastej trzydzieści, dobrze?

— Jasne — odpowiada. Odwraca mnie w swoich ramionach twarzą do siebie i przez

chwile przygląda mi się z uwielbianym przeze mnie uśmiechem. Upływające lata były dla niego łaskawe: może i zyskał kilka nowych zmarszczek wokół oczu, ale wciąż ma ten wygląd adonisa, który zapiera mi dech w piersi.

Nachyla się i przyciska usta do moich ust, a ja muszę wykrzesać całą swoją siłę woli, żeby nie poddać się temu bardziej. Bo mimo upływu czasu wciąż nie mam go dosyć.

Podobnie jak inne moje emocje, Colton wyczuwa moje pragnienie i czuję, jak na jego ustach rozkwita uśmiech. Muska mnie ustami jeszcze raz, po czym nachyla się do mojego ucha.

— Potem się tym zajmiemy — szepcze.

— A co się stało z „kiedy zechcę i gdzie zechcę”, co, As? — prowokuję go.

Uwielbiam jego beztroski śmiech. Odrzuca głowę do tyłu i śmieje się całym ciałem. Potem potrząsa głową i patrzy na mnie, zerkając ulotnie w stronę pokoju konferencyjnego za moim ramieniem.

— Wydaje mi się, że pokazałem ci dziś rano,

pani Donavan. — Pod wpływem tych słów
pożądanie, które zaspokoił wcześniej na
biurku w tym pokoju, wraca z podwójną siłą.
Colton muska palcem mój policzek. — Ale z
przyjemnością udowodnię ci to jeszcze raz
nieco później, wieczorem.

— O, bez obaw — uśmiecham się. — Pamiętam
twój twardy *argument*.

— Kochanie, ten argument jest nie do obalenia
— szepcze sugestywnie, chwytając mnie za
pośladki. Przyciska mocno do siebie, żebym
wyraźnie

poczuła,

jak

jego

nieobalony

argument przyciska się do mojego podbrzusza.

Wydaję z siebie bezwiedne westchnienie, bo
moje ciało znowu desperacko go pragnie. —

Kurwa, kocham cię — stwierdza, po czym
całuje mnie krótko w usta, puszcza mi oczko i
odchodzi w stronę Zandera i jego zespołu.

Nie mogę oderwać od niego wzroku: silne
ramiona, głowa wysoko, wciąż seksowny jak

diabli. Potrząsam głową, bo przypomina mi się,
jak wiele lat temu odchodził ode mnie w
kombinezonie wyścigowym. Jak zawołał moje
imię,
znalazł
w
sobie
odwagę,
żeby
powiedzieć, że mnie wyściguje, i w ten sposób
na zawsze zmienił nasze życie.

Epilog 2.

Colton

W domu huczy jak w pieprzonym ulu.
Dokładnie tak, jak lubi Ry. Nie mam pojęcia,
dlaczego, bo w ten sposób dom jest
przepełniony testosteronem, który przytłacza
jej jednoosobową dawkę estrogeneru.
Wchodząc po schodach, zerkam na taras i
dostrzegam Shane'a z żoną przy boku, który
popija piwo i opowiada Connorowi o swojej
nowej pracy.

Raz na miesiąc wszyscy chłopcy wpadają na

kolację rodzinną, jak nazywa to Ry, chociaż niektórzy chłopcy — kurde, mężczyźni —

zdążyli już założyć własne rodziny.

— Hej, Shane — wołam do niego przez otwarte drzwi. — Mam tu jeszcze parę piw, jeśli chcesz — żartuję sobie, a on prycha i przewraca oczami w odpowiedzi.

— Nie, dzięki. Jedno mi wystarczy — stwierdza z szerokim uśmiechem, unosząc butelkę w udawanym toaście. Śmieję się na wspomnienie o tym, jak był zielony i miał potwornego kaca.

Przechodzę korytarzem i wchłaniam wszystko.

Aiden przyszedł prosto z treningu i jest w

koszulce

baseballowej

UCLA.

Gada

o

szortach z Zanderem, który ma na sobie

szorty i założoną daszkiem do tyłu czapkę

baseballową i uśmiecha się beztrosko. Scooter

bawi się na tarasie figurkami Spider-Mana z

dwuletnim synem Shane'a.

Kurde.

Ten widok sprawia, że czuję się jak stary

piernik.

Brakuje tylko Kyle'a i Ricky'ego. Współczuję dziewczynom na pierwszym roku w Stanford, nad którymi ci dwaj aktualnie roztaczają swój urok. Może to ich własny rodzaj magii.

Kobiety nie mają szans i nie uchronią się przed złamanym sercem.

Zerznąć i porzucić.

Gdy myślę o tej dwójce, przypomina mi się to stare hasło. Wspomnienia tego pierwszego wieczoru uderzają mnie jak worek cegieł.

Nawet nie próbuję walczyć z uśmiechem, gdy przypominam sobie łamane przeze mnie serca.

... Byłem w tym naprawdę dobry... aż pewna seksowna wiedźma wpadła w moje cholerne życie, chwyciła mnie mocno i już nie puściła.

Jej przekora i boskie kształty przewróciły mój świat do góry nogami, gdy otworzyłem tą pieprzoną komórkę.

I dzięki Bogu.

Moja pierdolona Rylee.

Słyszę jej głos dobiegający z kuchni i bez zastanowienia ruszam w jej stronę. Staję w drzwiach i zniecka zalewa mnie każdy gram

miłości, o którą nigdy się nie posądzałem.

Czuję to za każdym razem, gdy ich widzę.

Garnki bulgoczą na kuchence, mikrofalówka

dzwoni, a w tle gra Goo Goo Dolls, ale ja w ogóle tego nie zauważam, bo skupiam się

wyłącznie na tym, co widzę przed sobą. Serce

wali mi jak oszalałe. Siedzą na podłodze ze

skrzyżowanymi nogami, dotykają się kolanami

i chichoczą bez opamiętania w związku z

jakimś wspólnym sekretem. Twarze i włosy

mają w mące i patrzą na siebie z absolutnym

uwielbieniem.

Stoję

i

obserwuję

ich.

Jestem

najszczęśliwszym skurczybykiem na ziemi i ta

myśl sprawia, że czuję najśłodszy ból duszy.

Przeszedłem piekło tam i z powrotem, ale było

warto dla każdej sekundy przeżywania tego,

co teraz czuję... Uczuć, które nie są już dla

mnie obce.

I bez których nie wyobrażam sobie życia.

Chichoty cichną. Zielone oczy spoglądają na

mnie spod gęstych, ciemnych rzęs. Chłopiec
marszczy ubrudzony mąką nos i uśmiecha się
szelmowsko. Patrzy, próbując ocenić, czy będę
zły
za
zrobienie
bałaganu,
w
którym
najwyraźniej miał swój udział.

Potem do zielonych oczu dołączają fioletowe.
Na uwielbianych przeze mnie ustach pojawia
się łagodny uśmiech, który jest przeznaczony
wyłącznie dla mnie. Zdumiewa mnie to, jakim
cudem taki prosty uśmiech tak na mnie działa,
niezależnie od tego, ile minęło lat. Pragnę
wziąć ją w ramiona, zdradzić jej wszystkie
swoje sekrety i jednocześnie zerznąć ją do
utruty zmysłów.

Jej magiczna cipka nadal roztacza swój czar.

I nie chciałbym, żeby było inaczej.

Walczę z uśmiechem wpełzającym mi na usta,
bo przy tym chłopcu jestem największym
mięczakiem świata, chociaż regularnie temu

zaprzeczam. Próbuję okazać surowość.

— Co tu się dzieje? — pytam, wchodząc do środka. Rylee klaszcze w dłonie, wzniecając mączną zamieć, i oboje znowu zaczynają chichotać.

Podchodzę do nich, mąka przyczepia się do moich nagich stóp. Kucam obok i patrzę to na nią, to na niego. W końcu robię mu kropkę z mąki na nosie.

— Wygląda na to, że zrobiliście tu niezły syf — stwierdzam, próbując odegrać rolę surowego ojca, ale ponoszę klęskę.

— Dzięki, *Panie Oczywisty!* — chichocze sarkastycznie.

— *Asie Thomasie!* — Ry karcni naszego syna, lecz jego słowa i tak zdążyły zwalić mnie z nóg.

Patrzę na niego, studiuję jego twarz jak pod mikroskopem, bo ciekawi mnie, czy ma w ogóle pojęcie, co właśnie powiedział, ale widzę tylko łobuzerskie zielone oczy i łamiący serce uśmiech. Wykapany tata.

— *Hej?*

Jej głos rodem z sekstelefonu odrywa mnie od przebłyskujących obrazów z plastikowym

helikopterem, plastrem z superbohaterami na
palcu wskazującym i odgłosami stukania.

Obrazów,

które

nie

do

końca

sobie

przypominam, ale które z jakiegoś powodu

wydają się niezwykle wyraźne. Potrząsam

głową i próbuję odepchnąć zagubienie, po

czym podnoszę wzrok na nią.

— Tak?

— Wszystko w porządku? — Wyciąga dłoń i

kładzie na moim policzku.

Wtedy on zaczyna chichotać, wrywając mnie

z niepokojących myśli. Wskazuje palcem na

mąkę, którą Ry właśnie przeniosła na mój

policzek.

— Co? — wykrzykuję głosem potwora,

sprawiając, że sześciolatek piszczy jak mała

dziewczynka

w

oczekiwaniu

na

moje

łaskoczące palce.

— Teraz też jesteś mącznym potworem! —

wyrzuca z siebie między przyspieszonymi

oddechami i próbuje mi się wyrwać.

Łaskoczę go jeszcze kilka sekund, po czym

pozwalam mu uciec, gonię go i przytulam.

Chichocze jeszcze przez chwilę, aż wreszcie

oplata mi ramiona wokół szyi i mocno mnie

ściska.

Te

drobne

ramiona

wzruszają

mnie

najbardziej, bo jest w nich wszystko, co mam.

Zamykam oczy i oddycham nim przez chwilę:

zapachem małego chłopca, mąki i delikatną

nutą waniliowego zapachu Ry.

To chyba *zapisano w kartach*.

Niech mnie kule.

On mnie uratował.

Wtedy. I teraz.

Tak jak jego matka.

Czuję jej dłoń na plecach i jej usta przyciśnięte do mojego ramienia. Otwieram oczy, żeby na nią spojrzeć — *na mój cały pieprzony alfabet* — i się uśmiecham.

— Myślę, że nasz mączny potwór potrzebuje szybkiej kąpieli przed kolacją — stwierdza.

— Nie — czochram jego włosy, wzniecając kolejną chmurę mąki. — To nie jest coś, czego nie zmyje skok na bombę do basenu, prawda, As?

— Juhu! — krzyczy w odpowiedzi, po czym przybija mi piątkę i pędem wybiega z kuchni.

Patrzę, jak biegnie i wskakuje do basenu, a ochlapany Zander jęczy na niego.

— Owinął sobie ciebie wokół małego palca — stwierdza Ry, podchodząc do zlewu, żeby zmyć mąkę z dłoni.

— A ciebie nie? — odpowiadam pytaniem i potrząsam głową, a potem podchodzę do niej od tyłu, obejmuję ją w pasie i przyciągam do siebie. Niech mnie szlag, jeśli jej pośladki przyciśnięte do mojego członka nie wzbudzają we mnie palącego pragnienia, żeby przerzucić

ją przez ramię i pobiec z nią na górę.

Kładę pocałunek u nasady jej szyi i chociaż
jesteśmy już razem tak długo, jej ciało wciąż
natychmiast na mnie reaguje. Na jej skórze
pojawia

się
gęsia
skórka,
słyszę,
jak
gwałtownie nabiera powietrza, po czym z jej
ust dobywa się to pieprzone westchnienie,
które podnieca mnie równie mocno jak jej
dłonie na moim członku. Nawet gdyby jej
piękne ciało już mnie nie kręciło, to jej
wrażliwość na mnie sprawia, że w sekundę
robię się twardy jak skała.

Jej wrażliwość i jej bezwarunkowa miłość.

Jak to się stało, że mam takie szczęście?

Potrząsam
głową,
przypominając
sobie
przelotnie

wszystko,

co

mnie

spotkało.

Chichoczę, bo to, co uderzyło mnie najmocniej i miało największe znaczenie, zaczęło się w tej pieprzonej komórce z tą przekorną kobietą w moich ramionach, która wezwała mnie na dywanik, chwyciła za jaja i zdecydowała, że będziemy razem bez żadnych wykrętów.

Ja pieprzę, wciąż mamy całe życie na to, żeby mną rządziła, bo moje jaja są wciąż tam, gdzie powinny być, czyli w jej dłoniach.

— Z czego się śmiejesz? — pyta.

— Przypomniał mi się wyraz twojej twarzy, gdy się dowiedziałaś, że wygrałem aukcję — odpowiadam i mam to wyraźnie przed oczami, jakby to było wczoraj. — Byłaś taka wkurzona.

— Która kobieta nie byłaby wkurzona, skoro zachowywałaś się wtedy tak arogancko? — parska śmiechem, po czym wydaje z siebie ciche westchnienie.

Przez które mój członek zaczyna twardnieć.

— Arogancki? Ja? *Nigdy* — odpowiadam.

— Obojętne! Wiem, że ustawiłeś tę aukcję, As.

Wybucham śmiechem. Boże, Kocham tę kobietę. Dziesięć lat później nadal ma równie niewyparzoną gębę.

— Kochanie, tę kwestię zatrzymam dla siebie na zawsze — mówię, kładąc pocałunek z tyłu jej głowy.

— To niemożliwe — szepcze i odchyła głowę, żeby pocałować mnie w szyję — bo będziesz zbyt zajęty trzymaniem mnie.

No proste.

Przytulam ją nieco mocniej, bo nie chcę, żeby już poszła, bo do cholery, który kierowca nie chciałby zatrzymać flagi z szachownicą na trochę dłużej?

Ja przynajmniej wiem, że moja macha tylko dla mnie.

Mój kryptonit.

Mój alfabet, od A do pierdolonego Z.

Moja pieprzona Rylee.

Koniec

Podziękowania

Łał! Od kogo tu zacząć? Krytykowano mnie za długość podziękowań w *Fueled. Napędzani*

pożądaniem... więc jeśli jesteś jedną z osób, które uważały, że przesadzam, lepiej omiń te strony.

Nieco

ponad

dziewięć

miesiący

temu

opublikowałam *Driven. Namiętność silniejsza*

niż ból. Nie byłam pewna, czego się

spodziewać. Wiem tylko, że zarówno mama,

jak i mąż mówili mi, żebym nie liczyła na zbyt

wiele. Mogłabym kłamać i wmawiać Wam, że

miałam wizję, iż ludzie pokochają tę książkę a

ja z dnia na dzień zrobię karierę pisarki. W

rzeczywistości jednak byłam przerażona do

szpiku kości. Nigdy wcześniej nie robiłam nic,

co wystawiałoby mnie na widok publiczny, aby

wszyscy mogli mnie analizować, krytykować

lub wychwalać. Miałam nadzieję, że ludzie

kupią książkę o aroganckim, pewnym siebie

kierowcy wyścigowym i temperamentnej, lecz

godnej zaufania dziewczynie. Przyznaję, że

wykorzystałam schemat fabularny o dobrej

dziewczynie i złym chłopcu, ale liczyłam na to,

że czytelniczki wybiorą tę książkę dla fabuły i odkryją, iż potrafię pisać, tworzyć historie, wciągać w inny świat i wywoływać uczucia. I ludzie faktycznie kupili tę książkę. I faktycznie krytykowali schematyczną fabułę. Ale oprócz tego zakochali się także w Rylee, Coltonie i chłopcach.

Nieco

ponad

sześć

miesięcy

temu

opublikowałam

Fueled.

Napędzani

pożądaniem. Miałam inne oczekiwania i chciałam udowodnić, że potrafię stworzyć własną fabułę. Że potrafię wykrzesać coś dobrego z przeklętej „drugiej części” trylogii i sprawić, że będzie się wyróżniała na tle książek, z którymi była

porównywana.

Przepisałam na nowo większość tego, co już miałam. Dodałam rozdziały z punktu widzenia

Coltona,

superbohaterów,

wyznanie

„wyściguję cię”. A gdy klikałam „publikuj”,

byłam nieco bardziej pewna siebie i miałam

świadomość, że ta książka zadecyduje o

powodzeniu

moich

prób

stania

się

„prawdziwą” pisarką.

Nigdy bym nie przewidziała tego, co nastąpiło

później. Nie spodziewałam się dzwoniących

agentów, którzy wcześniej odrzucili moje listy,

maili od cenionych przeze mnie autorów ani

tego, że czytelniczki nie będą się mogły

oderwać od stworzonego przeze mnie świata.

Jedyne słowo, jakim można opisać te ostatnie

pięć miesięcy, to surrealizm. Kompletny,

niewiarygodny surrealizm.

Zaczęłam

pisać

trzeci

tom

z

osiemdziesięciostronicowym zarysem fabuły i

presją

czytelniczek,

które

chciały

jak

najszybciej przeczytać trzecią część. Nie ma

to jak motywacja, co? Jednocześnie jednak

wiedziałam, że mam niewiarygodne szczęście.

Wiedziałam, że pisarze całe życie pracują na

ten moment, więc za żadne skarby nie

zamierzałam zmarnować otrzymanej szansy.

Zaczęłam pisać *Crashed. W zderzeniu z*

miłością i próbowałam stworzyć coś, co

mogłoby się równać z drugim tomem. Ale jak

miałam wymyślić coś, co rezonowałoby w

czytelniczkach równie głośno jak mantra z

superbohaterami lub słowa „*wyściguję cię*”?

Pierwsze dwa miesiące pisania były ciężkie.

Uświadomiłam sobie jednak, że trzeci tom wcale nie musi dorównać pełnemu napięciu zakończeniu drugiego tomu, bo stanowi inną część opowieści o Rylee i Coltonie. Po tym olśnieniu wszystko zaczęło się układać i tak powstała książka, którą właśnie przeczytałaś. Mam nadzieję, że podobało Ci się zakończenie opowieści o Rylee i Coltonie. Jestem dumna z ich wspólnej drogi, wspólnego leczenia ran i tego, co osiągnęli, lecz mimo to po zakończeniu mam mieszane uczucia, bo podobnie jak Wy, ja także pokochałam zarówno ich, jak i chłopców.

Inna sprawa: otrzymałam mnóstwo listów od czytelniczek i czytelników, których poruszyła historia molestowania Coltona i mój sposób jej opisanie — zarówno ze strony człowieka, który to przeżył, jak i ze strony jego

ukochanej. Przykro mi z powodu Waszych

doświadczeń,

lecz

jednocześnie

jestem

oszołomiona, że Waszym zdaniem realistycznie
opisałam całą sytuację i skutki psychologiczne.

Żałuję, że macie wiedzę, żeby móc to ocenić.

Dla tych, którzy to przeżyli... godzina po

godzinie, dzień po dniu... Wasza siła mnie

zdumiewa. Wiem, że wspomnienia nigdy nie

znikną, ale mam nadzieję, iż pewnego dnia

zrzucicie swój bagaż tak, jak zrobił to Colton.

Jest parę osób, które pomogły mi w stworzeniu

tego ostatniego tomu, i chciałabym poświęcić

chwilę, żeby o nich wspomnieć. Przede

wszystkim jest to mój mąż i trójka moich

dzieci, którzy ponieśli największą ofiarę,

żebyście mogły jak najszybciej cieszyć się tą

książką. Ich mama/żona, która zawsze była

obecna i gotowa do różnych szaleństw oraz

nigdy o niczym nie zapominała, zaczęła być

osobą wечно zatopioną w myślach, raczej

nieobecną

i

często

rezygnującą

ze

spontaniczności

na

rzecz

dokończenia

rozdziału, zanim przestanie być wyraźnie

widoczny w głowie.

Ponadto na podziękowania zasługują Beta

Biggs i Beta Yeti. Ta książka przeszła długą

drogę od ich pierwszego wrażenia, że w

rozdziale 15. wydaje się, jakby wciąż był to

rozdział 6. (bo wszystko się tak wolno dzieje).

Za to i za bardzo wiele innych kwestii zawsze

będę im wdzięczna. Dziękuję za motywowanie

mnie, za prowokowanie, żebym wywołała

więcej uczuć, i za wszystkie te komentarze

typu „wiem, że stać cię na więcej”. Wasz

wkład był monumentalny, wiadomości od Was

niezapomniane, a cały proces bezbolesny (cóż,

czasami)... W jakimś stopniu zakończenie

opowieści o Rylee i Coltonie jest też Waszym

dziełem,

bo

dzięki

Wam

stało

się

niezapomniane i takie, z którego możemy być

dumne.

Na podziękowania zasługują także Beta Who i

Beta Haw, które przez cały czas były szczere

do bólu i udzielały mi bardzo cennych porad.

Za to jestem Wam wdzięczna i nie będę zła,

nawet jeśli postanowię pójść inną ścieżką.

Przyjaciele są ważniejsi od książek, zawsze.

Dziękuję też moim pozostałym beta readerom

i korektorom za ich pomoc.

Jest również zwariowana grupa pań na

Facebooku licząca już ponad 7500 członkiń,

które nazwały się „V.P. Pit Crew”. Dziewczyny,

jestem

Wam

dozgonnie

wdzięczna

za

wsparcie,
motywację,
zadzierzgnięte
przyjaźnie i stworzenie całej społeczności
wokół tych książek. Mając tak niewyczerpane
źródło pomocy i zaangażowania, jestem
najszczęśliwszą pisarką na świecie. Ta trylogia
się skończyła, ale grupa istnieje nadal. A,
jeszcze jedno: drogie Panie, zauważyłyście w
tej książce odwołania do Was?

Podziękowania

należą

się

także

moim

#WickedAwesomeAdmins (Cara Arthur, Amy

McAvoy

i

Christina

Hernandez)

oraz

asystentce Coltona (alias Larze) za wszystko,

co dla mnie zrobiły, nie prosząc o nic w

zamian. Dziewczyny, nasza przyjaźń jest

bardziej wartościowa niż książka, przy której się poznałyśmy, i za to będę Wam dożgonnie wdzięczna.

#Beckspert,

#TheRealMrsDonavan,

#WalkersChristinas,

#LaraMetHimFirst — dziękuję Wam z całego serca. Bez Was nie dałabym rady.

Dziękuję też Maxanne Dobbs z The Polished Pen za polerowanie moich słów i sprawianie, że zaczynały błyszczeć. Dziękuję Ci także za odpowiadanie na moje niezliczone pytania i dzielenie się ze mną wiedzą, która pomogła mi

przetrwąć

przewidziany

przez

Ciebie

huragan. Jestem Ci wdzięczna po wsze czasy i

za każdym razem, gdy będę pisała jakąś

„jednostkę akcji”, to pomyślę o Tobie z

czułością... i przypuszczalnie też Cię przeklnę,

ale to wszystko wyłącznie z miłości.

Deborah z Tugboat Designs, dziękuję Ci za

odważne zabranie głosu, sprzeciwienie się

tłumowi i powiedzenie mi, że pierwotna

okładka

tego

tomu

była

niedobra.

To

prawdziwe szczęście mieć takich ludzi po
swojej stronie. Ludzi, którzy dbają o mnie dla
innych powodów niż osobista korzyść. Cieszę
się, że zabrałaś głos, bo miałaś rację. Na
okładce tego tomu powinna być para. Co
więcej, wszystkie trzy tomy wyglądają razem
idealnie.

Stacey z Hayson Publishing, dziękuję za

cierpliwość,

gdy

wprowadzałam

kolejne

poprawki, i za to, że ta książka wygląda

pięknie i profesjonalnie. I jak flaga z

szachownicą.

Amy Tannenbaum, dziękuję za cierpliwość

okazaną lubieżnej niezależnej pisarce, która w

pierwszych rozmowach była nieco opryskliwa.

Doceniam Twoją wiedzę i Twoje porady i nie mogę się doczekać kolejnej okazji do współpracy.

Blogerki... Brak mi słów, które wyraziłyby moją wdzięczność za poparcie dla mnie i dla moich książek. Niektóre z Was są ze mną od momentu, kiedy w kwietniu 2013 roku poprosiłam

o przeczytanie

Driven.

Namiętność silniejsza niż ból. To dzięki Wam książki dotarły do czytelników. Albo dzięki Waszej darmowej reklamie, jeśli wolicie...

Nigdy Wam tego nie zapomnę. Dziękuję za wszystko, co zrobiłyście, żeby wspomóc promocję tych książek, i za podejmowanie moich najdziwniejszych inicjatyw.

Dziękuję Jodi Ellen Malpas za to, że pozwoliła mi zadać pytania o to, co będzie dalej, za szczere odpowiedzi i za wyjaśnienie, że pożegnanie z fikcyjnym mężczyzną może być nedorzecznie emocjonalne. Podziękowania należą się także takim osobom, jak Raine

Miller, Laurelin Paige, BJ Harvey i wielu innym

pisarzom, którzy odpowiadali na pytania

takiego żółtodzioba jak ja. Dziękuję Trishy i

Carli, które nauczyły mnie śmiać się z tego

wszystkiego, co jest możliwe dopiero wtedy,

gdy znasz kogoś ponad dekadę.

Dziękuję słodkiemu Parkerowi — hej, Twój

superbohaterowie w końcu także przybyli!

Na

koniec

dziękuję

Wam,

moim

czytelniczkom...

Jesteście

cudowne

i

codziennie

zdumiewacie

mnie

swoimi

komentarzami, mailami i notkami. Wiem, że

jest Wam smutno, że ta trylogia się już

skończyła, ale możecie mieć pewność, iż to nie

jest Wasze ostatnie spotkanie z Rylee i Coltonem, bo niedługo pojawi się książka o Haddie i Becksie. Jak zawsze, dziękuję za przeczytanie tej książki i Wasze niewyczerpane wsparcie.

O autorce

K. Bromberg to ta powściągliwa kobieta siedząca w rogu, o której żartowało się, że ma w sobie dzikie dziecko. Dziecko, które uwalnia za każdym razem, gdy dotyka palcami klawiatury komputera. Jest żoną, matką, poskramiaczką dzieci, podnosicielką zabawek, szoferem, domowym Spider-Manem, oglądaczką LaLaloopsów, ubieraczką lalek i wykonywaczką wszystkich innych domowych zawodów i nie tylko. Lubi dietetyczną colę z rumem, głośną muzykę i mnóstwo czekolady w spiżarni.

K. mieszka w południowej Kalifornii z mężem i trójką dzieci. Kiedy potrzebuje ucieczki od

codziennego chaosu życia, prawdopodobnie spotkasz ją na bieżni lub z czytnikiem Kindle w dłoni, gdy zatapia się w jakiejś pikantnej lekturze.

Crashed. W zderzeniu z miłością to jej trzecia opublikowana książka, będąca wyczekiwany zakończeniem trylogii *Driven*. Pierwszy i drugi tom spotkały się z bardzo ciepłym przyjęciem, a pierwszy, *Driven. Namiętność silniejsza niż ból*, to jej pisarski debiut.

<http://www.kbromberg.com/>

<https://facebook.com/authorkbromberg>

<https://www.facebook.com/ColtonDonavanTheDrivenTrilogy>

<http://www.goodreads.com/Kbromberg>

<http://pinterest.com/kbrombergwrites/>

@KBrombergDriven

@ColtonDonavan

VP Pit Crew:

<https://www.facebook.com/groups/394768807306804>

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1.](#)

[Rozdział 2.](#)

[Rozdział 3.](#)

[Rozdział 4.](#)

[Rozdział 5.](#)

[Rozdział 6.](#)

[Rozdział 7.](#)

[Rozdział 8.](#)

[Rozdział 9.](#)

[Rozdział 10.](#)

[Rozdział 11.](#)

[Rozdział 12.](#)

[Rozdział 13.](#)

[Rozdział 14.](#)

[Rozdział 15.](#)

[Rozdział 16.](#)

[Rozdział 17.](#)

[Rozdział 18.](#)

[Rozdział 19.](#)

[Rozdział 20.](#)

[Rozdział 21.](#)

[Rozdział 22.](#)

[Rozdział 23.](#)

[Rozdział 24.](#)

[Rozdział 25.](#)

[Rozdział 26.](#)

[Rozdział 27.](#)

[Rozdział 28.](#)

[Rozdział 29.](#)

[Rozdział 30.](#)

[Rozdział 31.](#)

[Rozdział 32.](#)

[Rozdział 33.](#)

[Rozdział 34.](#)

[Rozdział 35.](#)

[Rozdział 36.](#)

[Rozdział 37.](#)

[Rozdział 38.](#)

[Rozdział 39.](#)

[Rozdział 40.](#)

[Rozdział 41.](#)

[Rozdział 42.](#)

[Rozdział 43.](#)

[Rozdział 44.](#)

[Epilog 1.](#)

[Epilog 2.](#)

[Podziękowania](#)

[O autorce](#)

Document Outline

- [Dedykacja](#)
- [Prolog](#)
- [Rozdział 1.](#)
- [Rozdział 2.](#)
- [Rozdział 3.](#)
- [Rozdział 4.](#)
- [Rozdział 5.](#)
- [Rozdział 6.](#)
- [Rozdział 7.](#)
- [Rozdział 8.](#)
- [Rozdział 9.](#)
- [Rozdział 10.](#)
- [Rozdział 11.](#)
- [Rozdział 12.](#)
- [Rozdział 13.](#)
- [Rozdział 14.](#)
- [Rozdział 15.](#)
- [Rozdział 16.](#)
- [Rozdział 17.](#)
- [Rozdział 18.](#)
- [Rozdział 19.](#)
- [Rozdział 20.](#)
- [Rozdział 21.](#)
- [Rozdział 22.](#)
- [Rozdział 23.](#)
- [Rozdział 24.](#)
- [Rozdział 25.](#)
- [Rozdział 26.](#)
- [Rozdział 27.](#)
- [Rozdział 28.](#)
- [Rozdział 29.](#)
- [Rozdział 30.](#)
- [Rozdział 31.](#)
- [Rozdział 32.](#)
- [Rozdział 33.](#)
- [Rozdział 34.](#)
- [Rozdział 35.](#)
- [Rozdział 36.](#)
- [Rozdział 37.](#)
- [Rozdział 38.](#)
- [Rozdział 39.](#)
- [Rozdział 40.](#)

- [Rozdział 41.](#)
- [Rozdział 42.](#)
- [Rozdział 43.](#)
- [Rozdział 44.](#)
- [Epilog 1.](#)
- [Epilog 2.](#)
- [Podziękowania](#)
- [O autorce](#)